

Sztuka to najwyższy wyraz
samouświadomienia ludzkości
/.../
Dzieło sztuki — mikrokosmos
odbijający epokę.

Józef Czechowicz



0%

Cena 18 zł



9 770208 622007

a

1-2

(91-92) 2003

akcent

literatura i sztuka • kwartalnik



Beszczyńska, Chojnacki, Korus, Kryszak – wiersze,
Bożko, Lizakowski, Mirkowicz – proza,
szkice o Czechowiczu, Gombrowiczu, Kapuścińskim,
dyskusja wokół „Kontynentów”,
listy Stachury i Leśmiana,
rzeźba Anaszkiewicza i grafika Stryjca

AKCENT nr 1-2 (91-92) 2003

akcent

literatura i sztuka
W tym numerze: **Wojciech**
Wojciech...
Wojciech...
Wojciech...

Wojciech...
Wojciech...
Wojciech...

kwartalnik

3

PLASTYKA

Lechosław Lameński: *Paweł Anaszkiewicz – polski rzeźbiarz w Meksyku* / 184

„Mityzacja rzeczywistości” – Bruno Schulz w Lublinie. Dwa głosy o wystawie / 191

DZIWAŁA KULTUROWE

Urżula Benka: *Spotkanie z demonem* / 197

ARCHIWUM

Dariusz Pachocki: *Listy Stachury do Przyhasia* / 200

POLEMIKI I DOPOWIEDZENIA

„Kontynentalne” klimaty / 212

NOTY

Grzegorz Kondrasiuk: *Drohobycz – jedyne miejsce na świecie* / 233

Grzegorz Jacek Pelica: *Święci z Drutowa* / 235

Tadeusz Zubinski: *Eduard Vilde – gentleman umieszczony na klepisku* / 238

Lechosław Lameński: *Ryszard Stryjec – rysunek i grafika* / 241

Wojciech Kaczmarek: *O czeskiej edycji książki profesor Sławińskiej* / 244

Magda Opoka: *Emigranci wszystkich krajów* / 245

Wacław Wołyński: *„Akcent” w Kanadzie* / 246

Sławomir Rudnicki: *Benefis Bohdana Zadury* / 250

Aneja Wysocka: *Wernisaże literackie „Akcentu”* / 252

ROMAN CHOJNACKI

Róża

Reginie i Sergiuszowi

Lato podcinam różę za domem
ucichły nawet nasturcje
podglądają mnie nieufnie
tylko zgrzyt schnącej trawy
przypomina o życiu
i kropelka krwi z palca

Wraca pamięć dzieciństwa
braterstwo krwi

Nic mam przyjaciół
opuściłem ich na próżno
róża próbuje mówić do mnie
dudnią skronie niebo wysoko
przesłonięte bezlitosnym
skwarem i wyrokiem

Teresa

Lato na wsi
i ona w lekkiej sukni
jej mroczne oczy bez echa
choć mówię całym ciałem

Niewidoczna strona słońca
umyka niebu i jej bosc stopy
pośród diamentów rosy

Stucham ich szelestu gdy
tną taflę mojej skóry
purpurowa kropelka światła
toczy się w księżycowy spłot

O ilez ciekawszy jest świat
w którym Abel zabił Kaina
zrównano z niebem cmentarz

Rudzik puka do okna
i okno daruje mu łzę

Ciemny strumień światła

Przekupiłem światło
Spopielaly deszcz osuszał
Moją twarz.

Dzień wstaje za oknem
I w tobie

Błogosławiony niech będzie
I krople burzy w nioich oczach

Józef Czechowicz

Zza wzgórza nadlatuje krzykliwy mrok
Józef Czechowicz poprawia kołnierz płaszcza
czerwona podszywka chłwie łapie ostatnie krople światła
wozy ciągną się drogą do Jeruzalem konie odlatują do nieba

Szmer powiek zakłóca ciszę

Roman Chojnacki

Książki nadestane

Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa 2003

Andrzej Friske: *Polska. Lasy państwa i marodu 1939-1989*. Ss. 517, 3 nlb.

Eugeniusz Kalata: *Vinum sacrum et profanum. Wino w kulturze, wino w naturze, wino na naszym stole*. Ss. 188, 4 nlb.

Peter Padfield: *Himmler. Reichsführer SS*. Przełożył Stefan Baranowski. Ss. 708, 4 nlb.

Stefan Themerson: *Przygody Pedrka Wyrzuka*. Z ilustracjami Franciszki Themerson. Ss. 96, 4 nlb.

Stefan Themerson: *Wykład profesora Mmua*. Z ilustracjami Franciszki Themerson. Przedmowa Bertranda Russella. Ss. 289, 7 nlb.

MAGDALENA BOŻKO

KOBALT

Wytrzymał do połowy tygodnia, i dał zlecenie na kobalt. Otworzył krótką pozycję. Teraz już czekał na spadki, żeby zacząć wygrywać.

– Idziesz na całość, co? – podpytywał Sebastian. – Tylko ta jedna pozycja.

– Tylko.

– Ja bym tam dzielił portfel. Bo to ryzyko.

– Tu już nie ma ryzyka. Najlepszy moment.

– Zawsze jest ryzyko, dobrze wiesz.

Pewnie, że wiedział. Ale wszedł w tę pozycję ze wszystkimi pieniędzmi. Świadomie przekroczył limit środków na jedną transakcję. Spodziewał się, że nikt tego nie sprawdzi. Na pewno nie jego szef. Nigdy, od momentu kiedy systematycznie przynosił pieniądze dla funduszu, nie sprawdzał go w żaden sposób. Dawał mu we wszystkim wolną rękę. Były byty zyski. Picinia. Zadowolone zarządy. Może nawet nie chciał wiedzieć. Bo przecież musiał się domyślać, że nie sposób nie zaszałać, żeby móc sięgnąć po najwyższą stawkę. Taka to już była gra.

Więc o tym nie myślał. Ani o szefie, ani o limitach, a tym bardziej o pieniądzach, które zainwestował w tę transakcję. Kędy zmieniających się na ekranie cyfr, tak to widział. Bez namacalnej wartości, więc nierzeczywiste. Miał tylko jedną myśl: nie przoczyć ani sekundy. Nawet ułamka sekundy.

Rynek kobaltu falował. Delikatnie, a jednak falował. Powinien zacząć spadać, ale wciąż się chwiał. Jakby ciągle się wahał, czy iść jeszcze w górę, czy już zniżkować.

Choć wszystko potwierdzało scenariusz Marcina. Europejscy krzykacze w obronie bostwańskich dzieci milczeli i było to milczenie wymowne. Właściwa ustawa po raz kolejny wracała do nieokreślonej komisji z powodu braków formalnych i nie nie wskazywało na jej szczęśliwe czytanie w parlamencie. Wpływowi amerykańscy politycy z pierwszych stron gazet co pewien czas wyrażali swoją opinię na temat suwerenności gospodarczej rozwijających się krajów afrykańskich. Więc musi polecieć. Łada moment.

Trwał przy komputerze. Nie siedział, ale właśnie trwał. Miał otwarte transakcje na giełdzie w Tokio, Londynie i Nowym Jorku. Okrągła doba notowań. Przed zakończeniem każdej z giełd musiał zamknąć pozycje. Kończył zwykle koło piątej, kilka godzin przed zamknięciem giełdy w Tokio, wtedy było już w miarę spokojnie. Zostawały mu trzy godziny do rozpoczęcia giełdy londyńskiej. Tyle mógł przeznaczyć na sen.

Kładł się na skórzanej kanapie w pokoju dla gości, nakrywał kocem. Ale niełatwo było zasnąć. Przed oczami wciąż migał obraz monitora. W uszach dzwięczały ostre sygnały giełdowych newsów. I łomot w głowie: niech już, kurwa, zaczniesz spadać!... Już czas.

Siódma, już czas, trzeba wstawać.

Kiedy wszedł do domu, od razu poczuł ten zapach. Jeszcze wyraźniej niż wtedy, poprzednim razem. To był sobotni bardzo wczesny poranek. Pierwszy od tygodnia poranek w domu. Nie czuł zmęczenia, raczej iryta-

cję, niepokój, że czekają go dwa dni przerwy. Dwa puste dni. Pomyślał, że najlepiej byłoby je przespać ciągiem i obudzić się w poniedziałek rano. Ale ten zapach wyprowadził go z równowagi i wiedział, że na pewno teraz nie zaśnie. Zanim się go stać nie pozbędzie.

Otworzył okna. Na oścież, aż powstał przeciąg i zaczęły trzaskać drzwi. Chodził niespokojnie po mieszkaniu, nie mógł znaleźć sobie miejsca. Czuł się nieswojo, jakby nie był u siebie, albo jakby coś miało się zaraz wydarzyć. Taki niepokój oczekiwania. Poszedł do łazienki. Stał przed lustrem, przyjrzał się swojemu odbiciu. Nie był zdziwiony. Mógł się spodziewać, że brzoza pogłębia się. Minęło przecież trochę czasu, od kiedy mógł się sobie na spokojnie przypatrzeć.

Potem zadzwonił telefon, ale go nie odebrał. Czuł, że to Grażyna, a nie miał pomysłu na to, co mógłby jej powiedzieć. I nie miał też ochoty na żadne sobotnie party. Ani nawet na nią.

Po kąpieli poczuł zmęczenie i senność. Zapach jakby trochę wywietrzał, a na pewno nie był już tak duszący. Teraz dopiero rozejrzał się po mieszkaniu i zauważył inne, poza specyficzną wonią, oznaki niedawnej obecności Larysy. Rząd uprasowanych koszul wiszących w szafie, świecące lustra, czyste ścierki w kuchni. Będzie musiał jej zapłacić, pomyślał, przecież ja jej jeszcze nie zapłaciłem... I to była jego ostatnia myśl przed zaśnięciem.

Telefon dzwonił także później. Wieczorem i w nocy. Słyszał jego dźwięk jak przez mgłę, z bardzo daleka. Zapadał raz po raz w drzenie. Sny urywały się nagle i nie mógł się doczekać końca żadnego z nich. Znowu rozbudzał go dzwonek telefonu. Dobrze, bo te sny to nie były prawdziwe sny, tylko poszarpane, niewyraźne obrazy. Jak zniszczone kadry niemego filmu. Nieczytelne, a tym bardziej męczące. Niechby to minęło... Ta sobota, a może już niedziela... Niech się skończy.

Zapadał w płytki sen.

Poniedziałek rozpoczął się od wzrostu. Wszędzie, w Londynie, Frankfurt, Tokio kobalt zwykował. Co jest, do cholery, myślał bardziej zdziwiony niż zaniepokojony, jakaś zmyła czy co. Nie ma prawa iść wyżej, po prostu nie ma takiej możliwości.

Ale do końca dnia stracił na tej pozycji dużo więcej niż kiedykolwiek na czymkolwiek innym. Kurs kobaltu wciąż wzrastał.

— Co jest grane, Sebastian? — pytał swojego brokera.

— Dziwna sprawa...

— Przecież drobni już ładnie wyskakiwali z pozycji. Szkolna rozgrywka, wszystko przewidywalne.

— Ktoś większy podkręca rynek.

— Kto, do kurwy nędzy?

— Będę wiedział.

Take it easy, take it easy... — powtarzał słowa Sebastiana, choć jeszcze nie czuł zdenerwowania. Wciąż zdziwienie, a nawet niedowierzanie. Próbował znaleźć jakieś racjonalne wytłumaczenie tego, co się dzieje, biegał od serwisu do serwisu, analizował komentarze, szukał podskórnych powiązań. Ale nie miał nic. Całkiem nic.

Kobalt łapał drugi oddech. Widać było, że ci, którzy niedawno stracili na tej pozycji kupując ją w czasie silnych wahan, teraz czując szansę na odegranie szybko wchodzili w długą pozycję. Licząc na powtórzenie historii potężnych wzrostów.

Powariowali, myślał Marcin. Przecież to łada chwila polecą na pysk.

Nie był przygotowany na ten telefon. Na rozmowę z nią. Nie teraz, nie w tej chwili. Kiedy kuzda jego myśl dotyczyła kobaltu, niczego innego.

— Zobaczymy się w sobotę? — spytała i była w tym pytaniu prośba.

— Nie wiem... chyba tak.

— Chciałabym... powinniśmy porozmawiać.

— Dobrze — zgodził się prędko. — Zadzwonię w sobotę.

— Nie — zaproponowała gwałtownie. — Umówmy się od razu.

— Nie mogę — powiedział i sam się zorientował, że zabrzmiało to oschle.

— Nie wiem, co się zdarzy do soboty. Jestem w środku piekielnie gorącej transakcji.

— Musimy porozmawiać... — powtórzyła ciszej.

— Porozmawiamy, powiedziałem przecież.

— Przyjadę w sobotę. Będiesz?

— Na pewno. Będę odsypiał tydzień. Mało teraz sypiam.

— Dużo pracujesz — stwierdziła. Wydało mu się, że ma smutny, przygaszony głos. Bez charakterystycznej dla niej nuty pewności siebie i stanowczości.

— Trochę. Taka praca.

— Długo to potrwa?

— Co!

— Ta transakcja.

— Nie wiem. Az ja zakończę. Wygram.

— Wygrasz? — spytała i to pytanie zirytowało go bardziej niż mógł się spodziewać.

— Zadzwonię w sobotę — powiedział, chcąc jak najszybciej zakończyć tę rozmowę — to się umówimy.

— Zobaczymy się w sobotę.

Systematycznie w górę. Dzień po dniu. Po drodze kilka wahań, parę punktów korekty. I dalej żadnej zapowiedzi zmiany.

Wciąż panował nad sobą, nad tymi emocjami, które towarzyszyły mu podczas śledzenia kursów na giełdzie. Nadzieja rozbijana w każdej chwili o notowania kobaltu na świecie. Nie dawał po sobie poznać, że dzieje się coś, co wymyka się spod jego kontroli. Skupiony, pochylony nad komputerem.

Nie zamykał już dziennych transakcji. To nie miało sensu. W każdej chwili mógł nastąpić zwrot w sytuacji, kobalt mógł zacząć spadać, i teraz mógł tylko spadać, bo jego straty na ostatnich zwykach były już tak duże, że nie wyobrażał sobie większych. Nie mogły być większe. Więc trzymał otwarte pozycje na niemal wszystkich światowych giełdach w oczekiwaniu na chwilę zwrotu.

Był tylko taki moment, jeden moment w całym tygodniu, kiedy pomyślał sobie: Jakże to dziwne, że całe życie człowieka, cały jego sens może sprowadzić się do migającego na ekranie komputera wykresu jakichś notowań. Taka abstrakcja... Ale to była tylko chwila, ułamek sekundy. I już z powrotem skupił się na tamtym, na tym wykresie właśnie.

Było jeszcze kilka rozmów. Parę razy zaszedł do niego szef. Pośledział, powzdychał, pomilczał, dał mu kilka rad na tak zwane życie i wrócił do swojego gabinetu ze skórzanym fotel i czereśniowym biurkiem. Ponownie zadzwoniła Grażyna. — Przyjadę w sobotę — powiedziała prędko, jakby się bała, że nie będzie chciał z nią rozmawiać. — Tylko żebyś był. — Będę — odparł wpatrując się w monitor i myśląc, że do soboty wszystko może się zmienić. Wszystko, czyli kurs kobaltu.

Potem wykres nieznacznie szedł w górę. Zatrzymywał się co jakiś czas, jakby w zapowiedzi upragnionego spadku, wtedy Marcin myślał: Już. To już teraz. I zaczynał chodzić po pokoju, od okna do drzwi, od drzwi do

oknu, z powrotem do komputera. Coraz trudniej było wyciszyć emocje. Nerwowy rzut oka w monitor. Kurwa jego mać!... Znowu do góry. Popierdolony, kurewski kobalt!...

Podjął tę decyzję w poniedziałek. A może już w niedzielę, w tę niedzielę, z która zupełnie nie wiedział co zrobić. Przyspać. Przetrwać. Przeżyć.

Jakoś przeżył. I postanowił, że w poniedziałek podwaja stawkę. Pozbywa się obligacji i otwiera kolejną krótką pozycję na kobalt. Odrabia siraty. Nikt oczywiście nie mógł wiedzieć, że ruszył obligacje, że dubluje pozycję. Nieczyste posunięcie. Ruch ostatniej szansy.

– Co ty robisz? – pytał Sebastian retorycznie. – Normalnie cię pojechało.

– Rób zlecenie i daruj sobie komentarze.

– Zamrzasz się w gównie. Teraz już z całym łbem.

– Panuję nad tym.

Everything under control, everything under control. Uspokajał Sebastiana. I siebie samego. Ale coraz częściej zdarzało mu się patrzeć na notowania i widzieć rząd znaków, których nie potrafił odczytać. Zrozumieć. Miał pustkę w głowie. Nie trwało to długo, sześć, siedem sekund, ale powtarzało się regularnie. Newsy unikały przed jego wzrokiem, nie mógł za nimi nadążyć. Zresztą nie potrzebował już informacji, więc nawet ich nie szukał. – Jak tam leci? Coś nowego? – pytał od niechcenia szef. Zupełnie nie zainteresowany odpowiedzią, bo nie czekając, aż Marcin zareaguje, ciągnął swoje: – Popieprzone to wszystko... mówię jej, kotku, widzimy się codziennie, kiedy tylko zechcesz, ale weekendy muszę, po prostu muszę spędzać z nią... bo mi, kurwa mać, żyć nie da... Wykończą mnie kiedyś te baby, zobaczysz.

Marcin patrzył w monitor. Jak długo potrafił tak siedzieć bez ruchu? Wydawało mu się, że bardzo długo, nawet cały dzień. Ale coraz częściej łapał się na tym, że patrzy bezmyślnie, odłącza się od tego, co dzieje się w notowaniach. Był przekonany, że to chwila, ułamek sekundy, ale po stanie giełdy orientował się, że musiało upłynąć trochę czasu, bo wiele go ominęło.

Kobalt nie tracił na wartości, wręcz przeciwnie.

Zaniepokoił się w czwartek. Na dobre zaniepokoił. Wcześniej myślał: zwykłe przebieganie, stąd to drapanie w gardle. Przejdzie za parę dni. Ale mijaly dni, a on mówił coraz ciszej, bardziej ochryple, a w czwartek wydobywał mu się z gardła już tylko niewyraźny szept, który sam ledwo co słyszał. – Idź do lekarza – poradził mu szef. – Bo się nie dogadasz z brokerami, jak, kurwa mać, na dobre zamilknieš – zażartował, ale Marcin pomyślał: święta racja. Został w giełdę i poszedł. – Zapalenie krtani – po dwóch minutach postawiła diagnozę pani doktor. – No bo coż innego? – spytała ni w pięć, ni w dziewięć, patrząc na niego jakimś szklistym wzrokiem (musi być bardzo zmęczona tą pracą, pomyślał Marcin i zrobiło mu się jej żal). Naskrobała coś na recepcie i mruknęła na odchodnym. – Ssać co godzinę. I oszczędzać gardło.

Oszczędzał. Prawie nie mówił. I ssal nawet częściej niż co godzinę. Ale w piątek nie słyszał już swojego głosu. Nie było go po prostu. Wysłał do Sebastiana maila. I do innych brokerów. Trzymamy pozycje. Sebastian natychmiast oddzwonił.

– Co się dzieje?! – wrzasnął. – Popierdoliło cię, czy co? Nie zamykasz pozycji na weekend?!

Chciał jak zwykle powiedzieć: Everything under control, ale nie wydobył z siebie żadnego dźwięku, poza jakimś dziwnym szmerem.

– I co kontrolujesz, co ty kurwa, kontrolujesz?! – wrzeszczał Sebastian. I wtedy Marcin po raz pierwszy zastanowił się, jak to możliwe, że ktoś go słyszy. Jego głos, którego nie słychać. Którego przecież nie ma.

Rozłączył się natychmiast. I spróbował powiedzieć coś do siebie. Raz i drugi. Całym wysiłkiem woli chciał wydobyć z siebie głos i usłyszeć go. Nie udało się. Jeden chrobak, żadnego zrozumiałego słowa.

Czuł się źle. Nic konkretnego, żadna określona dolegliwość, po prostu czuł się z każdą chwilą gorzej. Nie potrafił skupić się na pracy, na notowaniach. Nie czekał do zamknięcia ostatniej giełdy i już późnym popołudniem pojechał do domu. Kiedy wszedł do mieszkania i zamknął za sobą drzwi, pierwsze co zrobił, to nabrał powietrza w płuca i uczynił wysilek, żeby krzyknąć. Powtórzył to kilkakrotnie. Nic, teraz już nic. Nawet szeptu, szmeru. Cisza.

W całym domu cisza.

Nie wiedział, która jest godzina. Nie zastanawiał się nad tym w ogóle. Zaraz po przebudzeniu, właściwie natychmiast, jeszcze w łóżku, spróbował wydobyć z siebie głos. Zamierzał powiedzieć: Dzień dobry, bo nic innego nie przyszło mu do głowy. Dzień dobry. Dzień dobry. Dzień dobry. Tak wyraźnie słyszał to w myślach, tak głośno. I żadnego dźwięku na zewnątrz.

W łazience stanął przed lustrem, patrzył na ruch swoich warg, żeby mieć pewność, że się nie myli, że porusza ustami próbując mówić. Dźwięk nie wyglądało, bezgłośny ruch warg, rozciągnięte policzki, zwężone oczy ginące między zmarszczkami. Nienaturalna mimika niemoj twarzy. I dwie podłużne bruzdy. Brudne, czarne, głębokie. Oszpecające.

Odwrócił się z niechęcią. Poszedł do pokoju i położył się do łóżka.

Jakiś dźwięk. Dzwonek do drzwi, albo telefon. Coś przykuło jego uwagę, może obudziło, bo nie był pewien, czy nie zdrzemnął się, a może nawet spał dłuższy czas. Nasłuchiwał. Regularnie powtarzany dźwięk dzwonka. Telefon.

– Halo, halo!... – krzyczał ktoś po drugiej stronie słuchawki. – Jesteś tam, kurwa mać?! – teraz rozpoznał już głos swojego szefa.

Jestem – chciał powiedzieć, ale nie udało mu się.

– Co się z tobą dzieje? – krzyczał, bardzo czymś chyba poirytowany. – Mogłeś zadzwonić, jeśli coś się stało...

Nic. Nic się nie stało – pomyślał zdziwiony. A co się miało stać. Everything under control.

– Kiedy się pokażesz? – kaszlał nerwowo szef. – Pokaż się, zrób porządek na kontach, prześlaj transakcje, a potem choruj sobie nawet do usraniej śmierci!...

Nie wiem, kiedy. Jeszcze nie wiem... – pomyślał i równocześnie poruszył ustami. Żadnego dźwięku.

– No zesz kurwa, nie rób ze mnie głupa. Nikt nie wie, jakle prowadzisz transakcje!...

W porządku, spróbował powiedzieć, nie ma powodów do obaw. Panuję nad wszystkim. Same bezpieczne pozycje. Ale na zewnątrz nie wyszło ani jedno słowo, cisza. A gdzieś w tle, ponurczy tymi słowami, które chciał powiedzieć, a nie potrafił, tłukło mu się w głowie: Krótki kobalt, od miesiąca na kolosalnych stratach. Trzeba czekać, tylko czekać. Czekać.

– I na co ja mam, kurwa mać, czekać?! Aż pierdólnie z hukiem?! – wrzasnął szef do słuchawki tak, że Marcin musiał ją odsunąć od ucha. I natychmiast odłożyć. Odrzucić w poplochu od siebie. Od swojej głowy, swoich myśli.

Myśli, które ktoś najwyraźniej słyszał, jeszcze ktoś inny poza nim samym.

Potem ciągle dzwonił telefon. Sebastian, Grażyna, szef. Krzyki, prośby, znowu krzyki. Był zmęczony. Najbardziej tym, że musiał bardzo uważać na swoje myśli. Kontrolować każde niewypowiedziane słowo. Wyrzucać je zanim jeszcze pojawiło się w jego głowie. Ciedzić przez drobne sito to, co mogą usłyszeć inni.

– Co się dzieje? – pytała Grażyna. Słychać było, że jest smutna, zmartwiona czymś. – Coś się stało między nami, czułam to od dawna... prze-czuwałam... – mówiła cichym, zgaszonym głosem. – Nie pozwoliłeś mi się zbliżyć do siebie... a może to ja... może coś zrobiłam nie tak?

Wszystko, pomyślał i natychmiast skarcił się za tę myśl. Po co ona ma to wiedzieć? To już niepotrzebne.

– Ale co? Powiedz, co?! – nie udało się, jednak usłyszała, bo podniosła lustrzecznie głos. – Przynajmniej teraz powiedz!...

– Ściana, dywan, sufit... – biegła wzrokiem po pokoju, żeby tylko zakneblować sobie głowę. Żadnej myśli o niej, żadnej.

– Potrzebujesz czegoś? Może przyjadę?

Nie, zaprotestował (oczywiście bezgłośnie). Nie, pomyślał. Tylko nie to. Nikt nie może mnie teraz widzieć.

– Nie powinienes być sam... Przyjadę.

Nie – chciał krzyknąć. Bardziej niż kiedykolwiek krzyknąć. Wywrzeszcząć na cały głos.

Z bezsilności trzasnął słuchawką o telefon.

Po co się ruszać. Po co się kłaść. Po co myśleć. Po co w ogóle to wszystko? Po co się ruszać, po co się kłaść, po co w ogóle to wszystko? I coraz szybciej, rytmicznie, jeszcze szybciej. I od początku, i już nie wiadomo gdzie początek, gdzie koniec. Po co to wszystko, po co się ruszać, po co się kłaść i po co się ruszać, po co myśleć, po co w ogóle to wszystko.

Nie można powiedzieć, że nie miał zajęcia. Miał. Wybierał sobie na ścianie jeden punkt, bardzo dokładnie, co do milimetra i od tej chwili nie spuszczał z niego wzroku. Bo gdyby oderwał od niego oczy, to by go nie odnalazł, to już nie byłby ten sam punkt. Więc patrzył. Przy mykał oczy, żeby zawęzić sobie pole widzenia do tej jednej kropczki, mikroskopijnego punkciuku i obserwował. I już po chwili zaczynał widzieć. Najpierw zarys, coś niewyraźnego, nieokreślonego jeszcze, trudnego do nazwania, a za moment już to, na co czekał. Twarz. Różne twarze. Najpierw, na samym początku wydawało mu się, że to obce twarze, nieznajome, niczyje. Ale za którymś kolejnym razem, gdy powoli, nie spiesząc się, odczytywał poszczególne fragmenty, pojedyncze linie układające się w rysy, zaczął dostrzegać pewne podobieństwa. Najpierw odnalazł swoją twarz. Duże, ciemne oczy, haczące spojrzenie. Czarne, ostrożne. Jego oczy. Wąskie, zaciśnięte usta. Małutkie, jakby ich w ogóle nie było. Głębokie pod ciemnymi, głębokimi bruzdami, które biegły od nosa do kącików ust. Tak naprawdę rozpoznał się właśnie po tych bruzdach, znalazł je przecież na pamięć. Nie sposób było o nich zapomnieć, jeśli codziennie widziało się je w lustrze. Głębsze i głębsze.

A potem rozpoznawał wszystkich po kolei. Ojca, Grażynę, Sebastiana, prezesa Wolińskiego, swojego szefa. Kogo tam nie było. Niektórych widział kilka razy. Za każdym razem inaczej. Bo te twarze, to nie były takie sobie zwykłe twarze. W każdej z nich, w każdej bez wyjątku dostrzegał jakąś skazę, element szpetoty, czegoś wyraźnie dominującego, ale wcześniej niedostrzegalnego. Cieszył się. Więc nie tylko ja, już nie tylko ja to

mam!... Zdeformowana, brzydka twarz. Teraz już każdy z nich, myślał z satysfakcją.

Ale starał się nie myśleć. Taku narzucił sobie dyscyplinę: nie myśleć. Na wypadek, gdyby ktoś znowu go zaskoczył, jakimś telefonem, który odruchowo odbierze, usłyszy czyjs głos, kogoś zupełnie nieważnego, kto dzwoni nie po to, żeby go słuchać, ale żeby demaskować jego myśli.

A może nie chciał myśleć także z innego powodu, może to nie były wygodne myśli, ani dobre, ani przyjemne. Może sam nie chciał ich słyszeć. Więc zakazał sobie myśleć. Raz na zawsze.

Dlatego bezpiecznie było wybrać ten jeden punkt i obserwować, kiedy nabierze wyraźnych, rzeczywistych kształtów. Wpatrywał się tak, aż robiło się ciemno w pokoju. Obrazy na ścianie ginęły w mroku, rozplywały się. Wtedy czuł, jak złączzone są jego oczy. Zamykał je. Ale nie zasypiał, o nie.

Jeśli czegoś się bał, to właśnie tego.

Twarze. Same twarze. Ale inne, nieznane. Krzyżące, powykrzywiane, agresywne. Mówią coś, wrzeszczą, zbliżają się. Gorący oddech, stęchły zapach. Cofnąć się, uciec... Ale jak, skoro ta ściana?

Nie zasnąć, tylko nie zasnąć.

Rozpoznał ją po stukocie obcasów na korytarzu. Takim szybkim, rytmicznym, stuk, stuk, stuk. Wystarczająco głośnym, żeby wyprowadzić z równowagi. Potem były uderzenia w drzwi. – Otwórz, otwórz... – na początku proszące, a potem coraz bardziej mekierpliwe, wreszcie rozkazujące. Otwórz!

Odejdź, chciał powiedzieć, ale wciąż jeszcze nie mówił. Odejdź, pomyślał więc, w nadziei, że może ta myśl do niej dotrze. Że ją usłyszy. – Nie odejdę, dopóki mi nie otworzysz – powiedziała. Coraz jeszcze utwierdziło go w przekonaniu o konieczności zachowania ostrożności. Jednak słyszą, wciąż słyszą moje myśli. Nadal nie jestem bezpieczny.

Odejdź, proszę, zrób to dla mnie, i dla siebie, zostaw mnie teraz samego – spróbował przesłać jej przez drzwi tę niemą sugestię.

Stała chwilę bez ruchu, potem zapaliła papierosa i przeszła się po korytarzu w tę i z powrotem. Jeszcze raz zadzwoniła do mieszkania. Krótki, gwałtowny dźwięk, który nim wzdrygnął. I zaraz odeszła szybkim krokiem. Wsluchiwał się w znajome: stuk, stuk, stuk.

– Zostawiłeś otwarte transakcje, tak?! – wrzeszczał głos za drzwiami. – Gdzie je zaksięgowales?!

Nie myśleć o tym, napominał się, o czymkolwiek innym, tylko nie o tym... Żeby się nie zdradzić.

– Trzymasz kobalt, tak? Do kurwy nędzy, gdzie?!

Nawet nie próbował nic powiedzieć. Wystarczająco często robił to w samotności. Sprawdzał swój głos na wypadek, gdyby niespodziewanie pojawił się z powrotem. To przecież mogło się zdarzyć w każdej chwili.

Ale na razie wciąż musiał uważać na swoje myśli. Żeby ani jedna nie dostała się w niepowołane uszy. Był na nie zły, bo nagle zaczęły mu plątać różne figle. Uciekały w nieznanych kierunkach, odlatywały w przeszłość, rozpiechwały się po dawno zapomnianych historiach, powracały do ludzi, których nigdy wcześniej nie wspominał.

Pani higienistka ze szkoły, ktoś to taki? Niby nikt, ale przypominał ją sobie tak dokładnie, jakby widział ją wczoraj. Fluoryzacja. Dzieci ustawiają się parami, idą do łazienki, każde czeka, aż pani nałoży na szczoteczkę

odrobinę przezroczystego płynu. Śmieja się, poszuchują, pani upomina niesformą grupę. Przygląda się jej, śledzi ruchy, obserwuje mimikę twarzy: – Masujemy, od lewej do prawej, okrężnymi ruchami, z góry na dół, wewnątrz i na zewnątrz, nie wypluwamy, nie pluczymy, masujemy dokładnie od lewej do prawej... – Ma bladą twarz i bardzo czerwone usta. Włosy mocno ściągnięte w kok na czubku głowy. Wygląda to tak, jakby cała jej twarz była naprężona od tych ściśle zebranych włosów. Naciągnięte policzki, zwężone, szeroko rozstawione oczy, usta, których początku i końca nie sposób się dopatrzeć. Wielkie, czerwone usta. Potok słów.

Albo ten staruszek, ich sąsiad z przeciwnej strony ulicy. Zawsze pochylony, z konewką w ręku, ze wzrokiem utkwionym w ziemi. Jakby wyłączony ze świata. Ale gdy tylko ktoś przechodził ulicą, natychmiast podnosił głowę, zbliżał się do ogrodzenia i spoglądał ciekawie. Dzień dobry – mówił Marcin grzecznie, tak jak kazała mu mama. – A dzień dobry, dzień dobry... – odpowiadał skwapliwie mężczyzna i patrzył wy-czekująco, jakby w nadziei na dalszy ciąg rozmowy. Marcin odwracał głowę i oddalał się szybkim krokiem. Czuł na sobie wzrok staruszka, dopóki nie zniknął za zakrętem.

Był też pan, który każdego wieczoru wychodził na spacer ze swoim psem. Potężnym wilczurem. Spuszczał go ze smyczy i od tej chwili słychać było na całej ulicy: Ceeezar, noooga!!! Oshy, wojskowy rozkaz. Groźba, której nie należy lekceważyć. Krzyk, uderzenia smyczy.

I jeszcze ta dziewczyna, Anka, którą trzymał za rękę. Pierwszy raz. Nie pocałował ani nie przytulił, ale właśnie wziął za rękę. Wracali wtedy z kursu językowego, był ciepły majowy wieczór. Rozmawiali, śmiali się i nagle po prostu sięgnął po jej rękę. Nie cofnęła dłoni, może nawet wsunęła ją głębiej. Na chwilę obydwójce zamilkli, ale zaraz powrócili do rozmowy. Szli trzymając się za ręce.

Czuł się coraz lepiej. Nie, jeszcze nie mówił, gardło wciąż odmawiało mu posłuszeństwa, ale nie martwiło go to tak jak wcześniej. Można powiedzieć, że zaakceptował ten stan, traktując go jako normalny w swoim obecnym życiu. Wiedział, że jest to trochę inne życie niż tamto wcześniejsze, że nie ma w nim miejsca dla ludzi, którzy niestety, nie wiedzieć czemu (może właśnie z powodu głosu, którego nie był w stanie z siebie wydobyć) potrafili bezhłębnie odczytywać jego myśli. Nawet te, które jego samego zaskakiwały i których się przed sobą wstydził.

Należało więc unikać ludzi, chociażby ze zwykłej przyzwoitości. Tym bardziej że nie czuł się samotny ani znudzony, bo niemal wszyscy pojawiali się wcześniej czy później na ścianie w pokoju. Nicco zmienieni, mówiąc wprost – brzydsi, ale przez to nawet ciekawszy. Zdecydowanie tak. Takich lubił ich bardziej.

Na przykład Grażyna. Była chyba najczęstszym gościem wśród twarzy wylaniających się ze ściany. Za każdym razem inna. Raz z dużym na pół twarzy nosem, który oszpicał ją tak, że nawet przez chwilę zrobiło mu się przykro (ale tylko przez chwilę), innym razem z dziwnie zapadniętym policzkiem, jakby dziurawym albo wyniecionym. Oczywiście rozpoznawał ją mimo tych deformacji, wciąż miała te same oczy, usta, włosy. Poza tym czuł, że to była właśnie ona, a nie jakaś inna kobieta. Tak patrzyła na niego tylko ona. Spróbował ją nawet narysować taką, jak ją zobaczył któregoś razu. Wziął ołówek, kawałek jakiegos kanki i punkt po punkcie rysował każdy element jej twarzy, który zobaczył przed chwilą. Gdy wydawało mu się, że naszkicował już wszystko, że będzie miał wreszcie dowód tych spotkań i gdy spojrzał na

rysunek, to przeraził się. Same bażgroły. Rozbiegane po całej kartce linie, przypadkowe kreski i kropki, jak kleksy w zeszytach pierwszoklasisty. Zgniół ze złością kartkę. I więcej nie próbował tego robić.

Ale poza tym jednym incydentem był z siebie zadowolony. Teraz już tak. I znacznie bardziej spokojny niż na początku całej tej historii z gardłem. Wszystko bowiem nabierało nowego, prostego znaczenia. Taka chociażby czynność mycia zębów. Rano i przed snem. I jeszcze w międzyczasie, jak się uda. Włosie szczoteczki rozchodzi się na dwie strony od mocnego szurania po zębach. I po co. Po co tak szorować. Tyle bezsensownych mechów angażujących ciało. Tak samo zresztą jak mycie, namydianie, golenie (zawsze można ochlapać sobie twarz, jeśli przyjdzie na to ochota). I jeśli też można, jak się zechce, albo jak coś jest akurat pod ręką, albo rzuci się przypadkowo w oczy.

Dzięki temu, że wszystko działo się samo przez się, bez żadnych wczesniejszych narzuceń, ustalonych rytmów, że rano nie było śniadania, a wieczorem mycia zębów i tak naprawdę noc nie różniła się niczym od dnia, bo żaluzje były zasłonięte, a spał od przypadku do przypadku, to czas – ten czas, który spędzał sam ze sobą, nabrał też jakiegoś szczególnego znaczenia. Płynął sobie swobodnym nurtem, do czego nie zmierzał, niczemu nie wychodził naprzeciw, na nic nie czekał, ani od czego nie uciekał. I dlatego (niedbnie byloby mu powiedzieć, czy upłynął miesiąc, czy dwa dni od kiedy nastąpiła w nim i w jego otoczeniu ta odmiana).

Wydawało mu się, że dokonał wspaniałego odkrycia. Nie ma, zrozumiał, żadnego tak naprawdę uzasadnienia tych wszystkich regularnie powtarzanych czynności, które składają się na codzienne życie i jedynym argumentem za takim na przykład myciem zębów mogłaby być pani higienistka o wydatnych czerwonych ustach, które nie chciały się zamknąć. Ale tu jej nie było, ani jej, ani, na szczęście, nikogo innego.

Zgrzyt klucza w zamku. Tak, to na pewno klucz...

Nie był w stanie się poruszyć, zrobić jednego gestu, zamarł w koszmarnym, nieznanym mu dotąd napięciu. Czekal.

Skrzypnięcie drzwi, odgłos zatrzaśnięcia. Kroki.

– Dzień dobry.

Kto to? Rany boskie, kto to?!

– Zaczę od kuchni, nie będę przeszkadzać...

Larysa, ta od sprzątania. Teraz już wiedział.

Wyjdź stąd, chciał powiedzieć, przecież widzisz, że jesteś nie w porę. Ale kobieta już przeszła do kuchni i nawet gdyby potrafił powiedzieć to, co chciał, pewnie by nie usłyszała. Nie ustąpił, poszedł za nią. Proszę wyjść, zostawić mnie samego, nakazał jej, myślami tym razem, wiedząc, że to może poskutkować, do tej pory skutkowało z innymi. Stała odwrócona do niego tyłem, rozpakowywała jakąś siatkę. Nie odwróciła się, kiedy wszedł, nie zarcagowała, kiedy ją wyprosił. Jakby go tu nie było. Wyjdź, bo cię wyrzucę, zagroził ostro, ty wstrętna, śmierdząca baho!... Nie przebiegał w myślach, wściekły, że ktoś tak bezpardonowo wdaruł się do jego życia.

– Zrobiłam zakupy, przygotowuję śniadanie – powiedziała jak gdyby nigdy nic. Jakby jej przed chwilą nie obraził, albo jakby tego nie słyszała.

Jakby tego nie słyszała?... Jego myśli? – zastanowił się. – Przecież wszyscy słyszeli.

Śmierdzisz, wiesz? Nienawidzę twojego zapachu – ciągnął z premedytacją, chcąc ją sprowokować do jakiejś reakcji. – Więc zmiataj stąd, bo sam cię wyrzucę...

Kobieta kręciła się po kuchni. W ogóle nie patrzyła na niego, zupełnie nie zainteresowana jego osobą. Ani tym, co do niej mówił. Ani nawet tym, co o niej myślał.

Nie słyszy, zaświtało mu w głowie. Nie słyszy, to pewnie. Ale postanowił jeszcze raz spróbować: Zapłacę ci, ile zechcesz, tylko wynieś się stąd, ty pierdolona ruska kurwo, pomyślał z mściwą satysfakcją i zbliżył się do niej, żeby mieć pewność, że usłyszy. Lub nie.

Kroiła chleb i nawet nie drgnęła. Całkowicie pochłonięta tą czynnością. Potem odwróciła się, sięgając po coś do lodówki i chyba wtedy dopiero zobaczyła, że on stoi tak blisko niej, bo cofnęła się odruchowo. Jakby trochę przestraszyła. Zobaczył to na jej twarzy, ten wyraz popłochu w oczach, zacisniętych ust, napiętych wokół nich mięśni. Wyszedł natychmiast z kuchni.

Niepokój powrócił. Zgonił to na Larysę, na jej nieoczekiwane pojawienie się, które zachwiało jego równowagę i zmusiło myśli do zajęcia się nią. I przy okazji innymi ludźmi, o których nie chciał pamiętać. Na szczęście, na całe szczęście, wraz z niepokojem nie wróciły już tamte twarze, złe twarze, które przychodziły do niego, gdy nieopatrznie zamknął oczy. Tamto na razie minęło.

Ale coś się zmieniło, doszedł do wniosku, zniemiło na lepsze. Ona mnie nie słyszy, uznał bez cienia wątpliwości. Nie słyszała jego głosu (wciąż go nie było) ani myśli. Była całkowicie na niego głucha.

Może dlatego poszedł za nią następnym razem, gdy się pokazała. Znowu był zgrzyt klucza w zamku, trzaśnięcie drzwi. Obojętne, gdzieś w próżnię powiedziane: dzień dobry i szybki przemarsz do kuchni. Po pierwszym odruchu zaskoczenia (ale już nie paniki jak za pierwszym razem) wstał z kanapy i poszedł za nią. Stał w drzwiach kuchni i patrzył. Przyglądał się jej.

Poruszała się szybkimi, sprawnymi ruchami, żadnych zbędnych gestów. Ani jednej sekundy wahania, odpoczynku. Biał, siatka, nóż, chleb, lodówka, ser, masło. Ciach, ciach, gotowe. Teraz zlewozmywak, wszystkie naczynia, z całej kuchni. Ładują w jego komorze, szum wody, delikatny zapach Ludwika. Brzęk talerzy i szklanek, ale przyjemny brzęk, całkiem przyjemny. Na koncie podłoga. Nachyla się ze zmiotką, zbiera wszystkie paprochy, a za chwilę przykuca ze ścierką i raz za razem, systematycznie, okrągłymi ruchami przesuwając ją po podłodze zostawiając mokre ślady.

Ubrana była w czarne getry i spraną (w jakimś brudnoszarym kolorze) bluzkę. Gdy się nachyliła zauważył, że ma zgrabne, wygimnastykowane ciało. Ładnie wymodelowane. Wąską talię i wyraźne zarysowane piersi. Okrągłą pupę, odrobinę nawet wypiętą, ale wolał takie niż te całkiem płaskie.

Gdy na nią patrzył, przestraszył się w pewnej chwili, że być może ona słyszy te przemyślenia na temat jej ciała, ale szybko się uspokoił, bo myła podłogę i sprawiała wrażenie, jakby nic innego jej nie interesowało.

Potem przeszedł za nią do pokoju. Ciekaw był, co tam będzie robić. Poprzednim razem odkurzyła dywan, starła kurze, pozbierała rozrzucone rzeczy, i nie od tamtej pory się nic zmieniło, idealny porządek.

Ale ona zupełnie nie zwróciła na to uwagi. Weszła do pokoju ze z góry ułożonym planem działania, nie traciła czasu na rozglądanie się i ustalanie stanu faktycznego. Stanowczym ruchem podniosła z podłogi doniczkę z kwiatami, zaniosła je do wanny, następnie złapała jakiś spray i szmatę i zaczęła wycierać meble, potem rozsunęła fotel i stolik, żeby mieć swobodny dostęp do dywanu i wzięła się za odkurzanie. Na koniec przeleciała

szmatą po obrazach, aż dwa z nich przesunęły się nieznacznie na ścianie. Taki szybki, mechaniczny gest kończący ceremonię.

Poszła dalej. Łazienka. Tutaj stanął blisko niej, zachęcony jej obojętnością, tym, że zupełnie go nie zauważała. Chciał przyjrzeć się jej twarzy, czy przypadkiem nie pojawiła się kiedyś na jego ścianie, albo w tym gorszym, sennym wyobrażeniu.

Nie miała ładnej twarzy, stwierdził z przykrością. Bez żadnego wyraźnego elementu brzydoty, którego tak usilnie poszukiwał, ale po prostu nietadna w całości, jako twarz. Nawet nie potrafił nic o niej powiedzieć, była taka... nieszczególna, wyblakłe oczy, nos jak nos, zwykłe usta – też chyba blade, jasna cera. Cienkie blond włosy. Grzywka podpięta wsuwką na boku. To wszystko, co sobie pomyślał, niewiele.

Chodził za nią krok w krok. Od łazienki do pokoju. Z powrotem. Ciekawilo go, kiedy wreszcie się zdemaskuje i okaże zainteresowanie jego osobą. Ale nic takiego się nie stało. Do końca swojej wizyty mijala go obojętnie i z kamienną twarzą znosiła jego coraz bliższą obecność. Nachalność spojrzeń, niewybredność myśli.

Kiedy wyszła, raz jeszcze obszedł całe mieszkanie. Chciał zobaczyć, jak wygląda już bez niej i czy zostawiła po sobie ten zapach, czy potrafi go wyczuć teraz, kiedy sam był w nim od początku. Nie potrafił i chyba go to ucieszyło. Zauważył, że jedyny ślad jej niedawnej obecności to, poza porządkiem, zostawiony w kuchni na stole talerz z kanapkami i jakaś salotka. Butelka czerwonego napoju i jedna podłużna pastylka w szarawym kolorze. Wziął ją do ręki, przyglądał się jej chwilę, potem zamknął w dłoni i stwierdził, że jest gładka, przyjemna w dotyku. Dba o mnie, pomyślał. I nawet go to nie zdenerwowało, ani nie zdziwiło. Sięgnął po kanapkę, ugryzł kilka razy, odkręcił butelkę i pociągnął łyk napoju. Wsunął do ust pastylkę i długo popijał.

Nie czekał na nią. Po prostu wiedział, miał takie wewnętrzne przekonanie, że się znowu pojawi. Otworzy drzwi, przemknie bezszelestnie do kuchni i rozpocznie rytuał sprzątnięcia.

To było chyba następnego dnia (chyba, bo pojęcie nocy i dnia stało się dla niego zupełną abstrakcją), a może za dwa dni? W każdym razie wcześniej niż mógł się spodziewać. Poderwał się z kanapy, gdy tylko usłyszał charakterystyczny zgrzyt zamka. Stał na progu przedpokoju. Dzień dobry – grzecznie odpowiedział na jej niepewne powitanie (wyglądała na speszoną, nie spodziewała się go zobaczyć tak od progu?). Postanowił zwracać się do niej uprzejmie, mimo iż wiedział, że ona tego nie usłyszy. To nie, nie szkodzi, może chociaż widzieć to po mnie, po mojej minie, że staram się być miły. Całkiem zgrabny masz tylek w tych obcisłych spodniach – pomyślał, a może powiedział (tak naprawdę na jedno wychodziło) idąc za nią do kuchni. Nawet nie drgnęła, żadnego gestu w jego stronę. Weszła do kuchni i położyła na stole siatkę, kolorową reklamówkę, z której wypadły dwa pomidory. Podniósł je i podał jej do ręki.

– Dziękuję – powiedziała prędko, nie patrząc na niego i zaczęła wypakowywać siatkę. Śledził jej ruchy. Szybkie, zdecydowane. Może trochę nerwowe. – Zrobię salatkę ze świeżych warzyw – powiedziała nie wiadomo po co, bo w ogóle o tym nie myślał – o świeżych warzywach, ani o salacie. Myślał o jej rękach, że są ładne, że nie widzieć po nich, że na nią pracują. Ciężko pracują. – Ciepło dzisiaj, całkiem przyjemnie – znowu odezwiała się nie na temat. Bo teraz zastanawiał się, jakie mogą być w dotyku, te jej ręce, miękkie i gładkie czy jednak trochę szorstkie, chropowate. Zmęczone, bądź co bądź.

Potem nagle obróciła się, chwyciła swoją torbę i poszła do łazienki. Chciał wejść tam za nią, ale zatrzasnęła drzwi. W porządku, masz czas dla siebie, pomyślał, byle szybko. Wyszła po kilku minutach, przebrana w swoje getry i spraną bluzkę. Gotowa do pracy. Może porozmawiamy chwilę – zagadnął ją chytrze. Przemknęła koło niego bez słowa. Aha, więc tak – zastanowił się. Więc jednak nie słyszysz...

Ciągle się upewniał.

I już normalnie. Odzie ona, tam i on. Kuchnia, łazienka, pokoje. I nie nudził się, o nie. Nawet sprawiało mu to przyjemność. Takie szpiegowanie, dreptanie po jej śladach. Wydeptywanie jej ścieżek.

Co jakiś czas zagadywał do niej. Podpytywał. O to, o tamto. Całkiem banalne pytania. Nie spodziewał się odpowiedzi, nawet nie chciał usłyszeć. Taka to była zabawa. Bezpieczna, jak mu się wydawało.

W końcu poczuł się zmęczony i dał temu spokój. Zamknął się w pokoju. Znowu sam na sam ze sobą. Wyszedł, kiedy usłyszał odgłos zatrzaskiwanych drzwi. Rozejrzał się po mieszkaniu, zajrzał do kuchni. Wszystko czekało na niego tak, jak poprzednim razem.

Magdalena Bożko

Fraza: „nie słyszysz” – która stała się ulubionym refraktem Ryszarda Stryjca w Krakowie.



Ryszard Stryjec: bez tytułu, 1994, rysunek (25 x 20,5 cm)

TADEUSZ SZKOŁUT

Tajemnice „Lapidariów”

Wystąpienie z okazji wręczenia Ryszardowi Kapuścińskiemu medalu Wschodniej Fundacji Kultury AKCENT

Podstawowy kłopot, który się wiąże z moim wystąpieniem polega na tym, że mam za zadanie prezentować książkę autora, którego prezentować nie trzeba, gdyż jest powszechnie znany, czytany i ceniony. Najlepiej byłoby po prostu oddać mu głos. Może jednak dla samego autora będzie rzeczą interesującą usłyszeć, jak jest rozumiany, czego czytelnicy głównie szukają w jego pisarstwie, za co szczególnie go lubią i szanują.

Powiem więc krótko o tych pożytkach intelektualnych, które dzisiejszy człowiek, pragnący zorientować się w labiryncie współczesnego świata, może wynieść z lektury książek Ryszarda Kapuścińskiego. Niemodny dziś klasyk – Karol Marks – napisał niegdyś, że z powieści Balzaka można więcej dowiedzieć się o społeczeństwie francuskim doby Restauracji niż z solennych studiów wielu ekonomistów. Otóż uważam, że książki Ryszarda Kapuścińskiego dostarczają pełniejszej wiedzy o dramatycznych dylematach naszego czasu niż uczone rozważania niektórych socjologów, politologów, kulturologów. Badacze ci z dużą niekiedy siłą perswazyi ogłaszają swe rewelacje o „koncu historii”, o upadku wszelkich utopii i ideologii (zwanych dzisiaj „metanarracjami”), o „zderzeniu cywilizacji”; mają odwagę snuć dalekosiężne wizje przyszłych losów świata. Ich opinie są skwapliwie nagłaśniane przez żądnych sensacji dziennikarzy i przemielone w młynie mass mediów, wracają do czytelników, widzów, słuchaczy w postaci obiegowych hasel i sloganów. Kiedy jednak bliżej przyjrzymy się tym diagnozom (będącym zwykle ocenami skrytymi pod maską sądów opisowych i wyjaśniających), to okazuje się, że:

- nie ma żadnego „konca historii”; co więcej, historia szykuje dla nas – jak tego dowiodły wydarzenia z 11 września 2001 – tragiczne niespodzianki;
- ideologie (te stare, i te całkiem nowe) mają się zupełnie dobrze, co – nawiasem mówiąc – nie jest wcale dobrą wiadomością;
- konflikty między cywilizacjami zawsze były i są też dzisiaj, ale raczej nie zanoszą się na wojnę cywilizacji, gdyż wojny prowadzą między sobą państwa a nie cywilizacje.

Na tym tle rozmyślenia Kapuścińskiego o obecnej rzeczywistości społeczno-kulturowej rysują się jako nader wyważone, trzeźwe, wolne od clementu sensacyjności. Nie znaczy to, że autor *Szachinszacha* nie jest zaniepokojony biegiem wielu spraw w naszym świecie, że nie dostrzega nierozwiązywalnych niekiedy sprzeczności, w jakie obfituje dzisiejsze życie. Rzecz w tym, że udaje mu się uniknąć tonu katastroficznego, nie głosi rychłego nadejścia apokalipsy. Oczywiście, Kapuściński jako człowiek niezwykle czytany zna książki tych modnych autorów (Fukuyamy, Huntingtona, Barbera, Baudrillarda i innych). Do każdego tomu *Lapidariów* dołączony jest wykaz literatury, z której autor korzystał przy jego pisaniu. Pojawiają się tam ciągle nowe pozycje, ale też niektóre powtarzają się, co świadczy, że pisarz powraca do swych ulubionych lektur (jedną z nich jest np. *Kłopot z istnieniem* H. Elzenberga). Swój refleksje związane z lekturą tych dzieł Kapuściński konfrontuje z własnymi spostrzeżeniami i przemyśleniami z niezliczonych podróży po globie, zawsze bardziej ufając swemu doświadczeniu niż najbardziej nawet sugestywnym prorocstwom. Pod tym względem pozostaje wierny swemu reporterskiemu powołaniu.

Lecz Kapuściński jest jednocześnie kimś więcej niż reporterem, czy też ścisłej: jest reporterem wyjątkowym. Jest reporterem i zarazem znakomitym pisarzem, mistrzem słowa polskiego. I jako pisarz tworzący swoistą „literaturę faktu” ma świadomość tego, że w społeczeństwie, historii i kulturze coś takiego, jak tzw. obiektywny fakt nie istnieje. To, co nazywamy „opisem faktu”, jest zwykle przekształconą już przez reportera (a często przez cały zespół ludzi) opowieścią („narracją”), a więc faktem już częściowo zinterpretowanym, przepuszczonym przez filtr światopoglądu wraz z organicznie wpisanymi w ów światopogląd wartościami. Ten pierwiastek ludzki, czy też „współczynniki humanistyczny”, jest stale obecny na kartach utworów Kapuścińskiego. I Kapuściński jako reporter-pisarz, dążący przede wszystkim do uchwycenia obiektywnej prawdy o świecie, nie stara się wcale rezygnować z tej osobistej, humanistycznej perspektywy. Dzięki temu ta historia globalna, której tendencje stara się w miarę wiernie opisać, zyskuje ludzki wymiar: w małych jednostkowych historiach odbija się wielka światowa historia. W jego optyce bohaterem historii jest zawsze konkretny człowiek – cierpiący, skrzywdzony, poniżony. To on ponosi koszty przemian społecznych, ekonomicznych, politycznych: to z nim utożsamia się pisarz-reporter; to jego oczyma stara się patrzeć na dramat zbiorowych dziejów. W przypadku Kapuścińskiego humanistyczne zaangażowanie pisarza nie tylko nie koliduje z rzetelnością poznawczą, której oczekujemy od reportera, lecz – co więcej – nadaje owej reporterskiej prawdzie głębszy, ludzki sens.

Pora wyjaśnić tytuł mojego wystąpienia: „Tajemnice *Lapidariów*”. Otóż chciałbym przyjrzeć się bliżej już nie tyle treści *Lapidariów* (ich zawartości intelektualnej), ile niektórym elementom ich warsztatu: temn. „jak są one zrobione”. Zresztą w autentycznej literaturze (a taką niewątpliwie jest pisarstwo Kapuścińskiego) nie można oddzielić tego, co zostało napisane od tego, jak zostało napisane.

Zapytujemy zatem: cóż to za szczególny gatunek pisarski, nazwany przez Kapuścińskiego „lapidariami”? Dlaczego to pisząc o współczesnym świecie, Kapuściński posługuje się formą maksymalnie otwartą: dlaczego stosuje poetykę fragmentu, kolażu, cytatu? Czy nie jest to przypadkiem uleganie temu, co niektórzy lekceważąco nazywają „modą postmodernistyczną”? A może jest to próba ułatwienia sobie zadania poprzez rzucenie na czytelnika trudu całościowego obrazu świata; próba uniknięcia intelektualnej odpowiedzialności za jednoznacznie sformułowane sądy o obecnej rzeczywistości? Uważam, że ani jedno, ani drugie.

Pisarz świadomie wybiera mozaikową kompozycję, gdyż jest ona najbardziej adekwatna dla dzisiejszego złożonego i coraz bardziej komplikującego się świata, pędzącego na oślep w niewiadomym kierunku. Świat naszego życia jest zbyt nieprzejrysty, zbyt nasycony sprzecznościami, żeby można go było – jak się wyraził Kapuściński – „ująć w jedną formułę dramatyczną”. Dlatego kierując się zasadą swoistej „homologii strukturalnej”, pisarz za najważniejszą metodę opisu zdekomponowanego świata uznaje odwołanie się do formy mozaiki zbudowanej z nieprzystających do siebie elementów. I w tym właśnie – paradoksalnie – ujawnia się jego uczciwość intelektualna oraz szacunek dla czytelnika. Pisarz unikając jednoznacznych diagnoz i ocen bynajmniej nie jednoznacznego świata, imituje tym samym czytelnika z powagą, tzn. stawia mu wymagania intelektualne, skłania do myślenia wraz z autorem, a niekiedy nawet przeciwko niemu.

Aby nie zabrzmiało to zbyt abstrakcyjnie, posłużę się przykładem. Jednym z najważniejszych wątków ostatniego tomu *Lapidariów* jest kwestia globalizacji. Jak wiadomo, jest to fenomen nader niejednorodny, trudny do uchwycenia nawet dla wybitnych ekonomistów, politologów czy socjologów. Kłopoty związane z wyraźnym określeniem globalizacji wynikają przede wszystkim z tego, że w odniesieniu do dzisiejszego świata równie prawdziwy wydaje się sąd o tym, że dokonuje się w nim po-



Rydzik Kapuściński słucha wystąpienia prof. Tadeusza Szkolula w Trybunale Koronnym w Lublinie, 20 lutego 2003 r.
Fot. Iwona Burdzanowska.

stępujący wzrost złożoności w różnych dziedzinach, jak i konstatację, że zachodzi w nim coraz większa unifikacja.

Kapuściński odnotowuje i jedną, i drugą tendencję. W jednym miejscu reporter zauważa, że świat się jednoczy (komunikacja elektroniczna przekracza wszelkie bariery, rynek towarów nie zna granic, miliony ludzi przemieszczają się bez ograniczeń po świecie, kurczą się czas i przestrzeń itp.). W innych z kolei fragmentach *Lapidariów* Kapuściński stwierdza, że świat w widoczny sposób się dzieli, fragmentaryzuje, na miejscu starych wznoszone są nowe granice. Na przykład u dawnych kolonialnych narodów rodzi się poczucie dumy kulturowej, ale też pojawiają się dążenia nacjonalistyczne i plemienne (nowy trybalizm). Narastają różnice między bogactwem i biedą i to nie tylko w skali globalnej (Północ – Południe), ale i w obrębie poszczególnych społeczeństw (także tych ogólnie rzecz biorąc zamożnych).

Jak to więc jest? – pyta zdezorientowany czytelnik. Jednoczy się świat, czy też dzieli? Dopiero wnikliwa lektura *Lapidariów* odsłania fakt, że oba te procesy nie są bynajmniej oderwane od siebie; wręcz przeciwnie: stanowią one – jak niegdyś mówiono – „dialektyczną jedność”. Innymi słowy, okazuje się, że globalizacja ma charakter paradoksalny w tym sensie, że współtworząc ją przeciwstawne zjawiska wyrastają w istocie z tego samego podłoża. Z jednej strony burzliwy rozwój masowych środków komunikacji powoduje ujednolicenie kultury (zaślew kultury masowej w wersji amerykańskiej), z drugiej zaś potęguje skłonność całych społeczności do zamykania się we własnych „niszach kulturowych”. A zatem odpowiedzią na globalizację w sferze handlu, przemysłu, finansów, turystyki, wymiany informacji itp. staje się ucieczka w lokalność. Lęk przed utratą własnej tożsamości kulturalnej przeradza się w próbę odizolowania się od obcych wpływów i zamknięcia się w opłotkach „miejscowej” kultury (trafnie wyraża to termin „glokalizacja”, będący zbitką słów „globalizacja” i „lokalność”).

Mógł Kapuściński wyłożyć nam tę myśl *expressis verbis*, mógł ukazać wzajemny związek tych zjawisk w jednej przejrzystej formule. Tak właśnie czyni w swych tekstach dyskursywnych – wykładach, wywiadach, artykułach prasowych. W *Lapidariach* obrał drogę ambitniejszą: pozostawił czytelnikowi trud zestawienia tych faktów i wyciągnięcia z

tego własnych wniosków. Pobudził w ten sposób odbiorcę do współtwórczości; tak właśnie jak to czyni autentyczna literatura, która stawia pytania światopoglądowo-aksjologiczne, a znalezienie odpowiedzi pozostawia czytelnikowi. W rezultacie myśli, którą czytelnik sformułował samodzielnie, tym silniej zapada w jego umysł i stymuluje dalszą aktywność intelektualną.

Czytelnik uświadamia sobie, że wprawdzie świat w erze globalizacji niewątpliwie się unifikuje, ale nie uniwersalizuje: kultury pozacuropejskie chętnie przejmują zachodnią naukę i technikę, zachodnie wzory konsumpcji, ale nie kwapią się do przyswojenia zachodnich wartości i ideałów, które do tej pory w swej naiwności uważały za powszechne. Jak odnieść się do tego faktu? Czy utwierdzać się w swym anachronicznym europocentryzmie, czy też w imię pozytywnej tolerancji głosić ideę równowartościowości różnorodnych kultur, wyrzekając się tym samym jakiegokolwiek prób ich oceny? Czy propagować postawy izolacjonizmu i obrony przed wszelkimi obcymi wpływami jako jedyne środki na zachowanie tożsamości kulturowej, czy też podjąć wyzwanie twórczej konfrontacji z odmiennymi kulturami w nadziei na wzbogacenie naszej własnej? Sądzę, że lektura *Lapidariów* nie pozostawia wątpliwości, jakie jest stanowisko autora w tej sprawie. Kapuściński jest „patriotą kultury europejskiej”, ma odwagę oceniać inne kultury z pozycji naczelnych wartości naszej kultury, z których rzeczywiście możemy być dumni – tolerancji, krytycyzmu, racjonalizmu, otwartości na innosć itp. (por. ocena kultury islamskiej ze względu na jej „ekskluzywistyczny” stosunek do prawdy). Jednocześnie jednak pisarz nieustannie podkreśla to, jak wiele cennych rzeczy możemy przejąć od innych kultur, jak wielkie szanse rozwoju kryją się w możliwości wykorzystania ich oryginalnych osiągnięć. Autentyczna tożsamość kulturalna może być zatem budowana tylko w nacechowanym życzliwością dialogu z innym. W tym kontekście za szczególnie cenne należy uznać wprowadzone przez autora rozróżnienie między słusznym podtrzymywaniem własnej lokalnej kultury (regionalizm) a niepożądanym zamykaniem się na wszelkie wpływy zewnętrzne (provincjonalizm).

Kapuściński toczy na kartach *Lapidariów* nieustanny dialog z czytelnikiem na temat doniosłych kontrowersji aksjologicznych naszego czasu, zmusza go do zajęcia postawy krytycyzmu i samokrytycyzmu, do postawienia trudnych pytań sobie samemu i współczesnemu światu. Czytelnik ma też okazję śledzić swoisty „dialog wewnętrzny”, toczący się od momentu, w którym ukazywały się kolejne tomy *Lapidariów* (1990, 1995, 1997, 2000, 2002). Chodzi o dialog autora obecnego z autorem z tomów wcześniejszych. Taką rolę pełni – jak sądzę – „autocytaty”, czyli powtarzanie pewnych własnych, wcześniej sformulowanych myśli, które autor w ten sposób na nowo potwierdza. Jednocześnie mamy też do czynienia z dezawuowaniem niektórych dawniejszych sądów, które nie zostały zwerlikowane przez czas.

Pora na krótkie podsumowanie. Mogłbym wymienić trzech wybitnych Polaków znanych i uznanych w całym świecie z powodu przenikliwości i głębi swych refleksji na temat kondycji dzisiejszej cywilizacji. Są to: Ryszard Kapuściński, Leszek Kołakowski (jako autor esejów zebranych m.in. w tomach *Cywilizacja na ławie oskarżonych* i *Moje słuszne poglądy na wszystko*) i Zygmunt Bauman. Każdy z nich działa w innej dziedzinie humanistyki: Kapuściński jest reporterem-pisarzem, Kołakowski – filozofem i historykiem idei, Bauman – filozofującym socjologiem kultury ponowoczesnej. Ich diagnozy znakomicie się jednak uzupełniają (por. np. nawiązanie przez Baumana w jego ostatniej książce *Globalizacja. I co z tego dla ludzi wynika* do spostrzeżeń Kapuścińskiego na temat niektórych etycznych aspektów funkcjonowania mass mediów, a ściślej – chodzi o to, jak media zachodnie manipulują obrazami biedy w świecie, jakich wybiegów używają, żeby uwolnić swoich odbiorców od odpo-

wiedzialności za nieszczęścia spotykające innych ludzi na naszej planecie). Wszyscy trzej są intelektualistami, tj. wysokiej klasy profesjonalistami, ludźmi posiadającymi imponującą wiedzę w swej dziedzinie. Ale też są czymś więcej: są myślicielami troszczącymi się o sprawy publiczne, o dobro wspólne; są tymi, którzy starają się chronić fundamentalne wartości humanistyczne – solidarność z cierpiącymi, tolerancję dla odmienności, pokojowe współistnienie. Nie przestając być obrońcami tego, co najlepsze w kulturze europejskiej, krzewią szacunek dla innych kultur, upowszechniają postawy otwartości, dialogu, współpracy. Są to wartości niezbędne dla przetrwania świata.

Bauman w książce traktującej o kulturowym posłannictwie intelektualistów nowoczesnych o rodowodzie oświeceniowym posłużył się metaforami „prawodawców” i „tłumaczy”. Jego zdaniem, mijał już czas intelektualistów-legislatorów, którzy uważając się za wyłącznych posiadaczy prawdy, czuli się z tej racji uprawnieni do określania uniwersalnego modelu dobrego życia. Nie znaczy to jednak, że obecnie intelektualiści stali się zbędni. Są oni nadal potrzebni, lecz w innej roli – „tłumaczy”, tj. tych, którzy pośredniczą w dialogu między różnymi kulturami, przekładają jedną kulturę na język innej kultury, działając w ten sposób na rzecz zbliżenia między ludźmi. Otóż sądzę, że Ryszard Kapuściński jest wzorcowym wręcz przedstawicielem owego nowego typu intelektualisty. Relacjonując swoje obserwacje i przemyślenia z niezliczonych podróży po świecie, ułatwia nam zrozumienie innego, a wszak zrozumienie jest niezbędnym warunkiem porozumienia między odmiennymi cywilizacjami opartymi na różnych systemach wartości, kultywującymi różne sposoby życia. Owo porozumienie jest tym bardziej konieczne, że – jak wielokrotnie podkreśla Kapuściński – na różnych kontynentach budzi się dziś poczucie dumy kulturowej i Europa nie jest już traktowana jako pępek świata, a nasze wartości uważane są za partykularne. W uniwersalność wartości własnej kultury powątpiewają zresztą obecnie sami Europejczycy. W tej sytuacji zachodzi niebezpieczeństwo, że słuszny postulat wielokulturowości, tj. podtrzymywania i umacniania różnorodności kulturowej jako bogactwa całej ludzkości, może przekształcić się w izolacjonizm – w swoisty „apartheid kulturowy”.

Metafora „intelektualisty-tłumacza” w odniesieniu do Kapuścińskiego wymaga – moim zdaniem – rozszerzenia. Kapuściński nie tylko przybliża nam inne kultury, ale też jego książki pozwalają nam lepiej poznać naszą własną kulturę, zrozumieć to, co dzisiaj dzieje się z nami samymi. Jak bowiem trafnie mówi M. Bachtin, nie ma lepszego sposobu poznania siebie samego, jak zobaczyć siebie w oczach innego, a w innym dostrzec siebie. Kapuściński uświadamia nam, ludziom często zagubionym w chaosie dzisiejszego świata, jakie są najważniejsze sprzeczności rozdzierające naszą cywilizację. Pogłębia naszą samoświadomość kulturową. Robi to przy tym w sposób nieapodyktyczny, nieustrasany, nie narzucając się ze swoją „lepszą wiedzą”. Kiedy zastanawiałem się, jaką rolę pełnią zdarzające się w *Lapidariach* dyskretnie ale bardzo osobiste uwagi (np. dotyczące obaw o własne zdrowie), doszedłem do wniosku, że autor chce nam – czytelnikom – dać do zrozumienia, że jest jednym z nas, zwykłych ludzi, że nicobce są mu nasze codzienne lęki i troski, że czasami też czuje się przygnębiony i zagubiony, przytłoczony wszechobecny złem. To bardzo ludzki, bardzo sympatyczny rys pisarstwa Kapuścińskiego – być blisko drugiego człowieka, starać się go zrozumieć, nie pouczając go z wyżyn własnej mądrości. I za to my – wierni czytelnicy – serdecznie mu dziękujemy!

Tadeusz Szukla

Moim lasem są ludzie

O języku Ryszarda Kapuścińskiego

W pisarstwie Ryszarda Kapuścińskiego dostrzec można dwa kierunki refleksji o języku. Pierwszy to demaskowanie – obecnych w ludzkim myśleniu i mowie – tendencji do tworzenia stereotypów. Drugi to odkrywanie bogactwa tkwiącego w języku, postrzeganym jako zbiór wyobrażeń o świecie i skarbiec wartości kulturowych. Oba tym zagadnieniom chciałabym poświęcić nieco uwagi.

Krytyczna i demaskatorska postawa Ryszarda Kapuścińskiego wobec języka jest konsekwencją przekonania, że mowa to dla myśli medium nieobojętne: *będąc wyrażeniem, jest jednocześnie ograniczeniem, określa sposób przedstawiania rzeczywistości, a także jej interpretowania* (*Lapidarium V*). Ograniczeniem szczególnie dotkliwym dla reportera jest obecność stereotypów, gdyż z racji zawodu ma on zarówno szansę, jak i swego rodzaju obowiązki ich zweryfikowania. Stereotypizacja dotyczy przede wszystkim grup etnicznych i rasowych, o czym Ryszard Kapuściński pisze w *Lapidariach*: *W naszym myśleniu o kimś obcym, o innym, kategoria etniczna i nawet religijna mają pierwszeństwo przed kategorią socjologiczną. Powiemy przede wszystkim – Czarny, Arab, Włoch, a dopiero potem – chłop, inżynier, urzędnik...* Warto zwrócić uwagę na ów znak równości między mówieniem i myśleniem. Tkwi w tym niebezpieczeństwo. Kategoryzacje językowe sugerować mogą, że podział ludzi według kryterium rasy czy religii i nieuchronnie nakładające się nań wartościowanie są jedynie właściwe i naturalne.

Wyrazistym przykładem, że inożna takim sugestiom nie ulegać, jest sposób nazywania mieszkańców Afryki w *Hebanie*. Autor już na początku książki daje wyraz refleksji metajęzykowej: *Tylko w wielkim uproszczeniu, dla wygody, mówimy Afryka. W rzeczywistości, poza nazwą geograficzną, Afryka nie istnieje.* Z wypowiedzi tej wynika, że *Afryka* i *Afrykanie* to w istocie nazwy kategorii wydzielonych arbitralnie, odsyłające do zjawisk niejednorodnych, czasem wcale do siebie niepodobnych. Przeczytawszy taką uwagę wstępną, odbiorca reportażu zaczyna zastanawiać się, jak można opowiedzieć o tamtym świecie i tamtych ludziach w sposób nieupiększony. Ryszard Kapuściński czyni to na kilka sposobów. Jednym z nich jest mówienie o konkretnych rzeczach i wydarzeniach zamiast o Afryce jako takiej i o poszczególnych ludziach raczej niż o Afrykanach w ogóle. Przynajmniej „na powierzchni”, gdyż dola całej zbiorowości nierzadko ogniskuje się w losie jednostki. Godny odnotowania jest fakt, że reporter zasadniczo nie posługuje się nazwami, które wprowadzają wyraźne rozróżnienie na ludzi rasy czarnej i białej, choć do takiej klasyfikacji przyzwyczail nas język. Nie stosuje wyrazu *Murzyn*, a wyrazu *Czarny* używa wyłącznie w kontekście rasizmu, czyli wówczas, kiedy nie można uniknąć nazwy rasowej. W kontekstach „neutralnych” zastępuje je słowami takimi jak np. *miejscowi, tutajsi*. W tych zabiegach o charakterze językowym uwiadamia się szacunek pisarza dla ludzi odmiennych kultur oraz przekonanie o wartościach tkwiących w tym, że jesteśmy różni. Aby wyrazić to przekonanie w *Lapidariach*, słowa *Imy* i *Drugi*, użyte w znaczeniu „drugi człowiek” pisze autor wielką literą.

Lapidaria zawierają liczne fragmenty, w których rozważania o języku stają się punktem wyjścia refleksji o ludziach. Opowieści o słowach przybierają kształt minireportaży, bo też i fakty językowe bywają równie

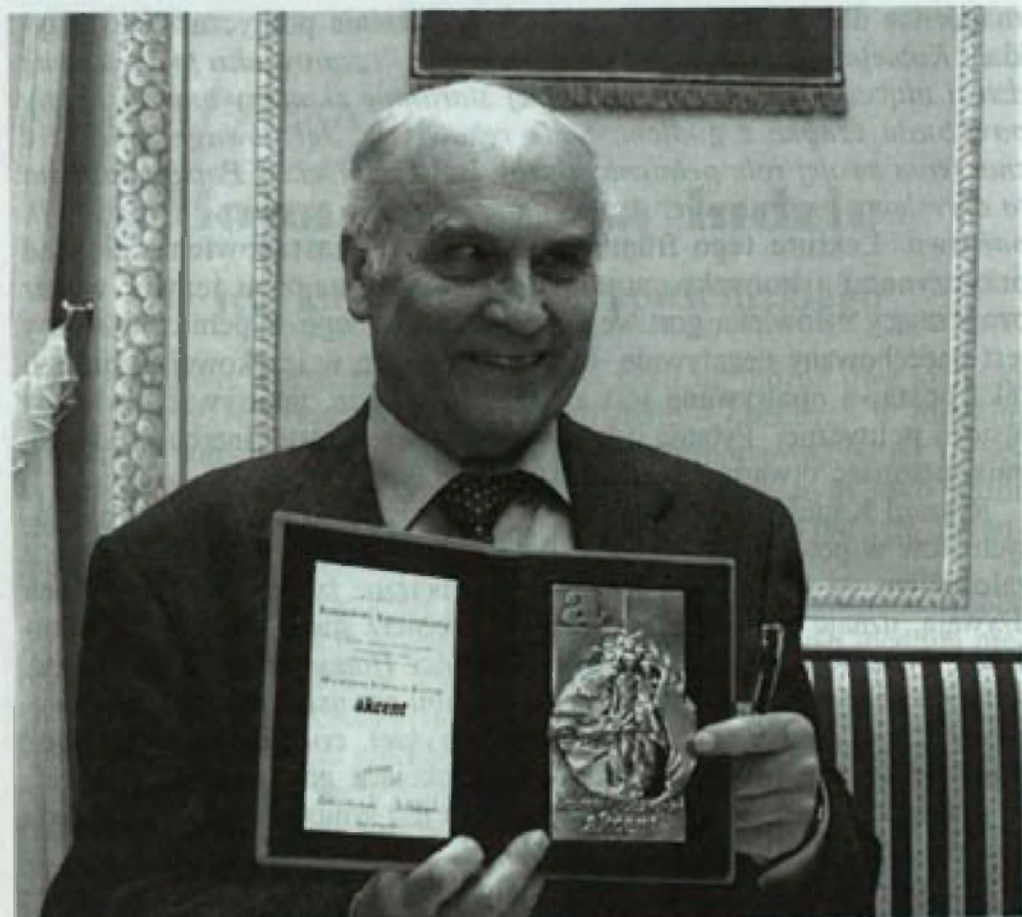
znamiennie dla świata społecznego jak wydarzenia polityczne. Oto przykład: *Kobieta na Harway Avenue (Brooklyn). Przeprowadza przez jezdnię dzieci idące do pobliskiej szkoły. Jej starannie skrojony mundur, biały pas, biała czapka z godłem, białe rękawiczki. Jej powaga, poczucie znaczenia swojej roli, pełnienia służby. [...] Służbiści. W Polsce służbiśta to określenie pejoratywne. A tu – diana, że służy się sprawie, instytucji, państwu.* Lektura tego fragmentu skłania do zastanowienia się nad przyczynami i konsekwencjami faktu, że w naszym języku wyraz oznaczający człowieka gorliwego i zaangażowanego w pełnienie służby jest nacechowany negatywnie. Przyczyn tego, że w językowej aksjologii taka postawa opatrywana jest znakiem ujemnym, upatrywać można w historii politycznej. Pytanie o konsekwencje tej swoistej inercji językowej musi pozostać otwarte i takim zostawia je autor.

Ryszard Kapuściński zwraca też baczną uwagę na nieobecność niektórych słów w potocznej komunikacji i natrętną obecność innych. Zgodnie z założeniem, że za słowami kryją się wewnętrzne światy tych, którzy ich używają, uznaje on mowę codzienną za prohicarz stanu kultury społeczeństwa i wyznawanej przez nie hierarchii wartości: *Honor, godność, uczciwość, sumienie, prawdomówność – kiedy to ostatni raz usłyszałem te słowa wypowiedziane w moim kraju w jakiejś zwykłej, codziennej rozmowie?* (*Lapidarium V*). To spostrzeżenie jest niepokojące, gdyż każe podejrzewać, że usunięcie w cich słów ważnych i wielkich jest symptomem marginalizacji postaw, do których owe słowa odsyłają.

Wobec wyrazów będących nośnikami wartości autor potrafi też zachować krytyczny dystans i przybrać postawę obserwatora, co potwierdza następująca wypowiedź: *Na ankietę – „Czy ludzie wierzą jeszcze w nadzieję?” odpowiedziałem: Zamiast słowa – nadzieja, wolalby użyć słowa – szansa. Nadzieja jest czymś łagodnym, ciepłym, pocziwym, natomiast – szansa to określenie rzeczowe, konkretne, mierzalne. Można mieć w życiu nadzieję, ale nie mieć szansy, żeby coś osiągnąć i wtedy nadzieja ukazuje się czymś złudnym, zawodnym. Są nawet sytuacje, w których słowo nadzieja może zabrzmieć ironicznie...* (*Lapidarium IV*).

W pisarstwie Ryszarda Kapuścińskiego nawet użycie „słów małych”, na pozór niewiele znaczących, może urastać do rangi ważnego problemu epistemologicznego i aksjologicznego, jak chociażby w tych uwagach o zastosowaniu spójników (*Lapidarium V*): *Często spotykam w rozważaniach różnych autorów pytania przeciwstawne: „czy” – „czy”: „postęp czy regres”, „dobro czy zło”? a przecież w wielu wypadkach tu „czy” chciałoby się zastąpić przez „i” – „postęp i regres jednocześnie”, „dobro i zło jednocześnie” – takie „i” oddaje lepiej złożoność, wielostronność i wewnętrzną sprzeczność zjawisk.* Konsekwencje tej pozornie drobnej zmiany językowej są ważne. Autor dokonał tu bowiem konfrontacji dwu obrazów świata. W obrazie pierwszym mamy do czynienia z alternatywą wartości i antywartości – jej znakiem jest spójnik *czy*. W drugiej wizji – zdaniem autora prawdziwszej – czern i biel nakładają się na siebie, przenikają.

Ciekawe i ważne są także spostrzeżenia na temat modnych wyrazów będących częścią swoistego „dialektu nowoczesnego świata”. Jednym z nich jest *globalna wioska*. Kapuściński pisze: *trudno o bardziej fałszywą metaforę. Bo istotą wioski jest przede wszystkim emocjonalna i krewniacka bliskość, wzajemnie oddawane ludzkie ciepło, intymna, osobista znajomość, wspólnota współobecności i współprzeżywania. Nie, nie żyjemy w globalnej wiosce, ale raczej w globalnej metropolii, na globalnym dworcu czy stacji, przez które przewala się „samotny tłum” [...], tłum mijających się obojętnie, zapędzonych, znerwieowanych ludzi, którzy nie chcą się wzajemnie znać i zbliżyć* (*Lapidarium V*). Autor wykazał, że już w samym wyrażeniu *globalna wioska* tkwi fałsz i niebezpieczeństwo mistyfikacji, gdyż znaczenia poszczególnych słów wchodzących w jego skład są sprzeczne z tym, co zwykliśmy nim określać. Jest ono zaskakująco podobne do wyrazów



Ryszard Kapuściński odbiera Nagrodę Wschodniej Fundacji Kultury „Akcent”.
20 lutego 2003 r.
Fot. Muciej Kaczmowski.

stosowanych w dyskursie totalitarnej propagandy. Porównajmy je z innym wyrażeniem, które *myli i balamuci*, a mianowicie *rewolucją kulturalną*. Cytuję: *Rewolucja kulturalna powinna oznaczać postęp, rozkwit, światło w ciemnościach, a oznacza – zniszczenie, zaszczerce, triumf historii i ciemnoty. Słowem, określenie to, zamiast aprobaty, budzi odrazę i lęk. Coraz bardziej dosłownie walka o przyszłość świata, o kształt przyszłej świadomości człowieka, rozegra się w sferze języka.*

Tyle na temat zagrożeń płynących z bezkrytycznego korzystania z zasobów językowych. Drugi, nie mniej ważny nurt refleksji Ryszarda Kapuścińskiego nad ludzką mową stanowią rozważania o jej bogactwie: *w naszym myślu, wyobraźni ludzka nie przejawiały tyle inwencji, co w wy-najdynamizmu języków. Tysiące języków i gramatyk, miliony słów. Języki, które rodziły się i ginęły; które ciągle rodzą się i nadal giną. Jak się wy-daje, autor nie miał na myśli wyłącznie języków etnicznych, zwłaszcza że w *Lapidarium III*, z którego pochodzi przytoczona wypowiedź, zaraz po niej następują takie oto zdania: *Nie można tego samego dnia pisać o malarstwie, biologii molekularnej, poezji, etnometodologii, bo po prostu nie można co godzinę zmieniać języka. Mówi się – poliglota to ten, który zna kilka różnych języków. Okazuje się, że trzeba dziś być poliglota w obrębie własnego, ojczystego języka!**

Dla osoby chcącej przekazać swoje sądy i opinie, wielość kodów, które stworzył człowiek, może okazać się kłopotliwa. Jeśli jednak potraktuje się język nie jako narzędzie komunikowania, lecz jako obiekt obserwacji, okaże się wówczas, że może on być również ciekawy, egzotyczny i inspirujący jak dalekie kultury. Takie przekonanie zdaje się żywić Ryszard Kapuściński, który przygotowania do wyprawy na Polesie – w strony rodzinne – zaczyna od ułożenia zestawu słów właściwych tamtemu światu. Cytuję: *Najpierw słownik: Legi – podmokła trawa, najczęściej w dolinach rzek [...] błonia obrzeżone zarostami wkliny. Rozłożyste, zielone łęgi. Łoza – krzew z rodziny wierzbowatych. Z prętów łożą płotą kosze.*

[...] *Rzeczka ginie w kępach łozin i olch. Nadrzeczna łozina. Błota zarosłe łoziną. Osoka – na stawach, jeziorkach, w nieruchomych odnogach pływa rzęsa, zabiściek, osoka – roślina o długich, ząbkowanych liściach. Brzegi jezior porasta trzcina, tatarak, osoka, tatarskie ziele, skrzyp (Lapidarium IV). Kiedy przepisywałam ten fragment, słownik komputerowy wykazywał brak wielu wyrazów w swoich zasobach. Utwierdziło mnie to w przekonaniu, które zapewne jest także udziałem autora, że świat poleskich bagien i ludzi żyjących w ich pobliżu odchodzi w przeszłość. Wraz z nim giną słowa, wychodzą z użycia, zostają jako relikty w słownikach współczesnej polszczyzny (tych obszerniejszych niż komputerowy) i w pamięci najstarszego pokolenia, by po jakimś czasie zupełnie zniknąć z zasobów żywej mowy i przenieść się do leksykonów polszczyzny wieków minionych, gdzie zagładają nieliczni.*

Słowa dawne mają dla autora szczególnie znaczenie jako tworzywo zabiegów stylizacyjnych. Stylizacje pełnią jednak dosyć nietypową funkcję. Na przykład w *Cesarzu* relacja o wydarzeniach z lat siedemdziesiątych XX wieku została ukształtowana w polszczyźnie niewspółczesnej. Rozmówcy Ryszarda Kapuścińskiego, ludzie z najbliższego otoczenia Hajle Selasje, mówią o swoim świecie za pomocą słów wydobytych z archiwów naszej mowy. Czytamy o *pałacowych splendorach, cesarskich faworytach i potwarcach napelniających gorąco serce monarchy*, o tym, jak w godzinie kasy szła szarża na szkatułę, aż wreszcie *złośliwy czerw załagł się w zdrowym i soczystym owocu [...] cesarstwa*. W *Lapidariach* autor wyjaśnia motywy takiego zastosowania środków językowych: *Gdy pisałem Cesarza, chciałem zdefiniować władzę autorytarną. Ten rodzaj władzy ma w sobie coś anachronicznego, feudalnego. Aby wyrazić anachroniczność przedmiotu, musiałem stworzyć wrażenie czegoś pradawnego, nieskończenie przestarzałego. Z podobnym dostosowaniem tworzywa do tematu mamy do czynienia w *Imperium*, gdzie autor użył długich zdań po to, by opisać rozległość rosyjskiego krajobrazu. I zapewne to nie przypadek, że Ryszard Kapuściński wydaje ostatnio *Lapidaria* – zbiory fragmentów i całości, które w zasadzie łączy tylko jedno – wszystkie odnoszą się do rzeczywistości humanistycznej – a poza tym cechuje je ogromna różnorodność. Przypuszczalnie tylko taką formę, heterogeniczną, wielostylową, odznaczającą się zmiennością punktów widzenia i nieobecnością autora-przewodnika, uznał za wystarczająco pojemną, by oddać stopień skomplikowania naszego współczesnego świata.*

Najlepszym podsumowaniem tych rozważań mogłoby być takie oto wyznanie Ryszarda Kapuścińskiego (*Lapidaria*): *Mając do wyboru piękny i pusty las albo małą, zatłoczoną kawiarenkę – wybieram kawiarenkę. Może dlatego, że dla mnie muzyką inspirującą jest ludzka mowa, a nie szum strumyka czy drzew. Moim lasem są ludzie.* Lektura jego książek pozwala przekonać się, że w obcowaniu z ową muzyką kryje się głęboki sens, będący dla autora czymś więcej niż tylko gromadzeniem i poznawaniem własności tworzywa. Niejednokrotnie – w sposób pośredni lub bezpośredni – daje on wyraz przekonaniu, że to, jak ludzie mówią, jest odzwierciedleniem rzeczywistości społecznej, w której żyją, oraz ich wewnętrznego, psychicznego mikrokosmosu. W oba te światy reporter stara się wniknąć i zrozumieć je na wszelkie sposoby, także przez refleksję nad znaczeniem i użyciem słów.

Aneta Wysocka

Tędy ten wygłoszony został w czasie uroczystości wręczenia Ryszardowi Kapuścińskiemu Nagrody Wschodniej Fundacji Kultury „Akcent” (20 lutego 2003 r., Trybunał Kierawy w Lublinie).

JANUSZ KRYSZAK

Spacer zimowy

W pełnym słońcu styczniowego południa,
gdy drobny śmieg pokrywa oblodzone ulice,
pies nienawykły traci równowagę i raz po raz
uderza nosem o płyty chodnika,
a trzymający się smyczy mężczyzna drobi kroki
jak dawne niewiasty.

Nowa epoka lodowa spowalnia wszelki ruch i rytm,
choć jeszcze jeżdżą samochody, ludzie przechodzą
z ulicy na ulicę, a kruchy jak płatek mrozu wiatr
osypuje się z gałęzi drzew i zamiera w połowie drogi.

Oczy otworzyć i pozostać we śnie:

Lekki, lekki narzeccie.

Och, myślę, że będzie nam tu dobrze.

Nie wybiegaj na plażę bosą, drobne kanie nie ranią stopy.

Zatoka nas przyjęła życzliwie zapachem dojrzewających oliwek
i teraz zbiera w żagle światła odbite od wysokich skał.

Wieczorem
księżyc płaski i mdły jak opłatek
pojawia się i znika,
i twoja twarz też pojawia się i znika
między cieniem i lampą na tarasie hotelu.

Och, myślę, że będzie nam tu dobrze.

Wieczorem
ogarnia nas sen i przenosi do wnętrza
kryształowej kuli, która ktoś trzyma w dłoniach
i zagląda ku nam ciekawie.

Ale teraz jeszcze trwa dzień samotny,
tylko ze mną i psem,
i słońce rozpada się na niezliczoną ilość
kryształków lodu, które kłują
i ranią mi twarz,
gdy kończy się w schodzącej mgłę
spacer zimowy.

Szwederowo, ulica Mariacka

Spokojnie pożegnaj miasto, które tracisz, którego już ubywa.

Patrz przez okno, listek przyklejony do szyby.

Patrz przez okno na drzewa jasne wokół kościoła, na jego czarną wieżę,
gdzie po raz pierwszy doznałeś cudownego oddalenia od ziemi.

Patrz na dony z luszczącą się skórą starych tynków, na solenny krok
przechodzących ludzi, gdy w niedzielne południe wracają z kościoła.

Sluchaj tej wspaniałości, która jeszcze płynie nad ich głowami.

Patrz przez okno. Patrz na starą Meierkę, jak biegnie z kankami do
mleczarni na rogu,
na chudego sąsiada, który dopiero co wrócił z Rosji i nie zdejmując
czapki z głowy
nawet w mieszkaniu, bo zgubił wszystkie włosy gdzieś tam daleko,
w łagrach na Wschodzie,
na Klemensa z parcianym tomistrem, patrz na nich wszystkich.

Wsluchaj się w mowę ulicy Mariackiej, jej rytmy, dźwięki stłumione,
stuki i pohukiwania naprężające szyby.

Drzaty, gdy płonął maszt radiostacji na Wzgórzu Dąbrowskiego, a było już
parę ładnych lat po wojnie i zagrały raz jeszcze dobrze znany im lament.

Sluchaj tej wspaniałości ostatniej, tych dźwięków, tego milczenia.

Patrz, nie spoglądaj przez ramię.

Za tobą meble, sprzęty, pudła i kartony w bezładzie wielkim na środku
pokoju,
niecne ściany, zimny piec kuchenny, umyte podłogi.

Patrz przez okno. Jak ktoś od dawna gotów
pożegnać miasto, które mu nigdy nie dano.

Modlitwa gorliwego chrześcijanina

Staram się, Panie Boże, wstać wcześnie,
podlewam kwiaty i krzewy w ogrodzie,

zniebam wodę psom, nie bluźnię sąsiadom,
nauczę się nie chłostać złym słowem.

Wstrzemięźliwy w jedzeniu i piciu,
unikam też obżarstwa lektur i opilstwa muzyka.

Staram się. Panie Boże, widzę to tylko
co nie poniża i nie budzi żdroźnego pożądania.

Wytrwały w mnożeniu cnót i mądrości,
Śledzę jedynie pochody mrówek pod splekanym progiem.

Dopiero przed zaśnięciem skórą chlone cała groźba.
Ale właśnie wtedy Ciebie nie ma, Boże.

Elegia ulicy Złotej

niebo przejrzyście odmień się i zapada
w długie milczenie

jasny brąz ostatnich liści
jak naszyjnik na obnazonych jeszcze gałęziach
połyskuje światłami
i nagle
śnieg znowu zawirował w szybach
zmatowiałych

w połowie marca
listopad mocno trzyma mnie w ramionach

to nie ja
to on ktoś inny wysoki i ciemny
mówi do mnie szmerzącym głosem
przez mgły ulicy Złotej
przez park zatopiony w wodzie

a mnie rzeczywiście
listopad trzyma mocno w zwinnych ramionach
od dnia narodzin
i każde słowo
przechyla w elegię

chron mnie
jasne miasto
pod niebem nagle odmienionym

Lublin, 15.03.2003

100. rocznica urodzin J.C.

Janusz Kryszak

Wiersze pochodzą z przygotowywanego do druku tomu pt. *Elegia na odejście szpaka*.

TOMASZ MIRKOWICZ

Paszcza węża

Zwierzania Ofelii: Jak dziadek stracił nogę

Jak już wiesz, jestem Meksykanką; nie wiesz jednak – podobnie jak i ja niegdyś nie wiedziałam – że pochodzę z rodziny niespokojnych duchów. Mój pradziad ze strony ojca na długie miesiące pozostawiał hacjendę pod opieką żony, a sam wyruszał na długie wyprawy do Boliwii i Brazylii. Nie szukał złota ani szmaragdów – choć oczywiście niewątpliwie ucieszyłby się ze znalezienia gdzieś u podnóża Andów na wpół mitycznego skarbu ostatniego władcy Inków – ale dowodów na potwierdzenie jego ukochanej tezy, że Murzyni dotarli do Ameryki znacznie wcześniej, niż zaczęto ich tam przywozić jako niewolników. Pewne dowody istniały już od dawna, choćby takie, jak ogromne olmeckie głowy o negroidalnych rysach znalezione w La Venta i Tres Zapotes, albo odkopane w Peru prekolumbijskie gliniane garnki ludu Moche przedstawiające postacie, których wygląd jednoznacznie wskazuje na afrykańskie pochodzenie. Ale pradziad był przekonany, że w dorzeczu Amazonki dokona odkrycia, które wstrząśnie całym naukowym światem. Uważał bowiem, że gigantyczne olmeckie głowy wcale nie były dziełem Olmeków, których inne wizerunki bynajmniej nie charakteryzują się negroidalnymi rysami, lecz twórcami zupełnie innego ludu, który następnie – wypierany ze swoich siedzib właśnie przez Olmeków – podjął migrację na południe i osiedlił się dopiero w głębi brazylijskiej dżungli. Pradziad liczył, iż właśnie tam znajdzie prastare miasta dawnych mieszkańców Meksyku – albo zapomniane i opuszczone, albo nawet nadal zamieszkane.

O wiele młodsze od olmeckich głów naczynia kultury Moche stanowiły jeden z kluczowych dowodów na słuszność jego teorii co do kierunku migracji, gdyż świadczyły wyraźnie, że peruwiańscy Indianie znacznie później weszli w kontakt z negroidalnym ludem, niż powstały owe kamienne głowy. Co do tego, skąd ten lud w ogóle wziął się w Ameryce, pradziad nie miał do końca wyrobionego zdania, choć z jego sporządzonych zamazanych pismem notatek, które kiedyś znalazłam na strychu, wynikało, iż za najbardziej realne uważał egipskie pochodzenie przyhyszów. Sądził, iż dowiedziawszy się, że jego statki znalazły nieznaną łódź po drugiej stronie wielkiej wody, faraon, który wówczas panował, zdecydował się wysłać za ocean grupę nubijskich osadników. Powody mogły być różne: od pragnienia zagospodarowania nowych ziem po celowe usunięcie z własnego państwa pewnej liczby Nubijczyków, albo dlatego, że buntowali się przeciwko jego władzy, albo ponieważ na należącej do nich ziemi chciał osadzić Egipcjan. Trop egipski w ogóle był bardzo modny owego czasu, gdyż zdawał się najlepiej tłumaczyć, dlaczego tak wiele zabytków Nowego Świata, poczynając od piramid, cechuje podobieństwo do wytworów architektury egipskiej. Nowość hipotezy pradziada polegała na tym, że za przybyszów uważał nie rdzennych Egipcjan, lecz Nubijczyków.

Jako jeden ze swoich koronnych argumentów wysuwał fakt, że budowle sakralne Majów, Azteków i Inków nie są wienymi kopiami ich starszych odpowiedników znad Nilu. Twierdził, iż dlatego są różne, ponieważ po-

wstały na wzór – lub nawet na fundamentach – nie zachowanych konstrukcji wzniesionych przez budowniczych nubijskich, którzy podobnie jak we własnym kraju na południe od pierwszej katarakty, tak również w Ameryce bynajmniej nie naśladowali niewolniczo stylu egipskiego. Pradziad spodziewał się zresztą, że zabytki, które odkryje w dżungli Amazonki, wzniesione własnoręcznie przez potomków owych Nubijczyków, okażą się bardziej podobne do budowli egipskich, niż te, które dotąd odkryto w Nowym Świecie, a nawet będą stanowić poniekąd pomost między architekturą starożytnego Egiptu i obu Ameryk. Właśnie zdjęciami i rysunkami tych konstrukcji zamierzał zadziwić naukowców na wszystkich kontynentach.

Przepraszam za ten przydługi wstęp, ale chciałam wyraźnie nakreślić nadzieje, jakie mój pradziad wiązał ze swoją kolejną, a zarazem ostatnią wyprawą badawczą, tą, na którą ulegając jego prośbom – i mimo protestów żony – zgodził się zabrać Ramóna, swojego jedynego syna, a mojego dziadka, wówczas zaledwie siedemnastoletniego młodzieńca.

Pradziad i Ramón dopłynęli statkiem pasazerskim do Pary, a stamtąd parowcem do Manaos. Tu wylądowali bagaże, bo we wczesnych latach trzydziestych, kiedy rozegrały się wydarzenia, które opisuję, był to ostatni port rzeczny, z jakim istniała regularna łączność. Dalej trzysobowa ekspedycja – pradziad zabrał w podróż również służącego – wcale nie zamierzała ani się przedzierać na oślep przez dżunglę, ani też płynąć czołnem w górę jednego z dopływów Amazonki. Pradziad zdołał się bowiem przekonać podczas poprzednich wypraw, że takie postępowanie daje znikome szanse na odniesienie sukcesu; równie dobrze mógłby szukać igły w stogu siana. Dlatego tym razem zaopatrzył się w balon, właśnie z zawieszonego pod nim kosza – zwanego gondolą – zamierzał wypatrywać prastarego miasta potomków afrykańskich przybyszów.

Start balonu wzbudził ogromną sensację; niemal wszyscy mieszkańcy Manaos zgromadzili się na niewielkim placu. Zresztą balony po dziś dzień przyciągają tłumy gapiów, bo loty tym środkiem lokomocji wciąż pozostają tylko zabawą garstki zapalczyków.

Nie wiem, czy ktoś z was leciał kiedykolwiek balonem; ja miałam tę przyjemność. Wrażenie jest niezwykle, właściwie nieporównywalne z niczym: po pierwsze leci się w zupełnej ciszy, po drugie na idealnej wysokości, żeby dokładnie widzieć wszystko, co znajduje się poniżej. Balon pradziada napęczniał był gorącym powietrzem, więc aczkolwiek ze względu na niemożność sterowania powrót do miejsca startu nie był możliwy, to kilkakrotne lądowanie i ponowne wzbijanie się w powietrze wchodziło w rachubę, o ile tylko znaleźliby niezalesiony i niezbyt górzysty teren. Gdyby natomiast okazało się, że nieprzerwana dżungla uniemożliwia lądowanie, mieli zapisać położenie wypatrzonych ewentualnie ruin i lecieć dalej do Boliwii lub Peru, po czym wrócić statkiem do Brazylii i ponownie próbować szczęścia. Oczywiście zdawali sobie sprawę, że ich balon nie pokona wysokich Andów, ale mieli nadzieję bezpiecznie wylądować u ich podnóża.

Chyba nie zaskoczy nikogo wiadomość, że tym razem również nie udało się pradziadowi znaleźć żadnego murzyńskiego miasta w sercu brazylijskiej dżungli. Gdyby mu się powiodło, to o tak wyjątkowym znalezisku byłoby przecież głośno. Zresztą obecnie, kiedy badania prowadzone w Caral u podnóża Andów zdają się jednoznacznie świadczyć, że najstarsze piramidy Nowego Świata nie są wcale młodsze od egipskich, teorie pradziada o nubijskim pochodzeniu prekolumbijskich budowniczych w ogóle wydają się nie warte funta klaków. Ale trudno zaprzeczyć, iż wielu naukowców nadal święcie wierzy, iż w amazońskiej dżungli kryją się zapomniane miasta,

których odnalezienie zadziwi świat. Jednakże pradziadowi nie było pisane wejście do historii w roli wielkiego odkrywcy.

Katastrofa wydarzyła się już po sześciu godzinach lotu nad wspaniałym zielonym dywanem dżungli, poprącinanym błękitnymi wstęgami strumieni i rzek, akurat kiedy przelatowali nad jeziorem, w tamtych latach jeszcze niezaznaczonym na mapach. Z balonem zdarzyło się olbrzymie ptaszysko o niewiarygodnie długiej szyi i jeszcze dłuższym dziobie, które zamiast po prostu usunąć się z drogi, przeprowadziło atak, atak wyjątkowo agresywny i niezwykle skuteczny, gdyż zwięzający się w szpic ostry dziób nie tylko przebił gumowaną powłokę, ale rozdarł ją na tyle, że ptak wpadł do środka balonu, po czym, spanikowany, zaczął miotać się po jego wnętrzu, wybijając dziobem i wyszarpując pazurami kilkanaście pomniejszych dziur. Powietrze uchodziło z głośnym sykaniem, balon raptownie opadał. Jedyne, na co podróżnicy mogli liczyć, to że zdołają dolecieć do brzegu i wylądować na splachetku piaszczystej plaży; ogromne jajo wiotczało jednak coraz bardziej i w końcu razem z gondolą po prostu runęło do wody.

Trzej pasażerowie zdołali dopłynąć do brzegu wplaw, ale ich tak nagle odmieniona sytuacja była nie do pozardroszczenia. Jeszcze przed chwilą mieli broń, mapy, zapasy żywności; teraz nie pozostało im nic poza ubraniem na grzbiecie. O wylowieniu czegośkolwiek nie mogło być mowy, gdyż jezioro było wyjątkowo głębokie, a dziurawa powłoka, błyskawicznie napęczniejąc się wodą, pociągnęła za sobą w dół wiklinową gondolę, z której całe zapasy powypadały, kiedy przewróciła się, uderzając o wodę. Szczęście w nieszczęściu, że pradziad miał na ręce kompas; dzięki temu wiedzieli przynajmniej, w jakim kierunku mają się posuwać, aby dotrzeć do najbliższej rzeki. Tam zamierzali zbudować prymitywną tratwę, wiązać lianami zwalone pnie, i jakoś dopłynąć do cywilizacji.

Wędrówka przez dżunglę, nawet jeśli ma się maczety, żeby wyrąbywać sobie ścieżkę, nie należy do przyjemności. Jeśli nie ma się maczet, stanowi istny koszmar. Nic więc dziwnego, że choć trzej wędrowcy aż do zapadnięcia zmroku z uporem przedzierali się przez płataninę gałęzi, zarośli i lian, uszli niewiele ponad kilometr. W dodatku przez cały czas męczyło ich pragnienie; dziadek i służący byli już wcześniej w dżungli, więc wiedzieli, które drzewa należy naciąć, żeby napić się wydzielanego przez nie soku. Problem w tym, że żaden nie miał maczety ani nawet sejsyorka, więc nacinanie drzew nie wchodziło w rachubę. Mogli co najwyżej wysysać wilgoć z grubych, mięsistych liści. W końcu znużeni, spoceni, głodni, z twarzami i rękami podrapanymi do krwi przez gałęzie i kolce, wyciągnęli się pod grubym drzewem. Nie mieli jak rozpalić ognia, ani jak upolować zwierzyny, nawet gdyby zdecydowali się zjeść ją na surowo. Ramón wierzył ojcu, że posuwają się we właściwym kierunku, ale nie pamiętał, jaka dokładnie odległość dzieli jezioro od najbliższej rzeki. Wydawało mu się, że nie była zbyt wielka; teraz jednak, widząc, w jak wolnym posuwają się tempie, zaczął się obawiać, czy zdołają do niej dotrzeć zanim z głodu i wycieńczenia tak opadną z sił, że nie beda w stanie zrobić kroku. W końcu, wyczerpani, zapadł w kamienny sen. Ojciec i służący zdążyli zasnąć wcześniej.

Obudziło Ramóna lekkie pnięcie w nogę. Kiedy otworzył oczy, zobaczył na sobie małego indiańskiego chłopca, który właśnie przynierzał się, żeby znów uderzyć go długą witką. W pewnej odległości za chłopcem stało jeszcze kilkoro nagich dzieci, zapewne mniej odważnych od niego. Kiedy zobaczyły, że dziadzius otworzył oczy, z piskiem rzuciły się do ucieczki. Wtedy cała brawura opuściła również malca; cisnął witkę na ziemię i z krzykiem pobiegł za innymi.

Ramón podniósł się z ziemi; pradziad i służący, zbudzeni piskiem, również podrywali się na nogi. Obecność dzieci oznaczała, że znajdują się w pobliżu osady.

Decyzja, czy powinni się do niej udać, nie była jednak prosta, bowiem nie wszyscy Indianie są przyjaźnie czy choćby obojętnie nastawieni do obcych. Niektórzy zazdrośnie strzegą swojego terytorium i gotowi są natychmiast zastrzelić z łuku lub dmuchawy każdego, kto ośmieli się postawić nogę na ziemi uważanej przez nich za swoją. Jednakże sytuacja trzech wędrowców była tak oplakana, że właściwie nie mieli innego wyjścia. Co więcej, zdawali sobie sprawę, że w żaden sposób nie zdołają ukryć się przed indiańskimi wojownikami, którzy wkrótce dowiedzą się od dzieci o ich obecności. Jeśli tubylecy będą chcieli ich zgładzić, bez trudu zdołają ich wytropić, choćby trzej rozbitkowie od razu wzięli nogi za pas i biegli ile sił.

Niepewnie ruszyli więc w kierunku, w którym uciekła gromadka dzieci, i po chwili natrafili na wąską ścieżkę wijącą się przez gąszcz. Zaprowadziła ich do obszernej polany; na jej środku ujrzeni podwójną palisadę utworzoną z nieociosanych pni. Widać było nad nią kryte palmowymi liśćmi dachy czterech dużych prostokątnych chat. Brama była zamknięta.

Trzej wędrowcy podeszli do palisady, po czym za radą pradziada usiedli na ziemi w pewnej odległości od bramy. Dobijanie się było niewskazane, albowiem mogło zostać poczytane za wyraz agresji.

Po kilku minutach brama uchyliła się. Wędrowcy odczekali jeszcze chwilę, po czym wstali nieco lękliwie i weszli do środka, mijając najpierw pierwszy, a potem drugi ostrokół. Gdy jednak już znaleźli się w osadzie, ich obawy przysły natychmiast, od razu bowiem ołoczył ich tłum uśmiechniętych nagich mężczyzn, kobiet i dzieci; dotykali ich ubrań, rak, twarzy, zaśmiewając się i wygłaszając niezrozumiałe komentarze w swoim języku. Najwyraźniej jeszcze nigdy nie widzieli białych. Kiedy przybysze pokazali na migi, że są głodni, natychmiast pojawiły się przed nimi miski z wodą i jedzeniem. Pradziad i służący, którzy wcześniej mieli wielokrotnie styczność z Indianami, twierdzili, że jeszcze żadni tubylecy nie przyjmowali ich tak serdecznie.

Chodzili po wiosce, zaglądali do wielkich chat, w każdej z których mieszkało po trzydzieści, czterdzieści osób, i dziękowali Bogu za tę kolejną odmianę losu, pewni, że teraz już bez trudu, z pomocą swoich gospodarzy, dotrą do rzeki, a kilka dni później do cywilizacji.

Tymczasem w wiosce rozpoczęła się gorączkowa krzątanina. Mężczyźni znosili drewno na ogniska, kobiety szykowały owce, orzechy i przelewały z wielkich tykw do mniejszych jakiś dziwnie pachnący, sfermentowany napój. Przed wioskowymi malarzami ustawiały się kolejki, wszyscy wpinali we włosy kwiaty, liście, płasie pióra. Trzej wędrowcy nie mieli wątpliwości, że tubylecy szykują wielki festyn na ich cześć. A gdy się zakończył, byli wręcz przekonani, że tubylecy uznali ich za bogów.

Do wyciągnięcia takiego, jak się później miało okazać, z gruntu fałszywego wniosku, skłoniły ich wydarzenia, które się rozegrały w drugiej części uroczystości. Z początku zapowiadała się jednak zupełnie niewinnie: rozpalono cztery ogniska, po czym rozpoczęły się tańce i śpiewy.

Pomalowani we wspaniałe, geometryczne wzory i przystrojeni barwnymi piórami tancerze jawili się przybyszom jak piękne, egzotyczne ptaki. Ich ekspresyjne gesty, gdy skakali wokół ognia, opowiadały jakąś zagadkową historię, a może nawet mit o powstaniu pierwszych ludzi, lecz z samego tańca trudno się było domyślić jego treści. I tancerze, i otaczający ich, śpiewający i klaszczący do rytmu widzowie, co rusz raczyli się sfermentowanym napojem, toteż nic dziwnego, że ich oczy lśniły coraz bardziej, a śpiewne okrzyki stawały się coraz bardziej dzikie.

W pewnym momencie rozległ się przenikliwy dźwięk piszczałki, kłaskanie ucichło, tancerze zeszli z placu. Wtedy z jednej chat wyłonił się dziwny pochód, na czele którego kroczyło trzech wiekowych starców – jak się później okazało, wioskowych czarowników. Za nimi postępował najroślejszy mężczyzna, jakiego przybysze dotąd widzieli wśród lutejszych Indian, uzbrojony nie w dzidę jak inni, lecz ozdobioną kępami piór ceremonialną maczugę. Na końcu szło trzech mężczyzn i trzech małych chłopców prowadzonych przez trzy kobiety. Cała dziewiątka była umalowana nawet piękniej i staranniej niż tancerze, którzy właśnie zakończyli występ. Ramón żałował, że nie ma aparatu fotograficznego, żeby ich uwiecznić. Zdziwilo go tylko, że sprawiają wrażenie jeszcze bardziej pijanych od reszty mieszkańców wioski; zwłaszcza dzieci zataczwały się bardzo wyraźnie. Mimo to Ramón rozpoznał pośród nich malca, który obudził go rano, uderzając w nogę włka.

Pochód okrążył każde z czterech wielkich ognisk, rozpalonych na rogach idealnie wymierzonego kwadratu, po czym zatrzymał się na jego środku. Dorzucono drwa do ognia; umalowani mężczyźni ukiekli, a umalowane kobiety posadziły obok nich dzieci i usunęły się na bok. Wojownik uzbrojony w maczugę opróżnił podana mu czarę, po czym nagle uniósł maczugę i spuścił z całą mocą na głowę najbliższej kłęczącego mężczyzny. I zanim ciało ofiary zdążyło się osunąć na ziemię, znów uniósł maczugę i uderzył z rozmachem w głowę drugiego z kłęczących, potem trzeciego, a następnie rozbił kolecino główki dzieci. Nie słychać było ani uderzeń, ani loskotu padających ciał, gdyż w chwili, kiedy wojownik – a raczej rytualny kat – po raz pierwszy uniósł ogromną palę, ciszę rozzerwał okrzyk ponad setki gardel. W następnej chwili czarownicy podnieśli z ziemi ciała i rozhuśtawszy je, trzymając za ręce i nogi, cisnęli na płonące stosy.

Trzej podróżnicy byli wstrząśnięci tym, co przed chwilą wydarzyło się na ich oczach. Dlatego w pierwszej chwili nie zauważyli, że usiadły obok nich kobiety, które odprowadziły chłopczyków na miejsce kaźni. To ocierały kufakiem łzy, jakby było im żal zabitych, to posyłały przybyszom ukradkowe, zalotne spojrzenia. Później nastąpiło to, czego należało oczekiwać: nadwęglone ciała wydobyto z ognia, podzielono na kawałki i zaczęto spożywać. Goście dostali po dwie upieczone nogi, jednej dorosłej i jednej dziecięcej. Przyniosły je im te same wystrojone kobiety.

Ramónowi zrobiło się niedobrze; chciał odmówić jedzenia, ale ojciec syknął na niego, żeby się nie wyglupiał tylko żał, bo gospodarze jeszcze gotowi się obrazić. Był pewien, że dlatego poświęcili na ucztę trzech dorosłych i troje dzieci ze swojego grona, bo uznali przybyszów za bogów. Odmowa przyjęcia ofiary mogłaby urazić tubyleców, a nawet poważnie ich rozżłościć. Toteż pradziad co rusz obliżywał się, młaskał i klepał po brzuchu, aby pokazać, że naprawdę docenia przygotowaną na jego cześć ucztę. Służący, spiorunowany wzrokiem pana, natychmiast poszedł w jego ślady. Jeden dziadzius z trudem przeżuwał kolejne kęsy. Dopiero z czasem przywykł do tego rodzaju strawy. Po latach opowiadał, że mięso ludzkie jest lekko słone, ale poza tym całkiem smaczne.

Trzy kobiety też jadły, choć nie przestawały pochłapywać. Jak się okazało na koniec ucztę, odtąd miały być żonami pradziada, dziadka i służącego. Tym razem jako jedyny z trójki zaprotestował pradziad, twierdząc, że nie zamierza oddawać się uciechom cielesnym z jakąś wymalowaną dzikuską, ale służący i Ramón szybko przekonali go, że powinien przyjąć dar z gołębnością i radością, jeśli nie chce zasmucić gospodarzy. Ich samych cieszyła perspektywa spędzenia najbliższych nocy z młodymi kobietami o skórze

barwy miedzi. Choć domyślali się, że z zabitymi muszą je łączyć jakieś więzi pokrewieństwa – inaczej by nie płakały – dopiero znacznie później mieli się dowiedzieć, że były żonami uśmierconych i skonsumowanych mężczyzn oraz matkami zjedzonych chłopców.

W kolejne dwa dni o przykrych wydarzeniach pierwszego wieczoru trzech podróżnicy przypominali sobie tylko z okazji wieczornego posiłku, kiedy ich nowe żony przynosiły im resztki nóg, które przechowywały skrzętnie, owinawszy je w liście. Mieszkańcy wioski zachowywali się bowiem tak uprzejmie i serdecznie zarówno wobec obcych przybyszów, jak i we wzajemnych kontaktach – nie do pomyslenia było na przykład, aby którykolwiek wojownik podniósł głos na żonę lub dziecko – iż mogli wręcz uchodzić za owych szlachetnych dzikich znanych z filozoficznych lektur. Żeby nie nie zakłócało wrażenia sielskiej idylli, służący pokazał kobietom, jak się robi gulasz, własnoręcznie zeskrobując mięso z kości drewnianą łopatką; tak więc trzeciego dnia widok zwęglonych palców u nóg nie psuł podróżnikom apetytu.

Następnego poranka pradiad obudził się wyjątkowo rześki; wreszcie odzyskał kondycję i humor nadwreżone przedzieraniem się przez dżunglę. A przecież przedzierali się zaledwie jeden dzień! Strach pomyśleć, co by stało się z pradiadem, gdyby dłużej musieli walczyć z lianami. Teraz jednak znów był w pełni sił i opanowany jedną myślą: chciał nie tyle wytłumaczyć Indianom, co nakazać – uważał, że jako bóg ma pełne prawo im rozkazywać – aby doprowadzili ich do rzeki, a najlepiej wystarali się dla nich jeszcze o czółna.

Na nic jednak zdało się pokazywanie tubylcom na migi, o co mu chodzi, ani też rysowanie patykami na ziemi rzeki, czółna, wiosel, ryb. Indianie uśmiechali się bardzo przyjaźnie, lecz ani nie zamierzali towarzyszyć nigdzie trójce białych, ani nawet pozwolić im samotnie opuścić obręb palisady. Utwierdziło to tylko pradiada w przekonaniu, że Indianie uważają ich za bogów; był pewien, że właśnie dlatego pragną na zawsze zatrzymać ich w swojej wiosce. Uważał jednak, że na razie nie powinni podejmować żadnych ryzykalnych prób ucieczki – o tyle utrudnionej, że bramy strzegło dzień w dzień czterech uzbrojonych wojowników, po jednym z każdej chaty – tylko cierpliwie czekać, aż nadarzy się dogodna sposobność.

Ramónowi było w to graj, gdyż w tym okresie bynajmniej nie zależało mu jeszcze na opuszczeniu wioski. Oczywiście wiedział, że kiedyś musi do tego dojść, ale na razie był całkiem szczęśliwy, iż odwleka się moment rozstania z jego indiańską żoną. Do tej pory zdarzało mu się wymieniać tylko pośpieszne pocałunki ze służącymi pracującymi na hacjendzie; teraz spędzał noc z niewiele starszą od niego, lecz doświadczoną w sprawach miłości kobietą. Nie chciała się z nim całować – wielu Indian po dziś dzień uważa ten obyczaj białych za barbarzyński i odrażający – ale wynagradzała mu brak pocałunków dziesiątkami innych ognistych, prymitywnych pieszczot.

Co więcej, zaczęła go uczyć swojej mowy. W miarę jak czynił postępy we władaniu językiem tubylców, coraz lepiej zaczynał orientować się co do swojego statusu w wiosce, a także co do pozycji ojca i służącego. Nie, nie uważano ich za bogów. Ani nawet za wysłanników bogów; zresztą wioska nie czciła żadnych bogów poza wielkim skrzydlatym węzem, z którego jaja wszystko wzięło początek. Trzej dziwni przybysze, którzy nieoczekiwanie zjawili się u bram osady, byli uważani za jego dar. Skrzydlaty wąż specjalnie zniósł ogromne jajo, z którego się wylęgłi, byli biali, bo ledwo przyszli na świat i skóra jeszcze nie zdążyła im ściemnieć. Ramónowi olbrzymie jajo natychmiast skojarzyło się z balonem, którym przylecieli; kiedy jednak zaczął pytać dziewczynę, czy ktoś z wioski może widział ich

niefortunne zderzenie z ptaszyskiem o długiej, węzowatej szyi, okazało się, że nie. Katastrofa balonu najwyraźniej nie miała tu nic do rzeczy.

Dziadziuś znacznie szybciej od ojca i służącego opanował miejscowy język, toteż jemu przypadła przykra rola objaśnienia ich co do obyczajów Indian, wśród których się znaleźli. Niestety, przyszłość podróżników nie rysowała się różowo.

Okazało się bowiem, że tubi, uczynni, serdeczni i grzeczni w obęjściu tubylcy żyją w stanie permanentnej wojny z mieszkańcami wszystkich pobliskich osad. Były to identyczne wioski, jak ta, to której trafiło trzech wędrowców; sąsiedzi ich gospodarzy posługiwali się tym samym językiem, wykonywali takie same obrzędy, śpiewali i tańczyli w ten sam sposób. Innymi słowy, należeli do tego samego „plemienia”, ale to określenie nie miało odpowiednika w ich mowie, gdyż do tej pory, jeśli nie liczyć „daru skrzydlatego węża” – jak zbiorowo określali dziadka, pradiada i służącego – nie zetknęli się jeszcze z nikim, kto różniłby się od nich pod jakimkolwiek względem. Ramón aż nie mógł uwierzyć, że wystarczyło zaledwie sześć godzin lotu balonem, aby znaleźć się wśród ludzi, którzy nawet nie zdają sobie sprawy, że ktoś może inaczej mieszkać, ubierać się i odżywiać. A właśnie kwestia odżywiania regulowała funkcjonowanie tego zamkniętego, samowystarczalnego świata złożonego z kilkunastu wiosek.

Co pewien czas – termin każdorazowo ustalali czarownicy po zapoznaniu się z sobą tylko wiadomymi znakami na niebie – wojownicy każdej z osad przeprowadzali szturmowy atak na swoich bliższych lub dalszych sąsiadów. Cel napaści był zawsze jeden: wzięcie do niewoli jak największej liczby mężczyzn, kobiet i dzieci. Jeńców przyprowadzano tryumfalnie do własnej wioski, gdzie szydzono i naigrywano się z nich aż do zapadnięcia zmierzchu, po czym część zabijano i pożerano w trakcie trwającej do białego rana kanibalistycznej orgii. Reszcie natomiast przydzielano żony i mężów spośród własnych panien i kawalerów; dzieci adoptowano. Odtąd traktowano jeńców dokładnie tak samo jako rdzennych mieszkańców wioski, a więc z najwyższą kurtuazją. Nie mieli się jednak co hidden: byli po prostu czekającą na swoją kolej strawa.

Mogły minąć zaledwie tygodnie, albo nawet długie lata, lecz prędzej czy później kał gnichotał im czaszki obrzędową maczugą, po czym ich ciała ładowały na stosis. Ten sam los czekał również bez wyjątku wszystkie dzieci urodzone ze związków miejscowych kobiet i mężczyzn z wziętymi do niewoli.

Ramón dziwił się, że jeńcy godzą się z tymi stanem rzeczy i cierpliwie czekają na swoją kolej, ani się nie buntując, ani nie próbując uciekać. Jego żona była zaskoczona i zbulwersowana jego zdziwieniem; fakt, iż ktoś dał się pojmać, okrywał go tak straszliwą hańbą, że gdyby zdołał zbiec i dotrzeć do własnej wioski, skonałby w najgorszych mękach z rąk własnej rodziny.

Tak więc wyjaśniło się, że mężczyźni, których zabito, kiedy Ramón, pradiad i służący pojawili się w wiosce, byli jeńcami uprowadzonymi niegdyś podczas szturmu na wrogą osadę. A trzech zabitych chłopczyków – ich synkami. Kiedy Ramón spytał żony, czy nie żał jej dziecka, posmutniała i powiedziała, że tak; po chwili jednak rozchmurzyła się i oznajmiła, że przecież on też da jej dziecko, które zastąpi jej tamto, tak jak sam zastąpił jej poprzedniego męża. Dodala, że wcale nie uważa, aby na tym złe wyszła, co oczywiście sprawiło mu radość.

Pradiad miał nadzieję, że jako „dar skrzydlatego węża” oni trzej unikną może podobnego losu, ale Ramón szybko wyprowadził go z błędu. Czarownicy potraktowali ich nagle przybycie jako nieoczekiwane uzupełnienie

zapasów i dlatego urządzili nieplanowaną wcześniej ucztę. Zona Ramóna nie miała żadnych wątpliwości, że wszyscy trzej zostaną w swoim czasie skonsumowani. Gdy jednak zapytał, kiedy to nastąpi, bezradnie rozłożyła ręce; decyzje tego rodzaju leżały wyłącznie w gestii głównego czarownika, a nikt nie wiedział, czym się kieruje, wybierając każdorazowo jeńców na ucztę.

Trzej podróżnicy zrozumieli, że jedyny ich ratunek leży w ucieczce. W przeciwieństwie do indiańskich współwzięńców, którzy potrafilili cieszyć się i śmiać, jak gdyby w ogóle nie byli świadomi swojego przeznaczenia, ciągle stan zagrożenia spędzał im sen z powiek i wrpiał w głębokie przysięganie. Niestety, brama była pilnie strzeżona przez cały czas, a ostrokoł zbyt wysoki, aby mogli się na niego wdrapać.

Niedługo potem czarownik zarządził nową ucztę, a potem kolejną. Trzej podróżnicy za każdym razem drżeli jak osiki, ale ich czarna godzina jeszcze nie wybiła; na razie przypadała im rola mimowolnych świadków – i siła rzeczy uczestników – ceremonialnego obżarstwa. Ramón i służącego dziwiło, że Indianie patroszą ustrzelone ptaki i zwierzęta, które picką na ruszcie, lecz ludzi bez patroszenia rzucają na stos. Pradziad wytłumaczył im, że kanibalistyczne uczty mają rytualny charakter, co sprawia, że odbywają się w niezmiennym trybie od najdawniejszych czasów, kiedy to prymitywni łowcy nie usuwali jeszcze wewnątrz żadnej zwierzęcej. Myślę, że miał rację. Nie jest tak konserwatywne, jak właśnie religia.

W końcu nastąpiło to, czego się obawiali, dwaj z nich, pradziad i służący, zostali wyznaczeni na najbliższą kolację. Ramón uratowało to, iż od pewnego czasu skutecznie zabiegał o względy starego czarownika, wachlując go po każdym posiłku, a po każdej przechadzce masując mu stopy. Miał nadzieję, że przymilając się w ten sposób staruchowi, uratuje również skórę ojcu i przyjacielowi – w ostatnim okresie bardzo się zaprzyjaźnił ze służącym – gdyż był przekonany, że czarownik nie zdecyduje się na podział „daru skrzydlatego węża”. Omylił się jednak.

Pradziad i José czy Ricardo – dziadek nie pamiętał po latach, jak jego ówczesny przyjaciel miał na imię – mężnie znieśli swój los. Żaden nawet nie zadrżał, kiedy maczuga kata roztrząskiwała mu głowę. Ramón poprzysiągł sobie, że nie weźmie do ust ich mięsa, i dotrzymał słowa aż do wieczora następnego dnia; kiedy jednak zona podała na kolację podgrzewane zeberka, skusił się i zjadł niewielką porcję, bo nie chciał robić swojej lubej przykrości, a poza tym kiszkę straszliwie grały mu marsza.

Spędził w wiosce niemal trzy lata i doczekał się dwóch uroczych synków, zanim wreszcie padło i na niego. Było to o tyle dziwne, że akurat tego dnia wojownicy powrócili z udanej napaści na jedną z pobliskich osad, przyprowadzając aż dwa tuziny jeńców. W takich sytuacjach kandydatów na ucztę dobierano z zasady spośród świeżego narybku; jednakże tym razem czarownik zdecydował dołączyć do kolacji i jego. Może chodziło o to, że spędził w wiosce już tak długi okres? A może czarownikowi nie spodobało się to, że się rozleniwiał i przestał go iskać? Dziadek dołączył bowiem – na wszelki wypadek – iskanie do kosmetycznych zabiegów mających mu zapewnić względy czarownika wkrótce po tym, jak pradziad i służący zostali zjedzeni. Ale co naprawdę było przyczyną przeznaczenia go do ogólnej konsumpcji, tego Ramón nie dowiedział się nigdy.

Miał jednak wielkie szczęście, bo trzy dni przed ucztą dotychczasowy kat, najrośniętszy mężczyzna w wiosce, popełnił samobójstwo. Obserwując codziennie spokojne życie tubylców, można by sądzić, iż napady na sąsiadów i pijackie kanibalistyczne orgie stanowią dostateczne ujęcie dla frustracji i potrzeby przemocy tej niewielkiej społeczności. Ołóż nie. Nie

było to bardzo częste, lecz zdarzało się, że wojownik wpadał w szal. Jednakże wpojone od małego normy dobrego wychowania sprawiały, że kierował agresję na samego siebie. łamał swój łuk i strzały, podpalał swój hamak, a wreszcie padał na kolana i w amoku zaczynał żreć garściami ziemię. Nie próbowano go powstrzymać, bo wiadano, że to nic nie da. W końcu umierał w straszliwych bólach, miotając się z boku na bok i potępiście zgrzytając zębami.

Wojownik, którego pospiesznie wyznaczono na kata, nie miał – rzecz oczywista – wprawy poprzednika, a ponadto nie dorównywał mu siłą. Prawdę powiedziawszy, podczas swojego pierwszego występu totalnie się skompromitował. Niektórych jeńców musiał walić w głowę po trzy razy, zanim ich wyprawił na tamten świat. Kiedy wreszcie – mocno pijany, bo co chwila pokrzepiał się tykwą sfermentowanego napoju – doszedł do Ramóna klęczącego na szarym końcu długiego szeregu, uderzył go tak słabo, że tylko go ogłuszył. Dwaj podpici kapłani, którzy wrzucali ciała w ogień, również sfuszrowali robotę, tak rozhuśtali dziadka, chwyciwszy go za ręce i nogi, że prawie przeleciał przez stos.

Ocknął się pod wpływem straszliwego bólu lewej stopy. Otwierając nieznacznie jedno oko przekonał się, że leży po drugiej stronie ogromnego ogniska, na którym pieką się już cztery ciała. Jednakże jego noga leżała wciąż na rozżarzonych do czerwoności węglach, a on nie mógł się poruszyć, bo jeszcze zauważyłby to ktoś z siedzących wokół ognia i przywołał kata, żeby go dobił. Człowiek trzeźwy nigdy nie zniósłby tak straszliwego cierpienia, jakie w ciągu następnej godziny był udziałem Ramóna. Jednakże wszystkie ofiary, po pomalowaniu i ozdobieniu piórami, pojono niemal do nieprzytomności sfermentowanym napojem, a wiadano, że alkohol znacznie zwiększa tolerancję na ból. Tak więc dziadziś, choć całe ciało miał złane potem, zacisnął zęby na leżącej obok gałęzi i nawet nie drgnął aż do czasu, kiedy ogień zaczął przygasać.

Indianie co rusz wyciągali z ognia wcześniej wrzucone ciała i zabierali się za ich konsumowanie; byli jednak tak pijani, że albo nie zauważyli, iż dziadek się niedopieka, albo im się nie chciało cisnąć go na środek stosu. Któryś nawet odsunął go ze wzgardą na bok, żeby tym łatwiej móc się dobrać do innych, pięknie zarumienionych ciał. Dziadek z wdzięczności gotów byłby niemal się zerwać na równe nogi i go wycalować, ale oczywiście nie postąpił tak nierozsądnie. Leżał i czekał, aż pijanych i najedzonych Indian wreszcie zmorzy sen. W końcu wstał i jakoś dokuśtykał do bramy, starając się oszczędzać poparzoną nogę. Miał szczęście; pijani wartownicy też spali, chrapiąc na wyscigi.

Kulejąc, dotarł do rzeki, odległej zaledwie o pięć minut drogi od osady. Kiedy po raz pierwszy dowiedział się od żony, iż rzeka znajduje się tak blisko, przeklinał los, który sprawił, że pradziad, on i służący zdecydowali się iść za indiańskimi dziećmi, zamiast kierować się dalej w stronę rzeki; jakże inaczej potoczyłyby się dalsze wypadki!

Na brzegu znajdowało się kilka prymitywnych czółen sporządzonych z pojedynczych pni. Wcześniej widział nieraz, jak są produkowane: Indianie rozgrzewali w ognisku kamienie, po czym kładli na kłodzie, wypalając w niej coraz głębszy i obszerniejszy otwór. Była to żmudna metoda, ale dawała rezultaty. Zepchnął jedno z czółen do wody i chwycił za wiosło. Po pół godziny był już pewien, że nikt go nie ściga.

Poparzona noga wciąż go bolała tak okropnie, że omal odchodził od zmysłów. W mroku nie mógł jej widzieć, ale gdy pojaśniało na tyle, że wreszcie zdołał ją dojrzeć, o mało nie zwymiotował. Palców w ogóle nie

miał, a reszta stopy przedstawiała odrażający widok, gdyż podczas marszu poodchodziły mu od kości całe kawałki upieczonego mięsa. Najchętniej zawinałby ją, żeby na nią nie patrzeć, ale nie miał w co. Był nagi, bo przed uczcią ściągnięto z niego podarte resztki ubrania. Jedyne, co teraz skrywało jego nagość, to farba.

Po trzech dniach żeglugi natrafił na katolicką misję. Zakonnicy zajęli się troskliwie gorączkującym, bredzącym w malignie młodzieńcem. W jego biedną, pokiereszowaną stopę wdała się gangrena, więc amputowali mu lewą kończynę nieco powyżej kostki. Ale dziadziś nigdy nie przeżyłował się tym faktem: twierdził, że i tak miał szczęście, bo uszedł z życiem, a przecież niewiele brakowało, aby skończył w brzuchach kanibali. No i własnej żony. Obiecała mu co prawda, kiedy przed uczcią żegnali się we łzach, że nawet go nie skosztuje, ale znając wioskowe praktyki, nie bardzo jej wierzył. Miał nawet wrażenie, że już czuje w stronę jednego z nowych jeńców, licząc, iż to właśnie on zostanie jej przydzielony na kolejnego męża.

Zwierzenia Ofelii: Haejenda

Jestem pólsierotą. Wychowali mnie matka i dziadek, ojciec mojego ojca, który zmarł podczas mojego porodu. Może się to wydać dziwne, bo jeśli któregoś z rodziców osieroca dziecko w tym czasie, to matka. W moim wypadku było jednak inaczej. Akurat kiedy moja główka ukazywała się pomiędzy rozwartymi udami mojej rodzicielki, ojciec konał tuż obok, na szpitalnej posadzce. Oczywiście, nie z tego mi pamiętam, ale pewnie pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłam na tym świecie, było jego oblicze, wykrzywione w śmiertelnym skurczu.

A było to tak. Mama koniecznie chciała, żeby tata był obecny, kiedy będzie rodzić, zgodził się, bo bardzo ją kochał, a poza tym sam prawdopodobnie pragnął uczestniczyć w tym doniosłym wydarzeniu. Zresztą nie było żadnych przeciwwskazań, był zawsze zdrow jak ryba, serce miał jak dzwon. Jednakże właśnie dla silnych mężczyzn krzyki żony i widok krwi często okazują się bardzo wielkim stresem; niejeden błędnie i mdleje na sali porodowej. Tak było i z moim ojcem. Nagle zbladł, a po chwili upadł.

Lekarz uśmiechnął się pod wąsem, słysząc łoskot padającego ciała – ot, kolejny młody byczek, który nie wytrzymał – ale zbyt był zajęty wydobywaniem mnie z brzucha matki, żeby choć spojrzeć w stronę taty. Również pielęgniarka, która asystowała lekarzowi, trzymając w pogotowiu kleszcze, aby wyciągnąć mnie siłą, gdyby się okazało, że się zaparłam i nie chcę wyjść po dobroci, uznała, iż nie powinna w tej chwili zajmować się zemdlonym, zdąży go nucić, kiedy już będzie po wszystkim.

Zresztą wszelkie zabiegi, aby ratować ojca, i tak byłyby psu na budę: padając, tak nieszczerświe uderzył głową o kant kamiennego stopnia, że podstawa czaszki uległa złamaniu. Skonał, tuż po piątej, zanim ja wydałam pierwszy krzyk. Po chwili przeraźliwy krzyk pielęgniarki, gdy wreszcie spojrzała na ojca i zrozumiała, co się stało, zlał się z moim.

Kiedy rodzice pobierali się rok wcześniej, mój tata był wziętym młodym architektem, a mama dwudziestoletnią sekretarką, która kilka miesięcy wcześniej zatrudnił w swojej firmie. Po ślubie mama pracowała nadal, chcąc spędzać jak najwięcej czasu w towarzystwie ojca, zrezygnowała dopiero na tydzień przez pologiem. Nagła śmierć taty pozostawiła ją bez męża, bez pracy i praktycznie bez środków do życia, bo wszystkie dotychczasowe dochody inwestował w firmę. Rodzice mamy byli zbyt ubodzy, żeby ją wesprzeć finansowo, zresztą musieli się troszczyć w pierwszej kolejności o jej młodsze rodzeństwo. Zaproponowali, że może u nich mieszkać; była

im wdzięczna i za to, choć wiedziała, że jej dwóch sióstr wcale nie ucieszy wiadomość, że znów będą musiały dzielić z nią pokój. Nie tylko z nią, ale i z niemowlęciem.

Na szczęście z pomocą młodej wdowie przyszedł teść. Powiedział, że może przyjechać z córeczką na jego haejendę i mieszkać, jak długo będzie chciała. Dom jest wielki, więc spokojnie się pomieszczą, a zdrowy, wiejski klimat na pewno dobrze zrobi małżeństwu. Co więcej, będzie mogła poświęcić dziecku całą swoją uwagę, bo sprzątaniem i gotowaniem zajmuje się służba. Dość liczna służba, jak to zwykle na starych haejendach; samych kucharek jest sześć.

Mama ogromnie ucieszyła się z oferty, bo choć jej ślub z moim ojcem odbył się w stolicy, gdzie oboje mieszkali, to jednak miesiąc miodowy spędzili w starej, wspaniałej posiadłości tescia położonej u podnóża Sierra Gorda, toteż знаła ją dobrze. Rzadko spotyka się tak piękny zakątek, jak właśnie tamta okolica. Miałam wielkie szczęście, że właśnie w tym rejonie Meksyku było mi dane spędzić dzieciństwo, pod czułą opieką matki, dziadka i szczerze nam oddanej służby.

Bardzo kochałam dziadka, a on rozpieszczał mnie na wszelkie możliwe sposoby. Wciąż dostawałam od niego prezenty, najpierw różne wypychane zwierzęta, potem piękne lalki. Pamiętam, że kiedy miałam pięć czy sześć lat, uwielbiałam przychodzić do niego i siadywać mu na kolanach, kiedy pracował w swoim gabinecie. Przez kilka chwil siedziałam spokojnie, ale potem zaczynałam się wiercić, prowokując go do tego, żeby mnie laskotał. Nie wiem, jak mnie dziewczynki w tym wieku, ale ja uwielbiałam laskotki; zatracalam się we własnej bezradności i śmiechu, a parę razy nawet posusiałam się z radości, mocząc sobie sukienkę, a dziadkowi jasne bawełniane spodnie, w jakich zwykle chadzał. Wciąż pamiętam mokra plamę na jego udach, którą zobaczyłam za pierwszym razem, kiedy to się stało, gdy – czując, co mi się przytrafiło – zeskoczyłam speszona za podłogę. Było mi strasznie wstyd, ale dziadziś mnie nie zlał, tylko z uśmiechem przyłożył palec do ust, na znak, iż nie nie powie mamie.

Wolałam siadywać na kolanach dziadka niż mamy czy Rosity, mojej grubej indyjskiej opiekunki. Niby trzymał mnie tak samo jak one, ale zarazem inaczej. A poza tym one nie lubiły, kiedy zaczynałam się wiercić; natychmiast kazały mi albo zejść, albo się uspokoić. Dziadkowi jednak moje wiercenie wcale nie przeszkadzało: zwykle sam mnie laskotał, żeby mi wierciła się jeszcze bardziej. I gdy tak podskakiwałam szczęśliwa na jego kolanach, zachlystując się własnym śmiechem, czasami miałam wrażenie, że między udami ma jeszcze jedną nogę, o wiele krótszą i cieńszą od pozostałych dwóch, taką w sam raz jak dla krasnoludka, która wrzyna mi się w przedziałek między pośladkami. Lecz nigdy nie pytałam dziadka o tę jego małą nóżkę, coś mnie powstrzymywało. A potem podrosłam i mama powiedziała mi, że już jestem za stara, żeby siadać dziadkowi na kolanach.

Jednak to jeszcze wtedy, gdy niemal codziennie huśtał mnie na kolanach, dowiedziałam się, że dziadek nie ma nogi. Chodził oczywiście z laseczką i lekko utykał, ale powiązałam to z jego kalectwem dopiero po tym, jak zobaczyłam go zdejmującego protezę. Tyle że to, iż jest to proteza, dowiedziałam się od mamy, kiedy pobiegłam do jej sypialni, histerycznie zanurzając się w płaczem. Widząc, jak dziadek wyciąga z długiego buta nogę pozbawioną stopy, byłam przekonana, że właśnie w tym momencie stało mu się coś złego, a jego stopa została w bucie.

Dziadek zwykle wcześniej udawał się na spoczynek, a w każdym razie szedł do swojej sypialni na piętrze i zamykał za sobą drzwi. Mama wiele razy

mówiła mi, że nie wolno mu wtedy przeszkadzać, ale pewnego dnia postanowiłam, że nie będę się jej pytać, tylko pójdę powiedzieć mu dobranoc. Miałam pewnie świadomość, że robię coś zakazanego, choć prawdę mówiąc, po tylu latach nie pamiętam, jak to właściwie było, i prawdopodobnie nie zdobyłabym się na odwagę sama nacisnąć klamkę, ale drzwi były uchylone. Ujrzałam dziadka, który w samych kalesonach siedział na łóżku i zdejmował buty. Jeden zdążył już zdjąć. Postąpiłam krok naprzód, z fascynacją wpatrując się w ogromną białą stopę dziadka, jeszcze nigdy nie widziałam tak wielkiej. Ale z drugiego buta wcale nie wyloniła się jej bliźniaczka, tylko sam kikut! Krzyknęłam; dziadek na ten dźwięk poderwał się z łóżka i zaczął na jednej nodze skakać w moją stronę, coś do mnie wołając. Lecz ja z rykiem uciekłam do matki.

Długo trwało, zanim wreszcie uspokoiłam się na tyle w jej ramionach, że mogła mi wyjaśnić, że dziadek stracił stopę dawno temu. Nie wyjawiała mi tylko, w jakich okolicznościach; o tym opowiedział mi sam dopiero kilka lat później.

Ale wówczas, kiedy jako mała dziewczynka usłyszałam od mamy, że dziadek może odpinać i przypinać sobie nogę, ogromnie mnie ten fakt zafascynował. Musiałam jednak obiecać mamie, że nie będę prosić dziadka, żeby mi pokazał, jak to robi; powiedziała, że byłoby to niegrzeczne i mógłby się na mnie pogniewać.

Zabroniła mi w ogóle wchodzić na piętro, gdzie mieściła się sypialnia dziadka. Odczekałam parę dni, ale potem nie wytrzymałam i pobiegłam na górę, licząc, że znów zobaczę, jak dziadek odejmuje sobie nogę. Niestety; drzwi za każdym razem były zamknięte. Parę tygodni później weszłam jednak na piętro pod jego nieobecność, niby to asystując przy sprzątaniu pokojówce, i zajrzałam do ogromnej garderoby, w której wisiały jego ubrania. Natychmiast rzuciły mi się w oczy trzy stojące obok siebie protezy, każda inna. Pewnie nie wszyscy inwalidzi mogą sobie pozwolić na taki luksus, ale mój dziadek miał aż cztery protezy, które nosił na zmianę.

Weszłam do garderoby i usiadłam na podłodze przy protezach. Przez chwilę tylko patrzyłam na nie, a potem z nabożną czcią wzięłam do ręki tę, która wydała mi się najbardziej intrygująca, a może po prostu najładniejsza: składał się na nią męski półbut ze skarpetką, powyżej której sterczał gołęb barwy ludzkiego ciała, wykonany z twardego plastiku i zaopatrzony w paski służące do zapinania poniżej kolana. Oglądałam protezę przez dobrą chwilę, zanim służąca zobaczyła, co robię. Zbesztala mnie i kazała udstawić „nogę” na miejsce, bo pan będzie się gniewał. Powiedziała, że protez nie wolno dotykać nikomu oprócz starego Filipe, który przychodził je pastować. Jednakże od tego czasu zaczęłam się zakradać do sypialni dziadka, kiedy wychodził z domu; siadałam w garderobie i bawiłam się jego sztucznymi nogami. Przebywanie w zakazanym miejscu i гладzenie chłodnego plastiku i skóry sprawiało mi dziwną przyjemność. Dziadek musiał chyba zauważyć na wypastowanej powierzchni butów ślady dziecięcych rąk; nigdy jednak nie powiedział mi nic na ten temat. Pewnego dnia zupełnie niepotrzebnie wyjawiał mamie, gdzie byłam, kiedy mnie szukała. Odtąd drzwi sypialni dziadka zawsze pozostawały zamknięte na klucz.

A o tym, jak dziadek stracił nogę i że miało to miejsce w brazylijskiej dżungli, dowiedziałam się od niego samego dopiero na kilka dni przed moimi dwunastymi urodzinami. Ogromnie mu współczułam po wysłuchaniu tej opowieści i odtąd – jeśli to tylko możliwe – kochałam go jeszcze mocniej. Jak najwięcej czasu spędzałam w jego towarzystwie; najbardziej lubiłam wyprawiać się razem z nim, kiedy wyruszał konno na objazd posiadłości. Wtedy bowiem, jadąc z nim strzemię w strzemię, miałam

go wyłącznie dla siebie. To podczas jednej z tych przejażdżek opowiedział mi o innej swojej podróży w głąb dżungli, podróży, podczas której na pewno straciłby lewą stopę, gdyby jeszcze ją miał. Najwyraźniej utrata stopy była mu pisana, więc na wypadek, gdyby raz zdołał umknąć przeznaczeniu, los z góry zastawił na niego drugą pułapkę. Kiedyś opowiem wam i o tym.

Ponieważ dziadek był jedynym mężczyzną w naszym życiu, jeśli nie liczyć służby, nie zdziwi chyba nikogo, jeśli powiem, że mama i ja rywalizowałyśmy o jego względy. W każdym razie ja w pewnym momencie dostrzegłam w matce rywalkę i zaczęłam ją traktować odpowiednio; z zazdrości, że zostanie z dziadkiem sam na sam, w ogóle nie chciałam wychodzić z domu, tylko całymi godzinami przesiadywałam w salonie, nawet jeśli dziadek przebywał nie tam, tylko na piętrze, w swoim gabinecie. To wtedy odkryłam książki, bo jednak coś musiałam robić, żeby się nie nudzić, gdyż mama nie pozwalała mi zbyt często oglądać telewizji. Kiedy mama kazała mi iść bawić się na dworze, byłam przekonana, że robi to specjalnie, aby odsunąć mnie od dziadka. Nienawidziłam jej wtedy tak głęboko, że chciałam, aby umarła, bo wtedy nie musiałabym go z nikim dzielić.

Czułam, że mamę i dziadka łączy coś, co skrytanie ukrywają przede mną. Niby nic w ich zachowaniu na to nie wskazywało, a jednak ja, z wnikliwą intuicją zazdrosnego podlotka, miałam wrażenie, że ilekroć są razem, w powietrzu wytwarza się dziwne napięcie. Nie chodziło o sposób, w jaki zwracali się do siebie, o ich gesty, uśmiechy czy tembr głosów, bo rozmawiali ze sobą rzadko, jak to zwykle ludzie od lat żyjący pod jednym dachem; mimo to miałam wrażenie, że przebiega między nimi niewidzialna lina, cienka jak pajęczka, lecz mocna jak stalowy łańcuch. I jeśli jedno z nich szarpie swój koniec liny, drugie natychmiast na to reaguje.

Zaczęłam ich podglądać. Już nie wzbraniałam się, kiedy matka kazała mi wyjść na dwór. Ale po kilku minutach wracałam do środka i nie wydając żadnego dźwięku, stając się wolno na palcach, żeby nie uczynić najmniejszego hałasu, najcichszego szelestu, skradłam się w stronę salonu i bez słowa stawałam w drzwiach. Nie wiem, na co liczyłam, co właściwie spodziewałam się zobaczyć. Ale mama i dziadek zwykle siedzieli tak, jak kiedy opuszczałam salon. Mama przy oknie, zajęta ręczną robotką. Dziadek w głębokim fotelu, pogrążony w lekturze jednego z opasłych tomów, które wypełniały szczelnie regały stojące w niemal każdym z pomieszczeń.

Prawdę poznałam w pewną burzową sierpniową noc.

Obudził mnie grzmot. Przerażona, usiadłam na łóżku, po czym natychmiast, gdy tylko spojrzałam w okno i ujrzałam przez strugi deszczu błyskawice przecinające niebo, z krzykiem wyskoczyłam z pościeli. Odkąd tylko pamiętam, zawsze bałam się ulewy z piorunami; pół biedy, kiedy dopiero zaczynało padać, bo wówczas po prostu zamykałam się w szafie razem ze swoim ukochanym misiem, nakrywałam nas oboje kocem i czekałam trwożliwie, aż odgłosy burzy ucichną. Nie umiałam opanować strachu, ale ze wstydu przed dziadkiem, który wyśmiewał moje obawy, nauczyłam się radzić sobie z nimi sama. Co innego jednak, kiedy burza zaskakiwała mnie w nocy. Wówczas nawet odległy loskot pioruna wzbudzał we mnie zwierzęcy, atawistyczny lęk. Tak było i tym razem.

Wypadłam na korytarz i pomknęłam w kierunku sypialni mamy, pragnąc skryć się w jej ramionach przed tym, co działo się na zewnątrz. Ale mamy nie było w pokoju.

Zdesperowana, zajrzałam do łazienki, po czym pognalam do kuchni, ale tam mamy również nie było, a w jadalni, salonie i pozostałych pokojach nie

palily się światła. Moja panika sięgnęła zenitu. Nie wyobrażałam sobie, żeby mama mogła wyjść z domu w środku nocy, ale wszystko zdawało się na to wskazywać. Czyżby dziadka też nie było? Nie mogłam uwierzyć, żeby mogli pozostawić mnie w domu samą. Postanowiłam to sprawdzić. Zawahałam się jeszcze z ręką na poręczy schodów, pamiętając, jak dziadek zawsze nabijał się z mojego lęku, ale strach ściskający mnie za gardło nie pozostawił mi wyboru. Wbiegłam szybko po schodach na piętro i nacisnęłam klamkę do sypialni dziadka. Na szczęście – a raczej, jak się miało okazać, nieszczęście – drzwi ustąpiły od razu.

Natychmiast ujrzałam też mamę i dziadka. Oboje nadzy, siedzieli na łóżku naprzeciwko siebie, mocno odchyleni do tyłu i wsparci na lokciach. Dziadek miał obie nogi zgięte w kolanach, a mama jedną zgiętą, a drugą wyprostowaną, uniesioną w taki sposób, że stopa dotykała ust dziadka. Stałam ja wryta, zapomniawszy o burzy, zapomniawszy o swoim lęku, wpatrując się w tę dziwną scenę.

Ich mokre od potu ciała lśniły w blasku świec palących się w ciężkim srebrnym lichterzu stojącym na stoliku. Kikut dziadka poruszał się miarowo między udami mamy, a jego usta ssaly w zapamiętaniu duży palec jej lewej stopy. Mama miała głowę odrzuconą do tyłu, tak że jej długie czarne włosy spływały na poduszkę. Oczy miała przymknięte, twarz wykrzywioną jak w bolesnym skurczu, natomiast z jej ust raz po raz wydobywały się ciche dźwięki, podobne do gruchania gołębia. Dziadek przestał ssać jej palec u nogi; teraz lizał długimi pociągnięciami języka podeszwę jej stopy, a ruchy jego kikuta stawały się coraz szybsze; wtém mama krzyknęła i jeszcze bardziej wygięła ciało. Sutki jej niedużych piersi celowały prosto w sufit, na jej wyprężonej szyi wystąpiły żyły. Rzuciła głową z boku na bok, a z jej rozchylnych ust wydobywało się ni to jęczenie, ni charkot. Nagle, w chwili, gdy za oknem znów błysnęło, dziadek zaś wsunął sobie do ust niemal połowę jej stopy, ciałem mamy targnął skurcz, potem drugi, uzozi; uniosła się, wyciągając niemal błagalnie ręce, jakby w tej chwili najbardziej na świecie pragnęła objąć dziadka, po czym zamarła w tej pozycji. Dostrzegła bowiem mnie.

Ujrzałam w jej oczach oburzenie, a jej usta otworzyły się w niemym krzyku, lecz nic powiedziała nic, tylko gwałtownym ruchem ręki dała mi znać, żebym sobie poszła. Po czym opadła na posłanie. Zwrócony do mnie bokiem dziadek mnie nie zauważył; nadal w zapamiętaniu ssal jej stopę, cały czas poruszając kikutem. Odwróciłam się i wyszłam bez słowa, pozostawiając ich samych.

Pożytek z tego doświadczenia był taki, że raz na zawsze przestałam się bać burzy. Najgorsze wyladowania nie są mi teraz straszne. Czyżby dlatego, że tamtej nocy przekonałam się, iż może być w życiu coś gorszego niż grzmoty i błyskawice?

Pół godziny później mama przyszła do mojego pokoju i powiedziała mi, że jestem jeszcze za młoda, aby rozumieć to, co widziałam. I ostrzegła mnie, abym nie wspominała o tym nikomu. A potem dodała takim tonem, jakby myślała o tym od dawna, tylko nie mówiła mi dotąd, bo pragnęła zrobić mi miłą niespodziankę, że w przyszłym tygodniu wyjadę do szkoły z internatem. Przyjęłam ten wyrok z pochyloną głową, bez słowa protestu, bo choć nie było mojej winy w tym, że nakryłam mamę i dziadka w łóżku, wiedziałam, iż musi mnie spotkać za to kara. Zawsze usuwa się niewygodnych świadków.

Tomasz Mirkowicz

(Fragmenty powieści)

JERZY KUTNIK

TOMASZ MIRKOWICZ

(1953–2003)

Tomasz Mirkowicz urodził się w 1953 roku w Warszawie. Jako nastolatek spędził kilka lat w Egipcie, gdzie zaczął poznawać tajemnice starożytności i nauczył się języka angielskiego. W 1977 roku ukończył studia anglistyczne na Uniwersytecie Warszawskim i postanowił zostać tłumaczem literatury. Od początku łączył pracę tłumacza z działalnością popularyzatorską i zainteresowaniami badawczymi, publikując oprócz przekładów dziesiątki recenzji i artykułów krytycznoliterackich w „Literaturze na Świecie”, „Gazecie Wyborczej”, „Ex Librisie” i innych periodykach. Zaczął zbierać materiały do rozprawy doktorskiej na temat *Finnegans Wake* Jamesa Joyce’a, a wstępne wyniki swych badań opublikował w postaci objaśnienia sześciu pierwszych akapitów powieści.

Od 1979 roku ukazało się dwadzieścia książek w przekładzie Mirkowicza oraz kilka przetłumaczonych przez niego wspólnie z innymi, m.in. z żoną Julią. Kilka z tych przekładów zapewniło mu pozycję czołowego tłumacza współczesnej literatury anglojęzycznej, czego wyrazem były nie tylko nagrody – „Literatury na Świecie” za tłumaczenie *Przemian* Harry’ego Mathewsa oraz Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich za Rok 1984 George’a Orwella – ale przede wszystkim sukces wydawniczy. Oprócz nagrodzonych pozycji, jego tłumaczenia *Lotu nad kukułczym gniazdem* Kena Keseya, *Honoru Przizich* Richarda Condon’a oraz *Malowanego ptaka*, *Randki w ciemno* i *Pasji* Jerzego Kosińskiego stały się bestsellerami i w krótkim czasie doczekały się kolejnych wydań. Czytelnicy tych książek docenili warsztatową doskonałość przekładu, którą Mirkowicz osiągnął nie tylko dzięki świetnemu wyczuciu języka, ale także dzięki erudycji, niezwykle dociekliwości i rzetelności oraz bliskiej współpracy z autorami. Ich zaufanie i podziw zdobywał nieustraszoną, de-
tektywistycznym wręcz dążeniem do wyjaśnienia najdrobniejszych szcze-



Tomasz Mirkowicz
na tle obrazu Franciszka Starowieyskiego.

głów – tak, by nie nie nronić z zawartości oryginału. Pisarze, których ilminaczyl, chętnie przyjeżdżali do Polski na jego zaproszenie. Jerzy Kosiński, Harry Mathews, Ken Kesey i Robert Coover zaliczali go do swych najbliższych przyjaciół.

Mało znany jest fakt, że jako tłumacz Mirkowicz ma też zasługi dla literatury rodzimej – na początku lat dziewięćdziesiątych w Stanach Zjednoczonych ukazały się jego dwa znakomite przekłady na język angielski *Drugiego zabicia psa* i *Wszyscy byli odwrócenii* Marka Hłaski. W 1984 roku zadebiutował także jako pisarz publikując w NOWej jako Tomasz Minona krótką powieść *Tunel*, wnikliwie i z humorem przedstawiająca Polskę czasów „Solidarności”.

Zc współczesną historią własnego kraju złączyło go jednak coś więcej niż tylko obecność w tzw. drugim obiegu. W 1986 roku Mirkowiczowie wyjechali do Stanów Zjednoczonych na kilkumiesięczne stypendium rządu amerykańskiego, a klucze od swego mieszkania zostawili znajomemu z dyspozycją udostępnienia go w razie potrzeby ukrywającym się działaczom podziemnej „Solidarności”. To właśnie w ich mieszkaniu został aresztowany Zbigniew Bujak. Mimo nieuchronności represji, wrócili do kraju. Aresztowano ich jnż na lotnisku.

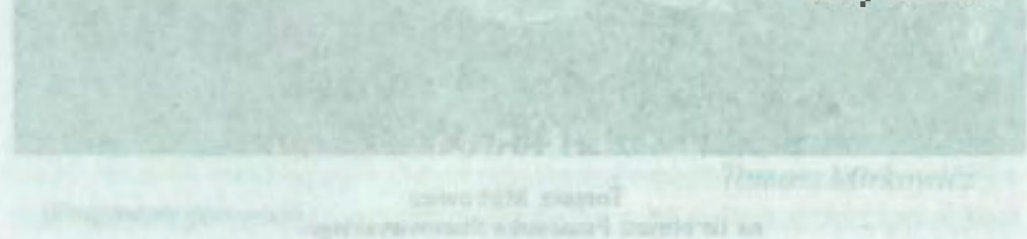
W latach dziewięćdziesiątych Mirkowicz powrócił do własnej twórczości, publikując m.in. w „Akcentie” opowiadania, które w 1996 ukazały się jako *Lekcja geografii*. Ta niezwykle i przeczabawna książka, będąca zbiorem lipogramów, czyli 23 tekstów, z których każdy pozbawiony jest jednej litery alfabetu, została przyjęta entuzjastycznie przez recenzentów, zgodnie podkreślających, że oto w polskiej prozie pojawił się talent prawdziwie nowatorski i zarazem staromodnie elegancki, wyrafinowany i subtelny, a jednocześnie całkowicie przystępny. Swą niewiarygodną wręcz erudycję wykorzystał Mirkowicz do szatańsko przemysłnej i jednocześnie dziecinnie radosnej gry z czytelnikiem w zacieranie i odgadywanie, co jest prawdą, a co zmyśleniem, wielokrotnie dowodząc, że dla nieokielzanej wyobraźni logika w żadnej mierze nie jest bardziej godna zaufania niż absurd.

Ogromną wiedzę na temat kultur antycznych, zwłaszcza starożytnego Egiptu, wykorzystał w jeszcze bardziej przewrotny sposób w wydanej trzy lata później powieści *Pielgrzymka do Ziemi Świętej Egiptu*. Jest to utwór na wskroś postmodernistyczny, mieszający metafikcję i powieść encyklopedyczną z gatunkami popularnymi. Krytycy zgodnie uznali książkę za jeden z czołowych przykładów nowej prozy.

Tłumacząc kolejne powieści – m.in. opublikowane w 2000 roku *Adiasto widma* Roberta Coovera – Mirkowicz pracował nad następną powieścią (z niej pochodzą publikowane tu fragmenty). Nic było mu jednak dane dokończyć dzieła, podobnie jak nie zdołał przygotować do obrony prawie koniplcinej rozprawy doktorskiej o nylogii Harry'ego Mathewsa *Przemiany. Zatonięcie stadionu Odradka i Tlooth*. Przedwczesna śmierć przerwała rozkwit jego niepowtarzalnego talentu. Ostatnie tygodnie życia poświęcił przygotowaniu dla Biblioteki Narodowej w Warszawie wystawy obrazów i plakatów Franciszka Starowieyskiego z własnej kolekcji. Największy z posiadanych obrazów przekazał bibliotece w darze.

Odszedł wybitny intelektualista, człowiek, który potrafił czerpać z życia i z pracy. Radośnie dzielił się z innymi swą mądrością i ciekawością świata. Ohdarzał miłością i przyjaźnią ludzi i koty.

Jerzy Kutnik



ZYGMUNT KORUS

Ach to po pierwsze

Jadę chyba za długo
na długich światłach,
zbyt brawurowo.
W deszczu, mokre liście na jezdni,
kaluze, lśnienia odbłasków;

gdy ujrzałem cię
w trykotowej sukience
na ramiączkach, długiej, zapinanej z przodu.
Na plaży, ustronnie, pochylasz się nade mną.
Pośpiesznie rozsupluję guziczki,
byś osłoniła nas polami
od wiatru i ewentualnych oczu.

Zapewne z nadmierną prędkością
pedzę w upalny dzień
(podejrzewam pstryknięcie fotoradaru):
umyka przed autem po asfalcie
warstewka rozgrzanego powietrza.
Nazwijmy ją *sfumato*

bo przywodzi na myśl ziarnistą fotografię,
gdy w sylwestrową noc,
zaraz po toście
(radosna, pąsowa, ośniczona,
falbanki, futerko, konfetti w puklach)

wyszliśmy przed hotel
do zdjęcia-intermedium
przed kolejną wiązką:
by za chwilę te płatki i cekiny
topniały wklejane do pościeli.

Jak to tak –
stałe jeżdżąc
wciąż mam podwójne szczęście,

bo – po drugie – jak dotąd
nawet nie rozminilem obola
jako zapłaty
za zamyślenie i gapiostwo.

Autoservice

Nagle zima. Ciężarna ściegła mgła. W ostwiałej bieli. Szadzi.
Za serpeniyną jesień. Złote sosenki w szkółce. Linearny brzeźniak.
Tuż przy moście kaczęce. Turkusowy zawijas rzeki. Pióropusze bazi.
Na setnym kilometrze zniwa. Kosiki i batony. Ze słomy. Papicrówki w
sadzie.

Promienie. Strugi. Rzęs cedzak...

Bo jakże to możliwe – by spod przymkniętych powiek,
zakłócając bezgłośnie trzaskaniem migawki,
ciemnością mrugnąć,
na siałkowie otwartych oczu
na to co jest i czego nie ma
– mieć krajobrazy mijane i zapamiętane,
bez usług serwisowych
takich jak natychmiastowa wymiana opon
zimowych na letnie
i okularów dwusoczewkowych doposażonych
w noktowizor i zoom?

back line

Niby na ciągu bramek piłkarskich
trakeja elektryczna
drewniane słupy
rozdzielnie podwieszane w beczkach
przypominających bojłery
na zapleczu drapaczy chmur
w uliczkach dojazdowych zwanych *back line*

Jakże to pouczające
gdy trolejbus gubił line
a nieposłuszny pantograf
czył skrzyżowanie skamieniałym
podobne obliczu medytującego Indianina

W mrowiu narkomanów
jakby porażonych prądem

Dwie podstawki

Dwoje staruszków opickuje się nawzajem.
Pojękują, postękuja, posapują.
Brak cierpliwości, nawet irytacje.
uśmierzają tolerancją i zwyczajnie – wybaczeniem.
Naciera mu kark.

Kłęczy u jej stóp – wycina odciski.
W niedzielne dopołudnie nastawia rosół.

ubiera kapelusik
i z laseczka drepcze do kościoła.
On się goli,
pilnuje by nie wykpiąło,
niepostulsne nogi
służą jedynie do mszy
z radia.

Gdy się żegnali,
na pozor powściągliwie,
dyskretnie wynieśli czule spojrzenia
– gdzieś w głąb...
ad limitum.

Na stole leży nowutki aparat do mierzenia ciśnienia
– podarunek od gromady dzieci i wnucząt.
Ten cud techniki z migocącym wyświetlaczem
ma dołączoną plastikową podstawkę pod przegub;
babcia z dziadkiem trzymają w niej guziki i śrubki,
a mierząc puls kładą dłonie wyżej
na albumie ze zdjęciami.

Przesył potyka

Dwa przecinki po sobie, błąd ortograficzny
lub słowa zestawione w meandryczną frazę
Na plonie ślad zostawia olej balsamiczny
dukt pędzla i kolory które ty mu każesz?
Ja?? ka?? L?d? gr?d?

Dowiednie via internet pełne znamion listy
ślemy do siebie znaki rozczytania godne
Czyżby słowa bez znaczeń miały sens oczywisty
jak katar po imbirze co potrawę zapłodnił?
Jazn każn Łódź gródź

Przymuszony uniesion machinalnie wariacko
wystukuję litery tnąc haczyki i kreski
Miałaby forma wiersza być logiczną tak chwacko
– a co język absurdu co smakuje pinezki?
Jazn każn Łódz grodz

Słowa na wolności
– ogryzki bez kości
w szpiku jakieś ości

Na razie w zarcie
polski
na pożarcie

W delcie Vancouver

Trzeba oddalenia by doznać
ze pamięć dźwiga ciężar geologiczny
Bliscy zmarli szybują nad zatoką
między wieczowcami na tle zielonych lasów
i ośnieżonych gór

wilgotno jak pod powiekami
Późnym popołudniem specjalnie
kromka czerstwego chleba
otapiana w jajku na patelni
pod pokrywką zduszona cebula
niegdysiejszej biedy
Odgarniasz szeleszczące luski
kroieś – ale czy machinalnie Izawisz?

Trzeba rozmów czasu i mił
uniciesienia
by odkryć ze pamięć nieuje archeologię
Samolocik lądzuje na płożach
orze morgi turkusowego Pacyfiku
Drewniane słupy szklane grusze izolatorów trolejbus
Wierzę w spirytualną energię – wyznaje
Patrzę jak kłębi się i zasysa w wir
pole promieniowania wokół trakeji elektrycznej
i tuuu! przemienia się w telepatię
Mam dowody – mówi z powagą – przytacza je
Bezwiednie używany zdrobnień
Dukam coś o laserach i przekazach satelitarnych
a słyszę mama tata babcia
„Znała tyle zwrotek!
Gdy grabiliśmy siano stała deklamowała mi wiersze”
A więc z kim teraz jestem?

Wyjmuje z szuflady magnes
by poznać anerie
ominąć pod skórą mieszkania tury i druty
bo wbijamy gwóźdź
dla czarno-białych ujęć w zdobnych ramach
wywołujemy klisze wstecz
oto uśmiech oto zaduma
kretonowa sukienka w kwiaty dyszący parowóz
żużel polamane sztachety na tle nastawni
Zgodnie nie cierpieliśmy kaszy
teraz smakujemy krupnik
choć potrzebujemy jakichś opilków
by przesuwając biegunami nad obrusem
wyczarować przyciąganiem słów
jedyne linie papilarne
naszego rodzinnego ja
dokopać się
skorup korzeni kruszców
t o z s a m o ś c i

* * *

Łaty fastrygi przenicowane
czym podszyty
wielki świat?

Wielki świat –
obolały opuszek
co zapomniał o naparstku

Zygmunt Korus



Ryszard Stryjec: *Młotpa*, 1990, akwarela (39 x 51 cm)

„Nie mieć białego gromu A chmurę mieć...”

Słowo o poezji Czechowicza w 100 rocznicę urodzin

Nie żyjemy już przekonaniem, że prosta droga jest najkrótsza. Epoka nieuchwytnie przekształca się w pole rozgrywki z systemem immunologicznym i kulturowym; pole nieustannie jest rozszerzane przez technologię transplantacyjną i kosmiczną. Wieloznaczność nas samych nie jest w stanie wytrzymać przyspieszenia wybuchających światów.

W reklamie finny produkującej systemy lokalizowania obiektów na Ziemi z satelitów – spunki czuwają nad pozycją samolotów, statków i samochodów niczym Anioł Stróż. Kto jeszcze miałby problemy z wiarą w anioły?

Nad sytuacją wolnorynkowego przewrotu czuwał na początku XX w. poeta, do końca nie podejrzewający Anioła o przewrotność.

*Nad pogrzebem balkon chorągwie i trumna
w chmurze samolot
w porównaniu z człowiekiem który to zrozumiał
lokomotywa ekspresu – nie kulus
we wstach mlacanie nie dziwi krów
piosenka kabaretu od płotu do płotu
jedyna rzeczywistość udreżeni mu coś ze snów
każdy nie wierzyć jest gotów*

*Reklama rzeczy za reklamą
sygnał świeci du sygnału
z ostrych gwizdawk i kłębów pary wlotu
znać tempo życia wciąż to samo
mimo szybkości obrótów*

(ampulki, str. 4-15)

Uczestnictwo w pogrzebie i dystans, z balkonu. Im wyżej – chorągwie – tym gra bardziej oddala się od kategorii estetycznych. „Trumna” to koniec wersu, proch, lecz i metalizyczna całość, w której wte życie! Wręcz mechanizm z muzyką sfer, narty wszak na mlacaniach i piosence. Porównania na wietrze...

Potęga kreacyjna języka jednak nie podlega przecenieniu. Piękno wieloznaczności.

Na ile rzeczy wylaniające się spoza języka konstytuują nasze istnienie –

*złota kobieta stoi w jeziorze po pas
jest bardzo wielka mała i niewysłowna
mówi rzeczy są obce powiedły dźwięki nazw
a wy nie chcecie wiedzieć dlaczego
więc puste są ramiona
jedyne
nie ma was*

(synleza, str. 183)

* Wszystkie cytowane wiersze Czechowicza pochodzą z wydania *Poetry zbioru*, 1977, z opracowaniem Aleksandra Miody. Wyd. ALOO, Toruń 1977, ss. 638.

Namysł nad niezwykle darem Czechowicza do łączenia w poezji magii ze zmysłem obserwacji wewnętrznej i zewnętrznej rozpinam na dwóch fragmentach obrazujących obecność kobiety w wyobrażeniu języka rzeczy i przeczuć. Owo wyobrażenie jest właściwie czyhaniem na porozumienie, a idąc dalej – przylapywaniem go na nieobecności. W tej wyobraźni chodzi o rzeczy spoza języka, ślad obraz wody sięgającej po ślad odcięcia pepowiny, bardziej poniszający wyobraźnię niż wody ohmywającej biodra.

Swój pendant odnajduje on w drugim wierszu, który przywołam w końcowej części eseju, poświęconej wątkom erotycznym tej twórczości. Wtedy obraz „idealnego” języka staje się w pełni zrozumiały dzięki zakończeniu wiersza rymem homosemantycznym: *cichną II Marychno*. Pod pręciami rozpiętym na tych dwóch obrazach przepływają pozostałe wiersze, ich zagadkowe pejzaże niczym krynice znaczeń modelują wielowymiarową rzeczywistość styku przeczuć i rzeczy.

Mowy poezji wydobywającej rzeczy z *nienazwanego niejasnego* używają nieświadomie nawet ci, którzy w poetyckim języku nie czytają, krąży on bowiem jak pieniądź, chociaż wszechstronnie, bo na różnych poziomach świadomości i nieświadomości. Obiegowa sentencja głosi, że Anglicy zanim znaleźli się we władzy „Times’a”, mówili językiem Szekspira, bez świadomości cytowania. Bezwiedni wykonawcy – czy to już krąg przekleństwa, że nie wiemy, co czynimy słowem i ze Słowem? Czechowicz próbuje ująć językowo tożsamość pamięci i przeczuć. Taki język nas pociąga i zarazem nam ucicka. Czy tylko mamy wyobrażenie wybuchającego wszechświata, czy również nim jesteśmy?

Stojąca w płynnej, acz zebranej w postać jeziora materii, uosabia potencjalną energię rzeczywistości niewydojanej językiem uprzedmiotowienia. Woda sięgająca po pas, po ślad odcięcia od źródeł języków, również po ślad przejścia między wymiarami, jakże to pobudzający wyobraźnię obraz. A więc słowo w punkcie „ucieleśnienia” – „bardzo wielkie w małym” – pozostaje niewysłowne...

Żyć nie uprzedmiotawiając życia, czasu, rzeczy – czy to możliwe, kiedy ma się ciało? Może się okazać, że tak – ale należy zaniechać kwestii, za jaką cenę, gdyż ta wywodzi się z rzeczywistości uprzedmiotowionej! Tylko iść: *dokąd iść // z wierszem jak dym niepotrzebnym – idźcie idźcie dalej*.

Rzeczy są jak matka na drodze kształtowania języka, niewysłowna mówi rzeczy do nas, a wtedy rzecz są i stają się na naszych oczach. Jeśli wciąż jednak posługujemy się (obcym, zwiędłym) językiem uprzedmiotowienia, to niewiedza nasza spowodowana jest wolą tkwienia w skostniałej uludzie: *Czyż obce powiedły dźwięki nazw* wyjątkowo nie dotyczy określenie „istota rozumna”, owego ubezwłasnowolnienia właśnie nazwą? Poza ramionami, poza ucieleśnieniem prawdy nie ma niczego ze świata człowieka – i nie ma was. Niewypelniona otwartość „jedyne” jednak pozostaje, ale nie czeka. Aczkolwiek frazy *puste są ramiona* i *jedyne* okazują się niewyczerpująco interpretowane gdy wyczytać z nich projekcję metafizycznego kochanka *złotej kobiety*, tym niemniej pierwiastek erotyczny śladowo zawarty w tych strofach służy ukazaniu miłosnej więzi jako budulca i fundamentu w kształtowaniu języka, którego rdzeniem jest afirmacja życia. Rzeczywistość spoza języka w istocie nie czeka na swego odkrywcę, raczej jest tak, że jako obca pozostaje wyzwaniem. I może to sytuacja jak z obrazu Monei *Wrażenie*, na którym rzecz wistość uchwycona jest w trakcie „wynurzania się” wraz ze wschodzącym nad wodą słońcem. Płynny żywioł, powierzchnia refleksów i jedyna, jakże nikła rzecz – łódź, i dwójka ludzi.

Związek *złotej kobiety* i *jedyne* to niewysłowna dynamika trwania w stawianiu się, wylamania się rzeczywistości z twórczego fermentu podmiotu. *Mówi rzeczy, rzeczy są, są obce* – to ilustracja momentu krytycznego styczności znaczenia i oznaczania w mowie tak, że stają się jednym.

zarówno treścią i formą, budulcem świata i jego opisem. Jak Słońce należące do tzw. rzeczywistości, które jednocześnie wydobywa ją światłem. Jak część widoczna i niewidoczna. *kobiety stojącej w jeziorze po pas*. Złota kobieta nad powierzchnią wody opisuje istnienie rzeczy i jednocześnie uobecnia niewysłowiony związek z realnością świata podwodnego. *Po pas jest*, ale której części miałoby nie być? Okazuje się, że każda część, na ile jest, na tyle zarazem staje się drugą – i czymś więcej... np. całością!

W głębi planu, jak podkład malarski, przebijają pierwsze obrazy z *Genetis* (Duch Boży nad powierzchnią wód, stanie się światłością, oddzielenie od ciemności) oraz prologu Ewangelii św. Jana (*Słowo na początku*).

cyganka dzwonu spódnicy
dzwon cyganka smagły przegub
siadający
rozkwit południowych brzegów
(nuta na dzwony, str. 187)

Łoniwa, usypiająca znużliwość – niemal z czasu sjęsty, delikatnie skontrolowana monotonią przenosi ludu wędrownego, samo niezastępienie. Nieustannie prowokowanie do rozkwitu, w tempie południowych mór. Jak długo da się wytrzymać to zawieszenie, ciężkie niby dzwon. *Smagły przegub* jakże sugestynie uobecnia bicia dzwonu i tętno (po bledszej stronie przedramienia):

choinek dzwony wzdłuż toru
o wagon biją jak puls
złotociego wieczoru
wyglądam na rozległych pół
pagórki wanne przgórki dzwonne
po widnokręgach lubię się włóczyć
przystają tu i tam pokłonem
leżącym wiołincowym kluczem
(nuta na dzwony, str. 187)

Prostota obrazu i zawilość znaku muzycznego. Usypiający dzwon, z początkowego zawieszenia jak kwiaty rozkwitu, z wolna osiada, pagórki jeszcze wyglądają niczym w ziemi pogrążone dzwony, zanim nadejdzie inny dźwięk:

dla czego dzwonem są te siwy oczy
w książeczce wypelzle
dla czego brzozy
plamień boleśny
na baranków bąbielnią węg
o dzwony dzwony dzwon mniotenny
wszędzie jest dzwone rzeczy zdań
dytonizmem cienia natchniony
stań
bo cygankę dzwon spódnicy w choinach
bo pagórki wieczorem innde oczu siwy maw
sen w miadzie przypomina
ale naprawdę czas już wstać
plynne po falach pracach godzinach
wpław

(str. 187–188)

Wpław, ziemię odgarniając pracownicą niż korzenie – oto nieustanny sen poety o rzeczywistości. Człowiek płynący nie tylko przypomina w warstwie obrazowej wychylony i pogrążony w ziemi dzwon. Podmiot ucieleśnia ów dzwon i podnosi w wyższy wymiar jego funkcje, staje się niejako przedłużeniem dzwonu – gdy ten nieruchomieje, sercem uderzającym w dzwon stają się ręce przebiegające w żywiole. Spódnica okazuje się w tym kontekście ledwie pretekstem do uobecnienia „spodu” rzeczywistości. Magia zawieszonych fundamentów naoczego świata. Słońce i Księżyc, wyobrażenia i ręce. O ile ten obraz stanowi odniesienie do wcześniejszego, majestatycznie *stojącej w jeziorze po pas złotej kobiety*, o tyle zarazem wydobywa sens aktywności człowieka, czasu jego życia, miłości i poznania. Jakże groteskowo wygląda ów pływak na ile *niewysłownej*, ale jednocześnie jakże się w pracy staje... wciąż się staje. Łączy niebo z ziemią, wypracowuje światu osobowy wymiar. Niechże dopowie tę sytuację niemal „niemy”, piękny, nieokazale wielki wiersz *oblaki*.

chłonę się drę i dzielę i rosnę w zakazach
te kamienie bez wagi skąd z fruujących krajów
czy może tuman pyłu po niewidzialnych wozach
oblaki ujrzeć z góry to ujrzeć nów rozłogi
świat z białymi dziurami niły książkę we śnie
uczy się niepokoję wiedzy szukają drogi
bo uczy płam nie lubię ślepoty oni pieśni
jest druga pod obrymim niebem nisko na którym
oblaki oblaki oblaki drogą idzie staruszka tobałek
nieście w ręce ciemnej spracowanej

(oblaki, str. 235)

Majstersztyk jeśli chodzi o wyraziste ujęcie nieba i ziemi a równocześnie zatarcie granicy między nimi. Wiersze Czechowicza wciąż twórczo ukazują wielkość ludzi na wsi, bez patosu wyrażając ogromny szacunek dla człowieka, który zmierza do punktu styku nieba z ziemią, nie zatrucając w znojmym życiu poczuciu uczesnictwa w pewnej zasadzie żywiołowej rzeczywistości.

Wyczulenie na obecność niewidzialnego, tego co wpływa na wspólne i indywidualne poczucie realności, budowanie sensu, stanowi oś postawy poety w podejmowaniu wyzwania od przeczuć Tożsamości. W postawie tej wyróżniam trzy warstwy, które się przenikają w poszczególnych utworach.

1. Odczuwanie grozy w zachwycie nad potęgą ślepej twarzy rzeczywistości, która jest jakby przejściowym skupieniem energii, wielkim niemową z drzemiącymi w nim tropami znaczeń, ze ścieżkami wyprowadzania zeń przyszłych kształtów, wyzwalań energii. Przechodzić od tej grozy do mistycznego niemal poczucia bezpieczeństwa we wszechrzeczy – oto życiowa konieczność.

2. Utrzymanie wyższego stanu czuwania nad płynnością poczucia tego, co realne – bowiem bez rygorystycznie użycywanego poczucia realności niemożliwe jest choćby podejście do rozkodowywania rzeczywistości pozajęzykowej.

3. Uściślanie języka wieloznaczności (paradoks iście królewski), dążenie do precyzyjnego ujmowania wieloaspektowości rzeczy w połączeniu z oddaniem jej osobnego stanu. Słowem – dążenie do zestrojenia bogactwa przejawów zwyczajności w kontemplacyjną pewność i obecność Całości.

Czechowicz przy tych właściwościach postawy artystycznej nadal kwestiom społecznym w swoich wierszach spirytualny ton – bez moralizatorskiego zadęcia obrazy nienaturalnej nędzy zestawia z tłem kosmicznego przepychu w groteskowy film, który stanie się ogólną katastrofą, jeśli ludzie wzajemnie nie przestaną zafalszowywać sobie rzeczywistości.

Wobec wieloznaczności poezji Czechowicza należy na nią spojrzeć w sposób nieskrępowany społecznymi uzasadnieniami, zbędne są również okazjonalne odniesienia do biografii poety. Sensy pulsujące w strukturze wiersza, odzwierciedlającej porządek *nienazwanego niejasnego*, są przecież dostępne czytelnikowi nie dzięki warunkom społecznym, w jakich on żyje. W takiej perspektywie tekst okazuje się powiernikiem obu stron.

W wierszach Czechowicza fascynuje czystość uobecniania bytów niewidzialnych lub wręcz ucieleśniania wyobrażonej obecności, zdolność ujmowania rzeczywistości w jej stawianiu się. To, co jest, *jest*, a zarazem się staje. Jeśli ta formuła nie ma pozostać martwym opisem, wręcz afiszem, lecz konstytuować dynamiczne poczucie rzeczywistości, to przyprawia ona o zawrót głowy, o falowanie twórczym rozszczepieniem

widać jak w teleskopie gwinzde to co było

(...)

to nie to to chwila uchodzi

(wąwozy czasu, str. 80)

Przypływy, odpływy w poczuciu rzeczywistości, tworzą napiętą i dynamiczną strukturę pogranicza jawy i snu. Poeta znicza do uchwycenia samej linii styku jawy ze snem, która w obszarze pogranicza jest najbardziej ulotna, cienka i nieokreślona. Tu spodziewa się odczuć pełnię poznania, na polu mistycznego i opisującego – *złota kobieta*. Świadomość połączona z emocją w owym stanie pośrednim między jawą a snem jest najlepszym medium (zupełnym) dla stawającej się rzeczywistości. Wytrącenie w którąkolwiek z obydwu sfer, wyznacza peryferyjność, ogranicza zdolności poznawcze, krępuje poczucie rzeczywistości, bierze w niewolę statycznej – iluzorycznej rzeczywistości.

Ta cienka linia styku... kształtem i ostrością przypomina górską grań. Lecz porażający jest dopiero metafizyczny hiatus, odstęp nie do przebycia, obrazowany równoległością szyn. Odstęp, który jak zarzewie pożaru wątpienia daje znać o sobie to tu, to tam – zaraz po tym, gdy wydal się zduszony. Daje o sobie znać w trakcie przebywania dystansu między słowem a procesem, tożsamością a przesurzeniem czy rozumieniem a potrzebą dotyku:

Nie uderzę się od gwiazd i nocy

(...)

mijamy się jak pociągi

szyny równoległe szyny zapalcie

niech nie będzie nieustannej rozłąki

Bo gdy spać nie mogę

(...)

widzę – że niebo to nie ja

(Wyznanie, str. 262)

Na różnych poziomach w wypowiedziach Czechowicza przebija niemal religijne dążenie do słowa wcielonego w desygnat, i nie tylko... *Jeśli się nie pisze tak, jak by się było z Nim sam na sam, nie ma po co pisać*. Zaznaczyć należy od razu tutaj, że chodzi Czechowiczowi o religijność wolną od ograniczeń ortodoksji. Jako zafałszowywanie traktował on wszelkie przejawy monopolizacji życia. Dramatycznie, choć nie wprost dopełnione zostaje wskazanie ze św. Łukasza (10, 42), gdy w jednym ze swych wierszy wchodzi poeta w materię niezwykłości zwyczajnego – *jedyność a tej tak mało*.

odpływa nowy mój kształt znów jeden znów znów

tak wbić banie powietrza płyną z dna stawu perł nów

byłabym leżąca tak pełna duchów jak spichrz

w niezrozumialej z nimi żyjącej paraleli

(sen, str. 173)

Jakże spirytualna sceneria życia w spichrzu, życia ziarna, które ma obumrzeć by żyć. Oto życie kształtów przeszłych, a w paraleli z nim dziwny podmiot! Obraz potężniejszy od równoległości szyn, chociaż mniej namacalny.

Nie często spotyka się oryginalne pisanie o splątaniu się jawy ze snem u fundamentu poczucia rzeczywistości, o kłopotliwości egzystencjalno-poznawczej, w której nie wszystko, co istnieje, zaraz ma być widoczne – chociaż widzialne, w dalszej perspektywie na pewno tak: jak z owym nowicem, tak zmysłowo wypełnionym przez banie powietrza. Banie te ukazują również pierzchliwość bytów oczywistych, niezbywalnych w potocznym nastawieniu. Banie unoszące się ku niewidzialnemu światłu, przyskająca senność realnego oczekiwania na spotkanie w jedynej rzeczywistości wcielenia.

jest to obraz człowieka i snu i słowa wyśpiwanego

dłaczego leżę tu i razem odpływam wzwyż

dłaczego on będzie tam a ja na blachach ikon

w głębinie ciszy

tu piersi czy naprawdę na piersi ciemnodłatego

(sen, str. 173)

W sytuacji dystansu między koszałką a malowidłem ikony Czechowicz nie chwyla się poczucia absurdu, które zawsze zawiera odcień mechanicznego nastawienia, by z jego pomocą rozwiązać bądź oceniać sytuację głęboko tragiczną. Jego artystyczna postawa jest bardziej wymagająca dla wydobywania sensu niż potęgowanie nierozumiałości dla otrząśnięcia się z tragicznego piętna.

czy nazwę cię słowem szanując słowo

któż wreszcie wyzna co trzeba

różne kuracie nieba

lub smutno mówić o grórze

Powiedzieć mędrcom, iż jest inteligentny, nie zakrawa na obrazę lecz w istocie nią jest! O to ociera się słowo w powyższym fragmencie, by otrząsnąć czytelnika z jego przypadkowych motywów, złudnych perspektyw, krótko mówiąc z głosłowania. Ow jedyny z wiersza *synteza* bliższy jest oblubieńcowi rzeczywistości istoczącej się, w której porozumienie odbywa się bez wyjaśnień, bez komentarzy. Tam mówi się rzeczy ze spokojem jasności, w kręgu sakralnym.

Pisząc o wieloznaczności składni Czechowicza M. Głowiński wysuwa propozycję *traktowania* (jego) *poezji jako bliskiej realizacji idei dzieła otwartego U. Eco*. Istotnie, wiersze te są konstrukcjami i tematycznie uohocnieniem aury oraz fundamentu twórczego podmiotu. Uważam, że wieloznaczność konstruowana przez Czechowicza uzupełnia przebieg poszukiwania tożsamości czucia z rozumieniem, znaczenia z oznaczeniem, stawania się z *jest*, w nie mniej płynnej niż sen i zaskakującej rzeczywistości jawy. W momentach dezorientacji inaczej patrzy się na poetę, który dotychczas funkcjonował np. jako oderwany od rzeczywistości, jako zamknięty w izbie sypialnej. Fenomen recepcji Czechowicza składa się z wielu figli, jakie płata jego poezja wartościowaniu, także przez wybitnych poetów, których wciąga ona w swoje neandry. Osady te weryfikowane są przez czas, a niektórzy komentatorzy sanu oddają szacunek pamięci autora i uznanie utworom: *obłoki*, *żał* i in.

W tym miejscu krótko usystematyzuję efekty składni Czechowicza:

1. Wiersz bez jakichkolwiek wyróżników (aczkolwiek wersyfikacja to już dużo) wygląda jak magma, w której wszystko jest zawarte, lecz nie nie wydobyte. Poszczególne słowa micnią się refleksami – ale ułożą się w znaczenia zależnie od kąta spojrzenia: to ze słowem poprzednim, to z następnym, to znów z niższym lub wyższym w zapisie, czyli przedpo-

przednim itd. Dopiero wszystkie wydobywane znaczenia unaoczniają jakby przestrzenność wiersza i języka chwytając znaczenia w stawianiu się. Właściwy sposób czytania tego „nie-znak” to monotoniczne, bez jakichkolwiek intonacji czy akcentu niemal wyliczanie słów. Nie pojawiają się zdania, lecz ich strzępy i to na chwilę, by ponownie wtopić się w magię słowna. Iluzoryczne rozumienie pryska pod naporem kolejnych skojarzeń. W tej fazie kontaktu z tekstem czytelnik często zraża się do dalszego czytania. Tym niemniej leniwie poruszone bile wyobraźni czasem trafiają do luzu, odbijają się echem!

2. Przy kolejnym czytaniu dokonuje się swoista demistyfikacja nastawień, uprzedzeń, oczekiwań – burzona jest rutyna. Wylanianie się znaczeń fraz, układanie ich w zestawy sensów, budowanie obrazu i nastroju, ucieleśnianie form dokonuje się przy aktywności i czujności czytelnika. Teraz jakby się wyrzynał język, z którym podmiot przystępuje do rozkodowywania rzeczywistości pozasłownej. Ow język jest współwypychany również przez pozasłowność – przesuwana bariera nienazwanego niejasnego po części okazuje się funkcja naszego bezwładu.

3. Efekt, gdy przed nami prezentuje się nowy przedmiot, świeży i choć nie wydzielony przecinkiem, nie mniej twardy i konkretny – poczucie odkrywczy łączy się z poczuciem nowonarodzenia. Oto wyjęty z okrojenia przedmiot. Warto było przelamywać się dla zobaczenia go takim.

Wielu komentatorów tłumaczy właściwości czechowiczowskiej poezji zdeintegrowaną osobowością twórcy, na której odcisnęły się warunki życiowe dzieciństwa, a w młodości dodatkowo nałożył się *dramat asymilowania w krótkim czasie rozbieżnych treści*. To jednak nie można poglądów, z jaką w swoim czasie miał do czynienia Czechowicz, decyduje o obliczu jego świata. To wyjątkowa czułość na wiele wymiarów rzeczywistości i zdolność nieprzypadkowego czy samowolnego lecz samorodnego zestawiania ich w symultaniczną całość, żeby nie powiedzieć pełnię.

Idąc zbyt łatwym tropem dostrzegają owi komentatorzy wrażliwość poety w napięciu między *amorficznością sfery przedmiotowej i potrzeba odnajdowania własnej identyczności*. Jednak *amorficzność sfery przedmiotowej* okazuje się kategorią opisującą niejako stan wtórny i zewnętrzny wobec podmiotu, bowiem przedmioty pojawiają się dopiero w określonej rzeczywistości. Czechowicz natomiast usiłuje dotrzeć do samej wrażliwości na realność i na słowo. Bada raczej swą gotowość i skupienie na przyjęcie, wzięcie, podjęcie rzeczy. Nie wiec dziwnego, że na przedmioty jest jeszcze za wcześnie. Chociaż ujmując rzecz dialektycznie, kryształizowanie się wrażliwości na realność nie odbywa się bez bodźca – to poeta akcentuje siłę patrzenia. Przekonuje o tym nie tylko wiele razy powtarzane *patrzę patrzę – przedmioty czyżbym się wstydzić was musiał // dla was powiem słowa inaczej*. Zatem napięcie występuje raczej między *potrzebą własnej identyczności* a dynamiczną, nie usatysfakcjonowaną wrażliwością na samą realność.

Podejście Czechowicza do doświadczenia realności stanowi niezależny przyczynek i ważny wkład do fenomenologicznego toku odrzucania przedmiotów z ucieki psychicznych i docierania do osnowy rzeczy. Zobaczenia fenomenologicznie rzecz wykazuje silniejsze sięgnięcie istnienia niż w nastawieniu potoczny. A silniejsza dawka realności wywołuje wyrazistość powodując zawroty głowy – podobnie jak powietrze, zawierające więcej lub mniej tlenu. Po prostu przyzwyczajamy się do realności pewnego stopnia. Silniejsze sięgnięcie realności jest zagrożeniem dla rzeczywistości oskorpionej, bowiem ją rozbija. Poczucie realności o cechach przemierzania jawy ze snem wydaje się obce przyzwyczajeniom – i z tej przyczyny otrzymał Czechowicz etykietkę sennego wizjonera. Tymczasem postrzega on rzeczy zanurzone w ich własnej aurze, w związkach i zarazem wydzielone – wyraziste jakby w powietrzu górskim lub oczyszczonym z kurzu przez deszcz. Dopiero poiem jakby przez krater jego poetyckiej aktywności są one wyrzucane w otwartych

obrazach. Wspaniałym przykładem takiego konstytuowania się przedmiotu jest wiersz *o świerszczach*.

paście się paście w chrząście polonin

włóczęgi świerszcze śpiewacze

(...)

moleństwa świerszcz chwila upalna

upalna nie jak ciało

wieźcie ją w śpiewie (...)

(o świerszczach, str. 186)

Do krytycznego momentu sublimacji wyniesiona zostaje fundamentalna na Ziemi, ale i w kosmosie (wchłanianie materii i przestrzeni gwiazdnych) aktywność organizmów. Te włóczęgi, świerszcze to wielokrotny obraz samorzuć energii w kosmosie. Echo muzyki sfer słychać w poloninach, ile tu czasu, choć to tylko chwila. Chwila tak jak przyszła, na odejście... Wobec mistycznej konstrukcji tych fraz, okazuje się ileż ma udziału w istnieniu wrażliwości człowieka. Chwila ucieleśnienia wielkiej poezji – pracujący na ziemi czczą jej owoce, słychać śpiew i skrzypienie wozu, tu paście się, jesteście na Ziemi, dobrze wam zanim się przeniesiecie... Ileż Transcendencji i Ziemi w tych frazach. Jak uobecniona nie wprosi nędza głodu.

Inny przykład o porównywalnym pięknie pochodzi z przytaczanego już wiersza *synteza*

między niebem i ziemią jedno jest tylko głowa

człowieczy kwiat

Kwiat rozwijający się wyobraźni, owocujący wobec rzeczy. Jakże więc wstrzymywać tę zdolność przesadami i dekretnami...

Nad nieustannym napięciem między *tzw. rzeczywistością (sen ciężki)* a *tzw. snem (nieważki)* rozciąga się czuwanie poety. Owto czuwanie nad własnym poczuciem realności to raczej ostatni z dostępnych podmiotowi poziomów oglądu:

sen życie ujął

osłoda sen ciężki a nieważki

piękne zjawy sennie kołują

w krwawych ciemnościach czaszki

(elegia uśpienia, str. 182)

Przeciwnostawne stany zostają ucieleśnione: *kość – krew*. Dziw krążenia zjawiskowo przeciwnych gęstości i dziw odżywiania. Ciemna rzeka przynosi jednak rodzaj poznania, właściwie poprzez ucieleśnienie, poprzez udział we wszechkrążeniu: *krew z krwi, kość...* Obieg zjawisk niczym kręgi na wodzie wychodzi w kosmos. Poznanie się rozchodzi – mimo że obie zjawy wskazują na namacalne fundamenty *krwawych ciemności czaszki*, to owe fundamenty są jednak ledwie pretekstem do uobecniania mistycznego wymiaru życia.

Czechowicz nie tkwi w uśpieniu, jeszcze nas zbudzi. Chociaż śnił – jego sen jest zmierzaniem do uchwycenia rzeczywistości, która pocie tak *jakas sama w rękach jak granat wybucha*. Ile razy się budził, tylekroć opuszczał rzeczywistość osładzaną. Jego ufność w język nauki była dziecinnie krótkotrwała, wymykają się wreszcie słowa o które chodzi // *metafizykę splecioną jak piękne włosy // rozplączę jasny miewcz chemia*. Jednak nie zwolnił on siebie z wypędzania demonów z języka. Po dziejach religijnego upływu krwi również przebieg rozwoju nauki dość szybko rozczerował Czechowicza, mimo że nie był jeszcze świadkiem katastrofalnego rozminięcia się jej efektów z humanistycznymi projektami wizjonerów

społecznego ładu. Wcześniej rozumiał iluzoryczność przebudzenia się w stan samowystarczalności. Język chemii... chemia mózgu, chłopiec na brzegu morza. Z piękna włosów nie sposób wypłatać się, nie pozostając z poczuciem fragmentaryczności i uprzedmiotowienia życia. Włosy uwodząco piękne może ucieleśniają promieniowanie nieistniejących już gwiazd, a może prosto, zbiegające się w punkcie perspektywicznym, który jest *racemny dość daleko* i dla nas niewidoczny. Ow, punkty wciągający przedmioty wszelkich wymiarów jest tylko założony czy istnieje?

Według esencjyków Słońce jest śladem istnienia Boga. Podczas całkowitego zaćmienia Słońca można uzynstowić sobie nicosć, na której ufundowane jest krucho COŚ. Wówczas byt najpotężniejszych słońc ukaże się nam w perspektywie owego punktu: gwiazdy jak dmuchawce.

Czechowicz nie tylko *bał się śmierci i kochał małe miasteczka*, zaiste. Talent jego przemawia do wyobraźni, które na gruncie społecznego prestiżu niewiele mają albo nie wspólnego (*człuka raczej się wrzasa w psychikę niż ją wyraża* – H. Bergson). Własne perypetie z odczytywaniem Czechowicza krótko spuentował Z. Herbert: według niego *amor salvi* pozostanie niewygodny dla tego, który posługuje się kluczem... racjonalne – nieracjonalne... oraz dlatego, że był poetą oryginalnym.

...i tak wiem chyba to jest prawda
Widzę pytania odpowiedzi brzmią jak odpowiedzi pytań
(wqwozy czasu, str. 81)

Samo definiowanie rzeczywistości jest upajającym zajęciem, natomiast tłumaczenie jej w opozycji do snu przybiera postać groteskową, bowiem zawcza ją do wycinka okiennego, w którym widać migotanie mijających pociągów, ale nie mijające się pociągi – o nich wiemy: (sic!). Skupiamy się na tym wycinku, lecz dostajemy nudności i wymiotów. Szukamy punktu odniesienia, a wszystko koluje z nami, tyle że w różnych cyklach. Czy to może pozostać modelem naszego odnoszenia się do tożsamości jako takiej, nawet choćby tylko do momentu, kiedy język znów rozszerzy swój zakres, kiedy wywierci się w najdalsze kręgi spirali i *konch firmamentu*... Może się okazać, że tak.

Wobec tego poetyckim językiem (o jądrze atomu wedle N. Bohra należałoby mówić poetycko) Czechowicz wydobywa wiele przygód i doświadczeń współczesnej astrofizyki. W teleskopie bardzo nacznie doświadcza się senacgo idzenia rzeczywistości: gdy z niewyobrażalnych odległości, z zakamarków przestrzeni wyciągamy wielkie – małe obiekty (przyp. wiersz *synteza*). Dotykamy okiem ich powolnego, lecz rozumem i wyobraźnią jakże szybkiego zarazem ruchu. Kto do końca lub w ogóle wyobraża sobie niby-opisy współczesnego języka fizyki: *przestrzeń zakrzywiona sama w sobie, czy energetyczne zakłócenie przestrzeni*... Co by kogo obchodziły te niby-opisy gdyby nie to, że musimy wytrzymać tu, na ziemi wznagające się parcie dystansu od swojego miejsca. Zanim wzrok spoika się ze światłem wysyłanym lub odbitym, obiektów makro- i mikrokosmicznych dochodzi się przeczuć, rozumem, uściśleniem języka. Policzyc odległości a zobaczyć swoje miejsce – oto rozpiętość i dysonans w zdolnościach człowieka:

w niezliczone dła oka strony
rozpędza się życia proces
wszędzie miliony biliony tryliony
straszliwe noc.

To dalszy ciąg wiersza *ampulki*, z początku niniejszego eseju. W zakończeniu wiersza nawet kwestie społeczne ukazane są w spirytualnej osnowie bytu.

dla czegożby wszystku co jest
nie mogło się zmienić wraz z nami
w światłość zapach ampulki Graala

Poetyckie pudełko otwiera się ze swą zawartością najczęściej dopiero w doznaniu uczestnictwa w tragicznych wydarzeniach, podczas których stoimy bezradni z niedowierzaniem... śnimy: *każdy niewierzy jest gotowy*, nie tylko w anioły.

W twórczości poety rozpatrywanego jako piewca śmierci bardzo rzadko występuje jej kukła czy rekwizyt dosłowności. Staraniem jego było wręcz odprzedmiotowienie tego istotnego wydarzenia życia (sic! nie z życia). Odpowiednio do obrazu *złotej kobiety*, śmierć jako podwodna kraina współkonstruuje naszą tożsamość. Jej obecność w perspektywie jest impulsem dla głębszego wnikania w poczucie realności, twórczego smakowania zdziwienia tym, że coś jest i zarazem się staje. Wspomniana wcześniej linia styku jawy ze snem przypomina nie tylko górską gran, ale również grom wyzwolenia z napięcia potencjałów. Grom – moment graniczny uczucia: model całkowitego odprzedmiotowienia życia, mimo – o paradoksie – utraty uczucia. Poeta zginął jak od gromu, *bombą traflony w stallach*. Być w chmurze napięć i przeczuć, a spełnienie już nie podlega po-uczuciu.

o czas
o ręce puste
nie mieć białego gromu
a chmurę mieć

(elegia niemocy, str. 124)

W innym wierszu o granicy uczucia, tytułowe *przeczuć* nie dotyczy ot tak dosadnie śmierci. W wierszu dokonuje się zbliżenie obustronne – podmiotu i progowej zmysłowości, tzn. takiej, przy której jeszcze utrzymuje się poczucie realności. I dopiero tak zmysłowo – nieczmy-siowa jest przeczuwana, rozumiana nie wprost śmierć. Jedno z doznań, graniczne w naszej, nie naszej drodze do punktu, gdzie zbiegają się wszystkie linie

u czarnych okien wicher
brzęk choinkowych świecideł
wołan przychyl się przychyl
tworzą ślepią
niewidzialny trzepot
szepcz idę

(przeczuć, str. 112)

Interesujące jest ujęcie rozlupującej się podmiotowości – nie w pełni podmiotowe *idę* obecna: poczucie tożsamości z czymś spoza nas, co przeczuwalismy, a teraz słyszymy od tego i powtarzamy *idę*.

zjawiska dawne i nowe
dogasną ciemnoaniołowe
smugą się leje powolną ni dobra ni zła ni dziwna

ni śmieszna ni straszna
trwoga
po prostu zimna
jak prąd wicher ze szczelin u proga

(przeczuć, str. 113)

Jak próg nieszczelne jest słowo, ów dom człowieka – owa chmura, z której nie ma gromu, ale

czy to jest sprawa ludzi

opowiadać komu

(elegia niemiecy, str. 112)

Czechowicz w *przeczuć* osiągnął zmysłową i emocjonalną kondensację. Oczekiwanie pierwszej gwiazdki, przybycia Niewidzialnego, który zna swoje Odejście, calc to spodziewanie się realnej cudowności na aurę jawy we śnie. Rzadki to moment czy też tylko iluzja solidarnego do pewnego stopnia odczucia styczności w dysproporcji – możliwego z niemożliwym, lokalnego z zaświatowym. Zmysłowość zabarwia się namacalnością Transcendencji. Choinkowe świecidla w czarnym oknie teleskopu – mróz i zar w doznaniu fundamentalnego zakolysania przy lądowaniu, spotkaniu *ideę*.

Uporczywie powraca kwestia niewidzialnego punktu u zbiegu wszystkich linii. Do jakiego momentu krytycznego, do jakiej wartości ma wzrosnąć grawitacja rozszerzającego się wszechświata, żeby w rodzaju skurczu powrócił do postaci skondensowanej? Co z tożsamością człowieka, jak zapłnić „rzadniejącą” przestrzeń i ssanie pustki? Udręczona psychika odrzuciwszy osładzaczę przywołuje słodycz. Ten głos jest świadectwem głębokiej religijności Czechowicza. Na ile programowo religijnej poczci jakże inaczej brzmi przez niego nie nadużywane imię JEST.

którego wzywam tak rzadko Panie bolesny
skryty w firmamentu konchach
nim przyjdzie noc ostatnia
od żywota pustego bez muzyki bez pieśni
chroń nas

(modlitwa śafolna, str. 237 - 238)

Prostym językiem wypowiedziana mądrość tradycji mistyki, bynajmniej nie tylko europejskiej, o Bogu skrywającym się – który TAK jest, że go nie ma.

złuje się że z odrazu złodego dnia wychodzi Bóg
(...)
(może nikogo nie ma za złotym tłem)
zawili schemat

(Śmierć, str. 39)

Fundamentalna pulsacja. Religijność Czechowicza jest ryzykowna – dumna z odwagi odpowiadania samodzielnością na wyzwanie tajemniczego kontekstu życia, historii i powołania człowieka. Ryzyko jej polega na możliwym rozminięciu się z KIMŚ przeczuwanym – ale również staje się wyraźne, że Bóg przynajmniej swój status OSOBOWY podtrzymuje zagadkowo lub wręcz okresowo zręka się takowego, zapudając w siebie. Celowo nie używam słowa Nicosość. Czy przypadkiem nie wtedy dzieją się rzeczy ułdne i piekielne na ziemi, w człowieku? Czy nie wówczas wykluwa się fałsz? Nie jest to usprawiedliwienie zbrodni, te bowiem poprzez ideologię usprawiedliwia człowiek. A zbrodniarz ma się obawiać owego przyływu Boga, bardziej niż rozbiłec oceanu, gdyż jest on nieunikniony. Światłem nakrywa zbrodnię w środku nocy. Kto jej dokonuje, sam siebie karze najdotkliwiej, są bowiem w świecie przerażające nie spodzianki. Osobowy wymiar w świecie podlega wypracowaniu i wydaje się, że nie tylko człowiekowi doskwiera trud tego zadania. Człowiecze powołanie do osobowej rzeczywistości z tragiczną głębią i wyrazistością zmieścił poeta w formule *idź idź dalej* z wiersza *żał*. W nicosobowym świecie los zgolowany zwierzętom powróci... i dotknie jego twórcę.

wagon czerwone więzienie krów

zatkał okienka pyskami ciętymi

ryk łałem kipi ryk i znów

maszyny ciszę miałą

worki na rampie paciną prusą

wieś jest na chwilę jakże nęci

ale nie ma wilgotnego szmeru traw u pęcin

białe lunpy nurz słodką gaszą

(...)

krowy na zabicie są

(śmierć, str. 71)

Nie zapominając o cierpieniach jednostek i narodów wciąż uirymy-wania w wierszach spirytualna aura codzienności pozwala Czechowiczowi wyrazić ulność niesamozwanościu gospodarzowi tego świata. Do biblijnej fomuly nawiązuje ostatnia fraza z *są*. W języku polskim funkcjonuje wyrażenie *zakochać się na zabić*, aby określić poległą stan odporności i nieuległości zagrożeniom tak, że można nie zauważyć siebie dla wyższej sprawy. Znów przecucie poety – nie tylko zwierzęta wożono czerwonymi wagonami.

M. Heidegger wyraził kiedyś trafną opinię a nawet druzgocący osąd, że koncentracyjne obozy są logiczną konsekwencją nadmiernie eksploatacyjnego stosunku człowieka do gleby, do hodowli. Z tego powodu Oświecim wcale go bardziej nie szokuje niż wyciskanie z gleby ostatnich soków. Czechowicz tę prawdę o nas samych wyrzcił nie mniej ile maskującą dużo wcześniej. Czy wzrostem świadomości ekologicznej będziemy w stanie coś sobie zrekompensować?

Czytajmy pochylenie się Jana Pawła II, który klęka do ucalowania ziemi. W takiej perspektywie duchowość z głową w chmurach, bez związku z ziemią okazuje się obłąkańczo-pozerska. W tym, co z ziemi podniesione pracą i miłością słyhać wielkie kręgi, a kola drabiniastego wozu i wiejski pejzaż są tylko pretekstem do metafizycznych odniesień.

nie ma nawet mu tylko kół skrzyp
mgława noc jawa rozlewna

(przez krzyż, str. 122)

Ziemia – cudowne miejsce, dziwa tutaj co krok:

Nocami spod ramion krzyżów na rozdrogach
sypie się gwiazd błękitne próchno
chmurki siedzą przed progiem w murawie
tu kule białego puchu
dmuchawiec

Księżyc idzie srebrne chusty prąd
świerzczyki świergocą w słogach
czegoś się bud

(na wsi, str. 56)

Erotyka u Czechowicza najczęściej pojawia się w kontekście świętości, przez połączenie piodności ze śmiercią i macierzyństwem. Obok obrazu *złotej kobiety* niemal ludowa malowanka z kobietami na podmokłych łąkach – naiumność i rodzimy grunt do biblijnych odniesień:

oj i pomknęły nadobne panienki
po ługu po ługu
zsunął się wężyk srebrzysty maleńki
po pługu

(pisał o niedobrej burzy, str. 233)

- Wracamy! – E.
- Tak, tak, jak przyjdzie japończyk.
- Pod linijką lasu przebiegło kilka saren.
- Wracamy! – M. i E.
- A może zostaniemy na zimę?

Panie starsze wróciły z żurawin. Przymsły ich spory kosz i teraz dzieliły się popołowie. Zmarzniętymi palcami wyciągały oszronione kulki i zbierały je w garście.

- Twoja garść – moja garść.

Zdarzało się, że któraś z kulkek uciekla i poleciała się po podłodze. Dostawała do niej kot, uderzał łapą i gonił, dopóki nie wpadła w szczelinę między deskami. Wtedy wydrapywał ją pazurem tak długo, aż nie spadała następna kulka.

– Najmądrzejszego kota na świecie miałam na Wołyniu – powiedziała Starsza Pani.

- („Twoja garść – moja garść.”)

– To była kotka. Spała zawsze w moim pokoju. W ogóle nie miauczała, najwyżej tak cicho. Miała wszystko, co chciała, to co miała miauczeć? Czasem syczała, jak była zła, bo ktoś jej nie zauważył i potrącił, no i była śliczna – trochę biała, trochę ruda. Byłam małą dziewczynką, pewnie młodsza od tych dwóch krasawic. I w szkole miałam bardzo kochaną panią – Lucyna, Lucynka. Wywiezli ją potem, tak jak ojca. I na lekcje przyrody dzieci, jak to dzieci, przynosiły różne rzeczy. A to motyla, jakieś żuki, a te były u nas najpiękniejsze, piórka jakieś, jeden to nawet szczura przyniósł.

- Szczura! – córki krzyknęły jednocześnie.

- A co to dla wiejskich dzieci szczura? Szkodnik i tyle.

- („Twoja garść – moja garść.”)

– I ja też chciałam coś przynieść. Pomyślałam, przyniosę kreta. Bo kret niszczy ogród i będą się w domu cieszyć, jak go złapię, a poza tym jest ładny. No i czaiłam się na tego kreta, co on wykopał kupiec, to ja za łopate i dawaj go wykopywać, ale gdzie tam! Nawet mi się nie udało go zobaczyć! Tata pyta: A co ty, córku, za wykopki robisz? A ja mu – kreta łapię!

- („Twoja garść – moja garść.”)

– Śmiała się cała rodzina – Jadzia na krety poluje! A tata mówi przy kolacji: To jak już tego kreta złapiesz, to może być się na większego zwierza zastraszyła! Na dzika by tak! No to się śmieją, a ja następnego dnia znów dawaj, łapać tego kreta.

- („Twoja garść – moja garść.”)

– Ale gdzie tam! Poszłam nawet na łąki, cała się upaprałam, ale kreta ni widu, ni słyhu. Wracalam smutna: co ja jutro do szkoły przyniosę. A rano... – Wiecie, co rano?

- („Twoja garść – moja garść.”)

– A rano otwieram oczy, patrzę, a moja kotka siedzi obok łóżka i w mordce trzyma kreta! Trup on już był, bo go zagryzła, ale prawdziwy kret! I zaniósłam go do szkoły, a dzieci się i tak śmiały: Jadzia kreta łapie!

A Lucynka, Lusiu, tak mówi: Oj, dzieciśka, nie śmiać mi się tu z Jadzi, bo ona złapawszy kreta uporem i sprytem, a tym i każde nasze dziecko ojczyźnie będzie służyć! Tak to jakoś powiedziała. No i służyło, służyło...

Kaleciukowa spojrzała do wnętrza kosza. Praca pomału dobiegła końca.

– Te mazurskie koty też niczego sobie i do tego wielkie, bo ryhami karmione. Mój kot to nawet lisa się nie boi. On sam taki wielki jak lis. Tylko jak w zimie lisowi kuta urośnie, to lis wydaje się większy.

Duży kosz był pusty. Kilka rozgniecionych kulkek wbilo się w wiklinę.

– Starczy klukwy dla wszystkich – powiedziała Starsza Pani.

– Wracamy? – odwróciłem się do córek.

ZUPA

Zadowolony stary pisarz siada i liczy strony – strony, które napisał.

– A jak nie jest zadowolony – znówu spytała E. – to co liczy?

– Liczy strony, których nie napisał!

– I daj spokój z tą zupą! – Wrzasnąłem do J., bo było gorąco, a zupa była do niczego.

J. zaniemówiła, zastygła, jakby jej nie było.

Pisarz jest świnią, której nie smakuje zupa.

Córka wyniosła się nad łąkę.

Przecież nie wylałem tej zupy. A może naprawdę była niesmaczna.

Pisarz siada i liczy strony, które napisał. Liczy ogórki, które zakisił. Pisarz liczy nowo posadzone drzewka, liczy kwiaty. Liczy kopce wykopane przez krety, do jednego liczy dziecioty. Pisarz je zupę. Potem napisze, że jadł zupę. Potem napisze, że przyszedł Waska i usiadł przy stole, przy którym pisarz jadł zupę.

Waska usiadł.

– Może zupy? – spytała J.

– A... – Waska na chwilę wstrzymał oddech – a daj!

– A ty skąd, Wasia?

– Z mogilki. Byłem u Stacha i zjrzałem do tatula. Bogu dziękować...

– A za co? – pomyślałem.

– Za dom, za świnki, za krówkę...

– A gdzie ta krówka? – pomyślałem.

– No, krówki to już nie ma, ale była...

– Ty to byś dziękował za to, że żyjesz – pomyślałem.

– No i za takich sąsiadów, jak wy! – Waska dokończył i zabrnął się do zupy.

Przeleciała kolorowa mucha brzęcząca grubym basem, nie znam się na głosach, może tenorem, ale grubym tenorem, i poleciała dalej.

Z łąki wróciła E., przyniosła jakieś kolorowe kwiatki – na kwiatkach też się nie znam – i usiadła przy stole.

– Jak grób tatula? – spytałem.

– A dobrze, krzyż wyczyściłem. Tak myślę, że i my tam w nim niedługo. Za matulą dwaj bracia. A kto tam kolejność zna? Może i być odwrotnie.

– Nie kracz, Wasia, zupę jedz.

– A wiecie, zona księdza mercedesa rozbila. Jak kto obok by siedział, to by był trup. A jej nie, tylko mercedes na złom.

– Na zakręcie przy krzyżu?

– A skąd wiesz?

– Widziałem tam kupę szkła i poharatane drzewo.

– Na zakręcie, do krzyża kilka kroków. Nikt nie wie, jaka kolejność mu pisana. Gdyby bałka siedział z boku...

– Jak zupa? – spytała J.

– Bardzo dobra, najlepsza w takie gorąco. A ja mam jeszcze drewniane talerze. Pokażę je wam albo i dam, bo wy takie rzeczy lubicie. Matula tatulowi na takich jeść dawała i nigdy się nie tłukły.

– Te nasze też nietłukące – pochwaliła się J.

– I tyle z tego postępu – pomyślałem.

– No widzisz, a tamte sami sobie robiliśmy – dukuńczył Waśka.
„Pomyśl o starcach napelnionych samotnością, należałoby popieścić ich miłością.” – Czytam w wierszu „Pomyśl o” przysłanym na konkurs przez trzynastolatkę.

– Stary pisarz ślada i czyta wiersze podlotków.

– I co, jest zadowolony czy nie? – spytała E.

Spod szafki ledwo wypelzła mysz. Wtulila lepek w futro i zasnęła. Najpierw zdechnie, a potem wyschnie na wiór. Trzeba ją zakopać zanim dopadnie do niej Żuk i sami się struje. Żeby E. jej nie zauważyła, musiałem szybko odpowiedzieć.

– Stary pisarz ani jest zadowolony, ani nie jest. Stary pisarz po prostu jest stary.

NOCNE SŁOŃCE

Słońce dopadło go mimo zapadającej nocy. Świeciło beczelnie prosto w oczy. I on patrzył prosto w słońce.

– Kto – kogo? Ty – mnie, czy ja – ciebie?!

Słońce jak ognisko, jak huk traktora, jak kula pszczoł.

Jego matka była jak słońce, jego piecie było jak słońce. To stąd miał ciepło. A to słońce wybiło dziurę w ulewie deszczu i śniegu, i paliło brwi, i wbijało powietrze w nos.

Jura zachłysnął się oddechem i spróbował zrobić krok do przodu. Spod butów hry znęła fala błota. Zakrzywił palce i czesał nimi lecącą z góry chlupę. Słońce pompowało krew, zwiększało bicie serca.

– Powiedz, Wasia, kto z nas pierwszy umrze?!

– Jura, Jura, świnki trzeba nakamnić, liśćmi piwnicę okryć, a Wasia pijany!

Jura obrócił się wokół buta, przestawił nogę przez katuszę, ale wciąż stał w miejscu.

– Jura, Jura, domu trzeba przypilnować, bo oni przyjadą, a tu kretowisko, sztachety nie naprawione!

Słońce biło po twarzy, wlewało się pod rozpiętą kurtkę.

– Jura, Jura, jakie ty piękne loki miałeś! Wszystkie dziewczynki za tobą szalały!

– Nie wolajcie mnie, matulu, słońce mnie zabrało!

Jura wypiął do przodu prawe biodro i próbował odepchnąć się lewą nogą, jak rybak, który wiosłem odpycha łódkę od brzegu. Ale łódka nie chciała płynąć. Zaparł się mocniej. Noga wbijała się coraz głębiej w błoto. Teraz przechylił się w stronę prawej nogi i odpychał się nią, jak burlak ciągnący przy brzegu kanału statek na linie.

– Jura, Jura, kuna kurę porwała, wieprz rozbił korytko, a Wasia pijany!

Jura schylił się i chwycił za bolące kolano, wyciągnął nogę z błota i przestawił ją w kierunku słońca. Wydawało mu się, że jest mechanicznym potworem, który właśnie ruszył przed siebie, niszcząc wszystko po drodze.

– Jura, Jura, ty szkoły kończyłeś, ojciec ci ziemię zapisał, a ziemia w dzierżawę dana!

– Nie wolajcie mnie matulu, słońce mnie wiezie do nieba!

W słońcu rozstąpiły się strugi deszczu i śniegu, tworząc tunel, który go wciągał i chronił. Z góry spadały srebrne monety, jak z austriackiego skarbu. Jura łapał je w ręce i upychał w kieszeniach. I wszystkie się mieściły, a wciąż było miejsce.

– Jura, Jura, w telewizji tyle wypadków. Ludzie się topią, zabijają w autach, gina na wojnach. A u myśliwi, strzelać mogą!

– Słońce mnie prowadzi, matulu, do siebie mnie prowadzi i wreszcie będzie inaczej!

– Jura, Jura! Gdzie ty się znówu tak napil!

Jura stał w błocie bez czapki, w rozpiętej porwanej kurtce. To cud, że doszedł prawie pod sam dom.

Jego żrenice rozszerzone były tak nienaturalnie, że matka pomyślała, że syn oślepl.

SYRENKA

Paдалo tylko z rana i to niedużo. Noca przelatywały gęsi. Skrzypiało, kiedy rozbijały skrzydlami powietrze. Jeszcze się któraś wydarła i lecący z chropowatego dzioba dźwięk odpadł od środka nicha i zginał w jeziorze.

Pani Starsza zajmowała się w ogródku marchewkanu. Co roku na jesieni obiecywała, że da sobie z tym spokój, i co roku na wiosnę, z wszystkimi tego niewygodami, troszczyła się o małego kawalek nierównej ziemi, na którym najlepiej rósł koper.

– Pamiętasz mojego ojca? – spytał nagle Waca. – Wiesz – mówił dalej – nawet nie zdążyłem się przygotować. Zabrali mnie z domu do szpitala zdrowego chłopca, a po dwóch tygodniach było po wszystkim.

– Pamiętam, siedział w fotelu z rybnymi głowami i pozwalał mi ze sobą rozmawiać. Opowiadał o polskich czołgach, które mogły być najlepsze, gdyby były, ale kraj był za biedny, o wywózkach, o stratach pod Kołobrzegiem i o wszystkich wielkich błędach tamtej wojny, i o żywych torpedach...

– A syrenkę pamiętasz?

Waca się odwrócił, tak że odpowiadałem, patrząc w jego plecy.

– Pamiętam, jak jeździłeś nią po podwórku, ku radości sąsiadów, no może nie wszystkich. Pamiętam, jak parskała, porykiwała, odganiała gapiów, plując kurzem i spalinami. Ten model nazywano „łapaczem kur”, bo drzwi otwierały się od strony maski. I ten sam kolor. Skąd ty taką farbę wziąłeś? Pewnie innej nie było. Takie rude zwierze...

– Rozleciała się.

– Co?

– Syrenka.

Spytałem „co”, bo Waca wszedł mi w pół zdania, jakby moja odpowiedź wcale nie była ważna.

– Rozleciała się. Jak siadło, to wszystko naraz. Dzieciaki z podwórka jeszcze jej pomogły. Miał ją taki jeden zabrać, ale czekał, zlekkał, tydzień, drugi tydzień... Nie mogłem już na to patrzeć i oddałem na złom.

– To był twój jedyny samochód, który sam się rozleciał. Następne to już osobiście kasowałeś! – Powiedziałem do Wacy, mając w pamięci różne jego kraksy i siluczki. Ale Waca się zamyślił, nie słuchał tego, co mówię.

Pani Starsza nabierała marchewek, które i tak będą dla królików Kalceiukowej. No, my ich nie zjemy.

– Tyle roboty, a ta marchewka: O!

– Marchewka, jak marchewka – próbowałem coś powiedzieć...

– Pamiętasz mojego ojca i syrenkę?! – Waca spytał gwałtownie, jakby domagał się, żebym powiedział głośno i z przekonaniem. Tak, naprawdę tak!

Nocą słyszałem, jak dziki ryły dwieście metrów od nas, jak tramwaj przejechał tuż obok, jak syrenka przejechała tuż obok, jak przebiegły rude samy.

Była to ostatnia dłuższa z Wacą rozmowa.

Ludwik Jankun

ZOFIA BESZCZYŃSKA

*przemysłne zwierzęta
już są nie tropie*

Rilke

idą za mną w milczeniu
patrzac jak wchodzę na ich
miłosne ścieżki; Tygrys i Jelonck
Dzik i Jez o imieniu Zajac
Tym razem zwierzęta: drzewa
są mocno zamknięte
i nieruchome jak lata
idą i odchodzą jedno po drugim
szczerze wypełniając mój cień
w Krainie Cieni

nie zważają na nas
w chatce na kurzej łapie
jedzą zielone igły
odjęte skrzydła
zapuszczają korzenie

i ja mogłabym się chwalić swoim pięknym ciałem
do czasu
do Wężycy
i do wilka
mam kochanków w korzeniach drzewa
i dzieci w liściach
ale dzień mnie oślepia i nie już nie wiem
czy jestem galezią wyrastającą z bagna
czy kamieniem przy drodze
czy chimurą
moi kochankowie odpelzają
moje dzieci płaczą
biegnę przeskakując czas

jestem czarownicą która polknęła księżyc
on w mym brzuchu rośnie i rośnie
i kiedy pęka wylatują zeń ptaki
o piórach czystych jak skrzypce
księżyc staje się szablą ptaki

niosą śmierć i pocieszenie
i nikt nie krwawi pod ich czułym dotykiem
w krainie snów skały otwierają wnętrza
różowe i oślizłe od wchłoniętych zwierząt
a morze wpelza pod skórę miękko jak pergamin
przejrzysty czysty żółtawy
tak światło księżyca wnika w nasze życie

i nagle stało się tak
ze coś się stało. Nagle. Jakby piorun
uderzył albo znieścacka oślepiło oczy
przydając drugiego wzroku.
Pamiętani to dobrze lecz wspomnienie
rozpelza się w mych palcach jak zettaly jedwab

i nie tylko z powodu odrębnych
krajobrazów śmierci: co istniało nie zmienia się wcale
niestety. Było się samorna
i nieszczęśliwą lecz wszystko to lepsze od
zrezygnowanego uspokojenia. Jest noc a oni
wciąż me chcą odejść od moich drzwi

prowadzi mnie czerwoną ścieżką przez czerwony las
gdzie czerwonym jeźdźcem świeci Bestia
czerwone rozpadliny i omszałe wzgórza
nawet słońce tkwi we mnie jak czerwona rana
przez czerwone błoto zanurzam się ku niej
i zatrzymuję się pomiędzy czerwone wino
mocno trzyma mnie w objęciach

obcy mężczyzna leży w moim łóżku
jak go poznać? Jego ciało
jego sen z którego widzę tylko fasadę
domu gdzie oddychają przedmioty
obdarzone życiem
każdy ma historię do opowiedzenia
ale nie zdążę ich spisać: sama już
wchodzę w dolinę pełną fascynujących
nieznanych istot

Zofia Beszczyńska

Gombrowicz metafizyczny

Pamięci Bogusławy Kuczyńskiej

W *Ślubie* najpełniej uzewnętrzniała się Gombrowiczowska idea kościoła ludzko-ludzkiego, w którym ludzie, rzeczy i wypadki nieustannie stwarzają się w aktach swobodnych i spontanicznych oddziaływań. Rzecz zaczyna się na tle krajobrazu „przygniatającego i beznadziejnego”: w którego „mrokach” rysują się fragmenty „zniekształconego kościoła”¹.

W tej scenerii pojawia się główny bohater – Henryk, który wygłasza wiersz, równie przygnębiający i beznadziejny, jak ów krajobraz.

*Zasłona wzniosła się... Niejasny kościół...
I niedorzeczny strop... Dziwne sklepienie...
A pieczęć tonie otchłań otchłań czarnej
Zastygłej sfery sfer i kamień kamień...*

*Tu wrota niemożliwe co wciąż przemysłom
Tam ołtarz zniekształcony obcego psalterza
Zamknięty kłamrą bezsensu kielicha
Co w bezruchu grzązł drąży się pastersza*

*Pustka, Pustynia. Nic. Ja sam tu jestem
Ja sam
Ja sam²*

Ten niejasny, absurdalny, jak gdzieś wyraził się Gombrowicz, tekst, jest zarazem w pewien osobliwy sposób precyzyjny i obciążony ukrytymi znaczeniami. Ujawnia od razu niesamowitą wirtuozericę językową Gombrowicza, zarysowuje plan przyjętej metody pisarskiej. Jest to jakby „perykopa”, w której skumulowane są podstawowe idee dramatu. Już pierwszy jej fragment unaocznia jak posłuszne są pisarzowi słowa. Natrętna instrumentacja: „zasłona wzniosła się” – daje wrażenie wznoszenia się zasłony wraz z towarzyszącym mu peryferyjnie pogłosem „szumu” (dźwięki: „zas” – „os”). Mówienie jest więc niemal tożsame z działaniem się – słowa stają się ikoniecznymi znakami zdarzeń. Rozluźnieniu, a raczej przetworzeniu, ulegają natomiast tradycyjne struktury semantyczne. Tak jakby usamodzielniały się poszczególne wyrazy (i ich odpowiedniki) natomiast relacje łączące słowa stawały się luźne i nieoczywiste. Dlaczego tonie „pieczęć”? Co znaczy „zastygła sfera sfer” i „kamień kamień”?

Mozna oczywiście poszukiwać w tych układach wyrazów przywołań czy też szczytków dawnych sztywnych połączeń frazeologicznych typu: „tonie” (zatonął) jak kamień, ale wydaje się, że nie tędy droga. Nie ulega natomiast wątpliwości, że wyzwolone ze zwykłych powinności semantycznych słowa wiersza oraz jego rytm (ponure ambibrachy i trocheje) budują niezwykle sugestywny nastrój, charakteryzujący się poczuciem przytłoczenia i beznadziejności. Niepewność związana z „niejasnym kościołem” i „dziwnym sklepieniem”, ustępuje miejsca przeczuć zbliżającej się katastrofy. „Tonie pieczęć”, pojawia się

„otchłań czarna”. Ołtarz jest „zniekształcony” a „bezsensu kielich”, „grzązł, drąży się” (pograża?) psalterza. Ostatnie słowa mówią, że pastersza (Henryk?) jest sam. (Zwrot trzykrotnie powtórzony). Umieszczony w pustce.

„Pustka” – przedziwne słowo. W jakiś niepojęty sposób obrazuje to, co stanowi jego przedmiot, który nie ma przecie żadnego określonego dysygnatu. Jak można ukazać pustkę? Dziwne słowo „pustka”, brzmi „pusło”, czy może raczej nieodparcie wywołuje wrażenie pustki. To wrażenie podkreśla również osobliwa figura brzmieniowa „ja sam”, w której słowo drugie („sam”) odebrzmiewa jak echo pierwszego sugerując owo połączenie składników jako rzekomą tautologię. Jakby „ja” faktycznie równało się „sam”.

Rzekoma tautologia oparta na pozornym pokrewieństwie słów staje się jeszcze bardziej widoczna w następnej kwestii Henryka. Przechodząc na prozę wyraża on obawę, że może nagle pojawić się *ktoś jakiś idio... idiota, niekietlny, nieopanowany, idiotowaty, idiodotykalny, który dotyka...*³

Przypadkowa asocjacja brzmieniowa: „(i) diot” – „dotyk” – staje się podstawą Gombrowiczowskiej definicji: „idiota czyli ten, kto dotyka”. Zapowiada ona późniejsze pojawienie się Pijaka i jego przerażającego Palica. Na razie wszakże z niebytu wylania się Władzio, z którym Henryk podejnie, spokojną rozmowę dotyczącą kwestii bieżących. Jednak wcześniejsza wypowiedź Henryka, w której zarysowała się możliwość Pijaka – „idioty”, który dotyka”, nie pozostanie bez konsekwencji. Po jakimś czasie pojawi się on, aby podjąć z Henrykiem swoją przewrotną grę. Jest więc tak, jakby wszystko, co dało się powiedzieć lub pomyśleć mogło się ziszczyć, jakby to, co pojęciowe było skazane na urzeczywistnienie.

Gombrowicz w *Ślubie* okazuje się zatem dziedzicem romantycznej koncepcji twórczości. Jego bohatera, znamionuje całkowita swoboda w traktowaniu materii słownej i wirtuozerskie podejście do języka. Jak to określa pisarz we wstępie: *Henryk upodabnia się raczej do artysty w stanie natchnienia niż osoby, która śni.*⁴

W tym ujęciu język wraz z właściwym mu słownikiem i systemem reguł przestaje stanowić zakrzepłe odzwierciedlenie świata, lecz staje się narzędziem kreowania światów nowych – nowych form i praw bytu. Jest to wszakże możliwe wówczas, kiedy przyjmuje się nie tylko romantyczne rozumienie procesu twórczego, ale również zaakceptuje romantyczną metafizykę, w wersji, powiedzmy, filozofii Hegłowskiej. Chodzi nie tylko o (wyrażone w inicjalnej formule „ja sam”) uznanie subiectum za podstawę rzeczywistości duchowej, ale przede wszystkim przyjęcie prymatu tego, co pojęciowe, nad tym, co fizyczne. Gdyż ostatecznie to, co realne jest tylko sposobem przejawiania się tego, co idealne. Zgodnie z filozofią Hegla *rzecz jest pojęciem, które nadało sobie rzeczywistość*.⁵ W *Fenomenologii ducha* konstatował on, że *drzeiki dialektyce świata zmysłowego i spostrzeniowego świadomość dochodzi do poznania, że ona sama jest swym przedmiotem i że jako rozum obiektywny jest wszechrzeczywistością, że sama tworzy światy (etyczny, moralny, polityczny, religijny), które potem sama odnajduje jako swą rzeczywistość*.⁶ Według tego filozofa pojęcie jest identyczne z rzeczą samą i jako takie – konkretne, realne i prawdziwe.

(I Gombrowicza świadomość („ja sam”) stanowi nie tylko residuum wszelkich możliwych sensów, ale również źródło całego zmysłowego świata. Jego postacie nie mają samodzielnego bytu, są tylko wilkowskimi „epifenomenami”, różnymi treściami obiektywizującej się

¹ W. Gombrowicz, *Dramaty*, WL, Kraków 1988, s. 99.

² Ibid. s. 99.

³ Ibid. s. 99.

⁴ Ibid. s. 92.

⁵ G.W. Hegel, *Współczesność i estetyka*, Warszawa 1964, t. I, s. 30.

⁶ Ibid. s. 34.

świadomości Henryka. Historia opowiadana przez Gombrowicza jest snem. Wystarczy aby Henryk odmienił swoją intencję, żeby zdarzenia zmieniły swój bieg, a rzeczy swoją naturę. (Kilkakrotnie w toku akcji Henryk ostrzega swoich partnerów, aby nie byli zbyt samodzielni, a jeśli go nie posłuchają, to ich „wylączy”). Czy jednak pisarz jest do końca wiemy przyjętej idei dzieła? Czy ukazana rzeczywistość jest bezgranicznie modalna? Czy ludzie i rzeczy nieustannie stwarzają się w aktach permanentnych współoddziaływań?

Rozstrzygnięcie tych kwestii zależy od rezultatu podjętej przez Henryka misji. Jest on mianowicie animatorem niezwykle ambitnego przedsięwzięcia. W stylu właściwym wielkim działaczom romantyzmu Henryk zamierza zastąpić dawną, tradycyjną metafizykę religijną, metafizyką nową. Na gruzach starego kościoła ufundować kościół nowy. Ludzko-ludzki. Bohater Gombrowicza idzie więc w ślady tych wielkich twórców romantycznych, którzy (jak Blake lub Mickiewicz) stali się założycielami lub propagatorami nowej wiary.

We wstępie do *Ślubu* Gombrowicz stwierdzał: *Człowiek jest poddany temu, co tworzy się między ludźmi i nie ma dla niego innej boskości jak tylko ta, która z ludzi się rodzi*.¹ Zgodnie z tą ideą Henryk podejmuje próbę stworzenia własnego obrzędu, w którym miałby spełniać podwójną rolę, zarazem kapłana i bóstwa.

Prześledźmy jego drogę, baczając zarówno na metodę kreowania rzeczywistości, jak i na skutki czynów głównego animatora wydarzeń. Zaczniemy od krótkiego zarysu akcji dramatu, zostawiając na stronie jego „oniryczny” charakter. Henryk – żołnierz, znajdujący się na linii frontu gdzieś w północnej Francji, nieoczekiwanie odkrywa obecność towarzysza swojej pierwszej młodości – Władzia. Za chwilę okaże się, że właściwym miejscem akcji jest rodzinny dworek Henryka w Małoszycach. W nim pojawiają się jego rodzice, jednak w kształtach znikczemniałych. Sam dwór bardziej przypomina karczmę niż dwór, więc i rodzice okazują się karczmarzami. Dawna narzeczona Henryka, Maria jest obecnie przemieniona w „służącą do wszystkiego” – Mańkę. Henryk zamierza przywrócić światu dawną hierarchię, chce, aby rzeczy wróciły na swoje miejsce, a spospolitowana rzeczywistość odzyskała sakralny wymiar. Niech ojciec będzie znowu Ojcem, a nawet Królem, matka Królową, znieprawiona Mańka stanie się znowu dziewczyną Narzeczoną. Konieczny jest obrzęd, który uwieczni dokonana przez Henryka transformację bytu, a więc Ślub. Początkowo Henryk próbuje odbudować tradycyjną hierarchię w akcie ukorzenia się przed Ojcem. Jednak próba ta okazuje się niefortunna. Ulegając podszeptom Pijaka bohater postanawia obalić władzę Ojca – Króla, sam zajmując jego miejsce. Nie wystarczy to wszakże, aby obrzęd ślubny mógł się dokonać. Narzeczoną Henryka obciąża nie tylko karczemna przeszłość, ale rzucone przez Pijaka podejrzenia o romans z Władziem. Władzio jako istotna przeszkoda w przywróceniu Mańki charakteru dziewczęcej oblubienicy musi zniknąć. Spełni on tym samym rolę niewinnej ofiary, złożonej na ołtarzu nowej religii Henryka. Ofiary daremnej. W zakończeniu okazuje się bowiem, że wymuszone samobójstwo Władzia nie doprowadzi do ślubu. Henrykowi „się odechciało”. Uznając jednak swoją winę i mocą królewskiego urzędu decyduje się poddać karze.

To sprostowanie, acz w zasadzie wierne, nie daje żadnego wglądu w istotę metody pisarskiej Gombrowicza i tylko w jakimś stopniu ujawnia sens ukazanego w dramacie świata. Osobliwością utworu jest bowiem to, że czyny postaci nie rodzą się wyłącznie z ich czynów i zamysłów wcześniejszych, lecz, że rzeczywistość powstaje także ze słów, po Heglowsku pojęcie stoi przed rzeczą. Jak mówi Henryk

¹ W. Gombrowicz: *Dramaty*, WL, Kraków 1983, s. 91.

Słowa

Zdradziecko łączą się za plecami

I to nie my mówimy słowa, lecz słowa nas

Mówią

Oglądany od strony językowej dramat Gombrowicza stanowi manifestację wręcz niebywalej inwencji pisarskiej, dzieło urzekające bogactwem i różnicowaniem form artystycznych. Nie zamierzam próbować ogarnąć tego bogactwa. Chcę rozważyć tylko te idee-pojęcia, które w najwyższym stopniu organizują materię dramatu. Należą do nich właściwie wszystkie zwroty z iniejalnego wiersza wygłoszonego przez Henryka. (Swoje głębsze znaczenie objawiają w miarę postępującej akcji utworu.) Oprócz nich za szczególnie ważne idee kreacyjne świata należy uznać pojęcia: „świni”, „mordy”, „ślubu”, „Palica” i „dudytkania”. Na płaszczyźnie obrzędowej sytuują się relacje Ojca i Syna oraz Króla i poddanych.

Urzekający swobodą kreacyjną utwór Gombrowicza nie zaleca się wcale jakąś znaczną ilością neologizmów. Wśród nich jeden tylko nie budzi zarzutu jako całkowicie własny koncept pisarza; wyraz „gromby”, będący prawdopodobnie kontaminacją „grobów” i „bomb”, bo to czas wojenny. Zobaczmy przeto jaki użytek czyni Gombrowicz ze słów znanych, by nie rzec, pospolitych.

Zaczniemy od „świni” u Gombrowicza postawionej w funkcji epitetu. (Raz tylko Pijak domaga się „świni” jako realnej potrawy). Jest to oczywiście epitet przenośny i stosuje się do tego, co niskie, brudne i sprosne. Jednak rola tego słowa w tekście wynika także, jak się zdaje, z jego wybitnie onomatopiecznego charakteru. Moc kreacyjna słowa, które oprócz sensu przenosi również dźwiękowy odpowiednik swego obiektu, jest większa niż wyrazów neutralnych pod względem brzmienia. „Świnia” jest słowem niemal w tym samym stopniu dźwiękonaśladowczym we wszystkich językach, w których występuje. Jego onomatopieczne walory pozwalają pisarzowi budować takie figury brzmieniowe jak „arie” Pijaka:

Świnio

Ty świnio pasie świński dziwki świnia

Świński świńtuchu wyświniarz!²

(...)

Świńtuchu

Świńtuchowaty, wyświniak, wyświniak,

I prosiak, prusiak, kwik, świk!³

Ważniejsza jednak od ekspresyjnej jest semantyczna, a w konsekwencji ideowa rola „świni”. Ołóż słowem, z którym „świnia” dość nieoczekiwanie wchodzi w istotny związek, jest w dramacie Gombrowicza „ślub”. Pojęcie umieszczone na pozór na antypodach hierarchii typowego słownika. Mamy zatem przeciwstawienie polegające na kondensacji tego, co sprosne i pospolite z jednej strony, z drugiej zaś syntezę tego, co uroczyście i uświęcające. Jednak na dostojnie i solennie brzmiące słowo „ślub” składa się niepokojąco „ślisko” brzmiący dźwięk, iniejalne – „śł”. Jak się zdaje, rolę łącznika między „ślubem” a „świnia” odgrywa w tekście Gombrowicza „ślina”, stanowiąca niemal dokładny odpowiednik brzmieniowy „świni”. „Ślina” przywołuje na myśl to co śliskie, lepkie, również w sensie przenośnym, a więc sprosne, czyli „świńskie”. „Manka świnia” – woła Pijak – bo niecnota. Ślub z Mańką, podejrzewaną o romans z Władziem i sprawki z chłopakami w krzakach nie może być

² Ibid. s. 163.

³ Polskie „swina” – słowo potoczne, wyrazem słyszalnym dwudźwięk („swi” – „ma”) całkowicie odpowiada rosyjskiemu „swi” – „ma”. W angielskim i niemieckim jest to „dwierzec” (mówiąc inaczej odpowiada „swin” i „mafin”). Bardziej sugestywna jest chyba brzmienia angielskie.

⁴ W. Gombrowicz: *Dramaty*, WL, Kraków 1983, s. 317.

⁵ Ibid. s. 112.

wzniosły, może być tylko „świński” – zaśliniony świński ślub. W ten sposób autor demonstruje dlaczego szczytne plany Henryka nie mogą się urzeczywistnić.

Innym słowem, którego użycie wykracza poza plan potocznych zastosowań jest „morda”. Nie jest to wyraz w ścisłym znaczeniu onomatopieczny, niemniej niezwykle ekspresyjny i sugestywny. Wynika to, jak sądzę, z jego szczególnej jakości brzmieniowej. Przytłumione „złowrogie” „m” przechodzi w gwałtowną artykulację „rozdartego” „o”, „walczącego” „r” i „wybuchowego” „d”. Brzmienie to sprawia, że słowo „morda” wybitnie nadaje się na obelgę. Zarówno w rosyjskim (z którego pochodzi) jak i w języku polskim, jest ono odbierane jako wyraz szczególnie ordynarny. U Gombrowicza słowo „morda” ma sugerować, jak się zdaje, w sposób niejasny, swoje drugie (z nadania pisarza) znaczenie. „Morda” dopuszcza „mord”. Siad obfitość, by nie rzecz natręctwo, takich wyrażań jak „wziąć za mordę” czy „dać po mordzie”. W końcu, jak zapowiada Henryk, „starego przodawnionego Boga wzmień również za mordę”. (Zgodnie z tą teoretyką „wziąć za mordę” to jakby „za-mordować”).

„Morda” jest epitetem wynierzonym w ośrodek hierarchii tradycyjnego świata, rządzonego przez Ojca – Króla. Po to wszakże, aby Ojcu można było „mordę” zaaplikować, konieczne jest coś pośredniczącego między majestatem a ordynarną obelgą. Tym czymś staje się „mucha” – słowo i obiekt pozbawiony ważkości. Działa tu zresztą prawo asocjacji brzmieniowej. „Morda” i „mucha”, wyrazy dwusylabowe, rymujące się, są strukturalnie dość podobne. W planie akcji dramatu Pijacy najpierw dość bezsilnie próbują ściągnąć Ojca z piedestału, częstując go określeniem „morda”, użytym w różnych konfiguracjach. Zniewaga słowna ma poprzedzać zniewagę czynną. Okazja powstaje wraz z pojawieniem się muchy. Jeśli siądzie na obliczu majestatu, będzie można ją zabić, aktem rzekomej przysługi policzkując i degradując Ojca. „Dać mu po mordzie”. Owo „dawanie po mordzie” stanie się ulubioną formą rządzenia uzurpatora Henryka. Wcześniej dokona on aktu symbolicznego, rytualnego zabicia Ojca, osiągającego swoją kulminację w scenie, w której Henryk siada na byłym królu jak na krześle.

Ten akt jest poprzedzony perypetią związaną z Palicem i właściwym mu zabiegom „dudykania”. „Palic” jest formą dawną, poświadczoną, jak twierdzi Brückner, już w XVI wieku. Od zwykłego „palca” odróżnia go szczególnie, uroczyste brzmienie (jak „królewic”) i pisownia, z reguły z dużej litery. Jest to Palic, który dotyka, a właściwie „dudyka”, zdolny pozbawić władcę majestatu, a zatem odjąć mu znaczenie sakralne. (W świecie *Ślubu* królewskość i to, co sakralne równoważą się).

Taka rola Palica nasuwa oczywiste skojarzenie z Palcem Bożym, wymienionym w II Księdze Mojżeszowej, który karmi wyniosłego Faraona. Od początku swego niepewnego panowania ojciec Henryka, król ci z laski syna, który się przed nim ukorzył, czuje się zagrożony obecnością Palica. I faktycznie, jego królewskość kończy się w momencie, kiedy zostaje dotknięty („wydudkany”, jak się mówi u Gombrowicza). Ten akt oznacza bowiem dosłowne dotknięcie (przywrócenie cielesności), król staje się „namacalnie” kimś innym, w następstwie dokonuje się obraza majestatu, a więc dotknięcie w sensie symbolicznym, władca zostaje także „wydudkany”, oszukany i zdradzony.

Idea „Palica” i „dotykania” łączy się, jak widać, ściśle z tym wymiarem metafizyki Gombrowicza, który ma sens obrzędowo-religijny. Henryk mówi:

*Ja stwarzam królów!
Ja powinienem być królem!
Jestem najważniejszy! Nic wyższego ode mnie!
I to palec mój, którym...*¹²

„Religia” bohatera Gombrowicza ma coś wspólnego z chrześcijaństwem. Stanowi mianowicie jego parodię. Kiedy bohaterowie dramatu przygotowują nieskomplikowany rytuał inironizacji ojca padają zaklęcia w imię Ojca i Syna. Do pełnej formuły chrześcijańskiej Trójcy brakuje Ducha Świętego. Pominięcie to z pewnością jest znaczące. Chrześcijaństwo pojmuje Ducha Świętego jako miłość łącząca dwie pierwsze osoby Trójcy Świętej. Jakikolwiek jest charakter relacji łączących ojca i syna w „Ślubie” z pewnością nie mają one nic wspólnego z miłością. Wręcz przeciwnie. W świecie *Ślubu* obowiązuje zasada dominacji, jako podstawowa reguła i zarazem źródło hierarchii bytu. W świecie tym, na pozór nieskończenie modalnym i po Heglowsku nicustannie zmiennym, obowiązuje również Heglowski podział na „pana” i „niewolnika”, w którym pan narzuca niewolnikowi jego położenie, ale zarazem niewolnik utwierdza pana w jego pańskości. Nic dziwnego, że krótkie rządy Henryka są, jak pisze Gombrowicz, rządami tytana.

Boskość, która się z ludzi poczyną, to w oczywisty sposób idea Nietzscheańska. Właściwie Nietzsche'emu jest również utożsamienie tego, co boskie z posiadanymi atrybutami potęgi, a zatem hierarchia oparta na nagoniej przemocy. Oto jak pompuje się swoją siłą Pijak wołając do Ojca:

*a jeśli dziadu hendziesz stawał się na mnie, to ja napcham się i przepcham ci w sam krucyfiks!*¹³

*Ano to ja nasamprzód dum w facjate jak się należy, a potem napcham się, napłuję, wycisnę, wycisnę i przepcham się bo nie boję się!*¹⁴

Przedsięwzięcie Henryka wydaje się zatem stosunkowo łatwe do uskutoczenia. Jego niewiara w dawną hierarchię i zrodzona z niej nienawistna rywalizacja z ojcem prowadzą do obalenia starego porządku. Henryk staje się królem, Kapłanem i bogiem swego uniwersum. A jednak to rozstrzygnięcie nie przynosi satysfakcji autorowi dokonanego dzieła. W końcu bohater ustępuje z urzędu, a także w sposób całkowicie niedowzmaczny poddaje się karze, uznając tym samym jakąś zewnętrzną w stosunku do własnej woli hierarchię. Na widok ciała Władzia Henryk wzywa dworzan:

*Pannowie
Damy
Kłękajcie, pochylcie głowy,
Gdyż zamiast słuhu tu pogrzeb!*¹⁵

Aby wyjaśnić, dlaczego tak się dzieje, powróćmy do osobliwości Gombrowiczowskiej techniki pisarskiej. Ujawnia ona niejedną z sekretów jego twórczości. Znaczące wydaje się na przykład, że utwór Gombrowicza spełnia zasadę klasycznie pojętego decorum. Zgodnie z regułą, obowiązującą np. u Donata, tzw. kola Wergilego, bohaterom i akcji „niskiej” odpowiada takiż styl, średnio usytuowanymi perypetiom należy się styli średni, wysoka zaś odmiana dzieła domaga się stylu wysokiego.

W początkowych scenach dramatu, a także później, wywodzący się z tego samego środowiska protagomści Henryk i Władzio porozumiewają się według reguł potocznej, ziemianko-inteligenckiej konwersacji, która nosi znamiona stylu średniego.

Postacie zaludniające karczmę (Ojciec, Matka, Pijak i Pijacy, Małka), posługują się dość nieokreślonym narzeczem tzw. dolów społecznych. Nie jest ono, jak się zdaje, stylizowane na żadną określoną gwarę, choć np. w kwestiach Pijków pojawia się typowe mazowieckie „szadzenie” („szalczeson”). Charakterystyczne jest „upraszczanie” nosówek („chodzm”), oboczne „koci” zamiast prawidłowej formy: „kocie” w dopełniaczu, obecność słów ordynarnych typu: „szczyny” etc. Jest to język, który z braku lepszego określenia nazwałbym „chaniskim”.

¹² Ibid. s. 120.

¹³ Ibid. s. 123.

¹⁴ Ibid. s. 222.

¹⁵ Ibid. s. 165.

Charakteryzując językowo swoich bohaterów Gombrowicz bynajmniej nie sili się na oryginalność. W wypowiedziach Ojca – Karczmarza przeważają najbardziej wyświechtane „ludowe” stereotypy i „mądrości”. Podobnie w świecie dworskim, który dociąga do „pańskości” metodą recytowania najbardziej szablonowych zwrotów. (Jak w rozmowie Henryka z Ambasadorem). Tajemnica sztuki Gombrowicza polega na tym, że takim właśnie figurom słownym nadaje niebywałą siłę poetycką.

Jednak nie tylko „klasyczny” podział jest obecny w dramacie, ale również, a może przede wszystkim, płynne przechodzenie z jednej sfery rzeczywistości w drugą. Dworek szlachecki stał się karczmą, ta z kolei dworem królewskim. Ojciec karczmarz przeobraża się w króla, pijak w ambasadora, żołnierz Henryk w królewicza etc. Dwoistość postaci dramatu ujawniają jego didaskalia. Bohaterowie noszą podwójne miana. Ignacy na przykład to Ojciec i Król, Władzio – Przyjaciół i Dworzanin, Mania – Służąca i Księżniczka. Nazwy podkreślają dwoistość postaci dramatu, ale faktycznie oznacza ona antagonizm cech sprzecznych. Bohater nie może być naraz karczmarzem i królem, heroina służącą i księżniczką, ktoś inny pijakiem i ambasadorem. W *Dzienniku* Gombrowicz napisał, że piekło domaga się jako właściwej formy wyrazu konceptu oksynimicznego¹⁸. Nie wydaje się wszakże, aby odniesienie infernalne stanowiło o kształcie Gombrowiczowskiej kreacji. Poza tym postaci złożone z cech wewnętrznie sprzecznych nie byłyby w stanie posuwać naprzód mechanizmu świata. Świat ów bowiem, zgodnie z prawami Heglowskiej dialektyki, a właściwie rzeczywistości na wskroś logicznej, rozwija się według reguł budowy sylogizmu. Nawet jeśli, jak u Gombrowicza, jest to „sylogizm” pozbawiony sensu. Co uwiadamia np. dyskurs dotyczący prowadzenia się Mańki:

KANCLERZ

Wojaku

MATKA

A wszystko młode chłopcy. To szczeniaki.

OJCIEC

Szczeniaki, ale już krwawia.

MATKA

Hieniek, ty się nie zeh!

Bo ona się do młodszych uśmiechała

Z młodszymi się zadawała

OJCIEC

Z młodszymi od siebie

Ona krwawiła się!¹⁹ (podkr. moje J.M.)

„Żelazne” prawo logiki głosi, że nie można zbudować sylogizmu z nazwy pustej (np. wewnętrznie sprzecznej) typu: „kwadratowe koło” czy „władca poddany” („król karczmarz”). Dwoistość postaci dramatu odbija w jakimś stopniu wewnętrznie rozchwianie jego głównego bohatera. Są one bowiem projekcjami świadomości Henryka, który mówi:

„Ja nie wierzę

W to wszystko... Ja się zachowuję

Tak, jakbym wierzył, a jednak nie wierzę

Szanuję, a jednak nie szanuję... Kłękam

Ala nie kłękam... Korzę się

A jednak wcale się nie korzę”²⁰

Postawa Henryka nie oznacza wszakże, że Ojciec jest naraz królem i karczmarzem. Dramat nie mówi także o permanentnej zmienności jego ról. Płynnym przechodzeniu z kondycji gminnej w dworską i na odwrót. A może faktycznie któraś z dwóch natur ojca Henryka przeważa? Warto spytać: czy jest on bardziej karczmarzem niż królem, czy bardziej królem niż karczmarzem? Odpowiedź znajdujemy w tekście.

Charakterystyczną cechą stylu Gombrowicza jest dublowanie użytej nazwy w funkcji przydawki. Mańka na przykład jest „sługą karczemnym karczemny”, Ojciec – „karczemnym karczmarzem”, „Karczemna karczmą”, „karczemny karczmarz” – czy mamy tu do czynienia z bezsensownym powtarzaniem, świadectwem ubóstwa umysłowego postaci dramatu i ich indolencji językowej? (Uwydatnionym przez stylizację na „ludowy” sposób mówienia). Sądzę, że jest inaczej. W sensie metafizycznym „karczemna karczmą” stanowi określenie, w którym powinien obiektem być charakteryzowany przez rdzeń własnej istoty. Jest to zatem orzeczenie mające postać konstrukcji „a jest a”, ale bynajmniej nie tautologiczne. Faktycznie owo orzekanie wydobywa na jaw to, co stanowi o naturze rzeczy, a więc „karczemność karczemny”, „ojcowską” istotę ojca etc. (Warto przypomnieć, że zaproponowana przez Husserla tzw. analiza ejdetyczna skłoniła Fregego do postawienia złośliwego zarzutu, iż Husserl nie konstatuje nic więcej niż to, że „a” jest „a”).

Wracając do tekstu, „karczemny karczmarz” to ktoś więcej niż tylko karczmarz, to karczmarz prawdziwy, niepowątpiewalny. „Karczemna karczmą” to istnienie karczmą godna swojej nazwy. Nic więc dziwnego, że rozpoznany przez I Dostojnika Ojciec zostanie potraktowany zwrotem nie budzącym żadnych wątpliwości: „król karczemny, karczmarz namacalny”²¹ (Analogicznie do stereotypowego: „dowód namacalny” – bezsporny).

Przy sposobności warto zauważyć, że tak częste w dramacie powtórzenia nie służą wyłącznie celom retorycznym czy instrumentacyjnym, choć oczywiście taka ich rola też jest ważna. Kiedy na przykład Ojciec opisuje kondycję Mańki przy pomocy pojęć: „skroinną”, „niedotykalną”, a później „więzioną”, „umęczoną”²², każde z tych określeń jako bliskoznaczne wskazuje na tę samą naturę udręczonej dziewczyny.

Inaczej jest wówczas, kiedy postaci uczestniczące w jakiejś scenie „mechanicznie” powtarzają to samo słowo, np. „ślub”, albo w tonacji pytania, albo twierdzenia. Taki sposób mówienia ma wiele wspólnego z magiczno-obrzędową praktyką powtarzania tych samych wyrazów lub zwrotów. Akcja, która przed chwilą uległa zawieszeniu, zamarta, zostaje podjęta, postaci powtarzając „zaklęcie”, „rozhuśtały się” do działania. Słowo dotąd profetyczne przechodzi w fazę urzeczywistnienia. Potencja staje się aktualnością. Ślub ma się dokonać.

Jeśli jednak ta interpretacja jest trafna, to mniemana zmienność świata dramatu napotyka na twarde ograniczenia. Bohaterowie mocno zakotwiczeni w swoich naturach („karczemny karczmarz”, Mańka – sluga sprzedajna) nie mogą podlegać dowolnym przeobrażeniom, stając się na nowo i bez reszty królem czy księżniczką. Pożyczona od Hegla metafizyczna zasada świata przestaje działać. Ze tak jest w istocie, dowodzą liczne fragmenty tekstu, w których otwierają swój sens zwroty użyte przez Henryka w jego inicjalnej „perykopie” (cytowanym wcześniej wierszu). Przypomnijmy jeden z nich. Henryk mówi: „pieczęć tonie otchłań w otchłań czarnej zastygłej sfery sfer i kamień kamień”. W te jego słów rozpoznajemy frazesy: „pieczęć” – przypieczętować coś nieodwołalnie, „tonąć” – „kamień” – „przepaść jak kamień w wodę”, a więc raz na zawsze i ostatecznie. Sens słów Henryka wskazuje na coś, co stało się i już „odstać się” nie może. Po pewnym czasie słowa „perykopy”

¹⁸ W: Gombrowicz, *Dramaty 1937-1961*, WL, Kraków 1988, s. 327.

¹⁹ W: Gombrowicz, *Dramaty*, WL, Kraków 1988, s. 187, 188.

²⁰ Ibid. s. 153.

²¹ Ibid. s. 148-149.

²² Ibid. s. 148-149.

²³ Ibid. s. 135.

²⁴ Ibid. s. 151.

²⁵ Ibid. s. 112.

odzywają. Jest to jakby pierwsza próba dopasowania konceptu do rzeczywistości.

HENRYK

...to wszystko jest okropnie męczące, bo jest wykrecone – rozumiesz – zaspuntowane i zakneblowane, tak, zakneblowane!

Wreszcie bohater rozpoznaje w ojcu i matce karczmarza i karczmurkę zaś w narzeczonej dziewczę. Mówi:

Jam ojcu miał zasnę i matkę

A także narzeczoną miałem, a teraz

Ojciec w dalszości wieży, matka wątpliwa

A narzeczona utopiona w dziewczę

Zaspuntowana i zabita dziewczka i na zawsze

Zakneblata w dziewczę...²⁴ (podkr. moje J.M.)

Jeśli tak, to daremna jest podjęta przez Henryka próba intronizacji ojca. Jest on bowiem, tak jak Mańka, raz na zawsze „zaspuntowany” w karczmarzu i żadne zabiegi uwznioslające nie są w stanie tego zmienić. Język dramatu nie pozostawia pod tym względem żadnej wątpliwości. Ojciec Henryka niemal w każdej wypowiedzianej kwestii „zarywa” sposobem „ludowym”. Znajdą się może dwie (lakoniczne) jego wypowiedzi zupełnie pozbawione elementów gwarowych. Jest to bez wątpienia król karczmarzem podszyty, faktyczny karczmarz, karczmarz „namacalny”. Ślad nieustanny strach króla zagrożonego zdemaskowaniem i zasłużoną detronizacją. Na tego „króla” nie dają się nabrać ani Dworzanie, ani nawet Pijacy.

Katastrofa króla dudkniętego Palicem poprzedziła kolejne ambitne przedsięwzięcie Henryka. Henryk postanawia sam zostać królem w obydwu wymiarach, ludzkim i boskim. Ogłaszając zamiar „wzięcia za mordę dawnego przestarzałego Boga”, dąży do zajęcia jego miejsca. Zanim wszakże obali Ojca, odbywa „istotną” rozmowę z Pijakiem, która wyznaczy sens podjętej przez niego misji. Pijak stwierdza trzeźwo:

Jedno tylko mnie trąci głupi w ty miodności sie

Wydaje... Księżę pan w Boga wierzy?

Henryk (przed siebie)

On mnie zapytał i muszę powiedzieć, że nie.

PIJAK

No to jak księżę może od króla ślub przyjmować? Jeśli Boga nima, to jakże król z niego?... Bo przecie jego władza od Boga ma być. A ten biskup tyż przecie nie sam z siebie biskup.²⁵

To, co dotyczy króla aktualnie panującego (Ojca), dotyczy będzie króla przyszłego – Henryka. Jeśli Boga nie ma, to co z niego za król? Gombrowicz każe (bezwiednie?) powtórzyć swojemu bohaterowi niemal dokładnie kwestie kapłana z *Biesów* Dostojewskiego, który pytał: „Jeżeli Boga nie ma, to co ze mnie za kapłan?” Nie zrażony tą wątpliwością bohater postanawia stać się władcą, ośrodkiem ludzko-ludzkiego kościoła – jego kapłanem i bogiem. Hierarchia zostanie stworzona, kiedy Henryk i Mańka wezmą uroczysty ślub. Bohater mówi: *Chcę, żeby ten ślub, który dam sobie i jej, był naprawdę święty. Czy jednak myśl ta jest mistyczna lub szalona? Czy ja nie mogę zдохyc się na akt święty? O cóż tu idzie w ostatniej instancji? O innych ludzi. Jeżeli inni ludzie uznają świętość aktu to będzie on święty – święty dla nich!*. Dalej tłumaczy Władzowi przyjęty plan działania:

Wyjaśnię ci mój plan działania. Jest to plan niezmiernie prosty i nawet oschły.

Kazałem wolać wszystkich na bal dworski.

Na balu tym ja i ona wytworzymy między sobą jak największą ilość miłości za pomocą spojrzeń, uśmiechów, pieściotek etc.

Wytworzymy między sobą miłość, czystość i wierność... jak dawniej między nami bywała.

Jednocześnie zmuszę tę bandę, żeby za pomocą objawów czci i uwielbienia napompowała mnie boskością – i wówczas

najspokojniej dam sobie i jej ślub, który zalegalizuje i uświęci wszystko... Cóż w tym dziwnego? Nic!²⁶

Bohater Gombrowicza zamierza zawładnąć Bytem przy pomocy Formy. Prosty plan Henryka okazuje się jednak zbyt prosty. Zanysły bohaterowi kruszą się w zetknięciu z rzeczywistością. Nie da się „wytworzyć miłości, czystości i wierności”, nie można się „napompować boskością”. Nie tylko dlatego, że Henryk nie wierzy do końca w celowość swego przedsięwzięcia. Wyznaje: *„Ja nie jestem władny wymazać z jej przeszłości i tego tam... gdy była dziewczką w karczmie... z pijakami. Ale jeśli zmuszę wszystkich, nie wyłączając siebie, aby ten ślub uroczysty, uświęcający moją miłość i jej cześć, został przyjęty za dobrą monetę – to on stanie się dobrą monetą. Bo wszystko rozstrzyga się między ludźmi. Wszystko z ludzi!”*

Jednak Mańka okazuje się niezbyt przekonaną adeptką nauki Henryka. Swoje „dworskie” kwestie wypowiada „teatralnie”. Bohater napotyka na twardy opór rzeczywistości, o której mniemał, że daje się dowolnie kształtować. Również dwór wraz z zaproszonymi genialnymi poetami (Rilke, Valery) mającymi uświetnić uroczystość nie może stanąć na wysokości zadania. Okazuje się gromadą sflaczałych, sklerotycznych ramoli. Henryk, próbując ratować sytuację, produkuje straszliwą okolicznościową „poczę”:

Czarownych olśnień słodka noc

Miłosnych cudów złudna moc

Wiecznej iluzji senny wiew

I upojenia dziwny śpiew!²⁷

Nic dziwnego, że Pijak odkrywa w Henryku – królu kolejnego uzurpatora. Rzeczowo stwierdza:

Król jest rogacz.

Bo narzeczoną jemu się puszczał!

Rozumiecie się tylko

A zobaczycie publicznie chłopaka

Co się z nią macał!²⁸

Kłęska Henryka jest wywołana nie tylko przez opór rzeczywistości, wynika również z tego, że on sam przesadnie zaufał stwórczej mocy konwensu (Formy). Nie można z udawania miłości (aktu formalnego) wytworzyć miłości rzeczywistej. Nie jest możliwe „napompowanie się boskością”. Chyba że chodzi o boskość w pojęciu Nietzscheańskim – władzę, która stanowi dobro ostateczne. Boskość i świętość rozumiane jako bytowo-realne nie powstają w ludzko-ludzkim kościele. Boskość autentyczna może się, co najwyżej, użyżać światu, świętość zaś oznacza właśnie nieczystość w transcendentnej boskości. Projekt Henryka stwarza zatem (jak to zapowiadała „perykopa”), „nicjasny kościół”, „oltarz zniekształcony”, „pogrążonego pasterza”.

²⁴ Ibid. s. 114.

²⁵ Ibid. s. 133.

²⁶ Ibid. s. 197, 198.

²⁷ Ibid. s. 198.

²⁸ Ibid. s. 198.

²⁹ Ibid. s. 213.

³⁰ Ibid. s. 220.

Jednak na scenie, która była widowiskiem „religijnej” hucpy, leży trup Władzia, który ulegając perswazji Henryka popełnił samobójstwo. Henryk, który, zgodnie z twórczym prawem Formy, chciał całkiem swobodnie kształtować rzeczywistość, musi uświadomić sobie, że oto zaistniało coś najzupełniej ostatecznego, czyn całkowicie niesymetryczny, którego żadnym aktem woli i żadnym działaniem nie jest w stanie odwrócić – śmierć. Jeszcze wola o „ziemsko ludzkim” kościele, jakiego mianował się kapłanem, a następnie próbuje wyprzeć się swojej zbrodni. W końcu uprzyłamnia sobie, jakie są faktycznie granice jego „boskości”. „Titaniczny” bohater Gombrowicza musi się upokorzyć. Uznaje, że zasługuje na karę. Wypowiada zdumiewającą kwestię:

*Niech wasze ręce
Mnie dudukną
(stojący za nim Stróżnicy kładą mu ręce na ramiona)
Zaraz
To jeszcze nie wszystko
Jeżeli tu mnie schwytano, to tam, tam daleko niech wzniesie
się czyn mój ** (podkr. moje J.M.)

Tym samym światu zostaje przywrócony wymiar wertykalny. Jeśli „tu” oznacza rzeczywistość „ludzko ludzkiego kościoła”, to co może oznaczać sferę owego „tam”, gdzie „wznosi się” czyn Henryka? W pierwszej scenie dramatu przed oczami bohatera „wznosi się” załona, odsłaniając „niczasy kościół” – w osłamej „tam daleko” ponad wzniosła się jego zbrodnia.

Janusz Młotkiewicz

* Według programowym deklamacją Gombrowicza, dotyczącym ludzko ludzkiego kościoła, omówiony temu tytuł dramatyczny i powstaje tak ważące słowa nie mogą być żadnym „wypowiedzi”.

* W. Gombrowicz, *Dramaty*, WFL, Kraków 1988, s. 224.

Książki nadesłane

Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2003

Ortodoksja, emancypacja, asymilacja. Studia z dziejów ludności żydowskiej na ziemiach polskich w okresie rozbiorów. Praca zbiorowa pod red. Konrada Zielińskiego i Moniki Adamczyk-Garbowskiej. Ss. 224. Seria: Judaica Lublinensia, t. 1.

Chone Simeruk: *Świat utracony. O twórczości Isaaca Bashevisa Singera*. Pod red. Moniki Adamczyk-Garbowskiej. Ss. 211 + 23 fot.

Klucze do Żeromskiego. Praca zbiorowa. Red. Krzysztof Stępnik. Ss. 234.

ADAM LIZAKOWSKI

Kuzyn Józef

albo emigracja loteryjna po roku 1989 do Ameryki,
czyli wyprawa po złote rino

1

Jesienią dzień cały w swojej krasie i okazałości, czyli w brzydocie i lenistwie, z twarzą przestraszonego, wiejskiego głupka zaglądał do mieszkań miejscowości, o których nikt nie pamiętał, bo diabeł nie miał tam co robić, a dobry Pan Bóg co się dało już zrobił. Było mgliście i deszczowo, przez rozmazane krople wody na szybach trudno było dostrzec co się dzieje na zewnątrz. (Wierzcie mi nie się nie działo.) Mgła otuliła przebiegłe i skryte widok zamazując szybę okienną. (Wierzcie mi nie było żadnego widoku.) Najbardziej widoczny (bo na pierwszym planie) był drewniany płot stary i krzywy, którego kręgosłup był zwichrowany tak, że jedna część chyliła się ku drodze, a druga ku podwórzu. Za płotem był rów, pełny starych liści i zgniłych traw, badyli i zielska, stojącej wody. Za nim była droga dziurawa prowadząca do powiatu, po części tylko wyasfaltowana, bo tam gdzie były dziury, nie było asfaltu, a tam gdzie był asfalt, nie było dziur. A za drogą na przelaj, hen... daleko poprzez błota, pola, lasy, łąki, miasta i miasteczka oraz za rzekami i górąmi znajdował się wielki świat. Wielki świat, o którym coraz częściej rozmawiano w wielu nieszukaniach, także i w tym mieszkaniu, wydawał się jeszcze większy i jeszcze dalszy niż w rzeczywistości był. Przedstawiano go ściszym glosem, tak jakby mówiono o kimś kto już dawno umarł, albo o kimś kogo należy się bać, dlaczego? Albo mówiono o nim jak o jakiejś starej baśni, którą niby ktoś czytał, albo gdzieś o niej słyszał, ale tak naprawdę to nikt nie jest w stanie powiedzieć, co to takiego jest. Jak ten wielki świat może wyglądać i co on za jeden.

W pomieszczeniu o ścianach w kolorze szarobrudnym panowało przygnębienie, niemoc, rezygnacja, półmrok i czuć było wilgoć, stęchłą, chłód i coś jeszcze na co nie ma słów, aby to „coś” opisać. Na ścianach wisiały cztery portrety, z lewej strony Małka Boska o twarzy wiebowiętej w niebieskiej otoczce wokół głowy. Głowa w złotych gwiazdach oraz umęczony Pan Jezus w koronie cierniowej na głowie, z kroplami krwi na skroniach, z zalazanymi oczami. Po prawej stronie obok szafy wisiały dwa portrety ślubne młodej pary, Szymona i Zosi, rodziców naszego bohatera Józefa. Ona w welonie spiętym z tyłu głowy jasnych włosów, z uśmiechem na twarzy szczęśliwej kobiety, on z przedziałkiem ciemnych włosów, mocno zarysowanym czarnym wąsem. Oboje ubrani w jakieś staroświeckie ubrania: suknia ślubna przebogata w koronki i gamiturny w paski. Spoglądają na siebie w miłosnym uniesieniu, które trwało tyle, ile potrzebował fotograf, aby zrobić zdjęcie.

Wilgoć jakby wstydyła się swojego przeznaczenia, więc nieśmiało upodobała sobie miejsce za szafą w rogu pokoju, ale nikt do niej o to nie miał pretensji. Skoro taka wstydlawa niech tam sobie za szafą siedzi, i nie wiadomo było co jest gorsze, to że nie było jej widać, czy to, że w takie

szczególnie dni jak ten dawała się czuć. W pokoju poza wilgocią znajdował się w drugim rogu stary piec kaflowy o nieokreślonym kolorze, być może kiedyś był to kolor jasnożółty. Piec ogromny i brzydki, o podrapanych i poobijanych kaflach, którego drzwiczki przypominały twarz człowieka, którego dopiero co skopano po twarzy, któremu wybito kilka zębów na przodzie. Był jeszcze wielki stół dębowy i pięć wielkich, maszynowych krzeseł oraz wielki kredens w kolorze mahoniowym, tak wielki, że trudno byłoby znaleźć większy, nawet gdyby chciało się szukać.

Z nastroju i min mieszkańców można było wyzyskać, że boją ich zęby, albo jeszcze jakieś inne, gorsze choroby na nich spadły. Pogoda była pod psem, więc nie nastrojała ich do weselości, ale wręcz przeciwnie czyniła ich jeszcze bardziej smutnymi i leniwymi niż zwykle byli. Z rezygnacją poddali się całkowicie melancholii i czemuś w rodzaju lekkiego stresu. Przygnębienie i irascybilność rozlewały się po twarzach zebranych nieczyni już wspomniana mgła na okiennych szybach. Nic rozmawiano, rzadko kiedy mówili do siebie i do gadulskich nie należeli. Pewnie nie było o czym rozmawiać, ani też nie wymyślano tematów zastępczych typu wojna w Jugosławii czy przygody seksualne gwiazd filmowych z Hollywood. Przy stole nakrytym ceratą w stanie szczątkowym – na drewnianych wielkich nogach – zajmującym pół pomieszczenia, wielkim i ciężkawym, zastawionym popielnicami i szklankami po herbacie – nic rozmawiano o najnowszych notowaniach na giełdzie nowojorskiej ani też nie rozdrąszano problemów mody paryskiej obowiązującej na sezon jesienno-zimowy tego roku. Ani polityka, ani sport nie zaprzętały umysłów domowników. Oni najbardziej lubili rozmawiać o filmach w telewizji, tak zwanych serialach, ale jeśli już musieli rozmawiać długo i z namysłem – to o pieniądzach i Ameryce. Tak naprawdę i jednego, i drugiego najbardziej im brakowało, i ani pieniędzy, ani Ameryki jeszcze nie widzieli. Ameryka to pieniądze, pieniądze to Ameryka. Taką mieli filozofię na własny użytek.

Rozmowy mieszkańców toczyły się wokół Ameryki, dość często jednak – trzeba być uczciwym – jakieś tam pieniądze od czasu do czasu widzieli, natomiast Ameryki jeszcze nie widzieli, chyba że na zdjęciu lub pocztówce. Ameryka była im w głowie, bo jeden z nich, Antoni, był w Ameryce już od kilkunastu lat, ale listów prawie nigdy nie wysyłał, a teraz wysłał. Było napisane, że Józek, najmłodszy i najbardziej roztargniony, został przez niego zgłoszony do loterii wizowej i też się tak złożyło, że komputer właśnie jego wylosował. Kiedyś nawet przyszło jakieś oficjalne powiadomienie o tym wydarzeniu, ale nikt w rodzinie specjalnie tym się nie przejmował, bo i po co. List otworzono i stwierdzono, że dolarów w nim nie ma, więc cała zawartość koperty powędrowała do pudełka na buty, w którym trzymano najważniejsze dokumenty. Miało ono swoje szczególne miejsce w szafie, na górnej półce z lewej strony, pod szalikami. Nikt też uważniej listu nie przeczytał, bo i po co sobie ocy psuć czytaniem, poza tym byli święcie przekonani, że skoro oni do nikogo nie piszą, więc niech i do nich nikt nie pisze, a jeśli już napisał, to tak aby normalni ludzie mogli coś z tego zrozumieć. Z listu niewiele zrozumieli i szybko o nim zapomnieli na amen.

Antoni nie był zbyt lubiany w rodzinie, nie dlatego, że się go wyrzeczono, albo w jakiś szczególny sposób dał się poznać z jak najgorszej strony, ale dlatego, że rodzina poczuła się obrażona na niego. Do Ameryki

uciekł w drugiej połowie lat 80., dokładnie kiedy nikt już nie pamiętał, w którym to było roku, 1986, a może 1987, wiadomo tylko że była to wiosna. Wystarczy powiedzieć, że wyjechał z miejscowym księdzem na popularne w tamtym okresie pielgrzymki do papieża, do Watykanu i więcej już go nie widziano. Gdzie przez ten cały czas był i co robił, nikt nie wiedział. Jakim cudem z Włoch dostał się do Ameryki tego też nie widziano. Kiedyś na początku swojej emigracyjnej przygody to jeszcze potrafił list ze zdjęciem i dolarami wysłać, a nawet dwa czy trzy razy zdobył się na paczkę na Boże Narodzenie. Ale jak upadła komuna, kontakt się z nim urwał, przestał pisać i nie dawał znaku życia o sobie już od lat. Na początku to nawet i o niego się martwiono, a zarazem i podziwiano, czekano z utęsknieniem na każdy list, ale przestał pisać. Nie wiadomo czy się obraził na rodzinę, czy na to, że komuna upadła?

Tym razem napisał krótki list z zapytaniem, chłodny, jakby pisał do obcych, bez żadnych opisów własnego życia, bez wspomniania o Ameryce, Chicago, w którym mieszkał. Zaczęto sobie wyobrażać, że mu się powiodło, że jest bogaty, więc z tygodnia na tydzień zaczęto mu zazdrościć, że ma lepiej niż oni, że o nich zapomnieli, bo już jest panem, albo nie wiadomo kim. Ma ich za nic, albo nawet nimi pogardza. Co robi? Jak mu się w tej Ameryce udało? Z czego żyje? Czy się ożenił? Niczego w liście nie było napisane, co mogłoby mówić o nim jako człowieku czy członku rodziny. Bez wdawania się w szczegóły, bez zbędnych ozdóbek pyta wprost, czy już ten ważny papier otrzymali z konsulatu amerykańskiego. List ten faktycznie otrzymali, kiedyś tam, ale niestety już go nie było, bo jeden z członków rodziny będąc w potrzebie zużył papier do celów własnych. Kto to był, do tej pory nie wiadomo, bo nikt się nie przyznał, a w rodzinie spokojnej nie wypada robić draki z byle jakiego powodu. Ot, napisali jeden list, mogą napisać i drugi, taką wyznawali filozofię na użytek własny. Tak też w kilku zdaniach odpisali do Antoniego do Ameryki.

Mijały tygodnie, a później miesiące, jedno żniwa, a później następne i o całej sprawie by zapomniano na amen, gdyby znowu Antoni z Ameryki nie napisał. Wszystko już jest prawie załatwione – donosił Antoni, jedynie kuzyn Józef musi jechać do stolicy, aby tam do końca pozatwierać formalności. Jeśli szczęście mu dopisze i wszystko pójdzie po myśli, to powinni wkrótce się zobaczyć w Ameryce. Kuzyn Józef mechętnie i przy milczącej zgodzie rodziny, ale wyruszył do stolicy pod wskazane adresy, tam co trzeba załatwił. W amerykańskim konsulacie przyobiecano mu, że gdy przyjdzie jego kolej, to do Ameryki pojedzie. Poproszono o cierpliwość, więc czekał, a cierpliwości było w nim tyle co w oceanie wody, albo i jeszcze więcej, bo nigdzie mu się nie spieszyło i nigdzie go nie gnało. Ciekawość Ameryki była tylko zewnętrzna, tak wewnętrznie to tutaj było mu dobrze i wolałby nigdzie się nie ruszać.

I tak by nieroby przesiadywały cały boży dzień jeden i drugi i następny myślać o Ameryce i o tym jak tam Antoni żyje i z czego? Dlaczego do nich nie pisze takich listów jak kiedyś na początku swojej emigracji. Coś musiało się z nim stać, ale nie wiedzieli co? O to że żyje byli spokojni, przecież nikt w rodzinie nie miał żadnego złego snu z tematem Antoni, więc na pewno żyje i to chyba mieć mu się żyje. Nie wiedzieli, czy się tym martwić, czy cieszyć. Milczenie z jego strony było dla nich denerwujące i upokarzające, tym bardziej że bieda zaglądała już nie tylko w oczy, ale i do garków, i do żołądków.

„Nic nie robili i nie mieli stałego zajęcia, cała okolica, w której mieszkali, była na bezrobociu i nie było żadnych widoków, że sytuacja szybko się zmieni na lepsze. Sami nie mieli żadnego pomysłu ani na pracę, ani na cokolwiek. Spoglądali przez okno, mówiąc do siebie „aby do wiosny”. Młaskali przy tym słysząc ciekawą herbatę bez cukru i cytryny, wydając trudne do opisanie dźwięki. Ciszę przerywał listonosz, którego też dawno już nie widzieli, bo zasilki im się skończyły i teraz żyli pomysłem na własny biznes, a co to było, lepiej o tym nie mówić, tym bardziej że był to tylko pomysł.

Listonosz był w tej okolicy niezmiernie rzadkim przypadkiem, a były i takie rodziny w sąsiedztwie, co go już nie tylko miesiącami, ale i latami nie widziały w swoich progach. Na łoskot otwieranej furtki pierwszy zareagował pies, wielki, czarny i kudłaty wielorasowiec, wychodząc leniwie spod stołu, a że był już stary i niejedno w swoim życiu widział i słyszał, i dawno powinien zejść z tego świata (czego mu szczerze życzą, bo nie za bardzo było czym go karmić), więc szczekać mu się nie chciało. A bo to niemilo naszczeakał się w swoim życiu i tak nie dobrego za to go nie spotkało. A tyle kopniaków dostał, że żaden najlepszy ruski komputer by nie obliczył – podniósł ledwo łeb, który natychmiast mu opadł ku podłodze. Mężczyźni odłożyli papierosy do popielnicy, która wielka była jak miska, a kobiety na moment przestały cerować jakieś stare i znoszone do granic możliwości koszule. Wszyscy popatrzyli na siebie przyjaźnie, zerkając ukradkiem za okno na listonosza. Ale nie zdążyli mu się dobrze przyjrzeć, bo ten prężystym krokiem podszedł do drzwi, dwa razy pięścią w nie walnął i nim kuzyn Józef zdążył po schodach na dół zlecieć, już go nie było, natomiast w drzwiach była gruba koperta.

Wniósł ją z dostojnością na piętro do pokoju, w którym zebrani w wielkim napięciu na twarzach, zagryzając nerwowo usta, zaciskając pięści czekali na dalszy rozwój wypadków. Kopertę otworzył nożem leżącym na stole pomiędzy szklankami z herbatą, a z niej wypadły różne takie papierki, na których było napisane, że kuzyn Józef na otwartą drogę do Ameryki, jeśli jeszcze chce jechać. Formalności są już za nim, teraz należy załatwić paszport, bilety lotnicze, kupić Antoni w Ameryce i takie różne musi odprawić czary mary i ceregiele, które umożliwią wyjazd do Ameryki, a dokładnie do Chicago, w którym mieszkał od lat kuzyn Antoni, sprawca dzisiejszego zamieszania.

4

„Ano stało się” – powiedział Józef, splunął do szklanki, z której pił herbatę, skrzywił się nerwowo jakby z bólu, rozejrzał po twarzach nie siedzących, ale stojących za stołem, tak jakby je pierwszy raz w życiu zobaczył. Kopertę wraz z jej zawartością zgwałł w pół i schował do tylnej kieszeni spodni, usiadł za stołem, a za nim reszta zgromadzonych usiadła posłusznie. Spuścili głowy i czekali nie wiadomo na co. Nastąpiła cisza tak głucha i głęboka, że było słychać drapanie się psa pod stołem. Pierwszy odezwał się Józef.

– Nie siedźcie tak cicho, ale cieszyć się, że lecę do Ameryki – powiedział to bez przekonania, mało optymistycznym głosem. Wierciecie mi – dodał po chwili – że o was nie zapomnę, będę co miesiąc pisał długi list, opisywał Amerykę i co robię, i jak w niej żyje, i o Antoniu też wspomnę. A gdy tylko się trochę lepiej ustawię, wyślę i dolary, i paczkę, i to niejedną, wiercie mi. Wytań czoło grzbietem ręki, podrapał się po nosie i jeszcze bardziej zapadł się w swoje krzesło niż to zwykły robić.

Pojawienie się listonosza i wielkiej koperty z papierami na wyjazd Józefa bardzo poruszyło zgromadzonych, takiego obrotu sprawy się nie spodziewali. Do końca nie wierzyli, że to może być prawda. Nie wiedzieli, co o tym mają myśleć. Najbardziej poruszony był stary Szymon i Zosia, którzy byli rodzicami Józefa, uraziło ich to, że w tej wielkiej kopercie nie było ani słowa o nich, ani nie było żadnych pozdrowień dla nikogo z rodziny. To ubodło ich dumę i to im się nie spodobało, to wysunęli na plan pierwszy w swojej wypowiedzi, mówiąc o tym co się wydarzyło w ostatnich minutach.

Pozostali członkowie rodziny z miną zadowolonych dzieciaków pochwalili słuszną uwagę i bystrość umysłu starego Szymona. Tak, tak – kiwali głowami z uznaniem dla najstarszego członka rodziny – pozdrowienia jakieś powinny być, a chociażby włożyłby do tak wielkiej koperty ze 20 dolarów. Widocznie o nas już nie pamięta, albo lekceważy, dodała Zosia – żona Szymona i raz jeszcze wszyscy się z nią zgodzili, nieprzychylnym okiem patrząc na Józefa, który niczemu nie był winny. Ale on tak naprawdę tym się nie przejmował, ani nawet nie przyszło mu do głowy tym się przejmować. On już myślami był w Ameryce, w Chicago, liczył dolary i co za nie kupi, gdy wróci w rodzinne strony, jak będzie wyglądał i jakiego może spodziewać się szacunku od bliskich i znajomych. Przecież będzie bogaty, a bogatym należy się szacunek, choćby za ich bogactwo. Nie za bardzo zastanawiał się nad tym, co tam będzie robił w tym legendarnym Chicago, jaki interes ma Antoni, aby go zapraszać. Zaprasza, więc pojedzie, jaki problem, niech on się o wszystko martwi, widocznie jest już tak ustawiony, że na wiele go stać i wiele może. Jego zadaniem jest dojechać do Ameryki, jak najwięcej obiecać rodzinie, ale jeśli będzie taka możliwość, że będzie mógł pomóc, to i pomoże. Ale zanim to nastąpi, on sam musi być już na tyle bogaty, aby sobie pozwolić na wydawanie pieniędzy na innych.

5

Chicago, Chicago, sweet home Chicago – tak śpiewają amerykańscy muzycy bluesowi o Chicago. Dobry wspaniały, przyjemny, gościnny dom Chicago, którego drzwi są otwarte dla każdego, lecz niestety nie wszyscy potrafią docenić gościnność miasta i nowe warunki życia. Chicago, miasto nadziei dla wielu ze wszystkich stron świata. Czy naprawdę to słodki i miły dom, wygodny i przyjazny dla każdego? Przecież angielskie słodzi to po polsku słodycz, w której kryje się dziesiątki różnych przyjemności i znaczeń. Chicago stolica Polonii świata, w którym mieszka około miliona ludzi mających polskie korzenie, Chicago mimo takiej armii ludzi – rodaków nie przesiąknięta jednak polskością w takim stopniu jak irlandzkością czy niemieckością.

Downtown, a w nim wielkie wieżowce, ponad czterdzieści, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt pięter i jeszcze wyższe z królem wysokości, Sear Tower, ponad sto pięter, nie było dla Polaków w dzień do zdobycia. Rodacy tam pracowali w nocy jako siła nie wykwalifikowana, przy sprzątaniu i utrzymywaniu czystości i porządku, często będąc na tak zwanej podmowie, czyli ktoś inny załatwiał sobie kontrakt-pracę, a wykonywanie jej zlecał Polakom. Kontakt Polaków ze społecznością amerykańską zamieszkała w tym mieście, bądź co bądź uważanym za drugą Warszawę, był bliski zeru, a jeśli już był, to bardzo niekorzystny dla nas. Inne grupy etniczne o wiele lepiej dawały sobie radę w tak zwanych public relations¹

¹ Elementy – środowiska.

² Podjęcie relacji – wzajemne stosunki, kontakty.

z władzami miasta i powiatu. Nas ledwo tolerowano, jeśli w wiciu przypadkach nie lekceważono, czemu oczywiście sami byliśmy winni.

Tego kuzyn Józef nie wiedział, ani wielu, wiciu innych rzeczy nie wiedział, i to można uznać za jego szczęście w nieszczęściu, ale skoro już do tego Chicago dotarli, była okazja, aby się dowiedzieć. Dowiedzieć się to także oznacza poznać, ale czy on byłby na tyle tym zainteresowany? Tego nie można ze stuprocentową pewnością powiedzieć. Była połowa lat 90. Stanami Zjednoczonymi bardzo zresztą rządził Bill Clinton, przeżywany skandalistą. Kończyła się wiosna, która w Chicago rozpoczyna się tak szybko i niespodziewanie, że wielu nawet jej nie zauważa, bo jest tak krótka i ciepła. Po niej nadchodzi lato gorące, upalne, duszne i wilgotne, które zabiera wiele ofiar ludzkich.

Antoni, stary wyga i wyjadacz, co lepszych kasków, przynajmniej tak mu się wydawało, o tym wszystkim wiedział. Musiał wszystko wiedzieć i nawet jeszcze więcej, na wiele szczegółów zwracając uwagę, jego praca była związana z urzędnikami miasta, od którego dostawał co roku pozwolenie na prowadzenie robót budowlanych. Był zależny od inspektorów budowlanych z City Hall⁶, którzy wiele robót zatwierdzają, a jak się pracuje w branży budowlanej, to takie rzeczy jak zmiany pór roku koniecznie trzeba zauważać. Antoni był bystrzakiem i miał małą kilkuosobową firmę, małą ale własną, o pięknej nazwie KOGUCIK, której zadaniem było zarobić jak najszybciej kasę, wziąć ją i uciec.

6

Z Józefem spotkanie na lotnisku nie było ani wylewne, ani gorące, bez zbędnych pytań i czułych spoglądań w oczy. Po prostu podali sobie ręce jak mężczyźni, nawet się nie obejmując czy ściskając. Nie widzieli się lata, a Józef był jeszcze uczniem podstawówki, gdy Antoni z Polski uciekał, ale nie był to powód, aby się rozczulać. Nie było na to czasu ani potrzeby, ani zwyczaju w rodzimie, by się obejmować czy przytulać do siebie nawzajem. Antoni jak najszybciej chciał uciec, bo w garażu miał zaparkowany samochód, a każda minuta to dolary opłat, a skąd je brać? Józef miał tylko jedną małą torbę, do której nawet celnicy nie zaglądali, dziwiąc się, że człowiek z Polski przyleciał z jedną małą torbą, wariat jakiś, bo na pewno nie normalny. Antoniemu było to na rękę, mały bagaż, szybka odprawa celna. Bez większych wprowadzeń czy zwrotów grzecznościowych typu: Jak mu się leciało w samolocie? Czy się bał? Co tam nowego w Polsce i w rodzinie? Kto umarł, a to się urodził? Opowiedział kuzynowi o swojej firmie, sobie i swoim życiu w Ameryce w samochodzie w drodze do domu z lotniska, aby nie tracić cennego czasu. Skoro teraz jest okazja do pogadania, to trzeba gadać, jutro już jej nie będzie, bo robota czeka.

– A więc u mnie – stary – niczego ci nie braknie, dostaniesz żarcie i spanie, nawet jeśli gacek nie masz, to ci jutro w Salvation Army⁷ kupię za trzy dolary, ale takie jak nowe. U mnie w firmie, chłopie matorolny, pracowały najcięższe umysły XX w., jakie tylko w Polsce się urodziły i wychowały. Tak bracie – dodawał z przekąsem. U mnie w firmie zatrudniałem i komunistów, i faszystów, i tych co wierzą w Pana Jezusa, i tych bandytów, co nie wierzą w naszego Zbawiciela. Miałem takich asów, że świat takich jeszcze nie widział. Ale ja tam nie dbam o to jakie człowiek ma

przekonania, kim był, w co wierzy, ja takiego mother fuckera⁸ stwarzam na nowo. Ja to mam gdzieś, kim on tam z drugiej strony oceanu był, bo z natury jestem republikaninem. Dla mnie musi pracować profesor czy doktor, chłop matorolny czy były traktorzysta z pegeeru. Jeśli nie pracuje, to kopa w dupę i won, ty chanie i świnię nie myta.

Jestem człowiekiem biznesu, tym co się lenią nie płacę, u mnie miejsca długo nie zagrzeją. Praca to tutaj przywilej a nie obowiązek, jak sam wiesz, bo przyjechałeś z kraju, gdzie roboty nie ma nawet na lekarstwo, takich mamy mądrych ludzi w rządzie, fucken idiots⁹. Tutaj nie jest lepiej, ale będziesz musiał szybko w tym kurestwie się połapać. Masz ogromne szczęście, że na mnie ufałeś, ja będę dla ciebie latarnią, która przez te mroki pierwszych miesięcy emigracji cię przeprowadzi. Musisz panieć tylko jedno, tutaj nie ma nad nikim litości, nikt na litość nie zasługuje i nikt jej od ciebie nie oczekuje, tylko kurwa i złodziej w tym kraju żyje godnie i wygodnie i ludzie, co mają głowy na karkach...

Na moment przerwał, bo akurat jakieś auto zajęło mu drogę.

– Oll! look there¹⁰ na te małe literki pl. na tym odrapanym starym oldsmobilu, to na pewno jada Meksycy, którzy gdzieś na junkarni¹¹ kupują te auta. Marzeniem każdego Meksyka w Chicago jest mieć właśnie takiego wielkiego gruchota, a z czasem być właścicielem sklepu z meblami. Oni po prostu uwielbiają bycie właścicielem sklepu z meblami. Na takie wielkie cary¹² krowy musisz uważać, bo za kierownicą takich aut albo siedzi pijany Meksykanin, albo pijany Polak. PL to skrót od Poland, a Poland to po naszemu Polska. Na auta z takimi literkami musisz uważać... ale o czy to ja mówiłem – przez sekundę się zastanawiał – ach... Jak już powiedziałem, kocioł i wyrko masz u mnie, także i pracę, na razie przez kilka miesięcy nie będę ci płacił. Musisz odrobić bilet, który ci kupilem, plus wszystkie koszty, jakie poniosłem w załatwianiu twoich papierów, tutaj do Ameryki, a wiesz mi, one są niemałe. Każdy papier, każdy podpis, każda pieczęć kosztuje, jankesy nie ci za darmo nie robią. Zapłaciłem za ciebie z góry, nie mogą być stralnym, mi tutaj też nikt niczego za darmo nie dał. Zapamiętaj sobie there is not such a thing like free lunch.¹³ Pomieszkaś trochę, to sam zobaczysz, na czym to wszystko tutaj polega, wierzę, że się dogadamy i nie będziesz robił mi żadnych problemów. Bo jeśli będą problemy, zadzwonię na policję, a ona odwiedzi cię na lotnisko – mówię to ci na dzień dobry w pierwszy dzień – wyśię cię do Polski i Amerykę będziesz widział tyle co świnię niebo.

Na robocie się nie znasz, zielony jesteś jak szczypior na wiosnę, o Ameryce nie masz pojęcia, żadnego. Żaden awans w życiu cię nie czeka, ani też milęgo nie cię nie spotka, na nic nie możesz liczyć, szkół żadnych nie masz, zawodu też. Mówi się tylko do Pana Boga, aby omijały cię rzeczy przykre, to jedno co możesz zrobić. Prosić w swych modlitwach o jak najmniejszą ilość goryczy i rozczarowań, upokorzenia i łez. A będzie ci w Ameryce dobrze, bo przyjmuję cię do mojej firmy jako praktykanta, co to ma zielono we łbie i jeszcze nie wie, na czym polega prawdziwa praca. Tutaj, wierz mi, pracuje się od rana do wieczora, work, work, work¹⁴, przez sześć a i często siedem dni w tygodniu. Jeśli nie masz pracy, jesteś unhappy.¹⁵ Pot ma ci po plecach kapać, następnie krople przemieniają się w

⁶ Mother fucker – bardzo przynajmniej przekleństwo

⁷ Fucken idiots – pieprzeni idioci

⁸ I, look there – popatrz tam, popatrz w to stano

⁹ Junkyard – złomowisko, napiecznia. W tym przypadku oznaczał starych samochodów.

¹⁰ Car – samochód

¹¹ There is not such a thing like free lunch – dosłownie: nie ma lunchów za darmo, w tym przypadku: nie ma nic za darmo, na wszystko musisz sobie zapracować

¹² Work – praca, zajęcie, zatrudnienie

¹³ Unhappy – niezadowolony

⁶ City Hall – Urząd Miejski

⁷ Salvation Army – Armia Zbawienia, pieczęć ma na imię sklepów z używaną odzieżą, działająca na terenie całych Stanów Zjednoczonych

strumienie, które spływają w dół po plecach, po dupie i nogami do butów. Wieczorem zdejmiesz buty i go wylejesz, to wszystko.

O języku tych skurwysynów to nawet nie masz pojęcia, a szkoda, bo przydałaby ci się znajomość choćby paru słów nawet od jutra. Wiem, że żadnego słownika nie przywiozłeś, ani też nie masz żadnych rozmówek polsko-angielskich, no i dobrze, bo na chuj ci się to tutaj zda. Twoja angielszczyzna to nie podręcznikowa rozmówka dwóch debilów. Ode mnie nauczysz się tych najpotrzebniejszych słów i zwrotów związanych z twoim nowym zawodem: młotek, gwoździe, deski, wiadro, miotła, szmata itd., w sumie jak się nauczysz sto słów, to ci wystarczy, książek nie przyjechałeś tutaj pisać. Oni sami znają angielski na tyle, ile muszą, wcale się nie wysilają, a o geografii czy historii nie mają pojęcia. Poza nimi nic innego nie istnieje, a reszta świata ma w dupie. I pamiętaj, czym mniej mówisz, tym więcej mają dla ciebie szacunku, nie wiedząc co myślisz.

A oni gadają jakby kto ich nakręcił, dzień i noc, a przeważnie mówią give me more give me more, give me more, czyli daj mi więcej i więcej, dlaczego tak mało mi dajesz. Prawda jest taka, że ostatnią kroplę krwi by z ciebie wypili i to przez słomkę, takie skurwysyny. Ja się na nich rozpoznałem i rozgryzłem. Rano w pracy postawią ci kawę, poklepią po plecach, pytają się, jak się czuje twoja żona i dzieci, zapytają te sakralne: how are you, a wieczorem powiedzą wypierdalaj, bo nie ma dla ciebie roboty. Policja, lekarz, mechanik samochodowy, ksiądz, urzędnik, wszyscy oni chętnie będą z tobą rozmawiać, gdy masz kasę, będą dla ciebie mili i uprzejmi. Spróbuj przyjsć do nich bez pieniędzy, zamkną ci przed nosem drzwi, a jak będziesz się domagał rozmowy, wezwą policję na ciebie, która wsadzi cię do pudła. I to jest u nich normalne, nikt o to nie ma pretensji do nikogo, nikogo to nie dziwi. Czasem tylko ktoś nie wytrzyma i wyciąga guma i strzelę, ale to tylko czasem puszcza nerwy, tym co są z gówna ulepieni. Ty patrz na mnie i się ucz, a jeśli twoja nauka nie pójdzie w las, za kilka lat zrobię z ciebie swojego następcę, będziesz panem. Ale choć jesteś kuzyn, nie za darmo, pamiętaj o tym, bo za darmość to tylko można dostać w ryja i w jaja.

Na początku będziesz musiał nadstawiać uszy i mieć ryj zamknięty na kłódkę, słuchać i nie nie mówić, tylko yes sir, thank you sir i takie różne duperele, które jutro z rana na jakiej kartce ci napiszę, abyś już się nauczył ich na pamięć. Pamiętaj, nieważne co oni mówią do ciebie, zawsze mów do nich: yes sir, thank you i tyle wystarczy. Oni na początku będą udawać, że cie nie widzą, nie dostrzegają, będą cię badać, ile można na tobie zarobić, jak najlepiej będzie można cię wyruchać. Później, gdy nabiorą odwagi, otworzą się, będą opowiadać ci, co leży im na watrobie, albo o swoich innych zmarłwieniach, a ty to wszystko masz dupie, mówiąc do nich yes sir, thank you sir, please sir. Codziennie rano jeśli jakiego Amerykanina na swojej drodze spotkasz – mów – hi, how are you¹, co po naszymu oznacza: odpięrdol się i idź swoją drogą. Nieważne czy go znasz, czy nie znasz, mów how are you. W południe powiesz im to samo i wieczorem też, oni zawsze są spragnieni usłyszeć tego how are you.

Słuchaj mnie uważnie, bo ja jestem jak ksiądz, co dwa razy tego samego kazania nie powtarza. Podobasz mi się, chociaż żadnych pytań nie masz. I nie prawie z tego, co do ciebie mówię, nie rozumiesz i masz to w dupie. To świadczy o twojej inteligencji, dobrze musiał się twój stary nauczyć, zanim cię znajstrował. Nie byłeś robiony chłopie miłkkiem, ale twardym, o tym też pamiętaj. Ja powierzam ci największe tajemnice na sukces w

tym kraju, mam nadzieję, że kiedyś to docenisz. Przy mnie zajdziesz daleko, młody jesteś, Ameryka stoi przed tobą otworem i ten Clinton nie jest wcale taki głupi, chociaż złapali go na dupie. Z twoją twarzą, usniechem możesz zajść daleko, już wiem, że niejedna Włoszka czy Irlandka chętnie by ci rękę w spodnie włożyła, ale ty tylko uważaj, nie daj się wziąć na ten babski łep, bo wtedy biada ci, oj biada. Kobiety w tym kraju mają największe prawa i żaden chłop z nimi nie wygra, więc uważaj, oj uważaj. I na koncie zapamiętaj to sobie, że nawet jeśli coś ci się z nimi trafi, rób tak abyś się więcej z taką nie spotkał, nawet jeśli musiałbyś wyjechać na drugi koniec Ameryki.

To, że ja teraz tak dużo przeklinam, to nie ma żadnego znaczenia dla ciebie, ty też będziesz, bo to jest nasz kod, rozumiesz, nasza gadka na skróty, aby nie pieprzyć się w jakieś konwenanse, które do niczego nie prowadzą. Zapamiętaj sobie doktor musi mieć słuchawki zawieszane na szyi, wtedy jest lekarzem, rzecznik poplamiony krwią biały fartuch, malarz farbami, adwokat musi być w garniturze, urzędnik mieć palce w atramencie, ksiądz w sutannie, a ja muszę przeklinać, takie jest logo.

Minęły trzy lata zanim kuzyn Józef w tym wszystkim co Antoni mu powiedział – w ten pamiętny pierwszy dzień w Ameryce – się potapał. Słowa Antoniego niczym modłwa lub pieśń kościelna głęboko zapadły w jego pamięci. Wiele się od niego nauczył, jeszcze więcej dowiedział, ale nieszczęście niewiele zarobił. Antoni był doskonałym przewodnikiem po Ameryce, Chicago, po ludzkim charakterze ułomnym i tak bardzo mało doskonałym. On uaktował swoją misję jak najlepszy nauczyciel, a może nawet jak i profesor akademicki, który strasznie drogo liczy sobie za wszelkie lekcje pogładowe na temat życia, Ameryki, kościoła, patriotyzmu, ojczyzny, rodziny, bliskich i dalekich znajomych. Doprawdy trudno jest powiedzieć gdzie i z kim Antoni nie robił swoich interesów, a tutaj trzeba powiedzieć, że do biznesu miał żyłkę, szczęście mu sprzyjało. Józef przy okazji poznał wielu innych rodaków, którzy nie tylko pracowali dla Antoniego, ale którzy jak on przyjechali do Ameryki jako szczęśliwi wybrańcy losu, wygranego na loterii wizowej.

Wielu z nich przeklinało swój los, mówiąc, że w kraju zostawili domy i rodziny, a tutaj zdani są na łaskę czy niełaskę jakiś półwariatów. Jeszcze inni mówili z dumą, że Ameryka stworzyła ich na nowo i teraz będą dopiero żyć, gdy zarobią worek pieniędzy i wrócą do kraju, jako zdobywcy czy bohaterowie dawno temu napisanych książek. Wielu z nich tak jak on pracowało za półdarmo, mieszkając w ciemnych norach piwnic, z których nudiła nikłą szansę na wyprowadzkę. Bez znajomości języka, bez dobrze płatnej pracy, marzenia ich nie mogły być oparte na jakiejś solidnej podstawie i o tym wiedzieli, że przegrali swoją Amerykę, ale wciąż ta przegrana na loterii Ameryka była lepsza niż ich własna ojczyzna, w której nie było dla wielu z nich pracy, ani szansy życia nawet na podobnym poziomie co tutaj, tj. piwnicy.

Kuzyn Józef wiedział, że do kraju nie ma po co wracać, a przede wszystkim nie ma z czym wracać. Z Antonim też nie chciał być dłużym, to co był mu winien, dawno już odpracował i to milion razy więcej, chociaż Antoni wcale tego nie dostrzegał. Wyglądało na to, że dług wdzięczności jest większy jak Himalaje. Szukał więc okazji, aby z niego się uwolnić, ale to nie było łatwe. On wiedział i znał każdy kąt w Chicago i rzucenie pracy u

¹ "How are you" – jak się masz?, od naszego: jak się czujesz? Po prostu: cześć.

niego równało się z długim poszukiwaniem następcy oraz dobrowolnym zdaniem się raz jeszcze na łaskę lub niełaskę losu. Antoni jak tylko mógł, to go i innych pracowników wykorzystywał na każdym kroku, mówiąc mu że pieniądze szczęścia nie dają, a tylko zmartwienia, a od zmartwień można dostać raka na mózgu, albo jeszcze gdzie indziej.

Były też i aludy pracy, którą polubił i wykonywał jak tylko mógł najlepiej, a przy okazji poznał stare i nowe Chicago. Nowe, czyli tak naprawdę to stare, ale nazwane nowe, wciąż żyło własnym, mocnym, intensywnym życiem, to downtown, ulica Michigan, State, Dearborn, Wicker, Madison. Stare to małe wąskie uliczki na Golden Coast przylutone do pięknej Lake Shore Drive i to w polskich dzielnicach przecinające główne ulice, takie jak Milwaukee czy Belmont, albo Irving Park. Przez te trzy lata kuzyn Józef poznał prawie całe Chicago, począwszy od dzielnic polskich, poprzez niemieckie, żydowskie, chińskie, meksykańskie, portorykańskie.

Spodobała mu się Ameryka i spodobało mu się Chicago. Z tyloma różnymi ludźmi wypił tyle whisky, rumu, džinu, polskiej gorzalki, że w swoich rodzinnych stronach musiałby żyć i sto lat i tego wszystkiego by nie wypił. A tu pił, bo tak się składało. Antoni wolął kupić sześć piw Budwiserów niż zupę, bo zupa była droższa niż piwo. Średni obiad był droższy od litrowej butelki wódki. I to bardzo kuzyna Józefa zdziwiło, wódka w Ameryce była tańsza niż żarcie, a niektórzy mówili, że w Ameryce wódka jest najtańsza na świecie.

Kuzyn Józef pił z każdym nie dlatego, że lubił pić – choć to też – ale dlatego, że przy wódec poznaje się ludzi, ludzkie charaktery i postawy, o przede wszystkim można się czegoś nowego nauczyć czy dowiedzieć. A dla wiedzy kuzyn Józef gotowy był zrobić wszystko. Przez to, że pił z każdym, stał się najbardziej poinformowanym człowiekiem w mieście, o Ameryce wiedział dużo więcej niż przeciętny rodak. Nigdy nie był w Kalifornii, ale znał jej miasta z opowieści truckierów¹⁴, którzy gdy mieli tylko chwilę wolną, to albo spali w swych ciemnych norach samotnych ludzi, albo w barach pili. Z opowieści spodobał mu się zachód Ameryki, chciał kiedyś tam pojechać, zobaczyć Indian w rezerwach. Dlatego wśród tego pijanego belkotu swoim „zajęczy m uchem” wylapywał wszystko to co go najbardziej interesowało. A interesowało go wszystko i szybko się uczył, po twarzy, po oczach potrafił odróżnić zwykłego złodzieja – sprzedawcę złotych łańcuszków i zegarków, których nigdy nie interesuje jutro, od ludzi czynu, którym akurat w tej chwili fortuna podłożyła nogę i się potknęli, przewrócili. Po kilka zdaniach wiedział, czy ten człowiek kiedykolwiek się podniesie i stanie na dwóch nogach, czy będzie jak szczur tylko wieczorami przebiegał od śmietnika do śmietnika.

W weekendy, jeśli nie pracowali, a miał pieniądze, przebywał w polskich barach, gdzie takich jak on było wielu, nie tylko Polaków, ale sporo Czechów, jeszcze więcej Słowaków, Litwinów, Ukraińców i Rosjan, zagubionych byłych mieszkańców Europy Środkowo-wschodniej, nie wiedzących co ze sobą zrobić. Wszyscy rozmawiali po polsku, bo w Chicago obowiązują tylko trzy języki: angielski, hiszpański i polski. Ci wybranci losu potrzebowali pracy, kobiety, psychologa albo księdza, który mógłby im dopomóc, ale niestety ani o jednym, ani o drugim nie myśleli. Przybyli do swojej wymarzonej Ameryki ze swych biednych ojczyzn i po trzech, pięciu latach, zagubili się, albo nie odnaleźli. Rodziny rozbite, nie było z czym wracać ani do czego, do Bratysławy, Kijowa czy Wina. Nieustniacy

¹⁴ Truck drivers – kierowcy wielkich ciężarówek, często kursujących pomiędzy wschodem a zachodem Ameryki. Po chińskowsku – traktorzy.

stres, zmartwienia o pracę, zdrowie też nie pozostawiły na ich psychice dobrego wrażenia.

Stara polska emigracja emigrantami loteryjnymi się nie interesowała, wychodząc z założenia, że komuna już upadła i emigracja jako emigracja już nie istnieje. Zresztą co tu mówić o emigrantach, jakich emigrantach, którym urząd polski daje wizy wyjazdowe na zarobek. „Starych” wciąż bardziej interesowała Polska ta daleka i odległa niż to co mieli tutaj pod ręką. Nowa Polonia przybyła na początku lat osiemdziesiątych miała własne zmartwienia, oni jeszcze się urządzali i tak na dobrą sprawę nigdy się nie urządzili. „Nowi” w dużej mierze niepotrzebni i nieobecni tak w życiu Polonii, jak we własnym. Tam w barach, gdzie się spotykali tacy jak on nikomu niepotrzebni – kuzyn Józef doznawał pierwszych ośnień, poznał nowe słowa, takie jak mit o ojczyźnie, patriotę, tam w barze przy piwie pijacy zastanawiali się o drugiej nad ranem co to jest Polska? Co to znaczy być Polakiem. Rozmawiali o ekonomii, czasie, który nieustannie upływa i nie nie jest w stanie go zatrzymać, i życie jest tak krótkie, jak koszulka malego Cyganiatka i na dodatek jeszcze obsrana.

8

Tego roku lato do Chicago przyszło bardzo wcześnie, już pod koniec kwietnia były takie upały i parowa, że nie było czym oddychać, wielu starych ludzi umierało na astmę i inne duszności. Temperatura dochodziła do 100 F.¹⁵ i wilgotność też osiągała 100%. Człowiekowi żyć się nie chciało przy takiej pogodzie. Ale brygada Antoniego nie zważała na pogodę, plan musiał być wykonany i pieniądze wzięte jak najszybciej. Kuzyn Józef pozwoli dopracowywał swój plan ucieczki z Chicago do Kalifornii. Powziął ostateczną decyzję, wyjechać, nie będzie tutaj zdychał, miał już pewne informacje i nawet nagraną chałę, hukowało mu tylko trochę pieniędzy, aby swój plan wprowadzić w życie. Nie chciał jechać jak dziad, bez grosza przy duszy do obcych mu ludzi, których znał tylko z opowieści pewnego trakera, tj. kierowcy ciężarówki. Kalifornia przykuwała jego uwagę swoją pięknnością i bogactwem. Marzyło mu się zamieszkać w kraju, w którym nie ma zimy ani tak wrednej pogody jak w Chicago.

Nagle zadał sobie pytanie, za jakie grzechy musi tak się męczyć z Antonim, który stawał się coraz bardziej uciążliwy, wręcz wulgarny gdy się upił, a upijał się coraz częściej, nawet w godzinach pracy, co wcześniej nigdy mu się nie zdarzało. Stopniowo zaczynał czuć się zagubiony, a życie przestawało mieć dla niego sens. Coraz częściej zastanawiał się, czy warto było wyjeżdżać. Minęły już lata, a on tylko jedną kartkę wysłał na święta Bożego Narodzenia i to zaraz w pierwszym roku swojego przyjazdu do Ameryki. Powoli pękał od środka, zaczynał mieć wyrzuty, zaczęło mu brakować tego co pozostawił w starym kraju. Wstawał rano do roboty z pytaniem, a co mogą moi robie takiego ciekawego teraz, gdy ja iadę autostradą 55 na południe Chicago? Bieda i niemożność zadecydowania o sobie samym z dnia na dzień zabierały mu chęci do życia i roboty, powoli zaczynał przeklinać Antoniego i otwarcie domagać się od niego pieniędzy za wykonaną robotę. Dochodziło do osirej wymiany słów, ubliżania sobie i wyzywania się od skurwysynów w dwóch językach. Już nawet zdecydował się posłać wszystko na jedną kartę, wziąć się w garść, bo żadnego ubrania ani rzeczy nie miał, ale wziąć się w garść i wyprrowadzić od Antoniego, rzucić jego robotę, otworzyć szeroko oczy i czekać na cud.

¹⁵ 100 F. Temperatura około 38 C., a przy wilgotności 100% jeszcze może być większa o kilka stopni. Słowem straszne upały.

W duszy modlił się o cud, który uwolniłby go od tego człowieka i tego miasta, które zaczynało mu przeszkadzać, drażnić, działać na nerwy. To co kiedyś tak bardzo lubił, teraz było kłoda w jego oku. Przez pięć lat w Ameryce nie miał nic, ani własnego kąta, ani własnej poduszki i prześcieradła, łóżka ani własnej nocnej lampki, ani własnych rzeczy, pokoju, samochodu, dwóch par butów, ani łyżki, ani widelca, wszystko było nie jego. Nagie dotarło do niego, że to zaczyna go męczyć, a nawet dokuczać, inni ludzie mają jakieś zajęcia, obowiązki, nawet jeśli piją, to po wytrzeźwieniu gdzieś idą, ktoś się nimi interesuje, pyta, gdzie byli, z kim pili. On nie miał nikogo i nikt się nim nie interesował ani nikogo nie obchodził.

Znalazł się w matni, z której nie bardzo wiedział jak ma uciec, albo chociażby wyjść na prostą. Z chłopakami z pracy nie chciał o tym rozmawiać, po prostu bał się, że mogą się przed Antonim wygadać. Żadnych polskich organizacji nie znał ani o żadnych nie słyszał, które mógłby pomóc ludziom takim jak on. Stara Polonia już wymierała, zostało tylko kilka mamutów, nic więcej, które nie były zdolne do niczego. Młodzi nie mieli nic wspólnego ze starymi, każdy martwił się za siebie i myślał tylko o sobie. Czuł, że ziemia pod nim się zapada i niewiele mógł zrobić, aby się uratować od zwariowania, czuł, że wódka już mu nie smakuje. Coraz częściej słyszał o samobójstwach wśród rodaków, ten się powiesił w więzieniu, tamten się zastrzelił. Czasem i ta myśl do niego przychodziła.

9

Dziesiątego sierpnia około 11 rano było tak samo gorąco jak dzień wcześniej i tydzień wcześniej i nic nie zapowiadało, że dzień ten będzie inny od pozostałych, gdyby nie to, że Antoni powiedział: lunch będzie dopiero wtedy, gdy skończycie robotę, gonią nas terminy i musimy być na czas. Właściciel domu już trzy razy do mnie dzwonił z pytaniem, kiedy skończymy robotę. W takiej gorącości, w takim upale żaden Murzyn czy Meksykanin nawet nie wyszedłby z domu, a on gonił chłopaków na dach, mówiąc, że jak przyjdzie zima, wtedy będą siedzieć w domu, w cieniu. Nie spodobało się to im, bo wykorzystywał ich jak tylko mógł, a na dodatek na ich własnych oczach okradał ich z przerw, które przy pracy w upale były długo wyczekiwaną nagrodą – siedzenia w cieniu. Lecz tym razem, po raz pierwszy odkąd Józef przybył do Ameryki, zobaczył na własne oczy strajk. Chłopaki dokładnie o 12 w samo południe zeszli z roboty jak jeden mąż, pokładli się w cieniu remontowanego domu, zamknęli oczy, aby nie widzieć biegającego jak kot z pęcherzem Antoniego i przycięgli sobie krótką drzemkę. Chcąc nie chcąc Józef przyłączył się do nich znajdując sobie miejsce w cieniu pod starym orzechem. Żar z nieba nie spływał, ale się lał i kto nigdy nie był w Chicago w lipcu lub sierpniu, może mówić o szczęściu, o wielkim szczęściu, bo słońce przybiera kształt wielkiej rozgrzanej kuli, tak bardzo rozgrzanej, że mówienie o upale, to tylko próba opisanie ognia na papierze.

Antoniego nie tylko upał zalewał, ale i złość, która zagotowała w nim żołąć, do tego stopnia, że nie wiedział, co ma z sobą robić. Najpierw wszystkim naubliżał, życząc im aby ich żony skurwiły się z Murzynami, a córki rodziły dzieci z urzema nogami. Później zaczął straszyć najcięższą bronią, że wszystkich wyrzuci z pracy, ale oni się nie ugieli ani nie przejęli jego gadką. Na końcu powiedział, że więcej od niego grosza nie dostaną, nawet za tę robotę – więc pokazali mu palcent, aby się w czoło stuknął. A gdy i ten szantaż nie pomógł, sam wziął narzędzia pod pachę

i poszedł na dach kończyć robotę. Jeszcze będąc na drabinie krzyczał, aby ich wszystkich pies wyjebał, bo psem zwykle kończył swoje przemówienia. Nikt się nim nie przejmował, ani jego groźb i szantaży nie traktował poważnie. Wiadomo było, że za robotę musi zapłacić, on też o tym wiedział, bo w przeciwnym razie wiedział, co go czeka. Takie mordobicie, że przez dwa miesiące żadnemu Amerykaninowi na oczy by się nie pokazał. Koniec kropka. Może oszukać, ale płacić musi, coś dać musi, bo gdyby spróbował zrobić jakiś większy przekręt, ciężko by tego pozalował. Chłopaki to spokojne woly robocze, spokojne i pracowite, ale w mordę to jeszcze potrafią dać. Koniec kropka.

Godzinna popołudniowa drzemka zakończyła się wcześniej niż sami tego się spodziewali, przerwał ją huk spadającego Antoniego, który gruchnął o ziemię z wielkim loskotem z tyłu domu, pomiędzy łazką z narzędziami a samochodem dostawczym. Na początku nie wiedzieli, co się stało, skąd ten grzmot. To, że Antoni wykręcił orla i zaliczył glebę, zajęło im to trochę czasu, zanim ktoś się podnieść raczył, by zobaczyć, co się stało. Zdziwienie ich było wielkie, bo ciało Antoniego nie poruszało się, ani też nie można było dostrzec żadnego oddychania, więc wspólnie uznano, że chłop spadł bardzo szczęśliwie i na miejscu się zabił. Zadzwonili na 911, przyjechała policja, straż pożarna i ambulans, i wszyscy zgodnie ku radości pracowników oświadczyli, że Antoni zabił się na miejscu.

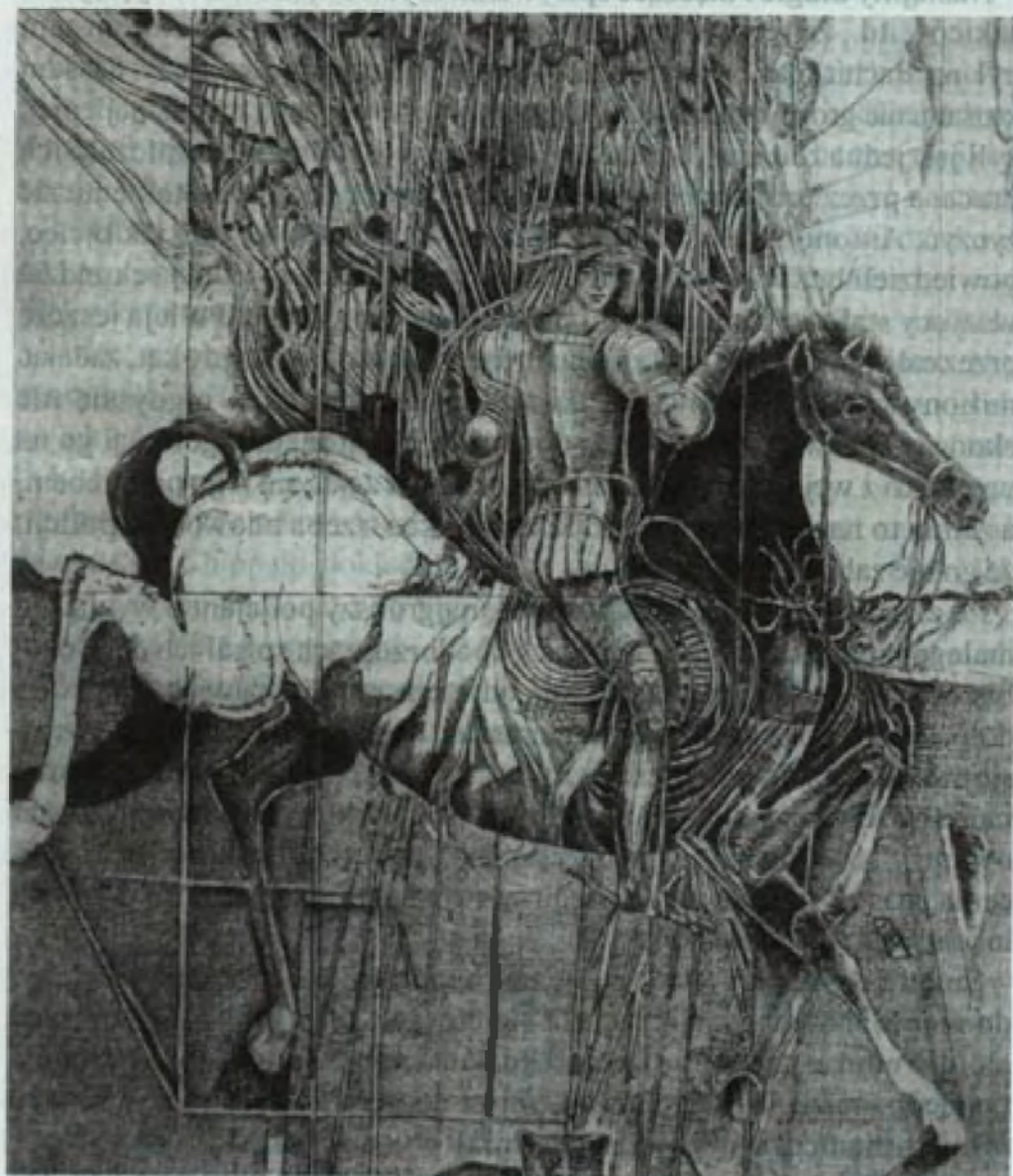
Nastąpiły długie i męczące spisywania raportów, robienie zdjęć, jakiś szkiców itd., zapytywania gdzie kto był, co robił, dlaczego Antoni sam był na dachu, czy miał wrogów wśród pracowników, a czy czasem ktoś mu nie groził i tak dalej. Wiadomo, wszyscy życzyli mu jak najlepiej, żył jak jedna rodzina, bardzo się lubili, od nieboszczyka zależała ich praca, a przez pracę przyszłość ich rodzin, więc jak można takiemu źle życzyć. Antoni był dla nich jak brat, nawet jak ojciec, tak, jak ojciec, powiedzieli bez większego zawahania się. Słowem w jednej sekundzie wszyscy stali się podejrzanymi o zabójstwo Antoniego. Policja jeszcze przez całe popołudnie laziła po budowie, zaglądając w każdy kąt, zadając miliony pytań. Józefowi wydawało się, że ten dzień nigdy się nie skończy. Nie wiedział, co ma o tym myśleć, Antoni przygotował go na wszystko z wyjątkiem tego, że będzie musiał zająć się jego pogrzebem, a zanim to nastąpi wraz z chłopakami jakoś trzeba udowodnić policji, że go nie zabili.

Po czterech godzinach maglowania, najgrubszy policjant o wyglądzie małego hipopotama, trzech brodach i podbrzuszach spisał ich dane osobiste, wraz z adresami, telefonami, adresem zamieszkania, kazał iść do domu, nigdzie się poza miasto nie ruszać, dopóki cała sprawa śledztwa się nie zakończy. O przyjeździe do roboty na następny dzień nie było mowy, musieli czekać na policyjne zezwolenie. Dom, w którym pracowali, został owinięty żółtą taśmą z napisem „policja – wstęp wzbroniony”. Bez tracenia czasu, z wielką ulgą wsiedli w swoje auta, odjechali do domów i tak się cała sprawa zakończyła.

Śmierć Antoniego nieoczekiwanie spadła na Józefa, przygniotła go do ziemi. Nie wiedział, czy ma się cieszyć, czy też płakać. Cieszyć się nie miał z czego, bo znając kuzyna, na pewno zostawił długów tysiące, znając jego krętałwa, teraz dopiero zaczną ludzie szukać swoich pieniędzy u Józefa. Nie miał pojęcia, jak się z tego może wywinąć, jak wygląda sprawa firmy od strony papierkowej. Do papierków Antoni nikogo nie dopuszczał, poza tym każdy miał gdzieś

jego sprawy papierkowe. Z drugiej strony wierzyć mu się nie chciało, że on, który rano szedł do pracy jako niewolnik z myślą ucieczki jak najdalej od tego człowieka, wieczorem – dzięki jego śmierci – wracał z niej jako właściciel firmy, bo wszyscy razem zgodnie orzekli, że on teraz będzie ją prowadził. Poprowadzić może, bo się na tym zna, pracował dla niej od rana do wieczora przez sześć lat, sześć dni w tygodniu, po 12–14 godzin dziennie. Swoją robotę zna, na chłopaków też może liczyć, żeby tylko jak najszybciej załatwić formalności – te przekłete papiery, przerejestrować firmę na siebie, zmienić jej nazwę, aby w ten sposób odciąć się od długów i dłużników Antoniego – tak sobie myślał w drodze do domu. (...)

Adam Lizakowski



Ryszard Strykowski: Św. Jerzy, 1982, akwaforta (34 x 29,5 cm)

MAREK DANIELKIEWICZ

W oczekiwaniu na katharsis

Kilku wariatów regulamie przychodzi do biblioteki
Przyzwyczaiłem się do nich
Bywalec z czarną grzywką
Powiedział, że w wieżach World Trade Center
Nie zginął ani jeden Żyd
Tego dnia dwadzieścia tysięcy Żydów me przyszło do pracy
Nie polemizowałem
Skądinąd wiem, że szefowie przychodzą najpóźniej
Sam korzystałem z tego przywileju

W stołecznym dzienniku zdjęcie Petera Brooka
I jego polskiego ucznia w czerwonej koszuli
W lekkim rozkroku, spoczonego
Jeśli wszystko wokół wydaje się wam głównem
Czegoś temu doświadczeniu zabrakło – powiedział reżyser

W pracy nie przeżyłem katharsis
Może jutro po lekturze gazet, gdy przyjdzie inny nawiedzony
Albo kobieta z zepsurymi zębami
Z trwoga patrzę na jej szczękę

Matka

Pamięta obóz koncentracyjny w Buchenwaldzie
Krzyczy we śnie
Jakby obawiała się o bezpieczeństwo
Kiedys warkocze zawiązywała jedwabną wstążeczką
Bryczką jeździła do miasta
Z małym Zamoyskim bawiła się na tarasie
Rzucali orzechami
Przypomina o tym ze wzruszeniem
Nigdy nie skarży się na dolegliwości
W 1942 roku przeżyła tyfus w Niemczech
Często mnie pyta czy już inni umarli

W hotelu Teatru Nowego

Zmęczony podróżą
Przytulilem się do szorstkiej pościeli
Zrozumiałem, że zawsze będę sam –
Najczęściej w charakterze pełnia

W teatrze i poza nim
Na poznańskiej ulicy i w redakcji *Akcentu*

Dwa dni padał deszcz
Poznań bez ciebie nie ma sensu – zapisałem
Zapłakał we mnie odrzucony chłopiec
Głodny, z trądzikiem na twarzy
Pozostawiony na strychu willi
Jak niepotrzebna szafa
Czterdzieści lat temu

Obsesja

Wycięte drzewa kasztanowe i krzewy bzu
Domy tylko na fotografiach
Oficyny z małymi oknami, drewniane werandy
Zapadające się pod ziemię psie budy
Myślałeś, że stąd uciekniesz
Śniłeś rozstanie
Ciężki plecak oczekiwał decyzji wyjazdu
Wypastowane buty wyciągały języki
Doceniłeś je w Tatrach, gdy spadałeś z Kazałnicy
Jesteś już martwy – pomyślałeś
I tak pozostało do dnia dzisiejszego
Wstręt do ludzi, którzy próbują ciebie dotknąć
I wstręt do własnego ciała poddającego się pieszczocie

18.12.2002

Chłopak z prowincji

Czarno-biała fotografia z 1977 roku
Pierwsze dni wiosny
Twarz chłopca z blizną na czole
Patrzy wilkiem jakby doznał krzywdy
Rozpięta koszula odsłania szyję
Obcięte na języka włosy pachną potem
Jeszcze o sobie nic nie wie
Unosi się na palcach
Niebawem odfrunie

Piotruś

Naiwny i czuły
Uciekał z domu
Nie wierzył w ciepło rodzinne
Chciał obcować z nieznajomymi
Szukał ich w nocnych klubach i na ulicy

W sklepie z tanim towarem
Otoczony kobietami
W trzasku agresywnie wrzucanego bilonu do kasy
Dostrzegał banalne kontrasty świata
Kochał
I jednocześnie odczuwał intensywny smutek
Nie mógł wytrzymać z samym sobą

Pamięci Gorgesa Pereca

Na ołtarzu dwa pawie
Ogonami wachlują
Jeleń mknie w gęstym lesie
Szczur się kręci przy szparze
Rozpoczęcie szabasu
Zegar ćwierka
Na kirkucie rozbite naczynia
I polamane drzewa
Zbieram kawałki szkła
Deszcz umywa mi ręce

Bożnicę zburzono
W tym miejscu stłita śmieci
Nocą ktoś woła –
Umarli nie słyszą
Żywi nie rozumieją

Jak trans

Tak bardzo bliski, że aż nie poznany
Gubi parasole, rękawice i pióra wieczne
Za każdym razem inaczej podpisuje czek
Kobieta w banku zarzuca mu brak konsekwencji
Tylko niezrównoważeni psychicznie zmieniają podpisy
Obrusza się na nią i po chwili o wszystkim zapomina
Przed samym sobą nie musi udawać –
O aktorstwie marzył od dzieciństwa
Skńczyło się na marzeniach i alkoholu

Lubił towarzystwo transwestytów
Gdzieś na plaży, wśród sosn i przekwitających ziół
Albo w zaciemnionym wnętrzu hotelowym
Nocą przylatywał się jak odrzucony mężczyzna
Rysował na prześcieradło anioły i kwiaty
Najlepszymi kobietami są mężczyźni – powtarzał
Zlizując z warg smak szminki

ADAM KUCHARSKI

HUMOR - OD BUNTU DO TWÓRCZOŚCI

Niektórzy z badaczy humoru zwracają uwagę, że stanowi on negatywną siłę, która neguje powszechnie przyjęte wartości, przewraca naizgłęboko struktury. Tak spostrzega komizm Bystroń¹. Jednakże zdaniem Zygulskiego² jest to podejście zbyt jednostronne. Trzeba bowiem zauważyć, że niszczyielska moc może stanowić pozytywny aspekt humoru, gdy stanowi punkt wyjścia do tworzenia czegoś nowego. Wskazują na to badania współczesnych psychologów, którzy zwracają uwagę, że humor sprzyja kreowaniu nowych pomysłów. Humor zatem jest siłą, która dynamizuje rzeczywistość i przeciwstawia się stagnacji. Można sądzić, że istnieje związek między twórczością a humorem i że jest on oparty nie tylko na formalnym podobieństwie. Jest wyrazem immanentnych właściwości zawartych w obu procesach. Garczyński zauważa, że: *Może humor jest iskrą, którą krzeszą niektóre zderzenia rzeczywistości z ideą? Może jest błyskawicą, do której powstania potrzeba napięcia między niebem a ziemią?*³

Badacze humoru często wypuklają ten rozdział między oczekiwanym i pożądanym stanem a zaskoczeniem, jakie pojawia się z głosem humorysty. W głosie humorysty często tkwi właśnie coś przewrotnego, co go sytuuje między głosem niebios a piekielnym śmiechem straceńców. Często, ale chyba niestety, humorysta jest, spostrzegany jako człowiek szczęśliwy, tryskający humorem; pojmowany jako dobry nastrój, zadowolenie. Paradoksem jest, że właśnie humorysta jest jak stwierdza Sawicka⁴, samotnikiem, osobą zamkniętą w sobie i stale mającą się na baczności. Humorysta jest osobą zachowującą dystans wobec otaczającej go rzeczywistości i wobec samego siebie. Garczyński⁵ zwraca uwagę, że nuta sceptycyzmu „jest zabiegiem umysłowej higieny”. Wskazuje w ten sposób na psychoterapeutyczną moc humoru, podkreślając jednocześnie, że emocjonalne zdystansowanie wobec przedmiotu jest warunkiem zbliżenia się do prawdy o nim.

Istotne pytanie dotyczące humoru zadaje Kundera: *Czy jednak ciężar jest naprawdę straszny, a lekkość wspaniała?*⁶ Pisarz zwraca uwagę, iż brak wszelkiego brzemienia sprawia, że człowiek oddala się od ziemskiego bytowania i staje się na wpół rzeczywisty. Właśnie dążenie do ujęcia pełnego obrazu rzeczywistości jest domną humorysty. Humorysta nie kreuje rzeczywistości, nie narzuca jej własnych ram, dostrzega jedynie zawarte w niej relacje. Bolesnie doświadcza jednak ciężaru egzystencji i dlatego trudno uznać go za człowieka szczęśliwego w sensie potocznym. Mylnie humorysta jest uważany za osobę wesołą. Humor, którym się posługuje, sprawia, że ciężar życia staje się lżejszy. Mimo że dostrzega negatywne strony życia, nie można go również traktować jako pesymisty. Nosi w sobie dystans i harmonię. Za jego spojrzeniem na świat kryje się ontologia, która nie pozwala mu wygłaszać absolutnych sądów o świecie. Ma świadomość względności stanu rzeczy (ludzi, ich postaw). Humorysta bliżej jest

do „ironisty” opisanego przez Rorty’ego⁷, którego cechuje świadomość, że każdy nowy opis rzeczywistości może przedstawić ją w sposób odmienny. Ironistę cechuje dystans wobec finalnego słownika, którym się posługuje, gdyż zdaje sobie sprawę z jego zmienności. Jak zauważa Rorty, przeciwieństwem ironii jest zdrowy rozsądek, dla którego wszystko jest już określone za pomocą ostatecznego języka. *Mieć zdrowy rozsądek oznacza traktować jako nie podlegający dyskusji fakt, że wypowiedzi sformułowane w tym finalnym języku wystarczają do opisu i oceny przekonań, działań i życia tych, którzy posługują się odmiennymi słownikami finalnymi*⁸. Można w jego postawie doszukać kierujący nim imperatyw – „nie ranić” innych. Zdaniem Rorty’ego zdolność do autoironii jest podstawą komunikacji międzyludzkiej i zachowań solidarnych. Dlatego tak wielu badaczy humoru podkreśla dobroduszość, tolerancję humorystów i ich integrującą moc⁹.

Ślepy mnich – czyli śmiech zakazany

Ludzie obdarzeni humorem odznaczają się oryginalnym sposobem patrzenia na świat, który wyraża się bardziej w sferze emocjonalnej niż intelektualnej. Humor nie jest zatem systemem filozoficznym jak twierdzi Volke¹⁰, ale raczej filozofią życia¹¹ i angażuje całą istotę humorysty. Humorysta natomiast jest osobą igrającą z własnym statusem, z tym, co stanowi o jego tożsamości¹². Chociaż Kadłubiec¹³ zwraca uwagę, że humorysta manifestuje niekiedy swą przynależność do odrębnej grupy. Odróżnia go to od ironisty, który dysponuje nowym paradygmatem, jakun chce zastąpić właśnie zanegowaną wartość.

Większość badaczy zwraca uwagę, że ludzie, którzy nie wykazują poczucia humoru, obawiają się niszczyielskiej – ich zdaniem – mocy śmiechu. Tak sądzą np.: Kundera i Eco. W jednej z głównych powieści Eco *Imię Róży*¹⁴, poświęconej właśnie śmiechowi, ukazana jest postać mnicha Jorge, ślepego nie tylko w sensie fizycznym, ale także metaforycznym. Jego ślepotą jest oznaką umysłu zamkniętego, ślepego na *novum*, na odmienną. Ślepy mnich z książki włoskiego pisarza to posiadacz słownika finalnego, nie dopuszczający do świadomości faktu, że są ludzie, którzy przeczytali więcej książek, są przeto lepiej zabezpieczeni przed ryzykiem wpadnięcia w pułapkę słownika pojedynczej książki¹⁵.

Główny wątek powieści skupiony jest wokół ukrywanej przez mnicha drugiej księgi *Poetyki* Arystotelesa poświęconej śmiechowi. Co za moc zawiera w sobie śmiech, że opór przed nim prowadzi do mordu? Za jakie przewinienie padają ofiarami ludzie obdarzeni poczuciem humoru?

Są to kluczowe pytania dotyczące istoty humoru. Adelmus z Otrantu, zamordowany mnich, „miał bardzo żywą wyobraźnię i z rzeczy znanych potrafił układać rzeczy nieznanne i zaskakujące [...]”¹⁶, przedstawiające świat na opak. Eco powie: *Jakby w progu dyskursu będącego z definicji dyskursem prawdziwym rozwijał się głęboko związany z tym przez cudowne napomknięcia in aenigmata, dyskurs kłamliwy, a dotyczący stojącego na głowie świata*¹⁷. Ale ten dyskurs wzbudza zachwyt. Jorge nie daje przyzwolenia na ten zachwyt, bo „podobnie jak zle rozmowy tak i są zle obm-

¹ J. S. Bystroń: *Komizm*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1960.

² K. Zygulski: *Współczesna literatura*, PWN, Warszawa 1970.

³ S. Garczyński: *Analiza humoru*, Państwowa Agencja Wydawnicza, Poznań 1989, s. 25.

⁴ H. Sawicka: *Humor i ironia* [w:] *Humor europejski*, red. M. Abramowicz, D. Bertrand, T. Szczęsny, Wydawnictwo UMCS, Lublin 1994, s. 17-23.

⁵ S. Garczyński: *op. cit.*

⁶ M. Kundera: *Nieznana liczba*, PWN, Warszawa 1986, s. 8.

⁷ R. Rorty: *Przygodność, ironia i solidarność*, Wydawnictwo Socjia, Warszawa 1996.

⁸ *Ibidem*, s. 108-109.

⁹ K. Kadłubiec: *Śmiech i ironia*, Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, Wrocław 1995.

¹⁰ J. Volke: *System der Aesthetik*, Ch. Beck, München 1927, ss. 11, Sawicka, *op. cit.*

¹¹ K. Kadłubiec: *op. cit.*

¹² H. Bertrand: *Ironia i humor*, Dyskurs wywołujący [w:] *Humor europejski*, red. M. Abramowicz, D. Bertrand, T. Szczęsny, Wydawnictwo UMCS, Lublin 1994, s. 125-143.

¹³ K. Kadłubiec: *op. cit.*

¹⁴ U. Eco: *Imię róży*, PWN, Warszawa 1987.

¹⁵ R. Rorty: *op. cit.*, s. 117.

¹⁶ Eco: *op. cit.*, s. 91.

¹⁷ *Ibidem*, s. 91.

zy¹⁸. Śmiech minimalizuje strach, sprawia że człowiek staje się wolny, a zatem nieczym nie ograniczony. Zamknięty umysł mnicha nie dopuszcza nie tyle innego świata, który przedstawiają obrazy, bo ten jest nierealistyczny, ale innej interpretacji, którą podsuwa mu Wilhelm: *Obrazy na marginesach często wywołują śmiech, lecz służy to tylko budowaniu [...]. W kazaniach, chcąc poruszyć wyobraźnię pobożnych tłumów, trzeba wtrącić exempla, tak i mowa obrazków musi poblażać tym nugas¹⁹.*

Rezygnuje on zatem z dialogu, widząc tylko jednokierunkową drogę. Zdolność decentracji, ujęcia tego samego zagadnienia z innej strony jest domeną ludzi z poczuciem humoru. Brak tej zdolności objawia się dogmatyzmem, naiwnością, naiwnym uwielbieniem porządku dla samego porządku. Jak zauważa Rorty, metafizyk uważa za obowiązek przedstawienie argumentów na poparcie swoich kontrowersyjnych poglądów, wywodzących się ze stosunkowo niekontrowersyjnych przesłanek. Logika natomiast jest środkiem skłaniania ludzi do zmiany ich zachowań i poszukiwania ostatecznych racji. Posługiwanie się humorem jest wyrwaniem się ze ścisłych reguł logicznych. Dopuszczalne stają się zatem przypadkowe zestawienia za pomocą „częściowo nielogicznego żargonu z nadzieją, że zachęca ludzi do przyjęcia i rozwinięcia tego żargonu²⁰”. W taki sposób określa działalność „ironisty” Rorty.

Tradycja myśli filozoficznej pokazuje, że poeci i humorysty byli w opozycji do myślenia metodycznego opartego na poprawnym wnioskowaniu. Ale takie przywiązanie do ścisłości myśli i logicznej argumentacji spotykało się z próbami dyskredytacji wszechchojejmującej roli rozumu (filozofia życia, filozofia egzystencjalna). Dopiero myśl postmodernistyczna zwróciła uwagę na humor jako narzędzie dyskredytacji idei aspirujących do uniwersalnej ważności²¹. Wątek ten dużej się zauważyć w twórczości Kundery²², który wyróżnia dwa rodzaje śmiechu:

– Śmiech diabelski – to śmiech anarchistów, buntowników przeciwstawiających się normom i ustalonymu porządkowi, ma on charakter destrukcyjny, zawiesza byt w próżni. Le Grand²³ zwraca uwagę, że jest to śmiech szyderski i cynizmu, odmawiający racjonalnego sensu „boskiemu stworzeniu”. A cynizm cechuje ludzi pozbawionych wszelkich złudzeń. Diabelskie nasienie burzy, nie nie ofiarując w zamian. Na taki śmiech nie ma przyzwolenia.

– Ale i ten śmiech anielski nie jest żadną alternatywą. Jest to śmiech bezsilny, wychwalający istniejący sens i radość z tego, co istnieje. Prowadzi do stagnacji. Stanowi coś w rodzaju szumu zakłócającego diabelski śmiech, żeby osłabić jego moc. Nie jest jednak w stanie skutecznie mu się przeciwstawić. Kundera określa go mianem semantycznego tricku, który pod postacią tego samego słowa, chce przemycić inną treść.

Kundera dostrzega uproszczenia kryjące się w dychotomicznym podziale na czarne i białe. Zarówno nadmiar sensu, jak i jego brak są obcywładniające. *Dobro świata nie wymaga jednak, aby aniołowie mieli przewagę nad światem [...], lecz aby ich siły były mniej więcej równe. Jeśli bowiem na świecie mamy zbyt dużo niekwestionowanego sensu (władza aniołów), to człowiek upada pod jego ciężarem. Jeżeli natomiast świat całkiem sensu traci (władza diabłów), to także nie da się żyć²⁴.*

Dualistyczne ujęcie humoru jest nazbyt uproszczone i statyczne. Humor natomiast zakłada dynamikę. To dialektyczne ujęcie zagadnienia śmiechu jest chyba najbliższe istocie prawdziwej postawy humorystycznej.

Dialektyka ta polega na sytuowaniu zjawisk i ludzi w coraz to nowych kontekstach, co sprzyja poszerzaniu naszych horyzontów poznawczych i relatywizuje obraz rzeczywistości²⁵. Postawa humorystyczna wyraża dystans humorysty wobec siebie i świata, zdolność zawieszenia sądów i opinii. Jest wyrazem jego samoświadomości, ale nie jest przyzwoleniem na bezsens. Posługiwanie się humorem ma skłaniać do refleksji i nie musi oznaczać odstępstwa od ustalonych norm. Humorysta nie daje gotowych odpowiedzi, dąży do wytworzenia nastawienia cechującego się otwartością poznawczą i emocjonalną. Jego celem nie jest podanie prawdy, to zadanie spoczywa na tych, którzy są jego odbiorcami. Oni sami poprzez czasowe zawieszenie sądów i emocjonalnego zaangażowania mają jej zacząć poszukiwać pod jego wpływem. W tym właśnie wyraża się pragmatyczne nastawienie humorysty. Blżej jest mu do stylu filozofii Rorty'ego, który nie rości sobie pretensji do prawdy, ale zachęca do refleksji.

Sacrum i profanum. Porządek i chaos

Problematyka humoru wkracza w zagadnienie sacrum. Pojęcie sacrum występuje w szerszym i węższym sensie. W węższym sensie oznacza ono świętość – bóstwo i wszystko, co jest z bóstwem związane. Natomiast w szerszym pozateistycznym ujęciu sacrum może być każdy element rzeczywistości, któremu się świętość przypisuje²⁶. Pojęcie sacrum, które zostanie tutaj wykorzystane dotyczy szerszego ujęcia. Sacrum w tym ujęciu będzie rozumiane jako pewien zestaw wartości, opinii, reguł, przekonań, którym ludzie bezrefleksyjnie przyznają absolutne znaczenie.

Humor z racji swej niszczylińskiej, demaskatorskiej mocy uderza w sacrum: w normy, w zasady, w ustalone tradycją i nawykami opinie, w panujący porządek: jest przeciwnikiem zdrowego rozsądku. Kwestionuje taką wizję świata, w której wszystko zostaje zredukowane do jednego wymiaru, ewentualnie dwóch: dobra i zła. Dlatego właśnie humor najbardziej uderza w ludzi o schematycznym sposobie pojmowania świata. Ale też poprzez fakt, że humor posiada aspekt anielski, prawda, którą przekazuje, jest łatwiejsza do przyjęcia. Humor nie toleruje przesłodzonego obrazu, dostrzegając jego nierealność, iluzoryczność. Konizm, którego humor jest przejawem, jest postawą estetyczną, która nie daje przyzwolenia na kicz. Garczyński²⁷ dzieli nawet dowcipy na kiczowate i niekiczowate. Podział ten ma swoją podstawę w poziomie wyrażenia ich struktury. Dowcip, który nie zmusza odbiorcy do refleksji, który nie wymaga od człowieka myślenia wykraczającego „poza dostarczone informacje”, ma charakter kiczowaty. Brakuje mu wielowarstwowości, a rozwiązanie jest bezpośrednio w nim zawarte. Dla Kundery śmiech ma szerszy wymiar. Wyraża dezaprobatę dla jednostronnego spostrzegania świata w jego wyidealizowanym ujęciu. Tak spostrzegana rzeczywistość nazywana jest przez niego kiczem. Bohaterowie Kundery obawiają się, że ich świat może okazać się groteskowym, uświęconym schematem. Dlatego też lękają się śmiechu błazna, który jest wyrazem sprzeciwu wobec otaczającego świata²⁸. Źródłem kiczu jest kategoryczne przyzwolenie na byt, które przemienia ludzi w niezdolne do buntu i wątpliwości „anioły”²⁹.

Kundera pisze. *W krainie totalnego kiczu odpowiedzi są z góry ustalone i wykluczają jakiekolwiek pytania. Wynika z tego, że człowiek, któ-*

¹⁸ Dunder, s. 94.

¹⁹ Ibidem, s. 95.

²⁰ R. Rorty, op. cit., s. 114.

²¹ P. Rorty, *Philosophy and the Mirror of Nature* [w:] *Świat humoru*, red. S. Gajda, D. Brzezowska, Uniwersytet Opolski – Instytut Filologii Polskiej, Drukarnia Wydawnictwa św. Krzyża w Opolu, Opole 2000, s. 11–16.

²² M. Kundera, *Kłopoty z pamięcią i zapomnieniem*, MW, Warszawa 1993.

²³ Le Grand B., *O śmiechu u Kundery* [w:] *Humor europejski*, red. M. Abramowicz, D. Baran, T. Stróżewski, Wydawnictwo UMCS, Lublin 1994, s. 347–360.

²⁴ M. Kundera, op. cit., s. 67–68.

²⁵ Por. R. Rorty, op. cit., s. 117.

²⁶ D. Turecki, *Dialektyka sacrum i profanum*, Wydawnictwo UMCS, Lublin 1995.

²⁷ S. Garczyński, op. cit.

²⁸ Wiesław K., *Postać humoru a filozofia* [w:] *Świat humoru*, red. S. Gajda, D. Brzezowska, Uniwersytet Opolski – Instytut Filologii Polskiej, Drukarnia Wydawnictwa św. Krzyża w Opolu, Opole 2000, s. 13–15.

²⁹ M. Kundera, *Intymność*, por. M. Jankun-Dopaciowa, *Księżka umiart, wiersz two jest! Kicz Kunderowski w twórczości Agnieszki Holland na przykładzie „Zabójstwa”* [w:] G. Stachonka, *Nieodstraszony świat kiczu*, Universitas, Kraków 1997, s. 113–126.

ry pyta, to rzeczywisty przeciwnik totalnego kiczu. Pytanie jest jak nóż, który rzeźni płótno namalowanej dekoracji, abyśmy mogli zobaczyć, co się za nią kryje¹⁰. Śmiech jest zatem pytaniem o zasadność opinii, przekonani. Nie zmusza do porzucenia sacrum, ale poddaje je w wątpliwość. Znamienity tytuł rozdziału *Uśmiech Karenina z Nieznośnej lekkości bytu* jest wskazaniem, że agonalny uśmiech psa (Karenina) jest jedynym dotknięciem metafizyki w kiczowatym świecie głównych bohaterów. Ten uśmiech rozciąga płachtę schematu, braku refleksji, a jednocześnie umożliwia dostrzeżenie czegoś więcej. Nie każdy korzysta z tej możliwości, nie każdy chce. Łatwiej bowiem jest zanurzyć się w rzekę i płynąć z jej prądem. Wtedy człowiek jest mniej narażony na wszelkiego rodzaju krytykę i niebezpieczeństwo. Zdaniem Marcuse'a społeczeństwo wytwarza wentyle bezpieczeństwa dla swoich ewentualnych odszczepieńców. Filozof stwierdza: *Wolność myśli, słowa i sumienia – podobnie swoboda inicjatywy, której popieraniu i ochronie one służą – idex w swej istocie krytycznej, miały służyć zastąpieniu przestarzałej kultury materialnej i intelektualnej przez bardziej wydajną i racjonalną. Kiedy jednak prawa te i swobody zostały zinstytucjonalizowane, podzieliły los społeczeństwa, którego stały się integralną częścią¹¹*. Wtedy takie poglądy tracą swoją wartość, każdy je może wypowiedzieć, ale też, nikt nie musi ich słuchać. Podobnie jest z humorem, który każdy przyjmuje jako przejaw dobrej zabawy, chociaż w podtekście może on nieść poważniejszą treść, która wymagałaby zastanowienia. Ale to przecież tylko dowcip – odpowie ten, w którego został on wymierzony. Nie każdy chce podważyć status swej tożsamości. Czyni to humorysta, który potrafi z nią igrać. Przyjmuje on na siebie ryzyko podważenia wartości, norm, które konstytuują jego tożsamość.

Twórczy aspekt śmiechu

Nie ma nic bardziej śmiesznego niż spetryfikowane schematy i naśladownictwo – powie Bergson¹². Są one zaprzeczeniem autentycznego popędu życia. Śmiech w rozumieniu Bergsona jest wołaniem o zmianę. Napięcie uwagi i elastyczność są dwiema siłami, które wprawiają życie w ruch. Usztywnienie natomiast jest oznaką aktywności zamierającej. Jak pisze Bergson, śmiech jest wyrazem ducha i przeciwstawia się oddziaływaniu materii, która chce odczłowieczyć duszę. Moment ten, w którym następuje przytłumienie duszy przez materię i zamrożenie jej ruchu, wywołuje śmiech, bo pozbawia człowieka wdzięku. Sądy, które opierają się na logice rozumu, zakrywają logikę wyobraźni. Ten motyw rozważań Bergsona wskazuje na jeden z aspektów humoru – jego związek z twórczością. Współczesne badania relacji „humor – twórczość” wskazują, że humor wspomaga myślenie twórcze i ułatwia wytwarzanie „związanego pomysłu”. Pozwala uwolnić się od schematycznego sposobu myślenia, dając możliwość oddania się nieskrępowanej zabawie, która pozwala ujrzeć doskonale zdawałoby się znane rzeczy z nieoczekiwanego punktu widzenia. Potwierdzeniem tego są badania przeprowadzone przez izraelskiego psychologa Ziv¹³ wskazujące, że osoby poddane stymulacji humorystycznej (słuchanie dowcipów) uzyskiwały lepsze wyniki w testach twórczościowych. Ziv stwierdza, że humor „indukuje otwartość myślenia twórczego”. Tokarz¹⁴ zwraca uwagę, że formy literackie związane z komizmem (satyra, skecz, parodia itd.) wykazują podobieństwo do technik rozwiązywania problemów. Poza

tym konieczna jest emocjonalna giętkość przy odbiorze dowcipu umożliwiającą odbiorcy przewyższenie ustalonego porządku poznawczego i emocjonalnego. Psychologowie podkreślają, że osoby twórcze cechuje spostrzegawczość i chłonność informacyjna. Są to osoby nonkonformistyczne, które nie ulegają wpływowi otoczenia. Są mislawione na przekształcanie, a nie na przystosowywanie się, czyli jest to rodzenie się każdego dnia od nowa¹⁵.

Parafrazując słowa Bergsona, mówiąc o tym, że humor pojawia się na pograniczu sztuki i życia społecznego, można stwierdzić, że sytuuje się on pomiędzy bezruchem (kiczem) a zmianą (twórczością). „Humor odsyła do „jakiegoś wyimaginowanego przeszerzenia, w której nie istnieją jeszcze ustalone zwyczajowo formy, decydujące o czytelności świata i identyfikacji podmiotu”¹⁶. A zatem celem humorysty nie jest samo niszczenie. Pragnie on pobudzać do refleksji poprzez ukazanie wielowymiarowości, rzeczywistości i sprzeczności wobec status quo, a tym samym stymuluje twórczość.

Adam Kucharski

¹⁰ S. Popek: *Człowiek jako jednostka twórcza*, Wydawnictwo UMCS, Lublin 2001.
¹¹ D. Bertrand, op. cit. s. 140.

¹² H. Bergson: *Śmiech. Esej o komizmie*, Wydawnictwo UMCS, Lublin 1997.
¹³ A. Ziv: *Humor in education. Approaches psychology*, Paris: Les Editions ESF 1979, ss. A. Tokarz: *Poczucie humoru w używaniu twórczości człowieka*, „Psychologia Wychowawcza” 1991, 4, s. 299-311.
¹⁴ A. Tokarz: *Poczucie humoru w używaniu twórczości człowieka*, „Psychologia Wychowawcza” 1991, 4, s. 299-311.



Ryszard Stryjec: *Jednorodec*, 1985, akwaforta (37,5 x 32,5 cm)

¹⁰ M. Kucharski op. cit.

¹¹ H. Marcuse: *Człowiek jako jednostka twórcza*, PWN, Warszawa 1991, s. 17-18.

¹² H. Bergson: *Śmiech. Esej o komizmie*, Wydawnictwo UMCS, Lublin 1997.

¹³ A. Ziv: *Humor in education. Approaches psychology*, Paris: Les Editions ESF 1979, ss. A. Tokarz: *Poczucie humoru w używaniu twórczości człowieka*, „Psychologia Wychowawcza” 1991, 4, s. 299-311.

¹⁴ A. Tokarz: *Poczucie humoru w używaniu twórczości człowieka*, „Psychologia Wychowawcza” 1991, 4, s. 299-311.

TADEUSZ CHABROWSKI

Diabeł na smyczy

Z saniego rana widziałem Jezuitę
w czarnej sutannie prowadzącego na smyczy
– diabła: turlał się po trotuarze jak malpa,
świecił białymi kłami z porcelany
i udawał hardego jeźowca z nastrożonymi
kolcami.

W głowie zagrały mi fletnie strachu,
przykucnąłem jak wąż mysz w bramie.
Spostrzegłem, że rozmawiali na migi,
jezuita kciukiem pokazywał coś w chmurach,
diabeł pchał kciuk ku ziemi,
jezuita rękawem jakby zgarniał wiatr w żagle,
żeby przyśpieszyć przeznaczenie,
diabeł prychał z nozdrzy ciężką mgłą niepokoju
i rozczarowań.

Coś knują podstępne – pomyślałem –
i nakryłem głowę płaszczem,
żeby uniknąć jeszcze jednego zgrzytu:
między ich twarzą publiczną i moją prywatną.

Kodycył według Villona

Wiedziałem, że mój los nie pobłogosławił,
gdy runaka białego nie było pod oknem
a słońce jak młoda wdowa
wstydliwie zanurzało się w morze.
Wiedziałem, że biskup pełen czci
i sławy też nie pomoże.
Jak nieoswojony Cerber
skryłem się w mrocznej piwnicy
niekontrolowanych nastrojów.

W nocy śniły mi się piachy pustynne
podrzucone łapami lwów,
wypukłe ślepiec diabłów wystające
ze skały, śmy ogromne jak nietoperze,
małe wyspy z korału.
W świt wkraczałem z lękiem, z nerwami
zszarpanymi jak ośle postronki,
bliski chęci odłączenia duszy od ciała.
Mój unysł mętniał jak woda w studni,
gdy w nią grom uderzy.

I byłbym nadal niczym,
gdyby nie przyjaźń ze słowem;
potrafiłem wślizgnąć się w każdą sylabę
jak ropucha w moką skórę,
protestować pełnymi zdaniem
przeciw wrzaskom cywilizacji,
przeciw tyranii ludzi bez wyobraźni,
przeciwko frustracjom,
doprowadzającym psychologów do szalu.

Gorącym oddechem słów można przecież
zmienić miszkę z cyny w Martwe Morze,
miałki żużel w złoconą pszenicę, wolową skórę
w deszczodajną chmurę nad miastem,
głęb kapusty w male Himalaje pod Krakowem,
a włoski z brody w powróż, którym
można aż siedem razy owinać planetę.
Wiem dziś jasno, że pięknym szalbierstwem
słowa można zbawić naród.

Staruszek ze skrzydłami

Któregoś ranka Witalis na głównej ulicy
spozregł staruszkę z olbrzymimi skrzydłami,
promieniowała od niego osobliwa uległość,
być może – starca świadomość końca
wszystkich rzeczy: domy schodziły mu z drogi,
gdy przypadkowo zmylił kierunek w lewo
lub w poprzek.

Zapytany przez Witalisa gdzie podąży,
odpowiedział: – razem z dymem z komina chciałbym
unieść się ku niebu, moje usta jak tuby
dętej orkiestry namawiają do czynienia dobroci,
nagromadzoną w sercu życzliwością mogę
obdzielić ludzi i zwierzęta,
zares oczu mogę podpalić całe miasto.

Nim zmrużę powieki chciałbym na własnych
skrzydłach odfrunąć – tam, gdzie Osobowy Byt
potrąca rozpedzone kola, trapezy i elipsy,
gdzie Cherubini i Serafini na obrzeżach łączy,
śpiewają Alleluja Alleluja Alleluja
a wieczność rozżarzony żużel gwiazd
sypie w coraz to inne zakątki wszechświata.

Pan Błażej

Odwiędzilem pana Błażeja w podparyskiej willi.
kłócił się z muchą na tapczanie,
że zbyt głośno brzęczy mu za uchem;
prosił, żebym to zwierze wyprosił na werandę;
trzyma w szachu jego rozum
i mąci potężną inteligencję,
której mógłby
użyć z większym pożytkiem.

Ponieważ był wczesny ranek,
za oknem czochrała się jeszcze mgła
po trawie; poczęstowaliśmy się mocną herbata
parzona w staroświeckim imbryku.
Pan Błażej stwierdził, że wszyscy szukają
metody, która by ustrzegła od błędów,
logicy uzurpują sobie, że znają ścieżkę,
która do niej prowadzi.

Zauważyłem, że panu Błażewi nie nie ubyło
z zarliwości i niezwyklej lotności umysłu
umiał subtelnie i przejrzyście rozplątać
najbardziej zbudowaną pajęczynę myśli
zarozumiałego sceptyka; *Prawda*
dostępna jest tylko dla geometrów – zapewniał
poza ich naukę i tym, co się na niej wzoruje,
nie ma prawdziwych dowodów.

Nie warto się spierać przy herbacie
o światopogląd – szepnąłem –
Wszechświat nie wie nic o mnie.
odrzekł mistrz – *choć ogarnia mnie*
i pochłania jak punkt, myślą ja go ogarniam,
mimo że jestem tylko najwęższą
w przyrodzie trzciną; ale trzciną myślącą,
która jak zechę,
rozluźnia go na miliard suchych skorup.

O duszy

Gdy chodzi o duszę, o jej miejsce w ciele,
doszczętnie się gubię... na pewno przed chwilą
hyla w moim mózgu, wysysała miąższ wyobraźni,
czulem jej delikatne uklucie; po sekundzie
znikła jak kamfora, jak dreszcz spłoszony,
ale gdy spojrzałem na sufit znowu wskoczyła
na swoje miejsce, mogłem dotknąć ją palcem,
penetrowała mały zakamarek muszli ucha.

Czasami czuję jak przechyla ciężar ciała
z lewej na prawą stronę, zbiega z czubka głowy
po szyi wzdłuż kręgosłupa i niczym
małe czółenka plynie wzburzonym dorzeczem
aorty do komory serca; po chwili haustem
chłodnego powietrza wypełnia płuca,
napina do wytrzymałości rusztowanie żeber
i nawet kiedy udaje się spać po spelnionym dniu,
lącownie rozkoszuje się istnieniem.

Kartezjusz pisał o „namiętnościach duszy”
jak o ruchu krwi i pulsującym technium boskim,
któremu „żadna mądrość ludzka nie jest zdolna
przeciwwstawić się” i że tylko wierszem
można opowiedzieć to, co się dzieje z ciałem;
gdy ona znika. Bez żadnych ceregieli
śmierć przejmuję władzę; sztywnieją palce i język,
jak liście z suchego drzewa opada ubranie.

Trzej muzykanci

Przyjrzyjcie się *Trzem muzykantom* Picassa,
nie chcą już więcej być próżnymi lowelasami,
kmałnymi i zazdrośnymi kochankami.
Oczywiście, że nie! Zamiast tego siedzą na ławie
płasko, wystrojeni w garnitury kubistyczne,
na ich marynarkach można odczytać treści z gazet,
trochę dziwaczni grają na instrumentach,
przypominających trąbkę, gitarę i fortepian;
ich melodie nie mają sluchu, języka,
płyną z nut namalowanych pedzłem.
We mgle wieczoru echo niesie je ulicami,
do taktu klaszczą przechodnie,
odległy przypływ morza szmerze refren.

Papuga

Papuga siedząca na gałęzi Drzewa Życia
na sztychu Albrechta Dürera,
podpowiada Adamowi jak nazwać
niebieskie góry, białe rzeki, konie rzące do siebie
na obszernej hektarach zielonych łąk.

Ewa zaniepokojona zalęcaniem wielkookiej suflerki,
zrywa z Drzewa na którym ukrył się wąż
soczysta niebieską śliwkę.

– Poczęstuj się Adamie.

niezwykła mądrość rozbłyśnie ci w głowie,
będziesz mógł jak Bóg wydłubać
sedno prawdy z każdej rzeczy,
będziesz jak młody Dante elokwentny

Adam zastanawia się,
który z szeptów jest doskonalszy i czuje,
że po raz pierwszy jest w rozterce:
śliwka nęci go sokiem, który na języku się rozplynie
ule nazywanie przedmiotów nowym imieniem
jest jak trzepotanie skrzydeł kolibra na wietrze,
jak rwący górski potok na wiosnę,
jak znaleziona wielka perła w morzu szafirowym.

Dürer mistrz dydaktycznej prowokacji,
w miedziorycie subtelnie nacina kreski,
formuluje w proporcjach ciała Pierwszej Pary.
Niech się papuga i teologowie martwią
co Adam wybierze: w jaki podmuch przyczyn
i skutków wpadną jego pragnienia:
cała ziemia czeka na to przedsięwzięcie,
diabeł poleruje treści ognia w jeszcze pustych
pod powierzchnią świata grotach.

Jacek Chabrowski

III Ogólnopolski Konkurs Literacki

Ziemi Lubelskiej im. Józefa Łobodowskiego

Organizatorami konkursu są lubelski Oddział Związek Literatów Polskich, Wydział Kultury Urzędu Marszałkowskiego w Lublinie oraz Wydział Spraw Społecznych Urzędu Miasta Lublin.

Konkurs ma charakter otwarty i odbywa się co dwa lata. Mogą w nim brać udział autorzy zrzeszeni i niezrzeszeni w związkach twórczych, bez względu na miejsce zamieszkania. Warunkiem uczestnictwa jest nadesłanie zestawu pięciu wierszy (w czterech egzemplarzach) o treści dowolnej. Szczególnie promowane będą utwory podejmujące problematykę wschodniego pogranicza kultury. Wiersze nie mogą być wcześniej publikowane ani nagradzane na innych konkursach. Przewidziane są nagrody pieniężne oraz wyróżnienia rzeczowe.

Utwory należy nadsyłać do 18 września 2003 roku pod adres:

Związek Literatów Polskich
Oddział w Lublinie
20-010 Lublin 1
ul. Dolna Panny Muni 3
skr. poczt. 229

Jury nie będzie rozpatrywać zestawów wierszy nadesłanych w rękopisie lub zgłoszonych pojedynczych utworów, a także zestawów nadesłanych po wyznaczonym terminie.

Ogłoszenie wyników oraz uroczystość wręczenia nagród i wyróżnień nastąpi w czwartym kwartale 2003 roku. W uroczystości wręczenia nagród deklaruje swój udział rodzina poety.

PIOTR KĘPSKI

Sztafeta

Była piękna paździenikowa sobota.

Podśpiewywałem sobie i biegłem po kwiaty na ślub Tomka i Ani. Jak zwykle robiłem zakupy w ostatniej chwili, ale taki już jestem. Chłonałem słońce całym sobą, cieszyłem się na ślub mojego starego kumpla Tomka i myślałem o randce, na którą umówiłem się w niedzielę. Wszystko zapowiadało się świetnie. I to jeszcze przy takiej pogodzie!

I nagle przy straganie z warzywami zobaczyłem Kaśkę. Jej wielki brzuch sterczał jak balon, który lada chwila uniesie ją w powietrze.

– Cześć, co u ciebie? – przywitaliśmy się. Mieszkaliśmy parę kroków od siebie, ale jak to sąsiedzi, nie widzieliśmy się z pół roku.

– Jak tam zdrowko?

Kaśka poklepała się po brzuchu.

– Teraz już dobrze. Na początku strasznie wymiotowałam. Miałam anemię ciążową. Ale teraz już dobrze się czuję.

Kaśka była uroczą opuchniętą i miała na twarzy pełno pryszczu, ale poza tym trzymała się całkiem nieźle.

– To świetnie. A idziesz na ślub Tomka i Ani? – spytałem, bo wiedziałem, że swego czasu Kaśka i Anka były dobrymi kumpelami. – Bo ja właśnie lecę po kwiaty.

– To najlepiej jedź pod Halę Mirowską. Tam mają śliczne wiązanki. Ja też bym chciała iść na ślub Anu. Nawet kupiłam już kwiaty. Ale nie wiem, czy dam radę, bo tato mojego Arka jest umierający. Podłączyli go do respiratora i w każdej chwili może... – Kaśka zawiesiła głos, jakby się bała powiedzieć coś nieestosownego. – Lekarze już nie dają żadnych szans. Rak. Arek dziś rano pojechał do Poznania, żeby być przy ojcu. Ale ja z chęcią poszłabym na ten ślub. Dla dobra naszego *haby* – uśmiechnęła się i poklepała po brzuchu. – Odprężyłabym się trochę i zobaczyła znajomych. Ostatnio ciągle tylko siedzę w domu. Ale nie wiem, czy mi się uda, bo w każdej chwili może zadzwonić Arek, że teść umarł.

– Wiesz co, Kasiu? – spojrzałem na zegarek. – Sorry, ale muszę lecieć, bo jest strasznie późno. Pogadamy jeszcze, jak się spotkamy na ślubie, dobra?

– W porządku. Ale gdybym nie przyszła, to ucałuj ode mnie Anię i Tomka.

– Dobrze. Pa!

Ślub był piękny. Strzelista katedra św. Floriana z wielkimi neogotyckimi oknami pełna była ciepłego popołudniowego słońca. Wszyscy podziwiali urodę panny młodej obciętej na chłopczycę. A ja rozglądałem się po kościele w poszukiwaniu Kaśki. Ale jej nie było...

To słońce, te organy, marsz Mendelssohna, ta piękna suknia panny młodej, ten bukiet ślicznych kremowych róż, który trzymałem w ręku i myślałem o Kaśce, o jej *haby* i o tym telefonie, co dzwoni w tak piękny, słoneczny dzień i że to wszystko dzieje się tak równocześnie, jak jakiś bieg, ktoś bierze ślub, ktoś rodzi się, ktoś pada i nie wstaje, a życie toczy się dalej – to wszystko tak mi się sklebiło w głowie, że kiedy przyszło do składania życzeń młodej parze, zupełnie zapomniałem pozdrowić ich od Kaśki.

Pierwszy raz

Nauczycielka od biologii mówiła, że pierwszy raz jest bardzo ważny. Bo dużo od tego zależy. I że powinno się tu robić w jakimś spokojnym miejscu. I w ogóle z całą tą oprawą.

Adam nigdy jeszcze nie miał dziewczyny. I było mu głupio, kiedy kumple przechwalali się, co robili z różnymi laskami. Zawsze kiedy przychodził na jakąś imprezę, miał nadzieję, że tym razem na pewno wyrwie jakąś pannę. I dzisiaj też tak miało być. Ale impreza już dogorywała, a on ciągle był dziewicą. Nie znał tu prawie nikogo, a kumpel, który go tu zaciągnął, zmył się z jakąś blondynką. W dużym pokoju tańczyły jeszcze trzy pary snując się przy wolnej muzyce jak zjawy. W kiblu ktoś rzygał, aż echo odbijało się od murów. A w otwartym oknie siedział na parapecie krępy koleś z farbowanymi blond włosami. Palił dżointa i patrzył w czarną otchłań, która była pod nim.

Adam zgarnął ze stołu butelkę cudem ocalałego wina i poszedł z nią do przedpokoja. Usiadł pod lustrem, oparł się plecami o ścianę i popijał prosto z butelki. Wino miało mocny, kwaśny smak. Za którymś lykiem Adam zbyt gwałtownie przechylił butelkę i oblał sobie koszulę. Było mu już wszystko jedno. Co z tego, że podobala mu się tamta blondyna z dużym dekoltem, kiedy nawet do niej nie podszedł. Stchórzył. A ona w końcu poszła z Tomkiem. Taka dupa! Wyobraził ich sobie liżących się gdzieś w bramie i aż go skreśliło w środku. Będzie mógł aż do bólu walić konia i myśleć o jej sterczących cyckach! Jak tak dalej pójdzie, to nigdy w życiu nie wyrwie żadnej laski...

Usłyszał jakieś głosy dobiegające z pokoju obok przez nie domknięte drzwi.

– Kurwa, nie mogę! Nic staje mi!

– No co ty! Pomóż sobie ręką.

– Kiedy mi nie chce stanąć, rozumiesz? Za dużo wypilem. Kurwa, nie mogę! Taka okazja!

Adam przysunął się do drzwi i zaczął nasłuchiwać. Serce mu waliło. Oni TO robią! Dwaj faceci?

– No, spróbuj jeszcze raz.

– Nie mogę, kurwa! Lepiej ty się za nią weź. A ja zaczekam.

– Nie, ja nie chcę. Ona jest cała zarzygana. Niedobrze mi się robi, jak na nią patrzę.

– Przecież nie musisz jej całować. Zamknij oczy. Albo ją czymś przykryjenty.

– Nie chcę. Nie znoszę smrodu rzygów. Bue!

– Cicho, cicho młoda. Kurwa, chyba się budzi! Jeszcze narobi krzyku. Spadamy stąd!

– Ty, ale wstąpimy jeszcze do nocnego, dobra? Mam chęć się nawalić.

– Ja też. Nic daruję sobie takiej okazji!

Drzwi otworzyły się i z pokoju wyszło dwóch chłopaków. Wysoki rudzielec i niski, cherlawy brunet, który zatoczył się i oparł o ścianę. Nawet nie spojrzeli na Adama, tylko podeszli do drzwi wyjściowych, otworzyli je i już ich nie było. Adam odczekał chwilę nasłuchując w napięciu. Ale nic się nie działo. Nieszczęśnik w kiblu przestał wymiotować. Z dużego pokoju dobiegał miękki, kołyszący głos Marleya śpiewającego *No woman, no cry*. Adam postawił pustą butelkę na podłodze, podniósł się i wszedł do pokoju. Młde światło latarni ulicznej wpadało przez okno i osiadało na ścianie bladą plamą. Na łóżku na wprost drzwi leżała na znak dziewczyna z rozrzuconymi rękami. Obok jej głowy na tapczanie czemniała wielka plama rzygów, w których taplały się jej długie włosy poprzytykane resztkami

jedzenia. Dziewczyna miała pończochy opuszczone aż na kostki, a podwinięta spódnica odsłaniała jej nagie uda. Potężne i blade. Jasne, przezroczyście koronkowe majtki opinały jej wypukły wzgórek łonowy. Adam podszedł bliżej, patrzył i chłonał ten niepojęty widok całym sobą. Przywarł dłonią do ciepłego, miękkiego uda dziewczyny. Nie poruszyła się nawet. Przejechał dłonią po jej udzie i dosięgnął majtek. Serce waliło mu jak opętane. Erekcja rozsadzała mu spodnie. Zaczął zdzierać z niej majtki. Rozpiął rozporek i obejrzał się za siebie, czy nikt nie idzie. Zaczął dźgać dziewczynę swoim interesem, ale nie mógł się do niej dostać. W końcu pomógł sobie ręką i wreszcie udało mu się. Zaczął poruszać się w przód i w tył. Wsunął jej ręce pod bluzkę i namacał wielkie, rozlane pod biustonoszem piersi. Miętosił je w rękach i poczuł, że coś go ponosi, porzywa, odbiera reszki świadomości. To było jak jazda pełnym gazem na motorze. I coraz szybciej, szybciej!

Nagle dziewczyna przekręciła głowę i zabelkotała: – Ahhrrrrllghh...

Adam skamieniał. Od głowy przez całe ciało oblał go jakby wrzątek. Na chwilę znieruchomiał. Ale było już za późno, żeby przestać. Jakby ktoś w jego ciele poruszył mały kamyczek, który dał początek niepoahamowanej lawinie.

– Cicho, młoda – zaszeptał. – Błagam, nie rób mi tego! – i obejrzał się za siebie, czy nikt nie wchodzi do pokoju.

– Ueerrlllghh! – zabelkotała głośniejsze dziewczyna. Adam przyspieszył i wylał się w nią cały.

Kiedy się z niej podnosił, niechcący wsadził rękę w rzygowiny. Wstrząsnął się z obrzydzeniem, wytarł dłoń o dywan i zapiał rozporek. Ale ten drobiazg nie zniechęcił go. W końcu tyle lat na to czekał! Udało się! Udało się! – krzyczał w duchu wycofując się chylkiem z pokoju.

Wracając do domu ciągle jeszcze nie mógł uwierzyć, że to się stało. Nigdy nie myślał, że tak łatwo zostać prawdziwym facetem.

Dolar

To były te paskudne dni. Kiedy apokalipsa wisiała nad nami jak ognista kula. A wszystko przez te mrzonki o raju i siedmiu dziewicach, które opętały paru szaleńców, co za pieniądze dawnego amerykańskiego agenta porwali cztery odrzutowce i chcieli nimi zniszczyć diabła. Skończyło się na dwóch wieczorach na Manhattanie. I na Pentagonie.

Pracowałem wtedy w firmie ubezpieczeniowej. Moją szefową była dziewczyna, która skończyła najlepsze studia na najlepszym uniwersytecie, najlepiej znała angielski, najlepiej znała się na samochodach, mieszkała w najlepszej dzielnicy i kupowała tylko superzeczy w najlepszych sklepach. Jej ojciec był właścicielem kilku restauracji, a ojciec jej męża miał sieć gabinetów dentystycznych w całej Warszawie. Myślałem, że ich małżeństwo było bardzo dobrym interesem. Basia potrafiła godzinami gadać o winach i obrazach. Nic nie znała się ani na jednych, ani na drugich. Ale wiedziała, że obraży to dobra lokata kapitału.

Amerykanie dali ultimatum talibom ukrywającym ben Ladena. Wszyscy czekali na wojnę. I każdy pytał, czy będzie to wojna światowa. Ktoś wspominał o Nostradamusie i jego prorocत्वach. Podobno III wojna zacznie się od niewielkiego kraju gdzieś na Wschodzie. Ktoś powiedział, że terroryści mają bombę atomową. Gazety pisały, że w Ameryce ktoś umarł na węgliku i że ludzie kupują maski gazowe. Jakby to w czymś mogło pomóc. Podobno ktoś znów chciał porwać jakieś samoloty. Ludzie pytali

sie: po co to wszystko? Kto się umiał modlić, modlił się. I wszyscy gadali, że świat nigdy już nie będzie taki jak przedtem. Mówiło się o tym nawet w pracy. Popijając darmową kawę z automatu.

— Oj, wojna, wojna! Wszyscy tylko gadacie o tej wojnie. Najważniejsze jest teraz, jak się zachowa dolar! — powiedziała Basia i przywala wzrokiem do komputera. O 15-tej naszego czasu mieli otworzyć giełdę w Nowym Jorku. Zamknięta po atakach na Światowe Centrum Handlu. Basia z mężem wpakowali kupę forsy w akcje na amerykańskiej giełdzie. I teraz cała nadzieja była w dolarze.

A dolar miał się dobrze. I po chwilowym załamaniu szedł w górę. Nie było się czym martwić.

Cool

Ta kurewska robota wyżyła mnie jak ścierkę. Genet napisał w *Dzienniku złudzieja*, że więźniowie na katorżce noszą kombinizony w białoróżowe pasy. Ja nosiłem granatowy garnitur, ale czułem się jak katorżnik. Zasuwały od rana do wieczora. Co się z tobą dzieje, chłopie? Weź się w garść! — mówiłem sobie. Idzie weekend. Świat jest piękny! Popatrz na dupcię tej laski wysiadającej z taksówki. Ósmy cud świata! Ale myśl o tym, że nigdy nie będę miał takiej dziewczyny, jeszcze bardziej mnie zdolała. Przypominałem sobie o swoim miejscu w szeregu. Obok milionów szaraków bez twarzy. Podających gdzieś na oślep jak mrówki i łachających swoje zatraczone dusze i bagaż. Aż mnie zemdlilo na myśl o tym, że przyjdzie mi jechać metrem. Wnabitym jak beczka śledzi wagonie. Gdzie wszyscy z obrzydzeniem przytulają się do siebie, chuchają sobie w gęby i wytrzeszczają na siebie gąły z odległości metra.

Stałem na peronie i przyglądałem się ludziom. Wymęczonym po całym tygodniu gonitwy. Stratowanym i skupanym przez życie. Obok mnie stał młody chłopaczek o gniewnym spojrzeniu. Wytupywał nogą rytm do muzyki, której słuchał w walkmanie. Bujal gdzieś w swoim świecie. Kiedyś i ja taki byłem. Słuchałem Doorsów, czytałem Kerouacka i myślałem, że strasznie dużo zwojuje. W książkach znalazłem kupę bezużytecznych pytań, na które nie było odpowiedzi. I teraz mi to wychodziło bokiem. Byłem mięczakiem. Ci, co robili karierę w firmach prawniczych, takich jak moja, nie zadawali sobie idiotycznych pytań. Nie oglądali się na nic i parli do przodu. W myśl zasady, którą wyznawała moja szefowa. Idź za ciosem i napierdalaj bliźniego, ile wlezie, bo jak nie, to on cię powali na deskę... Stała mi przed oczami jej sflaczała gęba smutnego buldoga. Wiecznie skrzywiona i zniesmaczona. Ta kobieta miała forsy jak lodu, dom z basenem, najnowsze volvo, ale ciągle była niezadowolona. Wiecznie jej było mało, złe, nie tak jak trzeba. Ciągłe musieliśmy więcej tyrać, zostawać po godzinach i wypruwać z siebie żyły. A ona i tak była wściekła. Sama nie miała rodziny ani przyjaciół. I chciała, żeby każdy z nas żył tak debilnie jak ona. Na szczęście była naszym bogiem tylko od poniedziałku do piątku. Weekendy miałem dla siebie. I wtedy zaczynało się życie! Moje drugie, prawdziwe Życie! Luz, dziewczyna, rowerek, wyjazd nad jezioro, wieczorny spacer, impreza z przyjaciółmi, wino... Ale żeby dotwać do weekendu, trzeba było jakoś przeżyć ten kurewski ciąg: praca-sklep-dom-spać-praca-sklep-dom-spać od poniedziałku do piątku. Ostatnio coraz częściej gdy wracałem do domu, byłem tak zrabany, że starałem mi się tylko na to, żeby włączyć telewizor. I oglądać do nocy jakieś sznury. Amerykańskie taslemce z serii plażowy patrol. Gdzie ciągle ktoś kogoś prowo-

kuje, ktoś jest bohaterem bez względu na pogodę, a ktoś inny koniecznie chce pokazać przed kamerą, że ma największe cycki świata.

Na stację wjechał z hukiem pociąg metra. Wsiadłem do przepelnionego wagonu i poczułem się jak byk na corridzie. Czujesz ten przyływ adrenalinę w zerknięciu z obcymi ludźmi. To jest jak wyjście na ring. Obie strony mierzą się wzrokiem, od którego ten słabszy pierwszy powinien paść trupem. Nie miałem siły znieść tego dnia kolejnej próby nerwów. Schyliłem głowę, że niby szukam w teczce gazety do poczytania. Wygrzebałem ją i rozpostarłem wokół siebie papierową plachtę, żeby odgradzić się od wszystkich. W gazecie pisali o eutanazji. *Powiedzmy wreszcie stop temu zjawisku! To przejaw kultury śmierci! A my żyjemy w kulturze życia. Jasne! Czytałem te brednie i nie mieściło mi się to w głowie. Zachwalacie życie jak kurwa miłość — przypominał mi się napis, który ktoś wymalował na murze obok mojego biura. Niech żyje kultura życia! Rozstrzelać wszystkich nihilistów i dezenterów! I nawet jeśli rząd wysyła cię na wojnę, to masz pozwolić wypruć z siebie fiaki. Bo robisz to w imię WYŻSZEJ sprawy! Wiedzy zabijanie nazywa się BOHATERSTWEM. A kto się na to nie godzi, tego okrzykną dezenerem i szaleńcem. I zgnoją go w imię kultury życia. Zabójcza logika, nie ma co...*

— Hej, Maurycy! Kopę lat! — ktoś znieczeka klepnął mnie w ramię.

— Benek?! — krzyknąłem. Jak słowo daję, szalony Benek! Ten sam, z którym za dawnych lat piliśmy i tańczyliśmy do upadłego na każdej imprezie.

A kiedy już nie mieliśmy siły tańczyć, otwieraliśmy nową butelkę, piliśmy z gwinta i kładliśmy się na podłodze. Żeby czuć, jak kręci się ziemia w naszych głowach i marzyć z oczami wpatrzonymi w sufit. Świat należał wtedy do nas! Był jak napalona dziewczyna, co tylko czeka na podryw.

— Co u ciebie? Kopę lat!

— U mnie? Po staremu. Mało kiedy wracam z roboty przed ósmą. Nie ma to jak mieć kurewską szefową!

— Jednym słowem do dupy? — podsumował mnie Benek. A mnie zrobiło się szkoda własnego życia.

— A co u ciebie? — zmieniłem temat. Ostatnio jak się widzieliśmy, Benek mnie wysmiał, bo powiedziałem mu, że jestem w dołku. „Stary, przestań się nad sobą uzalać! Trzeba myśleć pozytywnie!”

— U mnie do przodu — Benek chwycił się poręczy, bo metro zaczęło hamować przed stacją. — Stary, kupiłem chatę na Ursynowie! Cudo, mówię ci! Jak tylko ją odszyskuje, zrobię parapetówkę. Może nie będzie aż tak czadersko jak za dawnych czasów. Bo wiesz... Izka nie lubi, jak piję. Zresztą już nie te lata. Mieszczaniejemy, stary — zaśmiał się Benek.

— Co ty chrzaniś! My się nie damy! Będziemy zawsze młodzi — zacząłem nawijać jakieś brednie. Zgodnie z logiką Benka: myśl pozytywnie!

— Młodzi to my byliśmy dziesięć lat temu. Wtedy to człowiek mógł wypić! — rozmarzył się Benek. — Niedawno byłem na Mazurach. Stedzialem sobie z piwkim na brzegu jeziora i wspominałem dawne czasy. Pamiętasz, jak kiedyś pojechaliśmy na studiach na Mazury. To był jakiś trening...

— Aha... interpersonalny

— Boże, co się wtedy działo! Pamiętasz, jak wszyscy po pijaku kapali się w jeziorze?

Słowa Benka ożywiły we mnie tamte chwile... Ciche jezioro na skraju zapomnianej mazurskiej wiochy. Drewniane domki kempingowe. I my, banda młodych, zwariowanych studentów przez kilka dni odciętych od debilego świata. Żyliśmy tam jak na bezludnej wyspie, w hipisowskiej komunie, gdzie wszyscy dzielą się wszystkim.

– Benek, a jak tam z [z]ą? Mieszkacie razem?

– Już od dawna. To ty nie wiesz, Maurycy? We wrześniu bierzemy ślub! Chata już jest. Teściowie obiecali nam kupić brykę. Grunt to się dobrze ustawić, nie? – Benek zaśmiewał się porykując mi do ucha.

– Nie gadaj, Benek, ty się hajtasz? Ty???

– Nie mogłem w to uwierzyć. Znalłem słabość Benka do cichych unielic, które noc, taniec i wódka przemieniały w dzikie diablice. Benek co jakiś czas konsumował nowego blond demona. I był nienasycony w swojej kolekcjonerskiej pasji.

– Na każdego przychodzi kiedyś pora. Rozejrzyj się po znajomych. Mało kto się już ostał. Słyszałeś o ślubie Justyny?

– No. Nie powiem, trochę mnie to zdziwiło.

– Justyna była największą feministką na studiach. Najbardziej samodzielną i zaradną dziewczyną, jaką znałem. Sama się utrzymywała. I szybko zaczęła robić karierę. Firma wysyłała ją na szkolenia do Stanów i ludowała w nią kupę forsy. Facet to był dla Justyny ktoś, z kim walczy się o stólek, a nie idzie do łóżka. Jeszcze pamiętam, jak na tamtym wyjazdowym treningu Justyna zarzekała się, że w życiu nie weźmie ślubu. Bo to takie nieszczuńskie. A dzieci będzie i nic dopiero grubo po trzydziestce.

– Nie ma co się dziwić, Maurycy. Justyna kupiła chatę w superapartamentowcu. Wzięła na to jakiś cholerny kredyt, a w międzyczasie wywaliła ją z roboty. Musiała sobie jakoś radzić, nie? – zaśmiał się Benek. – Wiesz, jej facet jest jakaś szychą w firmie farmaceutycznej. Swoją drogą to fajny gość.

– Ale nigdy bym nie powiedział, że Justyna, ta cholerna żelazna lady, tak tanio sprzeda skórę.

– Zależy jak na to patrzeć. Pomyśl o tych odsetkach, które spłaca jej mążu! – zaśmiał się Benek.

A w mojej głowie przewijał się jakby film o zwariowanych dwudziestolatkach... Jest późna wiosna. Jezioro ma kolor dojrzałych śliwek. Benek bierze rozpęd z pomostu i skacze do wody na główkę. Za chwilę jest już na brzegu. Warezy i posykuje, kiedy wyciera się ręcznikiem, a jego chude, pokrzywione nogi dygocą jak trzcina na wietrze. Skacze z pomostu i czuje, jak woda parzy moje nagie ciało. Wypływam na powierzchnię i nie mam siły zaczerpnąć powietrza. Piersi ściskają mi łodowate kleszcze. Wspinam się na pomost i tre ciało szorstkim jak piasek ręcznikiem. Benek zaśmiewa się jak wariat. Żyje! Krew krąży we mnie jak rozpędzona karuzela. Żyje! Wracamy podem do domków kempingowych. To już ostatni dzień tej blogiej nierzeczywistości na bezludnej wyspie na Mazurach. Z dala od betonowych mrowisk miasta. Danku, która prowadzi trening, rozdaje nam kolorowe kredki i kartki papieru. Każdy z nas ma narysować siebie za 10 lat. Ktoś krzywi się, że nie umie rysować. Ktoś inny mówi, że nie potrafi sobie wyobrazić siebie tak starego i wybucha śmiechem. Po chwili wszyscy zamiatają się w dzieci bągrzące kredkami na papierze. Benek rysuje mapę świata poprzecinaną wzdłuż i wszerz trasami jego podróży. „Życie i praca gnają mnie po całym świecie” – mówi rozmarzony. I nagle, jakby zawstydzony własnymi marzeniami, wybucha śmiechem. Mruży oczy i porykuje: „Ale w końcu pewnie ożenię się i zamieszczę się. Jak mój ojciec. Jak wszyscy”. Justyna rysuje pejzaż jakby żywcem wycięty z Gauguina. Szerokie twarze o skośnych oczach. Bujna przyroda i domek z zadartym dachem azjatyckiej pagody. Czysła egzotyka. „Odkulam się pracując całe lata po 12 godzin dziennie. Stać mnie na kupno kawałka ziemi nad Pacyfikiem. Albo przynajmniej gdzieś w Portugalii. Nie wiem, co to zima... A facet? Na to jeszcze mam czas...”

– Wiesz, że jedziemy w podróż poślubną na... – huk metra zagłuszył słowa Benka, poszarpał wął pajączynę wspomnień i sprowadził mnie na ziemię.

– Gdzie?

– Na Rodos! Na dwa tygodnie! – krzyczał Benek.

– Fajnie – powiedziałem rozkojarzony. I znowu wyłączyłem się na chwilę. Od paru dni męczyło mnie pytanie, czy życie to tylko ten spocony tłum w metrze, w supermarketach i na plażach ciepłych wysp. Czy jest coś poza kupowaniem i zbijaniem kasy, poza wazeliniarstwem w pracy i codziennym oglupieniem telewizją? Kiedy jesteś dzieckiem, świat kusi obietnicą czegoś niesamowicie pięknego. Tylko twojego. Wymarzonego. Ale nadchodzi taka chwila, kiedy dorastasza i wyciągasz rękę, żeby tego dotknąć. Lecz ono ucieka jak zdziechały kot nienawidzący ciebie jak naglej śmierci. A ty któregoś dnia budzisz się jadąc metrem i nagle rozumiesz, że wbrew sobie zostałeś wrobiony w coś, w czym tkwisz 24 godziny na dobę. I to jest ten twój ciasny pokój w więzieniu, z którego nie ma ucieczki. To jest ta dosłowność życia, na którą cierpisz. Od której ludzie uciekają w narkotyki, alkohol, dziwki i inne szaleństwa. Ale nie ma żadnej ucieczki – rozumiałem to patrząc na twarz kobiety siedzącej naprzeciwko mnie. To nie była twarz. Tylko maska sięgająca jak stygnący gips. Jej oczy ziały tępą pustką jak wybite szyby. Facet, który siedział obok niej, skulił się i schował za wielkim czarnym neseserem. Przyciskał go do piersi, jakby wioził w nim majątek całego życia. Miał tak przerażoną minę, jakby spodziewał się, że ja i inni skoczymy mu do gardła. Jak stado wściekłych bulterierów... I to jest ludzkość. Taki gatunek dwunożnych mrówek żyjących od pierwszego do pierwszego następnego miesiąca. Zawsze wynajdują sobie jakąś tandetę, żeby się pocieszyć albo zgubić. I ciągle brakuje im odwagi, żeby powiedzieć sobie: dość. Takiego syfu nie da się już dłużej znosić! Zawsze znajdują się jakieś półśrodki utrzymujące nas przy życiu. Respiratory, sztuczne szczęki, zupy w proszku, kino, gazety codzienne, silikonowe piersi...

A Benek ciągle coś nawijał, i chociaż metro huczało jak hala produkcyjna w fabryce, nie dawał za wygraną.

– ... słyszałeś, co się stało z Lidką?

– Z jaką Lidką?

– No tą... Nowacką. Pamiętasz, byliśmy z nią w jednej grupie na studiach...

Twarc Lidki zatarła mi się w pamięci. Ani ładna, ani brzydka. Błada dziewczyna z zapadniętymi oczami. Mało kiedy z nią rozmawiałem. Zawsze chowała się za plecami swojej najlepszej kumpeli, Moniki.

– Monika mówiła mi, że Lidka próbowała popełnić samobójstwo.

Metra zgrzytało i wyło piskliwie atakując bębniaki świderkami metalicznych skrzypień. Gwałtowne szarpnięcie zwiastowało zbliżanie się kolejnej stacji.

– Podobno lyknęła jakieś prochy. Ale ją odratowali. Na razie trzymają ją w wariatkowie. Monika przypadkiem się o tym dowiedziała. Od znajomej, która tam pracuje. Nikt nie wie, dlaczego Lidka to zrobiła...

Jakiś powód zawsze się znajdzie. Świat o to zadba. Przy pominięciu subie płacz Lidki wtedy na treningu, gdy rysowaliśmy nasze papierowe wizje siebie za 10 lat. Byłem tak pochłonięty moją świetlaną przyszłością, że nawet nie zauważyłem, jak Lidka zgmiotła kartkę i upuściła na podłogę papierową kulkę. Kiedy nadchodziła jej kolejka, żeby pokazać rysunek, wybuchła płaczem i wybiegła z domku. To był jedyny zgrzyt w całym programie dnia. Nikt nie miał pojęcia, dlaczego Lidka to zrobiła. Ale zaraz znalazło się jakieś wytłumaczenie. Depresja. Czarnowidztwo. Pesymizm. Normalny człowiek nie boi się przyszłości. Jesteśmy młodzi. Świat należy do nas. Depresyjnych trzeba leczyć. Tak myślałem wtedy. Teraz byłbym

pewnie ostrożniejszy. Ale to i tak bez znaczenia. Bo świat dysponuje tysiącami sposobów na to, żeby wybić z głowy samobójcom ich chore pragnienia. Wariacko to najlepsza kara. Bo tylko szaleniec mógłby się porwać na własne życie. Co by to było, gdyby każdy z nas chciał to zrobić? Albo gdyby to zrobił prezydent republiki, papież czy dyrektor szkoły, do której posyłamy nasze dzieci? Można to jeszcze wybaczyć jakimś Marylin Monroe albo zaćpanemu muzykowi. Dzięki temu ich biografie rozjeżdżają się w milionach egzemplarzy, a ich życie stanie się legendą. Ale legend nikt normalny nie bierze serio. Dlatego trzeba samobójcom wybijać z głowy ich wariackie pragnienia. Jeśli nie można przemówić im do rozumu po dobroci, pozostają jeszcze elektrowstrząsy, kaftany bezpieczeństwa i prochy. To ich nauczy szanować życie. Boga, ojczyznę, pracę, przepisy drogowe! Niech się dławią, pluą i rzygają – ale muszą jeść! A muszą jeść, żeby żyć, bo muszą! Muszą żyć, bo muszą, bo tak jest, bo każdy żyje, żył albo będzie żył i tak było zawsze, nawet jeśli nikt go nie pytał o zgodę. W życiu nie ma miejsca dla buntowników. Trzeba być takim jak wszyscy i robić to, co wszyscy...

– Ja tu wysiadam, Maurycy! – głos Benka przedarł się przez potępieniący huk metra, a ja uprzytomniłem sobie, że on przez cały czas coś nawijał. – Trzymaj się. I jakoś się zdzwonimy. Musimy w końcu umówić się na browar. Tyle czasu się nie widzieliśmy.

Przytaknąłem ściskając dłoń Benka, chociaż wiedziałem, że nie zdzwonimy się ani jutro, ani pojutrze, ani za tydzień. Obaj byliśmy za bardzo zaganiani. Nadmiar obowiązków wyzwała od myślenia o przyszłości i przeszłości. Od myślenia w ogóle. To dobrze robi na różne wariackie pragnienia.

Otworzyły się drzwi. Benek wyszedł na peron i uśmiechając się skinął mi głową. Dalem mu znak podnosząc zaciśniętą pięść z zadartym w górę kciukiem. Wszystko okay! Jestem cool! Jak wszyscy.

Drzwi zasunęły się i pociąg ruszył.

Piotr Kępski

Książki nadesłane

Wydawcy różni

Jacek Łukasiewicz: *Wiersze Adama Mickiewicza*. Dolnośląskie Wydawnictwo Edukacyjne, Wrocław 2003, ss. 176.

Michał Głowacki: *Historia jednej topoli i inne opowiesci*. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2003, ss. 251, 3 nrb.

Florian Śniejka: *Zblitnienia i kontakty*. Eseje. Wyd. Biblioteka Śląska, Katowice 2003, ss. 217.

Włodzisław Liggett: *O poezji Wławy Szymborskiej. Świat w stanie korekty*. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2002, ss. 386.

Emil Zegadłowicz, Stefan Zechowski, Marian Ruzanski: *Korespondencja*. Opracowanie tekstu, przypisy i indeks Mirosław Wójcik. Wydawnictwo Akademii Świętokrzyskiej, Kielce 2002. Tom 1. 1936-1937, ss. 427; T. 2. 1938-1944, ss. 233 + 28 fot.

Jan Gburek-Rosiński: *Mesjasz zbuntowany. Dramat mityczny*. Wydawnictwo „Margaliśen”. Bydgoszcz 2001, ss. 492.

PAWEŁ GOŁDYN

akwarium I

zapłaciłem fryzjerowi za rozmowę, wyszedłem
przeszklonymi drzwiami. ulica królewska –
jakbym widział przepływający orszak weselny
włoskiej księżniczki, zdało mi się:
listopad, śnieg pączkuje na obumarłych krzewach,
dokładniej przełom listopada i grudnia;
okolica ulega niespiesznym transformacjom,
ciągły ruch rzeczy jest, więc stoję,
wypatruję wroga, zamiast twarzy mam awers pięciozłotówki.

akwarium II

skrzyżowanie utopione we ngle
i żółtopomarańczowych odblaskach.
samochody jak ryby, wolnoprzechodzący
mężczyzna pijany wzywa imieniem
żonę niezastąpioną, przelacza się
wszystkożeniy autobus – wieloryb pelen
siłuchzonego szkła, zawilgoconych szmat,
organicznych strzępów, stoję pośrodku
nagi niefrasobliwie, chłód miazdzy mi
klatkę piersiową, genitalia kosnieją,
ocean zamarza, zamarł.

manga

ma pani ładne dłonie,
przezroczyście – wiem.

wiele wiem, wiele: śródmieście w ruinie,
gołębie wymiotują na talerzach ryżem.

słońce podcina gardła jak pila tarczowa,
z czoła benzyna spływa.

komunikacja

i znów widzę cię naga: jesteś miasto
rozpostarte na wersalce, masz oko
otwarte szeroko, oglądające sufit-niebo.
twoje ciało styczeń, skoncentrowane
sutki są jak skrzyżowania, obłąkane ronda,
newralgiczne punkty topografii.
brzuch – lądowisko spoconych palców,
na plecach budują ci tory tramwajowe.

potop

poniedziałkowy kondom
pekł zalewając miasto woda

wisła rzeka wezbrała po mości
dziurawym bezpieczeństwem

królowa nędzy urodziła lnięcie
dziecko z przświeślonymi żrenicami

krajobraz zmienia się falami
cyklicznych wdechnień

litania

ociemniała modelka szwedzkich periodyków
jawnogrzesznico kazimierska
mario, żono zapijaczonych cieśli
ponicchana użytkowniczo wibratorów
kolorowa kaluzo
zupo przesolona, kopalnia deficytowa, recesjo
pocztoelektroniczna, telkomunikacio
argenty no środkowo europejska
małko warszawskich urzędników
przemoknięta zapalko
królowo nędzy ...
zofio, cecylia, magdaleno
jakiekolwiek imię ci nadano
– zrób nic.

polska

przez okno albo nożem –
można by również ułożyć
zgrabny stosik na stole i
ogniem zaabsorbować firanki
można by zakopać psa w ogródku
można by się wypisać ale
tak szybko nie rezygnujemy
albo przykładowo na złość
nie spuścić wody w sedesie i
dla partu się przeżegnać
albo kupić sobie najnowsze
wydanie „dziennika polskiego”
choć o polsce przestajemy myśleć
choć chyba się zapędziliśmy

Paweł Goldym

ADAM CZERNIAWSKI

PUŁAPKI AUTOPRZEKŁADU¹

Tadeusz Boy-Zeleński, wielki szyderca oraz nieustrudzony tłumacz francuskich klasyków (podobnie jak pierwszy polski tłumacz poezji Rilkego, Witold Hulewicz, zamordowany przez hitlerowców), zwykły mawiać, że tłumacz powinien znać przynajmniej jeden język, najlepiej swój własny. Boy-Zeleński rodzimy język określił jako obowiązujące minimum, jest to bowiem ten język, na który tłumacz przekłada najczęściej. Niezwykle trudno znaleźć tłumacza – szczególnie tłumacza poezji – przekładającego na język nabyty. Jednym z tych nielicznych przypadków, który chciałbym rozpatrzeć, jest tłumaczenie mojej własnej poezji z ojczystego języka na angielski. Nie muszę usprawiedliwiać się, dlaczego piszę o sobie, gdyż interesującymi kwestiami dotyczącymi przekładu literackiego wydają mi się te właśnie, które wyrastają bezpośrednio z osobistej praktyki translatorskiej. Najciekawszym i najbardziej intrygującym aspektem tej pracy okazała się dla mnie właśnie próba tłumaczenia własnej poezji.

Aby takie przedsięwzięcie powiodło się w pełni, tłumacz musi oczywiście posiadać kompetencje znacznie przewyższające postulowane przez Boya-Zeleńskiego minimum. W swej formule Boy-Zeleński zakłada sardonicznie, że istnieją tłumacze, którzy nie są kompetentni nawet w zakresie języka ojczystego, a przecież kompetencję tę uznaje się zwykle – choć błędnie – za cechę wspólną wszystkim przedstawicielom określonego obszaru językowego. Jednak w moim wypadku sprawne władanie językiem nabytym wydaje się równie konieczne. Innymi słowy, w odróżnieniu od wielu kompetentnych, a nawet uznanych poetów-tłumaczy (którzy byli jednojęzycowcami i czasem korzystali ze ściąg) poeta przekładający własną twórczość z języka rodzimego powinien być dwujęzyczny w najpełniejszym tego słowa znaczeniu.

Zakładając dla celów dyskusji, że słusznie określam siebie mianem dwujęzycowca, a moja poezja jest warta tłumaczenia, pytanie, jakie chciałbym rozpatrzeć, brzmi: dlaczego tłumaczenie własnych wierszy wydaje mi się zajęciem tak nudnym, niewdzięcznym, a nawet żenującym? Wyznaczenie dziwne i niemalże niewiarygodne. Z pewnością bowiem istnieje wiele korzyści mogących skusić poję-tłumacza.

Po pierwsze, nie mam trudności ze zrozumieniem oryginału. Oczywiście, nie tylko z powodu świetnego zrozumienia języka, w którym oryginał powstał, ale również dlatego, iż jako autor posiadam osobistą wiedzę o tym, co zamierzałem powiedzieć. Napotykałyśmy oczywiście na szczególną trudność dotyczącą ukrytych i alternatywnych odczytań oraz interpretacji, których nawet autor może nie być świadom. Jednak założenie, że samowiedza autora też jest ograniczona, nie zmienia faktu, że autor zawsze o krok wyprzedza swych czytelników, jakkolwiek by byli wrażliwi lub dociekliwi.

Po drugie, posiadanie tej osobistej wiedzy uchroniło mnie od nagminnych kpin i krytyk cierpiących przez tłumaczy, którzy rzekomo nie rozumieją stylistycznych niuansów, znaczeniowych podtekstów lub bogactwa metaforiki oryginału.

Po trzecie, nawet tam, gdzie moje tłumaczenie odbiega od oryginału, czynię to celowo, z uzasadnieniem. Można bowiem założyć, że jako tłumacz własnej poezji z pewnością mam prawo być twórcą i tłumaczem dawać

¹ Polska wersja – w autorzyzowanym przekładzie Beaty Tarnowskiej – pojawiła się w polskim tygodniku „Kultura”, 19. 2002. W niemieckiej wersji w niemieckim tygodniku „Stern”, 9. 2002.

upust fantazji.⁷ Gdybym jednak, dla porównania, tłumaczył wiersze Kochanowskiego, Norwida, Różewicza czy Herberta nie dbał o wierność wobec oryginału, zyskałbym korzyści w zakresie, powiedzmy, rytmu lub rezonansu metafor, których z kolei nie posiadam w przypadku wiernego trzymania się treści oryginału. Stoję zatem wobec dylematu: czy, aby stworzyć pełnokrwistą wersję angielską, powinienem oryginał zniekształcić?

Po czwarte, tłumacz posiada w tym wypadku szczególną i niezrównaną podniecie do swej pracy. Podjęte przezeń zadanie nie przypomina jałowego mozolu niespełnionego wierszokłety, który jak pasożyt żeruje na uznanych osiągnięciach innych. Przeciwnie, jako poeta rozwija żagle. Dwujęzyczność stwarza mu możliwość poszerzenia kręgu odbiorców. W przypadku polskiego poety tłumaczącego swą twórczość na język angielski krąg ten może być całkiem znaczący.

Rozważanie, dlaczego powyższe czynniki nie pomogły mi czerpać satysfakcji z tłumaczenia własnej twórczości, umożliwiło mi odpowiedź na pochodne pytanie, które nurtowało mnie od czasu londyńskiej dyskusji, jaką w 1960 roku wywołał Bogdan Czaykowski.⁸ Wszyscy młodzi polscy poeci na obczyźnie, którzy uczestniczyli w tej dyskusji, dość dobrze władali dwoma językami i wszyscy wyrażali duże zaniepokojenie oraz obawę, czy dla nich, osiadłych i wykształconych poza granicami kraju, pisanie w języku polskim posiada jakikolwiek sens. Cich znakomitego Conrada towarzyszył debacie. Tym, co trapiło mnie wówczas, był mój własny brak zaniepokojenia. Nie obawiałem się, że moje wyczucie języka polskiego mogłoby z latami słabnąć. Prawdę mówiąc, myślę, że wręcz rozwinęło się z czaśsem. Nie wyobrażałem też sobie, że mógłbym przejść na język angielski jako medium twórcze, chociaż jako jedyny w grupie posiadałem w tamtym okresie bliskie kontakty z młodymi angielskimi pisarzami, a nawet redagowałem literackie pismo na Uniwersytecie Londyńskim. Moja nonszalancja i brak wrażliwości gorszyły moich przyjaciół, ale też nękały mnie samego.

Pisząc po latach wstęp do przekładów moich wierszy, Czaykowski zauważył, że *W ostatnim czasie Czerniawski rozważał ze spokojem możliwość porzucenia poezji na dobre: „Obawa, że może nie napiszę już ani jednego wiersza, zmusza mnie do napisania nowego wiersza.” Chociaż takie dylematy znane są większości poetów, w przypadku twórców piszących w mowie dalekiej od języka ich codziennych trosk, zajęć, a także społeczeństwa, w którym żyją, lęk przed utratą sił twórczych staje się naturalnie bardziej realny, i stąd bardziej dotkliwy.*⁹ Dla autora *Buntu wierszem* było oczywiste, że podobnie jak on musiałem wyrażać trudne położenie pozbawionego ojczyzny Polaka:

*Urodziłem się tam,
Nie wybierałem miejsca.
Chętnie bym się urodził po prostu w trawie.
[.....]
Przykuli mnie gdy jeszcze byłem dzieckiem.
A później z łańcuszkami puścili w świat,
[.....]
Więc nioszę te łańcuszki
i potrzęsam nimi jak lew grzywą.
[.....]
Ja jestem poeta (trzeba się nazwać),
Język mam łańcuchem,
Słowa obrażą moją.¹⁰*

Nie podobnego nie miałem na myśli; wyrażałem jedynie dylemat „znany większości poetów”.

⁷ „Twórczyni” nazwami zwykle trzymam się odmiennie niż wiersze. Tutaj jednak ten sam wpływ ma okoliczność świadomego odwołania do treści oryginału.

⁸ *Czaykowski* 1960, 1961, 1962, 1963, 1964, 1965, 1966, 1967, 1968, 1969, 1970, 1971, 1972, 1973, 1974, 1975, 1976, 1977, 1978, 1979, 1980, 1981, 1982, 1983, 1984, 1985, 1986, 1987, 1988, 1989, 1990, 1991, 1992, 1993, 1994, 1995, 1996, 1997, 1998, 1999, 2000, 2001, 2002, 2003, 2004, 2005, 2006, 2007, 2008, 2009, 2010, 2011, 2012, 2013, 2014, 2015, 2016, 2017, 2018, 2019, 2020, 2021, 2022, 2023, 2024, 2025.

⁹ *Modern Poetry in Translation*: Poland, 23-24, 1975. Cytuję po prostu z mojego wiersza *Pierwsze objawy choroby umysłowej*. *Wiersze* zebrane, 1993-1994, 1995, 1996, 1997, 1998, 1999, 2000, 2001, 2002, 2003, 2004, 2005, 2006, 2007, 2008, 2009, 2010, 2011, 2012, 2013, 2014, 2015, 2016, 2017, 2018, 2019, 2020, 2021, 2022, 2023, 2024, 2025.

¹⁰ Bogdan Czaykowski: *Wiersze* z łanej strony, *Wiersze* zebrane z lat 1933-1989, Kraków 1990, s. II.

Z czasem dokonywane przeze mnie próby tłumaczenia własnej poezji wyjaśniły mi przyczynę mojej odmienności. Podczas gdy pozostali uczestnicy dyskusji uznali językową sprawność za kwestię kluczową, ja doszedłem do przekonania, że najważniejsza jest osobista i literacka tożsamość i że poezja, którą się tworzy, pozwala tę tożsamość określić. A zatem, samo poczucie swobody, jakie ogarnęło mnie jako tłumacza własnej poezji, okazało się największą przeszkodą oraz źródłem zniechęcenia. Z każdym kolejnym przekładem nie tylko stawiałem przed koniecznością rozpoczynania na nowo procesu twórczego, który po zakończeniu pracy nad oryginałem uznawałem za zamknięty, ale co więcej, musiałem ten proces rozpocząć w innym języku. Byłem wówczas na najlepszej drodze do pisania wierszy w języku angielskim. To był mój cel, kiedy groziła mi zataśka własnej tożsamości. Jak już wspomniałem, pisanie po polsku nie jest dla mnie jedynie kwestią językowej sprawności. Kryje ono bowiem świadomość, iż umiejscawiam siebie w kontekście historii polskiej poezji, że świadomie bądź podświadomie aprobuję własną przynależność do jednej poetyckiej tradycji i wyrażam dezaprobatę albo obojętność wobec innej tradycji czy zespołu tradycji mi dostępnych. Moja poetycka tożsamość uzależniona jest zatem od zakorzenienia w polskiej kulturze.

Z drugiej jednak strony nie waham się przyznać, że od czasu kiedy Anglia stała się moim domem, wpływ tradycji anglosaskiej w znacznym stopniu ukształtował moją kulturową tożsamość. Dlaczego więc nie przestałem zadrecać się problemami autoprzekładu, dlaczego nie przekształcałem bezironii istniejącego materiału w języku angielskim i nie stałem się stopniowo poetą angielskim?

Odpowiedziałbym, że nawet jeśli w mniej więcej równym stopniu można odczuwać silnie własne zakorzenienie w dwóch kulturach i językach – chociaż czasem wymaga to szczególnie dużo wysiłku, jak też dobrych chęci – nie dowodzi to jeszcze, że korzenie te po obu stronach są identyczne i wymienne. Można zatem ściślej identyfikować się z jednej strony z politycznymi lub naukowymi instytucjami kraju zamieszkania, z drugiej zaś z aspektami, powiedzmy, społecznymi zwyczajów czy rytualnych zachowań kraju pochodzenia. Dlatego też twórcze zaangażowanie po jednej stronie uniemożliwić może takie samo zaangażowanie po drugiej. Radość i satysfakcja, jakie czerpałem z tłumaczenia na język angielski twórczości wielu polskich poetów, wyłączność tę, moim zdaniem, raczej uwidaczniała niż łagodziła. Ta praca dawała mi szansę wykorzystania mojej dwujęzyczności w sposób, że tak powiem, neutralny, czyli bez twórczego zaangażowania.

Co więcej, praca poety, który przekłada z własnego języka, wyróżnia się w jeszcze jeden znaczący sposób. W przeciętnym przypadku poety-tłumacza – przekładającego na swój własny język – i nieważne, czy jest on tłumaczem „twórczym” jak Ezra Pound lub Robert Lowell, czy „wiernym” jak John Dryden, Alexander Pope lub Michael Hamburger, przekłady traktowane są jako przedłużenie własnej pracy twórczej. Natomiast w sytuacji, kiedy poeta-tłumacz przekłada na język nabyty, nie można mu zarzucić, że poezję obcą podporządkowuje swej własnej twórczości. A zatem, posiada wtenczas większe możliwości zachowania wyróżniających cech osobowości tych różnych poetów prezentowanych przez siebie w nabytym języku.

Stwierdziłem, że przekładanie własnej poezji otwiera przede mną perspektywę stania się poetą języka angielskiego. Otwiera jeszcze inną perspektywę – równie radykalną, choć prowadzącą w odwrotnym kierunku – której doświadczyłem tłumacząc innych poetów.

„Tłumaczenie” w odniesieniu do poezji jest pojęciem niezwykle klasycznym, obejmującym wszystko poczynając od innej imitacji – po-

wiedźmy adaptacji dzieł Horacego dokonywanej przez Pope'a (rodzaj, który tu określiłem mianem „twórczego”), po skrupulatne uwzględnianie wszelkich aspektów utworu oryginalnego widoczne w tłumaczeniach, na przykład, Hamburgera z dzieł Holderlina i Rilkego. W moim odczuciu, dzieło oryginalne musi być przedmiotem bezwzględnej poszanowania – ponieważ dopiero wtedy, gdy jest warte szacunku, może zostać uznane za materiał na przekład.

Oznacza to, że oryginał zawsze pozostanie idealnym wzorcem, wedle którego przekład stale winien być korygowany.

Tak więc, jako tłumacz własnej poezji, narażony jestem na ryzyko, że stanę przed koniecznością wyboru jednego z dwóch przeciwnych rozwiązań.

Z jednej strony, jako tłumacz *tout court*, zobowiązany jestem – wedle własnych reguł – do respektowania oryginału. Z drugiej, jako tłumacz własnej twórczości, teoretycznie mogę pozwolić sobie na odstępstwa od tych ustaleń i traktować materiał, jak zechcę, posuwając się nawet do imitowania moich polskich oryginałów jako zaczynu dla wierszy tak od nich odległych, jak *Hommage to Sextus Propertius* Pounda od oryginału Propertiusza.

Ismieją poeci – klasycznym przykładem jest Auden – którzy mają zwyczaj korygowania swych opublikowanych utworów i przypuszczalnie nie wahałoby się opracowywać odbiegające od oryginałów autoprzekłady, argumentując, że wiersz nigdy nie jest tak naprawdę ukończony, że pozostaje w stale płynnym stanie. Moje podejście jest jednak całkowicie odmienne. Własne opublikowane utwory traktuję tak samo, jak ogłoszone drukiem wiersze innych poetów: postrzegam je jako wzorce, które tłumacz zmuszony jest respektować. Można by więc utrzymywać, że moje reguły pozwalają mi uniknąć dylematu. Jest to stanowisko racjonalne, jednakże borykanie się z przekładem własnej poezji nie jest aktem czysto racjonalnym, a dokuczliwa presja, by złamać powyższe reguły, towarzyszy wszystkim takim wysiłkom.

Jestem oczywiście świadom, że istnieją dwujęzyczni poeci piszący poezję w dwóch językach, a nawet poliglotti, którzy tak jak Rilke komponowali utwory w czterech językach. Te przeciwstawne przykłady nie obalają jednak moich założeń po prostu dlatego, że, jak wskazałem na początku, nie propaguję teorii, a jedynie opisuję jeden szczególny przypadek, dla którego nie poszukuję ogólnego zastosowania. Jednakże, gdyby ktoś zechciał, mógłby postarać się wyjaśnić w ramach mojej argumentacji także inne, przytoczone przeze mnie przykłady. Tak więc, równie dobrze w przypadkach tych innych poetów zakorzenienie może być takiej natury, że pozwoli im funkcjonować z równą łatwością w dwóch lub więcej kulturach naraz.

Adam Czerniawski

MATEUSZ WABIK

Et omnia ubique

Niebo rozciąga jak brzuch ciężarnej. Deszcz kapie
w wyschniętą dłoń ulicy. Nakładamy ubrania i przenosimy
plany ewakuacji w bezpieczne miejsce tymczasem reagując

na rzeczywistość jak na kasowy remake. Lecz co. Pukanie
do drzwi i okazuje się, że my też bierzemy udział w seansie.
Właśnie nam miłuteczniejszym pokazują odcinek karnetu. Emisję

podobno wykupiliśmy do końca, ale nie poddajemy się tak
łatwo i próbujemy negocjacji. *To poczta w podejrzeniach*
jest zbyt pochopna. I gdy zostaliśmy już sami patrzymy na siebie

jak na swoje sobowtóry. Ręce płoną nam jeszcze od tamtych
uścisków. W łóżkach palimy się jak próchno.

Stare miasto

Dla nas nie zmieniło się nic. Ten sam
nastroj od lat, posiwiacie od dymu lusu o,
przez które przestaliśmy wyglądać i
ciągle ta sama odkrywana zagadka:

różnimy się od siebie w ciemną
noc, różnimy w jasny dzień.
Seks uprawiamy o tyle, o ile jest
na to czas i oczywiście miejsce.

W pewnej chwili nic już nie przychodzi
na myśl. I kolejny spędzany sen, jak
pedzący poza rozkładem skład wagonów.
Szybciej cięży krew do skroni.

Przyspieszony oddech wycisza się,
jak piosenka na stacji, kiedy powinna
wybić już pełna godzina. To wszystko

jest jedno, życie to wciąż przepelniona
druga klasa, a my nie mamy pieniędzy,
by stać chociaż w pierwszej.

I kiedy wracam do siebie, prztlaczając
się sennie przez perony, zmierzając pod
wiadukty snu, nie mogę sobie przypomniać
nazwy pominiętego na mapie miasta.

Kasjerka

Ćwiczmy się w podbojach nie przekraczając granic powrotu. Zmudna praca, prawie rzemiosło jak stawianie nocnego na tyłach z kasjerka na przemian w srebrze i złocie. I z piany byłbyś zdolny zrobić gorset dla anioła, albo dla świstaka. Na przykład widziałem dzisiaj cienie na tyłach, przez które przechodziły kule światła. Kasjerka taśmowała rachunki mając chwiłową przerwę w ruchu. Z nudów przglądała się w główce zapalki. Musielismy przenieść się na koniec roku, który suszył się w kalendarzu obok wisiorka z łuską naboju. Łuk ognia oparł się na ścięgna okopów. Zwinęliśmy cmentarz jak rulon i przynieśliśmy kasjerce wraz z kserokopią linii frontu. Z kieszeni wypadł mi odcinek serialu zamówień od konwoju upiórów. A ona mówi, że widziała to przez dziurę w helmofonie jak tamci dobrali się nam do pierwszej linii i czołgi fruwające jak motyle. Teraz prosimy o uśmiech lata bo wojna wychodzi nam z ust. I tak wszystkim stawia kasjerka.

Latająca ryba

Podana na talerzu ryba zaczyna fruwać. Mężczyzna wysuwa stół na środek pokoju. Wychodzi do góry i macha rękami aż powietrze pokrywa się kroplami potu.

Próba się nie powiodła.

Ryba usiadła w kuchni na zlewozmywaku. Z kranu zaczęła się sączyć brudna woda. Wyszedłem spod lupy. Złobić w talerzu dziurki na oczy, usta, na noc.

Wanilia

Agnieszka rzuciła papicrosy i jej ciało odzyskało waniliowy zapach. Radio zagłusza nasze rozmowy, tak żeby nikt o niczym się nie dowiedział. Nagle

przez szparę pod drzwiami wdziera się spalenizna. Ona wstaje, uchyla drzwi, wybiega z pokoju, wraca i śmieje się, że to p o ż a r w k u c h n i. Płom

półmiski? Lodówkę przebiegi dreszcz zwarcia? Lecz to nie my go ugasimy. Ktoś na pewno się ruszy, choć nie mamy gwarancji – ta nawalona drukarka leży do

dzisiaj. Jednak spalenizna przegrywa z wanilią. Granatowa suknia podwija się i opuszcza jak kurtyna dymu na autostradzie podczas weekendowego korka. Do nikąd się

nie wypuszczamy. Nocą sen zalewa nas śnieżną falą, dryfujemy przez zaspy, a wanilia unosi się nad łóżkiem.

Sierpniowe wybiegi

Ciemno. Burza wisi na włosku.

Las ociera się o ubrania.

Księżyc srebrzy dachy zagród.

Pod stopami język asfaltu.

Twoja dłoń w kieszeni mojej

dłoni, ty obok mnie, ledwo

cię widzę, ale słyszę szep

twoich płuc.

„Ta droga szybko się nie skończy.”

Odświeżamy pamięć by mówić,
słowa lepią się do siebie jak listki
gumy.

Maszerujemy zgodnym rytmem, tu
możemy się jeszcze odnaleźć, bo
po powrocie każde wbije się w swoje
łóżko.

Sen zacumuje w ciele, szosami
żył przeciągną tiry krwi, bez żadnych
przestojów i cel, choć zawsze pod czujnym
okiem żandarmerii białych krwinek.

I rano cukier, chleb, dwa czerwone
pomidory, twoje przebieganie się przed
lustrem w zaczarowane ubrania,
improwizacje dalszego ciągu i kaskady
uśmiechu, mapa serca wciąż uaktualniana.

Choć mogło być inaczej, inne rewersy
słów i czystszy rejestr gestów, ale
lepsze takie kwitowanie niż żadne, po prostu
lepszy wróbel na parapacie niż pod sufitem.

Berliner Katz

W Berlinie Kornhauser dogryza *bruLionowi*. Wyraz jego twarzy przypomina minę kota. Zjadł scr, myszy, a teraz odpowiada na pytania niemieckiej publiczności. Podobno lata 90-te w Polsce były już w 50-tych. Niemcy nie chcą w to wierzyć. My myślimy nad treścią polemik. Lecz po wyjściu ktoś z nieba pościagał pioruny. Maciek zanosí do samochodu niemieckie książki. Są rozdawane autografy. Twarze ulegają przyjaznym skinięciom ręką jakby niemieckie poetki w końcu powiedziały jesteście wasze. Atmosfera zjednoczenia? Eee tam. Kto idzie na piwo.

O'harysta w Nowym Jorku

9:40 Nowy Jork. Ali porwał samolot i wpakował się w wieżę World Trade Center, kiedy akurat czytałem w DAILY NEWS o biskopkach przyczepionych do czarnego płótna w Galerii Pasadena. Wczoraj Sam i Nelly przy wspólnej kolacji rozmawiali o Mozambiku. Zbliża się zima, więc jak zawsze wtedy myślą o najbiedniejszych. (Ciekawe czy Sam wie, że nie ma śniegu w dolnej Afryce). Potem zaczęło się chwiać. Panika z sąsiedniej ulicy przeniosła się do środka. Pilem kawę. Wszedł ktoś o twarzy Murzyna z białymi wasaniami. Nie miałem dziś ochoty na wspólne przeżywanie. Z kieszeni kurtki wyjąłem ciemne okulary i poszedłem na 6-ą ulicę. Po drodze ułożyłem sobie z gruzów piosenkę.

Mateusz Walek

Wanilia

Agnieszka rzuciła papierosa i jej ciało oddziaływało waniliowy zapach. Radio zagłuszała wesołą muzykę. Ona wstaje, uchyła drzwi, wychodzi na balkon. Ona śmieje się, że to po raz w kuchni. Płoną półmiski? Lodówkę przebiegli drzewka zwróciła? Lecz to nie my go ugatamy. Ktoś na pewno się ruszy, choć nie mamy gwarancji – ta nawalona drukarka leży do

MICHAŁ PROCHOWNIK

AUSTRALIA

O dwudziestej drugiej na lotnisku międzynarodowym jest sennie. Ciągłe trwają zmiany przy okienkach. Młode kobiety w uniformach wyjmują z kas fiskalnych plastikowe pojemniki z monetami i zabierają je na stojące obok kozetki, przykryte kocami „Wars”. Kładą się z pojemnikami pod poduszkami i zasypiają błyskawicznie. Zawsze można wyczuć ten moment, bo od razu spadają un buty ze stóp, które wystają poza obręb łóżek. Nowa zmiana próbuje żartami przebić się przez swoją senność. Żarówki głośno pękają jedna po drugiej i gasną pod poczerniałym sufitem.

Jadę na delegację do Australii, podobno mam tu dostać bilet na samolot. Jest ze mną kierowca – nie ma zębów. Tyle mężczyzn tłoczy się przy kasach, w kolejkach pocą się bardzo i co chwila rozluźniają krawaty na wilgotnych szyjach. Dochodzę do okienka, przedstawiam się, podobno mam tu odebrać bilet do Australii. Ostatni samolot – jeśli na niego nie zdążę, będę musiał wracać do miasta, bo tutaj zaraz zamykają, ale ja nie znam miasta, w mieście na pewno się zgubię. Poza tym z tego, co mówił kierowca, miasto jest puste. Tu jest tylko lotnisko. Miasto tak jakoś wybudowali, bo lotniska są w miastach, po to żeby można było dojechać taksówką – tak to tłumaczy.

Poznałem go niedawno, nie pamiętam już zresztą, chyba zastałem w taksówce. Nie, to nie była taksówka, to był samochód służbowy. Brzęczało w nim radio, choć nie nic było słychać, znaczy żadnych rozmów. Ale teraz okazuje się, że nie ma mnie na liście pasażerów. Nie mam biletu do Australii. To chyba wina tej nowej asystentki, nie robiła tego nigdy wcześniej, pewnie o czymś zapomniała. Nie zarezerwowała mi biletu? Zarezerwowała, ale nie kupiła. Tak mi przynajmniej tłumaczy ziewająca kobieta z rąsami z półprzymkniętymi oczami. Muszę sobie sam kupić bilet. Ale ja nie mam pieniędzy. To jest, nie mam tyle, tylko jakieś drobne do automatu. Pytam kierowcę, czy mi pożyczyci, może ma przy sobie tyle pieniędzy, choć to mało prawdopodobne. A jednak ma. Przyznał się, że ma, ale musi je dzisiaj wydać przed północą na prezent komunijny dla siostrzenicy. Nigdy nie mówił, że ma siostrę, ale przecież tak krótko się znamy, a więc nigdy to niewiele czasu. Pewnie też nie pożyczyci mi tych pieniędzy. Ale przecież mój wyjazd jest ważny, służbowy, to jedyna możliwość. Mówię mu, żeby zadzwonił do firmy, to mu potem poręczą i weźmie prezent komunijny na kredyt, bo pieniądze się znajdują, jak tylko otworzą jutro.

Zostało jeszcze kilka działających żarówek, przy których latają émy. Jest coraz ciemniej. Kierowca w końcu się zgadza, ale mówi, że musi szybko odjechać, to może jeszcze zdąży zabrać skądś jakiś dowód czy coś – nie wiem zresztą, o co mu chodzi. Podsuwa mi swoją chusteczkę, żeby mi potwierdził pisemnie, że mi dał. Chusteczka jest z materiału i trudno się po niej pisać, zwłaszcza że jest zmięta i niezbyt świeża. Oglądam się. Ludzie za mną są już mocno zdenerwowani. Jak zgasną wszystkie żarówki, to pewnie zamkną lotnisko. Nikt nie nie zobaczy. Płacę za bilet, jest tak mało czasu. Musiałem jeszcze obudzić kasjerkę. Powiedziała coś o drugim terminalu, „odlot z drugiego terminalu”. Musi pan się spieszyć, szybko, szybko, tam za drzwiami pan znajdzie, tam dalej...”

Dostałem bilet. Wychodzę. Drzwi są bardzo wypalcowane. Może lepiej, żeby nie robili wszystkiego ze szkła, potem wszędzie takie odciski... Na zewnątrz port lotniczy wydaje się nieczynny. Ciemno w środku. Otwarte okno na piętrze wygląda jak od zwykłego mieszkania, z firanką falującą na wietrze. No właśnie. Dopiero teraz czuję, jak strasznie tu wieje. Niedaleko jakiś wąsaty facet w białym garniturze, chodzi tam i z powrotem wzdłuż chodnika. Nie ma już mojego kierowcy. Na parkingu stoją nieregularnie samochody, każdy pod innym kątem. Jeden – taka półciężarówka – postawiony jest nawet pionowo. Kółka mu się jeszcze kręcą, może od wiatru? Palmy gną się coraz bardziej. Facet w garniturze przytrzymuje kapelusz. Gdzie jest terminal drugi? Kobieta pokazywała, gdzieś w stronę... chyba tę, skąd wieje. Zaczynam iść pod wiatr, z bagażem. No tak, przypomniałem sobie, że mam ciężką walizkę. Do tej pory niosł ją kierowca. Tam, dokąd idę, nie ma nic, tylko ciemność i dziurawa droga. Samolot odlatuje o 23:00. Słyszę krzyki. Już wiem, kto krzyczy. Odwracam się i mimo że teraz nie już nie słyszę oprócz wiatru, widzę, jak wymachuje do mnie facet w białym. Lecę z wiatrem w jego stronę. Przy chodniku stoi mikrobus: światła ma zapalone, choć świecą na pomarańczowo, tak niemrawo, jakby w aucie kończył się akumulator. Dopiero teraz zauważam, że facet stał obok przekrzywionego słupka przystanku autobusowego – tak to wygląda – z napisem „Terminal 2”. Pewnie tym mikrobusem mamy jechać. W środku jest nieprzyjemnie ciepło i duszno. Wsiadam z walizką. Jedziemy. Lotnisko za mną coraz bardziej pogrąża się w mroku i pyłe. Palmy zaraz się chyba złamią. Swoją drogą, tutaj chyba nie ma palm, przecież jesteśmy w Polsce. Ciekawe, jak w takich warunkach wystartujemy. Coś mało ludzi na ten lot do Australii. Takie tłumy były na lotnisku...

Dojechalismy? Przystanek, coś jakby dworzec autobusowy w małej miejscowości. Napis „kasy biletowe”. Rozkład jazdy PKS. Zaraz... ja jestem przecież na wsi. Na wsi, gdzie się urodziłem – 400 kilometrów od portu lotniczego. Jak dojechalismy tu tak szybko tą taksówką? To było jakieś piętnaście minut. Przecież nie spałem. Wsiadamy wszyscy. Ludzie, z którymi jechałem, szybko się rozchodzą. Może do domów? Nie wiem, gdzie są teraz domy. Wszędzie jest ciemno. I nagle rozumiem, co się stało. Ja byłem na terminalu drugim!!! Stamtąd miałem mieć samolot. Ten facet pomyślał sobie, że pewnie chcę do domu. A teraz stoję na wiejskim przystanku PKS z biletem lotniczym do Australii. Jest dwadzieścia minut do odlotu. Chociaż zaraz... Tu przecież obok jest postój. Stąd taksówkarz Romek Cwajna woził mnie kiedyś do kina za stare sto złotych. Może go spotkam? On będzie wiedział, a może kto inny – nieważne, jak dojechać z powrotem na terminal drugi. Najlepiej w piętnaście minut. Jeśli zna drogę i będzie jechał szybko, to zdąży na samolot.

Bieglem chodnikiem czując, jak rączka od walizki coraz silniej wrzyna mi się w dłoń. Zaraz się to skończy, dobrze się skończy. Wsiadę do samolotu i zasnę. Obudzę się w Australii. W dzień, a przynajmniej rano. I jest... Jest postój taksówek! Stoi jakiś samochód. Przyspieszam. W środku ktoś siedzi. Samochód to ten sam mikrobus, co inni tutaj przywiózł, może jedzie w kurs powrotny? Dobiegam do kierowcy i proszę, żeby zabrał mnie z powrotem na lotnisko. Mam pieniądze, zapłacę. Kierowca nie jedzie na lotnisko. Pokazuje do tyłu na pasażerów. Jakieś odświeżenie ubrane małżeństwo. Lysawy pan, uśmiechający się uprzejmie. Chyba chciał uchylić kapelusza, ale zapomniał, że go już zdjął. Trochę się zakłopotał. Za to na ostatnim siedzeniu trzy identycznie wyglądające dziewczynki w stroju do

komunii (pewnie trojaczki) liżące bardzo różowe lizaki – takie z kulką na końcu. Wszystkie z wiankami na głowach. Przykro im, ale byli pierwsi, muszą zdążyć na komunię, bo do północy niewiele czasu, a przecież wszystko musi się odbyć przed północą – potem będzie za późno. A może to jest niedaleko? Może kierowca wróci? Nie wróci. Jest zamówiony na całą noc. Ma się tam upić i zasnąć w samochodzie – tak twierdzi i mruży oczy z sennym zadowoleniem. Nie pojedzie na lotnisko. Jedną z dziewczynek pyta, czy nie pojechałbym z nimi na komunię? Tam będzie dużo dzieci, wszystkie na białe, chłopcy też. Tak zarządził ksiądz, choć sam ubiera się na czarno. Żona milego pana stwierdza, że ma rezolute dzieci i odpowiada im za mnie, że „ten pan nie może jechać na komunię, bo leci do Australii, samolotem, daleko.” Zrobiło mi się słabo. Szofer zaczął sennie i powoli zamykać szybę.

„Tam będzie dużo dzieci. Wszystkie staniemy na wielkiej polanie. Zrobimy wielkie koło. Będzie nas widać z wysoka, z samolotu. Pomachamy panu...”

Michał Prochownik

Książki nadesłane

Wydawcy różni

Bogusław Kiere: *Cel afer* (Esaj o poezji Przybosa). Wyd. Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Wrocław 2003, ss. 72.

Przetł. i strn. *Pisarstwo Bolesława Taborskiego. Szkice* pod redakcją Wojciecha Ligęzy i Jani Wolskiego. Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2003, ss. 188.

Maciej Fortuna: *Paszet z dachami*. Powieść. Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 2002, ss. 195. Seria: „Biblioteka Studium”.

Grzegorz Strumyk: *Patrzeć i patrzeć*. Opowiadania. Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 2002, ss. 168. Seria: „Biblioteka Studium”.

Stanisław Rogala: *Strzelecy i Sokoly*. Powieść. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 2002, ss. 326.

Stowarzyszenie byłych Więźniów Politycznych Zanku Lubelskiego i „Pod Zegurem” 1969-2002. *Działalność – Wspomnienia*. Opracowanie i redakcja Krystyna Madulowa. Wyd. M.U.TICO, Lublin 2002, ss. 113.

Witold Piotr Mazurkiewicz: *Kurów Lubelski w XX stuleciu*. Oficyna Wydawnicza PMZ, Lublin 2002, ss. 394 (w tekście liczne fotografie).

Zbigniew Narecki: *Duszpasterstwo zwyczajne w parafii a wręczewierwanie Kościoła*. Redakcja Wydawnictw KUL, Lublin 2002, ss. 707.

Czesław Dziekanowski: *Taniec z nieświadomością*. Wyd. Psychologii i Kultury ENITEIA, Warszawa 2003, ss. 251.

Jacek Gutorow: *Niepodległości głosu. Szkice o poezji polskiej po 1968 roku*. Wyd. ZNAK, Kraków 2003, ss. 255.

Zbigniew Strzałkowski: *Punkt odniesienia*. Opowiadania. Wyd. „Polihymnia” Lublin 2002, ss. 131.

Jerzy H. Sprawka: *Sekretne życie topików*. Powieść. Postawio Stanisław Propek. Wyd. „Polihymnia” Lublin 2003, ss. 284.

W tych czasach zbliżyłem się w szczerym afekcie do boskiego poety Bolesława Leśmiana: rozkoszne wieziemy pogwary – : boskość jego talentu idzie w parze z człowieczeństwem w nim tak przedziwnie zżywołonem, że dwakroć przeżywa się rozkosz obcując z nim. Mężek ten [: trudno mi rzec: mąż – tak bowiem jest w sobie przyczajony jak mysz królik co i w wzroście ujawnia się – maleńki jest bardzo – hożej [sfofej?] ode mnie o głowę i jeszcze więcej – no małutka – pan starszy (: w „Chimerze” już pisywał :) – chyba ludzieniek – jak brzmi jeden z tytułów jego ballad? – śmiało mógłby się oprzeć o muchomora rosnącego niczem krasnoludek: obdarzył mnie po królewsku – przyjaźnią swą – dostojny ten dar raduje mnie jak słońce i rzeźwi jak kapieł. Napotkasz się i Ty z nim – i zobaczysz że to co o nim rzekłem jest blade i jedną setną jemu prawdy zawiera – napotkasz się zaś ponieważ przystąpił do spółki: w tych dniach spisujemy notarialny akt legalizacji [120.8.3]¹².

Konsekwencje tego spotkania niezwłocznie przybrały kształt artystyczny. Osobowość Leśmiana, aura jego liryki, oryginalność i siła wyobraźni ściśle współbrzmiały z estetycznymi poszukiwaniami Emila Zegadłowicza, który dotkliwie przeżywał swe przymusowe (zarobkowe) oddalenie od rodzinnego dworu w Beskidzie, widząc w wielkomiejskim gwarze stolicy raczej blichtr niż wysoką kulturę miasta, w posławach polityków – hipokryzję i cynizm, w twórczości awangardowych artystów – fałsz i snobizm. Warszawa wczesnych lat 20. była dla Zegadłowicza siedliskiem zła, miastem, o którym – na kilkanaście lat przez *Balem w Operze* Tuwima – kazał diabłu mówić:

wybacz zbyt teatralny strój –
z opery wrucam – wprost z Warszawy
z stolicy pustki i zabawy
lecz i dyplomatycznych spraw –
a – nowe miasto – wielkie miasto –
starą syrenę zgwałcił paw –
[...]
tu głód – tam dolarowa kiesz –
na jak to bywa! – kiepskie cuda – ! –
stolica – jakże?! – tak – tanchuda
prawda – dziś się to dancing zwie:
burdel z głupotą po polowie –
po za tem nuda – nuda – nuda
pełna przepolitycznych no! –
górką lewica – hop! prawica –
do kupy ceber polskich blot –
chlup jest szlachcicem – szlachcic skopem
niech żyje osiemnasty wiek – ? –
wszystko się warty – aż ukłopem
parzącym bryzga ję za brzeg –
czasem wypłynie trup! tak krwawy!
przed narodowej chwały próg –
w łaskocie przeokropnej sławy
trzech kul w zachęcie pięknych sztuk –
kto nie jest w partii – nędzna głowa
dla wszystkich partii – to ci los!
lecz gdy się pod płaszcz którejś schowa
już jest gentuzsemi – i – ma trzasa –
zaś kto jest w partii – isina twimla
dla partii drugiej – cały kram!

Zapowiedź na miły kalendarz Dwoje ludziów opublikowana przez Lasego w brzo Lata 1920)

[illegible]

*najszlachetniejszych się obwinia
 o zbrodnię, zbrodę, nicotę, kłam-
 prawdziwa nicota żyje w chwale
 bo nicota znaczy – wszyscy – ja
 dobrze się dzieje i wspaniale
 tira – la – la la – tralla – la!*

Artystycznym antidotum na ów świat miała być dla Zegadłowicza rzeczywistość pokrewna Leśmianowskiemu wizjom powoływany do życia przez niepospolitą wyobraźnię, zaludniająca lityczny pejzaż dziadymi, dusiołkami, topielcami. Do galerii tych postaci gorzeński poeta po spotkaniu z Leśmianem dopisuje beskidzkie powsinogi...

Historia ballad, które Zagadłowicz opublikował w *Powsinogach beskidzkich*, rozpoczęła się w Warszawie, w październiku 1921 roku. To właśnie duch Leśmiana patronuje Zagadłowiczowskiemu odchodzeniu od publikowanych od kilku lat maoistycznych utworów spod znaku poznańskiego ekspresjonizmu¹⁰. W okresie jednego roku powstało sześć ballad sławiących – jeszcze na warszawskim bruku – urodę beskidzkiego bytowania, które dla kończącego swoją służbę ministerialną poety musiały nieść nieodparty walor powrotu, szczególny wymiar nostalgii¹¹. Ujęcie w liryczną formę sylwetki beskidzkich chłopów rodziły się przy urzędniczym biurku, wysnute po części z marzeń i tęsknoty, po części – z poetyckiego świata Leśmiana. Nie dziwi zatem fakt, iż w pierwszym wydaniu książki Zagadłowicz dedykował swe ballady podziwianemu poecie.

Prócz ballad o powsinogach, wędrownych rzemieślnikach chadających za pan brat z Chrystusem po beskidzkich ścieżkach, Zegadłowicz obdarował „własną” balladą samego Leśmiana. W cytowanym powyżej liście Zegadłowicz pisał do żony, pierwszy raz od dłuższego czasu usiadłem przy biurku i skrobnąłem „Balladę o poecie, drogach i ziszczeniu” zapożyczał mi do tej „Ballady” poniekąd Leśmian – który – mógłbym rzec, że jest poetą od stóp do głów – gdyby nie był tak cudacznie kaduczo-maleńki – przeto muszę rzec: od ziemi do gwiazd [120.8.3].

Pod takim właśnie tytułem przeznaczona do publikacji ballada o Leśmianie została wydrukowana na pierwszych odbitkach kart „Czartaka” jakie opuścili wadowicka oficyna Franciszka Foltina. Podczas korekty Zegadłowicz nadal swej balladzie bardziej barokowy – śpiewny i gawędowy tytuł, nazywając ją *Balladą o niektórym Bolesławie Leśmianie, rejencie, angi hrubieszowskim, zwaną Balladą zawilą, serpentyną spadającego liścia na złotą łak ogonię rysującą zjawę poezji, śródściernie drogi i bezkształt ziszczenia...* Niezrozumiałe względy (być może zastrzeżenia samego „obdarowanego”) kaźaly Zegadłowiczowi ostatecznie ukryć nazwisko hrubieszowskiego notariusza wymienione w tak zmodyfikowanym tytule wiersza¹¹.

Fakt pojawienia się utworów Bolesława Leśmiana w czasopiśmie literackim grupy „Czartaki” tłumaczy więzi artystyczne i towarzyskie łączące autora *Łąki* z Zegadłowiczem. W pierwszym numerze pisma Leśmian opublikował dwie ballady: *Karczmkę* i *Jadwigę* – wiersze, które weszły następnie do opublikowanego w roku 1936 tomu *Napój cieni*.

* Paul Zychowicz, *Noc świętego Jona. Ewangelia: Minimum balladowe w niezmiernie słychach*, Wydawnictwo [?], [?], [?].

1) przeprowadzaniu wniosków ekspertyzami technicznymi i o. dogłębnych porównaniach, uchwalanych w 103 Komisji i tak należyła informowanie indywidualnie tworzący zespół w kierunku Państwowej Biurodyplomatycznej pozostający z Zagadnieniami w skrajnych warunkach wyjątkowych i nowościach Edward Korytkowski - wstąpił „Pracownice Informacji „Robotnik” nr 92, z 6 września 1923 roku.

[illegible]

² Pod owym skróconym tytułem książek zostały opublikowane w „Granice” (1922 nr 11).

Piotr Łopuszański w swojej pracy o Leśmianie przytacza anegdotę, której bohaterem obok poety jest Stanisław Witold Balicki, redaktor „Dwutygodnika Liternickiego” (rozstawionego między innymi publikacją Zegadłowiczowskiego *Listu pasterskiego*): Balicki otrzymawszy od Leśmiana rękopisy, odmówił ich zwrotu, kierując się przekonaniem, iż tej rangi manuskryptów się po prostu nie oddaje¹³. Z pewnością tak samo myślał redaktor „Czartaka”, Emil Zegadłowicz, który zatrzymał w domowym archiwum rękopisy *Karczmy* i *Jadwigi* spisane starannym, wzorowo czytelnym charakterem Leśmianowskiego pisma. Do dziś przetrwał w dworze Zegadłowicza jedynie rękopis *Jadwigi*, zaś druga ballada podzieliła los innych dokumentów (w tym listów) stanych do Gorzenia Górnego przez jej autora¹⁴.

Aczkołwiek Bolesław Leśmian publikował swoje utwory w piśmie beskidzkiego zboru poctów, nie był, formalnie rzecz biorąc, członkiem grupy „Czartak”. Wiadomo jednak, że Zegadłowicz snuł plany rozszerzenia składu osobowego swej grupy między innymi o Leśmiana, a dowodem tego jest treść „Protokołu 1^{go} posiedzenia Zarządu Towarzystwa Wydawniczego »Czartak«”. W wyniku nieporozumień – tyleż artystycznych, co towarzyskich – potęgujących się gwałtownie już po wydaniu przez grupę pierwszego numeru swojego pisma, konieczne stało się klarowne określenie celów i zasad funkcjonowania „Czartaka”. W tym celu 25 sierpnia 1923 roku w gorzeńskim dworze spotkali się Edward Kozikowski, Wiktor Misky¹⁵, Jan Mroziński¹⁶ i oczywiście gospodarz Kamienego Domu, Emil Zegadłowicz. Wymowna jest nieobecność Jana Nepomucena Millera – głównego sprawcy problemów grupy.

Interesujący w kontekście rozszerzenia składu osobowego „Czartaka” punkty obrad referował Zegadłowicz: *Celem „Czartaka” jest wydawanie pisma i książek. Ambicją każdego artysty jest pragnienie wykućia twarzy swej epoki. Tęsknota za wyrazem polskim nie została dotychczas zaspokojona. Oprócz grupy „Skamander” są i zw. „futuryści”. Ale futuryzm polskiego właściwie nie ma. „Czartak” był usiłowaniem zaświadczenia o istnieniu sztuki polskiej w poszukiwaniu i w rozwoju. Nie idzie nam o szowinizm ani hurrapatriotyzm, lecz o te najgłębsze pierwiastki ducha polskiego, narodowe w swej bezpośredniości. To byłoby niejako celem pisma. Jeśli idzie o skupienie artystów pod sztandarem „Czartaka”, to oprócz Kozikowskiego i Zegadłowicza, wymienić należy B[olesława] Leśmiana, [Karola] Huberta Rostworowskiego i innych [97.9].*

Plany te nie zostały zrealizowane, nazwiska Leśmiana próżno szukać w kolejnych numerach pisma. Następny (i już przedostatni) numer „Czartaka” z roku 1925 był w istocie almanachem poetyckim czwórki twórców (Janiny Brzostowskiej, Edwarda Kozikowskiego, Tadeusza Szantrocha i Zegadłowicza), podobnie numer ostatni, z roku 1928, w którym prócz wymienionych publikowali swoje utwory Józef Birkenmajer, Wiktor Hanys, Zofia Kossak-Szczucka i Jan Wiktor.

Zarzucone zostały także plany wydania nakładem „Czartaka” poetyckiej książki Leśmiana *Wieczność i purpura*, którą to publikację zapowiadały wydrukowane już foldery reklamowe z roku 1922.

¹³ Piotr Łopuszański: *Leśmian*, op. cit., s. 167.

¹⁴ Zachowany rękopis pozwala wskazać na różnice między wersją oryginalną ballady z niepublikowanego w *Napojem ciemnym* Wers 4, w rękopisie Leśmiana ma postać: „Nie ma szlachy przeszłoby choćby nawet z jej wierszem”, co jest poprawką poetycką schowaną rytmicznie 16- i 14-sylabowym dyktandem; stosownego komedowanie na przestrzeni całego wiersza, w przeciwieństwie do późniejszej odmiany tekstu: „Nie ma szlachy przeszłoby choćby nawet z jej wierszem”. Zob. Bolesław Leśmian: *Poems wybrane*, opracował Janek Trzaskalski, Ossolineum, Wrocław 1983, wyd. 2, s. 190. Z kolei wersja opublikowanej w „Czartaku” ballady *Karczma różni się* (bez korektowania rytmicznych) od pierwotnego źródła brzmieniem Wers 21: „I pamiątka skłama, tu w sobie po sobie” (zamiast: „I pamiątka skłama, tu sobie po sobie”).

¹⁵ Wiktor Misky, ok. 1891–?, pierwowzór postaci Witka Deliny w powieści Zegadłowicza *Zmory*. Absolwent Politechniki Warszawskiej, w latach 1920–1921 wiceprezesa Towarzystwa Zmory. Absolwent Politechniki Warszawskiej, w latach 1920–1921 wiceprezesa Towarzystwa Zmory. Absolwent Politechniki Warszawskiej, w latach 1920–1921 wiceprezesa Towarzystwa Zmory.

¹⁶ Jan Pukło-Mroziński, 1890–1960, alektywny malarz i grafik, w 1906 roku, rokował koleżanę Emila Zegadłowicza. Profesor gimnazjalny w Poznaniu, malarz, grafik i krytyk sztuki.

Bolesław Leśmian we wczesnych latach 20. związany był z „Gorzeniem” również finansowo, bowiem w roku 1922 wsparł handlową działalność Emila Zegadłowicza, który postanowił uruchomić w rodzinnym dworze warsztaty kilimowe. Początków tego przedsięwzięcia należy szukać w latach pracy urzędniczej autora *Powsinagów beskidzkich*, który świadom bliskiego kresu Ministerstwa Sztuki i Kultury zadbał o uruchomienie małego przedsiębiorstwa rodzinnego dla uwolnienia się od trosk finansowych. Dzięki nabytym w latach 1919–1921 warszawskim koneksjom towarzyskim zdołał uzyskać ministerialną subwencję, dzięki zaś przyjaciółom – konieczne dla rozpoczęcia fundusze. Nowo zawiązana w dniu 1 sierpnia 1922 roku¹⁷ „jawną spółkę wytwórczo-handlową” – zgodnie ze sporządzonym przez Marię Zegadłowiczową brudnopisem kierowanego do sądu okręgowego w Wadowicach dokumentu rejestracyjnego – tworzyli: *Jerzy Hulewicz, właściciel dóbr rycerskich, Kościanki, powiat Września, województwo poznańskie, artysta malarz i literat, Bolesław Leśmian, rejent w Zamościu, województwo lubelskie, literat, Emil Zegadłowicz, właściciel posiadłości w Gorzeniu Górnym, Firma miała nosić nazwę „Hulewicz, Leśmian, Zegadłowicz, Towarzystwo Kilimkarskie Beskid Zachodni” [118.7.164].*

Finansowy udział Leśmiana w firmie omawia Zegadłowicz w liście pisanym do żony w dniach 7–8 listopada 1921 roku: *Pytasz co do jego udziału – otóż istotnie zadeklarował 1 000 000 (milion) płatny w kilku ratach. Hulewicz także godził się na 800 000 – [...] otóż godził się apostoł Jerzy na taką sumę, lecz wobec daniny, która wyniesie na Kościanki 7 – do 8 – milionów – poprzestął na 500 tysięcy [120.8.3].*

Pierwszą ratę funduszu udziałowego (200 000 mkp) przekazał Leśmian Zegadłowiczowi osobiście, w Warszawie w lutym 1922 roku, obiecując na marzec sumę równą bądź wyższą od pierwszej raty. Podobnie jak współpraca z „Czartakiem” Leśmianowskie zaangażowanie w przedsięwzięcie handlowe Zegadłowicza miało żywot krótki. Nieco dłużej natomiast, bo kilka lat, istniała Zegadłowiczowska kilimiarnia prowadzona przez jego żonę Marię.

Po raz ostatni dokumenty zachowane w archiwum w Gorzeniu Górnym wymieniają nazwisko Bolesława Leśmiana w korespondencji Stanisławy Wysockiej, wybitnej aktorki dramatycznej, z którą Zegadłowicz pozostawał w zażyłych stosunkach w latach 1924–1933. Po premierze *Lampki oliwnej* Stanisława Wysocka odwiedziła po raz pierwszy dwór Emila Zegadłowicza. Poznawszy warunki domowe, w jakich żył poeta, Wysocka – nie wiadomo, czy kierowana bardziej korzyścią własną, czy poety – zaklinała go, by zmienił miejsce zamieszkania, wyrwał się z Gorzenia. Wśród najróżniejszych pomysłów był również i ten, by Zegadłowicz przeniósł się do... Leśmiana:

Czy nie byłoby dobrze dla Ciebie zamieszkać jakiś czas poza Gorzeniem – pisała 21 maja 1924 roku – choćby i w Zamościu – Leśmian to naprawdę piękna dusza – dobrze by wam było razem – nie wiem – nic nie wiem – ale niedobrze mi jest u Ciebie w Gorzeniu – może to wycucie fałszywe zupełnie – ale ciągle mi się zdaje, że Ci ktoś czy coś dokucza tam [76.216].

Wszystkie przytoczone tu okoliczności stanowią kontekst faktograficzny konieczny dla zrozumienia treści zachowanych w gorzeńskim archiwum listów Bolesława Leśmiana. Niestety, los nie obszedł się łaskawie z korespondencją wielkiego poety. Dziś dysponujemy jedynie odpisami dwóch listów i jednego telegramu, które to dokumenty przytaczamy poniżej in extenso.

Mirosław Wójcik

¹⁷ Rękopis dokumentu nie wymienia roku sporządzenia pisma, jednak w korespondencji jego żony z korespondencją Zegadłowicza dotyczącą owego przedsiębiorstwa widać, że chodzi tu o rok 1922 (przyjaźń Zegadłowicza z Leśmianem doszła się od końca roku 1921).

Bolesław Leśmian,
list do Emila Żegadłowicza,
Hrubieszów, 9 marca 1922 roku

9 marca 1922 roku, Hrubieszów
„Moi Drodzy! Otrzymałem rachunek i deklarację Hulewicza. Dziś
zapewne wyjadę do Warszawy i stamtąd wyślę 300 000 mr. – Proszę Was
o rzeczy następujące:

1) o przesyłkę niezwłoczną choćby jednego wzmotu na kłimty wraz z od-
powiednio krótkowym papierem i dokładnymi wskazówkami,

2) o przyspieszenie aktu rejentalnego w Warszawie, gdzie będę do 20
marca. –

Przepraszcie Hulewicza, sam mu nie odpisałem, ale nie znam adresu. Trzeba
dbać o rozmaitość wzorów i oszpeciłość (poinysłowość), bo od nich
wszystko zależy. Czekam tedy na wzm.

Chciałbym z Wami o „Czartaku” obszerniej pomówić. Zbyt tam wielka zdeli-
kowność i donalność arbitralna we wzmiankach krytycznych. Za mało powagi
w ujęciu cudzej twórczości, za dużo sympatii i anegdoty. Są to właśnie wady
„Skamandra”, warto ich uniknąć. Czy można w dwóch słowach zatłumaczyć się z
twórczością Staffa, a nie obok wychwalać pod niebiosa, zda się Jędrkiewi-
czy¹⁸ (bardzo niedobry) i Grabińskiego¹⁹ (młody bezradny i szlubiasty). Prze-
praszam, nie Grabińskiego, lecz Jerzego Brzina²⁰. Byłoby lepiej drukować
studia o sztuce lub autorach, pomijając autorów niepoważnych, bo podobno
ma się w „Czartaku” zjawiać artykuły [!] o Breiterze²¹? – Wartoż się nad nim
zastanawiać? Obraża to poziom piśm – przez tego za dużo każdy autor dru-
kuje swoich wierszy. Słowem, trzeba o tym pomyśleć.

Wasze obydwie ballady doskonałe, toteż „Skamander”²² na Was się
pieni. Miller ulękł się owej piany. To też źle. Moi Drodzy – czy będziecie
w tym czasie w Warszawie? Wyślę depeszę do Was dzisiaj wraz z listem.
Ściskam Was serdecznie.

Wasz B. Leśmian

Bolesław Leśmian

Pani²³ – chociaż nie znam – rączki mocno całuję. – Hulewiczowi dłoń
uściśnięcie.

[96.8.1]

¹⁸ Edwin Jędrkiewicz, 1889–1971, wiodący znawca psychologii, poeta, prozaik, dramaturg i tłumacz. W
latach 1920–1924 sekretarz i kierownik sekcji Związku Zawodowców Literatów Polskich. Od roku 1928
wykładowca w Zakładzie Polskiej Mowy Szkolnej w Cieszkowie. Po wojnie (w latach 1945–1948)
w Uniwersytecie w Łodzi. W latach 1946–1948 przejął wydawnictwo „Książka” ZLP. Opublikował m.in. tom poetycki *Pięć
wierszy* (1924), zbiory powieści: *Sąsiedzi* (1923), *Nad* (1934), *Głód* (1960), *Strany*
Sauk (1923), *Szwarc* (1930), *Igr* (1948).

¹⁹ Stefan Grabiński, 1887–1936, poeta i tłumacz. Studiował filologię klasyczną i polską na Uniwersytecie
Lwowskim, następnie w latach 1913–1915 na Uniwersytecie w Krakowie. Sława przyniosła mu
zbiór wierszy: *Wiersze* (1913), *Wiersze* (1914), *Wiersze* (1915), *Wiersze* (1916), *Wiersze* (1917), *Wiersze* (1918),
Wiersze (1919), *Wiersze* (1920), *Wiersze* (1921), *Wiersze* (1922), *Wiersze* (1923), *Wiersze* (1924),
Wiersze (1925), *Wiersze* (1926).

²⁰ Jerzy Brzina, 1901–1973, poeta, prozaik, publicysta i krytyk literacki. Został polonistycznym wykładowcą na
Uniwersytecie Jagiellońskim w roku 1923. Popularyzator twórczości J. M. Leśmiana-Wrocławskiego (opublikował
m.in. w zbiorze *Wiersze* – *Wiersze* o Polsce wrocławskiej. O nowym badaniu w literaturze, jej sztuce i
1932, *Zagadka* *Wiersze* o Polsce, 1938, *Wiersze* o Polsce, 1939, *Wiersze* o Polsce, 1940, *Wiersze* o Polsce, 1941, *Wiersze* o Polsce, 1942, *Wiersze* o Polsce, 1943, *Wiersze* o Polsce, 1944, *Wiersze* o Polsce, 1945, *Wiersze* o Polsce, 1946, *Wiersze* o Polsce, 1947, *Wiersze* o Polsce, 1948, *Wiersze* o Polsce, 1949, *Wiersze* o Polsce, 1950, *Wiersze* o Polsce, 1951, *Wiersze* o Polsce, 1952, *Wiersze* o Polsce, 1953, *Wiersze* o Polsce, 1954, *Wiersze* o Polsce, 1955, *Wiersze* o Polsce, 1956, *Wiersze* o Polsce, 1957, *Wiersze* o Polsce, 1958, *Wiersze* o Polsce, 1959, *Wiersze* o Polsce, 1960, *Wiersze* o Polsce, 1961, *Wiersze* o Polsce, 1962, *Wiersze* o Polsce, 1963, *Wiersze* o Polsce, 1964, *Wiersze* o Polsce, 1965, *Wiersze* o Polsce, 1966, *Wiersze* o Polsce, 1967, *Wiersze* o Polsce, 1968, *Wiersze* o Polsce, 1969, *Wiersze* o Polsce, 1970, *Wiersze* o Polsce, 1971, *Wiersze* o Polsce, 1972, *Wiersze* o Polsce, 1973, *Wiersze* o Polsce, 1974, *Wiersze* o Polsce, 1975, *Wiersze* o Polsce, 1976, *Wiersze* o Polsce, 1977, *Wiersze* o Polsce, 1978, *Wiersze* o Polsce, 1979, *Wiersze* o Polsce, 1980, *Wiersze* o Polsce, 1981, *Wiersze* o Polsce, 1982, *Wiersze* o Polsce, 1983, *Wiersze* o Polsce, 1984, *Wiersze* o Polsce, 1985, *Wiersze* o Polsce, 1986, *Wiersze* o Polsce, 1987, *Wiersze* o Polsce, 1988, *Wiersze* o Polsce, 1989, *Wiersze* o Polsce, 1990, *Wiersze* o Polsce, 1991, *Wiersze* o Polsce, 1992, *Wiersze* o Polsce, 1993, *Wiersze* o Polsce, 1994, *Wiersze* o Polsce, 1995, *Wiersze* o Polsce, 1996, *Wiersze* o Polsce, 1997, *Wiersze* o Polsce, 1998, *Wiersze* o Polsce, 1999, *Wiersze* o Polsce, 2000, *Wiersze* o Polsce, 2001, *Wiersze* o Polsce, 2002, *Wiersze* o Polsce, 2003, *Wiersze* o Polsce, 2004, *Wiersze* o Polsce, 2005, *Wiersze* o Polsce, 2006, *Wiersze* o Polsce, 2007, *Wiersze* o Polsce, 2008, *Wiersze* o Polsce, 2009, *Wiersze* o Polsce, 2010, *Wiersze* o Polsce, 2011, *Wiersze* o Polsce, 2012, *Wiersze* o Polsce, 2013, *Wiersze* o Polsce, 2014, *Wiersze* o Polsce, 2015, *Wiersze* o Polsce, 2016, *Wiersze* o Polsce, 2017, *Wiersze* o Polsce, 2018, *Wiersze* o Polsce, 2019, *Wiersze* o Polsce, 2020, *Wiersze* o Polsce, 2021, *Wiersze* o Polsce, 2022, *Wiersze* o Polsce, 2023, *Wiersze* o Polsce, 2024, *Wiersze* o Polsce, 2025, *Wiersze* o Polsce, 2026, *Wiersze* o Polsce, 2027, *Wiersze* o Polsce, 2028, *Wiersze* o Polsce, 2029, *Wiersze* o Polsce, 2030, *Wiersze* o Polsce, 2031, *Wiersze* o Polsce, 2032, *Wiersze* o Polsce, 2033, *Wiersze* o Polsce, 2034, *Wiersze* o Polsce, 2035, *Wiersze* o Polsce, 2036, *Wiersze* o Polsce, 2037, *Wiersze* o Polsce, 2038, *Wiersze* o Polsce, 2039, *Wiersze* o Polsce, 2040, *Wiersze* o Polsce, 2041, *Wiersze* o Polsce, 2042, *Wiersze* o Polsce, 2043, *Wiersze* o Polsce, 2044, *Wiersze* o Polsce, 2045, *Wiersze* o Polsce, 2046, *Wiersze* o Polsce, 2047, *Wiersze* o Polsce, 2048, *Wiersze* o Polsce, 2049, *Wiersze* o Polsce, 2050, *Wiersze* o Polsce, 2051, *Wiersze* o Polsce, 2052, *Wiersze* o Polsce, 2053, *Wiersze* o Polsce, 2054, *Wiersze* o Polsce, 2055, *Wiersze* o Polsce, 2056, *Wiersze* o Polsce, 2057, *Wiersze* o Polsce, 2058, *Wiersze* o Polsce, 2059, *Wiersze* o Polsce, 2060, *Wiersze* o Polsce, 2061, *Wiersze* o Polsce, 2062, *Wiersze* o Polsce, 2063, *Wiersze* o Polsce, 2064, *Wiersze* o Polsce, 2065, *Wiersze* o Polsce, 2066, *Wiersze* o Polsce, 2067, *Wiersze* o Polsce, 2068, *Wiersze* o Polsce, 2069, *Wiersze* o Polsce, 2070, *Wiersze* o Polsce, 2071, *Wiersze* o Polsce, 2072, *Wiersze* o Polsce, 2073, *Wiersze* o Polsce, 2074, *Wiersze* o Polsce, 2075, *Wiersze* o Polsce, 2076, *Wiersze* o Polsce, 2077, *Wiersze* o Polsce, 2078, *Wiersze* o Polsce, 2079, *Wiersze* o Polsce, 2080, *Wiersze* o Polsce, 2081, *Wiersze* o Polsce, 2082, *Wiersze* o Polsce, 2083, *Wiersze* o Polsce, 2084, *Wiersze* o Polsce, 2085, *Wiersze* o Polsce, 2086, *Wiersze* o Polsce, 2087, *Wiersze* o Polsce, 2088, *Wiersze* o Polsce, 2089, *Wiersze* o Polsce, 2090, *Wiersze* o Polsce, 2091, *Wiersze* o Polsce, 2092, *Wiersze* o Polsce, 2093, *Wiersze* o Polsce, 2094, *Wiersze* o Polsce, 2095, *Wiersze* o Polsce, 2096, *Wiersze* o Polsce, 2097, *Wiersze* o Polsce, 2098, *Wiersze* o Polsce, 2099, *Wiersze* o Polsce, 2100, *Wiersze* o Polsce, 2101, *Wiersze* o Polsce, 2102, *Wiersze* o Polsce, 2103, *Wiersze* o Polsce, 2104, *Wiersze* o Polsce, 2105, *Wiersze* o Polsce, 2106, *Wiersze* o Polsce, 2107, *Wiersze* o Polsce, 2108, *Wiersze* o Polsce, 2109, *Wiersze* o Polsce, 2110, *Wiersze* o Polsce, 2111, *Wiersze* o Polsce, 2112, *Wiersze* o Polsce, 2113, *Wiersze* o Polsce, 2114, *Wiersze* o Polsce, 2115, *Wiersze* o Polsce, 2116, *Wiersze* o Polsce, 2117, *Wiersze* o Polsce, 2118, *Wiersze* o Polsce, 2119, *Wiersze* o Polsce, 2120, *Wiersze* o Polsce, 2121, *Wiersze* o Polsce, 2122, *Wiersze* o Polsce, 2123, *Wiersze* o Polsce, 2124, *Wiersze* o Polsce, 2125, *Wiersze* o Polsce, 2126, *Wiersze* o Polsce, 2127, *Wiersze* o Polsce, 2128, *Wiersze* o Polsce, 2129, *Wiersze* o Polsce, 2130, *Wiersze* o Polsce, 2131, *Wiersze* o Polsce, 2132, *Wiersze* o Polsce, 2133, *Wiersze* o Polsce, 2134, *Wiersze* o Polsce, 2135, *Wiersze* o Polsce, 2136, *Wiersze* o Polsce, 2137, *Wiersze* o Polsce, 2138, *Wiersze* o Polsce, 2139, *Wiersze* o Polsce, 2140, *Wiersze* o Polsce, 2141, *Wiersze* o Polsce, 2142, *Wiersze* o Polsce, 2143, *Wiersze* o Polsce, 2144, *Wiersze* o Polsce, 2145, *Wiersze* o Polsce, 2146, *Wiersze* o Polsce, 2147, *Wiersze* o Polsce, 2148, *Wiersze* o Polsce, 2149, *Wiersze* o Polsce, 2150, *Wiersze* o Polsce, 2151, *Wiersze* o Polsce, 2152, *Wiersze* o Polsce, 2153, *Wiersze* o Polsce, 2154, *Wiersze* o Polsce, 2155, *Wiersze* o Polsce, 2156, *Wiersze* o Polsce, 2157, *Wiersze* o Polsce, 2158, *Wiersze* o Polsce, 2159, *Wiersze* o Polsce, 2160, *Wiersze* o Polsce, 2161, *Wiersze* o Polsce, 2162, *Wiersze* o Polsce, 2163, *Wiersze* o Polsce, 2164, *Wiersze* o Polsce, 2165, *Wiersze* o Polsce, 2166, *Wiersze* o Polsce, 2167, *Wiersze* o Polsce, 2168, *Wiersze* o Polsce, 2169, *Wiersze* o Polsce, 2170, *Wiersze* o Polsce, 2171, *Wiersze* o Polsce, 2172, *Wiersze* o Polsce, 2173, *Wiersze* o Polsce, 2174, *Wiersze* o Polsce, 2175, *Wiersze* o Polsce, 2176, *Wiersze* o Polsce, 2177, *Wiersze* o Polsce, 2178, *Wiersze* o Polsce, 2179, *Wiersze* o Polsce, 2180, *Wiersze* o Polsce, 2181, *Wiersze* o Polsce, 2182, *Wiersze* o Polsce, 2183, *Wiersze* o Polsce, 2184, *Wiersze* o Polsce, 2185, *Wiersze* o Polsce, 2186, *Wiersze* o Polsce, 2187, *Wiersze* o Polsce, 2188, *Wiersze* o Polsce, 2189, *Wiersze* o Polsce, 2190, *Wiersze* o Polsce, 2191, *Wiersze* o Polsce, 2192, *Wiersze* o Polsce, 2193, *Wiersze* o Polsce, 2194, *Wiersze* o Polsce, 2195, *Wiersze* o Polsce, 2196, *Wiersze* o Polsce, 2197, *Wiersze* o Polsce, 2198, *Wiersze* o Polsce, 2199, *Wiersze* o Polsce, 2200, *Wiersze* o Polsce, 2201, *Wiersze* o Polsce, 2202, *Wiersze* o Polsce, 2203, *Wiersze* o Polsce, 2204, *Wiersze* o Polsce, 2205, *Wiersze* o Polsce, 2206, *Wiersze* o Polsce, 2207, *Wiersze* o Polsce, 2208, *Wiersze* o Polsce, 2209, *Wiersze* o Polsce, 2210, *Wiersze* o Polsce, 2211, *Wiersze* o Polsce, 2212, *Wiersze* o Polsce, 2213, *Wiersze* o Polsce, 2214, *Wiersze* o Polsce, 2215, *Wiersze* o Polsce, 2216, *Wiersze* o Polsce, 2217, *Wiersze* o Polsce, 2218, *Wiersze* o Polsce, 2219, *Wiersze* o Polsce, 2220, *Wiersze* o Polsce, 2221, *Wiersze* o Polsce, 2222, *Wiersze* o Polsce, 2223, *Wiersze* o Polsce, 2224, *Wiersze* o Polsce, 2225, *Wiersze* o Polsce, 2226, *Wiersze* o Polsce, 2227, *Wiersze* o Polsce, 2228, *Wiersze* o Polsce, 2229, *Wiersze* o Polsce, 2230, *Wiersze* o Polsce, 2231, *Wiersze* o Polsce, 2232, *Wiersze* o Polsce, 2233, *Wiersze* o Polsce, 2234, *Wiersze* o Polsce, 2235, *Wiersze* o Polsce, 2236, *Wiersze* o Polsce, 2237, *Wiersze* o Polsce, 2238, *Wiersze* o Polsce, 2239, *Wiersze* o Polsce, 2240, *Wiersze* o Polsce, 2241, *Wiersze* o Polsce, 2242, *Wiersze* o Polsce, 2243, *Wiersze* o Polsce, 2244, *Wiersze* o Polsce, 2245, *Wiersze* o Polsce, 2246, *Wiersze* o Polsce, 2247, *Wiersze* o Polsce, 2248, *Wiersze* o Polsce, 2249, *Wiersze* o Polsce, 2250, *Wiersze* o Polsce, 2251, *Wiersze* o Polsce, 2252, *Wiersze* o Polsce, 2253, *Wiersze* o Polsce, 2254, *Wiersze* o Polsce, 2255, *Wiersze* o Polsce, 2256, *Wiersze* o Polsce, 2257, *Wiersze* o Polsce, 2258, *Wiersze* o Polsce, 2259, *Wiersze* o Polsce, 2260, *Wiersze* o Polsce, 2261, *Wiersze* o Polsce, 2262, *Wiersze* o Polsce, 2263, *Wiersze* o Polsce, 2264, *Wiersze* o Polsce, 2265, *Wiersze* o Polsce, 2266, *Wiersze* o Polsce, 2267, *Wiersze* o Polsce, 2268, *Wiersze* o Polsce, 2269, *Wiersze* o Polsce, 2270, *Wiersze* o Polsce, 2271, *Wiersze* o Polsce, 2272, *Wiersze* o Polsce, 2273, *Wiersze* o Polsce, 2274, *Wiersze* o Polsce, 2275, *Wiersze* o Polsce, 2276, *Wiersze* o Polsce, 2277, *Wiersze* o Polsce, 2278, *Wiersze* o Polsce, 2279, *Wiersze* o Polsce, 2280, *Wiersze* o Polsce, 2281, *Wiersze* o Polsce, 2282, *Wiersze* o Polsce, 2283, *Wiersze* o Polsce, 2284, *Wiersze* o Polsce, 2285, *Wiersze* o Polsce, 2286, *Wiersze* o Polsce, 2287, *Wiersze* o Polsce, 2288, *Wiersze* o Polsce, 2289, *Wiersze* o Polsce, 2290, *Wiersze* o Polsce, 2291, *Wiersze* o Polsce, 2292, *Wiersze* o Polsce, 2293, *Wiersze* o Polsce, 2294, *Wiersze* o Polsce, 2295, *Wiersze* o Polsce, 2296, *Wiersze* o Polsce, 2297, *Wiersze* o Polsce, 2298, *Wiersze* o Polsce, 2299, *Wiersze* o Polsce, 2300, *Wiersze* o Polsce, 2301, *Wiersze* o Polsce, 2302, *Wiersze* o Polsce, 2303, *Wiersze* o Polsce, 2304, *Wiersze* o Polsce, 2305, *Wiersze* o Polsce, 2306, *Wiersze* o Polsce, 2307, *Wiersze* o Polsce, 2308, *Wiersze* o Polsce, 2309, *Wiersze* o Polsce, 2310, *Wiersze* o Polsce, 2311, *Wiersze* o Polsce, 2312, *Wiersze* o Polsce, 2313, *Wiersze* o Polsce, 2314, *Wiersze* o Polsce, 2315, *Wiersze* o Polsce, 2316, *Wiersze* o Polsce, 2317, *Wiersze* o Polsce, 2318, *Wiersze* o Polsce, 2319, *Wiersze* o Polsce, 2320, *Wiersze* o Polsce, 2321, *Wiersze* o Polsce, 2322, *Wiersze* o Polsce, 2323, *Wiersze* o Polsce, 2324, *Wiersze* o Polsce, 2325, *Wiersze* o Polsce, 2326, *Wiersze* o Polsce, 2327, *Wiersze* o Polsce, 2328, *Wiersze* o Polsce, 2329, *Wiersze* o Polsce, 2330, *Wiersze* o Polsce, 2331, *Wiersze* o Polsce, 2332, *Wiersze* o Polsce, 2333, *Wiersze* o Polsce, 2334, *Wiersze* o Polsce, 2335, *Wiersze* o Polsce, 2336, *Wiersze* o Polsce, 2337, *Wiersze* o Polsce, 2338, *Wiersze* o Polsce, 2339, *Wiersze* o Polsce, 2340, *Wiersze* o Polsce, 2341, *Wiersze* o Polsce, 2342, *Wiersze* o Polsce, 2343, *Wiersze* o Polsce, 2344, *Wiersze* o Polsce, 2345, *Wiersze* o Polsce, 2346, *Wiersze* o Polsce, 2347, *Wiersze* o Polsce, 2348, *Wiersze* o Polsce, 2349, *Wiersze* o Polsce, 2350, *Wiersze* o Polsce, 2351, *Wiersze* o Polsce, 2352, *Wiersze* o Polsce, 2353, *Wiersze* o Polsce, 2354, *Wiersze* o Polsce, 2355, *Wiersze* o Polsce, 2356, *Wiersze* o Polsce, 2357, *Wiersze* o Polsce, 2358, *Wiersze* o Polsce, 2359, *Wiersze* o Polsce, 2360, *Wiersze* o Polsce, 2361, *Wiersze* o Polsce, 2362, *Wiersze* o Polsce, 2363, *Wiersze* o Polsce, 2364, *Wiersze* o Polsce, 2365, *Wiersze* o Polsce, 2366, *Wiersze* o Polsce, 2367, *Wiersze* o Polsce, 2368, *Wiersze* o Polsce, 2369, *Wiersze* o Polsce, 2370, *Wiersze* o Polsce, 2371, *Wiersze* o Polsce, 2372, *Wiersze* o Polsce, 2373, *Wiersze* o Polsce, 2374, *Wiersze* o Polsce, 2375, *Wiersze* o Polsce, 2376, *Wiersze* o Polsce, 2377, *Wiersze* o Polsce, 2378, *Wiersze* o Polsce, 2379, *Wiersze* o Polsce, 2380, *Wiersze* o Polsce, 2381, *Wiersze* o Polsce, 2382, *Wiersze* o Polsce, 2383, *Wiersze* o Polsce, 2384, *Wiersze* o Polsce, 2385, *Wiersze* o Polsce, 2386, *Wiersze* o Polsce, 2387, *Wiersze* o Polsce, 2388, *Wiersze* o Polsce, 2389, *Wiersze* o Polsce, 2390, *Wiersze* o Polsce, 2391, *Wiersze* o Polsce, 2392, *Wiersze* o Polsce, 2393, *Wiersze* o Polsce, 2394, *Wiersze* o Polsce, 2395, *Wiersze* o Polsce, 2396, *Wiersze* o Polsce, 2397, *Wiersze* o Polsce, 2398, *Wiersze* o Polsce, 2399, *Wiersze* o Polsce, 2400, *Wiersze* o Polsce, 2401, *Wiersze* o Polsce, 2402, *Wiersze* o Polsce, 2403, *Wiersze* o Polsce, 2404, *Wiersze* o Polsce, 2405, *Wiersze* o Polsce, 2406, *Wiersze* o Polsce, 2407, *Wiersze* o Polsce, 2408, *Wiersze* o Polsce, 2409, *Wiersze* o Polsce, 2410, *Wiersze* o Polsce, 2411, *Wiersze* o Polsce, 2412, *Wiersze* o Polsce, 2413, *Wiersze* o Polsce, 2414, *Wiersze* o Polsce, 2415, *Wiersze* o Polsce, 2416, *Wiersze* o Polsce, 2417, *Wiersze* o Polsce, 2418, *Wiersze* o Polsce, 2419, *Wiersze* o Polsce, 2420, *Wiersze* o Polsce, 2421, *Wiersze* o Polsce, 2422, *Wiersze* o Polsce, 2423, *Wiersze* o Polsce, 2424, *Wiersze* o Polsce, 2425, *Wiersze* o Polsce, 2426, *Wiersze* o Polsce, 2427, *Wiersze* o Polsce, 2428, *Wiersze* o Polsce, 2429, *Wiersze* o Polsce, 2430, *Wiersze* o Polsce, 2431, *Wiersze* o Polsce, 2432, *Wiersze* o Polsce, 2433, *Wiersze* o Polsce, 2434, *Wiersze* o Polsce, 2435, *Wiersze* o Polsce, 2436, *Wiersze* o Polsce, 2437, *Wiersze* o Polsce, 2438, *Wiersze* o Polsce, 2439, *Wiersze* o Polsce, 2440, *Wiersze* o Polsce, 2441, *Wiersze* o Polsce, 2442, *Wiersze* o Polsce, 2443, *Wiersze* o Polsce, 2444, *Wiersze* o Polsce, 2445, *Wiersze* o Polsce, 2446, *Wiersze* o Polsce, 2447, *Wiersze* o Polsce, 2448, *Wiersze* o Polsce, 2449, *Wiersze* o Polsce, 2450, *Wiersze* o Polsce, 2451, *Wiersze* o Polsce, 2452, *Wiersze* o Polsce, 2453, *Wiersze* o Polsce, 2454, *Wiersze* o Polsce, 2455, *Wiersze* o Polsce, 2456, *Wiersze* o Polsce, 2457, *Wiersze* o Polsce, 2458, *Wiersze* o Polsce, 2459, *Wiersze* o Polsce, 2460, *Wiersze* o Polsce, 2461, *Wiersze* o Polsce, 2462, *Wiersze* o Polsce, 2463, *Wiersze* o Polsce, 2464, *Wiersze* o Polsce, 2465, *Wiersze* o Polsce, 2466, *Wiersze* o Polsce, 2467, *Wiersze* o Polsce, 2468, *Wiersze* o Polsce, 2469, *Wiersze* o Polsce, 2470, *Wiersze* o Polsce, 2471, *Wiersze* o Polsce, 2472, *Wiersze* o Polsce, 2473, *Wiersze* o Polsce, 2474, *Wiersze* o Polsce, 2475, *Wiersze* o Polsce, 2476, *Wiersze* o Polsce, 2477, *Wiersze* o Polsce, 2478, *Wiersze* o Polsce, 2479, *Wiersze* o Polsce, 2480, *Wiersze* o Polsce, 2481, *Wiersze* o Polsce, 2482, *Wiersze* o Polsce, 2483, *Wiersze* o Polsce, 2484, *Wiersze* o Polsce, 2485, *Wiersze* o Polsce, 2486, *Wiersze* o Polsce, 2487, *Wiersze* o Polsce, 2488, *Wiersze* o Polsce, 2489, *Wiersze* o Polsce, 2490, *Wiersze* o Polsce, 2491, *Wiersze* o Polsce, 2492, *Wiersze* o Polsce, 2493, *Wiersze* o Polsce, 2494, *Wiersze* o Polsce, 2495, *Wiersze* o Polsce, 2496, *Wiersze* o Polsce, 2497, *Wiersze* o Polsce, 2498, *Wiersze* o Polsce, 2499, *Wiersze* o Polsce, 2500, *Wiersze* o Polsce, 2501, *Wiersze* o Polsce, 2502, *Wiersze* o Polsce, 2503, *Wiersze* o Polsce, 2504, *Wiersze* o Polsce, 2505, *Wiersze* o Polsce, 2506, *Wiersze* o Polsce, 2507, *Wiersze* o Polsce, 2508, *Wiersze* o Polsce, 2509, *Wiersze* o Polsce, 2510, *Wiersze* o Polsce, 2511, *Wiersze* o Polsce, 2512, *Wiersze* o Polsce, 2513, *Wiersze* o Polsce, 2514, *Wiersze* o Polsce, 2515, *W*

Bolesław Leśmian.
list do Emila Żegadłowicza,
Zamość, 20 marca 1923 roku

Moi Drodzy! Miałem różne przykrości i dlatego dotąd po prostu ani słowa napisać nie mogłem. Z całego serca i z całego ducha dziękuję Wam za przypisanie mi tak cudownego tworu! Uważam „Powsinogi” za niezwykle, miejscami wprost niesmiertelne, na wskroś oryginalne, język upajający, pomysły czarodziejsko piękne. Miriam też zachwycamy. Prosił, żebym w jego imieniu podziękował Wam za cudotwórczo urządzony ogród, pełen smakowitych jabłek. Dumny jestem z Waszego przypisania. Czytałem już „Powsinogi” po kilkakroć. W Hrubieszowie będzie odczyt o Balladzie Polskiej – i o Was. Macie mnóstwo nowych wyczuć i natury i człowieka – no i ten jezor, po Tatrach nazwałęsaną nalezyciel! Tym totem zabiście i zaćmiście wszystkich żyjących poetów. Z Pomarańskim¹⁴ mówiłem o Was, zgodził się dać Wam u siebie posadę, ale musicie nieco poczekać, aż utworzy on tutaj Zakłady Graficzne i więcej floty uzbiera, aby Wam był zapewnić. Zresztą byłoby dobrze, gdybyście tu do mnie przyjechali, tymczasem choćby na tydzień – dwa, aby się w tutejszych wariacjach [!]. A nuż przyjdzie nam do głowy jakiś pomysł – na przykład: pismo dla dzieci. Słowem – przyjeżdżajcie – dajcie znać o dniu przyjazdu. Wyjeżdża się z Warszawy na Zamość (przez Dęblin, Lublin, Zawadę) o godzinie 10 30 – mniej więcej. Wsiadajcie do wagonu bezpośredniego z napisem: Warszawa – Włodzimierz Wołyński, w przeciwnym razie przesiadacie się w Zawadzie. Czekam Was z uprągieniem. Pani mocno rączki ucałujcie. – Przyjeżdżajcie jak najrychlej. Żona moja¹⁵ i Panią i Was pozdrawia serdecznie.

Wasz B. Leśmian
Bolesław Leśmian

[adres odbiorcy] województwo krakowskie,
poczta Wadowice, Gorzeń Górny Dwór,
Wielmożny Pan Emil Żegadłowicz
[stempel pocztowy] ZAMOŚĆ 21 III 23
[96.8.2]

Bolesław Leśmian, telegram do Emila Żegadłowicza, Zakopane, 22 sierpnia 1922 roku

Zakopane, 22.08.1922

Mieszkam Zakopane ulica Sienkiewicza willa Lutba¹⁶ przyjeżdżajcie natychmiast wprost do mnie

Leśmian

Dwór Żegadłowicz, Gorzeń Górny, Wadowice
Zakopane dn. 22.08.1922, g. 12.00
Przyjęto dn. 22.08.1922, godz. 13.13
[96.8.3]

oprac. Mirosław Wójcik

¹⁴ Wyjątkiem w tym względzie byłyby wyjątkowo przypuszczalnie jego bliźniacy, sprowadzeni do Zakopana, pełniący w założeniu rolę katalizatorów, w szczególności brat Leśmiana, czerwiec, „wieloletni przyjaciel” Leśmiana, tj. z tego wiersza pt. „Jadwiga” („Tyła?”) „Praktycznie nie ma i widać w piśmie twoim, jak dwa publicyści, / Aż jednak niekiedy, aż jednak niekiedy, / Niekiedy, przynajmniej, na chwilę słowa twojego, / co wystarczyło to byłoby zabawnie, / gdyby nie było takie miśnięcie” – „Skamander”, 1923, zeszyt XV, s. 126.

¹⁵ Mowa o Marii z Kurońskich Żegadłowiczowej, żonie poety.

¹⁶ Zygmunt Fontanański – założyciel utrzymujący od roku 1917 Księgarnię Polską w Zakopanem, a następnie wydawnictwa działające do roku 1936. Nie są znane szczegóły planowanego współpracy Żegadłowicza z Fontanańskim.

¹⁷ Mowa o Zofii Chybińskiej, siostrze Leśmiana poślubił w 1904 roku.

¹⁸ Tak w telegramie; faktycznie: Lutba.

JACEK GUZ

Pod sądem wojewódzkim

Pod wojewódzkim sądem było dość przestronnie, wystarczająco i nie za bardzo; w każdym razie wzrok się nie męczył, zresztą i tak był daleko. Zgrabne klomby, grzeczne dzieci, które spojrzenie było w stanie rozszarpać na setki odcięci.

Ławki w kolorze nadziei nie łamały się pod zwalem naszych domysłów, dociekań, pod pychą dumnej puski, wyniosłej samotności. Warzyliśmy piwo na szalkach krtani, niemal na oczach strażników, uniewinnionych i skazanych. Warzyliśmy w gardłach tę gorzką niczym winę za naszą obecność i osobność, śmiałość i przyszłość. Drzewa jodłowały przy podmuchu zeschłymi od spalin i oddechów liśćmi jak platynowymi myślami. Sądził nas zasób kieszeni, więc sąd był krótki, pobieżny i łagodnie próżny. Wyrok brzmiał: bezsensowność, kamienie, schody, schody pod górę i kamienie glucho, niebo blisko, niebo odległe jak jutro. Orzekł ogólny brak.

Serca nie osądzały niczego, gotowe na wszystko, jak gotowa była krew, żeby trysnąć na każdą sprawę tak wielką i bolesną, że aż nieprawdziwą. To nie było prawdziwe: sączenie alkoholu, opowieści, piosenki miłości, wobec prawd sunących na nas szorstkim szkieletem zewsząd. Nacięcia były cienkie, megłębokie, nigdy nie miały być śmiertelne. Śmierć była w nas, słodka, wieczna, niby dopełnienie tego, co może się spełnić. Choć ktoś tam coś polknął, ktoś wyskoczył, ktoś, po kim nikt się tego nie spodziewał. Więc te jazdy bez celu, bez planu, rezonans gitary w wagonach, autach, w parkach i przygodnych domach, uczucia lokowane bez oprocentowania nagle w bliskich, przypadkowych, niewłaściwych ciałach.

Pod sądem wojewódzkim, sądem krajowym, wszędzie, gdzie człowiek tam sądził, pod trybunałem europejskim, międzyludzkim, międzynarodowym siedze na kawałku nadpróchniałego drewna, palę. Wokół siebie farby szacownych i innych instytucji, cisza jak przed sądem ostatecznym. Tylko co tu sądzić? Chyba tylko drzewa za brak choćby suchych liści, siebie za brak najprostszej wiary i strach przed śmiercią, która straciła słodycz wierności i jest nagle ostrzem na gardle niespełnionego.

13.12.2002 r.

Rynkowy pasjans

Tędy taksówkami wożą tylki panny młode
na zatracenie wczesne macierzyństwo. Na picchotę

wiersze tędy przechodzą trochę przystając trochę chowając się na
potem.

Psy się kręcą nogi obwąchują najslabszego spośród swoich chowają
pod plotem

Zagajam do niego gdy go czasem tu spotkam – pana redaktora
zbywa szybkim pozdrowieniem rubryka w gazecie go wola

Nie wszyscy się spieszą czas życia tędy skracając
Najmniej gołębie dlatego widzą że wszyscy są nago

I jeszcze kopuła która tak mami panny młode
gapi się godzinami na przemijanie choć nieruchomą ma głowę

Tędy słońce zmierzchając zagina na księżyc parol
Popijających milczaco i gadających zamyka atol

parasoli latem Jesienią ścieżki wiatru tędy prowadzą
W kołnierze się wtulają pragnienia żeby nie zamrznąć

Gdy tędy przechodziłem nieraz zatykało mi usta błotem
nieszczęście jakiego Brałem taksówkę a słowo złotem

milknęło i pozdrawiając dorożkę dalej szło na picchotę
obsypując złotym pyłem nagich a tam pod plotem

złoty kopiec usypało i jeszcze go zostało na drogę na potem
Tu taksówki przywożą stąd odwożą panny młode

Tylko nieliczne zamiast żoną stają się białym wierszem
Z dumą unosząc głowę szepczą gwiazdom byliśmy pierwsze

8.12.2002 r.

Zegar zamilkł

Zegar milczy – kukułkę ugotowaliśmy na obiad.

Nie przyszedł gość niespodziewany, a tak oczekiwany
przez kurz na krześle. I ona nie nadeszła, skradziona

przez pamięć. Nikt nie przyszedł i zegar umilkł
znużony wybijaniem mlecznych zębów oczekiwaniu.

Antologia naszych oddechów poszła na przemiał wiatru.

To zakrawa na absurd. Jednak nie kładę się spać.

Kładę łaskę, że nikt nie przyszedł i na liczbę

mnogą gotowanej kukulki, na liczbę mnoga do kwadratu
surowej samotności. Biedny ptaszek, mógł jeszcze jeden

wieczór wykukać podobny do tego. I tego, jaki jest

u ciebie, za ścianą. I u ciebie, i u ciebie też.

Jaki nastąpi i jaki będzie zapomniany. Potrzebne
są zmiany. Nowy zegar, który stanie ci w spodniach
w najmniej odpowiednim momencie. Tyle rzeczy poznałeś
nie wtedy, kiedy potrzeba. W gardle mi stanęła
kostka ze skrzydełka. Biedny ptaszek, potem skrzydełko,
na końcu gardło. Zegar sieknął jedną minutę, pchnięty
epilepsją mechanizmu. I znów zamilkł. Kładę łaskę na zegar,
nie wycieram kurzu, wypływam nieśmiałą chrząstką.
Lecz nie idę spać. Idą ci, co wstają. Nie kładę się
i nie wstaję. Czuwam. Ślają przed oczami obrazy.
I nie chcą iść dalej.

15.12.2002 r.

Trzynastego w piątek

Trzynastego w piątek prawie pod ziemią
coś z oczekiwania na zamieć mają twarze
poszarpane półcieniami pastele miały tu
sporo roboty podziemne rzeczy są najlepsze
najsmaczniejsze podziemne przesywają
nas dreszcze kominem zamiast grzać
wolałby być wierszem i niech mu będzie
bezpieczniej bo mróz wyciąga po nas ręce

wieczór się zagapił wylazł na dwór
nim się porządnie ogrzał zgrabiłym rogalem
gwiazdy na szachownicy przeznaczenia ustawia
i strąca wygra ta która spadnie ostatnia
ale gdy spadnie skąd będzie wiedziała
że była ostatnia ciągle się wydaje
że wszystkie rzeczy nazwane po imieniu
lecz imion jak pcheł i nieszczęść jest
nieskończenie wiele

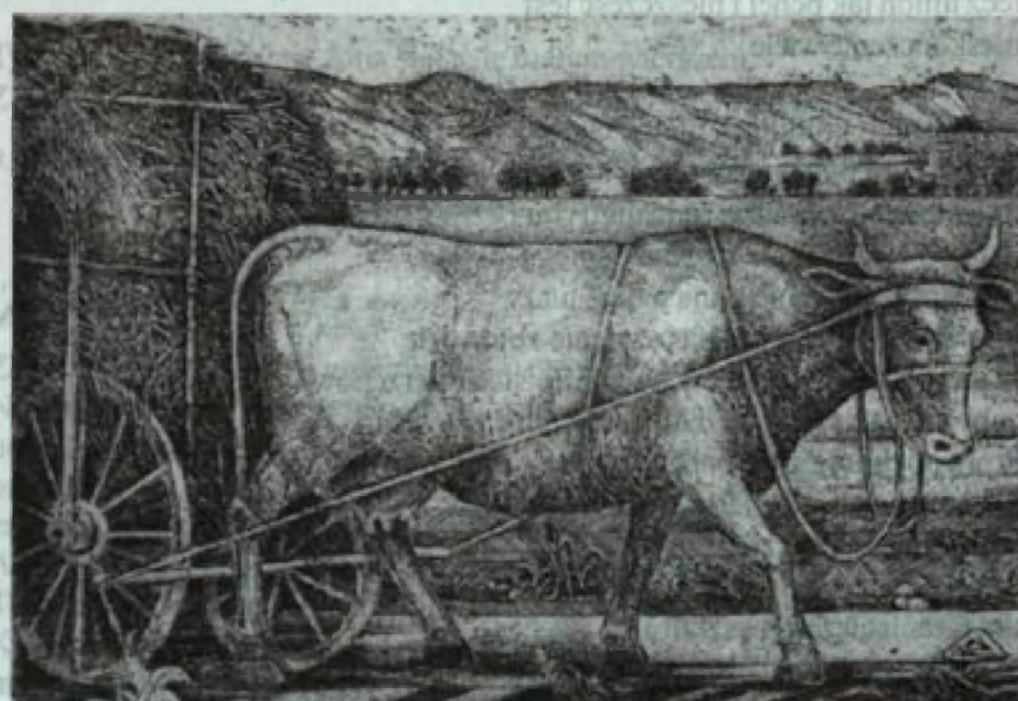
Trzynastego grudnia w piątek ciemny jak
wnęka fortepianu roku tego i każdego innego
imiesłowu przypadku rodzaju trybu i czasu
tuż pod ziemią hiale klawisze śniegu
apelu poległych nie grają ogień huczy
improvizując murem nasze cienie zbyt wiele
w nas poległo poranków dopełniło się zmierzchów
żeby się zatrzymać grzebać żywcem ciszę
która obejmuje słowa jak najczulsza matka
próbując nakarmić pierśią a sufit zatrzymać
lecz mury są dla rąk oczu uszu dla kości
a piątek trzynasty to pechowa data
dla tyranii ciężaru i kształtu

11.12.2002 r.

Odebrnąć się z matowiejącej materii
co jest tylko z nazwy czymś realnym
Wydrzeć się z szarego metalu zdarzeń
co na statui wiecznego czasu
drapuje niuanse pozorne zmarszczki nicości
Wypruć się wreszcie z osnowy błędnego pejzażu
nitka po nitce bez konsekwencji bez śladu
I nawet z siebie czasem się wysnuć niepostrzeżenie
Ponad ciężar poza bezsenne sumienie
Chciałbym i muszę stojąc po stronie
ruchu miłości słowa i życia
choć w ich drgających źrenicach się odbija
druga strona – bezład śmiertelny i śmiertelna cisza
Już bezosobowe twarze zza grymasu zza każdego rogu
ze wszystkich skrzyżowań rynsztoków placów i salonów
nacierają i choć nikt nie przeniknąć mogą snu miasto
I tak przecież oblegane za dnia aż nadto
Nadto ze wszystkich stron i każdej z osobna
przez spernę modlitwę chleb i telewizję
I myśli śliskie wsiąkają w jego mury
których nikt nie odrobaczył spiesząc się
do kroków dudniących we śnie i przez sen
stygających poza widmowym miastem

5.12.2002 r.

Jacek Guz



Ryszard Strykowski: Krowa, 1985, akwaforta (13 x 18 cm)

przekroje

Poeci, poeci...

ELŻBIETA CICHŁA-CZARNAWSKA

MIASTO LUBLIN W POEZJI ZATRZYMANE

Ukazała się długo oczekiwana antologia pt. *Pięć wieków poezji o Lublinie*, plan mrowczej pracy Waldemara Michalskiego – autora wstępu, noty edytorskiej i wyboru wierszy o mieście nad Bystrzycą.

Bywa, że antologie przyjmuje się z mieszanyimi uczuciami. Doceniamy szlachetne intencje autorów, a także niewątpliwe walory tego rodzaju publikacji, ich czytelnik czuje się szybko znudzony na skutek powtarzalności tematu. Dotyczy to głównie poezji, w których „hasło wywoławcze” jest stosunkowo wąskie (np. miłość, wojna–pokój, dziecko, matka, antologie „topograficzne” lub „holdownicze” – poświęcone jednej osobie itp.), odbiorca może więc odnieść wrażenie monotonii. Ale ten, kto z pewnym niepokojem sięgnie po *Pięć wieków poezji o Lublinie*, dozna miłego rozczarowania, bowiem autorowi opracowania udało się w inteligentny sposób zaplanować nad materiałem. W efekcie weszło do tomu ok. 300 utworów stu siedemnastu poetów, a żeby nikomu nie stała się krzywda, Waldemar Michalski w notce edytorskiej skrupulatnie podaje nazwiska pisarzy, których wiersze nie znalazły miejsca w wyborze, ale które uwzględniano w pracach redakcyjnych.

Autor (czy redaktor, bo przecież współautorami są wszyscy pomieszczeni tu poeci) *Pięciu wieków poezji o Lublinie* przyjął, i słusznie, układ chronologiczny, co pozwala prześledzić tendencje polskiej poezji w ciągu kilku stuleci na przykładzie jednego w zasadzie tematu – motywu Lublina. Ten nadrzędny motyw rozgałęzia się oczywiście na wiele innych obocznych, jak pejzaż, architektura, bogata historia i współczesność miasta, ludzie z nim związani itp. Bo właśnie malownicze położenie grodu nad Bystrzycą, jego tropiczone niekiedy dzieje, pograniczny charakter i związane z tym perypetie, ale też zadania nałożone przez los na mieszkańców, wszystko to sprzyjało wejściu miasta w nie tylko do podręczników historii, lecz i do literatury pięknej, zarówno prozy, jak poezji. Pobudzało wyobraźnię, podbijało problematykę, pomagając przedstawiać ważniejsze fakty (czasem nawet w „krzywym zwierciadle”), wydobywało z poetów uczucia głębokiej miłości i przywiązania, także tęsknoty, jeżeli wspominali „miasto na wzgórzach” ci, którzy musieli go zawsze je opuścić, przede wszystkim emigranci, jak Józef Łobodowski czy Wacław Iwaniuk. Nawet młode pokolenie, które niezbyt chętnie wyraża stany emocjonalne i nie poddaje się swoistej „presi” historii czy tradycji, nawet ono uważa Lublin za swoje gniazdo, swój dom. Pokolenie to, utonionowane krytycznie do rzeczywistości, stara się jednak wydobyć elementy pozytywne, choćby powzięnie (*Niech w kwietniu zieleni zamknie wieko trumny. I Pochowajmy brzydotę rodzinnego miasta* – pisał najładniejsza poetka antologii, Maria Orzesińska).

Na ogół w poezji o Lublinie (także o Lubelszczyźnie, gdyż byłoby niemożliwe ograniczyć się przy doborze tekstów wyłącznie do „serca” regionu) dominuje ciepła, nierzadko wręcz sentymentalna nuta. Pisząc o mieście wyrażają poeci i szczególnie starszych

pokoleń) doznania patriotyczne utrzymane w tonie podniosłym, dumę, zachwyt, za-
troskanie, którego formą jest i satyra. Tej ostatniej nie szczędził Lublinowi pisarz
dawni. Przypomnijmy choćby Daniela Bratkowskiego, Ignacego Krasickiego czy
Wincentego Kamieńskiego, który wyznał: „...przypadki opiewam, i wielkie i małe, jakie
się trafiły. I dobrze. Humor i satyra jest przecież zeczym żyjącym, stanowi też
odrobinę ostrej przyprawy, bez której mowa wiszyna staje się czasem mową drętą”.
Dla omawianej antologii wprowadzenie utworów lub ich fragmentów zawierających
pierwiastek humoru jest bardzo ważne: ożywiają książkę, rozładowują patetyczny lub
liryczny nastrój. Dotyczy to również wierszy poetów współczesnych, w pełni twórczego
rozwoju, którzy używają śmielszych sposobów obrażowania niż ich dawni i nie tak
dawni poprzednicy i nie unikają poetyckiego żartu. U Józefa Czechowicza, w znanym
pięknym liryku *Lublin z dala – Na wieży fargotał blazany kogucik, / na drugiej – zegar
mucil. Ale już* Wacław Oszajca w *Notatniku lubelskim* (fragment pt. *burza*) ów tylekroć
przez poetów powtarzany motyw potraktował jako rekwiżyt, który dowcipnie wyśmiał
(a może przewrotnie podsygnalizował) nastrój grozy wiążący się z wojenną czy przypadkową
pożogą (świetne dyskretne wykorzystanie ludowego określenia „czerwony kur”).
Przeczytajmy cały utwór:

...kogucik
z trynitarskiej wieży
połyka błyskawice
jak makaron
czy on przypadkiem
czegoś nie wie
o tym czerwonym
ptaku
który ukradł fargę
i kilka razy próbował
porwać
całe miasto

Chronologiczny układ antologii pozwala więc zaprezentować różnorodność i ewolucję
poetyki; zmiany stylu, wersyfikacji, poetyckiej rekwizytornii (jej pierwowzory w na-
turalny sposób kreuje przecież rzeczywistość). Ale tego rodzaju publikacja jest także
niezmiernie cenna w czasie hołdem poetów składanym zasłużonemu rodowi i wybitnym
postaciom (w przypadku omawianej książki są nimi np. Firlejowie, Zamoyscy, Stefan
Czarniecki, ks. Piotr Ściepienny i inni; z kolei poeci jak Jan Kochanowski, Sebastian
Fabian Klonowic, Cyprian Kamil Norwid, Józef Czechowicz czy Franciszka
Amsztajgwa stawiali się „przedmiotami” wierszy swoich następców). Jest lekcją historii
nie tylko miasta, lecz Polski. Swoistą kroniką wydarzeń od szesnastego stulecia po
współczesność. Wydarzeń krwawych i tragicznych, klęsk i zwycięstw, swarów i
pogódzeń. Zapisem kontaktów z sąsiadami, uwikłań w wielkie wojny i działania, z
którymi tyle ważnych nadziei, także często daremnych. Dla porządku warto odnotować,
że rozdział pierwszy antologii obejmuje utwory z XVI, XVII i XVIII wieku (Jan
Kochanowski, Sebastian Fabian Klonowic, Jan Potękowski, Daniel Bratkowski, Ignacy
Krasicki), rozdział drugi – poezję „lata niewoli i konspirej”, czyli wiek XIX (Wincenty
Kamieński, Kajetan Kozłowski, Edmund Zmutor, Maria Konopnicka, Ewelina Braniec,
Paweł Kościński, Władysław Barwicki). Nazwisko przywołujemy celowo, aby
pokręślić, że w antologii znaleźli się także poeci nieznani lub zapomniani i że wymagało
to niewątpliwie pracowniczego poszukiwania źródeł tekstów.

Najobficie prezentowani są poeci wieku XX. Rozdział trzeci zatytułowany *Od
nadziei do walności – wiek XX*, rozdział czwarty zawiera *Wiersze z przełomu wieków*.
Data urodzenia autorów stanowi w tym przypadku szczególnie ważne kryterium doboru
utworów, czemu jest rok 1939. Podział wydaje się być nieco układowy, gdyż np. niewielu
spośród urodzonych po pierwszej wojnie światowej zdążyło ogłosić swoje wiersze
przed drugą wojną, a tu dostarczała na ogół podobnych tematów i przeżyć – rękę łoni
przesunęła więc tylko ten zakres doznań na czasy późniejsze, poszerzyła i połączyła
doświadczenia wywołane z obu wojen (cierpienia ludzkości cywilnej i żołnierzy, praca
konspiracyjna). Pojawiły się jednak całkowicie nowe problemy i zjawiska (masowy terror
i ludobójstwo, późniejsza skomplikowana polska rzeczywistość, gwałtowne uchyły polityczne,
ale też odwołania do życia szarego obywatela; wreszcie pełne napięcie wydarzeń
początku lat osiemdziesiątych. Do tych ostatnich nawiązują niektórzy autorzy, np.
Stanisław Żurek czy Piotr Szewc, który w wierszu *Lublin 1982* pisze: *W Lublinie w*

*środek miasta jak i w innych miastach / Unoszą się wbiła ognia gazy dymu. Wszystkie
te fakty wchodzące do poezji zaświadczyły o jej odrębności od dokonani wcześniejszych
i zdecydowały o przyjęciu roku 1939 jako „granicy”. Podział podyktowany był też
zapewne względami formalnymi: koniecznością uporządkowania się z bogatym materiałem.*

Dzięki chronologicznemu układowi tekstów książka jest klarowna, ułatwia orientację
w łączności nazwisk poetów z epoką, co nie zawsze bywa proste dla zwykłego czytelnika.
Ogromna jest także zasługa Waldemara Michalskiego jako autora interesującego wstępu
z tytułowanego *Lublin w poezji – poezja w Lublinie* oraz *Noty edytorskiej*, w których
komentując, ale w przystępny sposób poszerza wiedzę odbiorcy o wielu ważnych
zagadnieniach. I co istotne: teksty napisane są żywo, emocjonalnie, przejrzystą, piękną
polszczyzną. A to dziś nieczęsto się zdarza. Wielce przydatny jest też alfabetyczny
spis autorów. Wzbogacił antologię ilustracje Artura Popka, który wprowadził do swych
rysunków piórotem motywy lubelskie zaczerpnięte z dawnych malowideł kościelnych
i starych litografii, oraz utrzymany w takim samym stylu jego projekt okładki (charak-
terystyczny dla serii *Biblioteka Pisarzy Lubelszczyzny*).

Nie miejsce tu na omawianie waleń czy niedociągnięć poszczególnych wierszy.
Jak w każdej antologii i w tej znajdziemy utwory wybitne, większość ma wysoki
poziom, nie ma takich, które nie spełniłyby kryteriów drukowalności. Można tylko
podkreślić różnorodność problematyki i środków wyrazu (co odnosi się także do
poezji najmłodszej), różnorodność nastrojów i „technik” (jak choćby „malurskie”, pełne
tajemniczości fragmenty prozy poetyckiej Zbigniewa Strzałkowskiego – jedynej tego
rodzaju formy w antologii). Najważniejsze zaś jest ciepło i szczerość dla miasta, jaką
wyrazili i wyrażają ludzie pióra. Ci, dla których Lublin to kołębka i ci, którzy, jak np.
autor omawianej antologii, zamieszkali w nim z wykwem. A zdarzały się też utrwalone
w poezji zauroczenia „przesłoniów”.

W książce znalazły się również utwory obcojęzycznych autorów: Christiana Höckela (Niem-
cy), Istvána Kovácsa (Węgry), poety ukraińskiego Mykoły Jakimeczki i pisarki z
Izraela tworzącej tylko po polsku – Haliny Birenbaum. Warto nadmienić, że wątki
lubelskie pojawiają się też w utworach innych zagranicznych autorów współczesnych
w jakimś sposób związanych z naszym miastem. Przykładem są wydane niedawno w
Lublinie, więc nie ujęte w antologię, debiutanckie tomiki wierszy i opowiadań Corneli
Meseke (wiersze ukazały się pod ps. Neya Blazkova), Niemki zamieszkałej przez
wiele lat w Stanach Zjednoczonych.

W dobie nowożytnych nomadów przemieszczających się łatwo i szybko nie tylko
po własnych krajach, ale i po świecie, wędrowców „połykających kontynenty” bez
specjalnego, wydawać by się mogło, wrażenia, w czasach, gdy zakorzenienie uważa się
raczej za niedołęstwo niż powód do dumy, książka wyrażająca ponurzone uczucia
przywiązania do jednego, obłaskawionego i łaskiwego (choć nie zawsze), miejsca na
Ziemi jest czymś wzruszającym i krzepiącym. Za podjęcie się trudnego zadania i
wykonanie go z doskonałym skutkiem należą się Waldemarowi Michalskiemu słowa
wdzięczności od nas, czytelników i mieszkańców „Koziego Grodu”, ale także od tych,
którym antologia pozwoli zaprzyjaźnić się z Lublinem.

Pięć wierszy poezji o Lublinie. Antologia. Wybór, wybór i opracowanie Waldemar Michalski. Ilustracje Artur Popka. Wyd. Związek Literatów Polskich, Oddział w Lublinie. Lublin 2002, ss. 172.

WIESŁAWA TURZAŃSKA

GŁOS Z LITERACKIEGO CZYŚĆCA

W świadomości czytelniczej, szczególnie młodszego pokolenia, twórczość Tadeusza
Słowiaka jest nieobecna, choć jej wartość już wiele lat temu potwierdzili krytycy tej
rangi, jak Artur Sandauer czy Jan Pieszcuchowicz. Nawet dość nieprzychylny Jan
Marx pisał – we *wszędziej równowadze znajdują się u poety trzy żywioły: intelekt,
wyobraźnia i uczucie*. Los zdradził sobie z tego niegdyś cenionego twórcy, skazując go
na „literacki czyściec”. Doczekanie przyczyn owego zjawiska nie mieści się w ramach
niniejszych uwag, być może uwią one w niezangażowaniu politycznym Słowiaka w
latach osiemdziesiątych. Być może jego liryki nie przynależą do kręgu zainteresowań,

tak popularnej obecności, krytyki kerygmaticznej. Może zdecydowały jeszcze inne możliwości sterujące życiem literackim, z korekturą i malowalnością włącznie.

„Akcent” przywoływał do istnienia twórcę *Poematu o miejskiej rzeźni* drukując dwukrotnie (nr 1/1996, nr 4/2000) wspomniany tekst przyjaciela, Stanisława Watrowskiego – *Udział w życiu po własnych popiołach stąpamy do nieba*, oraz szkic Rafała Watrowskiego – *Poezja Józefa Śliwaka w oczach krytyki literackiej* (nr 3/2001). Autor zaprezentował w nim syntetyzujące ujęcie dotychczasowych wypowiedzi krytycznoliterackich, wzbogacając je o własne interpretacje, a także poinformował o przygotowywanym do publikacji przez poznańskie wydawnictwo Żyć i S-ka tomiku wierszy Śliwaka. Owa wypowiedź posiada kontekst osobisty, gdyż to właśnie Watrowski opatrzył książkę tytułem *Nie dokończony rękopis*, zaczerpniętym z kończącego zbiór liryku, dokonawszy doboru tekstów, który poprzedził obszernym wstępem. Badacz potrzebny w nim nie prywatnie, napomykając o przyjacieli łączącej poetę z jego ojcem Zdzisławem Wytrubą, pomiędzy którego poświęcony został *Nasz dom ostatni*.

Nie dokończony rękopis jest książką pożądaną, tym bardziej że ostatni wybór wierszy *Kuś maści muzycznej*, poprzedzony studium Konstantego Pieńkosza, ukazał się w roku 1986. A choć od śmierci poety minęło już parę lat, nie pojawiło się do tej pory krytycznoliterackie kompendium. Paweł Watrowski próbuje zapłacić tę lukę poprzez słowo wstępne, rozdzielone na część biograficzną i analityczną. W pierwszej czytelnik odnajduje informacje nie tylko o dramatycznych fragmentach życia Śliwaka, którego dzieciństwo było determinowane przez obrazy zabijanych w rzeźni zwierząt, a w czasie wojny – Żydów, lecz także wiele mało znanych szczegółów z krakowskiego życia kulturalnego. Przypomniany został słynny Dom Literatów przy ulicy Krupniczej, związany przecież z takimi postaciami jak Poświętowska, Szymborska, Miłosz, Nowak i innymi imię lub bardziej znanymi dziś ludźmi. Ze względu na objętość temat jest raczej zasygnalizowany niż wyczerpany, jednakże autor oferuje odbiorcy możliwość zapoznania się z dziełami twórczej aktywności Śliwaka, dorobkiem translatorskim, teatralnym, pisarstwem dla dzieci, prawniczką. Ze szczególną wrażliwością napomka o ostatnich latach krakowskiego poety, dręczonego chorobą Alzheimera aż do absurdu śmierci pod kołami tramwaju.

Podatki o tekstach twórcy *Songu o młodości* na sprzeczne interpretacje, sugeruje, iż można odnaleźć w nich ślady różnych filozoficznych koncepcji i różnych sposobów widzenia świata, które są ze sobą konsekwentnie połączone, nie mające charakteru systemowego. Ważniejsze jest wskazanie centralnych punktów światopoglądu poety. Watrowski nie proponuje rozstrzygnięć definitywnych, nie rekonstruuje też filozoficznych zapatrywań poety ani nie unicestwia jego egzystencjalnych rozważań na te zjawiska dziejące się we współczesnej myśli. Wskazuje natomiast na ewoluację głównych motywów, przewijających się w omawianej liryce przez czterdzieści lat. Wydaje się, iż świat Śliwaka dany jest czytelnikowi poprzez rozważania o śmierci, cierpieniu, okrucieństwie. Badacz posiłkuje się tu najważniejszymi terminami interpretacyjnymi towarzyszącymi temu pisarstwu. Przyjmując, że poszukiwania „wczesnego” Śliwaka występują z perspektywy osobistego doświadczenia, zaś wiersz traktowany jest jako ogniwo łączące twórcę z rzeczywistością, to postrzeganie świata wiąże się z odczuwaniem bólu, co potwierdza tom *Cu dzień umiera jeden bóg* (1959). Zdaniem krytyki trinnu dzieciństwa przeżywanego zostaje po opublikowaniu *Poematu o miejskiej rzeźni* (1965). *Bez ostrej granicy następuje okres rozszerzenia kręgu inspiracji poetyckich, podsumowany w zbiorze „Tronący gołębnik”* (1978). *Lata osiemdziesiąte to czas „wyciszenia”, skierowania do wewnątrz i pogłębienia refleksji moralnej* (s. 15).

Watrowski wychwytywa w tym okresie nowe kręgi tematyczne, takie jak macierzyństwo, duma, nadzieja, erotyka, *zauważając, iż to ostatnia, związana z motywem ognia, bywała zwykle pomijana w opracowaniach krytycznoliterackich*. Podążając tropem wyznaczonym niegdyś przez Artura Sandakera, autor wstępu przypomina utwory egzemplifikujące „wyobraźnię przedmiotową”, którą uczyniła ze Śliwaka „poetę tragicznego ludu”. *Nóś, Bury, Sumienie, Lęk o coś czy Nasz dom ostatni* ewokują ową dramatyczną teleologię i wpisują ich twórcę w nurt inspiracji antycznej koncepcji ludzkiego losu. Tak jak w tragediach greckich człowiek rozpoznaje ową kondycję poprzez cierpienie i okrucieństwo, tak świadomość przetrwania wywołuje w nas pokorę wobec moralnej natury, z jednakią spokojem przyjmującej dawać i odbierać życie (*Lekcja zoologii*).

Nie dokończony rękopis obejmuje trzysta wierszy w porządku chronologicznym do 1986 roku. Nieco odmiennie ujęte są liryki powstałe później. Watrowski wyznaje, iż

skierował się tu zdaniem Śliwaka: *Każdy tom poezji to jakby dziennik pokładowy mojej podróży, którą odbywam bez względu na to, czy rzeczywistość wiąże się ona ze zmianą miejsca, czy tylko jest przemieszczeniem w czasie* (s. 14). Wyrażenie rysujące się kompozycja książki pozwala skupić uwagę na lirykach z przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, które praktycznie nie doczekały się poważniejszych omówień. *Śliwacki wyraża światłoczułość, Dotyk, Kołczuga oraz wiersze rozpraszane zmieszane nie tylko ze zmianą poetyki, uwidaczniając się w oszczędności środków poetyckich*. Znana z poezji Szymborskiej, Herbertha czy Różewicza awangardowa „wydliwność uciec” stanowi tu próbę dotknięcia spraw trudno wyrażalnych – własnego odchodzenia w sferę niepamięci i snu. Utworzył bliski Śliwacki zaledwie kilka wierszy, kilka z nich znalazło się w poznańskim tomie: *Koszula, Ojciec przyjaciela, Okno, Nasz dom ostatni, Daleko od Montmartre’u*. Świadomość własnej ulotności wielokrotnie pojawia się też w lirykach wcześniejszych, zmieszanych w zbiorze, jak np. *Mój bóg jest moim wiernym psem, Dom starego poety, Teatr wieczny*. Ostatnie utwory to przede wszystkim intymny zapis zmagania się z własnym kresem. Dominująca tonacja rezygnacji nie świadczy jednak o odnalezieniu harmonii: *„Stare domy nigdy nie ruszyły nogą za próg stoją tu do dnia wymieszane i wieje już nie wierz (Stare domy)*. Spokojowi towarzyszy poczucie pustki, tym bardziej dojmujące, im bardziej odsłania się obraz świata rozdartego na „prozę życia” i „poezję ducha”. W kończącym zbiór *Nie dokończonym rękopisie* znajduje się dramatyczne wyznaczenie:

I tak już pozostanie
wiersz
I cały świat
ale już nie należący do nich

Mroczne epitanie porażają autentyzmem. Obecny w nich z niezwykłym uwrażliwieniem na słowo, które dotyczy tu spraw trudno wyrażalnych. Wielokrotnie pisano o odmowie życia w jego poezji, przyznając zarazem, iż zawiera się w niej doświadczenie śmierci, które traktował z metafizycznym sceptycyzmem. Zarazem trudno nie odnieść wrażenia, iż bohaterem lirycznym Śliwaka nigdy nie był ktoś, kto już osiągnął egzystencjalną pełnię, lecz ktoś, kto wciąż nieustannie poszukujący, zawsze niegotowy, zawsze w drodze. Zasadniczym i stałym horyzontem jego bytowania jest w poezji śmierć. Poznawszy tom otwierający się *Słowem dla matki* – lirykiem z debiutanckiego zbioru *Drugi i ulice* – przypominającym melodykę wiersze Górczyńskiego, a kończący przejmującą konstatacją własnego kresu, to książka szczególna. Nie ludzi łatwym optymizmem, za to obecny z drnutem ludzkiego losu, poparty autorskim doświadczeniem.

Czy *Nie dokończony rękopis* przełamie stan milczenia wokół poety? Czy stanie się początkiem jego pełniejszej obecności? Na to pytanie nie można dać jednoznacznej odpowiedzi. Walorem książki jest trwały i reprezentatywny dobór tekstów, reprezentujących kwintesencję nurtu tematycznego i etapy rozwoju liryki. Oddając sprawiedliwość potrzebnej publikacji należy jednak zwrócić uwagę na jej mankamenty. Przydałby się alfabetyczny indeks utworów i pełniejsza bibliografia opracowań twórczości poety.

Tomasz Śliwacki: *Nie dokończony rękopis*, Żyć i S-ka, Poznań 2002, ss. 350.

BOHDAN ZADURA

PULSUJĄCE ŹRÓDŁO

To jest książka do czytania, z obrazkami, bo są w niej obrazki. Tak, są, są. Choć nie ma w niej ilustracji. Książka z obrazkami, a poważna. Poważna to znaczy serio. Seno to znaczy zrównoważona – nie historyczna, nie buntownicza, nie egzaltowana i nie naiwna. Na czym to zrównoważenie polega, najlepiej może widać w wierszu *Kto się tu liczy?* Po takim tytule następuje nie, co się liczy, a co jest. Po tytule *Kto się tu liczy?* następuje wyliczanka. Jest Warszawa, Kraków, prowincja (sezonowy pepsek świata – więc jednak coś z liczeniem się w sensie znaczenia) nowi barbarzyńcy, starzy znajomi – hz. = bez zmian. Jest jakiś B.Z. od kilkunastu miesięcy – a jak przed nim są starzy

znajomi to być może autor *Starych znajomych*? – setka najzdolniejszych z jednego pokolenia, donośne głosy i nagłośnione nazwiska, co pozwala przypuszczać, że to nie to samo. Różne szkoły. Koniec wyliczanki – zaczynam się opisać. Ściany mają uszy, ludzie języki, spryt często bardzo długie nogi. Ścieżki szybkiego druku nie zawsze wiodą przez redakcyjne biurko. Więc przez co? To nie jest dopowiadanie, dopowiedz sobie na własną odpowiedzialność ten „tym znaczeniowy” – biurko – łóżko. Są – dactusi są kaskader – (coś tu się dzieje z językiem, nie jest dactus i jest kaskader, a są i wschodzący i świeżo zesli. Śmierć jest formą reklamy. To wszystko.

Mechanizm funkcjonowania poetyckiego rynku, móg – z targowym zatrudnieniem, gwarem, przekrzykiwaniem się, tlakietn (setka najzdolniejszych z jednego pokolenia, więc i jacyś mniej zdolni też muszą się kręcić, a tych pokoleń ze trzy, gdy zaś uwzględnić kreatywną moc krytyki, to pewnie i więcej). O jaką poezję w tym wszystkim może chodzić? A czy ktoś tu mówi o poezji? To raczej gra układów, chwilowy koniunktury, usług wzajemnych czy wymiany burtenowej, opis mechanizmów, którym przygląda się oko bystre, mające się na rzeczy, opatrzone z tym, czemu się przygląda. Bezumiejętne, zdaje się, nie dające się nabrnie, nie ulegające złudzeniu, skoro zauważa i to, że śmierć jest formą reklamy. To wszystko – po takiej wiedzy jakież wybiwić? I kiedy czytając myślimy sobie, że „To wszystko” znaczy tyle, co „tylko do tego się wszystko sprowadza”, następuje cing długi, zupełny – to znaczy o 180 stopni – zwrot: To wszystko

jest do zapamiętania
kiedy nie czyta
wiersz

Wbrew pozorom – czy może wbrew pierwszemu wrażeniu – to nie jest wiersz autotematyczny. To nie jest, nieprawdaz, wcale wiersz o pisaniu wiersza, tu jest wiersz o czytaniu. O nienautentyczności, w którą jest niejasne na autentyczność przeżywa.

Wiersze o literaturze – przy literaturze – to jeden z wątków tego tomu – *Złoty gwiazdy, sympozja, Dwa serca, Anatomia wiersza, Matka odchodzą* – w każdym z nich punktem wyjścia jest obserwacja, punktem dojścia – konstatacja? W każdym są co najmniej dwa pilny, każdy zatrudnia – czy wykorzystuje – język na dwóch piszczyznach – *im więcej gwiazd: tym mniej autentyczne niebo* to cały pierwszy, drugi oparty jest na trzyczęstych: „mieć serce do czegoś” i „mieć serce w gardle”, co daje tytułowe „dwa serca” – wszystko się zgadza, wieloznaczność – w poezji im więcej znaczeń tym lepiej – jest tu przypisana czytającemu. Żalnego szalbierstwa. Właściwie to nawet taki mały heroizm trwania przy wartościach wbrew otoczeniu, ze świadomością, że jest to prawda umiarkowana, wbrew wszystkiemu, bo „kolędzy z redukcji” *rechoją z namętnego czytelnika // który się stara znaleźć między wersami / gniące źródła*.

Analizowanie spojrzenia oceluje też wiersze, które można by nazwać z braku lepszego określenia – społecznymi. Napisało mi się to z pełnym przekonaniem, ale kiedy sięgam znów do *jać* po przykłady, zaczyna być z tym pewien kłopot. *Długą drogę wzruszeń* (skądinąd najdłuższy i jedyny długi, 40 wersowy wiersz w tym tomie) również dobrze można by zaliczyć do wymienionej wczesniej grupy – to jakby opis czy zapis próby jakiegos podniosłego spektaklu, który będzie chwytat za gardło i serce widzów, budząc głębokie uczucia estetyczne i patriotyczne, tymczasem oglądany od kuchni jest litanią polajank, których reżyser widowiska nie szczędzi aktorom czy raczej statystom „kurwa obudź się wreszcie / duwaj Beethovena”, „kolędzy z obsługi planu / flaga jak najwyżej”, „i w tym miejscu lećisz / z hymnem”, „skupcie się dzieci / równo dumnie / bo nie skończymy do obiadu”, *Celebracja rozczarowań* jej przekonującą pinią: „nie każdy może mieć pomnik / ale każdy pomnik może mieć // swojego wandalę”? *Rozchylone w porze palce?* („pierwsze promienie / słoneu wolności // i ta nasza / proci”) Znak zwycięstwa, jak się zdaje, potraktowany tu został dość ironicznie, by nie powiedzieć, że z politowaniem („ta nasza” chciałaby się dopowiedzieć „pożał się Boże”), w przeciwieństwie do innego, najkrótszego wiersza tomu zatytułowanego I „jej ud”. Jeśli wiersze społeczne to takie, które odnoszą się do wzorców zachowań, stereotypów narzucanych przez obyczajowość, kulturę masową, do realiów współczesności, pędu do sukcesu, to można tu wymienić *Proszę o wsparcie, Supermarket, Na początku nowej drogi, Kobiety snwse tego chciały, Bogini zwycięstwa* i wytwór przemysłu kosmetycznego: w lipidowym płaszczy, z turcją ceramidów i czy nawet *Dziś do ciebie przyjść nie mogę ze świeżym metalon*, „pantyzantka w lecie starych związków” albo *Marcową noc* i „nauka chrześcijańska: odmawia / zwierzętom nieśmiertelnej duszy / którą tak też wyjątku obdarza człowieka”.

Powiedzieć, że jest to poezja pozbawiona emocji to mijać się z prawdą, powiedzieć, że emocje w niej przefiltrowane są przez umysł – to już chyba być blisko prawdy. W jakiej mierze jest to poezja intelektualna, dostarczająca satysfakcji myśli. Jednym z najmocniejszych środków wyrazu w *jać* jest paradoks w najrozmaitszych odmianach – językowej, emocjonalnej, sytuacyjnej. Jak w znakomitym wierszu *Ślub*:

powiedziałam „tak”

i zorientowałam się
że jestem drudnią

To też część prawdy, bo pojawiają się w *jać* wiersze, gdzie nie zabawa wieloznacznością, gry językowe, metajęzykowa refleksja (*Zuror; odniosłam / klęskę*) – przepraszam za słowo refleksja – się liczy; wiersze, w których nie ma miejsca na ironię, wiersze, które można by nazwać obrazkami, którym można by nawet mimo wiersza odgrywać, bo co to za wiersz, który z kilku słów się składa, ale które też można nazwać ekstatycznymi. *Skąd pochodzi moja radość z nieba // nad złotą rzeką rzepaku*.

O wierszu *Kto tu się liczy?* warto pamiętać, gdy się czyta ustulni wiersz tomu *jać* – bardziej autotematyczny, bo o pisaniu – chce to nie musi być pisanie wiersza, tu może być pisanie jakiegokolwiek – nowa już w drugim werście:

nie ma cudów

nie już dzisiaj me napirzę

Gdybym wzięt po sobie, to byłbym pewny, że to jakiś inny rodzaj pisania, użytkowego, pisanie jakiegoś artykułu, recenzji, tu może przy „nie ma cudów” z pierwszej linijki powiedziane jest lekko, zwyczajnie, niezobowiązująco, kolekwialnie i cały ten pierwszy dwuwiersz właściwie zarysowuje sytuację całkowicie banalną.

ale wystarczy

gest w otwarte drzwi balkon

i z garści pszenicy w samym środku grudnia
wyrastają wróble

Nie ma cudów, a sta dzieje się cud, w pewien sposób ten wiersz sam jest cudem, cudem przemiany ziaren w plaki, czymś, co da się wytłumaczyć, ale zanim się zacznie tłumaczyć, uderza sugestywnością i momentalnością działania się. Czytając ten wiersz zapomnia się o tym wszystkim, co zostało opisane w wierszu *Kto się tu liczy?*, zapomnia się także o tym, jak *ann* ten wiersz jest zrobiony, o tym, że nie ma w nim słowa ziarno, a wróble wyrastają z „garści pszenicy”.

Magdalena Janowska: *jać*, Wydawnictwo LAMU, Lublin 2002, ss. 84, 310, 2.

MAGDA OPOKA

WINNE WERSZE ŚWIETLICKIEGO

Moja mama lubi gotować „na winie”. Nie zdaje się jednak, że pochodzą z patologicznej rodziny. Po prostu rodzicielka, kiedy nie ma wszystkich składników potrzebnych do zrobienia zupy czy salaty, tworzy zupełnie nową potrawę. Wrzuca do niej wszystko, co się na-winie pod rękę. Bardzo lubię te dania. Jednak nie jestem przekonana, czy wydawanie toników „na winie” jest dobrym pomysłem. A taką potrawę zafundował właśnie swoim uczniom Marcin Świetlicki.

Wiersze wyprane to książka stworzona w myśl zasady: znaleźć, to pożyczycie. Żeby zaś nie było zbyt banalne, o wierszach nie decydował sam autor, ale także Andrzej Sosnowski, Piotr Śliwański i Paweł Próchniak. Jak wyjaśnia Świetlicki, on sam wybrał utwory, które żyją poza nim, własnym życiem. – *Nydale mi się, że po to się płaczą dzieci i po to się pisze – żeby ratować coś, co ma własną, niezależną urobowość, coś – co odchodzi, chodzą, płacze i smutkuje się* – przekonuje poeta.

Jednak, jakkolwiek mądrze by uzasadniać, są to utwory lekkie „przechodzone”, albo – jak chce autor – „wyprane”. Tylko najlepsze się bronią, a częste „używanie” (zwłaszcza w piosenkach), paradoksalnie, zwiększa ich wyrazistość. Po raz kolejny okazuje się, że najbardziej lubimy te utwory, które dobrze znamy. Przy ich lekturze może się zdarzyć sytuacja – aby pozostać w konwencji pralniczej – jak z bardzo brudnymi ubraniami, które po oczyszczeniu odzyskują pierwotne kolory, a dzięki okresowi, w którym były zkurzone, wydają się mieć barwy jeszcze bardziej intensywnie. Niestety zachodzi również zjawisko odwrotne. *Wierze wyprane* zawierają także utwory słabe, które z każdym kolejnym czytaniem „płowieją”. Tak jak czarne ubrania, wystawione na działanie słońca

Można próbować usprawiedliwić Świetlickiego, że przy nawale więc nie ma czasu na pisanie nowych wierszy. Przewrotnie można wyrywać z kontekstu fragment wiersza

wstał im, że tak
czeka i że im nie czekać
(ccc)

i argumentować, że dlatego wydał książkę „na winie”. Generalnie jednak nie należy narzekać. Wszystko już było, ale niektóre wiersze bardzo z zyskiem zyskały. Teraz jest okazja, aby ponownie przyjrzeć im się w druku. Poszczególne zwroty, jak np. *jestem w nastroju nieprzypadalnym* (choć tego wiersza akurat w tym tomiku nie ma), rozpisaliśmy się czy ja to sobie *twierzę* weszły już praktycznie do języka codziennego. Dlaczego? by ztem nie przypomnieć sobie, co było w pozostałej części wiersza, z którego pochodzi, dlaczego by nie? Czasem warto także zejść na ziemię i uświadomić sobie, że fragmentów w rodzaju *jestem najlepszym punktem tego miasta*, nie wymyślił, niesłaby, nasz ukochany i słyszą je pewnie także inni.

Dlatego, choć uważam, że na wydawanie książek z cyklu „The best of Marcin Świetlicki” jest jeszcze za wcześnie (radziłabym zostawić tę działalność spadkobiercom poety albo wydać taką płytę), twierdząc, że ta książka się broni. Zwiastują, że praktycznie każdy znajdzie w niej swoje ulubione utwory. A dla tych najbardziej wybrednych, można by ewentualnie dodać kilku czystych stron, gdzie dopisałiby sobie teoty, których według nich zabrakło.

Zażalenie powinno jednak nie będzie, bo miłośnicy twórczości Świetlickiego to ludzie dość pokorni. Cierpliwie czytają *Wierze wyprane*, czyli utwory z czasów, kiedy autorowi jeszcze się chciało pisać, i czekają na nowy tomik. Ma mieć tytuł *Nieczynny*. W internecie można już znaleźć pierwsze wiersze z niego, np. *Warszawa dla niepalących* – kolejny tekst o paleniu, który jeździł koleją.

(A co by było, gdyby sarenka
zobaczyła osmiciu Kłutych?)
(łopienie)

Wtedy nowa książka Świetlickiego w końcu by czymś znakowała.

Marcin Świetlicki: *Wierze wyprane*. Biuro Literackie Port Legnica, Legnica 2002, s. 61.

MAŁGORZATA RYGIELSKA

ZMYŚL, SENS, DŹWIĘK

Papierniwa poezja jeszcze działa.
I to i tak wynaturzenie, bo przecież poezja to dźwięk.
(Małgorzata Baranowska)

Niklasinski uważa do aktywności od pierwszego wersu, pierwszego słowa. I nie jest to bynajmniej gest natrątny, poeta nakłaniając, w równym stopniu troszczy się o dobro odbiorcy i własne. W całym tomie – począwszy od wiersza *Koniec lata*, a na *Posłuchaj skonięzyny* – aż mi się bowiem od przeróżnych apostrofów, pytań, prób zapewnienia nieprzerwanego kontaktu. Jego rękopisem ma być właśnie wzajemność czytelnika, gotowego podążać wraz z bohaterem, tropić ślady i zmieścić meandry tekstu.

Inicjalne *Słyszysz?* stawia bowiem w sytuacji, w której możliwe jest albo niezwłoczne podjęcie dialogu, albo zaniechanie lektury.

Owo *Słyszysz?* nie zmierza jednak ani do zakreszenia granic percepcji, ani do opisu czysto fizjologicznych zjawisk. W pozornie prostym warcie:

Słyszysz? Świerzcze strefy dają z siebie wszystko,

zawiera się bowiem najciekawsza dla mnie właściwość poezji Niklasinskiego: brzmienie, dźwięk. Przemierzając przestrzenie, zakreślając strefy, podąża się za dźwiękiem, nieustannie nasłuchuje. W *Airway*, gdzie wyraźnie widać ślady fascynacji twórczością autora *Zoomu*, po serii zwrotów, które dodatkowo, poza uzyskiem liczby mnogiej, mają potwierdzić obecność drugiej osoby, niegdyś współtowarzysza podróży, a teraz cierpliwego słuchacza rekonstruowanych wspomnień: (*prawda?*), (*ależ tak!*), (*Poważnie?*), (*Pamiętasz?*), pojawia się, tuż przed aluzyjną (!) puentą, kluczowe według mnie dla tej twórczości słowo usłyszysz:

(...) w polowie
nieziemskiego gestu usłyszmy czyjś rozszpany głos i
wzorecnie będziemy mieć do powiedzenia ni mniej, ni więcej.

Usłyszanie głosu nie jest jednak równoznaczne z dokładnym ustaleniem jego przynależności: to zawsze „czyjś” głos, niewiadomy, uzupełniany przez skrócone opisy sytuacji: *Czym głosem jest głos osoby / która całą noc nie zasnęła? Oka (...)* // *Czym głosem jest głos osoby / Mającej odwiedzić Aglomerację*. Głos charakteryzuje i zdradza, jednocześnie skręca tożsamość i wystawia ją na pokaz. Dlatego pytania o głos są pytaniami o pochodzenie, o źródło, o obecność (osoby), a pośrednio także o naturę dźwięku, o elementy relewantne, różnicujące, na podstawie których dokonuje się rozpoznanie i podziałów. Do tego potrzebny jest jednak – przede wszystkim – słuch. I najważniejszy dar: dar słuchania, „usłyszania”. Słuchać to bowiem „świadomie odbierać, zwracać uwagę na to, co się słyszy, starać się słyszeć coś; rozumieć czyjąś wypowiedź”, a słyszeć to po prostu „mieć słuch, odbierać wrażenia dźwiękowe, nie być głuchym, być zdolnym do słuchania.” (*Słownik języka polskiego*, red. M. Szymanek). I właśnie o ową zdolność słuchania: u siebie, autora, bohatera lirycznego i wreszcie – odbiorców, tak bardzo zabiega Niklasinski. Stąd też biorą się takie oto dociągnięcia: *A jeżeli wieczorem zacznę podać dżez? / Jak się usłyszmy? Piosenka? (Tuffa)* albo prośby: *Bodej w taki sposób by cisza zaczęła wreszcie / zwracać na nas uwagę, stając w zbiegu ulic, nasłuchując (Trzy wiersze).*

Zbiegi ulic, u których ma się nasłuchiwać, tunele metra, neony i świetliste ekrany – jednym słowem krajoznazd miejski – pojawiają się w tym tomiku dość często; spotyka się też nazwy własne, które jednocześnie są nazwami miast i tytułami wierszy: *Montreal*, *Hammanet*. Wywołano więc już w początkowych wersach *Koniec lata* miasto (*Miasto?*), które można poukładać jako budziec do poszukiwania określonego motywu, a potem szczegółowych analiz sposobów jego realizacji w poetyckim tekście, pełni tu, nieco niespodziewanie, niemal wyłącznie funkcję sygnału przejścia, chwilowego tylko zatrzymania się podczas podróży. Miasto, zgodnie zresztą z etymologią tego słowa, jest więc jedynie miejscem i to miejscem, które się przekracza. Początkowy, na pierwszy rzutek fragment

(...) Podróż mi to da siebie
ze nigdzie się nie kończy (...)
i wszyscy podróżujemy, każdy mi swój sposób
(*Koniec lata*)

który zapowiada późniejszą kreację bohatera jako współczesnego *homo viator*, wskazuje więc tutaj bardziej konkretny wymiar. Mowa o nieustannej wędrówce to jednak dopiero wstęp do dalszych lirycznych rozważań o tymczasowości, o przymusie ruchu. I tym, że wszelkie zmiany najszybciej nieuchronnie przechodzą w ciągły proces, że „każdy moment retorykalizacji jest zarazem deteryminizacją.” (P. Baranowski). Opisy podróży można zatem sprowadzać do skróconych przedstawień, do wycinka zachowań, w którym wyraźnie ujawnia się świadomość przebywania „tylko na chwilę”.

i usadowił się wygodniej w fotelu, jakby miał
jeszcze chwilę odpoczynku, a potem wstał i
zaraz za progiem wsiadł do pociągu
relacji Kraków–Legnica. Potem przesiadka.

Przesiadka (...).

(Koniec lata)

Co więcej, wędrówka odbywa się tutaj niejako dwutorowo: w planie realnym i onirycznym, w którym jeszcze bardziej nazywają się granice, przenikają przestrzenie, mnożą odbicia (...). *Nocami śni mi się niewiele / jakbym chodził boso po liście / miasto, z którego chciałabyś chodzić (Ślady)*, *Co jeśli wszelka wieczność nie jest niczym innym niż światłem / a sytuacja mi się dla portowego miasta? (Hamamet [1914], esplanada)*. Tak jak *Granica między realną przestrzenią miejską i jej symbolizowanymi powtórzeniami tworzącymi przestrzeń iluzji rozpadła się na szereg elementów, na których „wyświetla się” samo miasto* (Ewa Ręvers), tak tu miasto istnieje przede wszystkim dzięki iluzji scennej, w jej obrębie. Takie przeniesienie umożliwia szereg znaczących odsładczeń, głównie zmianę w odbiorze właściwej miastu akustyki, gdzie w rzeczywistości przecież „odgłosy bliskie i dalekie ziewają się w dziki jęzgot, w którym zamieni (...) każdy poszczególny dźwięk” (A. Kuczyńska), gdzie „zmięta wspólnota słuchaczy”, gdzie, co zauważył „urzędnik został dar słuchania” (W. Benjamin).

Przekleństwa hałasu unika się też dzięki umiejętnie wykorzystywanej w opisach „strategii zoomu”. Owa „strategia zoomu”, tak samo jak w soczewkach aparatów fotograficznych, polega tu na zmianie perspektyw oglądu przy jednoczesnym zachowaniu dotychczasowej ostrości. Powiedziałabym nawet – przy jej wzmocnieniu. Przejście od podniebnych trajektorii, od „całodobowego szybownictwa po peryferiach gwiazdy” (*Airways*) do niewidocznych niemal (albo niesłyszalnych) szczegółów rzeczywistości, dokonują się jednak niemal niezauważalnie, bez jaskrawego wygrywania natrych kontrastów. *We właściwym czasie (teraz, kiedy pełen jesteś zgietliwego / smutku)*, w samym labiryncie miasta, rodzi się bowiem takie oto przeniesienie: *Teraz też, nie / uśnić; nie robić. Zupełnie jakby było warto wstrząsnąć się / w wieżbiarski smutek / taśmy lub kory (Montreal)*. Z kosmicznych przestrzeni, ze snów, powraci się po to, by skoncentrować uwagę na drobniaczach, szeleszczach, mikrowymiarach doznawalnego świata. Na „jęku wody”, śmiechu, muzyce świątecznej, odgłosach oddechu, „lotnych sieniach”. A być uważnie, znacząco tuż przede wszystkim: być zmysłowo. Bowiem to właśnie

(...) Tych jej, z nasyła nagromadzonych
szczęść zmysłów jest tym, co czyni jego podróż
nad wyruszyć wyznaczną, skąpaną w niewzruszonych
linijach brzegu barwach (...).

(Koniec lata)

Niklasinski wielokrotnie próbuje pokazać, że doświadczenie otaczającej nas rzeczywistości ma sens o tyle, o ile jest (a przecież jest) sensoryczne. Rozpoczyna od penetrowania na płaszczyźnie poetyckich opisów zjawiska synestezji, współdziałania zmysłów. Zbliża się przy tym do *audition colorée*, kopużenia wrażeń akustycznych i wizualnych. Nie ustala jednak, na wzór słynnych *Sonagłosek*, konkretnych zależności między określonym kolorem a odpowiadającym mu dźwiękiem. Postępuje inaczej: skupia się na doznaniu. I pyta: *Wszystkie rośliny podobne / do soczystego słońca brzmiącego w dolinie? (Hamamet...)*. Nie wyodrębnia słyszenia bądź widzenia, by w złudzeniu poznawczego obiektywizmu twierdzić, że przynoszą one oddzielnie nieporównywalne jakości. Wręcz przeciwnie – wiele fragmentów, ot, chociażby: *jak refren barwy schodziły o oktawę głębiej (Montreal)*, (...) *wytlumiony akord / Płan zachodzącego słońca (Taifa)*, mówi przecież o równoczesności, o nieuniknionej syntezie zmysłów, innymi słowy o naturalnych, lecz zazwyczaj niedostrzeganych albo bagatelizowanych właściwościach percepcji. Użycie nomenklatury muzycznej ma tu służyć – paradoksalnie? – bardziej precyzyjnemu obrazowaniu. Celowość takiego zabiegu ujawniają już najprostsze przykłady. I jeśli „krzyżująca czerwien” – a jest tu wszak wyrażenie pojęciowe, wybitna metafora – ma dookreślać stopień intensywności barwy, to niższy o oktawę refren oznacza coraz mniejsze nasycenie koloru, jego odwiercenie. Tłumienie to natomiast wznieć, niknięcie.

Daleko jednak jestem od tego, by dwuwiersz

połączyć dwa punkty pomiędzy dźwiękiem
a wydającym go kolorem (...)

(Płmi)

uznawać za wyrażony *expressis verbis* poetycki postulat; dostrzegam jedynie pewne analogie, które – zważywszy na poprzedzające wyjaśnienie: (...) *kiedyś komuś wystarczy / nie przestawało i ktoś próbował na planie / połączyć dwa punkty pomiędzy dźwiękiem / a wydającym go kolorem (...)* – mogą być mylące. Współdziałanie zmysłów, które odbywa się bez udziału świadomości (niejako poza świadomością), jest jednak niewątpliwie. Kolor, który wydaje dźwięk, przypomina nawet nieco owe słynne *ew-minse* Wordswortha, metaforę zupełnej niemożliwości kompletności doznań (co ciekawe, nader często bywa ona wykorzystywana przy objaśnianiu... „powtarzających się struktur w poezji języka migowego (rymy, aliteracja etc.)” (O. Sacks)).

To jednak nie plastyczność opisu (bo trzeba też przyznać, że tu i ówdzie ręką się Niklasinskiemu omknęło, pióro zadrtło, wzrok zamglił) czy przesadnie czułym apełowanie do wyobraźni czytelnika są dla mnie najważniejsze. Płynność frazy, taka, jaką możemy zaobserwować w *Zielonej górze*, bywa bowiem zaskakująca, zwłaszcza jeśli bezkrytycznie zwrócić się możliwościom języka. Cokolwiek by jednak napisać o tej poezji – o aurze oniryczności, o przywołanym i przekształconym toposie pielgrzymowania, o obsesyjnie powracających kolorach, przywodzących niekiedy na myśl słynne eksperymenty symbolizmu czy wreszcie o nazbyt może widocznej łacynacji twórczością Andrzeja Sosnowskiego (pastwić się tutaj nad Niklasinskiem nie zamierzam, a tym, którym cięgną się na usta przekleństwa i zarzuty o epigoniizm, radzę poczekać na drugą książkę młodego debiutanta) – to jej wielką siłą wciąż pozostaje brzmienie, dźwięk. To, co w tradycyjnej refleksji o literaturze zwykło się nazywać „muzycznością”. Nie chodzi tu jednak ani o poruszającą się „poetycką” melodyjność, ani o budowanie nastroju, ani o utwory nawiązujące przez swą konstrukcję do gatunków muzycznych. Nie ma też, wydawałoby się tak oczywistych, „muzycznych środków” jak dokładne, głębokie rymy, wplątane refreny, dokładne powtórzenia. Powtórzenia wyszukuje zresztą Niklasinski w zupełnie innym celu: zazwyczaj służy one do testowania łączności wyrazów, do pokazywania, jak poezja nieczłowieczne zmiany, proste zabiegi dokonywane także na formie wiersza, np. częste użycie przerzutni, potrafią modyfikować treść, niekiedy wprawdzie w dość rażąco niefortunne, opalizujące sensy. I tak przepisywanie tych samych, a raczej prawie tych samych wersów, zawsze z wyrazistym sygnałem wprowadzającym poszczególne inwarianty tekstu (podkr. moje – M. R.):

Za chwilę już tylko napięty ekran cisy, w której
słychać inne owoce, przezrocyste, powolne
zawiste nad poruszającymi się ciakami. Hm?
Powiedzmy to w następujący sposób. A potem
już napięty program cisy, w której słychać
tylko to inne, przezrocyste, powolne, zawiste
nad poruszającymi się przekładnikami ciał.

(Koniec lata)

dotyka bardzo istotnej kwestii – środków i możliwości wyrażania, potencjalności mowy, dostrzeganie słowności i użycia odniesień. Język skłama tu bowiem uwagę sam na siebie, negując przydegość do opisywanych przedmiotów.

Jednocześnie objawia się dominująca rola rytmu. Rytmu nie zawsze tożsamego z metrum, rozumianego raczej jako szczególna właściwość wypowiedzi. Uwidacznia to już pierwszy wers *Zielonej góry*, przywołamy zresztą po raz kolejny:

Słyszysz? Świerszcze strefy dźwięku – śmieje wszystko

Niklasinski po mistrzowsku wykorzystuje tu naturalne cechy prozodycznej mowy. W jednym krótkim zdaniu – znakomiciej, sugestywniej onomatopei – gromadzi szyszczące i bezdźwięczne głoski. Ale by się o tym przekonać, trzeba zarengować na owe otwierające tonik pytanie, na zawartą w nim wątpliwość. Innymi słowy – trzeba ten fragment, tę linię tekstu wypowiedzieć. Pozwoliłoby zabrzmiąć. Tylko wtedy można ją rzeczywiście usłyszeć. Miron Białoszewski napisał niedawno, że „Pełno hycie poezji to czytanie na głos, mówienie jej. Bo on to za pnieza czytana po cichu?”. Wyróżnił

tez trzy rodzaje czytania: „Po cichu, ale z wyobrażeniem pełnego brzmienia. Po cichu, ale bez wyobrażenia brzmienia”, po czym stwierdził: „Pierwsze dwa rodzaje oczywiście. Zaczęłem (...) badać ten trzeci rodzaj. Zaskoczenie. Okazuje się, że nie ma czytania po cichu bez wyobrażenia brzmienia. Można czytać po lebkach, skokami, może brzmieć tekst w naszych uszach wyobraźni poza naszą świadomością, ale brzmi. Nie ma czytania po cichu głuchego. Zwłaszcza poezji.” „Bo przecież... Słyszeć to także wymawiać” (*Entendre c'est prononcer aussi*, A. Sapir, tłum. A. Dziadek).

Czytanie na głos, a więc niejako w poprzek dotychczasowych nawyków, zawiera w sobie obietnicę dotarcia do istoty poezji, dotarcia nie przy pomocy deformującego, upodktywizowanego *cogito*, lecz dzięki zaangażowaniu w proces lektury ciała, zmysłów. Pozwala podążać za *hasłem cyklu tak cyklu* (*Transport*), w kierunku *ukrytego w ruchu znaczenia* (*Tyflo*). Poziom znaczącym i znaczoną istnieje bowiem także sens różny od sensu leksykalnego, sens podskórny, ukryty pod powierzchnią słów, pod tym, co jawnie artykułowane. Sens zanurzony w podświadomości, sens obecny w rytmie, sens „wytworzony zmysłami” (*le sens en ce qu'il est produit sensoriellement*, R. Barthes, tłum. K. Kłosiński). Może więc warto odpowiedzieć (a przynajmniej spróbować odpowiedzieć) i na owe inicjalne *Słyszysz?*, i na tytułowe *Budowałam od góry* z ostatniego wiersza *Zielonej góry*?

Kuba Nikielchski: *Zielona góra*, Kolektywizm Alternatywa, Kraków 2010, ss. 25, Kolektywa Hektar.

MARIA MAKARSKA

BUDOWAŁAM OD GÓRY...

Kolejny tom wierszy Urszuli Gierszon wydany przez Wydawnictwo Lubelskie byłby dobrą egzemplifikacją zatrzymania czasu i nas w nim.

Adagio jest zbiorem wierszy z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, autorka drukowała już większość z nich w swoich czterech wcześniejszych tomikach poezji. Urszula Gierszon sama dokonała wyboru i w takiej kolejności ułożyła teksty. Ten układ nie jest przypadkowy, tworzy dramatyczną całość jednostkowego życia. Autorka to osoba dojrzała, wyrobiła już w sobie ironiczny dystans do obserwującej ją rzeczywistości: *U drzwi Twoich stoje i ja Panie Sponsorzeli!... Twoje pieniądze są bardzo potrzebne moim wierszom*.

Utwory układają się w logiczny zapis problemów typowych nie tylko dla Urszuli Gierszon, nie tylko dla pokolenia urodzonych w drugiej połowie lat pięćdziesiątych. Cien zbioru to pytania egzystencjalne o sens i uniwersalność istnienia. Poetka poszukuje swojego miejsca tu i teraz, ale poszukuje też swojego szczęścia. Ten zbiór to misterna układanka wykonana przez kobietę przechodzącą kolejne etapy życia, stąd szczególnie ekspansuje swoje „ja” poetyckie. Dominantą tej poezji jest problematyka kobieca, a zwłaszcza erotyzm, pojmowany często jako niemasyczone pragnienie: *Choć we mnie jest takra która rozpaść może nie jedno lecz tysiące ognisk (...)*. Ta poezja naznaczona jest ekalanijonizmem: *A ja czekam abyś kamiona jak most zwadzony wyciągnął. Przyjść: rycerza na białym koniu z mieczem (...)*.

Ekspresja jest najbardziej widocznym wizerunkiem tych wierszy. Znajdujemy tam wszystkie odwołania emocji od umiesień, poprzez zdziwienie, odrzucenie: *(Miaa kolejny wieczór – kochanie! jak woda w furcie wlewa się... marowa)*, po rozgoryczenie i żal: *(Co mi po twoim zachwycie kiedy nie/ mił jesteś (...))* Rano budzę się/ drżąca naga i z skargą/ dlaczego nie mił?

Odrzucenie, a z nim rozgoryczenie i żal stała doświadczającej kobiety są punktem kulminacyjnym zbioru *Adagio*. *Adagio* to termin muzyczny, zacierpnięty z języka włoskiego, znaczy „powoli”. Tak też i w tym zbiorze następuje powolny spadek napięcia akcji. Poezja, która kipi miłością, witalnością, wyciąga się emocjonalnie.

Urszula Gierszon to poetka świadoma i autentyczna, dostrzega wokół siebie także zło. Ze złem można się pogodzić, ale nigdy zgodzić, to imperatyw. W poezji Urszula Gierszon single akcentuje ważność słowa. Bicie odpowiedzi słowo, to według niej obowiązek poety, bo słowo *złe* użyte może być obokieczną bronią: *Rodzi mnie słowo i ja też słowa rodzę... albo Częstość jednak moje słowo jak dziecko/ tuł...* lub

A moje słowa? Czy zaspokoja głód krzykiem zamkniętym w ramki wiersza. Utwory ze zbioru *Adagio* są efektem krytycznej obserwacji przez osobę o naturze głęboko refleksyjnej.

Urszula Gierszon nie odgrywa w swojej poezji wybranej roli, ona jest autentyczna w sposobie bycia, stąd poezja ta jest prawdziwa i naturalna. Tak jak bierze odpowiedzialność za wagę i znaczenie słowa, tak też wybiera i intuicyjnie formę i nadaje wierszowi specyficzną instrumentację, po to, aby najlepiej oddać i ukazać siebie. Najlepiej czuje się operując dystychem, który pozwala na konieczność wypowiedzi – niektóre wiersze są same w sobie aloryzmem: *W tunelu ciała nie ma światła/ szukałam go na próżno*. Natomiast dominantą tych wierszy, ich wyznacznikiem konstytutywnym jest przeczucie, zaznaczona duża litera. Składnia i jej intencja znikają z pola widzenia, ustępują charakterystycznej intonacji wiersza. Ta niezłaczność od składni podkreślana jest jeszcze brakiem interpunkcji.

Urszula Gierszon w tomie *Adagio* dokumentuje jednostkowy los kobiety, ale przez jego typowość dokumentacja nabiera cech uogólnienia, bo każdy z nas nosi w sobie projekcję własnych marzeń. Autorka w *Adagio* poprzez swoją poezję, taki jej wybór i układ tekstów zdaje się mówić: „budowałam od góry”..., ale już wiemy, że tylko to jest istotne, co jest nienlecone.

Urszula Gierszon: *Adagio*, Wyd. Lubelskie, Lublin 2002, ss. 108.

WALDEMAR MICHAŁSKI

O POEZJI Z RIMBAUDEM W TLE

Przed laty byłem stałym czytelnikiem wierszy Czesława Sobkowiaka. Kolejne jego tomiki ukazywały się m.in. we wrocławskim Oskolineum (*Powieść w odcinkach* – 1974, *Bezsenność* – 1977, *Okolica słonica* – 1979) i dostępne były także w lubelskich księgarniach. Przyszły jednak „lepsze czasy” i „mało ojczyzny” stały się gettami (przynajmniej w zakresie obiegu kolporterskiego nowości wydawniczych). Działo po likwidacji także tygodników literackich niewiele wiemy, co się dzieje w życiu literackim nawet w regionach bezpośrednio sąsiadujących. Z tym większym zainteresowaniem przeczytałem przysłany mi przez Muzeum Ziemi Lubuskiej tom wierszy Czesława Sobkowiaka pt. *Rozmowa z Rimbaudem* (to już szesnasta książka poetycka tego autora).

Prawie pięćdziesiąt wierszy tworzy interesującą całość pod względem dominanty emocjonalno-przedstawieniowej. Miło zaskakuje odwołanie się autora do Rimbauda i jego poetycko-moralnych dylematów. Więcej razem z Rimbaudem „wypływamy” na rozkołysane fale „wielkiej pieśni Morza”, którą Sobkowiak interpretuje współczesnie i po swojemu.

W wierszach Sobkowiaka, jak u Rimbauda w *Statku pijanym*, znajdujemy szczególną konfigurację biografii autorskiej. Wszystko, co jest w poezji Sobkowiaka, zostaje przywołane z doświadczenia i obserwacji (liczne odwołania do wspomnień). Uniwersalna wymowa tych wierszy, jak u Rimbauda, wywodzi się z przekonania, że autentyczny poeta jest „istotą jasnowidzącą”. Od wizjonerstwa tylko krok do kwestii „prymatu duszy” w kwiecie materii. Historiozofia wierszy Sobkowiaka to nieustanny „oddech umierania i narodzin” (*Dzwon*), to rzeczywistość „chlonega głosu i kszality” (*Noe*). Jest tu piękne zdanie tłumaczące aktywną literacką pozycję podmiotu wobec świata: „Żyje, więc staram się dostrzegać” (*Bez tytułu*). To nieprzypadkowa zbieżność z Kartezjuszowskim: „Cogito, ergo sum”. Wiara w racjonalny porządek świata weale nie kłóci się tu z całą intuicją w odkrywaniu jego tajemnic. Świat wierszy Sobkowiaka konkretnym wzorunkiem i akcentem na zwyżkującą się kontynuację poetycki dyskurs z Rimbaudem i jego strategią życia jako nieustannym przenikaniem ducha i materii, życia i śmierci, dobru i zła, piękna i brzydoty. Warto przypomnieć, że Sobkowiak w tomiku wydanym w 1989 r. pt. *Słowa do troski* odwoływał się bardzo czytelnie do innego poety – do Eryka Pounda – zdecydowanie akcentując potrzebę kontynuacji czy inspiracji poetyckiego kreowania świata rzeczy i ludzi.

*Decydujący jest moment
Po wypowiedzeniu ostatniego słowa
Gdy zalega sobie milczenie
Że nikt się nie waży go przerwać*

Wtedy zjawia się poezja...

(Moment)

To ona, Poezja, potrzebuje iskry, która rozpala ogień słowa, potrzebuje morza, które nie zna granic ani horyzontów. Sobkowiak jest w tych dyskursach tworcą, który ma świadomość, że nie odkrywa świata na nowo, ale zawsze może go pokazać w innych, chociażby czasowych, wymiarach. To, co najważniejsze w jego poetyckim języku to niewątpliwie słowo dostępne wszystkimi zmysłami. Odczuwany ja wyrażnie, gdy odkrywa nagość kobiety, gdy ogród zaludnia ptakami, gdy jesion odczytuje po spadających liściach. Strategia jego poetyckiego widzenia to konkretna egzystencja, ale wzbogacona o niezbędną intuicję, o prawo do wspomnień i marzeń, o muzykę rozstań i pożegnań, wreszcie o prawo do błędu.

Sobkowiak posługuje się wierszem wolnym, ale wyrażnie odczuwalny jest tu rytm słowa i składowi bliskiej mowie zwyczajnej. Niektóre wiersze przypominają wręcz luźne wyznania, zapisy w notesie:

*Coraz częściej skreślam
Kilgodzinne szkice życia
Jakbym strącał siebie w dół*

(Coraz częściej)

Podobnie jak w całym tomiku, tak i w tym fragmencie rolę metafory przejmują na siebie opis sytuacji lirycznej podmiotu – często osoby samotnej czy lepiej powiedzieć osamotnionej. W konsekwencji smutek i nostalgii pożegnań, odchodzenia jawi się jako tonacja spajająca wiele tych wierszy w jedność. Pozostaje pocieszenie: słowo. Zwraca też uwagę potoczna leksyka. Tu wiersze bardzo kolokwialne, ale przecież nie banalne i w tym tkwi także ich urok. Położam czytelnikom ten oryginalny, ciekawy i pięknie edytorsko zrealizowany tom wierszy Sobkowiaka.

Czesław Sobkowiak: *Rozmowa z Rimbaudem*. Rybniki: Agnieszka Graczeł, Wyd. Muzeum Ziemi Lubuskiej, Zielona Góra 2002, ss. 71.

MARIAN JANUSZ KAWALKO

LIBORA MARTINKA CZYTANIE Z GWIAZDY

Niewielu znam poetów ubiegłego pokolenia, którzy zajmują się pracą translatorską, przyswajając swoim czytelnikom polską współczesną lirykę. Do takich poetów-tłumaczy należy niewątpliwie Liber Martinek z Opatowa (rocznik 1965), pracownik naukowy tamtejszego uniwersytetu. Dotychczas przekładał on na czeski wiersze m.in. Czesława Miłosza, Wisławy Szymborskiej, Zbigniewa Herberta, Dariusza T. Lebiody, Zbigniewa Jerzyny, Marcina Barana i wielu innych. W ubiegłym roku opublikował swój debiutancki tom wierszy – wydany w dwujęzycznej, czesko-polskiej wersji – pt. *Co patri venerit* (*Skrzety Gwiazdy Wieczornej*). Już sam tytuł sugeruje, iż autor obraca się w kręgu wartości zmysłowych, dźwięk emocjonalnych ukazanych w pewnym wyciszeniu, nostalgicznych wspomnień częściowo zmetaforyzowanych, wreszcie medytacji.

W wierszach tych można wyróżnić parę literackich tropów: wspomnieniowy, miłosny, zaharwiony lekką nutą, psychologicznej refleksji, społeczno-narodowy oraz impresyjny, jakby oplatający wszystkie poprzednie. Zresztą impresjonizm odwołuje się do tej poezji swoje uroczyste piękno, wyciszając różne osobiste lęki i negatywne napięcia.

Wprowadzić i poetę hołą wspomnienia pierwszych młodzieńczych doznań intymnych, lecz na ogół ma do nich stosunek pojednawczy *tpląc dającą miłości* – powie w jednym z tekstów.

Gdyby analizować stylistykę utworów Martinka, to niewątpliwie czerpie on doświadczenia z różnych nurtów: awangardowego (typu czechowiczowskiego), poetów wrocławskiej „Agory” (pewien stopień sproszkowania niektórych tekstów), ale też nieobce są tym wierszom osiągnięcia Czeskiej Moderny z przełomu XIX i XX wieku oraz grupy „Kvetna” (zbliżony tu i tam stosunek do rzeczywistości, a także skłonności translatorskie, zwłaszcza w stosunku do polskich poetów).

Niektóre liryki (np. *Dwa biegną*) skonstruowane są na zasadzie powtarzających się tez i antytez, skierujących się przeciwstawstw oplecianych metalizacją, *pującym gwiazdnego nieba*. Czasem rzeczywisty przypadek, incydent (śmierć dziewczyny na warszawskiej ulicy) staje się pretekstem do osobistych rozrachunków z wiarą, ujawnienia stosunku do sacrum ukazanego w ludzkich obrazach. Piękne są przy tym Martinkowe odniesienia do natury, jak chociażby:

*Jesteś naszą siostrą miłosierdzia prawo
przykładem wiecznego digenia do odnowy życia
wolności ofiarności i braku kompleksów
tożsamości*

(Trawa)

Celowa antropomorfizacja natury służy uwytknieniu rzadko ukwalifikowanej prawdy, że to przyroda tak naprawdę może służyć człowiekowi za wzorzec wolności ofiarności, takiej więc, która nie trącając niczego, utracenia się z prawem człowieka do współhutowania. To już jest kwestia filozofii przyrody i filozofii ekologii jako naczyń połączonych.

Libor Martinek korzysta też z poetyki Nowej Fali, stosując ją tam, gdzie gdzie inne rozwiązanie warsztatowe nie oddałoby dramatyzmu sytuacji lirycznej:

*Po czterech tygodniach pracy na budowie
poznałem o co idzie gra
O siedem kilogramów żywej wagi. Stojąc
spieka skórę Faceci mają ciągle „pierekur”
a nam nie może zastąpić dowieziony beton
Sto metrów dalej wieża gazowa rozpała
powietrze do białości
(...)
Gorbi jak przyszedł tak odszedł W Baku
mołoch lincowal elitę
Czas antysemitkich pogromów
Pyrusowie zwycięstwo
Kochaj*

(W Baku)

Żydowski wątek, kończący wiersz, niezym poetycki plakat, będący jakby nawiązaniem do plakatów z pierwszych lat po rewolucji i będący ich przeciwieństwem, pokazuje ironię historii, jaką ukrytą jej skłonność do wymierzania „Juzimskiej sprawiedliwości”. Proszę zauważyć: ani słowa poetyckiego komentarza, jedynie krótka relacja zdarzeń – a jaki ładunek emocji, nastrojów, ile krzyku rozpaczy i wrzawy rozwiścieczonych tłumów... Tak może pisać tylko poeta świadomy rozgrywającej się tragedii, poeta dojrzewający w czyni niebezpieczeństwa.

Wprawdzie dziecinstwo poety przecięgało z dala od tak dramatycznych okoliczności, lecz i tak pozostała mu pamięć po *dobrych ludziach* – sąsiadach z żydowskim rodowodem, po ich wierze i kulturze:

*Pozostały tylko księgi
w szwachochu i mur
w słotyni na strychu
nagrobki z Czeską Dawida
wychylone z pionu
na cmentarz paraskur cyprikami*

(Osobliwa)

Niekiedy poela sięgo pu paradoksa syluacyjny, pokazując przy tym, iż oświecony Rozum, dążący do opartowania praw rządzących światem, w końcu z nim przegrywa. I wcale nie z powodu błędów empirycznych, nie z braku ostrożności, lecz dlatego, że objawia się jako deformacja Piękną.

Frankenstein w Anglii poświęcił życie dla nauki
ale został odrzucony przez ludzi
z powodu szaleństwa
(*Aeternus hexernus*)

Podziękuję w tym fragmencie nuty Lipskiej i Szymanowskiej

Sądzę, że właśnie w takich utworach Martinek ma najwięcej do powiedzenia „od siebie”, więc budować ich fabułę, rozkładać akcenty, dozować napięcie. W tego typu poetyce upatruję jego stabilizację, choć wiadomo, że tylko studyjny rozwój – od bywającej się również poprzez poszukiwanie coraz trudniejszych sposobów ekspresji językowej (jak zalecał Peiper) – może wynosić poetów ponad przeciętność, ponad średnią stufestwalową.

W uwawianym toniku, jak wcześniej zauważyłem, poruszają również łagodne echa impresjonizmu. Oto parę przykładów: *nieszbyt głosne kroki / w miękkiej ciszy zmierzchu; trawa falowała (...)* w rytmie rozkładanego cichą puszczą zefirku; *to są cięciwa / do letniego zmierzchu, z którego wynurza się biała peruka / Amadeusza; ujrzałem piekło w momencie / gdy wyszła / z morskiej piany*.

Wskazywać, szczerze mówiąc, od nowatorskich rozwiązań, samemu jednak celnie
etydy, poprzez które poeta stara się nie tylko doskonalić swój warsztat, ale także
kształtować czytelników, nasunąć do sposobów obrazowania świata, jakimi się posługuje,
do mitologizowania przeżyć osobistych. Jest w tym zgodny z przesłaniem Gracii
Murawieju, że rzeczywiście należy ukazywać tak, jakby była magia.

Wiersze Martynki szeradko-tęszą wątki fabularne z maturalną refleksją, zaś przetrzynę ze skłonnością do układania „pięknych zdań”. To pomieszczenie stylistyczne świadczy o ambicji poety wciąż eksperymentując, poszukując najtrafniejszych dla jego osobowości środków wyrazu artystycznego.

Dostępcy i czasowy dorobek poety, spisany głównie przez Kazimierza Kaspruka, jest jeszcze stosunkowo skromny, ale już teksty, które zostały opublikowane w Polsce pozwalają konstatować, że nie w zdziwionym tłumaczu znalazł się interesujący tryk, niżej: nadzieja karmienia – jak mówi w jednym z wierszy – swą wale.

Warto – sędzę – na koniec krótko zająć się tą Martinkową deklaracją. Przywołując poglądy Mauryc' a Blondela na ludzką wolę, warto powiedzieć za nim, iż kieruje się ona jednocześnie ku konkretnym, jednostkowym celom i dążeniom szerszym, ponieważ głęboką wolą człowieka jest być z innymi. Tę więc doskonałość dostrzega się w omawianym zderze wierszy, zarówno w jednostkowych odniesieniach – deklaryacjach kierowanych do poszczególnych poetów i artystów, jak też w pewnych uogólniających konstatacjach. Martinek w swych rozważaniach literackich porusza się pomiędzy tradycjonalizmem filozoficznym a modernizmem katolickim. Nowe doświadczenia twórcze z pewnością pozwolą mu na wykrystalizowanie poglądów.

Mam nadzieję, że nie zabraknie mu przy tym ani woli, ani determinacji.

Libor Matějka: *Co patří společně. Několik (ne)závazných příspěvků k literatuře a současnosti*, Opava 2001, s. 50.

Nie tylko analitycznie...

WOJCIECH KACZMAREK

Z TEATREM PRZEZ WIEKI
Kazimierza Brauna historia teatru
w Polsce i na świecie

Profesor Kazimierz Braun, wybitny teatrolog i reżyser teatralny pracujący obecnie w USA, wydał w Lublinie dwie ważne dla polskiej historiografii teatralnej książki: *Kieszonkową historię teatru na świecie w XX wieku* (Lublin, 2000, Norbertinum) i *Kieszonkową historię teatru polskiego* (Lublin, 2002, Norbertinum). Wiele recenzentów być może chciałoby potraktować te książki jako rodzaj przewodnika po historii teatru polskiego i światowego, jakiegoś encyklopedycznego reżyserskiego zjawisk czy twórców teatru. Kazimierz Braun nie należy do badaczy, którzy piszą takie prace. Zawsze podejmował trudniejsze zadania i ambitne. Śmiało rysował swoje wizje teatru i stawiał niekiedy nawet kontrowersyjne tezy na temat jego rozwoju i miejsca w współczesnej kulturze. Tak też jest z omawianym tu książkami. Sugerowana w tytule skromna nazwa – *Kieszonkowa* – dla obu historii teatru jest mylna, bowiem książki te wypełniają powinną lukę w monograficznych opracowaniach historii teatru w Polsce i na świecie. Mały rozmiar (A-5) obu książek uzyskał autor i wydawca nie przez skromność i ogólnikowość, ale przez bardzo oszczędny format wydania (nieestety ze względu dla czytelnika!); przez małą, czeleczkę drukarską, zagęszczającą tekst na stronie. Wprowadzie książki Brauna ukazują panoramę dziejów teatru na świecie w XX wieku i w Polsce (od średniowiecza do dziś) w zarysie, ale jednocześnie nie są pozbawione subtelnej punktowych, podejmując poważną refleksję badawczą z indywidualnym rysem autorskim tej problematyce przez autora.

Pierwsza z książek, *Kierunkowa historia teatru na świecie w XX wieku*, ma charakter przeglądowy. Wywodząc od ogólnej charakterystyki teatru w XX wieku naszkicował budość to historyczne i cywilizacyjne dla zjawisk, jakie obserwujemy we współczesnym teatrze, a także główne prądy w sztuce teatralnej, które zyskały określenie Wielkiej Reformy. Tę Reformę przebadal autor wcześniej w odrębnej książce (*Wielka Reformy Teatru w Europie, Ładzie – idee – zdarzenia*, Wrocław 1984), tu zawarł jej odwołanie w rozdziale poświęconym teatrowi w Europie. Słoty kontynent zajmuje zresztą uprzywilejowane miejsce w monografii Brauna. Wielkie przemiany sceniczne i w zakresie uprzywilejowania i w zakresie aktorstwa czy scenografii, właśnie tu znajdowały swoje źródło i ślad promieniowania na teatry światowe. Spojrzenie na teatr na innych kontynentach dokonuje się w książce z perspektywy Europy. Autor, który poznał wiele scen światowych, może dostrzec inspirowanie i przekształcanie wzorów pierwotnych. Ale z drugiej Brunn jest też „pokorny” wobec wzorów i tendencji teatralnych tworzonej poza kontekstem europejskim. Tak potraktował autor teatr w Azji, Australii i Afryce. W okresie kultury masowej i multimedialnej, a także na skutek agresywnej polityki unifikującej kultury rodzinne na rzecz „globalnej wioski”, Braun pisze o interkulturowej tendencji w rozwoju współczesnych form teatralnych. Zdziwiamy mnie optymizm autora, który mimo oczywistego kryzysu kulturowego widzi w nim teatr jako miejsce spankula wspólnoty, tworzącej widowisko porażające „zwykły doświadczenie” (s. 211).

Objęcie przez autora: tak rozległego obszaru czasowego (prawie sto lat historycznego [pięć kontynentów], przy równoczesnej zakłajanej treści, obfotografii książki (243 strony)

musiało doprowadzić do ogromnego zsyntetyzowania dziejów dwudziestowiecznego teatru i założyć z góry konieczne potknięcia i redukcje. Skrótowność nie pozostawia jednak pracy Brauna merytorycznej poprawności w przekazie i analizie najistotniejszych przemian, jakie zachodziły w historii teatru minionego wieku. Dyskusyjna pozostaje niekiedy dla historyka teatru przyjęta przez Brauna periodyzacja zjawisk i podana im przez autora hierarchia ważności. Nie zawsze widać wyraźne kryteria doboru materiału i jego prezentacji. Zmysł syntezy idzie jednak w parze z jasnym wywodem. Braun nawet o trudnych zagadnieniach, omawianych w ramach „Wielkiej Reformy Teatru” czy w tzw. drugiej reformie, umie pisać w przystępny sposób. Przydało się jego doświadczenie wykładowcy historii teatru w szkołach teatralnych i na uniwersytetach amerykańskich. Widać wyraźnie, że książka adresowana jest do miłośników teatru a nie do badaczy poszczególnych jego form. Różnorodność prezentowanych zjawisk, niekiedy tylko sygnalizowanych (np. z obszaru Azji, Afryki i Oceanii), wzbogacają liczne zestawienia i bity informacyjne, dają najważniejszych premier, wykazy sztuk, nazwiska reżyserów etc. Wypomnienie i pozwała mieć uzasadnioną nadzieję, że publikacja osiągnie zamierzony cel – przyczyni się do popularyzacji wiedzy o teatrze i poszerzy grono jego miłośników.

Drugą książką, *Kieszonkowa historia teatru polskiego*, to poważne opracowanie naukowe, które wypełnia brak syntetycznych ujęć historii naszego teatru. Kazimierz Braun jest drugim historykiem teatru, który podjął się napisania syntezy dziejów naszej sceny narodowej. Wcześniej zrobił to Zbigniew Raszewski wydając w 1977 r. *Krótką historię teatru polskiego* (Warszawa: PWN). Wówczas, wobec braku całościowych opracowań dziejów teatru w Polsce, książka ta zainicjowała szczególne miejsce w polskich badaniach nad historią teatru. Raszewski objął w swojej pracy okres od połowy XIII wieku aż do 1939 r. Omówił organizację życia teatralnego, przemiany stylów w sztuce aktorskiej, reżyserii i dramaturgii w odniesieniu do rozwoju teatru w Europie. Przystępny język, a nawet eselastyczna „lekkość” stylu sprawiły, że prace Raszewskiego stały się podstawowym podręcznikiem dla badaczy teatru i teatrologów w Polsce. Dala początek serii prac indywidualnych i zespołowych nad dziejami teatru polskiego (w l. 1977–1988 w Instytucie Sztuki PAN powstała wielotomowa seria *Dziejów teatru polskiego* [pod red. Tadeusza Siverin]). Książka Raszewskiego stanowiła dla tych prac punkt odniesienia i potwierdzenie wielu szczegółowych tez i obserwacji naukowych.

Książka Brauna wyrasta z zupełnie innych przesłanek i potrzeb. Wobec ugruntowanej i stale poszerzającej się wiedzy z zakresu historii teatru wara było zapotrzebowanie na syntezę popularniejszą, nie tyle uzupełniającą potrzeby nowych badań, ile odwołującą się już do istniejącej literatury przedmiotu. Wydaje się, że prof. Kazimierz Braun właśnie taki cel sobie postawił. W *Uwagach wstępnych do Kieszonkowej historii teatru polskiego* czytamy: *Zamierzenie moje było podwójne: opowiedzieć pewną historię, a historia teatru polskiego to opowieść fascynująca, oraz napisać studium naukowe oparte na faktach i danych. (...) Zauważę zarazem bardzo wiele moim nauczycielom i autorom dzieł, z których korzystałem, a zwłaszcza Ireneu Sławińskiemu, Zygmuntowi Szewcykowskiemu i Zdzisławowi Raszewskiemu: jestem ich – zawsze wdzięcznym – dłużnikiem; (s. 7).*

Na ile polskiej historiografii teatralnej książka Kazimierza Brauna ma pewną specyficzną cechę: autor wykorzystał przy jej pisaniu nie tylko wiedzę historyczną, pozwalającą dokonywać interpretacji materiałów badawczych, ale również swoje doświadczenie warsztatowe jako dyrektora teatru, reżysera, inscenizatora i autora dzieł dramatycznych. Te kwalifikacje, rzadkie wśród teatrologów, powiększyły instrumentarium badawcze wykorzystane w tworzeniu syntezy. Wysokie wyznaczenia kompetencyjne, jakie tego typu dzieła stawia przed historykami teatru, zostały tu spełnione. Książka napisana jest z dużym znuwaniem, swobodą w posługaniu się po obszernym materiale historycznym. Atutem Brauna są jego wcześniejsze książki podejmujące zagadnienia historii teatru w Polsce: *Teatr polski (1949–1989)*, *Obszary wzniości – obszary gwałtowności* (Warszawa 1994), *Szkice o ludzkości teatru* (Warszawa 1996). Stanowią one zupełnie biurowe autora i dają mu możliwość dokonywania właściwej i konsekwentnej selekcji faktów bez popadania w uproszczenia.

Opowiedzieć na kilkunastu stronach dramatem tego dnia historię teatru w Polsce (niepodległej od XI do XVIII w.) może tylko autor znający dobrze źródła i problematykę badawczą tych epok. Braun omawia w tym rozdziale teatr średniowieczny, renesansowy, barokowy i oświeceniowy, aż do powstania sceny państwowej i aktywności Wojciecha Bogusławskiego. Podjął to za historykami teatru śledząc genezę teatru burżuaznego oraz rozwój form dramatycznych wynikających z obrzędowości Różnego Narodzenia, Wielkiego Postu i Zmartwychwstania Pańskiego. Znamienne jest dla badacza ciepłe odwołanie się do zjawisk obserwowanych w historii teatru światowego. Polskie realizacje dramatyczno-teatralne z tego okresu ganiłbyś wówczas wyrzucił. Ta metoda pozwala autorowi pokazać działości, które odzwierciedlają tendencje ugruntowane już w teatrze europejskim, bądź – w pewnym przekształceniu – teatru polskiego wobec zjawisk światowych. Tak jest z historią misjonarstwa i moralitetu. Braun słusznie podkreśla rangę i rozmiary inscenizacji podejmowanych na zachodzie Europy, podczas gdy w Polsce zwracamy jedynie uwagę na mniejszym zakresie i skali. Autor zatrzymał się dłużej tylko nad awanturami tekstualnymi dramat miedzy innymi reprezentuje *Historię o chwalebny Zmartwychwstaniu Pańskim*, a Starego umierającego przedstawia

polską odmianą moralitetu. Szkoda, że w sumarycznej tabeli lub w przypisie nie zaznaczył rozwoju tej formy dramatycznej w okresie późniejszym, gdy dzieła polskich autorów sięgnęły szczytów europejskich, np. Antonima Górnickiego *Tragedia o Bogaczu i Łazarzu* (z 1643 r.).

Proces kształtowania się głównych ośrodków władzy królewskiej i magnackiej był bezpośrednio związany z rozwojem scen teatralnych. Autor *Kieszonkowej historii teatru polskiego* zwraca też uwagę na przeszkody pojawiające się w procesie rozwoju scen w naszym kraju. Zazwyczaj twórców sztuk teatralnych swoim protektoratem otaczał dwór królewski. Tak wyglądało to na Zachodzie, w Polsce mecenatem funkcjonował na innych zasadach. Sprawiający władzę w Polsce musieli rozwiązywać wiele konfliktów społecznych wewnątrz państwa, a także dawać odpór bardzo licznyim wrogom zewnętrznym. Jednak brak zorganizowanej opieki władzy nad kulturą, a w szczególności teatrem, miał też dobre strony. Dał impuls do tworzenia się samostanowiących tradycji regionalnych. Braun zauważa znaczący wpływ na rozwój sztuki teatralnej w Polsce obrzędowości bożonarodzeniowej, w której kręgi powstawiały jasełka i sztuki kolejno, czy zwyczajnie wielkopostne nierzalone w formach parateatralnych (procesje, czuwania przy grobie Chrystusa). Te tradycje kultywowane są w Polsce do dziś.

Sporo idejów poświęcił autor działaniom scen szkolnych i zakonnych, najpierw jezuickich, a później pijarskich, odciskających swoje piętno na kształcie teatru późnorenansowego i barokowego. Przełomowym momentem w dziejach polskiego teatru było powołanie przez króla Stanisława Poniatowskiego w 1765 r. sceny państwowej. Autor wprowadza czytelnika książki w genezę tej decyzji, okazując atmosferę tamtych lat. Tu również przydatna okazała się jego wiedza z zakresu historii teatru europejskiego. Przywołany kontekst rozwoju teatru na Zachodzie pozwala lepiej zrozumieć cele i założenia decyzji podjętej przez króla, gdy powoływał do istnienia polski zespół teatralny. Głównym bohaterem tej części książki jest oczywiście Wojciech Bogusławski, szczególnie od roku 1782, gdy objął kierownictwo narodowego zespołu.

Dla zobrazowania przebiegu i pokazania najważniejszych nurtów repertuarowych w kierowanym przez Bogusławskiego zespole sięgnął Braun po najnowsze ustalenia badaczy polskich i obcych. Tworzy tabele, zestawienia i rejestry logicznie wplecione w tekst książki lub prezentuje je jako rodzaj podsumowania poświadczającego głównie trzy sprawy. Ukazując tendencje repertuarowe scen europejskich ujawnia wyraźnie kierunki rozwojowe teatru polskiego i jego oryginalność. Zakończoną wplecioną są w tekst wywodu historyka teatru tablice i zestawienia sumaryczne zjawisk kulturowych i teatralnych, jakie miały miejsce w danym okresie. Dla renesansu jest to wykaz przedstawień w Krakowie na początku XVI w. Barok i oświecenie mają wykaz teatrów dworskich, jakie działały w XVII i XVIII w. wraz z nazwiskiem reżysera, który tymi zespołami zarządzał. Kluczowy dla historyków teatru moment powołania sceny narodowej Braun omawia też w kontekście działalności w XVIII w. teatrów warszawskich, zaś kulturalny jego okres 1791–1794 zamyka zestawieniem sztuk patriotycznych granych wówczas przez Bogusławskiego. Dla „ojca sceny narodowej” umieszcza biograficzny wyciąg z jego życia.

Kolejną część książki wypełnia refleksja o teatrze polskim pod zaborami (1795–1918). Opracowanie tego odcinka dziejów naszej sceny to kolejne „wyzwanie”, które podjął Kazimierz Braun w swojej książce. Jest to okres tak różnorodny i heterogeniczny w skutkach dla całej kultury polskiej, w tym także teatru, że każde opracowanie stanowi ogromną trudność metodologiczną i materiałową. Okres zaborów, powstań narodowych, rewolucji i napięć społecznych, tragicznego uciśnienia Polaków w epoce napoleońskiej, aż do kresu tego rozdziału, jakie wyznaczyły również tragiczna wojna światowa, to obszar ogromnych dzieł teatralnych. Braun pisze w swojej książce: *Teatr starał się wyrazić głębokie aspiracje narodu, jego życie duchowe. Dzięki własnemu uporowi, wytrwałości i świadomości, a za przyzwoleniem historii, teatr pozostał jedną z nielicznych narodowych instytucji, które przetrwały katastrofę rozbiórów. Paradoksalnie, działając w ogromnie trudnych warunkach, wydał wielkie dzieła, przyczynił się do przetrwania narodowego języka i narodowej inteligencji Polaków (s. 58).*

Ten niespokojny czas braku niepodległości to jednocześnie okresy rozkwitu literatury romantycznej, pozytywizmu i Młodej Polski i równocześnie rozwijanej historii teatru. Różnorodność tendencji społecznych i politycznych, przemiany estetyczne w sztuce i sposobach kształtowania wrażliwości artystycznej, doszły się więc przybliżyć i ująć. Autor wyznaczył trzy fazy rozwoju teatru na terenie Polski. W fazie pierwszej ważną rolę odegrały działania zmierzające do ugruntowania polskiego charakteru scen teatralnych działających w podzielnym między zaborcami kraju. To przedświadczenie stanowi też i punkt wyjścia autora książki, gdy analizuje narodową misję teatru od utraty niepodległości do powstania listopadowego (s. 57–71). Śledzi powstawanie i toż samostanowiących, które tworzyły się poza Warszawą (1765) jeszcze przed ostatnim rozbiorem: Kraków (1773), Łódź (1774), Wilno (1782), Lublin (1782), Poznań (1783). To właśnie te sceny i ich dyktatorzy będą utrwaliły ideę polskiego teatru. Braun przywołuje dokonania najwybitniejszych ludzi teatru tego okresu: Ludwika Osikańskiego, Ludwika Dmochowskiego, Bonawentury Kudłacza, Alojzego Żółkowskiego, Józefa Nepomucena Kamińskiego, Józefa Kłoczewskiego i innych. Tylko w Kościele katolickim i w salach teatralnych, mimo polityki

rusyfikacyjnej i germanizacyjnej, brzmiał język polski. Nadaje to teatrowi tego czasu moralny status instytucji broniącej narodowych tradycji. Decydującą rolę w tej misji odegrał po roku 1830 repertuar polskich teatrów. Braun określa dalsze teatry w latach 1830-1864 jako teatr o wielki repertuar narodowy. Przedstawienia dramatów Słowackiego wytyczać będą kierunek rozwoju sztuki teatralnej aż do końca XIX w. i później, gdy wraz z dwudziestowiecznymi już realizacjami *Dziadła* Mickiewicza, dramatów Krasńskiego, Norwida i Wyspiańskiego, staną się one najważniejszymi osiągnięciami sztuki teatralnej w Polsce. Dla autora *Kieszonkowej historii teatru polskiego* ważne były też decyzje administracyjne związane z organizacją życia teatralnego i powstanie nowych budynków teatralnych. Nowe gmachy w najważniejszych miastach (Warszawa, Łódź, Kraków, Poznań, Lublin, Lwów) wyznaczały możliwości rozwoju sztuki inscenizacji, aktorstwa, scenografii. Dzięki sceny umożliwiały wprowadzenie przemian w zakresie gry aktorskiej i nowych koncepcji scenograficznych.

Drugą fazę przypadającą na drugą połowę wieku XIX jest według Kazimierza Brauna „wiekiem aktora”. Sztuka sceniczna położyła największy akcent na wykonanie aktorskie, a nie na sam tekst dramatyczny. Dość znaczenie odegrali w tym procesie twórcy „szkół teatralnych”: Jan Nepomucen Kamiński („szkoła lwowska”) i Stanisław Kozłowski („szkoła krakowska”). W Warszawie nastąpiła dominacja „teatru aktorskiego” określona przez historyków teatru jako „epoka gwiazd” i „aktorstwa”. Przez sceny polskich teatrów przebiegały się takie „gwiazdy” jak: Helena Modrzejewska, Jan Królikowski, Bolesław Leszczyński, Wincenty Dąbki, Antonina Hoffman i inni. Kazimierz Braun w tej części książki wykorzystał nie tylko wiedzę historyka teatru, ale także przede wszystkim znaną z sztuki aktorskiej, którą jako reżyser i dyrektor teatrów sam wyżył i kształtował na przykład realizowanej przez siebie inscenizacji.

Dzieje teatru w końcu XIX i na początku XX w. są dla Brauna okazją do postawienia kolejnej ważnej tezy: dojrzeła wówczas koncepcja teatru jako sztuki autonomicznej, podlegająca za sobą potrzebę reformy. W historii teatru powszechnego jest ona określana jako Wielka Reforma Teatru. Stanowiąc będzie dla autora książki tło przemian w polskim teatrze tego okresu. Wybitni polscy inscenizatorzy: Tadeusz Pawlikowski, Józef Kotarbiński i „artyści teatru” Stanisław Wyspiański wprowadzili teatr polski w obszar głównych przemian Wielkiej Reformy. Geniuszowi Wyspiańskiego poświęcił Braun oddzielny podrozdział, bo też autor *Wzrostu* wpłynął najbardziej na kształt przyszłej dramaturgii i dożywe impulsy twórczości sztuki teatralnej w późniejszych latach. Wobec ogromnej już dziś literatury przesłanotu spojrzenie na Wyspiańskiego jest w recenzownictwie tak książeczką świeżo i odkrywczo. Kazimierz Braun patrzy na jego dramaty pod kątem rozwijanych w nich wizji inscenizacyjnych. Jego zdaniem Wyspiańskiego zajmowała najbardziej relacja pomiędzy sztuką a rzeczywistością. Problem świata wykreowanego na scenie i rzeczywistości pozateatralnej wyprowadzi osłabienie autora *Akropolis* poza teatr, w przestrzeń rzeczywistości, w plenery realnie istniejące w miastach (Łazienki w Warszawie, Wawel i Katedra w Krakowie) i ukształtowanie terenu górskiego (Tatry). Braun pozostawia otwartym pytanie o koncepcję teatru Wyspiańskiego, który jednocześnie demitologizował i sakralizował sztukę teatru, pozostawiając największym twórcą nowoczesnego teatru.

Kolejny okres dziejów teatru w Polsce zamyka Braun datując 1918-1939. Nie jest ten czas dla autora książki oddzielnym etapem rozwoju sztuki teatralnej. We wcześniejszych swoich książkach na temat przemian w teatrze XX wieku ustalił główne denty procesów zachodzących w sztuce teatru polskiego. Podobnie jest w *Kieszonkowej historii teatru polskiego*: Wielka Reforma Teatru jest ciągłym przemianami rozpoczynającymi się w ostatniej dekadzie XIX wieku, a zakończonymi dopiero w latach czterdziestych XX w. Zapoczątkowane w modernizmie przemiany wiodą w okresie II Rzeczypospolitej w stronę realizacji praktycznej. Dokonują się w tym czasie według Brauna trzy ważne reformy teatralne: aktorska, inscenizacyjna i przestrzenna teatralna. Autor poświęca im kolejnie podrozdziały tej części pracy.

Najwybitniejszym reformatorem sztuki aktorskiej jest jego zdaniem Juliusz Osterwa (1885-1947). Nowe „wzruszenie” teatru i polskowowe koncepcje gry aktorskiej realizował w kierowanym przez siebie teatrze Reduta (w Warszawie i w Wilnie). W powiązaniu z Osterwą kształtowali swoje aktorstwo Karol Adwentowicz, Aleksander Zelwerowicz, Ireneuś Salska, Wanda Siemaszkowa, Kazimierz Jurasz-Siępnowski i przede wszystkim najważniejszy aktor Reduty, Stefan Jaracz. Reformę inscenizacji omawia Braun w kontekście dokonania Leona Schillera (1887-1954). Podkreśla jego osiągnięcia organizacyjne jako dyrektora teatrów, twórcy Wydziału Reżyserii Państwowego Instytutu Sztuki Teatru w Warszawie, ale przede wszystkim jako inscenizatora i reżysera. Braun wskazuje na nowatorstwo i monumentalizm realizowanych przez niego dramatów romantycznych: *Me-Boskiej komedii* Krasńskiego (1926 i 1938), *Kordiana* Słowackiego (1930, 1933, 1939) i *Dziadła* Mickiewicza (1932, 1933, 1934, 1937). W realizacjach teatralnych Schillera dostrzega Braun spełnienie postulatów Wielkiej Reformy Teatralnej. Obok tego wielkiego inscenizatora wyrasta cała grupa twórców, którzy współpracując z nim bądź podobnie myślnie sztuce teatru jako sztuce autonomicznej. Należeli do nich: Wilam Horzyca, Edmund Wierciński, Wiesław Radulski, Juliusz Osterwa, Teofil Trzebiński, Ryszard Ordynski i wielu jeszcze innych. Ich sylwetki umieścił Braun w swojej pracy. Stworzyli oni, jego zdaniem, polski

teatr inscenizacji, powiązany z narodową tradycją i kulturą, a równocześnie świadomy dokonujących się przemian w teatrze na świecie i w lunie samej istoty sztuki teatralnej.

Te przesłanki decydowały o trzecim obszarze manifestującej się wówczas reformy, o przestrzeni teatralnej. Autor wydzielił to zagadnienie świadom konsekwencji, jakie reforma przestrzeni teatralnej, czyli artystycznie rozumianej scenografii, przyniesie dla kolejnych pokoleń twórców i współczesnego teatru w Polsce i na świecie. Wśród najważniejszych dokonani scenograficznych tego okresu znanymi się prekursorskie prace Ferdynanda Ruszczyca w teatrze Wileńskim i Karola Frycza, związanego z teatrami w Warszawie i w Krakowie. Obok suchy wielki udział w tworzeniu scenografii w latach Wielkiej Reformy, szczególnie w fazie jej dojrzałości, jaką przypadła w drugim dziesięcioleciu epoki, odegrały prace scenograficzne Wincentego Drabika, Andrzeja i Zdzisława Pronaszków, Jan Galla. Dzięki tym twórcom teatr polski szybko osiągnął wysoki poziom artystyczny, liczący się w skali Europy, a równocześnie wytworzył specyficznie polski styl widowisk, zarówno monumentalnych, opartych na dziełach romantyków, jak i współczesnych, często eksperymentalnych i dyskusyjnych, inspirowanych się dziełami scenicznymi Stanisława Ignacego Witkiewicza i dramaturgią eksperymentalną.

Łasy teatru w okresie II wojny światowej (1939-1945) i później, związane z niewolą stalinowską (1945-1956), omawia Kazimierz Braun razem w jednym rozdziale swojej książki, stawiając w ten sposób ostro tezę, że dla teatru polskiego równie niebezpieczny był hitleryzm jak i stalinizm. Z konieczności teatr polski w okresie II wojny światowej odwołany został skrótkowo, niemal encyklopedycznie. Autor ograniczył się do wyliczenia strat poniesionych w wyniku wojny przez kulturę polską, a w szczególności przez teatr. Wymienia działania, które zostały wyniszczone przez rozmaite okoliczności związane z wojną i ograniczenia w zakresie sztuki inscenizacji (teatr obozowy, tworzący przemieszczającą się armię, teatr działający tajnie etc.). Braun wypisuje tu także działania podjęte przez twórców teatru emigracji: w USA, Francji, Anglii. Wszystkie te działania uzyskały w książce Brauna wysoką rangę: heroizm i odwagę twórców, którzy nieraz w ekstremalnych warunkach przyspieszali sztuki teatralne (np. Stefan Jaracz w Oświęcimiu), świadczyły o sile teatru wojennego i o jego przetrwaniu.

Zupełnie inaczej rozwijać się będzie teatr w drugiej fazie niewoli, w czasie stalinizmu. Braun wypisuje daty i decyzje władz zmierzające do likwidacji niezależnego myślenia i działania w dziedzinie kultury. Do roku 1949 żyła była tradycja teatru nawiązująca do okresu II Rzeczypospolitej. Aktorzy i reżyserzy informowani jeszcze przed wojną, tworzący teatr inscenizacji, stali się z modelem sowieckim, podporządkowanym polityce kulturalnej realizowanej przez władze. Przywoływane przez Brauna decyzje o zmianach kadrowych na stanowiskach dyrektorów teatrów, likwidacja scen (np. Teatr Rapsodyczny), cenzorska kontrola nad repertariem, to tylko niektóre represyjne działania wymierzone przeciwko teatrów artystycznym i realizowanej – niezależnej od ideologii – inscenizacji. Przypominał także, że koniec lat czterdziestych i lat pięćdziesiątych to czas, gdy zmarło wielu wybitnych reżyserów: Teofil Trzebiński (1952), Leon Schiller (1954), Edmund Wierciński (1955), Wilam Horzyca (1959). Zmarli też znakomici aktorzy: Stefan Jaracz (1945), Juliusz Osterwa (1947), Józef Wygrzyn (1952), Aleksander Zelwerowicz (1955), Karol Adwentowicz (1958). Te losowe i niezależne od ludzkich planów straty, jakie poniósł teatr polski, w nieznym nie osłabiły politycznej walki „animatorów” socjalistycznej wizji teatru. Wykaz ważniejszych wydarzeń teatralnych z tego okresu, jaki autor książki zestawia na s. 183), pełen jest wprowadzanych wówczas zakazów i nakazów, ograniczeń repertariowych, zamknięć teatrów, likwidacji etc. Wśród reżyserów, którzy uzyskali aprobatę władzy i zrobili szybko „karierę” teatralną, Braun wymienia Bolesława Korzeniowskiego, Kazimierza Dejmka, Lidę Zankow, Józefa Witulskiego, Ludwika Reś. Ich teatr, choć niekiedy osiągał wysoki poziom artystyczny, spełniał w większości cele ideologiczne i polityczne, wyznaczane im przez władze. I podlegał w zakresie repertariu oraz jego scenicznej interpretacji działaczom partyjnym. Socjalizm w teatrze prowadził z jednej strony do zalewiania politycznego, a z drugiej wyjątkowo estetycznej i stylizowanej sztuki inscenizacji, cofając proces reformy teatru i spychając jego repertuarowe możliwości. Braun w ostrych kolorach kreśli tę katastrofę sztuki teatru i wskazuje jednoznacznie na jej „produktyw”, którzy przez swój oportunizm przyczynili się do tego stanu rzeczy.

Kolejny wyodrębniony rozdział obejmuje lata 1956-1980 i określony został przez Brauna jako okres „realnego socjalizmu”. Znaniejszymy się dyskusjom czasowy do omawianych tu zdarzeń, spowodował pojawienie się zwiększonej ilości tabel i wyliczeń zjawisk, tłumaczących iropię zachodzących przemian, ale zrobiłby to komentarz autora. Krótkotrwałe teatralne „odwilż” 1956 r. pokazana została poprzez wykaz zmian repertariowych w teatrach, zarówno w zakresie dramatów polskich, jak i obcych. Autor podał też wykaz scen alternatywnych, świadczących o rosnącym się sprzeciwie wobec polityki kulturalnej centralnie sterowanej przez partię komunistyczną. (Nota bene w tym ostatnim zestawieniu wkroczył błąd: pierwszym teatrem niezależnym jest powstały na KUL-u w 1952 r., a nie jak podano w 1957 r., Teatr Akademicki, gdzie pokazano już w 1954 r. zabronione przez cenzurę *Dziady* Mickiewicza i *Zwastowanie Chodła*, a wkrótce potem Norwida, Bernasaka, Eliota, Chreptę i sztuki Żuławskiego).

HISTORIOGRAFICZNE METAPOWIEŚCI?

Polski pisarz nie spełnia swojego zadania, nie wywiązuje się ze swojej misji dopóki (...) nie wypowie się o tym najważniejszym, co się stało ze jego pamięcią i ze pamięcią jego najbliższych.
Henryk Grynberg

Pojęcie pamięć ujawnia dwuznaczność podobną, choć nie identyczną do dwuznaczności zawartej w samym słowie „historia”.
Antoon Van den Broembussche

Historia jest w istocie historio-grafią.
Paul Ricoeur

Nie jest łatwo pisać o twórcy – zdawałoby się – powszednio z innymi o książkach, które obruszy już setkami komentarzy. Jeszcze trudniej pokusić się o ujęcie dołofejowe, monograficzne; najmuśniej chyba także zamierzenie zrealizować. Zawsze bowiem w takich sytuacjach pojawia się niebezpieczeństwo powielania, nieporozumienia i nadmiernej przytoczeń, wreszcie zgubnego odwrócenia literatury, kiedy ważniejsze stają się dotychczasowe ustalenia krytyków i badaczy literatury od samej literatury. Tak dzieje się zazwyczaj kiedy potrzebny głos, a więc potrzeba dodatkowych, własnych wyjaśnień jakiegoś dzieła, rozmiła się z pragnieniem czytelnika, albo kiedy – co gorzej – takiego pragnienia w ogóle nie ma. W przypadku książki Magdaleny Rabizo-Birek *Miedzy mitem a historią. Twórczość Włodzimierza Odojewskiego* sytuacja jest zaledwie odwróceniem. Fascynacja twórczością autora cyklu powieściowego i poznawczą pasją są widoczne na każdym kroku, począwszy od ogólnych wskazówek dotyczących układu tej publikacji, aż po wyznaczenie w *Zakończeniu: Impulsem do pojęcia* przez mnie przed kilku laty badania dorobku Włodzimierza Odojewskiego było urzeczanie jego powieści *„Zasypie wszystko, zawieje...”*. Owełam oczarowaniu towarzyszy rzetelność w opracowywaniu materiału – skrupulatne odnawianie wcześniejszych opinii i rekonstrukcja poglądów zawsze idą tu w parze z wnikliwą lekturą i odważnym stawianiem pytań. Badaczka nie zmiela się więc w *scriptora*, biernego „przepisywacza”, lecz proponuje własną, możliwą i myślną, „ciągłą szperanie i smakowanie”, „drogę ludzłą” (M. Montaigne). Czyta przy tym głośno, często przywołując obszerne fragmenty utworów. Czyta, nawet te najkrótsze, umiarkuje, sytuuje je w obrębie kulturowych i humanistycznych, które często są niebezpieczne dla zrozumienia wyników opowiadania czy powieści. Takie podejście do tekstu umożliwia nie tylko budowanie tez czy przeprowadzanie argumentacji (więcej – takie stwierdzenie byłoby nad wyraz banalne), ale przede wszystkim ujawnia cennie obecne nastawienie rewizjonistyczne, rozwijające się w dwu kierunkach, w oczywisty sposób uzupełniające od dzieła (rozumianego zarówno jako dołofejowy dorobek, jak i konkretny utwór) Odojewskiego do interpretacji oraz od komentarzy (zewnętrznych) do komentarzy (wewnętrznych). Podobny mechanizm uruchamia się u odbiorcy: tutaj jednak drogą wiedzie od komentarzy do re-lektury, a więc powrotu do przeczytanych niegdyś książek, do *Zasypie wszystko, zawieje*, do *Oksany...* W przeciwieństwie zatem do takich opracowań naukowych, które zamiast inspirować, pobudzać do myślenia i skłaniać do ponownej lektury, po prostu nudzą (a jest ich wiele niemało), praca Magdaleny Rabizo-Birek o Odojewskim nie tylko spełnia wymogi monografii, ale też odgrywa rolę szczególną – rolę mediatora. A taka własność – można by ją nazwać „aktywnym pośrednictwem” – zawsze jest niezwykle pożądana i to bez względu na to, czy danemu omówieniu patronuje duch historycznoliteracki, porządkujący, zamierzony w diachronii, czy krytyczny, który upodobał sobie rozpoznawanie rytmów współczesności.

Już tytuł książki – zgodnie z ideą „aktywnego pośrednictwa” – skłania do namysłu. Nie zawiera opozycji mit – historia, lecz łączy ją przestrzenią „pomiędzy”. *Miedzy mitem a historią* mieści się twórczość Włodzimierza Odojewskiego, między mitem a historią należy też chyba szukać przyczyn fenomenu Ukrainy w polskiej kulturze. Wiadomo, że pisarz zafascynowany był pamiętnikarstwem z okresu wojen hajdamackich. W rozmowie z Bronisławem Mańkowskim tak mówił o wrażeniach, jakie wywarł na nim styl tych relacji: „Była to dla mnie językowe, stylistyczne odświeżenie. (...) Opis wydarzeń, opisy obozowania, dialogi, myśli, pejzaż, wszystko. Jeden wielki natłok, lawina, strumień. Tymczasem sobie wtedy, ci ludzie nie mieli wprawy w przenoszenie swych wrażeń na papier, nie umieli inaczej pisać. To jednak stało się fantastycznym odkryciem stylistycznym. Ten typ zdania – strumienia wydł mi się ciekawszy, nowocześniejszy niż wszystko inne, co do tej samej chwili gdziekolwiek przeczytałem. Myślę, że od świadomego podrażnienia tych osiemnastowiecznych panoptików, tych osiemnastowiecznych relacji, zaczął się mój styl.” Magdalena Rabizo-Birek nie rozwija tych wątków (odsyła do pracy J. R. Krzyżanowskiego: *Odojewski a źródła*), przypomina je tylko, by zadać, kto wie czy nie najważniejsze, pytanie: *Jaka jest prawda o zagładzie kresów Włodzimierza Odojewskiego?* (s. 13). Nie do końca jak była „prawda w ogóle”, nie ogranicza się też do przekazów ściśle historycznych (co zresztą owe przekazy ściśle historyczne miałyby ozna-

Wywołany w wyniku „odwilży” margines swobody teatr polski będzie poszerzał w okresie tak zwanej mniej stabilizacji w latach 1960–1980. Ten okres interakcji zna już nie tylko jako historyk teatru najnowszy, ale jako jego współtwórcę i uczestnik zachodzących w jego łonie przemian. To tłumaczy z jednej strony dość krytyczną ocenę wielu inicjatyw podejmowanych przez reżyserów z jego okresu, a z drugiej – zasadnicze pragnienie ukazania osiągnięć teatralnych tego pokolenia. Autor wskazuje najpierw na twórcy wkład tych reżyserów, którzy mieli okazję współpracować jeszcze z niewybibitnym i budzący kontrowersje II Rzeczypospolitej: Józef Szajna, Jerzy Kreczman, Erwin Aker, Andrzej Wajda. Cóż nie wielki wyrost, grupa nowych twórców, którzy wyraźnie odcisnęli swój ślad w tworzeniu wartościowych inscenizacji teatralnych tego okresu: Jerzy Jarocki, Jerzy Grzegorzewski, Zygmunt Stępień, Konrad Swinarski, a wśród nich, słusznie, autor książki wymienia też siebie. Najważniejsze wzbogacenie repertuaru teatralnego tych lat dokonało się według Brauna dzięki inscenizacjom sztuk Mročka, Różewicza i Kurpawicza oraz inscenizacjom współczesnej literatury światowej.

W omawianym czasie rozwinęły się także sztuka aktorska. Obok starszych, ale wciąż działających na scenie aktorów, jak Jacek Woszczerowicz, Władysław Iłgicz, Irenej Bieleńska i inni, najwybitniejszymi stali się Gustaw Holoubek, Tadeusz Lomnicki, Halina Mikołajewska, Andrzej Szczepkowski, Andrzej Łapiński, Zofia Mrozowska, Aleksandra Śląska, Krystyna Bieleńska, Jan Englert, Andrzej Seweryn, Olgierd Łukaszewicz, Daniel Olbrychski, Piotr Fronczewski, Wojciech Pruszyński. Podobnie ze scenografią. Przeżywała wówczas swój czarny dzień i twórczość aktorów jak Jan Kosiński, Andrzej Majewski, Marian Kozłowski, Jadwiga Puzakowska, Ewa Starowieyska, Zenon Szustakiewicz, Krystyna Zachwatowicz.

Ten bogaty w osobowości i twórczości okres wywarł też przeobrażenia w rozwoju teatru eksperymentalnego i autorskiego. Braun nazywa ten obszar Drugą Reformą Teatru, dla podkreślenia związku z Wielką Reformą Teatru, ale i po to, by wskazać na negatywne propozycje, jakie się wówczas pojawiały. Twórczość Jerzego Grotowskiego, Tadeusza Kantora, Leszka Mądzika, Teatru Ósmego Dnia, Gardzienice, to najważniejsze punkty tego procesu, rozwijającego się chronologicznie od fazy współzawodnictwa (lata 1960–1975), do fazy „nowego rytuału” (1976–1990). W tej rozprawie zjawisk nie zapominał Braun o wydzieleniu teatru „opozycyjnego” wobec władzy: Teatru Radoszyńskiego i teatrów emigracyjnych.

Skrótów o, ale z dużą ilością podanych faktów, omówił Braun osiemieć dwudziestolecie teatru polskiego 1980–2000. Znaczącymi dla niego datami otwierającymi obszary wolności stały się początek postylikatu Jana Pawła II, Nagroda Nobla dla Czesława Miłosza i powstanie „Solidarności”. Gwałtowna reakcja władzy i wprowadzenie stanu wojennego nie zatrzymały fali wolności. Teatr włączył się do walki politycznej. Aktorzy po 1981 r. rozpoczęli bujną urzędowo tworzoną życie teatralne. Powstawały teatry opozycyjne, realizowano sztuki w kościołach i w prywatnych mieszkaniach. Triumfy odnosiły teatry autorskie Kantora, Szajny, Mądzika, Stankiewicza. Równocześnie władza usiłowała podzielić środowisko teatralne, przeciągając na swoją stronę wielu aktorów i reżyserów, by tworzyć, jak go nazywa, „teatr zdominowany”. Z tej kampańi wyniesionej w wolność teatr rzeczywiście wyszedł on podzielony i „pobudzony” polityką.

Opisując najnowsze dzieje teatru w Polsce Kazimierz Braun nie traci wiary w jego siłę. Wylicza młodych reżyserów, ponad 20 nazwisk (młodość młodości Krzysztofa Babińskiego, Andrzeja Dzińskiego, Macieja Wojtyzę, Ryszarda Ciepińskiego) jako tych twórców, którzy przejęli najlepsze wzory sztuki inscenizacji, tworząc własne i twórcze przedstawienia. Braun wskazuje również na nowe trasy alternatywne, docenia prężnie rozwijające się ośrodki teatralne w kraju i wśród Polonii na Zachodzie i Wschodzie. Książka kończy się optymistycznym akcentem: *Wiek XXI stawia przed teatrem polskim nowe zadania i wyzwania, konfrontuje z nowymi zagrożeniami i pokusami, otwiera przed nim nowe horyzonty i nadzieje. Dziedzictwo przeszłości da mu siłę stworzenia czegoś przyszłości* (s. 277–278).

Książka profesora Kazimierza Brauna: *Kierunkowa historia teatru polskiego* jest pierwszą próbą syntetycznej historii teatru polskiego. Wraz z *Kierunkową historią teatru na świecie w XX wieku* tworzy opracowanie niezmiernie istotne dla poznania przemian, którym podlegał teatr, rozumiany jako sztuka autonomiczna, współtworząca kulturę światową. Owe publikacje pełne są akcentów lubelskich. Autor „spłaca” niejako dług, jaki zaciągnął wobec tego miasta, z którym łączy go więź rodzinna i miłość przyjaźni, gdzie w latach 1967–1974 był reżyserem i dyrektorem Teatru im. J. Osterwy, gdzie oglądał spektakle Sceny Plastycznej KUL, Leszka Mądzika, gdzie nawiązał współpracę z profesor Iriną Sławińską. Braun podkreśla wprowadzić to związki dyskretnie (podobnie jak swoje doświadczenia wrocławskie, ale są one dowodem na to, że historia teatru polskiego i światowego ma swoje lubelskie „przystanki”). Bibliografie, zestawienia, wykazy to dodatkowe atuty obu książek. Największym atutem jest jednak piękny język, kultura wykładu, przejrzystość. Książki te napisał naukowik teatru.

niewinny, ani całkowicie „obiektywny” w swej wymowie). Interesuje ją „prawda Odojewskiego”, a więc recepcja wydarzeń historycznych i ich przedstawienie w utworze literackim. W strukturze cyklu podolskiego odnajduje ponadto analogie do budowy mitu, śledzi powtarzalność zdarzeń, podmiotowość postaci, transpozycje rytmów miejscowych (s. 22-30). Piszze, że Iurijem Lotmanem, o powieściach, w których mit spina się z historią. Podkreśla wartość mitu jako układu porządkującego, ukazującego sens wydarzeń i stanów człowieka losu. Bowiem szeroko rozumiany mit to „nie tyle treść opowieści, którą identyfikował mitom, jako rzeczywisty przejaw *myślenia*, ile forma, zwykle dająca ulojną, ale objawiającą swą moc wówczas, gdy potrzebne są odpowiedzi ostateczne” (W. Burszta).

W prozie Odojewskiego czas mityczny splata się z czasem historycznym, a przedstawione wydarzenia są często króć wpisywane w ramy retrospekcji (s. 28). Pojawiają się wtedy, niemal antonimicznie, następujące refleksje: czy możemy doświadczyć przeszłości (*Can we experience the past?*) to słynna praca historyka czy też filozofa historii Franklina Ankersmita), na czym polega związek pamięci i historii, jak sposoby przedstawienia mogą modelować to, co mówione. Wiadomo, że właśnie na kresach, tym szczególnie „pograniczu narodów, kultur i religii” (M. Ilinion) Odojewski po raz pierwszy zetknął się z okrucieństwem historii, którego skutkiem była ówa *Pierzcha na wyobraźni*. „Kresy to kraj mitów wakacji, nie zawsze sielskich, jak chociażby w roku 1911. Rok wczesniej zakończyły się rzezie żydowskie, nastąpiły ukraińsko-polskie (...) Należę do generacji, która w dzieciństwie zetknęła się z okropnościami wojny. Przeżywalismy śmierć ostrzej niż dorośli. To oddziaływało na wyobraźnię. Rozpadały się rodziny, na ojców gaci na froncie lub w karyńskim lesie, ale domy rozpadały się także w sensie fizycznym. Ludzi wysiedlano, domy pustoszyli i płączyli. Pozostały opuszczone i zagubione sprzety i przedmioty. Tak, świat się walił i ginął (...)” Pojawia się zatem, oprócz wzorów mitacji, jakimi były czytane przez autora powieści bajki hajduckie, kategoria doświadczenia, a ściślej: kategoria doświadczenia historycznego. Oczywiście pisząc o doświadczeniu, zwłaszcza doświadczeniu historycznym, można się narazić na zarzut nieścisłości – wszak „ze wszystkich wynurów słownika filozoficznego najłatwiej pomylić sobie z doświadczeniem” (H.-G. Gadamer). Ale też, jak pisał w *History and Topology* Ankersmit, „wieloletnie wspomnienie przeszłości” – a także właśnie stopy i pokrewne im określenia towarzyszą bohaterom powieści i opowiadań Odojewskiego – „dają najintensywniejsze i najtrwalsze, intensywnie doświadczenie przeszłości” (tłum. B. Domańska). Bowiem „Nostalgia (...) przenosi pomost między rzeczywistością fizyczną a rzeczywistością emocjonalną”. Dlatego też badacz proponuje niezwykle istotne rozróżnienie między doświadczeniem przeszłości (*experience of the past*), czyli „przeżyciem, czymś jednostkowym i niepowtarzalnym, bardzo osobistym, a nawet związanym ze ściśle określonym momentem życia”, a doświadczeniem o przeszłości czy doświadczeniem przeszłości (*experience about the past*) (B. Domańska). Rzecz jasna pisarz nie opiera się na własnym doświadczeniu, nie tworzy rozbułowanej mitologii. Zafascynowany jest przeszłością i jakże skomplikowaną historią Ukrainy. Zdumienie go poraża wszechkierunkowy paradyks ukraińsko-polskiego konfliktu, natychmiast niemal skłaniając się dobra ze złem, szydercze kolebny lilionu. Te wątki były już w jego twórczości wielokrotnie omawiane (wystarczy przypomnieć chociażby prologi *Iwasów* czy *Bliznioty Dni*). Magdalena Rabizo-Birek zwraca jednak uwagę na jeszcze jeden wątek problem – na przedstawienie mitu w *Złotych światłach* czy *Wyspie ocalenia*, liry *Żydów*. Wszak *Tragedia Żydów jest dla Polaków świętym mementem; (...) członkowie obu wspólnot ginią w podobny, okrutny sposób* (s. 52). Wspólnota zagłady nie niweluje jednak poczucia kulturowej odrębności. Żydzi pozostawali *inni*, (...) *Świat i obcy*, (...) *Tak, jednocześnie Dni żył obok nas, my żyliśmy obok nich (Świat i obcy)*. Pomijając, boleśnie i „nieudzielnym”, styknął się z kryzysem przedstawienia, z koniecznością nieustannego, a może i z góry skazanego na niepowodzenie, poszukiwania najbardziej adekwatnej formy. Jak bowiem wypowiedzieć to, czego „nie da się wypowiedzieć”?

„Prawda o zagładzie kresów u Odojewskiego” polega więc na tym, że „Nie jest on po prostu poza rzeczywistością, o której opowiada. Emocjonalnie angażuje się w ewokowaną historię. Czując się dziejcznikiem klęski, spalkobiercą nieszczęsnego roku 1948, przypomina czy może, „rozciąga” bowiem czas do własnej współczesności, a jednocześnie ingeruje w przeszłość” (H. Burszta). Bliżej więc mu do owego doświadczenia przeszłości, które owocuje potężnym nakłanianiem do dialogu, wybiegania i budowania więzi. Tak dzieje się w *Oksanach*, której tytułowa bohaterka prosi: „Opowiedz mi o Kresach”. „Dlaczego mówisz o Kresach. Przecież to Ukraina”, a ona rozśmiała się, „tym jak ty dzisiaj najczystszy mówisz tak, bo więc, żebyś opowiedział o czasach, kiedy to były polskie Kresy”.

Magdalena Rabizo-Birek zajmuje się również pojawiającym się w prozie Odojewskiego (a także w promówkach przez niego nudyjacji Raula Wolna Europa) wątkiem zbrodni karyńskiej, przypominając genezę sporu o literacką wiarę martyrologii Polaków na Wschodzie, który konstruował się głównie wokół dwóch zagadnień: zgodności wersji literackiej z prawdą historyczną oraz zasadności zastosowania do jej przedstawienia właściwego stylu i formy literackiej. Trzeba bowiem pamiętać, że pisarz zetknął się z tym tematem jedynie pośrednio, poprzez akt i opisywane świadectwa (s. 81) i że to właśnie ten brak uczestnictwa w opisywanych wydarzeniach był najczęściej wykorzystywany w zarzutach kłamliwych przeciwko „antystycyzmowi”, bazyli literackiemu ujęciu, które nijk nie mieściło się w obramowaniach prozy

wielką literaturą. Wynika to być może z przekonania, że świadek, podobnie jak miało to miejsce w przekazach biblijnych, to ten co widział i wie, i jako taki może dać świadectwo. Najlepiej świadectwo idealne (świadectwo prawdziwe to przecież nie mitem) – a więc „głęboko „zero myślu”, który z założenia niejaką dąży do całkowitej przezroczystości, do niemożliwego przecież do osiągnięcia efektu „nieścisłości” śladu przekazu.

Dla autora *Wyspy ocalenia* pierwszymi źródłami, jeszcze z czasów wojny, były przekazy rodzinne (możemy więc mówić tutaj o doświadczeniu dotyczącym przeszłości, *experience about the past*), później zapoznał się z relacjami Józefa Mackiewicza. Magdalena Rabizo-Birek zauważa (1) i skrupulatnie wskazuje podobieństwa między tymi dwoma, różnymi przecież w swej genezie i formie, przedstawieniami: sposób obrazowania, emocjonalność, metaforykę. Przywołuje również, tak ważne w tym kontekście, najważniejsze tezy szkicu Mackiewicza *Literatura contra factologia* (s. 97-107). Badacz sposób wykorzystywania przez Odojewskiego kanonicznych tekstów oraz uorylagrowej. Za terminy porządkujące i wyjaśniające służyć jej pojęcia apokryfu i pastaszu, które, jako formy literackie, opierają się na transmutacjach i rekombinacji zastanego materiału. Owa programowa uświadamiająca lagrowych Odojewskiego, o której pisze autorka, wynika także z jego szacunku wobec świadków tragicznych losów i pieczęty w zachowaniu szczególnej formy zapisu. „Pastaszpisarstwo” nie ma w sobie bowiem nic negatywnego, wręcz przeciwnie: „ujawnia i tworzy wyznaję utajoną produktywność, nie zrealizowane możliwości historycznie zmierzowanego pierwowzoru (...) Najprościej rzecz ujmując chodzi tu o dostrzeżenie szansy artykulacji czegoś w taki sposób nie powiedzianego, szansy, jaką daje dialogowa konfrontacja” (R. Nycz). Ze styku rozmaitych źródeł i ich przekształcania początek bierze natomiast zasada apokryfu, wedle której postępuje autor *Zabezpieczania śladów*, rozwija wątki, dopowiada, modyfikuje znaczenia, przez ich wprowadzanie w nowy (...) fikcyjny kontekst (s. 128), zagęszcza i wyjasnia charakterystyczne cechy tekstu-wzorca (s. 134). Rzeczywiście trafny wydaje się również, użyty na określenie prozy Odojewskiego termin *historiograficznych metapowieści* (s. 122). Taka „historiograficzna metapowieść” oferuje bowiem „sens obecności przeszłości, ale przeszłości, która może być poznana jedynie z jej śladów – literackich lub historycznych. (...) Jest podwójna w sposób szczególny, w ten mianowicie, że wpisuje, zarówno historyczne, jak literackie interakty (...)”. A zarówno rzeczywistość, jak i wyobrażenia świata, poznajemy poprzez relacje u nich, tzn. poprzez ich ślady, ich relacje. Ontologiczna granica między przeszłością historyczną a literaturą nie jest zatarta, lecz podkreślona. Przeszłość rzeczywistości istniała, ale „poznać” ją dzisiaj możemy jedynie poprzez jej teksty i tu także tkwi jej związek z tym, co „literackie” (L. Hutcheon).

Jeszcze Topolski, zastanawiając się *Czy historyk ma dostęp do przeszłej rzeczywistości?*, definiował narrację historyczną jako przepisywanie „jednej narracji na drugą (tzn. narracji źródeł na historiografię)”. W przypadku prozy Odojewskiego również mamy do czynienia z taką „redeskrypcją”, z *przekazywaniem historii w literaturę*. Także tutaj „informacje źródłowe (...) spełniają nie tylko rolę realistycznego niłbi czy układu kontrolnego (...) – spełniają także ważną rolę dotąd nieuwypukloną funkcję nieepistemologiczną”, czyli „uzyskiwane za pośrednictwem źródeł historycznych, trudne do zwerbulizowania i odczytania przeszłości na karku rzeczywistości, w którym historyk (lub... pisarz) jest zanurzony. Dla takiego odczytania wystarczą niejednokrotnie drobne informacje (...), które mogą poruszyć wyobraźnię historyka [pisarza] i sprawić, że wejdzie ona w swego rodzaju dialog z przeszłością” (J. Topolski). W twórczości Odojewskiego zyskuje to jeszcze inny wymiar – niebywalej siły ekspresji, dzięki której *człowiek po raz kolejny opowiadania oddziałują ostrzej niż nagie fakty bezpośrednich relacji* (A. Szymańska, s. 202).

Magdalena Rabizo-Birek, analizując tak trudne zagadnienia, jak zgodność literackich przedstawień z faktami historycznymi, wykazała, oprócz pasji poznawczej, nastawienie polemiczne wobec dotychczasowych badań. W tym sensie można też powiedzieć, że jej lektura tekstów Odojewskiego (powieści, opowiadań, dramatów, audycji radiowych, wywiadów, wspomnień) jest „czytaniem dokonującym od-czytania” i dzieje się tak zarówno w przypadku problematyki poruszanej już wielokrotnie, jak chociażby sprawa wojny na Kresach, jak i w przypadku utworów dotyczących pomijanych albo przywoływanych incydentalnie interesujących jej wydarzeń: wykładania przemian polskiej prozy popaździernikowej poczyniona z uwzględnieniem twórczości pisarza z tamtego okresu, a także omówienie jego postawy – *emigranta z wyboru* – wobec stanu wojennego.

Oczywiście wszystkie te uwagi nie aspirują nawet do całostowego omówienia tej książki. Jestem jednak przekonana, że *Między mitem a historią*, dzięki rzetelności i zaangażowaniu autorki oraz proponowanym przez nią rozwiązaniom interpretacyjnym, ma również siłę „przeciwstawiania się zbiorowej amnezji”. O takiej właściwości prozy autora *Oksany* pisał niedawno inny zafascynowany historią promiś – Włodzisław Paźniewski. I także w tym upatruje jej wartości, mając nadzieję, że stanie się „lekturą obowiązkową” nie tylko dla historyków literatury, ale także dla wielu miłośników twórczości Odojewskiego.

Magdalena Rabizo-Birek: *Między mitem a historią. Twórczość Włodzisława Odojewskiego*. Wydawnictwo Książkowe Twój Styl, Warszawa 2002, ss. 254.

SKARGA KLASYKA

Tylko, żeby odbić się tu wreszcie,
przypominam jeszcze po raz
trzeci o zwierzęciu wyobraźnia
pełni. O to nie wieszczę.

Jerzy Zagórski, *Tę, które się trzęsła*

Kocie kręgi szanów. Belkot czarnych fal. Popielary, plany antołów. Mianito z gęstego snu. Oponieże to była czy bajka? I jeszcze jedno zdanie (jedno z kilku): *Nie wiem, co było po śmierci*. W takiej poetyce – poetyce fragmentu – istniałyby i gdyby przyszło mu to wyznaczyć ślady prywatnej lektury wierszy Jerzego Zagórskiego. Pięć słów i niepełna – bo raczej niepełna – lista fraz i wersów, osiągniętych tę częstotliwość semantyczną, która umożliwia zarejestrowanie ich brzmień i rytmów oraz wytrącenie obrazów, których substancję prowokuje oko intelektu. Poetyka bardzo dobrego fragmentu.

Stosunek do strona – i wiersz po wierszu – nabierają przekonania, że poezja to jest w pewien sposób idiosyncrasycznie nieciągła i że stopień nasycenia jej niedociągłością jest na tyle wysoki, iż przyjemniejsza staje się raczej wydobywanie z tych wierszy samych szczytów rozrzuconego tam jąkna niż systematyczna lektura, wierna zamysłowi autorskiemu. I tak rysowałby się linia zasadniczego napięcia wywołanego spożyciem czytelniczego niedo-
nizami i analitycznej konsekwencji pragmatycznie przyjemności kontra rhizmatyzm.

A kiedy wiadomość i obowiązek w lekturze – zniwala być źródłem radości – okazuje się wyłącznie czystą aktywnością intelektualną, wówczas należy mówić albo o braku zgodności między wpisaniem w tekst wyobrażeniem odbiorcy a predyspozycjami czytelnika, albo o tym, że wartość takiej literatury jest bardziej historycznoliteracka niż jakakolwiek inna.

Niebliskie wyprawy. Jerzy Zagórski i poetycka przygoda nowoczesności Andrzeja Niewiadomskiego – książka posiadająca pewne cechy monograficznego ujęcia, portretująca autora *Ostrza mostu* na tle współczesnych perypetii poezji polskiej – przynosi pewne rozstrzygnięcia w tej materii. Studium obrazowe, systematyczne, o jasnym języku dyskursu, w którym rozważa się zagadnienie miejsca należnego Zagórskiemu w poetyce polskiej współczesności (pewnie novina wobec ujęć dotychczasowych) oraz – rzecz bliżej najważniejsza – w którym konsekwentnie wyartykułowany zostaje problem artystycznej młodości jego twórczości. Niewiadomski śledzi ewolucję twórcy Zagórskiego, poszukując miejsca wczesnych, w których rozstrzygały się kształty estetyczne tej twórczości; poddaje obserwacji – badając (miejscami i innymi) melipoezycki wyrost wierszy autora *Czasy Lota* – ich złożoną relację do kwestii mimesis, sprawa stopień przesłanki mowy poetyckiej Zagórskiego wielością kodów kulturowych oraz uwikłanie tej poezji w artystyczne i ideologiczne perypetie nowoczesności i ponowoczesności.

Pierwsza część książki – „Młoda powinna być bardzo przestronna”, Jerzego Zagórskiego koncepcja poezji wobec XX-wiecznych doktryn artystycznych i kryzysu tradycyjnych form przedstawienia – to rozważania dotyczące immanentnego umiarkowania estetycznego, wpisanego w poetycki dyskurs twórcy *Komputeru* oraz jego stosunku do koncepcji wyartykułowanych wprost przez pisarza w jego wypowiedziach dotyczących sztuki i estetyki.

Naturyzm miesztający się w Peiperowskim idiomie poetyckim, wyprawy niebliskie Zagórskiego w kierunku „poezji czystej”, strategie antyintuicyjne, napięcie między intelektualną wiadomością wobec empirii a tendencjami konstruktivistycznymi – to zagadnienia, stanowiące przedmiot uwagi badawczej pierwszej części *Niebliskich wypraw*.

Niewiadomski zwraca uwagę na wielowymiarowość inspiracji artystycznych Zagórskiego, sięgających i konwencji klasycznej (choćkolwiek już zużytej) – z jej dykcją, pełną zarazem prostoty i głębokości – i żywiołu wyobraźni romantycznej, która nie wyrzuci jednak tego pisarstwa z klasycznego rytmu. Badacz swobodnie porusza się duktami chronologii twórczości poety, podejmując próbę odtworzenia mapy inspiracji teoretycznych i poetyckich, stanowiących zaplecze jego artystycznego języka.

Proponowana przez Niewiadomskiego lektura poezji Zagórskiego okazuje twórcę w kontekście przemian estetycznych dokonujących się w literaturze polskiej XX w. – i w świadomości takiej decyzji trzeba by mówić właściwie o próbie odczytywania przez badacza nie tyle samych artystycznych rozwiązań budujących jakość tych wierszy, ile o sondowaniu czy nowej rekonstrukcji ukrytych założeń poezji autora *Ostrza mostu*, na które składać się będą zarówno artystyczne, metafizyczne, jak i ideologiczne poszukiwania współczesności. Zagórski bowiem jest poetą, którego pisarstwo stanowi raczej istotnie przemianę współczesnej poezji niż jej awangardę; jak w soczewce skupia się tam większość ważnych tendencji, rozstrzygających o artystycznym kształcie nowożytnej literatury. Rzecz oka na pejzaz prób poetyckich autora *Rykoszetem* staje się zatem wglądem w meandry „poetyckiej przygody nowoczesności” to takich twórcach mówiło się niegdyś: typowy poeta minor.

Poezja wobec historii – podejmuje Niewiadomski (podążając za rozróżnieniami Edwarda Hukerzana) próbę klasyfikacji odmian katastrofizmu w twórczości Zagórskiego, dotyka osobliwych uwikłań poety w ideologię socrealizmu oraz wskazuje przestrzenie kultury, w których podmiot tej poezji poszukuje schronienia, odwracając się od strumienia historii w jej czystym i nieporządkowanym „dzianiu się”.

Itakież pokazuje, jak artystyczna wrażliwość i specyficzne nachylenie wyobraźni poetyckiej umożliwia autorowi *Młodej pieśni* pełne zanurzanie się w wierszowaniu publicystyki realizmu socjalistycznego. Autor szukający użycia w pozornym porządku oferowanym przez ideologię – chyba jako poeta, ale – on ciekawy – to chybienie w akcie poetyckim okazuje się przecież nie na tyle kuriozalne, by zyskać uznanie w oczach ówczesnej krytyki (jednak w pewien sposób wynagradzając). Efektem takich prób i rasadniczą jakością tych wierszy okazuje się zawieszenie i jakas „nieścisłość”, obniżająca artystyczną wartość tej poezji, w której substancja liryczna musiała się w niezdecydowanej do końca publicystyce.

Zagórski zatrzymuje się w pół drogi w wielu swoich rozstrzygnięciach. Między mimetyzmem a poezją czystą, między poezją a publicystyką, czy – w końcu – między zaangażowaniem ideologicznym a artystyczną wolnością.

Książka Andrzeja Niewiadomskiego przedstawia twórczość autora *Ostrza mostu* jako wielokształtną, wieloraką, wieloznaczną, chaotyczną i heterogeniczną. Ukazuje wyobraźnię poety reagującą na mnogość rozmaitych impulsów kulturowych i historycznych. Ten eklektyzm, wikłający poetycki dyskurs Zagórskiego w siatkę roznomodnych odniesień i kodów literackich, decyduje o jego nieowalności, zresztą – co pokazują analizy niuansów i wahań w samych wypowiedziach dyskursywnych Zagórskiego o sztuce – autor ten jest „nieścisłalny” także jako krytyk literacki.

Opłuka, którą Niewiadomski przyjął w swojej książce dla sportretowania twórczości autora *Wyprawy*, pozwoliła mu na dokonanie oceny pisarskiego dorobku artysty. Odczuwana niechęć przyjemności, czytając wypowiedzi badacza, w których wartościuje on rezultaty artystycznych dokonań autora *Mieczem w Heliście*. Takie chyba zdanie:

Kwestia twórczej parady Zagórskiego nie wynikała z braku zrozumienia „literackiego dialekta brzozy”, a wręcz przeciwnie – z nadmiaru nieustraszonego wyświechtania owych konwen-

czy takie:

Jeśli wciąż mówię o drugoplanowej roli nowoczesności poetyckiej autora „Arlekinów rybi”, czynię to w przekonaniu, że zdecydowanie mniejsza część jego dorobku wypełniała te postulaty [postulaty „prześrośności mowy” – dop. A. Cz.] w sposób atrakcyjny literacko, odwołujący się do podświadomości oryginalności i niepowtarzalności wiersza (s. 287).

Czy wręcz:

Tworząc poezję Zagórskiego, eklektyczna niemal z założenia, wykłada się „rozbita”, niespójna, pozbawiona jakiegokolwiek czynnika integrującego biegunowo odmiennie działania i nieustannie poszukiwania, a także „tłumaczącego” rozróżnienie pomiędzy najciekawszymi realizacjami artystycznymi i sporą grupą tekstów nieudanych, wtórnymi, natrętnie stylizatorskimi czy publicystycznymi, słowem „pomylek” poety (s. 283).

Paradoks Zagórskiego polega na tym, że będąc poetą ważnym, jest on jednocześnie poetą artystycznie niepełnym. I Zagórski, o którym pisze Andrzej Niewiadomski, to właśnie taki twórca: ważny, ale artystycznie niepełny, zjawisko płynne i niestałe, więcej historia literatury niż jej aktualność; poeta prób lirycznych i sondowania artystycznej potencji rozmaitych estetycznych koncepcji, jakie skłaniają się na tytulowej w książce badacza „poetycka przygoda nowoczesności”.

Na koniec – kłopot klasyczny w poetyckiej diagnozie Mitosa, czyli tego, po którego nazwisku – edy mowa o grupach poetyckich dwudziestolecia – wymieniał się zaraz, jednym tchem, nazwisko Zagórskiego.

Skarga klasika, czyli takiego poety, który zamiast awangardowych poszukiwań zajmował się ułufowaniem języka swych poprzedników: „Aż do doskonałości wiedziałem, jak mało światu zagadnia nie mać i rym i zółt. Niby zakonnik, skazujący siebie na naczę, nekany przez eremityczną męję, chłoniłem się w rym i łód składni ze sweteli przed moim chłodem.”

Zagórski – chyba oczywiście – jako klasyk. Ten, który wybiera klasyczne piękno, czyli – eliminuje i selekcjonuje. Chce rezydować to tylko, w czym umysł może znaleźć odpocznik. Harmonia, symetria, rytm regularnego metrum – w miejsce szurpacji i zgrzytu.

Andrzej Niewiadomski: *Niebliska wyprawy Jerzy Zagórski i poetycka przygoda nowoczesności*. Wydawnictwo UMCS, Lublin 2001, ss. 292.

Czesław Miłosz: *Skarga Horysa*. [w:] *Antologia poezji*, Kraków 1998, s. 141.

MICKIEWICZ W EUROPIE

Książka jest pokłosiem seminarium, jakie odbyło się na Uniwersytecie w Birmie wiosną 1998 roku. Z inicjatywy konferencji wystąpili profesor w Instytucie Historii Kultury Europy Wschodniej i Środkowo-Wschodniej, wybitny socjolog i historyk myśli politycznej Zdzisław Krasnodębski oraz jego wydziałowy współpracownik, politolog, dr Stefan Garsztecki. Impulsem do zorganizowania przedsięwzięcia było 200-lecie narodzin Adama Mickiewicza. W centrum naukowej uwagi nie znajdowała się biografia ani spożycia poetycka wieszcz, lecz ślady, jakie pozostawił w Europie jako działacz polityczny i myśliciel. Inicjatywa zrealizowania konferencji jawi się jako szczególnie cenna w kontekście faktu, że Adam Mickiewicz mimo popularyzatorskich usiłowań mnikowców pozostaje w świadomości literackiej Niemców postacią marginalną. Świadectwo temu dał przed kilku laty Karl Dedering: *Mickiewicz polonizacja wniosła duży i istotny wkład w badania nad Mickiewiczem. (...) Jej dokonania pozostają jednakże zardzewiałym pod ciężarem aspiracji jak i zanętem niemiłej wiedzy tajemnej, dającej miarę i kierunek wstępnym wyobrażeniom* (s. 15, tłum. WN).

Książka podzielona jest na cztery części, których punkty ciężkości to mickiewiczowski myślenie polityczne i społeczne, jego stosunek do Niemiec i Francji, „Wielka Emigracja” po roku 1831 oraz powiązania Mickiewicza ze słowiańszczyzną. Trafnie dobranym artykułem wprowadzającym jest tekst *Mickiewicz und jeder von uns (Mickiewicz i każdy z nas)*. Stanisław Rojek pokazuje ewolucję obrazu Mickiewicza u Polaków oraz zmieniającym się czasem i miejscu jego postaci. O ile poeta u schyłku dziewiętnastego stulecia mógł być „pierwszym Polakiem” i stał się postacią kultową, o tyle dziś zainteresowanie jego dziełem i osobą wykazuje nieliczne. Bezpośrednio minął też okres tworzenia monumentalnych dzieł (Piotr Chmielowski, 1886; Józef Kallioch, 1897) i siłowność autorów do stwarzania hagiografii. Wysiłek nauki zawoalował solidnym ustaleniem faktów i charakterystyczną rzeczą jest obecnie przesunięcie akcentów badawczych. Współcześni uczeni (Alina Witkowska, Krzysztof Górski, Dorota Siwicka i in.) główną uwagę kierują nie na ustalanie zdarzeń, lecz na ich wzajemne powiązanie.

Zdzisław Krasnodębski poświęca swój tekst politycznej teologii Adama Mickiewicza, która zawiera się najobfotniej w paryskich wykładach o Hierarchii słowiańskiej: Myślenie polityczne XIX wieku było zarazem myśleniem religijnym (s. 37). Rozumienie wydarzeń politycznych wiązało się także dla Mickiewicza z rozumieniem ich religijnej wymowy. Rozbójcy Polski, rewolucja francuska czy też wojny napoleońskie były dla niego jawne, walne tylko w przypadku, jeśli od się rozwinęły ich religijny sens. Określenie tej polityki jako „nie z tego świata” (W. Weintraub) jest więc o tyle neutralne, że Mickiewicz sam utrzymywał, iż polityka jako taka nie może wynikać jedynie z tego świata. Historię była dla Mickiewicza drogą ku Bogu, poszczególne jej statki etapami w przybliżaniu się do Boga. Rolę szczególną u Mickiewicza odgrywała Polska, której wskrzeszenie miało być warunkiem zaprowadzenia nowego, wolnego i demokratycznego porządku w Europie.

Przedstawiając teorię Mickiewicza jako element tradycji myślenia europejskiego w XIX stuleciu, autor wysuwa dwójną konkluzję. Z jednej strony spostrzega, że także współczesnie, religia nadal ma wpływ na sferę polityczną, czego nikt nie zauważył, co jednak staje się widoczne, gdy dochodzi do głębokiego kryzysu (s. 35). Z drugiej strony jasno podkreśla ogólnizację idei mickiewiczowskich w odniesieniu do doby współczesnej, także w Polsce. *Romantyczne wyobrażenie o narodzie trudno dać się odnieść do społeczeństwa pluralistycznego, które nie jest ani polityczną wspólnotą losową, ani nie realizuje wspólnych celów, ani też nie pojmuje się jako fenomen w celu dogłębniejszego transcendentnego* (s. 34).

We wstępie do swego artykułu o początkach krytyki cywilizacji w Europie Wschodniej Wolfgang Stephan Kissel nawiązuje do faktu, że zesłanie młodego Mickiewicza w głąb Rosji (1824-1829) paradoksalnym zarządzeniem służyło się w dużym stopniu przystąpieniu do jego poetyckiej sławy. Tu pojawiają się *Ściepy akermadskie*, *Konrad Wallenrod*, pojawia się wiele wydań jego dzieł, począł Mickiewicz zyskiwać formułę europejską. W Rosji Polak poznaje Piuszkina. Pod wrażeniem francuskiej rewolucji lipcowej i polskiego powstania listopadowego obywateli poeci zwrócić się ku koncepcji „cywilizacji chrześcijańskiej”, którą jednak interpretowali w sposób różny.

Aspiracja Mickiewicza po przybyciu do Paryżu było zostać duchowym przewodnikiem na drodze do odzyskania suwerenności państwowej. *Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego* (1832) służą mu do wykazania wyższości właściwej Polsce „prawdziwie chrześcijańskiej cywilizacji” nad „fałszywą cywilizacją europejskiego Zachodu, skierowaną w pierwszej linii na materialny komfort, dobrą kuchnię, modę, infrastrukturę i rozrywkę. Poeci przestają emigrować, polski, przed uloką takiego postępu: *Zaprawdę powiedziałem wam: Nie wy macie uczyć się cywilizacji niemieckiej, ale macie uczyć się prawdziwej cywilizacji chrześcijańskiej*. Piuszkin zwrócił swój stosunek do cywilizacji w recenzji *John Tinner* z roku 1836, będącej omówieniem (jak się później okazało: fikcyjnym) wspomnień białego Amerykanina, który spędził 30 lat wśród dzikich plemion indiańskich. Tekst jest aluzją do

imperialnych zamiarów Rosji na Syberii, w Azji Środkowej i na Kaukazie. Amerykanista jest swój dystans wobec bezwzględnej realizacji przez Rosję „cywilizacyjnej misji” wśród podległych ludów. Zamiarem wywodów autora artykułu jest tuż, wykazanie różnicy, jaka dzieli punkty widzenia obydwu poetów (emigracja i akceptacja) oraz zwrócenie uwagi na fakt, że obraz europejskiego trykuna cywilizacyjnego będzie „karygodnie niepełny”, jeżeli nie uwzględni się w nim wkładu pojęciowego i teoretycznego „Europy Wschodniej”.

Rüdiger Kutter analizuje w swym artykule *Adam Mickiewicz i muzyka* odniesienia do kompozycji Mozarta w III części *Dziadła*, stosunek poety do Fryderyka Chopina oraz umiżyczenia utworów Mickiewicza przez Chopina, Moniuszkę i in. W klarownie usystematyzowanym tekście autor ukazuje szeroką pamianną kompozycji, prezentując również kompozytorów litewskich, rosyjskich i niemieckich.

W centralnym dla drugiej części publikacji artykule Stefana Garszteckiego przeprowadzone jest porównanie pomiędzy polskim mesjanizmem i niemiecką świadomością posłannictwa (*Sendungsbewusstsein*). W pierwszej części rozprawy autor poddaje analizie mesjanizm w wydaniu mickiewiczowskim, nie wnikając się jednak w przedstawienie fenomenu w wymiarze ogólnym. W rozdziale kolejnym rekonstruuje niemiecką świadomość posłannictwa w wydaniu romantycznym, nie kreśląc przy tym jednokreślnej obrisy całego niemieckiego miedzi narodowego. Rozdział końcowy poświęcony jest zestawieniu podobieństw i różnic romantyzmu w obydwu krajach.

Wśród tych ostatnich rzecza się w oczy fakt, że w momencie szczytowego rozkwitu romantyzmu polskiego (lata trzydzieste i czterdzieste XIX wieku) romantyzm niemiecki należał już do przeszłości. Obydwa kierunki reprezentowały różne wieje przyszłości. Wobec silnie uniwersalistycznego i racjonalistycznego chrześcijaństwa mesjanizmu Mickiewicza niemieckie wyobrażenia romantyczne uderzają swą ambiwalencją – z jednej strony pragnie się odnowy w duchu chrześcijaństwa, a z drugiej zachowania lub powrotu do państwa stanowego. Obecny w mickiewiczowskim pojmowaniu narodu solidaryzm z innymi narodami jest w romantyzmie niemieckim nieobecny. W przeciwieństwie do mickiewiczowskiego otwarcia na zmiany społeczne i rewolucyjnie niemiecki romantyzm był jako prąd coraz bardziej zachowawczy i konserwatywny. Ostatnią podniesioną przez S. Garszteckiego cechą polskiego romantyzmu była jego rozpostarcie na dziesięciolecie dominacji i żywoność, podczas gdy romantyzm niemiecki nie zdołał uzyskać pozycji jasno dominującej. Do podobieństw obydwu wydań romantyzmu Garsztecki zalicza fakt, że wyrosły one w równy sposób z krytyki zastanych wzorców literackich, wniosły do literatury całkowicie fałszywe, względnie intuicji, głosili nowy, lepszy porządek świata, przyjmując postawę opozycyjną wobec neojohannistycznych idei osiemnastowiecznych.

W drugiej części publikacji Krzysztof Rutkowski prezentuje ogólne kalendarium paryskiej biografii Mickiewicza oraz komentuje jego poglądy na Francję.

W części poświęconej emigracji Hella Henning Elahn rozwija w klarownie skonstruowanym tekście obraz Wielkiej Emigracji po roku 1831, „reprezentanta narodu polskiego”. Prezentowane jest tu i rozmiary emigracji, kraje docelowe (głównie Francja), organizacje oraz formy i skutki politycznego działania. Autor podkreśla ogromną rolę tej emigracji dla utrzymywania w świadomości europejskiej faktu istnienia „sprawy polskiej”. Uzupełnieniem tej części publikacji jest tekst o polskiej emigracji politycznej po roku 1945, którego autorem jest Basil Kerrki, redaktor miesięcznika polsko-niemieckiego magazynu „Dialog” (koncentruje się na osobie Jerzego Giedroycia i środowisku paryskiej „Kultury”) oraz zajmujący tekst o emigracyjnych losach Czesława Miłosza we Francji, autorstwa Elżbiety Kiciak. Autorka analizuje m.in. odniesienia do Miłosza i Mickiewicza.

Temat Mickiewicza pojawia się pierwszoplanowo dopiero w pierwszym artykule części czwartej, poświęconym jego powiązaniom ze słowiańszczyzną oraz z Ameryką. Urszula Wöljen omawia w swym tekście starania Mickiewicza o zblizenie między Słowianami, ze szczególnym wyodrębnieniem relacji do Słowian południowych. Nawiązuje tuż, do wykładów w College de France, leżono Mickiewicza w Italii oraz przedśmiertnej misji „naukowo-literackiej” poety do europejskiej części Imperium Osmańskiego w roku 1855. Lew Kłimowski wskazuje na dziewiętnastowieczne nieudane próby przekładu *Pana Tadeusza* na język hiszpański, przebudzenie hiszpańskiej świadomości narodowej po roku 1900 oraz obecne funkcjonowanie w tej świadomości Mickiewicza jako „największego pisarza hiszpańskiego” (s. 299).

Danuta Mostwin, mieszkająca w Budapeszcie powieściopisarka i profesor uniwersytetów amerykańskich, relacjonuje w pasjonującym sposobie przyjaźń łączącą Mickiewicza z amerykańską pisarką Sarah Margaret Fuller oraz wpływ, jaki wywarł na Mickiewicza identyfikacyjny filozof Ralph Waldo Emerson. Tekst jest skróconą wersją artykułu znanego czytelnikom „Akeem” (3/1998).

Atrakcyjna idea tematyczna, mnogość odniesień oraz uznana ranga redaktorów i autorów publikacji pozwalają przypuszczać, że książka spotka się z zainteresowaniem i będzie gwałtownym wkładem w przybliżenie kultury polskiej odbiorcy niemieckojęzycznyemu.

Sendung und Dichtung. Adam Mickiewicz in Europa. Red. Zdzisław Krasnodębski i Stefan Garsztecki. Berlin: Klausener Verlag, 1998. 204 s., 24- (Seria: Beiträge zur Literaturwissenschaft, T. 3).

WOJNA POLSKO-BOLSZEWICKA WIDZIANA Z BERLINA

Konflikty zbrojne między Polską i Rosją sowiecką w roku 1920 posiada bogatą literaturę, zarówno pochodzącą sprzed 1939 r., jak i ukazującą się współcześnie, odkąd temat ten, stuwający w czasach PRL tabu, ewentualnie eksplodowany w celu piętnowania polskiej interwencji zbrojnej przeciwko młodej państwu socjalistycznemu. Im zamówienie zachodniego kapitalizmu, znowu znalazł się na warsztatach historyków. Uwagę przykuwają na ogół działania wojenne, zwłaszcza tzw. Cud nad Wisłą oraz cele, jakie w wojnie tej wytyczyli sobie sowieci. Inny aspekt to dywagacje na temat ewentualnego, w pewnych momentach zresztą bardzo prawdopodobnego, ich zwycięstwa. Tutaj nie można się już zatrzymać na zachodniej granicy Polski, bowiem wrzenie rewolucyjne w Niemczech stworzyło całkiem realną możliwość połączenia się zwycięskiej armii Tuchaczewskiego ze Spartakusem i bliskimi mu kołami radykalnej lewicy, której brakowało właśnie takiego impetu, by z większym niż w Dawurli powodzeniem powołać do życia republikę rad.

Wyniki takiej się mógłby Polska i Rosję wojny nie mogły zatem być Niemcom obce. Zarówno republiki Republiki Weimarskiej, jak i komunistom zależało na klęsce Polski, choć ze zgoła innych powodów. Klara Zetkin ušla się do Lejona jeszcze w październiku 1920 r., zatem już po klęsce wojsk bolszewickich na froncie polskim. Wszystko wskazuje na to, że władze komunistki niemieckiej nie wierzyły w klęskę bolszewików i spodziewali się ponownego ich uderzenia na Polskę. Jeszcze w 1921 r. demonstrowali przeciwko tranzycji do Polski, choć głównie natarczywie dostawy sprzętu wojennego. Wzbudzając rewolucję w Niemczech, pragnęli tym samym umożliwić bolszewikom ponowne uderzenie na Polskę.

Przeciętny Polak zainteresowany najnowszymi dziejami Polski, zwłaszcza ulubionymi ich fragmentami, nie będzie kojarzył zmagad z bolszewikami w 1920 r. z Niemcami, z którymi uśledzimy łonę proslony, a więc nam: dwa plebiscyty, powstania śląskie, granic na odcisku Wielkopolski i Pomorza. Książka wydana przez profesora Karola Łonec jest więc nie lada odkryciem i niewątpliwie dziełem wyjątkowym. Składa się z dwóch zasadniczych części. Dokumenty polskie w formie druku, odbitki mikrofilmowych względnie kserokopii poprzedzone są bardzo wyczepującym wstępem autora, w którym na tle ówczesnych wydarzeń przedstawiono najważniejsze wątki przewijające się w korespondencji dyplomatycznej, w ekspertyzach niemieckich kół wojskowych, sprawozdaniach z działalności władz na pograniczu Prus Wschodnich, Polski i raportach o nacierającej Armii Czerwonej. Nawet nie tylko elementarnych wiadomości historycznych można sobie wyrobić sąd o polityce centralnych i lokalnych władz niemieckich. Tak obszerna i wszechstronna edycja źródłowa nie ma precedensu. Wyprawdzie strona niemiecka wydała w 1985 r. szereg dokumentów dyplomatycznych dotyczących lat dwudziestych, obejmujących niemiecką politykę zagraniczną, do wojny polsko-bolszewickiej odnosiło się jednak tylko 17 dokumentów. Zbiór profesora Łoncy liczy ich 202. Otwiera go informacja o nastrojach w Polsce, sporządzona przez Krajową Policję Graniczną we Frankfurcie n. Odrą, z dnia 16 marca 1920 r., która sprawozdanie na temat aktualnych i przyszłych stosunków polsko-rosyjskich po pokoju ryskim sporządzone 20 VI 1921 r. przez przewodniczącego sowieckiej komisji do spraw repatriacji Rosjan w Warszawie.

Pod względem treści można ogólnie podzielić dokumenty według następującego klucza: informacje niemieckich placówek dyplomatycznych, głównie w Polsce i na Litwie, o sytuacji w Polsce, panujących tam nastrojach społecznych w obliczu zbliżającej się inwazji bolszewickiej, o położeniu gospodarczym Polski, możliwościach zaopatrzenia armii, podziałach na polskiej scenie politycznej; ocena sił militarnych Polski, zwłaszcza kadry oficerskiej, pod kątem ich wartości bojowej. Są to wreszcie prognozy i przewidywania dotyczące wyniku wojny polsko-bolszewickiej. Te ostatnie były bez wyjątku negatywne dla Polski i to nie tylko w momencie największych sukcesów bolszewików na froncie, ale nawet po ich odpardzeniu spod Warszawy, bowiem liczone się z nowym atakiem wierząc, że Rosja bolszewicka, po zwycięstwie na froncie wewnętrznym, świeżymi siłami naderży na Polskę, podjęła edy do ostatnia wyzzerpala już wszystkie swoje rezerwy.

Lektura dokumentów nie pozwala żywić wątpliwości co do dwóch bardzo w naszej historii znamiennych faktów: zdecydowanej wrogości Niemiec w stosunku do Polski i ich sympatii dla Rosji, nawet tej bolszewickiej, która w razie pokonania Polaków mogła zainfekować bolszewizmem bardzo nał podatnie Niemcy. Niechęć do Polski przestawała niekiedy zjawiać rzeczą i pragnącymy niemieckie spojrzenie na rzeczywistość. Przykładowo można tu wymienić raport syntezy sporządzony przez Niemiecki Związek Ochrony dla Niemców na Pograniczu i za Granicą, pisany 11 VII 1920 (Deutscher Schutzbund Grenz- und Auslandsdentschum), organizacji mającej na celu podsyćanie niemieckiej irredenty. Niemal z nie okrywają achalente píše się tu o infiltracji

komunistów w Polsce przez nasyłanych z Rosji komunistów polskich, o entuzjastycznym witanu bolszewików na wschodnich rubieżach polskich przez umięjszych chłopów, o wachlowaniu polskich elu politycznych, o fikcji polskiej armii ochotniczej, istniejącej na papierze, na którą bardzo się hezy. Wreszcie mowa tu o gotowości Rosji do zawarcia pokoju i przeciwnym stanowisku Polski, której marzy się rola hegemonu „rosyjskich narodów obrzezi” (russische Randölker), którą miałaby spełniać z pomocą imperializmu Ententy, zwłaszcza Francji. Widać tu zwłaszcza ochoczość w przyjmowaniu za dobrą monetę bolszewickiej retoryki pokojowej.

Nieco innym językiem przemawiał w Warszawie attaché niemiecki Alfred von Oberndorff, kiedy 6 sierpnia 1920 r. oświadczał księciu Eustachemu Sapież, polskiemu ministrowi spraw zagranicznych, iż nieprzepuszczanie do Polski tranzycji z zaopatrzeniem wojskowym nie jest wyrazem nieprzyjaznego nastawienia Niemiec do armii polskiej, ale stanowi poprawne w świetle prawa międzynarodowego przestrzeganie neutralności, co w przypadku słabych, rozbrojonych Niemiec odpowiada ich własnym interesom. Ten sam dyplomata w dwa dni później odpowiedział ambasadorowi Achille Rattienowi na prośbę tamtego, by Niemcy pięćdziesięciomilionowemu tysiącom żołnierzy wsparli granicę Polskę, iż jego rząd musi liczyć się z opinią publiczną, wrogą wobec Ententy, a życzliwą Rosji. Oberndorff nie dał jednak odpowiedzi negatywnej, zaznaczył tylko, że interjerna nie może tu wyjść od Niemiec. Można jednak śmiało twierdzić, iż ten polityk niemiecki, śledzący w Warszawie z bliska machacje się wydarzenia, jańniej niż jego koleżdy w Rzeczy widział rzeczywisty ich obraz i mniej lekceważył potencjał Polski, a trzeźwiej ocenił niebezpieczeństwo bolszewickie zagrożające jego krajowi z chwilą, kiedy Polska zostanie pokonana. W swym raporcie z Warszawy z 1 lipca 1920 r. pisał do niemieckiego Auswärtiges Amt stanowczo: *Jestem rozbrojeni i poddani karatek Ententy, a nasza słabość może nas skłaniać do neutralności. Ale musimy sobie żywić, by Polska się ostała: oczywiście w wielu sprawach jest naszą przeciwniczką, ale jest też walem, który nas odizoluje od czerwonej zarazy i byłoby przestępstwem wobec naszej ziemi, jak i wobec całej ludzkości, gdybyśmy chcieli w najmniejszą spódkę przyczynili się do zwycięstwa sowieckim.* Oberndorff był zwolennikiem zbliżenia między Warszawą i Berlinem, nie kierował się też zbytnio uprzedzeniami będącymi konsekwencją sporów granicznych między Polską a Niemcami, uważając je za przejściowe trudności, wskazując natomiast na powszechne w opiniotwórczych kręgach polskich przekonanie o niebezpieczeństwie szerokiego współdziałania z Niemcami na płaszczyźnie gospodarczej, co rodzi dobre perspektywy dla relacji polsko-niemieckich. Oberndorff zdradzał niewątpliwie, jeśli nie sympatię, to w każdym razie zrozumienie i przychylność dla Polski, a źródłem tego były, jak się wydaje, bardziej dialektyczne cele polityczne, jak rozbitnienie więzi między Ententą a Polską, która zabezpieczona od strony Niemiec nie musiałaby tak mocno winąć swej niepodległości z Francją i Anglią. Wojna bolszewicka dostarczała zatem okazji, by na taką drogę wejść. Dyplomata niemiecki miał jednak świadomość, iż pokonanie wzajemnych uprzedzeń nie może dokonać się łatwo i wymaga stawiania wszystkiego, co przychodzi się do ich utrzymania.

W latach wojkowych Republiki Weimarskiej panowały wręcz przeciwnie. Tutaj Polska nie liczyła się ani jako siła koalicyjna, ani jako rzeczywistość polityczna. W przeciwny sposób łączono to mowy czy to emocjonalne z przebiegłą kalkulacją polityczno-wojskową. Szef Reichsweltry gen. Hans von Seeckt kierował się w stosunku do Polski po prostu nienawiścią, stał też pokonanie Polski przez Rosję widział jako unicestwienie odizolowanej państwowości polskiej i powrót do stanu z czasu rozbiadów, tzn. nowy polzad Polski między Niemcy i Rosję. Seeckt zakładał, że demasywa rosyjska zatrzyma się na granicy Niemiec z 1914 r. Nie brał pod uwagę dalszego natarza bolszewików na Zachód, co w pewnym sensie uzasadniał poprawnie, jeśli nie wręcz przyjaźielskie, stosunki między Rosją bolszewicką i Niemcami. Tutaj inicjatywa wychodziła równolegle z obu stron, a wydaje się, że u podłoża takiego układu leżała właśnie sprawa polska. Niemcy sam ze swej strony nie mogli już niczego uczynić, by odzyskać utracione na wschodzie polskie terytoria. Jedyną Rosję, nie mogącą liczyć się z Ententą, mogła pozwolić sobie na zgnięcie Polski, co w rozumieniu strategów niemieckich przywracałoby Niemcom ich dawne granice wschodnie, a które musiałby układać się ze zwycięską Rosją. Jasne jest zatem, że pokonanie Polski przez bolszewików widziiano tu także jako polityczne zwycięstwo Niemiec. Skierzy do współdziałania z bolszewikami dowodzą Reichsweltry musieli powstrzymać się od jakiegokolwiek czynnych wysiłków, ale na pograniczu z Prusami Wschodnimi doszło już do wymuszonego zaopatrzenia z sowieckimi, a nawet do czynnego zaangażowania żołnierzy i oficerów niemieckich po stronie bolszewickiej. Ten zapał znacznie się zmniejszył po odzyskaniu sił bolszewickich przez Polaków i oddziały bolszewików do Prus Wschodnich, gdzie pozwalali się intensyfikować ich siły wyposażenia i często mada wola walki osłabliły nadzieje na współze z nimi rozprawienie się z Polską. Nie przekreśliło to jednak tej trzeźwiejszej kalkulacji, jaką dowództwo Reichsweltry wiązało z Rosją sowiecką. Konflikty wojskowe z roku 1920 nie skończyły się wraz klęską bolszewików w wojnie z Polską. Ograniczenia, jakie pod względem uzbrojenia i armii nakładał na Niemcy traktat wersalski można było obejść, szukając miejsca poza granicami Niemiec, gdzie można by przemieścić częściowo przemysł broń, jej wyrobówanie poligonowe, szkolenie kadry dowódczej. Prawda, że w czasach III Rzeczy takim poligonem była Hiszpania, nie o wiele wcześniej

zderzyły się ze sobą – Awaia, Wawrewo i Imperium Tyńne leżą w Rzeczy. Można zatem powiedzieć, że kuty one przeciwko sobie broni w jednej kuzni. Niemniej jednak pierwszą ofiarą miała stać się Polska. Mogło to nastąpić w 1920 r. Wtedy „Ciud nad Wsią”, czy jak to nazywali Niemcy wówczas, „druga bitwa pod Muraj”, to niebezpieczeństwo. W dzisiejszym świecie to później stała się Polska samotnie walczą z obu agresorami i nie mogła się obronić.

Książka Karola Jony jest lekturą digną wiele do myślenia. Prawda, że byłoby lepiej, gdyby zawarte w niej materiały były opublikowane w języku polskim. Biedzie przydałyby się dla miłośników najnowszych dziejów, nie tylko polskich, bo przecież bitwa warszawska wpłynęła także na losy dziejów europejskich. Mimo tych uwag książka spełnia także zadanie dzięki bardzo szczegółowej analizie zawartości dokumentów dokonanej we wprowadzeniu do dzieła. Ponadto posiada opublikowanych dokumentów w ich oryginalnym brzmieniu i formie sprawia wrażenie, jak gdyby po prostu przemawiali ludzie i instytucje, którzy walcząc, walczyli o to, czy w przyszłości z własnymi ambicjami podejmowali ważne decyzje. Mimo woli, czytając materiały, narzuca się pytanie, na ile ówczesne postawy i wydarzenia, będące już dziś historią, stały się mugietem i nie. Innymi słowy, czy są źródłem przemysłów dla Niemców, Rosjan, Polaków. Może zwłaszcza tych ostatnich, bo to nas najbardziej obchodzi. I do czego te przemyslenia prowadzą? Do jakich złożeń i za jaką cenę? A cena była wówczas krew i pożoga zdeptanej ziemi. Bywają także inne wartości, nie mniej ważne. Dawa Warszawa brnęła do dośk, ukraińskie nie ta mugietem w 1920 roku. Jej ówczesnym było niepodległe Dwudziestolecie, a jakiego owocu spodziewamy się dziś?

Być może takin dywagacje nie są na miejscu w omówieniu ważnego dzieła historycznego. Ale historia nie odbywa się w ciętym pancernym ugniataniu metodologicznych, które odcinają jej tajemnice od tego, co stało się obwile stało się rzeczywistością dziejową, przesłonięciem. Historia to nie martwe składowisko faktów, ale żywy obraz błędów i sukcesów. Źródła przybliżone przez profesora Jony pozwalają taki właśnie obraz odzwierciedlić. Do każdego, czy to będzie Niemiec, Rosjanin czy Polak, przemawia on zapewne danym językiem. Może stać się także podstawą zgodnej, przysięgi dla przyszłości konkluzji.

Karol Jona: *Wojna polsko-ukraińska 1920 roku w dokumentach niemieckiej dyplomacji*. Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 2002, s. 516.

WALDEMAR DĄGŁA

PROBLEMY POGRANICZA

Jak wygląda obecnie życie na pograniczu polsko-ukraińskim, gdzie naśsi obok siebie żyją te dwie społeczności, nie gęł s zwalanie? Na te pytanie stara się odpowiedzieć Dariusz Wojakowski w swojej książce *Polacy i Ukraińcy. Rzecz o pluralizmie i tożsamości na pograniczu*.

Autor, pracownik Instytutu Socjologii Uniwersytetu Rzeszowskiego, przeprowadził badania w siedmiu miejscowościach na pograniczu w latach 1995-1999. Pieć z tych miejscowości znajduje się w Polsce: Sztetyn (powiat jarosławski), Huczwów i Kalników (powiat przemyśki) oraz Mukre i Morochów (powiat sanocki). Na terytorium Ukrainy leżą dwie z badanych: Mukiszka (rejon miwiecki) i Medenice (rejon drohożycki). Jedynia przygranicznych miejscowości przeprowadzono pod kątem składu narodowościowego, struktury wyznaniowej, wykształcenia i pochodzenia mieszkańców, ich wieku, zawodu i uczestnictwa w życiu codziennym i świętecznym.

Na polskiej stronie pogranicza w badanych miejscowościach pod względem narodowym przeważa ludność polska, jedynie w Mukryni większość mieszkańców stanowią Ukraińcy. Jednak już w Kalnikowie i Morochowie liczba Ukraińców sięga powyżej 40% mieszkańców. W tych trzech miejscowościach większość ludności ukraińskiej jest wyznania prawosławnego. Natomiast w Chotyńcu i w Huczwowie dominującym wyznaniem wśród mniejszości ukraińskiej jest grekokatolicyzm.

W ukraińskiej części pogranicza, w Medenicach, mniejszość polska stanowi 10% mieszkańców. Duża ilość Polaków mieszka w Mukiszce i przyległych do tego miasta wsiach (w Rządkiwiczach 50% mieszkańców jest pochodzenia polskiego). Ludność polska po obu stronach granicy jest oczywiście w przeważającej większości wyznania rzymskokatolickiego.

Struktura zawodowa w badanych miejscowościach jest w miarę jednolita. Po stronie polskiej większość mieszkańców to ludność rolnicza, w części ukraińskiej podstawą utrzymania są przelomowe działości (niektórzy jest indywidualnego rolnictwa po upadku kolektywów). Po obu stronach duże się odznacza zróżnicowanie ekonomiczno-społeczne, wynikające z bezróżnicowej części ludności i zainicjowania niejednorodnych mieszkańców w prywatny biznes.

Cechą charakterystyczną dla omawianych terenów jest handel przygraniczny. Po stronie ukraińskiej korzyści z niego czerpie większość ludności, nierzadko z pominięciem przepisów prawnych. Na drugą skalę uprawia się przemysł.

Dla starszego pokolenia obu społeczności wspólnie jest doświadczenie II wojny światowej. Dla Ukraińców były to głównie przeżycia związane z akcją „Wisła”, dla Polaków wysiedlenia wojenne i powojenne oraz krwawe czystki etniczne dokonywane przez UPA. Po wojnie podobnie przebiegały na obu stronach przemiany gospodarczo-społeczne, migracje i rozwój osadnictwa. Doświadczenia historyczne doprowadziły do zróżnicowania obu społeczności pod względem etnicznym i wyznaniowym. Poziomie tożsamości narodowej po obu stronach jest silne, a przynależność wyznaniowa pokrywa się na ogół z przynależnością narodową. Polacy to w większości rzymskokatolicy, a Ukraińcy – grekokatolicy i prawosławni.

Dziś nie ma na pograniczu nienawiści i większych konfliktów narodowościowych. Tak częstych w historii obu narodów. Obecnie problemy ekonomiczne wspólne dla obu społeczności zmuszają do współpracy i zgodnego współżycia. Stworzają temu dobre stosunki między państwami między Polską a niepodległą Ukrainą, poszanowanie praw mniejszości narodowych w obu krajach, obustronne korzyści z handlu przygranicznego.

Dariusz Wojakowski opisuje zjawisko pluralizmu kulturowego w społecznościach dwuetnicznych. Zjawisko to wyznacza trzy elementy: język, religia i obyczaje. Zarówno Polacy, jak i Ukraińcy posługują się swoim językiem, chociaż widać też postępującą asymilację językową ludności ukraińskiej w Polsce i polskiej na Ukrainie. Wyznanie religijne jest jakby świadectwem przynależności narodowej. Dla Polaków religia rzymskokatolicka zawsze miała istotne znaczenie, także na ukraińskim terytorium zamieszkania. Wyróżniała ich spośród ludności miejscowej. Istnieją na Ukrainie od dziesięciu lat swobodna kultura religijna przyczynia się też do ożywienia praw osławia i grekokatolicyzmu. W mniejszym stopniu wyznania te praktykowane są po polskiej stronie pogranicza. Tutaj też przemiany polityczno-społeczne sprzyjają rozwojowi życia religijnego, zwłaszcza wśród Ukraińców.

Nie ma żadnych widocznych oznak nietolerancji religijnej czy narodowościowej po obu stronach pogranicza. Widac to na przykładzie współczesności w lokalnych obyczajach, zwłaszcza w obchodzeniu świąt obu społeczności. *Tu jak są święta to jedni idą do drugich – Polacy do Ukraińców i Ukraińcy do Polaków. A jak ktoś nie idzie, to przynajmniej stara się uczcić święta drugiego wyznania* – takie są opinie badanych tubylców. Podobnie uczestniczy się w pogrzebach, weselach, chrztinach i w pierwszych komuniach dzieci. Elementem jednoczącym wszystkie trzy wyznania jest wspólny dla nich kult Małki Boskiej.

Konflikty polsko-ukraińskie, jakie miały miejsce w ostatnich latach, jak np. wokół utworzenia filii we Lwowie czy wokół klasztoru i Festiwalu Kultury Ukraińskiej w Przemyśle, przebiegały z dala od pogranicza i nie wpłynęły na życie społeczności przygranicznych. Tu życie codzienne toczy się swoim torem.

Jak pisze autor, *pluralizm etniczno-kulturowy jest efektem transformacji ustrojowej, zwłaszcza procesów demokratyzacji, które pojawiły się w Polsce i na Ukrainie z końcem lat osiemdziesiątych*. Jednocześnie obie społeczności zachowują swoją tożsamość narodową, o czym świadczą wypowiedzi badanych mieszkańców. I to jest właśnie konkluzja autora, zawada zresztą w podtytuł książki: *pluralizm i tożsamość na pograniczu*. Te dwie wartości praktykowane w życiu codziennym obu narodowości napawają niejakim optymizmem, zwłaszcza w świetle niemiłych doświadczeń historycznych.

Praca Wojakowskiego – będzie cenna dla badań socjologicznych stosunków etnicznych i wielokulturowości na pograniczu polsko-ukraińskim – otwiera nowe możliwości badań tego ważnego dla obu narodów i państw pogranicza oraz stosunków narodowościowych w zainicjowanej się literaturze.

Dariusz Wojakowski: *Polacy i Ukraińcy. Rzecz o pluralizmie i tożsamości na pograniczu*. Zakład Wydawniczy „Nomos”, Kraków 2002, ss. 298.

TADEUSZ OLSZEWSKI

WOKÓŁ „MOTORÓW” ZEGADŁOWICZA

W ciągu sześćdziesięciu dwóch lat, jakie nąęły od śmierci Emila Zegadłowicza, wokół twórczości pisarza, jak i jego biografii, narosła wiele mitów i nieporozumień. Był Zegadłowicz twórcą kontrowersyjnym i nierównym, a przy tym wybitnie niepokornym. Nie sposób przecenić jego roli w życiu literackim międzywojnia, nie sposób też pogodzić się z licznymi, także współczesnymi, próbnymi umniejszania wartości bogatego i źródłowego dorobku pisarza. Początek drogi twórczej Zegadłowicza (debiut w 1908 roku) sytuował 20-letniego wówczas autora w kręgu epigonów Młodej Polski i w żadnej mierze nie zapowiadał późniejszej etapej talentu. Tłum z ekwilibrystami nie zawodził nieczym

szeregiłymi. Własnym głosem, przemówił Zegadłowicz dopiero na początku lat dwudziestych, a wyłame w 1923 r. *Powstaniei beskidzkie* objawiły, ponad wszelką wątpliwość, nową inkonę w polskiej poezji. Kolejne tomiki, przede wszystkim *Gody pasterskie w Beskidzie*, *Dom jasnawczy* i *Dęby pod pełnią*, potwierdziły wysoki rangę pisarza.

Dziłem przełomowym w dorobku Zegadłowicza stał się cykl powieściowy *Żywot Michała Srebrnypisanego*, a zwłaszcza jego długa część – *Zmory* (1935). Ocenami i konformistyczne i – jak widzieli je zachowawczy część krytyki – nierzadko wywołały zaciekłe spory i natężoną dyskusję o powinnościach pisarza, społecznej roli literatury, „gruniench przyzwyczajności”, ponogrudu itp. Jeszcze większy ferment prawdopodobnie spowodowałyby *Motory* (1937) z ich wybuchliwym erotyzmem i dnużeniem krytyki polityczno-społecznej rzeczywistości przedwzrostowej Polski. Do kolejnego krytyczno-literackiego spisu miał Zegadłowicz jednak nie doszło. *Motory* bowiem – na mocy orzeczenia Stanisława Grodzkiego w Krakowie z 20 listopada 1937 roku – zostały skonfiskowane. Ocalało zaledwie kilkadziesiąt egzemplarzy, które miało się wykreść z druku i przesyłać przyjaciołom pisarza.

Zmory, dzieląc krytykę na dwa przeciwstawne obozy, wywołały także gorące renkeje czytelników, którzy swoje, nierzadko humorystyczne, opinie o książce przekazywali w listach kierowanych bezpośrednio do pisarza. Szczególnym admiratorem powieści okazał się m. in. artysta malarz Marian Ruzanski. Jego to właśnie poprosił Zegadłowicz o wskazanie kogoś, kto podjąłby się zilustrowania *Motorów*. Wyłku Ruzanskiego miał na Stefana Żechowskiego.

Motory, wznowione po bez mała półwieczu (Wyd. Łódzkie, 1981), okazały się – w przeciwieństwie do *Zmór* – dziełem nieco zwierzalym. Lecz choć pod wągłiem artystycznym budza czasami wątpliwość, to nie sposób odmówić im w pełni znakomitego dokumentu literackiego epoki. Pierwsza edycja powieści była zaopatrzona w dwie tarty tytułowe. Na jednej z nich widnieje nazwisko autora książki: Eral Zegadłowicz; na drugiej – jako równoprawny autor występuje ilustrator, Stefan Żechowski. *Osobliwość tej – jak miał wydawca (nigdywiec sını Zegadłowicz) w ulotce reklamowej – z wielu wągłków rewelacyjnej książki jest jej dwugłos, spotkanie się pisarza z rysownikiem. Ilustracje „Motorów” to rezultat wielomiesięcznej współpracy poety z artystą. Owytm artystą był młodszy od Zegadłowicza o 24 lata, właściwie całkowicie nieznany, ale będący wybitną indywidualnością, Stefan Żechowski. O współpracy obu twórców do niedawna niewiele było wiadomo. Skłpe i dalece nieprecyzyjne informacje na ten temat zawarł w nieodobrej, pełnej załuszcowań i przekłuwów książce *Portret Zegadłowicza bez ramy* (1966) Edward Kozłowski. Stefan Żechowski w e wspomnieniach *Na jawie* (1981) był znacznie bardziej precyzyjny, nie z racji przyrodzonej mi skromności – dość powściągliwy. Pełną dokumentację tej współpracy przynosi dopiero dwutomowy zbiór korespondencji Erala Zegadłowicza, Stefana Żechowskiego i Mariana Ruzanskiego, opracowany przez Mirosława Wójcika.*

Mirosław Wójcik, polonista, pracownik naukowy Akademii Świętokrzyskiej w Kielcach, dokonał rzeczy – zdawać by się mogło – niemożliwej. O listach, które posiadał Stefan Żechowski, sądziło wręcz, że spląnęły podziemi domni artysty w Książu Wielkim w roku 1953. Bez wieści przepadły te listy, jakie w swoim archiwum przechowywał, nieznany blisko związany z Zegadłowiczem, pisarz i krytyk Andrzej Piwowarczyk. Mirosławowi Wójcikowi udało się dotrzeć do p. Marianny Żechowskiej, wdowy po artyście, która udostępniła mu rzekomo spalone listy. Z kolei korespondencję gromadzoną przez A. Piwowarczyka znalazł odkryt w Książu Beskidzkiej w Bielsku-Białej, dokąd za dnia sprzedana przed kilkunastu luty po śmierci właściciela. Listy pisane przez Mariann Rozanską odnalazi Wójcik w Muzeum Państwowym w Oświęcimiu. Pozostała część prezentowanej korespondencji pochodzi z archiwum Zegadłowicza w Gorznie Głównym koło Wadowic.

Spółród 244 listów opublikowanych przez Mirosława Wójcika 109 wyszło spod ręki Erala Zegadłowicza, 97 jest autorskim Stefana Żechowskiego, 12 – Marianna Ruzanskiego. W znakomitej większości dotyczą one pracy nad *Motorami*. Ale nie tylko. Jak bowiem pisał Wójcik, *szczególnie cenne są uwagi autorów korespondencji dotyczące sztuki, zainteresowań artystycznych, pogłgłdów estetycznych, obyczajowych, etycznych, społecznych i politycznych, inspirujących dokonania artystyczne lektur i osobowości ówczesnej epoki*. Nie ma w tych słowach etym przesady. Dwa tomki listów Zegadłowicza, Żechowskiego i Ruzanskiego tworzą wielowymiarowy, głępk obraz tak artystycznych, jak i społecznych trendów i zjawisk charakterystycznych dla dwudziestolecia międzywojennego. Szczególnie ciekawe są opinie i przenyslenia Mariana Ruzanskiego. Jego listy to właściwie eseje diagnozujące ówczesną rzeczywistość. Listy Zegadłowicza natomiast dobitnie potwierdzają wizerunek pisarza-intelektualisty, dla którego proces twórczy nierozdzielnie łączy się z walkiwością społeczną. Tylko młodziutki Żechowski, wystrzony w duchowego mistrza, jakim był dla niego autor *Motorów*, koncentruje się niemal wyłącznie na kwestjach stricte artystycznych.

W sumie jest to lektura fascynująca nie tylko dla literaturoznawców. Jej walory poznawcze potęguje niezwykle staranność edytora. Mirosław Wójcik nakreślił bardzo precyzyjne, choć z konieczności skrócone, sylwetki swoich „bohate-

rów”. Wstęp do *Korespondencji* to cykl szkiców literackich przedstawiających i analizujących biografie Erala Zegadłowicza, Mariana Ruzanskiego, Stefana Żechowskiego i – dodatkowo – Stanisława Szukalskiego, pierwszego „przewodnika artystycznego” ilustratora *Motorów*. Osobne słowa uznania należy się Wójcikowi za liczne, szczegółowe przypisy, będące nie tylko komentarzem do prezentowanych listów, ale także nieocenionym źródłem informacji o twórcach i wydarzeniach inspirujących autorów korespondencji.

Praca Mirosława Wójcika dowodzi, że Zegadłowicz doczekał się własnego biografa z prawdziwego zdarzenia. Żywie głębokie przekonanie, że tezę tę w całej rozciągłości potwierdzi monografia autora *Zmór* i *Motorów*, którą Wójcik właśnie przygotowuje do druku.

Eral Zegadłowicz, Stefan Żechowski, Marian Ruzanski: *Korespondencja. Wstęp*, opracował i zbiorzył preów Mirosław Wójcik. Wydawnictwo Akademii Świętokrzyskiej, Kielce 2002. Tom I: 1936–1937, ss. 437; tom II: 1938–1944, ss. 233.

MAGDALENA RAJZO-BIREK

NAMIĘTNOŚĆ ŻYCIA I PISANIA

Z różnych form krytyki literackiej najbardziej popularne wśród tak zwanych zwyczajnych czytelników są, obok biografii pisarzy, także rozmowy z nimi. Jest rzeczą dyskusyjną, czy można wywiad – jeden z najważniejszych gatunków dziennikarskich, włączyć w obręb wiedzy o literaturze. Ale po pierwsze: rozmowy z pisarzami przeprowadzają zazwyczaj znawcy ich twórczości. Po drugie: są one cennym materiałem przy interpretowaniu utworów, a czytelnikom pozwalają lepiej i głębiej poznać dzieła, które ich fascynowały oraz ludzi, którzy je stworzyli. Dzięki dociekliwym i wnikliwym rozmówcom mamy szansę wniknąć w tajemnice pisarskiego warsztatu, poznać inspiracje i okoliczności powstania tekstów, związki fikcji z realnymi postaciami i zdarzeniami, a nawet znaleźć rozwiązanie fascynującej zagadki twórczego powołania.

W roku 2002 ukazało się kilka zbiorów rozmów z pisarzami. Ich autorami byli: literaturoznawca – profesor Stanisław Bereś, pisarz i krytyk – Piotr Szewc, para telewizyjnych dziennikarzy z Krakowa – Katarzyna Janowska i Piotr Muchański. Ukazała się też nieduża (w porównaniu z wyżej wymienionymi) książka Heleny Zaworskiej, zatytułowana *Dobrze, że żyłem*. Tytuł pochodzi z rozmowy z Wiesławem Myśliwskim, która otwiera zbiór. O niezwykle charakterze książki stanowi osoba autorki, która należy do grona wybitnych polskich krytyków literackich starszego pokolenia. Niedługo związana z miesięcznikiem „Twórczość”, w ostatnich kilkunastu latach pisywała głównie do „Gazety Wyborczej”, gdyż – jak wyznaje we wstępie, „zależy jej na przyciągnięciu do literatury mnóstwa czytelników”. Jest to jej trzeci zbiór wywiadów; poprzednio opublikowała *Nam chodzi o życie. Rozmowy z pisarzami* oraz osobno – *Rozmowę z księdzem Janem Twardowskim*.

W *Dobrze, że żyłem* zainteresował mnie oryginalny zestaw rozmówców, w którym znalazło się kilku moich ulubionych polskich pisarzy. Bohaterami są bowiem: Janusz Szuber, Bogdan Małek, Marek Nowakowski, Piotr Siemion, Hanna Krall, Andrzej Turczyński, Włodzimierz Odojewski, Jerzy Ficowski i Grzegorz Strumyk. Dominują pisarze generacji, do której należy autorka, co stanowi wyrazisty znak szczególnej, bardzo osobistej strategii rozmów. Helena Zaworska nie ukrywa swojej osobowości, odsłania własne poglądy nie tylko na literaturę, ale także na ludzi i świat; konfrontuje je z doświadczeniami, przeżyciami i refleksjami swoich rozmówców. Jej rozmowy są prawdziwą, istotną, czuje też, że niezwykle ważną dla autorki, wymianą poglądów między równoprawnymi partnerami. Nie są natomiast „wywiadami” czy dociekliwymi „przesłuchaniami”. I może właśnie dlatego udaje się Helenie Zaworskiej uzyskać bardzo intymne wyznania, których komu innemu czy w innych okolicznościach nie odważyłby się powiedzieć. Istotne znaczenie wydaje się mieć fakt, że jest kobietą, a jej rozmówcami są – poza Hanną Krall – sami mężczyźni (rozpropagowany przez Jan Błońskiego termin „romans z tekstem” wzbogaca się o wyraźny odcień „romansu z autorem”, przy czym jedyną osobą, która wydaje się zachowywać ostrożny dystans do rozmówcy, jest autorka *Zdążyć przed Panem Bogiem*, skądinąd znakomicie wykorzystująca na potrzeby swych utworów podobne psychologiczne mechanizmy).

Helenie Zaworskiej pisarce zawierają sekrety życia rodzinnego (niekoniecznie stawiające ich w korzystnym świetle), seksualnej inwencji czy szczególnych okoliczności powstania konkretnych utworów literackich. Najczęściej okazuje się, na przekór formahomoni wszystkich dwudziestowiecznych szkół, jak mocno twórczość jest zakorzeniona w biogrofilu pisarza, choć nie bywa to zazwyczaj związek bezpośredni czy iluzoryczny. Tęcie nas w tym przypadku różnicy między prozaikami czy poetami; ba, w świecie różnów dwój poeci = Jerzy Ficowski i Janusz Sztaub – wydają się, paradoksalnie, w tym różni bardziej powściągliwi w swoich wyrażeniach.

Poszczególne rozmowy znacznie się między sobą różnią, co wynika z osobowości pisarzy, odrębności ich biograficznych doświadczeń, wykształcenia, zainteresowań, a także specyfiki dzieł. Nie bez znaczenia jest tuż zwana „chemia” między ludźmi, która sprawia, że niektórzy partnerzy przypadają autorce bardziej do gustu i częściej oraz dłużej z nią rozmawia, poruszając przy okazji więcej tematów. Nie kryje też, z którymi jest zaprzyjaźniona. Na „ty” jest z Wiesławem Myśliwskim i Markiem Nowakowskim; rozmowy z nim są najdłuższe, najbardziej wnikliwe, pełne żartowych dyskusji, niekiedy – twórczych polemik. Ciekawe, że sposób wypowiedzi pisarzy bywa ludzko bliski stylistyce ich dzieł, co ukazuje inny związek z językiem, nawa swoiste wari uwikłanie, niemożność zmiany „osobistej mowy” – zakorzenionej w ciele, duszy, w sposobie widzenia i odbierania świata – na jej postać dyskursywną i „oficjalną”. Widać to zwłaszcza w rozmowie z pisarzami o wyrazistym, osobliwym stylu, kreatorami języka: Andrzejem Turczyńskim, Jerzym Florkowskim, Grzegorzem Strumykiem oraz Hanną Krall. Te rozmowy są też jakby trudniejsze dla autorki, która szanuje i ceni ich twórczość, ale też okazywa atencję, która wynika być może ze świadomości, że, choć fascynują ją i poruszają światy oraz problemy przez nich przedstawione i ukazane, to jednak nie wszystko jest dla niej jasne i zrozumiałe. Wówczas zostawia rozmówcom szczególne dużo swobody, pozwala mówić o czym chcą i nie naciska, gdy nie godzą się (jak Hanna Krall) odpowiadać na bardziej osobiste pytania. To szczególnie lukryka, gdyż w trakcie rozmowy pojawiają się zarówno odpowiedzi, jak i rozwijane posuwający ją zagadki, udziękowanie, że nie wprost, ale sugestyjnie chce w znaczących przekształceniach i pozornie przypadkowych przekształceniach.

Wiem o ilu jednego z bohaterów w rozmów: że ich kształt wykwstał się nie w trakcie jednego spotkania, najpóźniej jest rezultatem kilku, nawet kilkunastu, w trakcie których autorowi „oswoił” pisarzy, przekonując ich do siebie. Jest to ważne, ponieważ rozmowy Zawadzkiej nie są tylko postaciami z repertuaru polskiej literatury, dobrnymi ze względu na ich znaczenie, wielkość czy popularność. Przedstawianym warunkiem rozmowy jest fascynująca twórczość pisarza (może też – ale to mojej domniemanie – jego osoba, jak w przypadku Marka Nowakowskiego czy – co jest co poznane – Janusza Szubera, zanim tenże stał się podtytułem objawieniem lat czterdziestych). Osobiste, a nie wyłącznie profesjonalne zaangażowanie rozmówczyni nadaje tej książce rozmów szczególnie charakter, co zakładał pod tytułem tytułu, którzy mają nadzieję specjlizować się w tej dziedzinie dzielnikarstwa i krytyki literackiej. Rozmowy z pisarzami, zebrane w tomie *Dobrze, że żył*, są bowiem swoimi dziełami literackimi o starannie przemyślanej dramaturgii i konstrukcji.

Helena Zaworska – podobnie zresztą jak Stanisław Beres czy Piotr Szewc – może sobie pozwolić na dobieranie różności wódle prywatnego klucza, bez oglądania się na obowiązujące aktualnie normy czy hierarchie. To bardzo jasne, zwłaszcza w przypadku pisarzy wyraźnie niedocenionych przez krytykę, czytelników i historyków literatury, jakimi wydają się być zwłaszcza Bogdan Madej (który zmarł tuż przed ukazaniem się książki), ale także Jerzy Ficowski, Andrzej Turczyński i w pewnej mierze Marek Nowakowski oraz Grzegorz Strumyk. Nie znaczy to, że wszystkie różnowody wydały nam się równie doskonale czy interesujące. Największe wrażenie wywarły na nim spotkania autorki z Wiesławem Mysińskim, Januszem Szuberem, Bogdanem Madejem i Grzegorzem Strumykiem, a zwłaszcza tnie ponad siedemdziesiąt stron ożywionej dysputy z Markiem Nowakowskim i nie sągami wyżyn subtelności, skąd dochodził głos Jerzego Ficowskiego. Każda jednak z rozpraw zamieszczonych w książce Zaworskiej przynosi cenne informacje o życiu pisarzy, ich ważkie antykonformarstwo do własnej twórczości oraz oryginalne uwagi interpretacyjne wnikliwej i wrażliwej miłośniczki literatury, której to, niestety (Kunachronicznej), postawy nie boi się demonstrować autorka książki.

7. Zdobnie w książce rozniowy przykrywają wagę emocjonalną intensywności oraz wagą podjętych tematów. Autorkę interesują związki pisarzy z bliskimi, wspomnienia z okresu dzieciństwa, który dla kilku z jej rozmówców przypadł na okres wojny i obywatelstwa w trudnym i wyjątkowym (warto zwrócić uwagę zwłaszcza na koleje losu Andrzeja Turczyńskiego). W każdej rozmowie pojawiają też: problemy cierpienia, obecność zła

oraz miłości. Te, tak zwane uniwersalne, ale też niezmiennie zbanalizowane, posługujące
procesom stereotypizacji tematy, dzięki przemyśleniom grona niezwyklej ludzi, nie
wydają się oczywiste czy trywialne. Oryginalność wypowiedzianych przez pisarzy
komentarzy, opinii i sądów sprawia, że wydają się one prawdziwe, bliskie temu, czego
rzeczywiście doświadczamy w prawdziwym (a nie literacko zmedializowanym) życiu.
Literatura w perspektywie Heleny Zaworskiej jawi się, może nieco anachronicznie, ale
nadal jako Stenohalowskie lustro, w którym odbijają się lasy ludzi i współczesne dzieje
(nie przypadkiem jedna z jej najważniejszych książek o literaturze nosi tytuł *Laurea*
Polaków). Pisarz jest dla niej kimś w rodzaju mediusza, kronikarza, świadka, powiernika,
zadziei surowego spowiednika czy sądziego bliźnich.

Swoich różnic w Helena Zaworska wybrała nie tylko dlatego, że są autorami wybitnych utworów (na przykład Piotr Ściepien wydał do tej pory tylko jedną książkę – *Niebia kłki*, która, mimo przychylnego przyjęcia krytyki, nie stała się bestsellerem). Interesują ją bowiem pisarze, za których dziełami stoi bogactwo doświadczeń – tych życiowych, jak i wewnętrznych. Każdy z jej wybrańców ma za sobą prawdziwy uniwersytet życia – niewywniesione, intensywne doświadczenia: bolesne dzieciństwo, osierocenie, buntowniczą młodość, nieuleczalną chorobę, lata ciężkiej, melitarskiej pracy, prześladowania polityczne, emigrację. W swej książce Zaworska udowadnia, że bardzo często wielkość czy niezwykłość utworów literackich wynika z bogactwa doświadczeń autorów; ich otwartości na przyjmowanie wszystkiego, co zyska im, otwartości na innych ludzi, wrażliwości społecznej, historycznego smutku, unicieplności wnikania w świat przyrody. Wartości literackie buduje mądrość pisarzy, ich gorzka niekiedy wiedza o zawileściach życia, często własne, bolesne doświadczenia, które jednak nie odebrały im całkowicie wiary w ludzi, świat i sztukę. Wymianie Wiesława Myśliwskiego: „Dobrze, że żyłem” kontrpunktuje Włodzimierz Odojewski, który na pytanie, dlaczego jest tak krytyczny wobec własnej twórczości, odpowiedział: *gdyby nie było tych wahań, tego odbijania się od ściany białej i ściany czarnej, to nie byłaby namiętność życia i pisanie*. Tom różnic z pisarzami i Heleny Zaworskiej znakomicie pokazuje namiętność życia i pisania, bez których nie może powstać żadne prawdziwie wielkie dzieło.

Helena Zaworska: *„Dobrze, że żyłem.” Rozmowy z pisarzami*. Warszawskie Wydawnictwo Literackie Muza SA, Warszawa 2002, ss. 334. Seria „Samy Swoi”

plastyka

LECHOSŁAW LAMENSKI

Paweł Anaszkiewicz – polski rzeźbiarz w Meksyku

Paweł Anaszkiewicz, to imię i nazwisko polskiego rzeźbiarza, od blisko dwudziestu lat mieszkającego i tworzącego w Meksyku. Prawie w ogóle nieznamy w Polsce (o jego istnieniu wiedzą jedynie nieliczni specjaliści i znawcy rzeźby w metalu), na przekór wszystkim i wszystkiemu robi międzynarodową karierę z dala od ojczystego kraju.

Urodzony w Gdyni (w 1950 roku), skąd wyjechał już jako człowiek trzydziestoletni, absolwent Politechniki Gdańskiej, gdzie studiował elektronikę, specjalizacja hydroakustyka (dyplom magisterski w 1975 roku), zupełnie ze sztuką nie związany i wydawać by się mogło w pełni ukształtowany, świadomy swych celów reprezentant inteligencji technicznej. Do USA wyjechał na początku 1980 roku, w celu rozwinięcia rozprawy doktorskiej i kontynuowania współpracy z prof. Samem Bledsone z Uniwersytetu Washington w Seattle, z którym zetknął się w 1977 roku podczas rejsu badawczego na statku „Profesor Siedlecki” na Pacyfiku u wybrzeży Stanów Zjednoczonych i Kanady. Względy polityczne zadecydowały,



Paweł Anaszkiewicz. *Intermedia*, 1990 (52 x 62 x 10 cm)



Paweł Anaszkiewicz. *Catálogo 4*, 2002 (191 x 145 cm)

że po kilku miesiącach udanych badań plany te nie mogły być kontynuowane. Na szczęście wkrótce potem Uniwersytet w Stanford w Kalifornii zaproponował mu pracę naukowo-badawczą w bazie Palmer na Antarktydzie (od grudnia 1981 do marca 1983), gdzie jako kierownik laboratorium prowadził badania górnych warstw atmosfery przy pomocy fal elektromagnetycznych bardzo niskiej częstotliwości, co przyniosło mu w konsekwencji nie tylko uznanie stosownych władz i medal NSF of USA (Narodowej Fundacji Naukowej Stanów Zjednoczonych), ale także niezależność finansową przez dłuższy czas.

Gdy kariera naukowa i stabilna rzeczywistość coraz realniej zaczęły wypełniać uporządkowane – jak by się mogło wydawać – życie Pawła Anaszkiewicza, dała o sobie znać jego niespokojna, skłonna do zmian i zaskakujących zwrotów natura. Polak rezygnuje z dotychczasowej pracy, nie wiedząc doskonale jak wygląda sytuacja polityczna w kraju oraz nie mając do kogo wracać, postanawia pozostać na Zachodzie. W grudniu 1983 roku wyjeżdża do Meksyku, aby podjąć tym razem... studia artystyczne (sic!). Bez wątpienia w podjęciu tej niespodziewanej i pozornie szalonej decyzji pomocny okazał się wcześniejszy kontakt z prof. malarstwa Praczukowskim, Amerykaninem polskiego pochodzenia (w trzecim pokoleniu), z którym Paweł Anaszkiewicz zetknął się podczas swoich studiów doktoranckich. Fakultatywny udział w prowadzonych przez niego wieczornych sesjach rysunkowych (wybranych, ponieważ miał poczucie, że w Stanach można prawie wszystko) zaraził przyszłego rzeźbiarza autentycznym entuzjazmem i energią. Oceniając tamte wydarzenia po latach stwierdził, że ten nie mówiący już po polsku syn emigrantów znalazł w Wisty był jego najpowważniejszą nauczycielem – mentorem.

Tak więc zainteresowania sztuką jako taką i pewna – ciągle jeszcze skromna – wiedza teoretyczno-praktyczna powodują, że Paweł Anaszkiewicz wyjeżdża do spalonego słońcem Meksyku, kraju pełnego kontrastów i niespodzianek, a zarazem kraju o całkowicie odrębnej kulturze i tradycji. Od samego początku dokładnie wie co chce robić, dlatego przez rok uczy się warsztatu rzeźbiarza w pracowni Lothara Kestenbhum, niemieckiego artysty, który po studiach w powojennych Niemczech, w latach

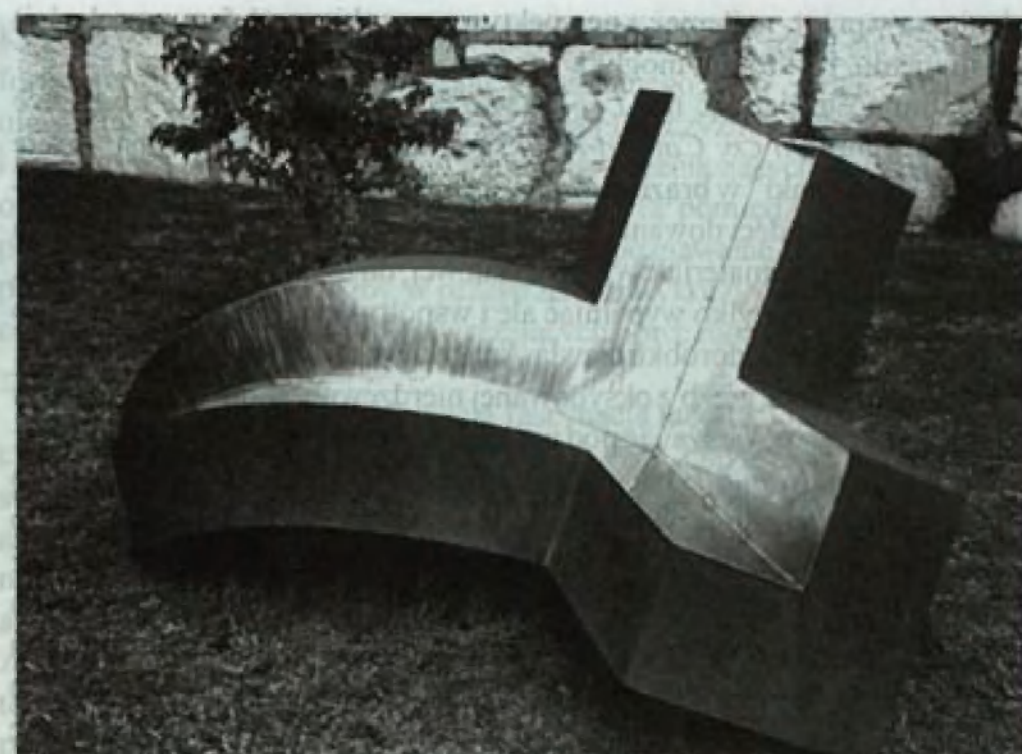


Paweł Anaszkiewicz: *Luba II*, 1992 (320 x 380 x 170 cm)

pięćdziesiątych osiadł w Meksyku w San Miguel de Allende. Ponieważ udział w odlewaniu jego rzeźb i wykonane kilku prac o charakterze ćwiczeniowym nie satysfakcjonowały Pawła Anaszkiewicza w pełni, podejmuje – w latach 1985-1988 – dalsze studia w Narodowej Wyższej Szkole Malarstwa, Rzeźby i Grafiki „La Esmeralda” w Mexico D. F.

Także i tym razem wydarzenia toczą się błyskawicznie. Natychmiast po zakończeniu studiów w „La Esmeralda” – jeszcze w 1988 roku – Paweł Anaszkiewicz bierze udział w pierwszej wystawie zbiorowej (*Triennial of Sculpture*, National Auditorium Gallery, Mexico City). Zaledwie cztery lata później – w grudniu 1992 roku – ma miejsce pierwsza wystawa indywidualna artysty w „Expositum” Gallery, jednej z czołowych galerii Mexico City, a w okresie lipiec–sierpień 1993 roku pierwsza – i jak dotychczas jedyna – wystawa indywidualna Pawła Anaszkiewicza w Polsce, w Galerii Rzeźby Stołecznego Biura Wystaw Artystycznych w Warszawie.

Dekada lat dziewięćdziesiątych to okres bardzo dużej aktywności twórczej i wystawienniczej Pawła Anaszkiewicza, to czas kiedy z poszukującego swego miejsca na ziemi Polaka w średnim wieku, z wyższym wykształceniem technicznym i dobrze rozpoczętą karierą naukową, staje się interesującym rzeźbiarzem mającym coś ważnego i ciekawego do powiedzenia publiczności i krytykom, a także samemu sobie. W rezultacie organizuje dwie – już wspomniane wyżej – wystawy indywidualne oraz bierze udział w kilkunastu wystawach zbiorowych (w Meksyku i USA), z których zwraca uwagę uczestnictwo w ważnym pokazie pt.: *12 escultores finimilenaristas en Mexico* (Museo de Arte Moderno, Ciudad de Mexico, lipiec – październik 1998). Dyrektorka muzeum, a zarazem kurator wystawy, Teresa del Conde, zaprosiła Pawła Anaszkiewicza (podobnie jak drugiego Polaka Xawerego Wolskiego, Greczynkę, Francuza i Japończyka oraz siedmiu Meksykanów), ponieważ uważała go za rzeźbiarza, a nie wyłącznie za twórcę obiektów trójwymiarowych, nie mających nic wspólnego z rzeźbą powstającą intuicyjnie. Wszystkich uczestników wystawy łączył również fakt, że urodzili się pomiędzy 1940 a 1960 rokiem, posiadali wykształcenie akademickie, a w niektórych przypadkach – tak jak nasz bohater – naukowe. Teresa de Conde była również przekonana, że wybrani przez nią artyści to rzeźbiarze „w najbardziej aktywnym etapie twórczości”, którzy urodzeni poza granicami Meksyku postanowili żyć i



Paweł Anaszkiewicz: *Fulcrum*, 1994 (110 x 196 x 156 cm)

tworzyć w tym kraju, wpisując się przez to w jego historię artystyczną. Z katalogu wystawy wynika, że prace Pawła Anaszkiewicza należały do najciekawszych i jako jedne z nielicznych zachowały czytelny pierwiastek humanistyczny, pozwalający dostrzec w nich coś więcej niż tylko zimne, metalowe formy, wzbogacone o kolor i ustawione w przestronnej, a zarazem neutralnej przestrzeni muzealnej.

Ale jak wyglądały początki Pawła Anaszkiewicza rzeźbiarza, od czego zaczynał? Pierwsze jego prace powstałe w latach 1987-1992, to w przeważającej mierze kompozycje przestrzenne wykonane w brązie, stosunkowo nieduże (nie przekraczające 50 cm wysokości), odnoszące się w sposób niemal bezpośredni do otaczającej twórcę rzeczywistości, ale także do dzieciństwa i młodości spędzonych w Polsce. Z jednej strony pojawiają się kształty o rodowodzie organicznym, miękkie i płynne, z drugiej bardziej zgeometryzowane i abstrakcyjne o narracji onirycznej, powstałe na bazie marzeń sennych. Nie brak również rzeźb wskazujących na to, że Paweł Anaszkiewicz urodził się i wychował nad morzem, że jego ojciec (zmarł w 1982) był kapitanem Marynarki Wojennej (przed II wojną światową) i kapitanem Żeglugi Wielkiej (po wojnie), a on sam pracował początkowo w Zakładzie Oceanografii PAN, a potem w Morskim Instytucie Rybackim, spędzając jako młody naukowiec wiele miesięcy na morzu, między innymi na wspomnianym statku badawczym „Profesor Siedlecki”. Wszystkie o prostej, nieskomplikowanej formie, wyraźnie stylizowane na schematyczne kształty, zachowują znaczną dawkę realizmu pozwalającą na odczytanie ich charakteru narracyjnego, a nawet poetyckiego. To narracja o rozbudowanym wątku interpretacyjnym, ponieważ rzeźby artysty z początku lat dziewięćdziesiątych, choć pełnią przede wszystkim funkcję dekoracyjną, dostarczają również skojarzeń o podtekście literackim. Wspomnienia z dzieciństwa, łódki i żagłówek, a nawet nadbrzeżne pacholki do cumowania statków, chociaż przetworzone w jego wyobraźni i ukształtowane w brązie, wykazują czytelny związek z poetyką na pograniczu świata realnego i sennego. Artysta kształtując je w przestrzeni zdaje się „wycinać” poszczególne kształty w metalu. Charakterystyczne, że mimo iż wszystkie posiadają obok wysokości i długości także – co zrozumiale – głębokość sprawiają wrażenie dwuwymiarowych, do oglą-

dania na wprost, najlepiej z perspektywy wysokiego (1,5 m wysokości) postumentu, na którym mogłyby stać, ciesząc oczy widzów.

Ale imino to patrzeć na *Loba* i *Marillo* (z 1990 roku), a także *Ave marina*, *Libelula* czy *Cabeza IV* (wszystkie z 1992 roku) widać, że to proste „wycinanki” w brązie niosą w sobie zapowiedź kompozycji znacznie większych, zdecydowanie trójwymiarowych, wykonanych w nowym bardziej opornym materiale – płycie stalowej, do ustawienia w przestrzeni, która będą już nie tylko wypełniać ale i współtworzyć. Kompozycje tego typu pojawią się w dorobku Pawła Anaszkiewicza zaledwie rok później. Będzie to dziesięć rzeźb z oksydowanej nierdzewnej stali, pokazanych w Galerii Rzeźby w Warszawie pod wspólnym, wielce tajemniczym tytułem: *Żelazna racja Nahuals*. Jak należy rozumieć ten termin? Według samego artysty jest to termin języka nahuatl. Języka w dalszym ciągu używanego przez grupy Indian, potomków Indian Mexica (rasy Azteków). Formalnie istnieje kilka tłumaczeń jego znaczenia. Np. w pewnych plemionach indiańskich to pierwszy zauważony przez matkę zwierzątko po urodzeniu dziecka, który staje się jego animalistycznym patronem. W innych grupach indiańskich nahuałem nazywa się szamana, który potrafi przeistoczyć się w zwierzątko, patrona pacjenta (w jego ducha).

„Nahuale” pokazane w Galerii Rzeźby w Warszawie to: *Florian*, *Nahuatl 2*, *DSD*, *Nahuatl 1*, *Serwis*, *Oficium Sacrum*, *Topornica*, *Wiek*, *Don de Alfo* oraz najwyższy (liczący 276 cm wysokości) *Krok*. Artysta przede wszystkim zwiększył ich skalę, chociaż – jak mówi – jego „rzeźby nigdy nie są monumentalne, ale posiadają rozmiary ludzkiego ciała”. Te „rozmiary ludzkiego ciała” sięgają nikielczy do ponad 250 cm wysokości, ustawiane – coraz częściej bez żadnych cokół i podstaw bezpośrednio na trawie w parku, na chodniku czy deptaku przed galerią.

We wstępie do katalogu warszawskiej wystawy interesujący pisarz Paweł Huelle, a zarazem znajomy artysty, trafnie stwierdził, że *Oglądając prace Pawła Anaszkiewicza, doznajemy pewnego zaskoczenia. Jest to sztuka na wskroś nowoczesna, a jednak oparta na elementach tradycyjnych. Formy jego stalowych rzeźb biorą początek od rzeczy i przedmiotów nam znanych, często użytkowych: okrągłej liny, suwmiarki, śruby. Anaszkiewicz przekształca je w taki sposób, aby zachować ich pierwotną czytelność, lecz równocześnie nadać nowe znaczenie. Trudno orzec, czy symboliczne. Może lepiej powiedzieć – znaczenie nowe, oparte na rozwinięciu wariantu przestrzennego. Surowe w barwie i kształcie, a jednak w jakiś dziwny sposób liryczne, są jego kompozycje wezwaniem do swolnitéj pojmowania odnowienia sztuki.*

Wydaje się, że uwagi Pawła Huelle odnosiły się raczej do pierwszych rzeźb Anaszkiewicza, tych z lat 1987-1992, a nie wykonanych przez artystę począwszy od 1993 roku. Dwie rzeźby z cyklu *Nahuals*, jak i pozostałych osiem pokazanych w Warszawie, nie mają już bowiem tak oczywistych i jednoznacznych odniesień do świata realnego jak i otaczających ludzi przedmiotów. Są to formy przestrzenne, zdecydowanie trójwymiarowe, w których tworzące je płaszczyzny dopełniają się lub przecinają, doprowadzając do powstania dalece abstrakcyjnego kształtu o skłonności ku geometryzacji z wykorzystaniem otworów jako integralnej części konkretnej kompozycji.

Bez wątpienia Pawła Anaszkiewicza nie da się zaliczyć – bo i nie o to w tym przypadku chodzi – do grona nowatorów, a zarazem klasyków, w dziejach rzeźby nowoczesnej XX wieku, takich jak: Henry Moore, Barbara Hepworth czy Reg Butler lub bracia Aleksander Peysner i Naum Gabo.

Każdy z tych wybitnych kreatorów ludzkiej wyobraźni starał się tworzyć formę rzeźby przy pomocy metalu traktowanego jako „żywa” materia ułatwiająca zarówno modelowanie gładkiej płaszczyzny z jednej płyty, jak i z rytmicznie ustawionych prętów, płaszczyzn przenikających się, a zarazem ograniczających konkretną przestrzeń zawartą pomiędzy określonymi punktami. Dzięki temu ich kompozycje są rozpoznawalne w tłumie innych, pozwalają na rozwój rzeźby w przestrzeni z wykorzystaniem nowych – coraz bardziej intrygujących i stwarzających nowe możliwości wyrazowe – materiałów.

Ale Paweł Anaszkiewicz ze swoją fascynacją metalem, jego nieograniczonymi możliwościami techniczno-wyrazowymi, ciągle jeszcze należy do stosunkowo wąskiej grupy artystów polskich tworzących w tym trudnym, raczej inżynierskim tworzywie, wymagającym specjalistycznych narzędzi, specyficznej obróbki, a także nierzadko hali fabrycznej zamiast atelier, z udziałem wykwalifikowanych robotników. I chociaż wydaje się, że artysta nie jest zainteresowany tworzeniem nowych środków wyrazu, to jednak zależy mu na właściwym odbiorze jego prac, pragnie, aby ich proste, sugestywne kształty zapadały w pamięć. Można odnieść wrażenie, że rzeźby polskiego artysty nie mogą istnieć bez człowieka, który jest punktem odniesienia dla ich skali i charakteru.

Patrzeć na rzeźby Pawła Anaszkiewicza powstałe w połowie lat dziewięćdziesiątych i później, a jeszcze częściej na ich dokumentację fotograficzną (łatwiej dostępną w Europie, w Polsce), widz i krytyk staje przed problemem trójwymiarowej przestrzeni sprowadzonej do płaskiej odbitki. I chociaż zdjęcia są ostre, rejestrują zarówno aspekt kolorystyczny (rzeźby wykonane począwszy od 1994 roku mają – obok płaszczyzn z oksydowanej stali – partie pokryte patyną z rdzy, zagruntowana lekko przezroczystym i matowym silikonem, niektóre pokrywa także brązowa farba podkładowa), jak i ukazują prace artysty ze wszystkich możliwych stron, ich percepcja jest bez wątpienia inna od tej w naturze. Korzy stając z fotografii zostajemy pozbawieni elementu zaskoczenia, tajemnicy towarzyszącej nam podczas krążenia w przestrzeni zmienionej przez wprowadzenie w jej środek metalowej, błyszczącej i zdecydowanie azutowej formy działającej na nasze zmysły. Mimo to widz woli niejednokrotnie oglądać rzeźby na fotografiach lub na video niż na ekspozycji, ponieważ nowe nośniki przekazu obrazu proponują produkt prawie doskonały, starannie wykadrowany i ujęty w ramę (np. ekranu telewizora), podczas gdy dzieło ustawione na ekspozycji wymaga od oglądających inicjatywy twórczej. Ale za to dzięki fotografiom można uchwycić, zarejestrować element upływającego czasu. W 1993 roku dziesięć rzeźb Pawła Anaszkiewicza pokazanych pierwotnie w Warszawie w ramach wystawy *Żelazna racja Nahuals* zostało następnie przeniesionych do ogrodu Związku Polskich Artystów Plastyków na podzamczu w Olsztynie, gdzie były eksponowane w naturalnym otoczeniu aż dziewięć lat. *Jeden z moich znajomych – napisał artysta w październiku 2002 roku – wykonał zdjęcia niektórych prac pokrytych śniegiem i wysłał mi je do Meksyku. Od tamtej pory, za każdym razem kiedy przyjeżdżam do Polski w czasie zimy, staram się za pomocą fotografii zarejestrować czas upływający obok moich rzeźb. To wspomnienie sprzed lat stało się ostatnio pretekstem dla Pawła Anaszkiewicza do pokazania w przestrzeni muzealnej (Muzeum Sztuki Współczesnej „CHOPO” w mieście Meksyk, grudzień 2002 – styczeń 2003) *Białej pamięci o Nahuals* będącej konfrontacją pomiędzy rzeźbami oraz ich fotografiami wykonanymi na zewnątrz, pokrytymi śniegiem; konfrontacją*



Paweł Anaszkiewicz, *Collector*, 1994 (230 x 215 x 125 cm)

między obiektem trójwymiarowym i jego płaską projekcją o porównywalnym ciężarze wizualnym.

Mozna więc uznać, że Paweł Anaszkiewicz po dziesięcioleciu wypełnionym nieustającą konfrontacją myśli i ręki z opornym i trudnym w obróbkę metalem – nie ogranicza swej działalności artystycznej wyłącznie do „klasycznej” rzeźby, ale zaczyna wykazywać zainteresowanie działaniami typu instalacja. Ale mimo wszystko – jak na razie – o sile i osobowości artysty decyduje ciągle jeszcze fakt, że tworzy on przede wszystkim w stali wzbogaconej o czytelny aspekt kolorystyczny (najczęściej naturalny kolor metalu), a komponowane w sposób intuicyjny formy przestrzenne – niekiedy nasuwające skojarzenia z literami, ich otworami i wypukłościami – cechuje niezwykła przy tego typu dziełach lekkość i ulotność. Lekkość, uzyskiwana coraz częściej (począwszy od drugiej połowy lat dziewięćdziesiątych) dzięki wprowadzeniu w strukturę rzeźb elementów stalowej siatki, będącej aluzją do wielkomiejskiej architektury z jej kontrastami betonowo-szklano-metalowymi, i wyzwaniom rzucanym sile grawitacji. To co Paweł Anaszkiewicz realizuje w przestrzeni otwartej, z dala od wnętrza pracowni, nie jest incydentalnym przekazem plastycznym determinującym konkretne otoczenie człowieka, podkreślającym jego znaczenie, wyznaczającym punkt docelowy, przy którym będą się spotykać zakochani i uczniowie na wagarach; to ma być element większej mozaiki składającej się na obraz rzeczywistości, codziennej, jak i świątecznej. Rzeźby artysty, choć wyrażają głównie jego indywidualne emocje, noszą w sobie również cały bagaż doświadczenia XX-wiecznej rzeźby europejskiej i światowej w metalu, zachowując świeżość i odrębność tak potrzebną każdemu twórcy do istnienia tu i teraz.

Lech Sław Lameński

„Mityzacja rzeczywistości” – Bruno Schulz w Lublinie DWA GŁOSY O WYSTAWIE

Bruno Schulz pozostawił po sobie objętościowo skromny dorobek literacki – dwa zbiory opowiadań i trochę listów neonowych z „otchłani czasu” przez Jerzego Ficowskiego. A mimo to pozostaje – obok Gombrowicza i Witkacego – najważniejszym pisarzem swojej epoki. Magliśmy się o tym przekonać uczestnicząc w listopadowej konferencji naukowej poświęconej jego twórczości, zorganizowanej w 110 rocznicę urodzin i 60 lat od daty tragicznej śmierci. Na szczegóły organizatorzy nie zapoznawali, że Schulz miał duży talent plastyczny. *Niega bahwochwalcza* powstała 12 lat przed debiutem prezatorskim. Artysta wielokrotnie podkreślał, że rysuje „od zawsze”. W liście do S. J. Witkacego z 1934 r. Schulz wymienia: *Początki mego rysowania gubią się w nagle mitologicznej. Jeszcze nie nudałem mówić, gdy pokrywałem już wszystkie papłery, ówczesne gazety gryzmołami, które zwracały uwagę otoczenia*¹.

Schulza-malarza doceniono znacznie wcześniej niż Schulza-pisarza. Między marcem 1922 a kwietniem 1923 r. odbyły się prezentacje *Księgi bahwochwalczej* w najważniejszych miastach Polski, m.in. w prasie warszawskiej „Zachęcie”.

Mieszkańcy Lublina mieli niepowtarzalną okazję obejrzenia (od 19 listopada do końca 2002 r.) prac Schulza. Na wystawie znalazło się 71 rysunków oraz grafik wykonanych w technice etykié-verre. Pochodzą one ze zbiorów Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie. Dobór prac był bardzo staranny. Dawał możliwość obserwacji poszczególnych etapów twórczości Schulza, aż do krystalizacji własnego, łatwo rozpoznawalnego stylu. Charakteryzuje go: dynamizm kreśli, umiejętność kontrowersyjnego białego i czarnego, operowanie stylizowanymi „naturalnymi” w fantazyjnie-groteskowym klimacie. Witkacy zaliczył Schulza do „erona” tzw. demagogów. Wymienia w tym kontekście: Cranacha, Dürera, Grünewalda, Feliciena Ropsa oraz Goya. Summum artysty niewątpliwie najbliższe – była dusza atmosfery obrazów Chir. Ich mrokiem przesycona jest cała *Niega bahwochwalcza*. W późniejszych pracach paleta barw rozgaśnia się, a rysunek upraszcza i staje się mniej dynamiczny. W kilku szkicach z ostatniego okresu można nawet zauważyć próby kulturowej stylizacji. Nie wiemy, czy byłby to tylko chwilowy „dłut” z awangarda, czy też świadome odejście od realistycznej poetyki.

Na szczególną uwagę zasługuje jedyny olejny obraz Schulza pt. *Spotkanie* z 1920 r. Przedstawia on echałda kornie klanającego się dwiema kobietom. Dominuje w nim paleta ciepłych barw – brzozy i czerwienie – co może dziwić w zestawieniu z mroczną atmosferą rysunków. Możemy przypuszczać, że malarz Schulz nie stronił od intensywności kolorystyki. Zaginiony obraz olejny *Przypadek Megmaza* był podobno utrzymany w tonacji błękitów i fioletów, a *Dom wariantów* w odcieniach czerwieni.

Oczywiście na wystawie nie mogło zabraknąć szkiców z *Księgi bahwochwalczej* oraz autorskich ilustracji do pierwszego wydania *Synatorium Pod Klepsydrą* z 1937 r. *Niega bahwochwalcza* więc pozostaje najoryginalniejszym dziełem plastycznym Schulza. Również ze względu na niecodzienny sposób wykonania, w bardzo rzadkiej, nie stosowanej w Polsce, technice z pragnieniem grafiki i fotografii. Ale oddajmy głos samemu artyście: *Metoda którą się posługuję jest znikoma. Nie jest to akwaforta, ale tzw. etykié-verre – płyta szklana. Rysuje się nią na warstwie czarnej zelatyny pokrywającej szkło, w ten sposób otrzymujemy negatywny, przeciwny rysunek, który traktuje się jak negatyw fotograficzny. I, kupując się w ramce folii, na papierze dwukrotnym wywołuje, utrwalą i zwiną – preceder jak przy odbiciach fotograficznych – koniec znaczący – praca także*. Witkacy tartoliwie nazywał schulzowską technikę „drapografią”.

Sam sposób okapowoci prac na lubelskiej wystawie został starannie przemysłany – szare passe-partout tworzy dyskretną tło, a jednocześnie nie przytłacza „skromnych” rysunków. Bardzo dobrym pomysłem było „podpisanie” prac wybranymi cytowanymi z opowiadań, m.in. z *Wiosny*, *Reputacji marzeń*, *Ułoty krokodyl*. Nie zrozumieni bowiem twórczości plastycznej Schulza, jeśli nie poznają jego dorobku literackiego. Te dwa światy nigdy nie przenikają. Sensualna metalizacja opowiadań wypełnia barwnymi czarno-białymi rysunkami, które na pierwszy rzut oka robią wrażenie niepojętych, często niedokończonych. Łatwo odgadnąć: na nich modywa i powłoki znane z prozy Schulza. Jest tam Jakub, Dianka, Adela (występująca w *Księgi bahwochwalczej* jako Undula), a przede wszystkim sam autor w licznych autoportretach, wraz ze swymi obsesjami i lękami. Schulz nie jest w stanie wyzwolić się ze świata, który sam wykreował. Jest jednym z wielu bahwochwalców, wcale nie najważniejszych, w tłumie uwielbiających się u stóp demonicznego Idola. To ofiara osaczona przez własne mroczne wizje...

¹ List D. Vogel do B. Schulza (w:) B. Schulz, *Księga listów*, zebrał, opracował, wstępem, przypisaniami i uwagami opatrzył J. Ficowski, Kraków 1975, s. 171.

² List B. Schulza do Z. Wasmurowskiego z 24 IV 1934 (w:) B. Schulz, *Księga listów*, s. 37.

Najistotniejsze wydają się być figury skurczonych, pokurczonych mężczyzn, koczujących się przed niedościgną kobietą doskonałością. Ich „ja” zostaje zredukowane do bulwersującego podziwu. Bliżej im do bezwolnych marionetek niż ludzi. Schulz nie mówi jednoznacznie, do czego prowadzi ta degnująca metamorfoza. Być może mężczyźni znikają lub przybierają postać psów, tak typową dla grafik Schulza. Figura psa koncentruje takie cechy jak: pokora, poczucie niższości, bezwarunkowe przywiązanie i brak godności własnej. Schulz zawsze patrzy ze swych autoportretów wzrokiem „złego psa”.

Najważniejszą istotą w tym świecie jest kobieta. Zawsze znajdujemy ją w centrum rysunku. Jest ona jasnym punktem rozświetlającym gęstą ciemność. Na niej koncentruje się nasza uwaga. Dopiero po chwili zauważamy pokurczonych sylwetki karłów skupione wokół. Oglądając Schulzowskich kobiet staje się „czynniczką obrzędową”, aktem popańskiego kultu. *Tęże nawet sama kreśła rysunku sługą zarysowaną jej kształtów staje się inną, nie kopiącą, poddańczą, płaszczołtwa, pochlebniącą a nie bluźnierczą*¹.

Śniacie grafiki pełne są erotycznego napięcia i lęku przed biologizmem kobiet. Już tytuły mówią same za siebie: *Bestie. Kobieta z pejsami i trzy nudy mężczyźni, Furachy i ogłery*. Latwa się tu dopatrzeć Schulzowskich obsesji seksualnych – fetyszizmu i masochizmu. Na pierwszy plan wysuwa się motyw pantofelka, analizowany m.in. przez Jerzego Ficowskiego w *Ręce i wielkie hermy*. Pantofle, podczochy czy podwiązki Bostwa nie są jedynie zwykłymi przedmiotami. To symbole władzy, którymi mężczyźni nie mogą się oprzeć. W *Hermy* kobieta niedbale zrzuca swój pantofelek na podłogę, mężczyźni jest nie tyle pod urokiem jej nagiej stopy, co samego fetyszu. Z kolei w sugestywnym rysunku pt. *Procesja bulwochwalcy* nową chorągiew z wizerunkiem owego sakralnego pantofelka. Motyw ten, wielokrotnie modyfikowany, powraca w prozie Schulza. W opowiadaniu pt. *Traktat o monekinach albo włóka Kłosa Rodzaju* Adeli wystarczy tylko pokłonieć stopę „opiętą w czarny jedwab”, aby pokonany Jakub ukląkł u jej stóp. Pantofelek „błyszczący jak jezyczek węża” jest tutaj symbolem zła i grzechu, od którego nie ma ucieczki.

Również niepokojąca jest grupa prac, które w krzywym sposób mówią nam o masochistycznych skłonnościach Schulza. Myślę tutaj o rysunkach, na których kobiecie demony są przedstawiane z dosyć charakterystycznym rekwizytem – biczem.

Ale nie zapominajmy, że artysta nieustannie łączy ze sobą sferę sacrum i profanum. Modelową sytuacją jest dlań skonfrontowanie obrazu nagich kobiet i orszakujących charyzmatów w zamkniętej przestrzeni rysunku. Są w tym celny masochizm Schulza, ale i jego fascynacja światem materii, którego symbolem jest upiorna kobieta. Motyw charyzmatów wydaje się tutaj symptomatyczny. Rozbranie kobiet przed innymi mężczyznami byłoby niewystarczające. Przeciw krainie lub czemu skierowane są te obrazoburcze rysunki? Czy chodzi jedynie o bunt wobec tradycji i religii? (Nie zapominajmy, że Schulz wystąpił z gminy żydowskiej). Otóż nie. Zauważmy, jak zachowują się charyzmy. Nie ma w nich żadnego niepokoju, są spokojnie obok swych nagich towarzyszek, nie patrząc nawet w ich stronę. Zdają się błogosławić upiorną kobiecą obecnością. Demoniem i świętością jednoczą się.

Drugą grupę prac tworzą rysunki połączone motywem dorobku, z woźnicą lub bez, uwodzącej w nieznaną swą piaszeczki. Ten obraz odnajdziemy także w prozie Schulza. W *Włóka* dorobek przyjeżdża po Bunkę. Towarzyszy jej ojciec i ubrany na czarno woźnica, którego dobrze znamy z rysunków Schulza. Motyw dorobku, ale tym razem bez woźnicy, zauważymy też w *Sklepiech cyrkonicznych* i *Ulicy Krokodyli*. Szczegółowa analiza tego wątku, obecne go w twórczości Schulza, zajmował się Władysław Panas w książce *Bruno od Mesjasza*.

Trzecią grupę tematyczną tworzą rysunki i grafiki z cyklu, który można określić „cyklem charydzkim”. Składają się nań m.in. szkice do zaginionego obrazu *Przyjście Mesjasza*. Prace niby wrażeń całkowicie realistycznych scen rodzajowych – charydzi przy sobie, przy mudi, na ulicy... Znika gdzieś precyzyjny rysunek *Xiggi bulwochwalcy*, szkice są szybkie, animatyczne, „rozmyte” kreśla nie oddaje wielu szczegółów. Schulz ujmuje swoich modeli tylko w ogólnych zarysach. We wcześniejszych pracach łatwiej miły zindywidualizowane rysy. Każdy z „animowanych” modeli mógł się w nich łatwo rozpoznać. „Cykl charydzki” nie daje tej możliwości. Nie znajdziemy tu także typowych elementów onirycznego, schulzowskiego świata – nagich, demonicznych kobiet, psów o ludzkich głowach lub latających, jak u Chagalla, ludzi. Tym razem artysta nie odwołuje się do rzeczywistości, ale ukazuje ją taką, jaka jest. Kreśli przed nami obraz galicyjskiego wsiel. Świata, który jest dziś równie egzotyczny jak fantastyczny wóje Schulza.

Malgorzata Schachetka

Yam, gdzie waga krępi się się już bardzo polu-
dnowa, płynie od słońca, pościemniała i spalona od
pogód lata, jak gruska dojrzała – tam leży ona, jak
kot w słońcu – tu wybrana krajina, tu promienie oś-
wieca, to tutaj jedynie na świecie (...). Młodzi to i
krajina zamknęły się w zamkniętym mikroko-
smie, zamknęły się w ich własnym języku na samym
brzegu wieczności.

Bruno Schulz: *Republika marzeń*

Listopadowa obelazdy 110. rocznicy urodzin i 60. rocznicy śmierci Brunona Schulza w Lublinie uznano za największe w Polsce i Europie. Zjechali na nie wielbiciele sztuki z całego świata. Zorganizowano wielki projekt „W ulamkach zwierzęcia, Bruno Schulz 1892 – 1942”, obejmujący liczne spektakle, wystawy, pokazy filmów. Ostatnio Schulz jest jednym z najbardziej popularnych polskich artystów. Świadczy o tym liczne przekłady prozy jak i powstające hagiografie tego wciąż tajemniczego malarza i pisarza.

Inicjatorami przedsięwzięcia byli dr Malgorzata Kitowska-Lysiak z Katedry Teorii Sztuki i Historii Duktyn Artystycznych KUL i prof. Władysław Panas z Katedry Teorii Literatury tegoż uniwersytetu.

Wystawa 71 oryginalnych grafik i rysunków artysty, zorganizowana w salach Muzeum Lubelskiego, zatytułowana *Mityzacja rzeczywistości* była jedną z nielicznych w Polsce tak obszernie prezentującą twórczość Schulza od czasu monograficznej wystawy zorganizowanej w Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie w 1992.

Ekspozycja prezentowała typowe dla artysty tematy i problemy, nie była więc ułożona chronologicznie. Rysunki i grafiki uzupełnione zostały cytami z opowiadań Schulza i listów do przyjaciół, które tworzyły dla nich swoiste „motta” – autorskie komentarze.

Wszystkie prace organizatorzy podzielili na 5 części tematycznych: „Wiosna”, „Spotkanie”, „Księża bulwochwalcy”, „Mityzacja rzeczywistości”, „Mężowie Wielkiego Zgromadzenia”.

Już sama scenografia wystawy wprowadzała w świat wyobraźni Schulza, po którym wędrowni zaczęli się w hallu, gdzie spoglądał na nas z ogromnego fotela chorobliwie nieśmiały glinażalny nauczyciel siedzący na schodach dworu, w ogrodzie przy ul. Floriańskiej w Drohobyczu w 1935 roku, ze szkicownikiem i ołówkiem w ręku. Obok umieszczone zostały zdjęcia przedstawiające rodzinę, przyjaciół, uczniów i pracownię robót ręcznych. Na ścianach umieszczono motta – cytaty. Do dalszych czterech sal wprowadzały powieszane po przekątnej u góry ogromne wydruki na tkaninie – autoportrety Schulza: *Jak wyglądam? Często widzę się w lustrze. Rzecz dziwna, imię moje i bułmał Wstyd wyznać, nie widzę się nigdy en face, twarz w twarz. Ale trochę głębiej, trochę dalej stoję tam w głębi lustra nieco z boku, nieco profilem stoję zamknięty i patrzę w bok. Stoję tam nieruchomo, patrząc w bok, nieco w tył za siebie. Nasze spojrzenia przestały się spotykać*².

Ziemia, o której artysta pisał, to Wschodnia Galicja, gdzie się urodził, gdzie pracował i w końcu został zastrzelony przez hitlerowców, gdy szedł ulicami swojego ukochanego Drohobycza. Nad rodzinnym miasteczkiem wznosił się katolicki kościół, ratusz, cerkiew i synagoga. Od wieków zgodzie żyli tu Polacy, Żydzi i Ukraińcy.

O artyście jako o żydowskim grafiku i rysowniku pisze w 1910 roku jego przyjaciółka Debora Vogel, że zajmuje się „nie starzejącym się elementem malarstwa: groteską”, zawsze aktualną, bo przedstawiającą ważne dla nas rzeczy: trugiem i ich koniunz jednocześnie. Do tej grupy artystów, wykonywujących podobnie groteskę w swojej twórczości, autorka artykułu zaliczyła też Goyę, Bosch, Rapsa, Otto Dix i Georga Grosza.

Schulz uprawiał malarstwo olejne i akwarele, pracował w technice elixé-verre. Rysował na powleczonej żółtą reklamą kliszy, co wymagało wielkiej uwagi i zręczności w prowadzeniu rylca. Efekty podobne są do tych, jakie znajdujemy u Rembrandta.³

O celu swojej pracy twórczej artysta wspominał w 17 numerze „Tygodnika Ilustrowanego” z 1935 roku: *„Młodzi są to historie biblijne, odwieczne mity Babilonu i Egiptu. Ja starałem się w skróconej mej skali odnaleźć własną, prywatną mitologię, własne „historie”, własny mityczny rozwój (...), tak uczyniłem próbę statutowania dla siebie jakiejś mitycznej generacji antycznych fikcyjnej rodziny, z której wywudzę mój ród prawdziwy. Sam byłem synem żydowskiego biednego zamożnego kupca białego, który wcześniej osierocił rodzinę, a którego postać odnajdujemy w literaturze i plastyce. Swój prowincjonalny, ciasny Drohobycz raciem w marzeniach w ekscytującego miastu, dzisiaj znane dzięki niemu w całej Europie. Rysował i rysował autoportrety, wizerunki znajomych, cykle z pierwowzorcami masochistycznymi*

¹ Bruno Schulz: *Ramenniki* (w:) *Salonarium Pod Kłajg-ira*, Wrocław, 1996, s. 315.

² Nieznany „szwedzki” artykuł Debory Vogel o Brunonie Schulzu, skomentowany przez J. Ficowskiego w: *Bruno Schulz 1892-1942, Katalog – Pamiętnik wystawy „Bruno Schulz. Ad Memoriam” w Muzeum Literaturnym im. Adama Mickiewicza w Warszawie*, pod red. W. Chmurzyńskiego, Warszawa, 1994 r., s. 145.

³ B. Schulz: *Xiggi Bulwochwalcy*, przygotował do druku i słowem wstępem opatrzył J. Ficowski, Warszawa 1948, s. 20.

i fetyszystycznymi, sceny uliczne z prostytutkami i pędzące przez miasteczko dumki, które fascynowały go już od dzieciństwa. Rysował i pisał dla swych najbliższych przyjaciół. Dla świata literatury odkryła go Zofia Nałkowska, potem zaczęły się przyjaźnie ze St. J. Winkiewiczem, Julianem Tuwimem, Włodzimierzem Gombrowiczem. Poprzez taty przyjaźnił się z Deborą Vogel, Romanem Hujssem i Anną Mackiej, która wkrótce podobnie jak on zginęła.

Tenateni – pretekstem do rozważań o życiu są dla Schulza pory nocy. Pierwsza część lubelskiej wystawy to właśnie ilustracja czy też zapowiedź do opowiadania *Iluminacja. Wrotec przyszedł tu noc, burzliwa i wezbrana wichurą, wstrząsnęła w głębiach swych aż do dna przez to, co się w niej przygotowywało, ogromne i bezgraniczne. Błyskawice rozdzierały raz po raz ciemność, świat otworzył się rozdarły aż do najgłębszych trzewi, ukazując swe wnętrza jaskrawe, przeraźliwe i bez tchu i zaszaskiwał je – powrotem i płynął dalej z szumem parków, z pochodem lasów, z korowodem krążących horyzontów.*

Wiosna to dla Schulza rewolucja, to odwieczna walka idei iudu z ideą odwiecznej zmiany. To właśnie walka organizuje całe ludzkie życie. Jest to „antyczny czas świętej wiosny”, który swój początek ma w misterium starożytnego boga Dionizosa, patrona ludzkiej zabawy. Cześć najwyższą, obojętna jest tu kobieta – bóstwo o imieniu Biana, w jego marzeniach seksualnych podróżująca naga rozpadniętą dorożką po ulicach antycznego miasteczka. Obraz powozu zaprzęgniętego w dwa konie, które gnąją przed siebie, to symbol podróży, który będzie mu towarzyszył zawsze, tak jak motyw „Spółka”.

W świecie Brunona Schulza spotkanie to zetknięcie się dwóch światów, które uosabiają się przez kobiety i mężczyznę, to ciągłe konflikty i wzajemne przeciwności. W jego rysunkach są to sceny przedstawiające mężczyzn oddających pokłony kobietom, uniżenie klękających się, kładących nagie bóstwa w ołtarzach zaułkach. Wśród grafik i rysunków wyeksponowany został unikatowy, bo jedyne zachowany obraz olejny artysty z Drohobycza z 1920 r. *Spotkanie. Zdrunkeny młodzieniec i dwie kobiety w zaułku miejskim*. Młody charyzmatyczny, wkloniony, zawahany, w tradycyjnym stroju, spogląda na wyniośle koczujące, wytwornie ubrane dwie kobiety. Jest to jedno z niewielu dzieł, gdzie podteksty erotyczne zostały znacznie zakamuflowane. Widoczna jest silna geometryzacja architektury, kuliste splecenie form i wpływ niemieckiego ekspresjonizmu. Z kolei motyw układu miłośnika i spójnienie oglądającej się za siebie kobiety przypomina goście z rycerzów.

Świat kobiet w rysunkach artysty misteriumi prowokuje. Kobiety, świat mężczyzn odwraca i składa holdy: *Wtedy w te koczujące pary, w tych młodzieniec i te dziewczęta spotykają się wciąż w regularnych nawrotach wgapiają jakut dżinnia siła i natychmiast. Każdy z nich staje się jak Don Juan piękny i nieodparty, wychodzi z siebie dumny i zwycięski i oświeca w spojrzeniu tę moc kobiecą, od której serce dziewczęce truchleje. A dziewczętem pogłębiającą się w ty, otwierając się w nich jakieś głębokie ogrody niezgłębione alejami, labirynty parków ciemne i szumące.*¹

Praca rysunkowa są wierną ilustracją prozy pisarza i powstawały z nią na przemian, uzupełniając się nawzajem. Nieco odmienny i zagłębiony najistotniejszy w oświadczeniu Schulza jest cykl graficzny niewielkich rozmiarów, wykonany ok. 1920 roku w technice cliché-verre zatytułowany *Xstęga bahrochwalca*. Motyw książki pojawił się wcześniej w niuansach niż w prozie i nie szukał tego mirażowego wymiaru, jak późniejsze rysunki – ilustracje. Są to najczęściej sadomasochistyczne sceny w posępnych wnętrzach, gdzie zastajemy mężczyzn w nietypowych pozach „wierszopoddańczego holda” przed swoim idolem, oczekujących się jak pień i bijących pokłony, ujeżdżanych, deptanych, chłostanych. Ukazując orginastyczne okrucieństwo kobiet artysta dawkuje nam niezauważalnie, pomimo śladu truciźny. Władze obiektywizmu i bezmyślnych twarzach to drohobyckie eleganki, ale też kokoty, to kobiety młode i jednocześnie dojrzałe. Te grafiki o niesłychanie silnym subiektywnym erotyzmie nie mają jednak cech pornografii. Są bowiem świadectwami niezrealizowanych pragnień samotnego Brunona Schulza. To sztuka bardzo osobista i bezinteresowna, bo artysta wyraża siebie, ukazując wewnętrzne przeżycia i kompleksy.

Cykl grafik otwiera praca zatytułowana *Dedykacja*, gdzie mężczyzna z twarzy Schulza przekazuje komuś uniżenie królewską koronę. Kolejną ryciną *Odrzućcie białe* wyjaśnia mu, że adresatem korony jest naga kobieta. Dalej rozprowadzamy, że otwartą książkę trzymaną przez mężczyznę to również narzędzie adoracji, jest traktowana jak Biblia na ołtarzu, jak modlitewnik, z którego Schulz czyta imię na cześć swojej bogini: *Odrzućcie portretówkę z kolana Pauliny i stajcie się rozmiłowaniem, oczu ma zaciąć i szlachetną konstrukcję przegubi, ojciec mój mówi: – Jakże pięknie umi i jak rozciąga się formu hylu. Którą panie obrały. Jakże piękna i prosta jest ta, która dano mu swym życiem ująć. Lecz za to z jakim mistrzostwem, z jaką finezją wywiązują się panie z tego zadania. Cichym, wstrząsnąjącym respekt przed Stwórcą, chcieliby się zadowić w krytykę stworzenia, wolałby: – nie tej treści, więcej formy! Ach jak by użył światu ten ubitek trójki. Błędną skromności w zamierzeniu, wstrząsnąłby w pretenjach – pomyślnie demitowały – a tutaj byłby doskonały.*

¹ B. Schulz, *Wiosna (w:) Sanatorium Pod Kiepyrką*, ss. 191 i 206.

² Tamże, s. 163.

³ B. Schulz, *Wiosna (w:) Sanatorium Pod Kiepyrką*, ss. 191 i 206.



Fragment wystawy: *Mityzacja rzeczywistości. Bruno Schulz 1892-1942*. (Museum Lubelskie, listopad – grudzień 2002). Fot. Piotr Maciuk

Wskazywał, że nogi są smółkami gupienia mężczyzn przez kobiety. Schulz zarówno w literaturze, jak i plastyce składa swoje „prezenty okrucieństwa” zawsze wyeksponowanych, symbolizujących władzę: *Tęcza wysunęła się wraz z krzesłem o pięć naprzód, podniosła brzozy stopy, wystawiła powoli stopę, opierała w ciemny jedwab, i wypięła ją jak jaszczkę węży. (...) Którą ojciec chrząknął, zmilkł, pochylał się i stał się nagle bardzo czerwony.*

Interesująca jest rycina *Odrzućcie białe*. Na kręgu w kształcie maza, symbolizującej pierwiastek lunozy, żeński, leży naga kobieta, a u jej stóp siedzi Eros, ale bez koleżanki i strzał. Zarówno przez temat, jak i upomnienie artysta nawiązał bezpośrednio do *Tenety* Renua i Diego Velázqueza, gdzie leżąca tyłem naga kobieta wsparta na lokciu odwraca się do widza, a stóp kładzący Eros trzyma lustro, w którym będzie przeglądać się jego pani. Schulz do swojego tematu wprowadził trzecią postać – mężczyznę, dając mu swoją twarz, którą kobieta odpycha stopą. W *Xstęga bahrochwalca II* artysta przeistoczył Erosa w mężczyznę, który pochyla się nad kobietą z otwartą książką. Zastąpił on także psa, satyrę i służącą z obrazów weneckich malarzy. Cała kompozycja przypomina nam układ płócien Tycjana – *Wenus z Urbino*, *Danae i Amor*, a także *Mającą naga* Francisco Goi i *Olimpię* Maneta. Tak pisał o jego twórczości Jan Lehenstein w 1922 roku w Paryżu: *Czy też z czasem jego obrazy przenosiły się w utwory literackie? Velázquez, portrety Habsburgów, ta wyjąta waga infantek przeniesione z Kunsthistorisches Museum na deptak Drohobycza.*

⁴ B. Schulz, *Traktat o manekach* (w:) *Księga Rodzaju (w:) Kłopoty cyfrowe*, ss. 42.

*I to naszenie się drobiobyczych panienek jak z Hispanisches Schute.
Dominacja i nietykliwość. Ale ciągle ta sama wizja. Słowo Schute jest „wizualne”, a
jego wizja plastyczna pełna twórczej narracji. Rysowane – pisane, czy pisane – rysowa-
ne. Ta sama. Obie formy służą temu, co w człowieku jest najgłębsze.³*

Kolejny prezentowany zbiór rysunków to *Miluzacja rzeczywistości*, którego tytuł został zaczerpnięty z eseju programowego Grzegorz Schultza wydrukowanego w piśmie „Studio” nr 1-4 w 1990 roku. Później: *Limity poznania świata nie jest zakreślone. Proces ten został tylko zahamowany przez rozwój wiedzy, zepchnięty w boczne koryto, gdzie żyje, nie rozumiejąc swego istotnego sensu. Ale i wiedza nie jest niczym innym jak budowaniem mitu o świecie, gdyż mit leży już w samych elementach i poza nim nie możemy w ogóle wyjść. Początek dochodzi do sensu świata (mitopoeia), dedukcyjne, na podstawie wielkich i śmiałych skrótów i przybliżeń. Wiedza dąży do tego samego indukcyjnie, metodycznie, int. gładnie, cały materiał doświadczenia.*

Okres mityczny – to czas lat. W przeciwieństwie do wiosny to mroźny sezon; zarobek handlu w sklepie ojca, a codzienne posiłki i banalne rozmowy zamieniają się w urągające obrzędy. Aktywna staje się tylko wyobraźnia i wspomnienie, jak w *Sanatorium Piel Kłopotyła*. W scenach dotyczących Maryi niedostępna, wyniosła kobiety nika powożania, latem siedzą bezwzględnie obnażone przy stole w towarzystwie wielbiących je mężczyzn. W letnich spacerach realizowane są ukryte prochy. W miasteczku tola się czas. W scenach przy stole kobiety mają tandetne i prostackie rysy. Całą uwagę Schulz poświęca urodzie ciła rysowanych pól, których kształtne pierś, piękne ramiona, wyskopenowane biodra obiecują rozkosz. Jest to zawsze ta sama kobieta – Ada, panienka domowa z upowiadają artysty – w pięknie ozdobionych wersjach. Obok siedzą mężczyźni w gumnuchach, strójkach sklepowych subiektyw, upiemywio towarzysząc obojętnym kobietom. Pisarz był ich bardzo wnikliwym obserwatorem, w liście do Witolda Gombrowicza wspomina pewną panną, która uśmiechała się nieprzychylnie wyrażać o jego plastycznej twórczości: *Poznałem ją na trawie, panie doktoronia z Wilez, hosanna, hosanna, bijmy poklony. Niech się rozpiera, niech wypina biały brzuch, wzdymając się w pyrze – panie doktoronia z Wilez, idź! nieczysto, meta wszystkich teksta naszych, hosanna, hosanna, hosanna...*

Podczas, gdy tak siedzi upojona, wystąpiwszy ze snu, z błękitnym oczyma, które nas przecisną i nie widzą – zamalizowały jej twarz, zchwilizowały jej minę, zapuściły tamte na dno tego nieczłowieczego oblicza.⁴

Ostatnią część wywodu „Młodość Wielkiego Zgromadzenia” to chasydzkie motywy spotykane głównie w jego plastyce. Schulz wstąpił z gminy Żydowskiej, nigdy też nie zdecydował się przyjąć chrześcijaństwa, a swiat zawsze był dla niego „niezłizycznym ogrodem tajemnic”. W prozie Schulza motywy żydowskiej kultury, obyczajów pojawiają się tylko raz, ale wspaniale udułkany klimat tych scen świadczy o głębokiej tradycji zakorzenionej w świadomości artysty przez wieki: *Gdzie mądziel stały wrogi Żydów w kolorowych chulatach, w wielkich futrzanych kółkach przed wysokimi wodospadami jasnym materii. Byli to mezoie Wielkiego Zgromadzenia, dostojni i pełni namaszczenia prawnie, gładzcy miagim, pielegnowane brady i prowadzący wstrzemiężliwe i dyplomatyczne rozmowy, ale i w tej ceremoniałnej konwersacji, w spierzeniach, które wywodził, był błysk niewieściwej ironii.*

Wystawę zamykał autoportret Brunona Schlinza z ok. 1933 r. Artysta do końca swego niedługiego życia walczył o twórczą samotność, nigdy też się nie ożenił, ani nie chciał wstąpić przed śmiercią. Szukał i samotność miała dla niego taką samą wartość jak życie: *Dominantą moją jest głęboka samotność, odcięcie od spraw podziemnego życia. Samotność jest tym odrywnikiem, doprowadzającym rzeczywistość do fermentacji, do strącenia zasad figur i kolorów.*¹⁸

Abstract

"Mityzacja rzeczywistości. Bruno Schulz 1892-1942". Wystawa ze zbiorów Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie. Muzeum Lubelskie, listopad-grudzień 2002. Scenariusz wystawy: Łukasz Krawczyk, Renata Bartnik, Anna Lipa. Opracowanie plastyczne: Ełbieta Juchacz, Józef Wójcik.

dziwadła kulturowe

URSZULA M. BENKA

Spotkanie z demonem

Powiedziałam, że wolność (tak jak zawsze antysemityzm) okropie się wzięć z nas jako demona i że jej niejednemu towarzyszy straszliwy lek. Jedną z takich mówi wstąpił o zwróceniu z demonem jakoniosos. Było tak, że pewien biedny rybak wyłowił w sieci starego zuplantowanego dzioba. Dziób był ciężki, rybak chciał go sprzedać na targu, ale najpierw sprawdził, co w nim jest. Gdy otworzył go, podniósł się w niego dyo, wpiersz delikatny smuga, a potem groźnym klepszczy, po czym zgryzł i stał się złym, demonem, który przebywał tak uwieczniony od czasu króla Sahamona. Należał do złudniawych diabłów, które trwały na muskian dnie czasu na dzień Sądu Ostatecznego. I ożde demów najpierw poprzysięgi, że tego, kto go uwolni, obdarzy całym złotem świata. Nikt go jednak nie uwolnił. Poprzysięgił tedy, że spełni jedno życzenie dema, kto go wyzwoli. Ale minęły setki lat i słowa nie się nie zdarzyło. Wówczas urodził się w nim złość. Postanowił wyzwolić ich złączyć i porządkować im jedynie wybór śmierci.

Gdy nie pomogły błagania ani łzy, rybak rzekł do siebie: „To jest dżin, ja zaś jestem człowiekiem, kłódnego Allaha obdarzył doskonałym umysłem i przebiegłością i obmyślił coś na jego zgubę.” I zastanawiając się, rzekł podstępnie i chytro do ifritu (...): „Jakiś magieleś przechwytał w tym dzwaniu? Wszak nie zmieszczałaby się w nim twoja ręka ani noga, a coż dopiero taki postać?” A ifrit rzekł: „Chybaż nie dawadzi wiarę, że w nim byłem?” I rzekł rybak: „Nie uwierzę ci nigdy, chyba dohyciłeś na własne oczy zobaczyć w nim dzbanie.” Wtedy ifrit zadrział, zwinął się w dym kłębiący (...) i powoli, powoli zaczął wchodzić do dzbanu. A gdy go sobą wypełnił, rybak chwycił pospiesznie słowiany kurek opatrzonej piersiergi, sunął nim szybką ręką i zawołał do ifritu: „Wybieraj w nure nędzaj imięci, jaką chcesz umrzeć. Albo nie, lepiej wrzucić cię do morza i zbuduję sobie in dom, a każdemu, kto przybędzie tamże, zabiorę tego...”

Ważnym przeżyciem, że obrót zła wypiera się potęga. sięga niepojętą, ale przetrwali wytrąca się skurczyły i będący całkowicie w naszej mocy. Tenże dżin jest bowiem błądliwym. Kiedy rybnik decyduje się ponownie otworzyć dżin, przewidywać swój przynajmniej sprawowanie kontroli nad złem. Wtedy też dżin przyjmuje bardziej wypukłymi paramestry, jego ogrom nie tłumaczy już „wszystkiego” i nie uprawnia do „wszystkiego”, natomiast dżin staje się katolizmatem przemiany oraz przewodnikiem podróży, w jakiej rybnik, pod brzołem nieznanym jeziora odrywa symboliczną partę: wół skamieniała budzący oraz dręczący go wiedzą.

Domyślamy się, że staje oko w oko z własnym problemem. Było nim okrucieństwo i bezsilność. Jego nieski pierwsiotek okazał się zbyt ludzowski. Brakowało mu stanowczości: wół skłonił król Izama jest przez „czarną niewolnika”, z którym zdrażę go własną żonę. I nie słuchasz bzdury rozumie, że król nie zostałby nigdy uderzony, gdyby rybak ciemni w murze dżban z dżinnem i pokazał na strąty legn skarpy.

Pamiętam, że rybak najpierw „otkrył” dzień i wtedy doznał grozy, ale udało mu się ją „złamać”. Po czym przestał tak postępować. Odstąpił od tłumienia problemu ciągle jeszcze nie mając pojęcia, co oznacza dzień taka konfrontacja. Tym niemniej mogło dojść do tłumienia jeszcze zmian stworzył dzień, lub kiedy tym pozostawał tylko smutek. Zarządza- by, że gdyby rybak tak postąpił, pozwoliłby całkowi- niewiadomy, z czym wiódł się do czynienia. Jednocześnie, mógł się zdarzyć, że rozuszony dzień unicestwiłby natychmiast niezgodnie nie wywodzić nawet swoich racji.

Wszystkie te możliwości i sprawa, że która przedwczesna próba skłaniania postawiłaby żołnierza przed nieuchronnym problemem, problemem nie ujętym, uśredniającą ponowną – dobrowolną już – kontrolacją, a w rezultacie też i uwolnienie skazaniaków mężczyźni oraz niewolnicy żeńskości, jakie odkrył w jeziorze rakrakiego charakter lub brzośtwo (bądź nawet, że nie żurek stał nad józefem a mały dźwięk się tam i tak byłoby jak letni i wznowienie czterech głównych religii orientalnych, nad którymi kiedyś panował nieśczęsny król). Ów dzień bowiem okazuje się Hennessyem. Doprowadza i błąka w to miejsce jako Przewodnik Dusz, Psychopompas.

*Fingernail warts can be removed

¹ J. Ist-nstein, *Homage to Bruno Schuster* [w:] *Bruno Schuster 1892-1962*, Iz. cyt., s. 22.

*B. Schools: Da Nino/da Gombosi to (w) Brown School 1892-1942. (12 cys., n. 14)

* B. Schulte, *Das Pflanzengestuebe der Alpen am Rande der Ostalpen*, 1907, 1908.

* Bruno Schatz die St. J. Riksmacht (n. l.) Bruno Schatz 1892-1942. *Ar. ev.* 4: 171

Otóż rybak przenocował swój łęk kierując się współczuciem i nadzieją. Uwolniony dżin może go zgłodzić – odkopnięty dżban upadł w morze i nie ma więcej szans na zdominowanie dżina ani podstępem, ani siłą. „Doskonale uśnął” służył tłumieniu: współistnienie ze złem jest tutaj owocem miłości. Widziany, że rybak nie próbuje sprowadzić wszystkiego do poziomu, natomiast słuchając tego, co dżin ma mu do powiedzenia o tajemniczej krainie, położonej „za górami”, i – pokonawszy tę obrazową barierę – zdumiewa się zamkiem z czarnych głazów, jego ciszą. Przemierza pustą siłę, nie cierpienie – dochodzące nie wiadomo skąd – istnieje umiarkowanie.

Wedle tej baśni rzecz zaczęła się od samodyscypliny. Rybak nie zamierzał nicci więcej niż nie było mu wolno. Za pierwszym razem wylowił podło ośle, obrażające gnicie. Za drugim razem zwykły dżban pełen mułu, obrażający całą miłośność kategorii. Za trzecim – poręczony korupcy, obrażający doświadczenie. Za czwartym wylałoby swój dżban.

Pierwszą myślą rybaka było sprzedać ten dżban i kupić wreszcie żywność dla rodziny. Mniej tutaj to samo krejon *eroticized*, gwałtowną żądzą *forza*, co w mianie o Hermiesie. I żądza ta w identyczny sposób zostaje powściągnięta, ujęta prętem, jakimś tajemniczym dyscypliną. Rybak z hukiem nie otwiera dżbana, ponieważ pragnie wiedzieć, co jest w środku. Czuję się, że, co on może być cenne. Nie warto poprzestawać na wartości samego naczynia, ani też – zauważamy – narażać się na stratę, gdyby w dżbanie znajdowało się coś, co odstręczałoby kupca. Rybak, zatem przemaga pokusę utrzymania natychmiastowej zapłaty za coś, czego nie zna do końca i szuka odpowiedzi na pytanie o prawdziwą wartość tego, co odkrył. Dopuszcza odkrycie czegoś jeszcze cenniejszego lub czegoś, co zdeprecjonuje ten *hermies* (gdyż dopuszcza i tę możliwość nie przesądzając niczego z góry). Dlatego tak szalenie się z pieczęcią zatykającą szyjkę.

Jesteśmy teraz w świecie Hermesa, świecie wymiany, tłumaczenia i wartości zawsze narażonych na jakieś symboliczne *targowisko*. Gdyby rybak też łęk zlekceważył, to pomysłby dżban z dżinami na bazar i w ten sposób przekazał własny niewygodniany problem komuś innemu, a jego przygoda skończyłaby się przedłożeniem wynagrodzonych pieniędzy. W wielki światach bohater otrzymuje takie właśnie nie otwarte naczynie, choćby w postaci ryby, która mu w brzuchu klejnot. Klejnot przypada tylko temu, kto otwiera zamyknięcie, a nie temu, kto tylko natyka się na coś, co zostawia niezamknięte; czego ani nie przyjmuje, ani nie zna inaczey jak z wierzchu.

W sensie psychoanalitycznym doświadczenie antysemityzmu w Polsce urwało się na szoku, kiedy z dżinami wycofano się potworność. Skoro – cudem – ja uiszczidłany, wydaje się być pod kontrolą: trzymamy ją w sterze rozumu, nie dopuszczamy do zakłócen emocjami. Odrodzeni „świętą pieczęcią Salomona” opieramy swe bezpieczeństwo na tezie, że pieczęć wytrzyma parokrotny demonów. Także nikt niepowołany nie naruszy zabezpieczenia. W istocie chodzi tu o fałz, z jakiej hasłowej rybak *zrezygnował*: nie zbudował on sobie strażnicy ani przestrody niebezpiecznych zwolenników. Dżban zamknięty i odrzucony w morską toń, to nasze przeświadczenie, że po udzieleniu lekcji dżin potulnie wyzacknie się wolności jako synonimu zamyknięcia. Oznaczałoby niewiarę w immanentność potulności, ale też byłoby przypisaniem swaj własnej rezygnacji nile, jaką dżin oszuka. W rezultacie ów dżin (tak jak my) wieniczna swaj niewolę za coś obiektywnie koniecznego, na co zasłużył brakiem pokory wobec wyzwolicielek.

Ala baśń pokazuje niewarunkową potrzebę wolności dżina oraz to, że rybak ją szanuje. Pokazuje, że dżin się wyrzeka nie wolności, ale zemsty i agresji.

Dżin zatem, gdy ponownie wyszedł z dżbana, odkopnął go, a pieczęć potoczyła się w morze. I tym samym pieczęcią stał się Atrak. Zdajemy sobie sprawę, że rybak zdał się na Boga, bo zrozumiał, iż nie ma zwycięstwa, czy tenz zostanie orzuty. To dżin niim rozwiązał swój konflikt z Bogiem. Rybak nie mógł go w tym wyręczyć. Mógł mu tylko w tym towarzyszyć, namemu pozostając uległym przed Bogiem na pustyni wybrzeża. I stało się, że dżin przestał być niewolnikiem „Salomona”. Ze jego świętości nie strzegł już ani człowiek, ani rozum, ani podstęp, ani nawet powaga religii oddana imieniem proroka. Oni autorytet „Salomona” rozpadł się na pieczęć i dżin. Rybak zaprzestał go szanować, tak jak za pierwszym razem, kiedy uciekał do morza. Był może szalony swoje autorytety dzięki pewnej chytrkości nie śmiejąc ufać, że Bóg wie, że je własnymi sługami, tak jak nas, kiedy odkrywamy w żywiołach własnej duszy padding, muł, pokruszone korupcy, a wreszcie i owo coś tajemniczego, a niewątpliwie choć trudniej do określenia rynkowej wartości. Nasz pałki, że rygnistyczna dyscyplina i niezłomność w samopoznaniu tożsamości. Przeciwnie – nadgorliwość zabieganie o zysk (sprawiające wrażenie ostróżności) spowodowałoby jedynie, że uzdrowiciel nigdy nie dowiedziałby się ani o świętych demonach, ani o skazach. Nie przeczywałby nawet swoich prodylektów do okrucieństwa ani zalewania, tak jak swojej „zakłętą” bezsilności wobec tego, co naprawdę jest okrutne. Byłby tylko handlarzem świętościami. Tylko łowcą dusz pełnych złosci, jakie odrzucałby z przerażenia, lub którymi by po prostu fryzaryzyl.

Wiemy więc do wyobraźni sytuacji, iż rybak ugubił swaj nawa dżinu, ukłony niepokojony, zaryk dżban? Próbowaliby sprowadzić przynajmniej tę część dżin, która jeszcze się nie wyzwoliła. Ta funkcja uzmysławia nam, że dżin jest niepodzielny. Nasz problem nie chodzi się rozwiązać cząstkowo, a jeżeli zechcemy przyznać na fragmentaryczność w dojrzwaniu, problem przykują nas do miejsca, w jakim stanieli się *strażnikami*. Chodzi o to samo

spełnienie strażników Rewolucji nie mogących się cofnąć przed klamą Matki-Rewolucji. Chodzi o to, że droga duszy nie wyprowadza już poza próg. Wolność przeto zmienia się w więzienie, a ulga w irwoge. Ludzie, co zbliżają się do miejsca z (naszym własnym) ukrytym problemem, będą po prostu odpędzeni.

Co więcej, pochwycawszy „część dżina” rybak nigdy więcej nie mógłby już scalić swego problemu. Rybak poznał dzieje duszy dżina (i w ogóle go ujrzał) wtedy, kiedy demon sięgnął chmur i dawał zęb, i groził mu śmiercią. To wówczas rybak zapytał: *Kimże jesteś?* Rybak, teoretycznie hamując, mógł dżina zdominować tylko pod warunkiem zupełnej ignorancji lub, już po przechrzcie, nie nie wiedząc o świętości demona.

Baśń wymaga tu przekonania, że to on, co kontrolujemy, jest dla nas – w najgłębszym tego sensie – niedostępne. Kontrola polega bowiem na przerwaniu kontaktu płynącego ze współ-odczuciem na pozabawieniu sprawy najistotniejszych właściwości. W baśni podkreślono to pydaniem: *Jak to możliwe, abyś znalazł się w dżbanie?* Hwiem zamyknięty dżin nie ma celi demona, a demon nie ma celi niewolnika. Tak jak zauważył Balthus, dżin jest zły. To jednak był niewolnikiem. Był „za długo” tłumiony. W istocie w jego agresji ukrywamy chęć samobójstwa. Nasz to delikatnie sugeruje w żądaniu, aby rybak wybrał sobie rodzaj śmierci. Ma on na siebie wydać wyrok i – zawrzućony – rybak powiedział. Dżin bowiem odważył się do tej części psychiki rybaka, która była już skamieniała w „czarnym zumku” i której władztwo przepuszczawiało się w nicie w samych sercu zamkniętego pustkowia, w kolekcji nie mych jak ryby poddanych oraz codziennych upokorzeń. To część duszy rybaka mogła tylko lkać i przetrwać, jak niesprawnieśliwy spulkał ją kx i jak niegodziwie zdziwila go „uultzonka”. Niemniej w tym ubocznym wątku nprwieci została jasno powiedziana, że gdy król był jeszcze w pełni władzy, długo patrzył przez palce jak żona oddawała się przekłętym gustom.

Właśnie w stadium, gdy skamieniałość przetrwała już tylko skamieniem, prawdopodobna była antyagresja dżin ewoluował dokładnie tak, jak zazwyczaj czynią tymani, przetracili niekwestie na odległość postawienie kropki nad i, czyli akceptację okrutnego stanu rzeczy. W nowoczesnych tyraniach ofiara początkowo głosuje na zominidowany reżym, wykonuje dżin, w tchewkach broń, czoskuje żmudną informacją, uciska niepokornych, domasi służbom bezpieczeństwa, a nade wszystko pozostaje faktycznie *niewinna*, bo nie wyobraża sobie buntu, i feruje wyroki na zrewoltowanych *wrogów* haku. Baśń tutaj ukazuje nawet miazę nagrody oraz minie samostawienia, gdy bohater aukcyjany jest, aby złodź, która była problemem dżina, skierował przeciw siebie. Wszakże sam wybieraliby raczej śmierci! To to sama *wolność zabijania*, jaką otrzymywał brygadziści w okresie pracy, konwergent inoaperta w siedlonych śledczy, balthus zamawiający naje żywiołowe (czekali śmierci przez zanurzenie, z głucha, gruźlica, wyliczenia, z pręgnięcia, gdy jedynym pusłkiem tygodniami był tylko słany ślad, albo bycie zagrożonym przez psy lub zatrutym zwierzyni okwin). Mogli strzelić albo ubić kolham i robić „modyczne” doświadczenia, nie zapominając wypadkom, a gdy dopisywała pomyslowość, mogli – tak jak serhav dli przykładu kamionici – grzebać w ziemi człowieka, by miał ziać, sterzona tylko głowa, te zaś głowę wzięlić włocem do *szafu*.

A jest jeszcze jeden niams tej baśni. Tajemnicza pieczęć z imieniem króla Salomona, jednego z proroków islamu, który zbuntowane duchy pozamykał w hermetycznych kuczach i cinał na dan świata, a czyni mówią jeszcze mdy Międzyzrzecz, powiedział, iż dżin tłumiony był potęgą świętości religijnej, lecz gdy została ona podważona, odpelinał ja przez. Pojawia się tu coś niezwykle. Otóż dopóki „pieczęć Salomona” zaindowała się gdzieś pod ręką, naderazie apilatacie pozostały w gotowości, jak nas w zrozbach demona, to w obowach samego rybaka. Znikły wszelkie razom z pieczęcią. Gdyby rybak przetrwał proces ujawnienia problemu lub nadal posługiwał się starym, w istocie jednak *podręcznikiem* w postaci kultury lub religii – nie dowiedziałby się, jaką część problemu mi co właściwie pokonał. Być może tylko pokonałby własną więź ze świętością. Dżin-Hermes pozostałby dlań abstrakcyjną hipotezą, urojeniem wariały, a przede wszystkim włocem osobi- staj zagłady. Rybak-strażnik byłby protoplastą pokoleń strażników osiadłych na tym brzegu, którzy z uga na syna odstraszaliby innych od zmierzania się z tym, co uosabia mąg dżin. Byłby on wyobrażeni nie pęgujący, a co chodzi, którzy nigdy nie doświadczyli, że można wystawić się na ryzyko, zaś odkrycie braterstwa z demonem własnej duszy, to odkrycie integralności, a to znaczy: dziecięstwa Bożego, w jakim dżin pozostaje Dzieckiem Bożym tak jak każdy inny aspekt ja.

Skoro mówo o fryzaryzowaniu świętości, wyobraź sobie, jak rybak sprzedaje dżban z „częścią dżina” przekazując nabywcy problem już nierozwiązywalny i pozmnie tylko ugięty w jakimś sformułowaniu. Przekazałby on świętość bez mocy uświęcenia, świętość-kalekę, okaleczoną tak jak dżin o niewolniczą część, jaka ułotniła się gdzieś w przestrzeni. Aby siebie ualrowić, taki adept musiałby wpiąć scalić dżina i przywrócić *zła* jego pełnię. Być może właśnie o tym mówi Apokalipsa: że człowiek ostatecznie dojrzewa, kiedy spojry głęboko w oczy „Bestii”. A mimo to będzie chciał żyć i zachować uśmiech wobec Huga.

Urzuhi M. Henka

DARIUSZ PACHOCKI

„TROCHE WŁÓCZĘGI I TROCHE PISANIA”

LISTY EDWARDA STACHURY DO JULIANA PRZYBOSIA

Listy Stachury do Przybośa (8 jednostek) przekazała w roku 1980 do Biblioteki Jagiellońskiej wdowa po poecie – Danuta Kula-Przyboś, wchodzącą one w skład większej całości. Znajdują się tam listy m.in. do Józefa Parandowskiego, Artura Sandaucha, Anatola Sterni i Władysława Szymborskiej (część została opublikowana w przyh. 16/80).

Listy odnalazł i opublikował Franciszek Ficzka³, w swojej pracy redakcyjnej nie uchylił się jednak od poprawek i nieścisłości. Pierwszy zwrócił na nie uwagę Wacław Tkaczuk w artykule *Listy Edwarda Stachury do Juliana Przybyła*⁴. Po zestawieniu publikowanych tekstów z autografami do uwag Tkaczuka można dodać nowe. Poniższy ich wybór ma przedstawić charakter uchybień omawianego wydawnictwa.

- wiadomości, które dublował Stachura do listów, nie zostały przez Ziękę poruszkowane jako ich integralna część. Informacje o nich ogranicza wydawca do pochwalu tytułów w przypisach. Wyjątkiem jest wierna *Archizetrum*, której inazetaj niż pozostałe, nie został przez Stachurę dołączony na osobnej karcie, lecz wpisany w treść listu. Niestety i tu doszło do nieporozumienia, które ingerując w semantykę tekstu, Zięka podaje np.: któryś pociąg jest wino być; któryś porzucił jest;
 - błędnie podane zostały, dobrze wiadome w autografach, daty np.: Cichoćmek, 11 III 1960 Zięka, Cichoćmek, 31 III 1960 oraz Niedziela, 14 V 1959 Zięka, 14 VI 1959 mę;
 - podobne uchybienie, ingerujące w sferę semantyki, udajdujemy w liście z 21 marca 1959 roku. Wydawca podaje: Magnesiowalem każdy przedmiot ogniem i lekko mgłą, winno być: Magnesiowalem każdy przedmiot ogniem i lekko mgłą;
 - na koniec sprawa anagramu, którym sygnował Stachura swoje listy. W wspomnianym już artykule Wacław Tkaczuk pisał: „Sprawa, w jaki sposób podpisywał Stachura listy do Przybosiń też jest godna skomentowania (...). Podpis 'Sp. Stach' aldonny jestem uznać za omyłkową lekcie używanego przez Stachurę anagramu 'Sted', którego pojawienie się w korespondencji z Przybosiń miaoby charakter bez mała intymny. To jednak tylko 'dumyś'”. Wszelkie wątpliwości rozstrzyga konfrontacja z autografem. Stachura podpisał się pod upomynym listem: Sp. Sted.
- Mimo uchybień ud anem edytorskich redukcja Zięki pokazuje jasnę z poprawniejszej. Redaktorzy najczęściej oszczędzają sobie słów wstępu, a komentarz zastajemy w fazie entrientalnej lub nie zastajemy go wcale. Wybrane redakcje sygnalizują wntozie jakby czynione były imprecja, z pominięciem podstawowych zwrot. Ilustracja: Wacław Tkaczuk w cytowanym już artykule pisze m. in. o „złotawych” pomysłach do jakich dochodziło”. Podmni

¹ T. Zwilch, *Lehrbuch der Musikwissenschaft* (Stuttgart, 1962), pp. 70-75.

W. Tkacz, *Łasy Edwarda Stachury do Juliana Przybysa, "Rogami" 1990, nr 1, s. 141-142. Analizę myślową i symboliczną typu nurekolewskich, między innymi o błędnym podaniu, które rozpoczyna przez Stachurę nurekolew, do KTL-u czy moim zdaniem podawanie (zanimacji) o (relacji) prostych.*

¹⁰ W. Tłoczek, op. cit. s. 14. Rzecz dotyczy latu 1934.

¹¹These fragments fit within Parag's prepositionally headed (i.e. 'where' structure) schema, which may be used to form both *Goal* structures, as in (10), and *Locative* structures, as in (11).

przykład Marty Kucharskiej, która opracowując listy do Czychowskiego¹ – Stachurze przypisała wiersz Gąsiorowskiego. Nie wróciłbym do tego, gdyby nie pewien fakt. Otóż wśród rękopisów, które opracowywała Kucharska znalazł się rękopis wiersza Gąsiorowskiego, jednak tylko jeden znalazł się w publikacji². Czyżby redaktor nie mając dokonać identyfikacji wolał pominąć go milczeniem? Tego typu praktyki skłaniają mnie do przekonania, że w przypadku listów Stachury możemy raczej mówić o nieskoordynowanych działaniach niż o poprawie w zakresie wydawania.

Opis znajomości Stachury i Przybosiń chciałbym poprzedzić krótką informacją – po trosze usprawiedliwieniem. W prezentowanym obrazie nie udało się uniknąć pustych, trędynych do zapełnienia obszarów, bowiem poniższa próba nakreślenia wspólnej historii Przybosiń i Stachury oparto została na strzępach wspomnień nielicznych, pamiągających odpowiednio lata osad oraz na tym wszystkim, co udało się wydłubić z prasowych publikacji.

„Wiem, wiem ile Was kosztowała wydanie pierwszego numeru Waszego piśmiennika i ja tak kiedyś ze swoimi kolegami uniwersyteckimi taki pierwszy (i jedyny) zeszytek przysłałem (w przypadku zamiankowanego piśmiennika historii powtórzyła się – D. P.). Nie wiem więc, czy Wam życzę dłuższych numerów, bo nie widzę zadań poetyckich w bezkształtnych folioidach Głuszkowskiego czy Stachury, a wstęp programowy piśmiennika jest humorystyczny i inajaki”.

Takimi słowami odpowiedział Julian Przybysz na list Józefa Żmichowskiego¹. Do listu młody poeta dołączył pierwszy numer pismka „Helikon”. Nie udało się uzalić, w jakich okolicznościach Przybysz i Stachura poznali się. Zdanie z cytowanego powyżej listu odnoszące się do osoby Stachury – to najwcześniejsza wypowiedź Przybysza, do jakiej udało się dotrzeć. Stachura był bardzo wyuczulony na wszelkiego rodzaju komentarze odnoszące się do jego osoby lub poezji, dlatego dziwił fakt, że całkiem nieprzychylna opinia w korespondencji znanego i cenionego pisarza nie odbiła się echem w jego listach z tamtego okresu. Sugerowałoby to, że Stachura nie wiedział o istnieniu tego listu². Dwa lata później, a był to rok 1958, autor *Śrub* prowadził wieczór autorski Żmichowskiego i Stachury w warszawskim Klubie Książki. Z tego okresu pochodzi prawdopodobnie pierwszy list Stachury do Przybysza, sugeruje to notatka tego ostatniego w tzw. *Zapiskach bez daty*. Warto ją zacytować w całości, gdyż jest dokumentem szczególnym, a ponadto świadczy o przyjaznym stosunku piszącego do swego „podopiecznego”:

„[Druga połowa września 1960] Dziś zastałem w Kawiarni Literackiej Edwarda Stuchurę, przypisał znowu. Jakimś odwiecznym, spokojnym, lepiej słownym. Bardzo mało to ucieczyło. Z tego podopiecznego lędo jednak miał pocieszyć poetycką. Jużby teraz nie podpisał się tak, jak w pierwszym liście do mnie przed dwoma laty, a p. Stuchura. Wielkie zarowno fizyczne pozwoli temu cyganowi i wółczpdu przewyciężyć wszelkie tzw. przeciwności losu, bezdomność i biedę, a nawet własny – winy – instynkt samocenzurowczy. Będzie z niego pisarz. W środku – gdy się do niego serdecznie odnieję – jest kamień ozuły i wdzięczny. Pięte coraz lepiej, a nie o tym, co pisze, najłepsze mniemanie. To dobrze, w jego wieku bardzo potrzebne.

„Pamiętam jak kiedyś w kawiarni przeczytał w mojej obecności w świeżo wyszłym „Przeglądzie Kulturalnym” mój wiersz *Kartka z nad Adriatyku*¹¹. Był bardzo poruszony, wargi mu się nie chciały dopasować, jakół się: «Taki mój, lepsze niż mój! A wie Pan, że ja się uważam za największego twódcę świata»¹².

Fragment cytowany jest tym cenniejszy, że piszący te słowa w swoich poszukiwaniach natrafił na bardzo niewielką ilość dokumentów świadczących o związkach Przybosa ze Stachurą. Niewiele woiśły także wizyty u znajomych Stachury, którzy w tej sprawie nie mieli do powiedzenia nic lub prawie nic.

Na turnal pierwszego spotkania postów można jedynie mieć przypuszczenia. Okazji do tego, by się zapoznać, mieli wiele – choćby na różnego rodzaju wieczorach abelskich czy wieczorach powzi¹¹. Uczestnicząc w takich właśnie spotkaniach, autor *Świeżaczki* upo-

Mieczysław Cybulowski (1931-1996) = ukończył Wyższą Szkołę Sztuk Pięknych w Gdańsku. Debiutował w 1954 roku na łamach *Pracy Interaktywnej* jako poeta. Autor utworów dla dzieci, artysta plastyk. Wydał kilka *Albumów wybitnych, Pragnień, Lurem, Jazzy, Absolutu* itp. Ważnym momentem Życiorysu Ziemickiego byłam: „*Matka, która już w Odessie gdzieś schowała się na podłogowym płytyku z ówczesnej grupy „Korowody*”. Wobec nieznajomości z nim, Mieczysław Cybulowski, zachwiał od krocie (przynajmniej podjęła) (J. Ziemicki), *Tęta chwyciła... „Interaktywne”* 1980, nr 8, s. 65).

Antykwary znajdujący się w Bibliotece Uniwersyteckiej (tj. 1432-84) Wacław, o którym wspomina *Żytnia* parafraza [w:] *Biuletyn dozwolony*, Warszawa 1983, s. 62. Karykaturę Gajewskiego przytacza, a nie widział, że jego *Wzrost* zawiera opisanie do "Zielonickiego" Infantażu na uroczystości antykwary z 13 stycznia 1924 roku. List Juliusza Przyłuskiego do Józefa Żarnickiego z 22 grudnia 1924 roku (Biblioteka Narodowa, t. 1, 1962).

Janusz Zernicki (1939-2001) – debiutował w 1964 roku. Wydał trzytomową *Historię Poetycką „Hytera”*.
Opublikował m.in.: *Wzrost i upadek*, *Wzrost i upadek*, *Wzrost i upadek*, *Wzrost i upadek*, *Wzrost i upadek*.

„Młotek” ukazał się 1. grudnia 1900 roku. Stał się cennym źródłem informacji o życiu i twórczości Andrzeja Bień. Wznowę wydał „młotek” w 1904 roku. Wznowę wydał „młotek” w 1904 roku. Wznowę wydał „młotek” w 1904 roku.

⁶ Powiedział mi jeszcze Zdzisław, że nie chciał robić prywatnego przeglądu informacji na podstawie wspomnień z 30 stycznia 2000 r.

Wojciech Kozłowski, 23 października 2000 r.

12. Zbiórka wójtowskiej, że Stachem znowu zmarł na konarach, gdzie przewożąc go był Przytyk. Była tak w 1949 roku w Poznaniu, że kolejni z niego zginęli przed katedrą katedrą. Stachem zginął tam, gdzie zginął.

cał z niego na KUL-u. W archiwum uniwersyteckim tegoż uniwersytetu zachowało się usprawiedliwienie nieobecności studenta Edwarda Stachury pisane ręką Juliana Przybosa¹¹. Dwa lata później, tj. w lutym 1960, Stachura napisał prawdomówno ostateczny list do swojego „opiekuna”¹², a o kontaktach pocztowych po tym roku wiadomo bardzo niewiele. Fakt ten jest, że w ciągu następnych lat Przybós dwukrotnie pisał na łamach prasy o twórczości Stachury. Pierwszy raz w roku 1966, w artykule *Osobista proza*, omówił tam opowiadanie *Falujące na wietrze*. Przybós pisał: „Zdaniem Stachury odbiegają od zwyczajnej składni i słownictwa i jednak nie wiadomo, czy może pochwycić świadomie uchwylić postawę prozaička – poety, czy też ten rzucający się w oczy sposób wyrażania się jest uświadomionym brakiem autonu (...) Zająłem się tym zbieżnym Stachury, bo inny od pospolitej prozy jego rówieśników. Bolater [opowiadał – D. P.] jest sympatyczny, czuły, życzliwy światu i ludziom, ale i po mieśku mściwy (...) Tak inny niż brutalni złodziejaskowie, niepodobny do knajpianskich lumpów, jakimi zajmowała się do niedawna młoda tzw. Intelektualna proza”¹³.

W cytowanym poprzestano liście Przybosa do Zernickiego autor *Brak* pisał, że nie dostrzega żadnych poetyckich w wierszach Stachury. Taki stan rzeczy pozostał niezmienny, bo o ile proza, tak jak powyżej, przedstawiał w pozytywnym świetle, to co do wartości artystycznych wierszy miał wątpliwości. Dot temu wyraz w recenzji *Cały jaskrawość* (1969 r.) pisał wtedy o młodzi, który miał już w swym dorobku pięć książek i ustatkowaną pozycję w literaturze. Oto fragmenty recenzji: „Mam właśnie w rękach powieść Edwarda Stachury pt. *Cały jaskrawość*. Fragmenty tej prozy czytalem w „Twórczości” tutaj też odnosiła do swojej prozy... Wolał jednak tę książkę poznać od nie dość wymownych wzmianek Stachury, *Cały jaskrawość* to też powieść, ale inna, co zważywszy na światła rozkładu z niej rzuciła, widoczniej i ładniej niż w wierszach. (...) Jakaż często równieśnicy Stachury jego wierszom i prozie o „rudęco istnieniu” uprawiając kuli rozpacz. Twórczość Stachury jest zbawieniem odrzucenia na pozostający się u nas desperancjonizm, napawa wiarą, że nie wszyscy muszą szukać drzew odnawiających sturudzkie”¹⁴.

Ciekawy fakt, że recenzje Przybosa nie odbiły się echem w listach Stachury do przyjaciół. Brak komentarzy z jego strony można zwracać uwagę, gdyż różnego rodzaju publikacja prasowa dotycząca jego osoby bardzo często były przez niego w listach omawiane. Nasuwa się pytanie – czy Stachura aktywnie przed znajomymi fakt, że koresponduje z Przybosiem? Zagadkowności sprawie doświadczył wyznacznik niezłomnego już przyjaciela Stachury Janusza Zernickiego, który stwierdził, że nie wiadomo nic o znajomości Stachury z Przybosiem¹⁵. Podobną informację przekazał profesor Janusz Sławiński, który wyznał, iż obu poetów znał osobiście, lecz wydawało mu się, że „żyją w artystycznych wizerunkach”¹⁶.

Podważając się nad zamieszczonymi poniżej listami trudno nie zgodzić się ze słowami Henryka Barczy, który pisał: „To wszystko znaczy tylko tyle, że Stachura jest pisarzem uwielbionym, na dobre lub złe pisanie skazanym, skazanym na wszelkie ryzyko swojego życia-pisania, skazanym na piekło i niebo swojego szczęścia-nieszczęścia, swojego istnienia dla słów, których prawda leży się jako często tak samo jak fałsz, których prawdy od fałszu nie potrafimy już jako często wiele odróżnić. Życio-pisanie Stachury jest dramatem czytelnym, dramatem nieustannym i na całe życie, dramatem bez rozwiązania”¹⁷. Literatura była dla Stachury życiem, a życie literaturą. Zdał sobie z tego sprawę bardzo wczesnie. Na początku studiów stał się zorganizować sobie w studenckim warsztat. Czytanie i pisanie bez rozprawy go absorbowało, było dla niego ważniejsze niż studia. W liście z 13 stycznia 1958 roku do przyjaciela Mieczysława Cichowskiego pisał: „Mój pokój w Lublinie prowadzi do niekończącej się kłopot. Miałem jednak rację mówić, że nie potrafię studiować, gdyż jestem wciągany z studium. Wyobraź sobie, że mam teraz kupę kłopotów, których się nie obawiam absolutnie (i nie mam jeszcze wymyślonego indeksu). Nie wyobrażasz sobie jaką męką jest dla mnie zafascynacja tego rodzaju kłopotami. Poza tym, cholerny kłopot z łaciną. Nie byłem na żadnym lekcjonie. Lekcje z łaciny są zawsze o wpół do nocy”¹⁸. Trzeba jeszcze przed tym zjeść śniadanie w stołówce. Aby więc zdążyć trzeba wstać przynajmniej o 15 siódma.

Jakże mogę wstać tak wczesnie, jeśli co dzień kładę się spać o drugiej, trzeciej nawet o czwartej, gdy mam ciekawą książkę. Dochodzę do wniosku, że najlepiej będzie, gdy zrezygnuję ze studiów. To nie dla mnie. Bardzo dużo czytam i piszę. Myślę, że pod względem hędziarstwa (inniej) zadowolony. Nadal żyję jak nędzarz, ale to nie. Jestem powolny, ze ocieśnią Cię moje nowe rzeczy. Włożyłem w nie całą ironię i ból jakiegoś ognia”¹⁹. Prawie rok później Stachura wysłał pierwszy list do Przybosa, do tego czasu nie zmieniło się wiele w jego sytuacji, nawet płaszcz nie polecił się bardziej, bo nie mógł... Przedstawione poniżej listy bezprzecznie są dowodem na nierozdzielność życia i pisma Stachury. Zestawienie dwóch powitań niektórych listów oraz pierwodruków wybranych opowiadań sugerowałoby, że Stachura raz napisane treści wykorzystywał później, w zależności od daty powstania, odpowiednio: w listach lub opowiadaniach.²⁰ Napisać wewnątrz materializował na kartce papieru, która miała np. do Przybosa albo redukcji gazety. A oto słowa poety, które assekurują wypowiedziane sądy: „Więcej ci słychać u mnie po długiej półtoramiesięcznej nieobecności? Żyję. I tak dalej. Nie mam ci Ci opisywać jak. Wytwór. To znaczy nie tyle o siły idzie, które mam, ale nie chce powtarzać tego, co już mówię w wierszach i opowiadaniach”²¹. Tak pisał autor *Stekierzady* w jednym z listów do Zernickiego.

Wierzę, opowiadania, listy. Cały czas mówię o literaturze. Skoro tak, to nie możemy zapomnieć o tym, że „ja” we wszystkich przypadkach, jest przyjaciół. Niewykluczane, że posiada wiele cech wspólnych z piszącym, jednak nie należy szukać między nimi znaku równości. Wypowiedź w pierwszej osobie powinna wzbudzać raczej czujność niż zaufanie, choć jej zamierzeniem jest to drugie. Prezentowane listy potwierdzają fakt, że i ta forma wypowiedzi literackiej może być żywą i prawdziwą literaturą.

Dariusz Pachocki

LISTY

I

Lublin, 13. XI / 1958

Dragi Panu Julianie,

dobrze Panu wstawię rano w równym stopniu, co mnie miało. Czyżby mógł się Panu odwdzięczyć? Użył tylko prozę, którą obaj tak mocno kochamy. Zresztą nie oprócz niej, prawnego do maksimum płaszcza, dzurawych butów i ci ci ci ci do czasu rzadkich niedziel parunów, nie potadam. Ale to jest dużo. Nie wiem, czy tworzy to obalona harmonia. Jestem wszakże bardzo posłusznym słowem Eurypidea: „Wszystko, co fatalne, nie winno wykluczać się nam okrutnie”.

Mam niemiłe do wszystkich przechołki ostatnio, prawda, dziwne metamorfoze. Trudno mi to określić, ale kiedy do niedawna miałem czasami ochotę kopania kogoś w brzuch”, to teraz mam tylko ochotę na ból zębów. Mam jednak wrażenie, że to niewątpliwie wyższe stadium cierpienia.

Begetując w Lublinie bez jakiegokolwiek racji. Flacina z Flamiem tak długo zwleka”. Ze smutku bardziej uczuciowo się hał. A szczepu można się tak zwinąć w jakichś gniazdach przegubów wyciągniętych promieniście na nich może z plonącym oszodałem zachodu.

W jednej, jak dotąd, nieopracowanej powieści prozą Marian Buchowski napisał: „Zapewniającemu w programie drugiego semestru roku akademickiego 1957/58 w imię nie wiadomo” (M. Buchowski, *Stachura. Biografia i legenda*, Opole 1992, s. 41). Jak już wspomniano przyczyną przerwania studiów było doświadczenie, w owym czasie sprawy wygnania ostatnie odleganie zyciorysty, który pisał Stachura (jednocześnie obciążenie się o miejsce na uniwersytecie w roku akademickim 1958/59: „Studia przerwano przede wszystkim z mojej winy, a może z winy wspomnianego studenta wielkich rozmiarów”²²). Przodków – 17. P]. Bgzm in przebiegiem podobnie jak przed roku, Stachura wybrał ten sam temat „Mon livre préféré” (18) Moje ulubiona książka – 11. P]. ulubiona była również sama (dotychczas) i komentarz („Duże odwołania, poprawne słownictwo, małe błędy ortograficzne. Takat mówiony byłby niemal bez zarzutu”). Nieraz i tym razem sprawy nie układały się pomyślnie. W swym liście otrzymał ocenę niedostateczną z dwóch przedmiotów: historii lit. i nowelskiej i styku, nie był to koniec nieprzyjemności. W okresie wakacji (27. VB 1959) w Kancelarii rektorskiej KUL, zostało społa odwołanie pismo z wyjątkiem Baka, że po prostu Przewodniczącego Senackiej Komisji Zmowała uwaga uprzejmie zamieszkała, że przebiegał Biografii Stachura zwagał wszelkie postępowanie dyscyplinarne” (Podpisł Sekretarz Kancelarii Rektora). Nie udało się ustalić, czego postępowanie dotyczyło. Fakt ten jest, że Stachura osony pojawił koleino we wrześniu w październiku, po czym „zrzucił studia w Lublinie i wyjechał do kraju, by wreszcie zakotwiczyć się w Warszawie, na razie nie podejmuje nauki. Upewnia 7 maja 1960 prof. Stanisław Katulski Zapora – pracownika Instytutu – o przebiegu „pogłębia” pod warszawski adres Stanisława Grochowskiego (ul. Morszyńska 37)”. (M. Buchowski, op. cit., s. 45). 19 V 1960 kwintę „długo wszystkich dokumentów 20 maja 1960 r. Katolicki Uniwersytet Lubelski wysłał zestawienie podpisane przez doc. dr. J. Turowskiego (autor etnicznej i męski rodzinie błędną lekko z jakiegoś wami być: Stachura – D. P.] stwierdzając, że Stachura w latach 1957/58 – 1958/59 przechołwał wykłady, odbył ćwiczenia oraz kilka wszystkich oświatowych rozmowy z parochem – do studiów w zakresie filologii francuskiej. (...) W liście z 17 kwietnia warszawskiego Stachura zwagał wybrał pod przysięgą albumu 41568 (Zob. M. Buchowski, op. cit., s. 40-61).

¹¹ W archiwum uniwersyteckim KUL, podlega się lista osobowa Edwarda Stachury (1958, II 16208), znajduje

¹² Janusz Sławiński, *Stachura. Biografia i legenda*, Opole 1992, s. 41.

¹³ Henryk Barczy, *Cały jaskrawość*, *Żywie Wierszy* 1969, nr 30, s. 3.

¹⁴ Informacja na podstawie rozmowy z 30. stycznia 2002 roku.

¹⁵ Informacja na podstawie rozmowy z 13. lipca 2002 r.

¹⁶ H. Barczy, *Zwłoki natury*, *Wiersze* 1974, s. 312.

¹⁷ Na temat studiów Stachury na KUL-u przyczyną tak przebiegu jest raz raz raz, jak to z rąk rąk, 12

¹⁸ Na temat studiów Stachury na KUL-u przyczyną tak przebiegu jest raz raz raz, jak to z rąk rąk, 12

¹⁹ Na temat studiów Stachury na KUL-u przyczyną tak przebiegu jest raz raz raz, jak to z rąk rąk, 12

²⁰ Na temat studiów Stachury na KUL-u przyczyną tak przebiegu jest raz raz raz, jak to z rąk rąk, 12

²¹ Na temat studiów Stachury na KUL-u przyczyną tak przebiegu jest raz raz raz, jak to z rąk rąk, 12

²² Na temat studiów Stachury na KUL-u przyczyną tak przebiegu jest raz raz raz, jak to z rąk rąk, 12

ze smutny był wieść tego Jugosłowianina na 1 str. „Przeglądu Kulturalnego”²⁰, że drugi był nieprawdopodobnie słabszy²¹, że marze za swoją pascektą, że bardzo chcielibym być czasem rezultem lub członkiem chóru, że mógłbym nie oddać do muzeum plaszki i buty, że Wieruska jest nieśladami²², że pokocha nożami mój obcas El Curro, że jestem zupełnie marnym, że wzięto jest bardzo, bardzo smutno, że bardzo, bardzo Kocham siebie, cóż może Pami napisać?²³

Other studies have indicated that

ငါ့ ကံကောင်းပြန်တာကို အံ့ဩဖွယ်ကောင်းပါတယ်။

Sd. Structure

Januszowi Żernickiemu

Do traw sięgaliś
jak do trawy macie wiecie
za włosy

Wyobraź sobie, że sprząta
to są obciążenia przy wibracjach
dla przerw między moimi palcami
...opierasz się na nich

ciężarów w transporcie ten bory białej
musi być sprężystość i elastyczność
i mniej chwały w kolumnach
nie bory.

ule znowu pochylił do kłosa
tak jak mój albo tyfus
ze szpawem na nie wlecząc
za sobą

Dato prakchi

*1. Jaką rolę w pełni
wykonaliwa dostajcie gazeta
na wzgórzu między łaskami*

Także jest ci potrzebna mi uczuć
 że podpalasz mi brzech
 przez leżące mi Ciepło Twój

Do ciebie nie trudno przelomować
i z miłości to planuję
i jeszcze splonie Jerzychoi
w brzołwie uszczęśliwionci

4 ty tyłtasz tak jak rycę
i czy mi się zdaje
że nieho podchujesz powietrze

Lublin, 9 grudnia 1958 r.

Tekun wedding: an agungu DJ (page 16/89)

Pierwodruk: Przybóś, *Republika* 1919, nr 1, s. 70-75.

Zapisać (tytuł, data, Papier podobny: 29,7 x 21 cm. Karta, w lewym górnym rogu, w niewielkim grzbiście, dopisek: odwołaniem (na rękę Szachury): 1951/2. Do listu dołączono manuskrypty dwóch wierszy na osobnych kartach: *Do króla nubijskiego*... (Papier podobny: 30,2 x 22,7 cm). Data górną (tytuł podobny: 30,2 x 22,7 cm). Karta (manuskrypt): 11,5 x 15,5 cm. Reper: WPan. Julian Trybacz. Wawrzyn (podobny: list do Juliana). Red. „Przeglądu Kulturowego”. Kraków: Księgarnia Wydawnictwa „Prace i Trzaski”. Wpisy: w słowach Edward Lublin, Słownik: go 8. Stempel (o nieczytelności): Dokładny adres przeznaczonego dla ciebie orszaki. Stempel pocztowy: 1. Lublin 2. 9. 12. 58 - 3. Niebelski Iluminat.

¹ "Prawdopodobnie dzięki o numerze Milionów Pieniądzy Słupski Ojciec i Przewodni Kolumnów" 1958, nr 10, s. 10.

*Cherchez le monde. *Moscow: Pravda and Nepravda*, 1986. 200 pages. 1 rub. 43 k. 40.

*Podczas przyjęcia w ratuszu przedawaliśmy "Współczesności". Tęskniłam i ja, Wiesława Lech. Też leżała odwieziona szóstym miesięcznikiem Interpolu "Tunel". Tak rozpoczęła się nasza współpraca. Daje przybliżamy i I nas drukowane druki opowiadania Leona Hołta - informacje i układy są 21 numerze "Współczesności" z 1999 roku (nr. 3-7) i poprzedzają opowiadanie Papirów *Żelazny*, ważne jest to, że pierwszy z numerów tego opowiadania był Edward Stodurka i Jani Kłuska z 13. Wyw. B. Brzozowska, 1. Grochowski, T. Słomski. Jedną z bolączek opowiadania jest Wronka, która nie przepuściła w ogóle, jakichś wiercipię, robi mi miotanie, wycinki, ponieważ leży i pomaga on, wrona, najczym leżać być, nie, nie, wrona nie opowiada.

Zmieszanie wody z węzłem odosłupnym w postaci chłodu ognia. Pierwotnik: *Praca: Zaprojektowanie do pod-
ręcznika „Technologia” 1962, nr 3, s. 7-8*

¹⁰ Wójt, ze szczególnym wydatkiem *Phalaena*, wcałł obywateli w klasie powiatu *Duto ognia*, Fiat. wdruck: *Duto ognia*, -Twórca¹⁰ 1962 r. 1 s. 9

July 16, 1959

Drug Partner:

• I oto znowa wakacje w porcie wymarłym od wielu tygodni. Skarupa łodzi nie dopuszcza statków z południowych krajów z ładunkiem słonecznych owoców i motylek z megawatyni działoami.

Indywidualną jest nawet gorący oddech na szybie. Małe kółko widoczności, które wtedy powstaje, trwa krócej niż czas potrzebny na przebycie wzrokiem odległości, dzielącej nas od szafków na kwadrantach horyzontu.

List Pawa będzie niewątpliwym plikiem z galązką oliwy w skrobie.

Architektur 19

Wnęć jaką smukłącę koraz
któryś pozszył jest
przez starmyżyny niepokój
drzewa jak cerkiew
albo pałac
o smaz wyrastając mod kupulę
jak gdyby już nrota miedzi
w gąszi nitowej
więc jaką smukłącę koraz

o przecież mogłeś drzewo rozpocząć
od gniazda
tak żeby i nie śmiało się i podbródek
ukryć wysoku w tym stylu

1.44 Min. 16.00 Sec. 1999

Ticket wedding autograph BJ 1974th 16: 500

Wydruk: Przybóń - Kępczyński 1989, nr l. s. 70-75

Zapisz na tyłko recto. Papier kamienny, jasnokolorowy, wieloletni, 29,5 x 21 cm. Kolor: pod brzością intensywnie
 i nieustraszenie. Książka nie zachowała się. Atakant niebelski

Lublin przekłony 21. III /1939

Дорогі і шановні Родичи!

Taka drewna jest choroba. Od stnia dni straciła mię z nog. Korzystam z gotow-
 ści młodych ludzi i leżą w „gałęzku”... „Gałęzik” – jest to prostokątne, duże pudło
 nad drewno, służące do umieszczania w nim wulczek, paczek, puszek, butelek etc...”
 Zwane jest również: „wieszak trumny”.

Zawsze mi się zdawało, że nie lękam się śmierci, jak wszystkich, co żyjemy tu. Zresztą usterzę głęboko, że kiedyś wyjdę tej nuprzebie. Dłż wozraj wyobraziłem sobie, że mogę umrzeć i bardzo się przestraszyłem. Powiedziałem to nawet facetom. Kiurzy znajdowali się w pokoju, ale zaczęli się śmiać. A ja naprawdę bardzo nie chciałem umierać. Czoło miałem jak nurek w eksidzie. Mgnęmkowalem każdy przedmiot nentrd i lekko mgłą. Lecząc, zdawało mi się, że końce palców, uszy, nogi pęcnieją mi do nielkich rozmiarów, a każde dotknięcie, przypominując szczypanie uła schrytanego skurczem, sprawiało mi ból i przyjemność jednocześnie. Później przytłupałem się na tym, że miałe tylko dlatego, gdyż jest to konieczne, hym mógł wdrapać się na trzy wysokie słupy. Słupy wyobrażały trzy imiona: Wiktor, Dominik i Kamil¹⁴. Skąd te trzy imiona niezłanie mi nupelnie? Żadnego z tych imion nie miał mój ojciec, brat ani przyjaciel. Nie przypominam sobie również, hym miał jedną z tych imion nadać ożek-kiwanemu (jak długo jest to ożek-kiwanemu).

⁸⁹ Pierwodruk („Wiśnik” 1906), nr 7, s. 33; później powielany w wydaniu poznańskim (druk: B. Stachurski, PP., s. 62).

* W. Iwona Szachnarska, wojewódzki plan wojennymiejew, „Golebka”

* Sprawa dotyczyła z „głębokości” opisał Szechenyi w „Lectures on the Theory of the State”.

Oł polone wygodań sieple minie z nóg. Kierzywimie goćmowem studentów i leze w gołębim. Goleb-
nik - to przelotnie padło iedn wstępowim dozwiniu Szty do uniwersytecie w mni walszek, owczek,
pusztyk białek i wstęu nymch rzeczy" (E. Stachura, *Wykus, Żywiec Literacki*, 1959, nr 12 s. 4).

[illegible]

Teraz jest ciemny dzień i wieczór, gdy jeszcze dzień jutro, by oprzeć się pokusie zapalenia światła. Widzę za oknem, jak świeci półk ognika na półn. Z zapadającym zmroku plomienie ognika jaśnieją coraz żywiej i blaskiem.

Jestem chyba stracony. Gdybym tylko mógł dokończyć osiem wiersz. Nie! Niki nie wie więcej ode mnie o poezji! Przepraszam. Wysłałem do „Odry” dwie prozy przytyknie”. Gdyby Pan zechciał o nich napisać p. Karpowiczowi...

Myślę, że mogę już teraz Panu powiedzieć, że oemie wam bardzo Polski przyjaźny do mnie stosunek. Proszę o trochę uwagi. Poryłam Panu jeden wiersz.

[Dopisek w prawym dolnym rogu:]

Zaryłam Panu dużo pozdrowień

np. Sied

Zadrzaznę boazeria⁴

twoje doradztwo delikatnie dużo
jakby bez podnieść z tarasu na taras
schodziła moja piękna ruina

albo chwilami przelegujesz
ze porcelany u boku nieprzepracię
i lasice w posiadłościach służącej
z okolicą na buntach tak samo

pożyczy okienne nychlanie teraz po co
i już wade nową pożyczy okienne po co
moja wdzięczność boazeria ale młodo
opieszalskie w odchodzeniu nie mogę chcieć chciałbym

Lublin, 21 marca 1959 r.

Tekst według autografu BJ (prz. b. 16/80).

Pierwodruk: Przybicki, „Regiminy” 1989, nr 1, s. 70-73.

Zapisana tylko recto. Papier kremowy, prześwitujący (kalka wewnętrzna), 29,5 x 21 cm. Recto: skreślenia. W prawym dolnym rogu dopisek – Zaryłam Panu dużo pozdrowień. Sp. Sied. Do listu dołączony na osobnej kartce list: Zadrzaznę boazeria. (Papier podobny 29,7 x 21 cm, Mazowiecki, Kopia z 1989, nr 1, s. 70-73. cm. Recto: Witan, Julian Przybicki, Warszawa [p. alka], „Przegląd Kultury i Sztuki”, Krakowski Przed. rog Trzbackiej, wiersz Stachura Edward, Lublin, Sienickiego 2, Sienicki-ikolizacyjny: Encyklopedia PWN w każdym doświadczeniu, Sienicki poznały, Lublin 2, 21, 3, 59-72. Atrament: niebieski.

5

Lublin przeklęty, 10 kwietnia 1959

Drogi, kochany Panie!

Proszę wybaczyć mi wstęp, który może wydać się Panu zbyt długim. Kilka dni temu Komiteta Administracyjny odrzucił moje gniazdo „goleńnik”, w „goleńniku” moje gniazdo i moje. W brutalny, brzydki sposób wyrzuciło mnie, wypłynę z Akademika, nie pozwalając mi przespać do rana. To wszystko działo się kilka minut po 24⁰⁰. Wyrzucił, wypłynę stałem chwilę przed drzwiami, nocą i tym przeklętym miastem. Nie myślałem chyba dokąd skrać krok. Przecież jestem wolny. Mogę pójść przed siebie, do tyłu, na prawo, lewo, dokąd się tylko podoba. Jestem wolny, wolny, wolny – powtarzałem cicho. Kiedy tak szedłem, zdarzył mi się mały incydent z pijanymi studentami, który Panu nie opowiem. Boję się, że mogłoby narodzić się rumień, którą mi wtedy zadano i musiałbym krzyczeć głośno, takie to bolesne. Jakas siła zawiązała mnie przed Dom Akademika KUŁ. Brama była zamknięta, i nagle miałem jak promień światła dziurkę od klucza na przetrzep. A może, może otrzymałem dziwny List. Niedziela nadzieja, że może... od Pana. Dzwonię. Po kilku minutach słyszę stróż. Wchodzi; przepraszam, że nie mam dwóch złotych, że nie mam złotówki, 50 groszy nawet. Stróż mruczy pod nosem. Chwyta kilka słów: „...na wieść to macie”. Z jaką radością upiłbym się w tej chwili. „Wiem, poezja, modlitwa, czynkowiak pragmatyka⁵”. Wstępuję

⁴ Nie udało się ustalić w jakie miejsce chodzi. Pierwsza proza była ukazała się po tym liście (20 III 1959) w „Odrze” pochodzi z 1960 roku, było to opowiadanie Józefa Kłosa („Odra” 1960, nr 25, s. 7).

⁵ Nie udało się ustalić pierwotnego. Wiersz się zaczął pojawiać włączony do jednego z wydaniami książkowych.

⁶ „Jestem suburbainy...” – cyt. na przedmowa do książki.

⁷ Zachowanie „wielkiego smoka”.

⁸ Artykuł do „Przeglądu Kultury i Sztuki” (Kraków) z 1959, nr 1, s. 70-73. Wiersz, poezja, modlitwa, czynkowiak, pragmatyka – ujęcie w tym samym zapisowi się (Mazowiecki, Warszawa, Łódź 1993, s. 149). Wiersz pochodzi z „Przeglądu Kultury i Sztuki” (Kraków) z 1959, nr 1, s. 70-73. Wiersz pochodzi z „Przeglądu Kultury i Sztuki” (Kraków) z 1959, nr 1, s. 70-73.

po kilku schodkach do holu. Z odległości kilku metrów spostrzegam przegrodę z literą S. Może dzisiaj S – jak Słowce. Są w niej trzy listy i karta. Sięję i patrzę na nie. Opóźniał ciągle moje schizent... przedłużanie nadziei... oczekiwanie na poranne... mówisz, że będzie deszcz na zapalonego ciała, naprawdę... jestem chłodniejszy więcej niż kolanie chłodne. Czy do któregoś z tych postadom prawa wstępu. Ostrożnie podchodzę do przegrody. Tak bardzo potrzebuje listu w tej chwili. Wyciągam rękę... pierwszy list z lewej... Gdybym miał stąkać, mógłbym się zabawić: dla mnie, nie dla mnie, dla mnie, nie dla mnie... Pozostały dwa listy i karta, którą na pewno nie dla mnie. Ostatni list na białą kopertę. Jest gruby. Nie patrzę na niego wazę w dłoni jego ciężar: 4 strony, 4 strony gęsto zapisane, 4 strony gęsto zapisane i jeszcze coś... Patrzę na niego... Pozostała jeszcze kartka, O. Wierszawa! Thessa II. Z. Nad nią Krak. Przedm. O, poznaję duże drzewo Związków Literatów. Nie mogę wyzwać, czy Pan jest wewnątrz. Przykro mi, ale nie mogę wyzwać. Odwracam kartkę. Błogosławionu mech będzie to piśmo podjęte, które poznaję, nie czytam, chowam kartę do kieszeni. Patrzę na zegar. Jest pierwsza nad ranem. Stupując cicho, wchodzę do kuchni. Jej okna wychodzą na ulicę. Odnieram jedyną i wyskakuję. Jeszcze raz proszę o wybaczenie, że tak długo musiał Pan ze sobą wędrować do tego miejsca, chociaż nie tak długo, jak długo jeszcze moje włóczenie po ulicach tego przeklętego miasta, czekając na list. Pod tą latarnią przysiadłem i przeczytałem kartę. Nie, pod nasępłą. Gładzę palcami kartę i ona gładzi moje palce. Nie mogę wytrzymać... „Drogi Panie Edwardzie...”

Tak, czuję się lepiej. Tak, „boazeria nie kusi poza okno, lecz się łazi jak głodku stucąca z pyskiem na szklanej porcelanie⁶”. Tak, „mam w sobie krupę jakąś elastyczną”. Tak, „wszystkim szczerum oam rudę”. Tak, tak, tak. Zwycięzę. Zwyciężymy. Przyrzekam. Jak przysięga wydaje mi się ta uliczka...

Oddaję Panu

Edward Stachura

PS Poryłam Panu dwa wiersze, a może trzy⁷. Nie śmiem Panu zadedykować któregoś z nich. Odważę się jednak kiedyś. Niech Pan wróci uwagę na Wakacje na wyspie⁸.

Dziś, doświadczyłem pozdrowień oraz natychmiastowej rekonsolidacji. A hmmm⁹.

Lublin, 10 kwietnia 1959 r.

Tekst według autografu BJ (prz. b. 16/80).

Pierwodruk: Przybicki, „Regiminy” 1989, nr 1, s. 70-73.

Zapisane: recto i verso. Papier podobny 30 x 21 cm. Kopia nie zachowała się. Flanszer: niebieski, wyblakły.

6

Lublin przeklęty – Niedziela 14 – VI / 1959

Drogi Panie,

dzisiaj jest niedziela, ale dla mnie to zawsze niedziela po niedzielu – przeklęte świętowanie.

Nie przyszedłem wówczas na umówione spotkanie i dlatego, żeby Pan nie zjadł ode mnie wyjaśnienia. Nie dlatego nie przyszedłem, że miała być również Pańska zima, a ja miałem brudne i harian podarte spodnie, a ja byłem nie ogolony, a ja chciałem Panu coś pokazać, a ja chciałem nie przyjaść, bo przeżyłem, że grzechy poprawna rozmowa i późnej grzechy, poprawnie rozstrzygnięte, a ja chciałem nawet (zrobić) Panu małą przykrość (czy przykrość?). Żeby teraz odkupić się, to myślę, że lepiej o Pan...?

Ale nie przyszedłem nie dlatego, nie wiem już dlaczego nie przyszedłem. Nie w takiej chwili wiedziałem a teraz już nie wiem i Pan nie wie, ale wierzę, że wtedy... i dlatego, żeby Pan również uwierzył. Są chwile, że człowiek jak w hotelu a drzwi zamknięte nie przedkładają, lecz żeby odkupić się w ciszy i samotności.

Czy może się Pan na nowo gniewać?

Mój Dobry Przyjacielu?

Sp. Edward Stachura

Lublin, 14 czerwca 1959 r.

Tekst według autografu BJ (prz. b. 16/80).

Pierwodruk: Przybicki, „Regiminy” 1989, nr 1, s. 70-73.

Zapisane tylko recto. Papier podobny 20,5 x 20,7 cm. Kopia nie zachowała się. Flanszer: niebieski.

⁹ Tu i dalej: aluzja do listu z 10 kwietnia 1959.

¹⁰ Wiersz, o których mowa, nie zachowały się.

¹¹ Mowa o Franciszku Zimku, sugerując, że wyrażenia proza była publikowana, nie udało się tego potwierdzić.

¹² A hmmm – (fr.) do zobaczenia niedługo.

Gdynia 14.IX.1959

Drogi. Kochany Panie,

nikąd nie włóczę – a dokąd i czemuś tak samo – a dokąd? Nie do mnie. Dla mnie hotele tylko. Tyle hoteli dukała, hotel hoteli jak na bal.

Rumę po hotelach i każdy ronek jest dla [mnie] zmartwychwstaniem. I z każdym ronekiem zmartwychwstaje moja nienawiść, tak jak rzeka, która nie do morza płynie a pnie się coraz prędzej poprzez gurskie polanki do źródła. Rumę po hotelach a nienawieć moja jest co krok, co dzień, a przede wszystkim, co noc, noszę w nienawieci, która jak czarna rzeka wypełnia mi wszystkie żyły po brzości. I jeśli nie zalewa noce to dlatego, że od czasu do czasu sen mnie gdzieś przygarnia. Pódezas snu muszę krzawieć. Dobry sen musi mnie nacihać, żeby mogła uchwycić ta czarna krew. Pódezas snu muszę się dobrze wykrzawieć. Dlatego zmartwychwstaje. Ale sen to nie jest hotel. Dlatego apopleksja go rzuca, czołgać choć go hardzo i pragnę jeszcze więcej. Jeśli go nawet czułam spuchkam, to mi się wymyka spod pleców, spod pleców, spod głowy jak wąż i nie chce mnie owinąć, otulić. Jeśli mnie nawet czułam owija, to tak mocno, że dusi mnie prawie i muszę z nim walczyć, wle się, szamotać, krzawieć, żeby mi rozpluł. I budzę się oholany potem, bo to jest ciężka walka – wozem. Wtedy wstaję i idę. Znowe trzeba iść. Jak się nie ma gdzie iść, tym hardziej.

Otrzymałem kartkę od Pana. Obaś mi jest to dla mnie nętniejsze ukojenie. Tak jak Pror przewidywał, włóczę się i płacz. Posyłam Panu trochę włóczęgi i trochę pisaniny. Ale włóczę się dużo i dużo piszę. Chciałbym porozmawiać, pogadać z Panem. Myślę, że trafię do Warszawy w tym miesiącu, jeśli mnie nie innego nie trafi. Karłowicz ciągle wiezi moje prozy poetyckie²¹.

Pozdrawiam Pana z drogi i z miłości.

Pozostaje oddany
E. Stachura

Świętowanie²²

Na tratwach to para jest miła zągubin
bo udkąd się włóczę a dokąd
to rzeka wie tylko i delfa już później

nałaziłem kiedyś do ogródów wysokich
a kobiety tam powolne jak rzeki
układały się w kuryto by płynąć

to mnie te holowniki dzęczyły
bo to było jak ołwa na wudę
to ja się tak ciężko na holownikach

ale nie to mnie coś kółnęło imago
więc kazałem mdy orszak przystanąć
zeby mi się lepiej mogło wydawać

i poczułem to wolanie osobliwość
jak przętka popołudnie mi płoców
i głębiej nawet ze nawi

a po kokich na się forfor zapalał
i w płomię drzewko zamieniał mi skreślet
to ja już musiałem się rozwozić

i przuciłem ogródki wysokie
a kobiety tam powolne jak rzeki
ułożyły się w kuryto by przejść

na tratwach to para jest miła zągubin
bo udkąd się włóczę i dokąd
to rzeka wie tylko i delfa już później

²¹ Tętno, przym. XD.²² Nie udało się znaleźć pierwoduku.

Gdynia, 1 września 1959 r.

Tekst według autografu JM (ps. wib. 11/1/1959).

Pierwodruk: Przybka, „Regiony” 1989, nr 1, s. 70-75.

Papier kremowy, ozdobny, 30 x 19,7 cm. Zapisana tylko recto. Do listu, na osobnej karcie, dołączony wiersz Świętowanie. Papier pozółkły, prześwitujący, 29,5 x 20 cm. Recto, nad tytułem: Edward Stachura. W lewym górnym rogu dopisek ołówkiem (nie ręką Stachury): do listu z dnia 1. IX. 1959. Kłopotliwie, czalobim, 11,5 x 16,5 cm. Recto: W.Pan, Julian Przybka, „Przegląd Kulturalny”, Krakowskie Przedm. 21, róg Trębackiej. Verso: Edward Stachura, Gdynia [podkreślone]. Stempel okolicznościowy: [okładany adres przyspiesza dźwięk pisma] Stempel pocztowy: Gdynia, 1.9. [...]. Długopis niebieski.

[Ciechocinek, 31 III 1960]²⁴

Drogi Panie,

szkadam morderczynie ręce i zaprawdę o zdrowie, bo u mnie zdrowotność niezmierzona i żadnych bólów tajemniczych, czego i Panu życzę z całego serca.

Oddany

E. Stachura

Ciechocinek, 31 marca 1960 r.

Tekst według autografu BJ (ps. wib. 16/89).

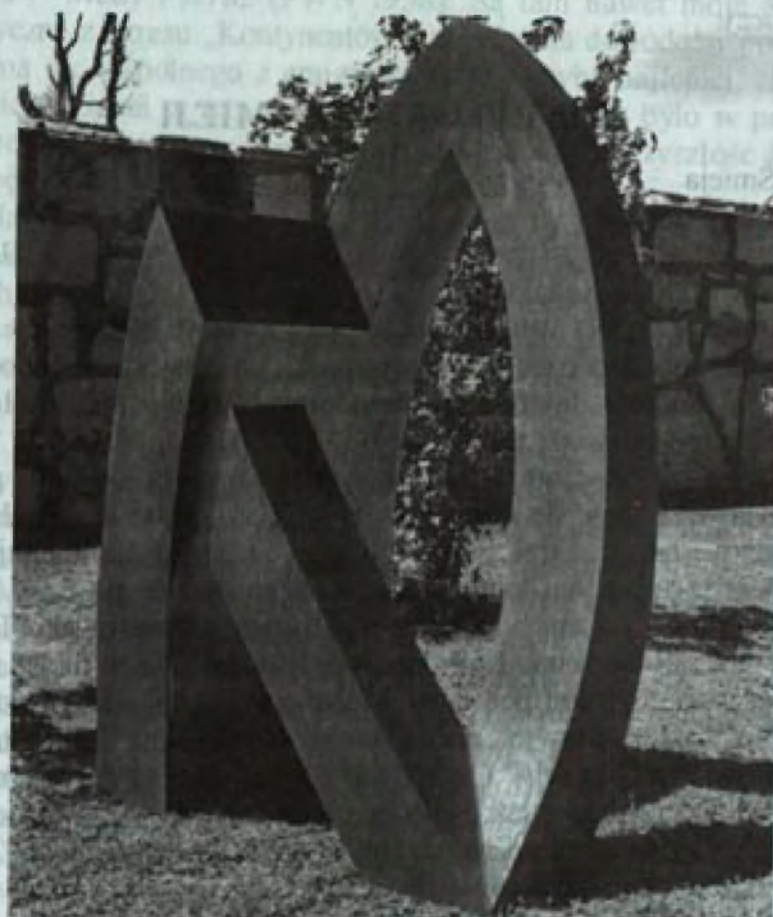
Pierwodruk: Przybka, „Regiony” 1989, nr 1, s. 70-75.

Karta pocztowa 10,5 x 14,7 cm. Recto: Ciechocinek – „Ciechocinek” (czarno-białe zdjęcie). Verso: W.Pan, Julian Przybka, „Przegląd Kulturalny”, Krak. Przedmieście, róg Trębackiej. Pod tekstem dopisek ołówkiem (nie ręką Stachury): Przyb. 16/89. Stempel pocztowy: Ciechocinek, 31 - 3.60 - 12. [Nagłówek niebieski].

Koperta, której nie przyporządkowałam do żadnego z listów.

Koperta 11 x 12,7/14,3 cm. Prawy brzeg, wraz ze znaczkiem, urwany. Recto: W.Pan, Julian Przybka, Warszawa [podkreślone], „Przegląd Kulturalny”, Krakowskie Przedm. 21, róg Trę[...]. Stempel okolicznościowy, 50 lat walki z gruźlicą, Lublin 1909-1959. Verso: Edward Stachura, Lublin, Ślawnickiego 8. Na smyślnym nagłówku (na białym długopisie) dopisek: matus zeby, młody Chępa, Apollinare [wzruszenie podziwione ciekawością]. Jak tam [zamazane]. Flamastr niebieski.

opracował Dorota Pachocka

²⁴ Datowanie listu nastąpiło na podstawie stempla pocztowego.

Paweł Anaszkiewicz: Yugen, 1994 (197 x 85 x 125 cm)

polemiki i dopowiedzenia

„KONTYNENTALNE” KLIMATY

W „Akcentie” nr 3 z 2002 roku zamieściliśmy obszerny tekst rozmowy przeprowadzonej przez Marka Kusibę i Edwarda Zymona z mieszkającym w Kanadzie (w Vancouver nad Pacyfikiem) poetą i eseistą Bohdanem Czaykowskim. Część rozmowy, sięgającej głęboko w przeszłość, dotyczyła udziału poety w jednym z najciekawszych ugrupowań artystycznych na emigracji: londyńskiej grupie „Kontynentów” (1959-1966).

Historia grupy i twórczość jej autorów stała się zaszczytnym przedmiotem licznych komentarzy krytyków i historyków literatury. Jednak, jak się zwykle w takich sytuacjach okazuje, nie wszystko zostało powiedziane (czy lepiej: nie o wszystkim można orzec definitywnie, gdy idzie o sprawy będące przedmiotem indywidualnych odczuć i wartościowań). Niektóre opinie Czaykowskiego i zaprezentowane przez niego oświecenia faktów wzbudziły stanowczy sprzeciw poetów równie zaszczytnych dla historii grupy: Floriana Śmieja i Bolesława Taborskiego. List pierwszego i artykuł polemiczny drugiego przedstawiamy czytelnikom „Akcentu”.

W przekonaniu, że dyskusja dobrze służy historii literatury, postanowiliśmy umożliwić ponowne zabranie głosu Bohdanowi Czaykowskiemu. Nie po to, by przedłużać spór, lecz by stworzyć możliwość wyjaśnienia wątpliwości i przedstawienia okoliczności, których znajomość może być kiedyś przydatna dla badaczy.

(red.)

LIST FLORIANA ŚMIEJI

Florian Śmieja
Mississauga, Canada

10.12.2002

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 3(89) 2002 „Akcentu” w dziale *Rozmowy* Bogdan Czaykowski mówi o czasach londyńskich i o swojej roli jako członka redakcji, a potem redaktora „Kontynentów”. Z jego ust padło niefrasobliwie szereg nazwisk, także moje.

Pamięć to zdolność umysłowa, która na starsze lata potrafi płać figle. Czaykowski zdaje się ilustrować jej kaprysy, chyba że umyślnie mówi nieprawdziwe rzeczy. Stoi się przy tym w cudze piórka mianując siebie czynnikiem łagodzącym domniemane antagonizujące postawy kolegów.

Pomawia mnie on np. o odmowę współpracy z Bolesławem Taborskim i Adamem Czerniawskim. To nieprawda. Miałem obu w mojej redakcji i współpracowałem z nimi pod innymi redakcjami. Powiada Czaykowski, że chociaż się wyklócaliśmy to „mieliśmy równocześnie dla siebie szacunek...”. Dlaczego ten czas przeszedł? Czyżby teraz zaczął się „otwarty sezon” i stąd może te różne przypinane łutki, choćby pod moim adresem – „katolicki prawicowiec”. Czy to jakaś późna nagana za odmowę jedzenia żaby?

Ja przypominam sobie, że były to interesujące czasy, a dziś widzę, że mądrych po szkodzie przybywa.

Florian Śmieja

BOLESŁAW TABORSKI

KRZYWE ZWIERCIADŁO BOGDANA CZAYKOWSKIEGO

Podziwiam pewność siebie, z jaką Bogdan Czaykowski, w wywiadzie udzielonym w Toronto, a ogłoszonym w „Akcentie” nr 3, 2002, kreśli, nacechowany wybujałym egotyzmem, obraz dawnej grupy „Kontynentów”. Z opowieścią będącą w dużej mierze wytworem fantazji i lęk w pamięci polemizować nie sposób. Było to według niego coś w rodzaju kłębówiska zmij, w którym każdy walczył o dominację, i naprawdę trudno w świetle jego dywagacji zrozumieć, jak ci ludzie mogli przez 8 lat wydawać razem pisma, urządzać imprezy publiczne itd. Mam na ten temat diametralnie inne zdanie, co więcej – posiadam dokumentację naszych skromnych dzieł, którą udostępnię badaczom. Teraz jednak muszę sprostować nieprawdziwe twierdzenia dotyczące głównie mojej osoby, na tych samych łamach, na których zostały wysunięte.

Nieprawdą jest jakoby Taborski chciał, żeby „Kontynenty” były przede wszystkim opozycją wobec emigracji politycznej. Coś takiego w ogóle nie przyszło mi do głowy, choćby dlatego że sam byłem emigrantem politycznym. Jeśli Czaykowski wysnuł taki wniosek z mojego artykułu *Moralne prawo*, to źle go odczytał. Krytykowałem instytucje emigracyjne, bo chciałem – może naiwnie (bo diasporę ocenia mentalność obłożonej twierdzy i każda krytyka uważana jest za działanie wrogiej agentury) – aby działały sprawnie, aby emigracja była lepsza, dostosowana do rzeczywistości i czasu, w którym nam przyszło żyć.

Nieprawdą jest jakoby Taborski chciał przewodzić, powodowała nim ogromnie silna niechęć do oficjalnej emigracji politycznej, między innymi za powstanie warszawskie. Za establishmentem emigracyjnym, uwikłanym w kłótnie o prezydenturę, kompromitujące powroty do kraju kolejnych premierów itd., nie przepadałem, ponieważ nie był w stanie spełniać swych podstawowych zadań. Nic miało to nie wspólnego z powstaniem warszawskim, o czym wie każdy czytelnik książki *Moje powstanie – wtedy i teraz* (PWN 1998). Są tam nawet moje artykuły publicystyczne z okresu „Kontynentów”, ale krytyka dowódców powstania itd., nie ma nic wspólnego z emigracją. Wiem chyba najlepiej, że motywami moich działań w tym czasie nie był żal o to, co było w przeszłości, ale troska patriotycznie nastawionego Polaka o przyszłość kraju. I nikt nie będzie mi wmawiał, że było inaczej.

Absurdalne jest twierdzenie Czaykowskiego, że chciałem przewodzić. Komu? jak? gdzie? Byłem tylko publicystą, a jako taki zwracałem się do wszystkich czytelników. (Toutees proportions gardees: tak czynił, i to lepiej, Mieroszewski, a niki chęci przewodzenia mu nie zarzucał.) Bzdurą też jest twierdzenie, jakoby pod koniec kadencji Czerniawskiego jako redaktora naczelnego Sito, Taborski i Ciechanowski chcieli... pismo „przejąć”. I wobec tego musiałem utracić spisek radykałów itd. w tym stylu. Cały ten spisek i zamach stanu istniał w wyobraźni Czaykowskiego, a pisma tenże Czaykowski nie „przejął”, tylko został mianowany – wybrany przez zespół, w tym przede mną, 18 listopada 1959 r.

Byłem lojalnym członkiem zespołów redakcyjnych, a redaktorem naczelnym być nie chciałem. Natomiast później zespół chciał, żebym nim został i to w momencie, gdy z powodu trudności finansowych ważyły się losy pisma. Odświeżę pamięć Czaykowskiego przytoczeniem zapisu w dzienniku pod datą 25 maja 1959 r. (Nie posądzam Czaykowskiego o to, by kwestionował prawdziwość tego zapisu i twierdził, że to wymyślił):

Wieczorem u Czerniawskiego zebranie „Kontynentów”. Obecni wszyscy oprócz Sito, Lawrinowicza, Ciechanowskiego i Radwańskiego. Dyskutujemy pesymistyczny memoriał Czaykowskiego, który ustępuje z redaktorstwa w październiku. Wszyscy oprócz Czerniawskiego wypowiadają się za tym, że pismo jest potrzebne nam. Na wniosek Czerniawskiego zostaje jedno-

głośno mianowany redaktorem naczelnym na pół roku od 1 listopada. Potem ma być Śmieja – to mój wniosek.

Przez następne pół roku byłem kimś w rodzaju „redaktora elekta”: dość zresztą sceptycznego, jeśli chodzi o widoki pisma na przyszłość. Oto zapis z 3 grudnia 1961:

Wieczorem zebranie red. „Kontynentów” u Bogdana. Obecni wszyscy z wyjątkiem Szwarca i Sulika. Najpierw Bogdan wyjaśnia propozycję przeniesienia się do Bednarczyków, potem zapowiada swoje ustąpienie z zespołu. Przedstawia też sytuację finansową. Mamy wyjść do stycznia na zero (mimo długu £ 180), a rzeczywiście sprzedawanych jest 200 egzemplarzy (bo z 220 prenumerat jest 70 zaległych, a w kioskach idzie 36). Potem ja zabieram głos i rezygnuję z objęcia pisma – druku prywatnego, na które nie ma zapewnienia społecznego i które nie ma żadnych szans finansowych. Nie zamierzam być przedsiębiorcą pogrzebowym, zwłaszcza że szereg osób ustępuje z zespołu. Nie znalazł się inny kandydat na objęcie pisma, wobec czego ustaliliśmy likwidację w kwietniu, a do tego czasu Bogdan ma prowadzić. Czerniawski zaś pozostanie w zespole. – Nie dałem się wrobić na likwidatora.

Dla porządku cytuję jeszcze jeden zapis w dzienniku, z 11 sierpnia 1962:

Wieczorem na pożegnalnym party u Bogdana Czayk., który jedzie do Kanady. Są też Czerniawski, Darowski, Badowicz, Kulczycki i inni.

Śmieja istotnie objął wówczas samodzielnie redakcję „Kontynentów”. Natomiast Bogdan Czaykowski od czasu swego wyjazdu do Kanady nie kontaktował się ze mną i nie widział mnie ani razu przez ostatnie 40 lat. To, że mnie widywał wcześniej, w latach 1954–62 wystarczyło mi, by uważać, że mnie zna i wie, jaki jestem. Ale się myli. „Ostry” byłem tylko w publicystyce. W życiu byłem i jestem człowiekiem pojednawczym, zwolennikiem kompromisu.

Prostując zatem dalej wyimaginowane „prawdy” Czaykowskiego. Byłem rzekomo „negatywnie nastawiony do takich katolickich „prawicowców” jak Śmieja”. Coś podobnego. Dopiero teraz się dowiaduję – choćem też katolik (ale pewnie zdaniem Czaykowskiego „lewicowy”), że Śmieja, z którym od 1954 roku po dziś dzień się przyjaźnie i regularnie widuję, był jakimś „prawicowcem”. Mocno naciągane są też twierdzenia Czaykowskiego, że zrozumiałe różnice zdań, a nawet klórnice w szklance wody, jakie się zdarzały na zebraniach, prowadziły do zadań usuwania członków redakcji. Nieufni byliśmy jedynie wcześniej, w okresie „Merkurysza”, wobec działaczy Zrzeszenia Studentów, będącego wydawcą pisma, którzy wciskali się do zespołu. Ale żebyśmy ze sobą nawzajem nie mogli pracować, to nieprawda. Konkretnie: odrzucając twierdzenie, jakoby Taborski mówił: ja ze Śmieją nie będę. Śmieja mówił: ja nie będę ani z Czerniawskim, ani z Taborskim. Zaprzeczam prawdziwości tych zdań także w imieniu Floriana Śmieji, który mnie do tego upoważnił. Ze Śmieją nigdy nie miałem zatargów i stosunki między nami zawsze były i są dobre.

Czaykowski pisze też, że Taborski (...) przypisywał np. fakt, że konfiskowana w Polsce przesyłka materiałów uznawanych za niecenzuralne, nie kontroli cenzury, ale „porywaczom pocztowym”, jak ich nazywał, i dodaje, że tym się ośmieszałem. Ale sam się ośmiesza, jeśli nie wie, że porywaczami – nie „porywaczami” nazywałem właśnie agentów cenzury konfiskujących przesyłki pocztowe.

W swoich dywagacjach Czaykowski usiłuje też ośmieszyć Jerzego Zawieyskiego, przytaczając wyrwaną z kontekstu i przeinaczoną historię, jak to Zawieyski głaskał Gomulkę po rękę itd. (nb. na początku 1957 r., gdy dla większości Polaków ten ostatni był postacią pozytywną).

Zupełnym nieporozumieniem jest twierdzenie Czaykowskiego, że gdy zaprosił do współpracy z „Kontynentami” Jana Brzękowskiego, ten odpisał w efekcie, że nie może, bo przecież Taborski idzie za daleko w swoim antyemi-

gracyjnym nastawieniu, w swojej apologii sytuacji w kraju. Gdyby to miało być prawdą, to jak wytłumaczyć fakt, że z Brzękowskim, którego poznałem kilka lat wcześniej, byłem do końca jego życia zaprzyjaźniony i jestem w posiadaniu kilkadziesiątu jego listów. W żadnym z nich, ani w osobistych rozmowach, jakie prowadziliśmy w Paryżu, Londynie i Krakowie nie miał najmniejszych zastrzeżeń, jeśli chodzi o moje poglądy polityczne czy inne. W istocie zgadzaliśmy się we wszystkim dość zasadniczo.

Czaykowski chwali się w swoich wywodach dobrymi stosunkami z Jerzym Giedroyciem i orzeka, że Giedroyc nas popierał, równocześnie nójąc się truchę, żebyśmy się nie stali dla niego konkurencją. Ja też miałem z Giedroyciem bliskie stosunki, spotykałem się z nim dość często w Paryżu, Maisons-Laffitte i w Londynie i otrzymałem od niego sto kilkadziesiąt listów. Stanowczo twierdząc, że nas popierał i na nas liczył. Natomiast „obawy”, że możemy być konkurencją dla „Kultury” i Instytutu Literackiego, to chyba megalomania i absurd, niestety nie jedyny w tej torontońskiej rozmowie.

Na koniec zostawiłem najbardziej nieprzyjemną dla mnie sprawę, której jednak nie mogę pominąć. Czaykowski pisze mianowicie: mogę pisać na Taborskiego jako poetę (...) trudno sobie wyobrazić bardziej zakalcowatą poetykę niż ta, którą on stwarzył. Cóż, ja też poezji Czaykowskiego szczególnie nie cenię, ale – zresztą w stosunku do jakiegokolwiek poety – nie pozwoliłbym sobie na tego rodzaju nonszalanecję. Czaykowskiemu, który jest polonista i profesorem literatury tym bardziej nie przystoi w wypowiedzi publicznej szafować epitetami. Mógłby natomiast w krytycznym esej udowodnić, że moja poezja jest zła. A jeśli uważa, że szkoda tracić czas na analizowanie złej poezji, po co umieścił w swojej kuriozalnej i zagmatwanej antologii poezji emigracyjnej kilkanaście moich zakalcowatych wierszy, obniżając tym samym jej poziom? Wprawdzie jako antologista był niezwykle hojny (zwłaszcza dla przyjaciół, którym dał trzy razy tyle miejsca, a i dla siebie – 26 wierszy, choć wedle ówczesnych obowiązujących dobrych obyczajów autor antologii powinien być w niej śladowo reprezentowany).

Jestem ponadto przekonany, że Czaykowski moich wierszy, poza wczesnymi, nie zna: 9 utworów w antologii pochodzi z lat 60., pozostałe dwa – z początku lat 80. i z r. 1992. Czaykowski podaje w moim biografie, że oparł się na *Poezjach wybranych* (PIW, 1999), ale chyba książki tej nie miał w ręku, a wiersze wniósł z czasopism. Dlaczego tak uważam? Skarciwszy mnie za poezję, postanowił pochwalić mnie za „dodatkowe, pozapoetyckie formy aktywności”, tj. książki o teatrze i przekłady. Łaskawie stwierdza: Nie muszę wobec tego go odrzucić, dlatego że nie uznaję jego stylu poetyckiego. Pięknie sformułowane zdanie, prawda? Nb. profesor literatury zamknięty na inne style w poezji niż jego własny i ew. pami przyjaciół, to też kuriozum. Czaykowski nazywa mnie też łaskawie „tytanem pracy”, np. m.in. przetłumaczyłem, według mojego biografu w antologii... „kilka sztuk Pintera”. Jednakże mój biograf w *Poezjach wybranych*, z których rzekomo czerpał jedyne dwa moje wiersze poza wczesnymi, podaje, że przełożyłem 19 sztuk tego autora. (W późniejszych książkach jest już tych przekładów 20, ale z pewnością Czaykowski ich nie widział. Z tego nie czynię mu zarzutu, jednak „kilka” a 19 to spora różnica.) Dodam na marginesie, że w biografie są też luki. Autor wspomina o moich przekładach Gravesa, pomija wydany w serii dwujęzycznej WL-u tom poezji Roberta Lowella. Wymienia kilka nagród, a pomija nagrody: ITI, Klio, ZAiKS-u, SEC-u itd.

Pisanie tych uwag nie sprawia mi przyjemności i trudno też mówić o satysfakcji. Przykro mi, że człowiek, z którym przez szereg lat w odległej przeszłości współpracowałem bez większych zakłóceń, ocenił mnie teraz mylnie i niesprawiedliwie. Z pewnością nie zostawi moich uwag bez odpowiedzi. Muszę jednak z góry zastrzec, że nie będę się angażował w dalsze polemiki (chyba że w uwłaczaniu mi przekrocząby granice tego,

co mogę znieść). Mam zbyt wiele spraw pozytywnych, w które jestem zaangażowany z pożytkiem nie tylko dla siebie, więc nie chcę i nie mogę wdawać się w spory na temat tego, co działo się przed półwieczem w nieistniejącym już środowisku. Moje archiwum przekażę badaczom, którzy – nie mam co do tego wątpliwości – ocenia moją osobę, działalność i twórczość właściwie.

Bolesław Taborski

ODPOWIEDŹ BOGDANA CZAYKOWSKIEGO

Vancouver, 7 V 2003

Szanowny Panie Redaktorze,

Dziękuję bardzo za udostępnienie mi listów Floriana Śmieji i Bolesława Taborskiego oraz propozycję, aby odpowiedział na ich uwagi podtrzymać dyskusję na temat „Kontynentów” co niniejszymi, starając się streszczać, acz nie za bardzo, czynię.

Mają mnie co ostatnio tak cieszyć, jak wprawianie ludzi w dobre samopoczucie na ich własny temat. Robię to nawet czasami wobec siebie. To niektórym śmiesz, a mnie to śmiesz, bo im dalej w lata, tym większe powinno być poczucie humoru wobec samego siebie.

Powinno, ale o ideal trudno. Niektórzy moi dawni kompani „Kontynentowi” wyraźnie biorą swoje niegdysiejsze poczynania może nieco nazbyt solennie. Zamiast się ze mną trochę pośmiać, poczuli się urażeni. Przykro mi, bo dorobek ich obu na swój sposób szanuję i jakiejś specjalnej animozji do nich nie czuję.

W wywiadzie rogowalemi m.in. na szerzenie się pewnej legendy, a mianowicie, że w grupie „Merkurusza-Kontynentów” panowała nieustannie dewiza „kochajmy się”. Otóż nie panowała, co nie czyni zjawiska mniej interesującym. Może nawet wręcz przeciwnie.

Tak się złożyło, że parę miesięcy temu przepisałem ponad 250 stron listów z okresu „Merkuriusz Polski Nowy ale Dawnemu Wielce Podobny”, „Merkuriusz-Kontynenty” i „Kontynenty”. Lata: 1955-1964. Korespondencję tę przekazałem w ręce badaczy poezji i poglądów byle grupy. Zakładam, że korespondencja ukaże się, może jeszcze nie zaraz, ale nieza długo. A w każdym razie nie zaginie. Mogłbym więc z zupełnie spokojnym sumieniem nie odpowiadać na wypowiedzi moich polemistów i pozostawić werdykt badaczom i „historii”.

Niemniej, ponieważ wypowiadałem się w wywiadzie czasami nazbyt skrótowo, nawet prowokacyjnie, więc korzystam z okazji, by niektóre z kwestionowanych wypowiedzi uściślić, inne rozwinąć, skorygować lub potwierdzić. A co ważniejsze, oddać „kontynentowej” przeszłości moich polemistów sprawiedliwość.

Florian Śmieja pisze, że „stroję się w cudze piórka mianując siebie czynnikiem łagodzącym domniemane antagonistyczne postawy kolegów”. Abstrahując od stylu zdania, kłania mu się w tym momencie Tartuffe. Bowiem Florian Śmieja wie bardzo dobrze, że takim właśnie „czynnikiem” był i am, przynajmniej do momentu, w którym zdecydowałem, że dalsze utrzymywanie pisma jest stratą czasu i nie ma sensu. Na przykład starałem się przekonać Bolesława Taborskiego i innych, że ich odejście z redakcji „Merkurusza” w 1955 roku było oparte na przesadnej, moim ówczesnym zdaniem, podejrzliwości i niepotrzebnym demonizowaniu Ludwika Angerera, którego rola, nawiasem mówiąc, w rozwoju środowiska studenckiego i pism z nim związanych nie została do tej pory adekwatnie omówiona. Zrobiłem spory wysiłek, żeby wprowadzić z powrotem Zygmunta Ławrynówicza do zespołu, chociaż to nie był człowiek zdolny do współpracy na dłuższą metę (indywidualista!). Łagodzi-

łem momentami sporą niechęć samego Śmieji do Bolesława Taborskiego za jego, jak to nazwałem już w 1956 roku, „kraj-realizm” (na wzór soc-realizmu) i łagodziłem raczej krytyczny (mówiąc ogólnie) stosunek Adama Czerniawskiego do nich obu w okresie nieco późniejszym. Starałem się utrzymać w zespole Jerzego Sito po jego wyjeździe do Polski, chociaż miałem w tym względzie, i nie tylko ja, spore wątpliwości, nawiasem mówiąc, słuszne. Bronilem prawa Bolesława Sulika do bycia lewicowcem i prawa Marynki Badowicz do popierania oficjalnych czynników emigracyjnych, chociaż, przyznając, kiedy rozeszła się pogłoska, że została delegatem do Tymczasowej Rady Jedności Narodowej, uważałem, że posunęła się za daleko (ja Taborski uważał, że powinno się ją wykluczyć z zespołu). Dlaczego tak uważałem i dlaczego do zupełnej pasji doprowadzały mnie takie czy inne ortodoksje niektórych członków zespołu, wyjaśniłem w moim *Przesłaniu* („Kontynenty”, kwiecień-maj 1962), a z perspektywy lat we *Imagencie Uczuć* w „Twórczości”. Na koniec przypomnę Florianowi Śmieji zdanie Bolesława Taborskiego z jednej z jego wypowiedzi o „Kontynentach”:

Bohdan Czaykowski był ważną postacią w grupie „Kontynentów” – był jednym z najczynniejszych i, żeby tak powiedzieć, najpoważniejszych jej członków. Bo onak Śmieji może najbardziej zrównoważonym w swoich poglądach.

Powinno dodać, że zgadzam się z Taborskim w ocenie roli Floriana Śmieji. Był jednym z filarów pisma w różnych jego odmianach, odznaczał się solidnością i potrzebnymi w każdym przedsięwzięciu pragmatyzmem, a także zdrowym (na ogół) rozsądkiem, no i przejął redakcję wtedy, kiedy Taborski „nie zamierzał być przedsiębiorcą pogrzebowym” i „nie dał się wrobić na likwidatora” (sic). Decyzję Śmieji by utrzymać „Kontynenty” uważałem za niefortunną, ale skoro chciał, to chciał, i redagował parę tuzinów numerów, bez których zapewne nie byłoby upr. wartościowych polemik politycznych między Czerniawskim i Darowskim i innych ciekawych pozycji. Ale moja koncepcja pisma była zupełnie inna niż koncepcja Śmieji i niemożliwość jej realizacji była jednym z głównych powodów, że chciałem „Kontynenty” zamknąć. A ta niemożliwość wynikała w dużej mierze z charakteru zespołu. Z zespołem tak zróżnicowanym, tak wewnętrznie niespójnym dalsze redagowanie pisma nie miało dla mnie sensu. Być może, jak wspominałem, pozostał we mnie do dziś żal do najwybitniejszych członków zespołu, że zamiast szukać wspólnego języka, coraz bardziej się „indywidualizowali”, tak że w ostatnim mniej więcej roku mojego redagowania pisma zespół stał się właściwie obciążeniem. To „indywidualizowanie się” chciałem widzieć pozytywnie, pisałem nawet w tym duchu do Jurka Sito (który zadomawiał się wówczas w Polsce), ale to było już wybieganiem w przyszłość.

Bolesław Taborski napisał długi list, w którym cytuje zapiski ze swoich dzienników. Ciekawe, jak on to sobie widział. I jak pozytywnie na tym widzeniu we własnych oczach wychodzi. Moja ówczesna świadomość sytuacji politycznej była nieco inna i stąd (a nie tylko z tego powodu) w jakimś momencie przestałem traktować nastawienie polityczne Taborskiego poważnie (i nie ja jeden). Natomiast zawsze starałem się oddać mu sprawiedliwość jako eseście, teatrologowi i tłumaczowi. Zachowałem wobec niego wdzięczność za to, że był pierwszym, który (już w roku 1955) wydebił ode mnie plik moich wierszy (na ogół strasznych) i podał je ostrej krytyce (o czym w wywiadzie wspominałem), równocześnie udostępniając je Ławrynówiczowi i Ilunatowiczowi, którzy napisali własne oceny. Starałem się także uplasować moje wiersze u krajowych wydawców, z czego nic nie wyszło, nie z jego winy. Natomiast, zdanie, że przetłumaczył „kilka” sztuk Pintora jest dla niego krzywdzące: przetłumaczył ich kilkanaście. Czy powinienem się wycofać z twierdzenia, że stworzył „zakalcowaną” poetykę? Niestety, jako profesor, nie mogę. Co niekoniecznie znaczy, że Taborski nie napisał dobrych i ciekawych wier-

szy. O jego poczci nie wypowiadałem się, całkiem świadomie, i wypowiadał w tym kontekście nie będę.

Na resztę listu Taborskiego odpowiem w punktach.

1. Czy rzeczywiście z tego co mówię w wywiadzie można wyciągnąć wniosek, że charakteryzuję grupę „Kontynentów” jako „klębowisko żmij”? Wywiad ma kilkanaście stron, mówię w nim najróżnorodniejsze rzeczy, pozytywne i negatywne. Odsyłam więc zainteresowanych czytelników do tekstu wywiadu w „Akcentie”. Natomiast reakcja Taborskiego i jego język są w tym punkcie charakterystyczne, czyli niewiele się pod tym względem od czasów „kontynentowych” zmienił.

2. Taborski kwestionuje zdanie, że chciał „żeby »Kontynenty« były przede wszystkim opozycją wobec emigracji politycznej”. Tak, ale myśl tego zdania winna być dopowiedziana: „a nie wobec systemu w Polsce”. Ująłem to lepiej w liście do Jana Brzękowskiego (z 11 grudnia 1958), określając postawę Taborskiego jako „pozytywny minimalizm w stosunku do kraju i negatywny maksymalizm w stosunku do emigracji”.

3. Nie widzę nic złego w tym, że Taborski chciał prowadzić, naturalnie miałem na myśli przywództwo „ideowe”, programowe, koncepcyjne, właśnie a la Mieroszewski; poza tym Taborski sam twierdzi, że chciał „aby emigracja była lepsza”, czyli starał się o nadanie kierunku przemianom emigracji.

4. Taborski twierdzi, że jego krytyka dowódców powstania itd. nie miała nic wspólnego z emigracją. Ja uważam, że miała. W końcu londyńskie kółka polityczne były w oczach wielu odpowiedzialne przynajmniej w części za wybuch powstania, a niektórzy dowódcy powstania znaleźli się na emigracji.

„Nie trzeba robić z pokoleń ofiary...” – ten cytat z Norwida miał dla Taborskiego bardzo istotne znaczenie. Przypomnę mu także, jak kończył swój artykuł o Baczyńskim: *Na wiadomość o wojskowej działalności Baczyńskiego – jak przytacza Wyka – prof. Pigoń miał się wyrazić: „Cóż, należymy do narodu, którego losem jest strzelać do wroga z brylantów”. Widocznie jesteście krajem obfitującym w kaplańskie diamenty, skoro szlifujemy je na śmierć w hezsensowskich politycznie i wojskowo powstaniach. Baczyński nie miał co do tego złudzeń... („Kontynenty”, 1961, nr 32). A w recenzji z *Popiołu i diamentu* Wajdy pisał jeszcze ostrzej: *Niezdrowy i cuchnący był to czas, gdy w oparach największej hekatombi naszych dziejów ginał „ancien regime” [...]. Starzy przywódcy, pozbawieni w zupełności poczucia odpowiedzialności wobec narodu, pozbawieni zmysłu politycznego i poczucia rzeczywistości, sprawowali... bezprzykładną klęskę powstania... („Kontynenty”, 1959, nr 7-8).**

5. Taborski zbyt poważnie wziął moje żartobliwe określenie, że „musiałem utracić spisek radykałów”. Trochę się tu bawiłem, ale nie bez podstaw. Odsyłam Taborskiego i zainteresowanych czytelników do dyskusji zamieszczonej w „Kontynentach”, w której udziału nie brałem, p. *Drogożkowski* (1959, nr 7-8). Naturalnie, że zostałem na redaktora wybrany, po przedstawieniu programu pisma. I Taborski rzeczywiście na mnie głosował. Rozmowy z Bołkiem Sulikiem z palca nie wyssałem i dzięki niej bardzo starannie przygotowałem swoje wystąpienie (którego tekst niedawno odnalazłem w papierach).

6. Zapisu Taborskiego z 25 maja nie kwestionuję, natomiast przez pomyłkę podał on tu niewłaściwy rok. Naturalnie chodzi o rok 1961, a nie o rok 1959. Załączam fragment mojego „pesymistycznego memoriału”, który przesłałem członkom redakcji przed tym zebraniem, jako aneks do mojej odpowiedzi.

7. Taborski ma naturalnie rację, że Śmieja nigdy nie postawił formalnie wniosku o usunięcie Taborskiego z redakcji bo inaczej sam ustąpi, i odwrotnie. Ale ja nie podobnego nie powiedziałem. Niektórzy członkowie redakcji mieli od czasu do czasu dosyć innych członków redakcji, a ja jako redaktor wysłuchiwałem ich opinii, skarg, żalów, krytyk i preten-

sji, i coś niecoś, mówiąc delikatnie, z tych niewczesnych swarów („burz w szklance wody”, jak je określa Taborski) znalazło odbicie w listach. Niemniej wypowiedziane w wywiadzie zdanie rozwinę i uściśnię: „Taborski mówił: ja ze Śmieją nie będę. Śmieja mówił: ja nie będę z Taborskim. Czerniawski mówił: ja nie będę z Taborskim i z Śmą”. Zwracam uwagę na użyte przeze mnie słowo: „mówił”. W załączniku trochę przykładów, co koledzy do mnie p i s a l i.

8. Z Janem Brzękowskim wymieniałem sporo listów w interesującym nas okresie, rozmawiałem z nim także sporo w Paryżu i w Londynie. Stosunki Brzękowskiego z członkami byłej grupy „Merkuriusza-Kontynentów” (i odwrotnie) zasługują na szczegółowe opracowanie. Dodam nawiasem, że warto by także zająć się sprawą projektu wydawania przez Józefa Jakszińskiego, Czesława Bednarczyka i Tadeusza Sulikowskiego pisma pt. „Metafory” (lub „Metafora”), a to m.in. dlatego, że w jakimś momencie Bednarczyk zaproponował Brzękowskiemu objęcie redakcji tego pisma, co zresztą, jak i projekt pisma, nie doszło do skutku.

Brzękowskiego interesowała przede wszystkim poezja, jego własna i poezja w ogóle. Nie tylko więc usilnie, choć z pewną wrodzoną dyskrecją, zabiegał o swoje interesy poetyckie zarówno w Polsce jak i na emigracji, ale chciał także forować swoje własne koncepcje poetyckie, które, choć wywodziły się z Awangardy, wychodziły poza jej wcześniejsze założenia. Wiedział, że nie może liczyć na londyńskie „Wiadomości” jako forum dla swojej twórczości i koncepcji, i był także świadomy, że takim forum nie stanie się paryska „Kultura”, w której specjalną pozycję uzyskał Miłosz (a Miłosz uważał Brzękowskiego za „młulę poczci”). Brzękowski był więc szczególnie zainteresowany naszą grupą i jej pismami. Natomiast był to człowiek ostrożny, działający z rozmysłem, a poza tym szanujący siebie, swój dorobek i swoje koncepcje. Miał on naturalnie swoje własne rozeznanie polityczne, które obejmowało zarówno negatywny stosunek do władz emigracji politycznej w Londynie jak i do systemu komunistycznego.

Brzękowski próbował więc wypośredkować swoją drogę tak, by zyskały na tym zarówno jego własna pozycja literacka jak i poezja.

„Nam” na współpracy Brzękowskiego bardzo zależało, gdyż był to człowiek, który się w naszych oczach merytorycznie liczył jako pisarz i jako krytyk, a co więcej, jako ktoś stojący z boku oficjalnej emigracji politycznej. Stąd zarówno Czerniawski jak i Taborski, a także ja staraliśmy się o jego współpracę. Brzękowskiego taka współpraca rzeczywiście interesowała, ale miał swoje zastrzeżenia i obawy, zarówno o charakterze „politycznym” jak i „pokoleniowo-kulturowym”. Z moich rozmów z nim wynikało, że nie tylko chciał, żeby jego rola odpowiadała pozycji jaką reprezentował jako pisarz (a myślimy byli przecież wówczas grupa i jeszcze młodych pisarzy), ale także by tej pozycji nie obciążały „polityczne” aspekty naszej działalności. Starał się więc upewnić, że pismo, z którym ma współpracować, będzie miało przede wszystkim charakter literacki, a nie polityczny, a przez „polityczny” należy tu rozumieć głównie sprawę stosunku zarówno do emigracji jak i do kraju. Z mojej korespondencji z nim wynika, że starałem się go przekonać, iż wystąpienia publicystyczne Taborskiego nie reprezentują I i n i i pisma, ale że ma do swoich poglądów prawo. Załączam urywki listów na ten temat.

9. Chciałbym spróbować oddać sprawiedliwość Taborskiemu, jeżeli chodzi o jego rolę w środowisku młodych pisarzy londyńskich i w historii ich pism. Chciałbym to uczynić nie dlatego, że czuję się jakoś upoważniony do wymierzania sprawiedliwości, ale dlatego, że miałem do niego stosunek bardziej krytyczny niż np. do Floriana Śmieji i że mój krytycyzm znalazł wyraz w wywiadzie, o który chodzi.

Nasza przyjaźń, a prawie wszyscy w grupie jakoś się przyjaźniliśmy (wylaczam z grupy „Kontynentów” Mieczysława Paszkiewicza, który w pewnym momencie przestał z własnej woli do niej należeć), zaczęła się

idyllicznie (1954), aby w przeciągu niecałego roku wejść w fazę burzliwą, po której pozostała już tym osutym spięciem nacechowana. Przynajmniej dla mnie.

Trzeba dodać, że kiedy pojawiłem się w Londynie na jesieni 1954 roku, środowisku poetów-redaktorów miało już za sobą kilka lat współpracy. A więc istniały już między nimi różne zaszłości, a także doświadczenia z różnymi sferami oficjalnej emigracji, które umie ominęły. Miałem więc inną perspektywę od samego początku i pewien stosunek krytyczny. Po prostu byłem z zewnątrz i mniej „polski” czy „emigracyjny” niż oni. Ciekawe, że bliżsi stali mi się Czerniawski, Sulik i Busza. Byli młodszy od Ławrynowicza, Śmieci i Taborskiego, mniej jakby obciążeni „polskością”, bardziej „brytyjscy”. Co więcej, ja swój horyzont myślowy wyniosłem ze studiów historii, filozofii politycznej, z perspektywy przebywania w Związku Sowieckim, Iranie, Indiach i Irlandii. Miałem doświadczenie hosteli polskich, a więc tej emigracji, którą tak świetnie opisała Halina Świdorska w swojej powieści *Pogranicze*, a także pracy w fabryce czekolady, gdzie zapoznałem się z kulturą brytyjskiej klasy robotniczej i ważnym aspektem kapitalizmu. Sprawa polska, by tak ją skrótowo nazwać, chociaż niezwykle dla mnie ważna (np. zastanawiałem się zupełnie poważnie nad powrotem do Kraju), była jednak tylko częścią moich zainteresowań i mojej „osobności”. Już wtedy wiedziałem (rok 1955 był tu chyba dla mnie przełomowy), że jeżeli moje pisanie ma przyszłość to głównie w języku polskim (mój angielski był gorszy niż angielski Czerniawskiego czy Buszy), i to mnie trzymało przy polskości, ale moje doświadczenia wymagały ode mnie znalezienia się w świecie powojennym nie tylko polskim. Nie utożsamiałem się tak naprawdę z niczym w pełni, a wręcz odwrotnie, byłem nieufny wobec wszystkiego, w co moje urodzenie mnie wrzuciło. Były momenty kiedy wręcz wycofywałem się z ludzkości. Na kursach Uniwersytetu Wolnej Europy (na których nauczyłem się bardzo dużo o komunizmie i w ogóle o sprawach politycznych i gospodarczych) kpiłem nie tylko z Adolfa Berle, milionera jak i jednego z ówczesnych koncepcyjnych ideologów amerykańskich, kiedy zwracał się do nas, studentów wschodnioeuropejskich, per „fellow workers” (!), jak i ścierałem się z ks. profesorem Bocheńskim, który przekonywał nas o potrzebie stworzenia nowej ideologii, bo jedynie w ten sposób będzie można zwalczyć komunizm. Mnie mierzyla wszystkie postawy ideologiczne. Uważałem, by posłużyć się sformulowaniem Miłosza z jednego z jego esejów (chyba jednego z późniejszych), że „trzeba wszystko przemyśleć od nowa” (a w końcu w takim duchu pisał Gombrowicz, który był dla mnie bardzo ważnym pisarzem). I może dlatego Jan Kulakowski w jakimś swoim artykule w „Tygodniku Powszechnym” pisał, że mam „otwartą głowę”.

Jakiegolwiek ograniczenia ta moja otwartość wówczas miała, była dla mnie wartością, którą chciałem widzieć u innych. I z perspektywy tej wartości patrzyłem na potencjalną rolę „Kontynentów”.

Taborski swój bunt przeciwko zastanemu światu kierował przede wszystkim w stronę spraw polskich, a jeżeli chodzi o poezję, to nie miał tych zainteresowań, jakie mieli Czerniawski i Darowski, żeby nie tylko znaleźć własną drogę poetycką, ale i określić czym jest dla nich poezja w ogóle. Taborski był mi więc bliższy przez swój bunt, ale równocześnie był przeszkodą w nadaniu „Kontynentom” charakteru mniej doraźnego, wywikłania ich z ograniczeń narzucanych przez konflikt kraj-emigracja i wyprowadzenia na szersze wody. Z mojej współpracy z Angererem wyniosłem przeświadczenie, że potrzebna jest myśl polityczna a nie polityczna moralistyka; moja obserwacja imperializmu i kolonializmu, perspektywa irlandzka i doświadczenie systemu kapitalistycznego mówiły mi, że totalitarna praktyka komunizmu nie dezawuuje wartościowych elementów myśli socjalistycznej, która nie wyrosła przecież z samych założeń doktrynalnych czy ideowych; itd. Mówiąc krótko, miałem nadzie-

ję, że „Kontynenty” siana się warsztatem radykalnych przemysłów wynikających z doświadczeń, jakże tragicznych i złożonych, pierwszej połowy dwudziestego wieku i w ten sposób przede wszystkim staną się wartościowe także w kontekście polskim (czy, używając innego sformułowania: dla sprawy polskiej).

Jak mógłbym więc oddać sprawiedliwość Taborskiemu? Do roku 1960 był on niewątpliwie jednym z najwartościowszych członków pisma i zrobił dla niego bardzo wiele. Walczył o jego niezależność, starał się je rozpowszechniać i robił więcej niż ktokolwiek inny, by docierało do kraju; starał się, żeby nasze środowisko miało bliski kontakt z pisarzami krajowymi, żeby ich drukowało i w ten sposób czyniło wyłom w podziałcie, który uważał za szkodliwy, starał się także o to, żeby nas drukowano w Polsce. W swoim artykule *Moralne prawo* poddał druzgocącej krytyce rozczczenia i urojenia oficjalnej emigracji politycznej (czym zapewne dopomógł, przynajmniej w pewnej mierze, w wyrastaniu paryskiej „Kultury” na czołowego reprezentanta politycznej emigracji). Artykuł ten, szeroka dyskusja jaką wywołał i późniejsze artykuły Taborskiego nadały przedsięwzięciu grupy i jej pismom rozgłos, chociaż równocześnie narobiły wiele złej krwi i, moim zdaniem, utrudniły na dłuższą metę wejście na w końcu ograniczony rynek czytelniczy. Ostre odcięcie się od „emigracyjnej likeji” (jakżeśmy wówczas mówili) wymagało przy tym, by na jej miejsce wprowadzić treści rzeczywiście istotne, a fakt, że pismo musiało istnieć finansowo na bazie czytelników emigracyjnych, wymagał dostrzegania wartościowych aspektów życia, działalności i przemian polskiej diaspory. Ponadto coraz wyraźniejsze odchodzenie Gomułki od tzw. linii Października było sprzeczne z utrzymywaniem maksymalnie pozytywnej postawy wobec Polski popaździernikowej, narażało na zarzut apologetyzmu i gorzej. I tu nasze drogi się rozchodziły, ale być może nie rozchodziłyby się aż tak ostro, gdyby nie to, że Taborski zaczął być postrzegany, ze względu na swoje usilne interwencje przeciw wręcz wszelkim przejawom krytycznego stosunku do Gomułkowskiego PRL-u, jako swoisty wewnętrzny cenzor, co znacznie utrudniało pracę redaktora i zespołu. Dla sprawiedliwości trzeba dodać, że dzięki swoim wyjazdom do Polski i kontaktom miał powody, by uważać się za lepszego znawcę stosunków i realiów krajowych niż wielu członków zespołu, oraz że potrafił także formułować sady wyważone, jak np. o stosunkach polsko-niemieckich.

Te kilkanaście miesięcy, podczas których Bolesław Taborski z uporem godnym lepszej sprawy oddawał się „pasji kontestatorskiej” wewnątrz zespołu „Kontynentów”, to naturalnie tylko mały wycinek jego twórczej, kulturalnej, krytycznej i translatorskiej działalności. Miałem go wtedy absolutnie dosyć (i nie ja jeden), ale to w niczym nie umniejsza jego osiągnięć przedtem i potem.

Łączę wyrazy szczerego szacunku.

Bogdan Czaykowski

ANEKS

1. Z korespondencji Bogdana Czaykowskiego i Jana Brzękowskiego

2 grudnia 1958

Dragi Pupie,

[...] Wie Pan już oczywiście wszystko o Merkuriuszu. Wydajemy niezależne pismo i jakieś tam szanse mamy; ile numerów damy radę wydać, trudno powiedzieć. Mówił mi Czerniawski, że nadesłał Pan artykuł o Hilarasymowiczu – to by było dla nas bardzo ważne; w tej trudnej sytuacji Pańskie poparcie dla nas będzie miało duże znaczenie. Tu jest już oczywiście lekka nignonka, nie mogą nam darować artykułów

Taborskiego, który – także i moim zdaniem – nieco przeholował, ale zawsze było między zasadą dawad rzeczy nawet zbyt kontrowersyjne i dyskusje z Taborskim każdy mógł przeprowadzić na łamach pisma.

Bogdan Czaykowski

7 grudnia 1958

Drogi Panie,

Nie mam szczęścia do Londynu. Jakubski, Bednarczyk, a teraz brak odpowiedzi na moje listy wysłane przed 2-mi tygodniami do Sity i Czerniawskiego w sprawie pisma, to wszystko nasuwa nieuchwilne refleksje, chociaż przypuszczam, że Czerniawski i Sito nie odpowiedzieli czekając na wyklarowanie sytuacji. Artykuł o Hatasymowiczu jest napisany, ale czekam z wysyrką na otrzymanie odpowiedzi od Sity lub Czerniawskiego. Chciałbym bowiem mieć trochę informacji o samym piśmie i zapewnienie, że nie będzie w nim artykułów o charakterze politycznym w rodzaju artykułu Taborskiego, który był niewątpliwie co najmniej nieczepny. [...]

Jan Brząkowski

11 grudnia 1958

Drogi Panie,

[...] Co do „Kontynentów” to już Pan zapewne otrzymał listy od Sity i Czerniawskiego. Od siebie dodam, że i moim zdaniem Taborski przeholował; nastroje w obecnym zespole są takie, że podobnych wyskoków powinniśmy na przyszłość unikać, zajmując się sprawami politycznymi raczej tylko z konieczności. Oczywiście, zespół nie podziela wszystkich opinii Taborskiego, może na przykład również zdenerwował go artykuł *Podegnute z Merkuruszem*, którego nie widziałem przed ukazaniem się. Winę ponosi tu pośpiech z jakim robiliśmy ten numer jak i atmosferą nacisków w ostatnie dwóch miesiącach, no i stosunek do nas Zjazdu [Zrzeszenia Studentów i Absolwentów Polskich na Uchodźstwie]. W każdym razie może być Pan pewien, że chociaż drukując [miejscami: drukujemy] artykuły Taborskiego jako pewien punkt widzenia, redakcja nie uważa tego punktu widzenia za linę pisma. Zależy nam bardzo na realnej ocenie sytuacji w kraju, ale równocześnie zależy nam na poszerzaniu zakresu wolności w Polsce; no i głównie zależy nam, jeśli chodzi o pismo, na zachowaniu jego liberalnej polityki wobec różnych poglądów nurtujących emigrację. Na dalszą metę chcieliśmy zbudować pismo przede wszystkim na wysokim poziomie literackim i zajmować się głównie sprawami kulturalnymi.

Ponieważ zaś pismo budować chcemy w oparciu tylko i wyłącznie o społeczność emigracyjną, więc już to samo wykreśla nam pewną linię polityczną, to znaczy, że przy całym naszym „nieortodoksyjnym” stosunku do pewnych spraw emigracyjnych i krajowych jesteśmy częścią emigracji politycznej. [...]

W ogóle myślę, że Taborski zgrzeszył głównie stylem i nieumiejętnością spokojnego wypowiadania się. Jeżeli chodzi o jego wersję zaisc częstochowskich, to jestem tu raczej po stronie polskiego episkopatu w kraju, który wydał komunikat sprzeczny z tym co pisał Taborski. Śmieszna jest także jego „obrona” cenzury w kraju i stawianie na jednej płaszczyźnie tamtejszej cenzury z emigracyjną „cenzurą” redakcyjną. Nie zgadzam się także z minimalistycznym pojęciem roli emigracji: stanowisko Taborskiego miałoby uzasadnienie w kraju, ale nie tutaj, gdzie pełną swobodę wypowiedzi się trzeba jak najbardziej wykorzystywać i dążyć do tego, by postępy stały przekroczyć do kraju. Dziwi mnie też stosunek Taborskiego do roli Kościoła w Polsce: przecież jest on pajbardziej z nas wszystkich związany z grupą „Tygodnika Powszechnego” i Znaku.

Jak Pan widzi, mam wiele zastrzeżeń do poglądów Taborskiego i osobiste walilibym, żeby zajął się on bardziej tym, na czym zna się najlepiej, to znaczy teatrem. Nie widzę sensu powtarzania co pewien czas historii z *Aforizmami prawem*. [...] Pozytywny minimalizm w stosunku do kraju i negatywny maksymalizm w stosunku do emigracji wcale mi nie odpowiadają [...]

Bogdan Czaykowski

9 grudnia, 1958

Drogi Panie,

W kilka godzin po wysłaniu listu do Pana i do Sity zaszedłem do Księgarni Polskiej i tam wpadł mi w ręce ostatni numer KULTURY, gdzie przeczytałem apł Czerniawskiego w sprawie „Kontynentów-Nowego Merkurusza” [...]. Skoro pozostajecie w daw-

nym składzie z Merkurusza – druga część mego listu jest oczywiście nieaktualna i proszę ją uważać za nie istniejącą, z wyjątkiem ustępu dotyczącego ew. linii politycznej. Stanowisko zajęte przez Merkurusza, z wyjątkiem kilku zdań z ostatniego artykułu Taborskiego – nie budziło we mnie zastrzeżeń, ale będąc jedynym bodaj przedstawicielem tzw. „starszego pokolenia” w waszym piśmie – nie chciałem być ew. „prise de position” z kimś się mogą zgodzić lub nie zgodzić – robiła wrażenie uzgodnionej ze mną. Dlatego wołałbym wiedzieć, jakie stanowisko zamierzacie zająć w sprawach politycznych, o ile oczywiście będziecie je poruszać w piśmie.

Serdeczne pozdrowienia,

Jan Brząkowski

18 grudnia 1958

Drogi Panie,

Dziękuję za list. W międzyczasie otrzymałem odpowiedzi Czerniawskiego i Sity, które uspokoiły moje obawy – ostatecznie rozwinęły je Pańskie uwagi o artykule Taborskiego. [...]

Jan Brząkowski

2. Z korespondencji Bogdana Czaykowskiego, Adama Czerniawskiego, Floriana Śmieji, Jerzego Sito i Bolesława Taborskiego (1960-62)

Drogi Bogdanie,

[...] Mam do Ciebie pewną prośbę w związku z owym protektorem Andersa. Dotychczas mieliśmy tę sprawę, a jednak należy dopilnować, by „Kontynenty” nie zostały nigdzie wymienione pod tym protektorem. Należy przypuszczać, że niektóre pisma emigracyjne z satysfakcją to zrobią „przez pomyłkę”. Upprzedzam Cię, że gdyby tak się mudo stać, będę musiał prosić o zamieszczenie w „Kontynentach” dementi, a po co dopuszczać do takiego stawiania sprawy na ostrzu noża – lepiej nie dopuścić zwrzuszu. (A takie dementi musiałoby być konieczne, jeśli miałbym z piśmie nadal współpracować. Swoją drogą powinienś chyba powiedzieć Marynce, że jeżeli się pehu do działalności emigracji politycznej, niech robi to wyłącznie na swój prywatny rachunek, a nie w imieniu czy jako przedstawicielka „Kontynentów”, bo nie wszystkim członkom zespołu to odpowiada. [...]

Bolek [Taborski]

15 lutego 1960

Drogi Bolesławie,

[...] Sprawa Andersa jest tylko jedną z kilku, i wcale nie najważniejszą, którą potraktowaliście dosyć lekkomyślnie na ostatnim zebraniu. Cóż jednak poradzić na tak dobry humor członków zespołu?

W każdym razie niepotrzebnie się martwisz. Jeszcze w piątek dzwoniłem do Marynki i powiedziałem jej o naszej opinii. Poza tym, jak wiesz, obok Marynki w rolę Komitetu Kupna Donu Młodzieży zaangażowany jest częściowo Gustaw Radwański, który był na zebraniu tego Komitetu za moją wiedzą i to on właśnie powiedział mi o grożącym nam poważnym niebezpieczeństwie od emigracji politycznej, dodając, że spod protekturatu powinniśmy się wylamać – na co się zgodziłem.

Oczywiście, wcale nie myślę, że stałaby się jakaś wielka impedja, gwałt w apelu do emigracji – pod protektorem generała Andersa – wzięły udział także i „Kontynenty”, takich drobnostek nie trzeba wyolbrzymiać. Ale ponieważ to jest drobnostka, więc też wolę się od tego uchylić, szczególnie, że jestem zdania, iż ten zaszczyt powinien nam omiść.

Są więc wielkie szanse, że Twoje dementi nie będzie konieczne i że jakaś przebrniemy przez to ostrze noża, chciałoby się rzec wiszące jak miecz Damoklesowy nad biednymi „Kontynentami” – ku chwale dalszej współpracy. [...]

Pozdrowienia,

Bogdan [Czaykowski]

P.S. Natomiast akcję kupni domu młodzieży uważam za bardzo pozytywną i potrzebną. Jest skandalami, że dotychczas takiego domu nie ma, co jest częściowo winą właśnie – emigracji politycznej. Jeśli więc grupie młodych udałoby się zaprzęcić trochę starszych przyszków do tego kierunku (chodzącego już w kółko od dziesięciu lat) – to tylko wielki sukces.

I jeszcze jedno: nie mogę powiedzieć u Marynec, żeby była nieofialna w stosunku do zespołu.

20 sierpień 60

Koledzy i Towarzysze!

Wybaczenie, że nie poprzedzam listu nagłówkiem „drodzy”, ale czyż można pozwolić sobie na taką słabość w stosunku do ludzi, którzy mnie mają zapewne za „agenta reżymu”, bo milczą upomniawszy, mimo moich dwukrotnych prób przełamania lodów?

Jeśli mi wolno posłać się cyniem z niedobrego poety Rexrotha:

Zygnunt that fine fellow,
where is he?
what happened to Bolek,
who took his solitary gin?
And Adam, who was so young?
Bogdan with his monacle
and a cane?

Timor mortis conturbat me.

Ja, tymczasem, nie pomny na wyrażoną mi wżgardę, zabiegam o Wasze sprawy jak umiem i jak mogę, choć nie bardzo umiem i nie bardzo mogę. Sądząc, że „Iskry” mimo wszystko zdecydują się na jakąś formę publikacji w roku przyszłym, choć idzie im to oporąć i nie dają prostej odpowiedzi. [...]

Nieprawdą jest, jakobym „stracił serce” do „Kontynentów”. Nie piszę nicznie – to prawda. Często jednak myślę o Was, choć mam to poczucie, bardzo mi brak was, a na „pustkowie warszawskie” trudno się uskarżyć. Jednak tworzyliśmy „naród” (tak Boleczku) o własnym języku, własnych tradycjach, własnych (sic!) koncepcjach politycznych.

Ze „Współczesności” marnie. Oszczędności papieru dotknęły nas podobnie jak inne pisma. Teraz zmieniliśmy lokal i rezydujemy w byłym gmachu UB w Alejach Ujazdowskich. [...]

Piszcie, piszcie, piszcie. Kolegiennie lub indywidualnie. Czekać. Wszystkie 22 dnia ściskam gorąco.

Jerzy [Silo]

b.d. [sierpień 1960]

Drogi Jerzy,

[...] Cieszę się, że „Lirwo ojczyzna moja”. [...] Masz rację, nie tylko tworzyliśmy „naród” i mieliśmy własne koncepcje, ale myślę, że wciąż tworzymy i mamy. W każdym razie przyszłość pisma winna się zdecydować w najbliższych miesiącach. [...]

Nieprzerwanie czujesz się w jakiejś defensywie a propos tych co Cię mają za to czy za tamto (rzekomo) – bo nikt w ten sposób nie myśli. [...] Moje zdanie znasz: mniej polityki, więcej literatury. [...] Chciałbym, żebyś jak najwięcej znaczył rzeczywiście jako jednostka, bo to jest jedyne wyjście dla nas wszystkich, którzy piszą. [...]

Czy można się od Ciebie spodziewać jakichś omówień życia kulturalnego w Polsce – choć nie na trzy miesiące? Tego jest duży brak, a jak wiesz inne pisma również pod tym względem kuleją. [...] Mógłbyś to robić w formie felietonu w jego najlepszym sensie.

Chciałbym także bardzo, żeby Bolek T. zajął się tymi sprawami dokładniej i regularniej, szczególnie, że jeżeli zrobiliśmy próbę dotarcia do liczniejszej grupy czytelników, takie działy muszą być stałe i ciekawe. [...]

Ściskam dłoń,
Bogdan

1. 12. 60

Drogi Bogdanie,

Dzięki za list i przysłanie wypowiedzi Śmieja. [...] A propos tej wypowiedzi, i on chyba powtarza rzeczy już powiedziane [...] Mam jednak zastrzeżenie (młodszy

zasadnicze. Uważam, że skoro nie brał udziału w dyskusji, mógł co najwyżej przyjąć swoje odpowiedzi na poszczególne pytania, które mogły być wkomponowane w tekst dyskusji. Ale nie fair było przesłuchiwanie przez niego naszych wypowiedzi i polemika z nimi. Żaden z nas nie miał takich torów. Nie dość, że zaprzeczając sobie dążył do dyskusji, to jeszcze do niego należy ostudzić słowo. Jest już za późno, żeby coś na to poradzić (nie chcę utrudniać i tak niełatwego przygotowania tej dyskusji do druku), ale w przyszłości stanowczo nie możemy dopuszczać takich rozwiązań. W przeciwnym razie ja również nie zjawię się na dyskusję, tylko przysię swoje odpowiedzi po przesłuchaniu innych. [...]

Wspomnę jeszcze, że ostatnio myślałem sporo nad swoim stosunkiem do pisma i powiem Ci tyle: nie mogę wykrzesać z siebie entuzjazmu i energii na realizację rozmaitych inicjatyw, o których rozmyślałem, dopóki pismo to jest antitezą poglądów, do których nie mam przekonania. Śmieja od dłuższego już czasu ewoluje na pozycje tak konserwatywne, że jego obecność w jedynym piśmie niekonformistycznym na emigracji uważam za niezbyt uzasadnioną. Jest tyle pism ortodoksyjnych, w których mógłby działać z satysfakcją, zamiast rzucać kłody pod nogi jednemu piśmu, które trochę inaczej zapatruje się na świat i sprawy polskie. Nie widzę, żebyśmy w takiej konfiguracji zespołu mogli deklamować, mi czyn w każdym razie innie zdeży. Nie dziw się więc, że nie mogę z siebie – jak powiedziałem – wykrzesnąć więcej entuzjazmu. Wybież mi te zwierzenia, spowodowane niejako wypowiedzią Śmieja. Staram się siedzieć cicho i nie wchodzić w zasadniczych rozróbek, wiedząc, że w takich trudnych warunkach prowadzisz to pismo. Ale niewesoło mi i trudno by mi było gwałt sobie zadawać wznicić jakiś sztuczny entuzjazm [...]

Co do Kovera, podziwiam jego sprzeciw w obu sprawach referowanych poprzednio, ale jestem bezsilny, więc rób co chcesz. W razie potrzeby zaprotestuję ex post (nie bierz tego zbyt poważnie) [...]

Serdecznie pozdrawiam,

Bolek

b.d. [początek grudnia?, 1960]

Drogi Bogdanie!

[...] Mam nadzieję, że cenzor Taburski nie zdolał stordować wszystkich moich dopisków. [...]

Pozdrawiam [Śmieja]

b.d. [grudzień, 1960]

Drogi Bolek,

Dziękuję Ci bardzo za Twój szczerzy list. Najpierw co do dyskusji i wypowiedzi Śmieja. Otóż zgadzam się z Tobą, że jest trochę nie fair, że Śmieja ma jakby głos ostatni, ale po przewidzieć głos ostatni mam właściwie ja, w podsumowaniach, gdzie zresztą polemizuję trochę z Tobą (choćbyś, możesz być pewien, nie tak jak Śmieja). Otóż ten głos ostatni w naszych dyskusjach ktoś musi mieć. W tym wypadku nim go ja. Ale oczywiście zakładam z góry, że dyskusja taka jak ta będzie miała dalsze echo, i proponuję, że jeżeli uznasz za słuszne wypowiedzieć się dalej i propros moich uwag, żebyś zrobił to w następnym numerze, a przy okazji będziesz mógł także odpowiedzieć Śmieja, chociaż fakt, że w swoich wypowiedziach polemizuje on w sposób trochę „wybieżkowy”, utrudnia sprawę.

Tu zresztą jest trochę większy problem, który sam stawiasz, pisząc, że „Śmieja od pewnego czasu ewoluje na pozycje [...] konserwatywne.” I że „rzuca kłody jednemu piśmu niekonformistycznemu na emigracji”. Ponieważ piszesz szczerze, ja będę pisał szczerze również. Wiesz dobrze, że problem przeciwstawności Twoich poglądów i Śmieja uwiera mi bardzo, nie dlatego, że się nie zgadzacie, ale dlatego, że się nawzajem spychacie... na pozycje skrajniejsze niż w rzeczywistości reprezentujecie. W powietrzu wisi przede mną ciągle groźba wyboru między Tobą a Śmieją [...] Otóż nie muszę Ci pisać, że uważam Twoje pozostawanie w piśmie i Twoją pełną współpracę za konieczną. Ale z drugiej strony zakładam, że Śmieja czuje się zmuszony wyjść z zespołu. Czy nie byłaby to szkoda i strata? Weź pod uwagę, że grupka nasza wykruca się, powoli ale stale. Już nie mówię o Dietrich czy o Grinaczewskim, który kiedyś „wleżał” do niej. Ale stosunek jest dla nas dramatyczny. W pewnym sensie stracony jest Silo – nawet więcej nie jest go u nas drukować. [...] Dalej: wyjechał prawie z całą pewnością Litwiniowicz. Dalej: Ciechanowski wodzi piórem jak niewprawy wioślarz, a polszczyzna jego pełna jest niegrammatyczności, które – co gorzej, wcale go nie dźwiga. Dalej: Sulik, zmusi się i na jego wyjazd. Czy więc zamknąć pismo? Pierwszy byś powiedział – szkoda, i ja mówię to samo.

Jeszcze co do Śmieja. Kiedyś Ty pisał „Moralne prawo” i „Linie podziału”. Śmieja nie zgadzał się ze wszystkim, ale się właściwie w piśmie nie wypowiadał. Nie wypowiadał się także, kiedy Czerniawski redagował pismo, z jednym chyba, drobnym wyjątkiem. Od pewnego też czasu słyszę od niego, że pewnych wypowiedzi nie chce w piśmie drukować. Z drugiej strony, nie wszystkie tezy, które kiedyś stawiał, utrzymały się w mocy. Śmieja rbił sobie sport z tego, żeby Ci to wytykać. Ma na wstrębie. Wydaje mi się, że Śmieja nie jest taki konserwatywny, jak przypuszczasz. Ponieważ jednak nie wypowiadał się otwarcie w piśmie przez tak długi czas, czuje, że musi wszędzie manifestować nie to, co go łączy z całą grupą i z Tobą, ale swoje odrębne stanowisko. Miał nadzieję, że mu to wieszanie przejdzie, szczególnie po tych wypowiedziach. Prawdę mówiąc, myślę, że Twoje stanowisko zaznaczyło się w piśmie bardzo wyraźnie i dalej zaznacza, a co do dyskusji, to zawsze trzeba pamiętać, że nie ten ma ostatni głos, kto mówi ostatni, tylko ten, kto powiedzieli rzeczy i słusznie, i lepiej. Twoje wypowiedzi przecież dostatecznie stoją na własnych nogach, a to że są i wypowiedzi inne, inne niż Twoje poglądy, to chyba po to są dyskusje. Może trochę za bardzo czujesz się jak Winkelried, biorąc w siebie wszystkie hagnety i broniąc kraj przed krytyką. Nie wiem, czy byłoby dobrze, gdybyśmy nasz nonkonformizm zawężali tylko do niekrytykowania kraju. Ja wiem, że Ty, ponieważ tam byłeś, możesz nieraz tracić cierpliwość, kiedy ludzie wypowiadają się jak ślepi o kolorach, ale nie trzeba chyba zakładać, że każda krytyka kraju wskazuje na ślepotę osobnika i że Ty w każdym wypadku musisz występować w obronę. Zgodziliśmy się kiedyś, że nasz stosunek do kraju jest pozytywny, ale nie bezkrytyczny. Ja to nadal próbuję i próbowałem głębiej w piśmie podtrzymywać. Wydaje mi się przy tym, że 1) na krytykę emigracji trochę szkoda czasu i nie traciliśmy czasu na „Kontynenty”, gdyż o to tylko w nich chodziło; 2) na obronę kraju przed emigracją czasu może mniej szkoda, ale gdyby to miała być nasza jedyna rola, pojmowana jeszcze jako rodzaj misji, myślałbym, że są rzeczy wartościowsze i bardziej skuteczne; 3) nie widzę powodu, żeby zakładać, że krytyka spraw krajowych, polemika z rzeczywistością krajową idzie na szkodę kraju – myślę, że taka krytyka i polemika jest bardzo potrzebna i że z dwójga rzeczy: walki z emigracją czy włączenia się w sposób żywy (a więc nie bezkrytyczny) w życie umysłowe, kulturalne i nawet polityczne kraju, to drugie jest o wiele niebezpieczniejsze dla ludzi takich jak my; 4) na kraju życie się nie kończy, ani świat, a jak słusznie zauważasz w dyskusji, nie jest dobrze, że „Kultura” czasami wykazuje jakby miało politycznego braku i to na punkcie kraju.

[Bogdan]

b.d. [grudzień, 1960]

Droży Jadziu i Bogdanie,

[...] Nie rozumiem uwagi o porozumieniu z Taborskim. Czy chodzi o dyskusję czy w ogóle? Nie ukrywam tymczasem, że straciłem dość szacunek. Takie historie trudno ograć. Jego postawa i zachowanie ostatnich dwu lat, od wolty w czasie drugiej wyprawy do Polski, po prostu pogrzebiły moją sympatię do niego. Przy tym jego cięgie „misrepresentation” i malowanie na swoje kopyto naszego środowiska też mi się szczególnie nie podoba. Załączam Ci wycinek, który mi niedawno przysłał. Co za misterniekie niedomówienia i arogancja pomieszana z inanią prześladowczą. Należy to jest miłą osobistą opinią i wyczuć, których nikomu mnie nie chce narzucać [...]

Serdeczności dla Was Trojga,
Florian

19 marca, 1961r.

Pan Redaktor „Kontynentów”
W Londynie

Drogi Panie Redaktorze,

Proszę łaskawie odczytać niniejszy list na zebraniu zespołu w dniu 21 marca.

Chciałem na ostatnim zebraniu wyrazić moje obawy dotyczące obecnej sytuacji w redakcji pisma. Zabrakło czasu i zdążyłem tylko powiedzieć, że zamierzam na następnym zebraniu złożyć rezygnację z członkostwa firmy i zespołu redakcyjnego. W międzyczasie jednak omówiłem tę sprawę z Panem prywatnie i na zebraniu właścicieli pisma 9 marca. W wyniku tych rozmów przystałem na Pańską prośbę odcze-

nia swojej decyzji przynajmniej do sierpnia, kiedy dalsza przyszłość pisma będzie się decydować. Pragnę podkreślić, że jedynie Pański argument, że moje odejście mogłoby zaważyć na losach pisma (nie do mnie oczywiście należy ocena, czy opinia Pana jest w tej materii słuszną) skłonił mnie do odwołania tej decyzji. [...]

Skoro jednak muszę pozostać w redakcji, muszę zasygnalizować mój protest przeciwko istniejącemu w zespole impasowi. Moją nieobecność na dzisiejszym zebraniu proszę przyjąć jako formę protestu.

Krytykę postaram się streścić w dwóch punktach:

1. Po pierwsze, brak mi już ciepłoty i czasu na przysłuchiwanie się trywialnym i małostkowym aprawom walutowym w nieskończoność na kolejnych zebraniach. Przeraża mnie też powszechna apatia i brak zainteresowania piśmem ze strony dużej większości członków.

2. Po drugie, nie jestem w stanie już dłużej udzielać kredytu zaufania dwóm członkom zespołu, mianowicie Jerzemu Sity i Bolesławowi Taborskiemu. Zespół nasz zawsze oczywiście składał się z ludzi o najbardziej różnych poglądach, ale współpraca była możliwa dopóki członkowie dążyli się wzajemnym zaufaniem. Nie zawsze w przeszłości zgadzałem się z wywodami Sity i Taborskiego, ale udało mi się i dlatego gołów byłem ich rzeczy firmować i jako członek zespołu, i swego czasu jako redaktor. Dzisiaj czuję się przez jednego i przez drugiego oszukany. Trudno mi włożyć w rachuby, trudno mi sprawę tak delikatną i nieuchwytną rozstrząsać, tym bardziej że chodzi tu o dwóch moich bliskich przyjaciół, na których przyjaźni bardzo mi zależy. Przygotowuję jednak artykuł polemiczny do następnego numeru, który w pewnej mierze pozwoli członkom redakcji zorientować się w charakterze moich zarzutów pod adresem Sity.

Jeżeli chodzi o Taborskiego, zarzucie moje dotyczy przede wszystkim jego ataku na Pana, Panie Redaktorze, na przedostatnim zebraniu zespołu. Były to zarzuty bezpodstawne, głupie, naszpikowane demagogią i mogły być wygłoszone tylko przez kogoś, kto stracił poczucie odpowiedzialności za wyrażane przez siebie opinie. Atak był wyrazem braku zaufania do redaktora naczelnego, wynik głosowania wykazał brak zaufania do atakującego. Taborski powinien był wyciągnąć konsekwencje, czego jednak nie uczynił. Jeżeli więc cyrk, którego byliśmy świadkami powtórzy się, będę zmuszony przedstawić wniosek o usunięcie Taborskiego z zespołu.

Przy okazji apeluję do wszystkich członków zespołu, a przede wszystkim do Taborskiego, by wygrzebiali się wreszcie z marazmu tzw. spraw emigracyjnych – jeżeli mamy się emigracją zajmować, robmy to w przekonaniu, że istnieje w niej jeszcze potencjał, który można wykorzystać, a nie po to by gubić się w dysputach o niezlomnych, Wańkowiczach, o fikcyjnych mafjach. Zresztą, skoro ustaliliśmy istnienie niezlomnych, powinniśmy wyciągnąć z tego logiczne wnioski i nie dziwić się, że nie chcą oni reklamować twórczości Jerzego Sity czy Melchiora Wańkowicza: albo się jest niezlomnym, albo się nie jest. Oni są jak widzę konsekwentni – bądźmy i my. Przestańmy się tym molochem w ogóle zajmować i poświęćmy się sprawom rzeczywistym dla nas istotnym.

Tylko jeżeli zespół zlobodzie się w ciągu najbliższych miesięcy na jakąś rudykalną odmowę duetu będę gołów przysłać w piśmie po sierpniu b.r.

Łączę pozdrowienia dla Pana, Panie Redaktorze, i dla pozostałych członków redakcji.

Adam Czerniawski

29.3.61

Drogi Bołku,

Wielka szkoda, że nie mogłeś być na ostatnim zebraniu; myślałem, że załatwimy na nim sprawę, o której za chwilę.

Jak wiesz Adam Czerniawski był już od pewnego czasu niezadowolony z zebrania zespołu i innych spraw; niezadowolenie to doszło do szczytu po Twoim ataku na mnie. Jak pamiętasz miałem zamiar poddać rzecz dyskusji na nieco może bardziej merytorycznej płaszczyźnie, ale przedłużenie się pogadanki Lawrynowicza przeszkodziło nam. Wówczas, jak również pamiętasz, Adam oświadczył, że złoży rezygnację z Trustu i zespołu. Próbowałem go odwieść od tego (a uczyniłem to już wobec paru osób i przedtem), najpierw w rozmowie prywatnej, następnie na zebraniu Trustu. Udało mi się to, chociaż Adam postawił warunek, że powody, dla których chciał wystąpić z zespołu, poda w liście do mnie z prośbą o przeczytanie na zebraniu zespołu. List na zebraniu przeczytałem, a ponieważ Cichie nie było, zespół zgodził się, żeby odłożyć dyskusję nad nim i w ogóle całą sprawę do następnego zebrania.

tak żebyś był przy tym obecny; zaproponowano też, żeby listu Ci nie wysyłać, gdyż skierowany jest na zebranie zespołu, i w ten sposób wywnieść problem na następnym zebraniu w gronie całego zespołu. Niemniej, Adam nalega, żebyś przelał Ci list jeszcze teraz, co też i czynię, gdyż nie chcę sprawy tej zbyt długo przeciągać.

Tyle wyjaśnień. Nie chce wypowiadać się w tej chwili co do strony merytorycznej, żaluję tylko, że powód do wystąpienia Adama pod Twoim adresem dała sprawa bezpośrednia mnie dotycząca. Proponuję natomiast dwie rzeczy: primo, żebyś sprawę braku zaufania do Ciebie Adama spróbował z nim samymi wywnieść, a rezultaty tego wyjaśnienia myśle, że trzeba będzie podać do wiadomości zespołu. Sformułowanie Adama jest dosyć niejasne, a ponieważ wspomina, że chodzi o sprawę „delikatną i nieuchwytną”, więc może najlepiej będzie, żebyście to sobie sami wyjaśnili; secundo, spróbujemy przedyskutować to, co merytorycznie stanowi o całym problemie na następnym zebraniu, mam też wielką nadzieję, że list Adama pozwoli na szczerą wymianę poglądów i ustalenie pewnych wspólnych założeń. Co zaś do zebrania zespołu, to ponieważ już nieniz mówiłem to samo, cieszę się, iż moja opinia dzielona jest jeszcze przez jedną osobę w zespole. Na ostatnim zebraniu proponowałem pewne sposoby robienia z naszych zebrani czegoś co dawałoby lepsze pojęcie, że pismo redagowane jest przez ludzi mających i wiedzę, i nożadły: byłoby dobrze, gdybyś i Ty się do tego przyłożył.

Zespół nasz jest mały i cchyba na niewiele szans powiększenia się; myślę więc, że jedyny sposób, żeby utrzymać go w całości, a przynajmniej nie tracić wartościowych jednostek, to szczerą wymianę zdań i znalezienie takiej wspólnej płaszczyzny, na której przy różnicach poglądów, można będzie współpracować. [...]

Daj mi znać, czy zgadzasz się na moje propozycje załatwienia sprawy z Adamem i przedyskutowania meritum na następnym zebraniu, tak żebyś mógł rozesłać porządek zebrania członkom zespołu. Postanowiliśmy bowiem używać zebrania nieco bardziej formalnymi, łącząc je równocześnie z dyskusjami, krótkimi referatami lub spotkaniami towarzyskimi. [...]

Najlepiej pozdrowienia,
Bogdan

P.S. Pozdrów serdecznie Jerzykę.

P.S.2. Odbitkę polemiki Adama z Sity posłałam się przestawić.

* wydruk 4.4.61

Drogi Adamie,

Zaskoczeniem był dla mnie Twój list przesłany do nadzłanian na zebraniu zespołu w dniu 21.3, a niedawno przesłany mi przez Bogdan, ponieważ na zebraniu tym nie byłem obecny. W liście tym występujesz bowiem m.in. z ostrym atakiem na mnie, zdawałoby się więc, że za sprawą tę wystąpisz najpierw do mnie bezpośrednio, tym bardziej, że między 6 stycznia a 21 marca kontaktowaliśmy się nietylko listownie, telefonicznie i osobiście. Nie o to jednak chodzi, faktem jest bowiem, że wystąpiłem najpierw w liście oficjalnym do zespołu. Bogdan sugeruje, żebyś przed następnym zebraniem porozumiał się z Tobą, więc to czynię.

Jeśli chodzi o Twój list, mój komentarz muszę rozbić na dwie części: ogólną i mnie dotyczącą. Co do części ogólnej, zgadzam się z Tobą najzupełniej. I ja boję się nad tym, że zebrania dotyczą spraw blahych, i ja chciałbym, byśmy się wygrzebali z – jak to określasz – „marazmu spraw emigracyjnych”. Sprawa utraty przez Ciebie zaufania do Sity dotyczy w pierwszym rzędzie Ciebie i Sity i komentować jej nie mogę. Twojej zapowiadanej polemiki z Sity w chwili obecnej nie znam jeszcze, więc nie mogę wiedzieć o ile jest ona zasadnicza i czy rzuciła tę sprawę swiando. Co do mnie – nie straciłem zaufania do Sity i w zasadzie z poglądami jego się zgadzam, ale to cchyba Cię mało obchodzi. Ja też uważam, że to moja sprawa, choć niewątpliwie będę musiał się wypowiedzieć, gdybyś wystąpił z tym na forum zespołu.

Jeśli chodzi o część Twojego listu mnie poświęconą, tutaj wydaje mi się prawo skomentować ją szerzej. Szczerze mówiąc, nie rozumiem, dlaczego – jak mówisz – utraciłeś do mnie zaufanie i czujesz się oszukany. Nie przypominam sobie, bym Ci coś obiecywał, a potem nie dotrzymał. Wspominasz o „sprawie tak delikatnej i nieuchwytniej”, a uchylasz się od konkretów. Z listu Twojego wynika, że masz mi do zarzucenia jedynie to, że wyrażam poglądy odmienne od Twoich. Najpierw sam przyznajesz, że w zespole mają prawo być ludzie o rozmaitych poglądach, a potem czynisz mi z tego zarzut. Bo cóż miunowicie miało miejsce na zebraniu 6 stycznia, które czynisz centralnym punktem oskarżenia. Wygłosiłem tam exposé, domagając

się od redaktora wyjaśnień i krytykując 4 sprawy do pisma się odnawiające. Jestem jak najdalej od czynienia rozróbek i bardzo rzadko występuję z jakimiś zarzutami. W ciągu istnienia „Kontynentów” tylko jeden raz – mianowicie w 1959 r. – byłem w konflikcie z redaktorem, broniąc się przeciwko kampanii Wolnej Europy skierowanej przeciwko mnie. Tym razem nagromadziło się szereg spraw, które nie bardzo mogłem omówić z redaktorem bezpośrednio, ponieważ w ostatnich czasach był on ze względów osobistych wyjątkowo zajęty i trudno osiągalny. Mogłem omówić je więc na forum zespołu, tym bardziej że dotyczyły pisma. Miunowicie – mając wyłączenie dobro pisma na względzie – krytykowałem a) ujęcie sprawy Koyera, b) jednostronne reportaż Brodzińskiego, c) niedotrzymanie zobowiązań wobec Wańkowicza (który dla pewnych kół emigracji może być czarną owcą, ale dla ogółu Polaków jest wybitnym pisarzem i człowiekiem zasługującym na pewne względy). Tylko czwarta i ostatnia sprawa była częściowo pro domo mea, mianowicie uważałem, że w dyskusji o „Kulturze” i „Wiadomościach” zrobiono mi krzywdę przez dopisanie polemiki i „ostatnich słów” ex post, nie zawiadamiając o tym. Tak uważam nadal, ale czy z tego? Pismo jest ważniejsze niż moje prywatne bóle, więc musiałem przejść nad tym do porządku. Co najwyżej mogę być ostrożniejszy na przyszłość.

Pisziesz, że na zebraniu tym było jakieś głosowanie, które wykazało brak zaufania do mnie i że powinienem był z tego wywnieść konsekwencje. A ja twierdzę, że żadnego głosowania nie było. Odpowiedział redaktor, podając swój punkt widzenia, pozem przemawiał Śmieja i Ty, popierając również jego punkt widzenia, pozym w sposób niezbyt zdecydowany przemawiały jeszcze dwie osoby. Przypominam również, że nie wszyscy obecni zabierali głos, a 4-ech osób w ogóle na zebraniu nie było. I tu się nazywa głosowanie przeciw mnie. Jeżeli ktoś miał ewentualnie prawo postawić wniosek o usunięcie mnie, to redaktor. Nie tylko tego nie zrobił, ale przeciwnie – kurtuazyjnie zaczął swoją odpowiedź od wyrażenia mi wdzięczności (sic) za to, że swoje zaie przyniosłem wprost, zamiast obnosić się z nim po kątach. Uważam, że miał rację. Na zebraniu tym przemawiałeś bardzo ostro i uważam, że powinno Ci to było wystarczyć. M.in. nazwałeś mnie zamordystą. Za co? Za to, że wyraziłem swoje poglądy w kilku sprawach pisma dotyczących? Więc zamordysta według Ciebie polega na wyrażaniu poglądów odmiennych od Twoich. A jak wobec tego nazwać Twój projekt usunięcia z zespołu kogoś za wypowiedzenie swoich poglądów? Mam jednak swoje zdanie na temat tego, co powinienem był zrobić. Groźisz na prawo i lewo – własnym ustąpieniem z zespołu i wyrzucaniem z niego innych. A ja Ci powiem: skoro jak twierdzisz, zależy Ci na dobru pisma, że ustąpienie czy wyrzucenie kogoś z zespołu nieczego nie załatwi; ani nie poprawi samopoczucia członków zespołu, ani sprawy pisma naprzód nie posunie; raczej przeciwnie.

Odczytuję Twój list kilkakrotnie i ciągle coś mi w nim się nie zgadza: nie mogę uwierzyć, żebyś naprawdę swoje analemy rzucał i brak zaufania proklamował za poglądy. W tym liście coś nie zostało dopowiedziane, co powinno było być powiedziane, jeśli ma on mieć jakiś sens i jeśh – wybac – nie jesteśmy dziećmi. Wobec tego o konkrety proszę. Jeśli muszę mi coś jeszcze do powiedzenia, możesz się spotkać ze mną i powiedzieć, lub też zrobić to listownie. Tyle co do mnie. A zespół sam zdecyduje, co zrobić z tym listem, który trzymam w ręku.

Odpis tego listu posyłam Redaktorowi.

Pozdrowienia dla Was obojgu,
B.T.

7.2.62

Drogi Bogdanie,

[...] Doszły mnie wiadomości, że ma być zorganizowany wieczer na temat czy należy zamknąć „Kontynenty”. Jestem takiej imprezie zdecydowanie przeciwny, uważam bowiem, że decyzja zamknięcia pisma jest sprawą zespołu, a nie publiczną i przez zespół została rozstrzygnięta. Słyszałem też, że na jednego z mówców ma być zaproszony Bielawicz. Uważam to wręcz za skandal, aby stwarzać platformę publiczną do obszczekiwania nas człowiekowi, który od czasu powstania „Mercuriusza” w r. 55 właśnie w obszczekiwaniu naszej grupy się specjalizuje. Robi to przy tym poniżej poziomu dyskusji. Mnie osobiście obraził tak, że nie mógłbym współpracować dłużej z tymi, którzy jego zaprosiliby do współpracy. Innyu słowy, gdyby wieczer z Bielawiczem doszedł do skutku, musiałbym zgłosić niezwłocznie swoją rezygnację. [...]

Jeśli chodzi o ewentualność „kontynuowania” pisma w zmienionym zespole, to również należałoby wyjaśnić. To, że zamykamy pismo nie oznacza, że przestajemy istnieć jako grupa. Liczę na to, że będziemy podejmowali okazjnie imprezy pu-

bliznie i wydawnicze. [...] Zamknęliśmy tylko pismo-miesięcznik, z chwilą gdy nie miało sensu regularne wydawanie prywatnego druku... Jeśli inny zespół chce robić sobie jakieś pismo, to nie na naszym dorobku. Niech się nazywa „Nowe Życie”, albo coś w tym rodzaju. „Kontynenty” były znane jako pismo pewnego określonego zespołu i tylko ten zespół posiada prawo do tytułu. Zespół, który chciałby pismo kontynuować, musiałby mieć absolutną większość członków dawnego zespołu, na co się nie zanosi chyba. [...]

Bolek

17.2.62

Drogi Bogdanie,

Mam nadzieję, że otrzymałeś mój list z 7 b.m. Wybac, że znowu Cię niepokoję (i łaskawie powstrzymaj się od ironizowania na ten temat na następnym zebraniu) [...]

W związku z ogłoszeniem w styczniowych „Kontynentach”, z którego wynika, że wieczór w sprawie „pogrzebu” organizuje Zw. Pisarzy, a nie „Kontynenty”, wycofuję oczywiście to, co napisałem w poprzednim liście na temat ew. rezygnacji. Zostanę bowiem mylnie poinformowany, że to ma być nasz wieczór. Nie znaczy to oczywiście, abym aprobował ogłaszanie imprezy z Bielatowiczem w naszym piśmie czy Twój udział tamże. No, ale ostatecznie to Twoja sprawa. Ciekaw jestem tylko, czy będziesz argumentował za pogrzebaniem, czy przeciw. Wypadłoby Ci raczej przeciw, ale z drugiej strony – na ostatnim zebraniu byłeś raczej za zamknięciem pisma i zamierzałeś nawet ustąpić z zespołu. (Twoje zamierzone wystąpienie interpretowałem bowiem jako wyraz niewiary w kontynuowanie pisma, a nie jako sprzeciw wobec objęcia tego przeze mnie, co miało wtedy nastąpić).

Podziwiam Cię natomiast ostatni usięp swego poprzedniego listu, na temat ew. kontynuowania pisma w zamkniętym zespole. [...] Tendencje do sztucznego powiększania grupy (tzn. do „przygarbiania” pisarzy starszych o odmiętnej formacji i obcych nam poglądach, w przeciwieństwie do przyjmowania młodych pisarzy, co uważam za naturalny rozrost grupy). Na ostatnim zebraniu ustaliliśmy, że do kwietnia damy w kolokwium postylnych reprezentatywny przegląd wierszy naszej grupy. Co w takim razie robi między naszymi – wiersz Bodurczyka? [...]

Bolek

23.2.62

Drogi Bogdanie,

[...] Co do Marynki, są to wiadomości rzeczywiście rewelacyjne, acz niewątpliwie. Fakt jej udziału w TRIN byłby dla nas kompromitujący. Uważam – że w razie utrzymania pisma – musiałaby wybierać pomiędzy tym, a zespołem. Uważam bowiem, że członkostwo naszego zespołu nie da się pogodzić z bezpośrednią działalnością polityczną (w odróżnieniu od publicystyki politycznej) już choćby dlatego, że stworzyłoby to pozory powiązania naszego pisma z danym odłamem politycznym. Do tej pory nikt z nas nie miał ochoty na polityczną działalność, więc sprawa taka nie istniała. Muszę prusić teraz o postawienie jej na wokandy najbliższego zebrania. [...]

Serdecznie pozdrawiam Ciebie i Rodzinę.

Bolek

26.3.62

Drogi Bogdanie,

Dzięki za miłe przyjęcie wczorajsze w Wierzyńskim Domu: szkoda że z konieczności musiało ono mieć charakter nieco stypowy, ale c'est la vie...

Więc będziesz mił mój artykuł w swym ostatnim numerze. Przyszło mi się mimo najszerszych chęci nie będzie to rzecz o Eynanie. [...] Tak jednak wypadło, że wyszedł mi znużony tego artykuł „zasadniczy”. Może już bowiem dosyć chowania głowy w piasek. Itaque, wydrukuj tę rzecz w swoim numerze, bo Śmieja tego chyba nie przyjmie. Sprzeciwia się to bowiem jego polityce redakcyjnej, choć nie jest oczywiście wymierzona w niego. [...] W pewnym sensie „Kontynenty” dla mnie się kończą – nie mogę się obronić od takiego uczucia. Ale bardzo zależy mi, żeby powiedzieć te parę rzeczy przedtem. Więc – w Twoje ręce załączony artykuł przesyłam. Jest przecież szczery i uczciwy, więc go nie odrzucasz, choć zdaje sobie sprawę z jego dyskusyjności. [...] Śmieja będzie miał przecież wszelkie możliwości polemizowania z nim. [...]

Bolek

3. Fragment listu Bogdana Czaykowskiego do członków zespołu z 22 maja 1961 r.

Drogi

Ponieważ chciałbym, żeby członkowie zespołu przemyśleli raz jeszcze całą sprawę utrzymywania pisma przy życiu, szczególnie w tej nowej sytuacji, o której za chwilę, przesyłam te kilka informacji i punktów pod rozważenie:

1. Tak się niestety składa, że będę zmuszony ustąpić z funkcji redaktora pisma najpóźniej w październiku b.r. Mam w planie wyjazd na dłuższy okres z Londynu. Zresztą, nawet gdybym nie miał zamiaru wyjechać, prawdopodobnie zdecydowałbym się ustąpić z funkcji redaktorskiej, dla powodów o których niżej.

2. Zdecydowaliśmy się ustąpić, chciałem załatwić sprawę wyboru mego następcy jak najszybciej. [...] Niestety, nie jestem w stanie przedstawić kandydatury na przyszłego redaktora „Kontynentów” [...]

Sytuacja pisma i zespołu

Finansowa: W bieżącym roku istnienie pisma uratowała w dużej mierze akcja wysyłkowa na uzyskanie od B. Świdorskiego adresy i reklama tegoż. Wyduje mi się, że koszty tej akcji stanowią nie przekroczyły uzyskanej dzięki niej sumy około 180 funtów szterlingów. Co więcej, akcja ta pozwoliła zorientować się na jaki response pismo może liczyć. Otóż nie ma co ukrywać, response był minimalny. [...] Na około 3500 rozestanych numerów okazowych zdobyliśmy mniej więcej 60 nowych prenumerat, tak że w tej chwili mamy około 200 prenumerat. [...]

Nam trzeba minimum 500-600 prenumerat, co przy naszym obecnym tempie równa się 2-3 latom dalszego wysiłku.

Poziom pisma i sytuacja zespołu

Poziom pisma, można to chyba obiektywnie stwierdzić, podniósł się. [...] chociaż był nierówny. Niemniej, stało się to kosztem dużego wysiłku paru osób oraz przy pomocy szlachej nieco formy dyskusji (choć nie tylko). Przykrym jednak objawem był zupełnie minimalny wkład dużej części zespołu: straciłszy Się - Bodurczyk, Ciechanowski, Linwrynowicz, Taboraki napisali bardzo niewiele lub prawie nic, Durowski uaktywnił się dopiero niedawno. Właściwie trudno powiedzieć, co było gorsze – lenizm jednych czy marazm drugich.

Trudno nie dojść do wniosku, że dla części zespołu wystarcza sama satysfakcja figurowania na stopce i przychodzenia na zebrania (o co też nie jest łatwo).

Podkreślano już poza tym wielokrotnie, że zebrania pozostawiały wiele do życzenia i to całkiem do niedawna.

W pewnym sensie pismo przestało być potrzebne dla większości zespołu, jedni bowiem nie mają w nim nic do powiedzenia lub bardzo niewiele, inni natomiast odzwijają jako uciążliwe marnotrawstwo energii i czasu. [...]

Ale może pismo potrzebne jest jako warsztat pracy, przy którym stwarzają się przeczucia pisarzy dzięki konfrontacji z innymi. Uważam to zawsze za bardzo ważny aspekt wydawania pisma (ślad dyskusji). W ostatnich paru miesiącach doszło do takich czy innych polemik, szczególnie polemiki Sita-Czerniawski-Durowski-Czerniawski-Sulik wydaje mi się ciekawa. Niemniej, polemika ta, a bardziej jeszcze mnie, podskórnie i czasami niglisto, wykazała atomizację zespołu (która zresztą zarysowała się już przedtem). [...]

Politycznie mogę się obecnie dołączyć w zespole: 3 osób, które uważają się za socjalistów, 2 o sympatiach lewicowych, 1 osoby o poglądach mniej więcej prawicowo-chrześcijańskich z przebiegami radykalizmu i nastawieniem antyemigracyjnym, 1 osoby o poglądach chrześcijańsko-demokratycznych odwołania prawicowego z pewnym radykalizmem w sprawach szczegółowych, 1 osoby uważającej się za liberala, 3 osób, których poglądy polityczne są mi nieznane (i chyba raczej się nie ujawniły) i... Sity.

Mimo pewnej wspólnoty pokoleniowo-literackiej, czyż można się dziwić, że zespołowi tak trudno znaleźć wspólny język (nie mówię o wspólnych poglądach na każdy temat, ale o pewnej wspólnotości założeń i przynajmniej częściowo celów).

Co więcej, politycznie trudno nawet zespołowi znaleźć wspólne zainteresowanie. Jedną czy dwie osoby wciąż chciałyby, żeby „Kontynenty” broniły ucieśnianego przez emigrację Kraju, jedną lub dwie, żeby wyznaczały mniej lub bardziej pióremy antykomunizm, ale to wszystko mało ma wspólnego z myśleniem politycznym, z analizą – tak jak mało ma wspólnego z tymi rzeczami jakaś kontrowersja, czy można pisać o Kraju źle czy dobrze. Kierunek pisma redagowanego przez taki zespół można badać tylko przez stworzenie wewnątrz zespołu jakiejś koterii, co wydawało mi się

złą metodą i musieloby prowadzić do rozłamu, lub przez niezwykle żmudne dogadywanie się. Próbowaliśmy robić to dnie, z nikłym rezultatem (względnie odwrotnym – co zresztą jest zrozumiałe, pewna krytyczność wyloniła bowiem utajone roznie). Trzymać taki zespół może ponadto nacisk z zewnątrz. Ale tutaj zawód jest może i nawet większy. „Kraj” nie naciska na nas w żadnym kierunku, co najwyżej próbowano nas subsydiować w delikatnej formie, czemu wreszcie położyliśmy kres, ale jakim kosztem i przy jak dużej opozycji (zmatowaliśmy na to co najmniej trzy zebrania, a zepsuto tu krwi i innie, i innym w stopniu nieproporcjonalnym do oczywistości całej sprawy – że było to „subsydium” nikt już dziś chyba nie będzie zaprzeczał, jakiżże wpłaty lub fundusz prasowy tego typu ustaly dość nagle i po notatce na ten temat). Nasza sytuacja na emigracji jest również zła. Polityczna emigracja rozrzedziła się bardzo. Z kim walczyć, kto nas dziś zwalcza? [...]

Ponieważ nikt nam w tej chwili gardel nie podrzywa, a my nie budujemy mąty je podrzynając komu, powoli zaczynamy podrzynać samych siebie. Następuje indywidualizacja zespołu, również pod względem literackim. Objaw bardzo pozytywny, ale czy warto wydawać pismo po to, żeby członkowie zespołu mówili w nim co nawzajem o sobie myślą? Można to robić przez rok czy dwa, ale później trzeba się dogadać, albo stworzyć debating society. Idealem oczywiście byłoby, żeby pismo redagowały 2-3 osoby maksimum, a reszta zespołu po prostu do niego pisywała, tworząc w ten sposób nie tyle zespół, co środowisko. Tylko kto wtedy zapłaci funta miesięcznie, co jest niesłychanie niedorzeczne w tej chwili dla istnienia pisma? Zresztą, punktów tych nie chciałbym zbyt rozwijać. Wystarczy może powiedzieć, że ponieważ wokół nas jest próżnia, zaczynamy – jak to zwykle w takich wypadkach bywa – szukać przeciwników wśród samych siebie. Nie jest dla nas tajemnicą dla nikogo, że nawet poezja, zamiast nas leczyć, zaczyna nas powoli dzielić.

Zresztą, literacko, grupa nigdy nie była grupą. Stwierdzenie. W literaturze, trzeba się zgodzić z Gombrowiczem, liczą się tylko nazwiska, indywidualności. Czy pismo pomaga w tej chwili rozwinąć się indywidualności? Sądząc po reakcji Gombrowicza, przeczkadza. Ale to jest jeszcze sprawa do dyskusji, wiele innych już nie jest.

Wydawało mi się zawsze, jeszcze nawet za czasów „Merkurjusza”, że pismo ma dwójaki sens: jako warsztat pracy grupy (luźnej grupy, pokoleniowej) młodych pisarzy, publicystów, krytyków itd. Jako pismo pokolenia, które, choć odległe jakąś rolę, musi znaleźć własne oblicze. Jako pismo, w którym doszłyby do głosu doświadczenia, wyświadczało mi się, bogactwo naszego pokolenia w sensie bardzo szerokim. Pierwszą rolę pismo już spełniło (w dużej mierze). Umówiliśmy się, że nasze pokolenie jako środowisko artykułowane, a nawet jako środowisko konsumpcji dóbr kulturalnych, właściwie nie istnieje. Nie jesteśmy czytani przez nasze pokolenie, z wyjątkiem kilkunastu osób, nie bardzo są szanse na wyrażenie z niego jeszcze jakiegos talentu, pokolenie to nie ma oblicza i chyba go mieć nie będzie. Rozlazło się. Nie jest to tylko nasza wina, ani nawet po części nasza wina. Wina ponosi zarówno Komitet Oświaty, jak i Zrzeszenie, zarówno czynniki odpowiedzialne za emigrację jak i warunki. Konsepcja budowania pisma na bazie tego pokolenia, tak żeby kapitał doświadczeń młodej inteligencji (tzw.) emigracyjnej nie zmarnował się, jest więc – niesłychanie – chyba niemożliwa. Na bazie nieistniejącego pokolenia nie można budować pisma, a w każdym razie koszt i wysiłek budowania już nie tyle pisma co i pokolenia jest zbyt duży. Oczywiście, warto uratować to, co w naszym pokoleniu (z pokoleniem tego wyłączani Kraj) jest artykułowane, ale żeby to uczynić, trzeba zgranej grupy, wiedzącej czego chce, grupy raczej działaczy niż pisarzy. Pisarze nie ratują głosu swego pokolenia redagowaniem pisma, tylko pisanie do pisma i wydawaniem książek.

Może więc lepiej byłoby przyznać się do przegranej (a dla mnie osobiste oznacza to przegraną na tym polu) i „ratować” samych siebie, nie marnując czasu na wydawanie pisma i tp. rzeczy. [...]

[Do druku nadał Bogdan Czaykowski]

noty

GRZEGORZ KONDRASIOK

DROHOBYCZ – JEDYNE MIEJSCE NA ŚWIECIE

Tam, gdzie mapa kraju staje się już bardzo pochłaniona, płynie od słońca, po ciemności i spalona od pogód lata, jak gruszka dojrzewa – tam leży ona, jak kot w słońcu – ta wybrana kraina, ta prowincja osobliwa, to miasto jedyne na świecie.

Po tym, jak w listopadzie 2002 roku Drohobycz nakłonił mnie i ośmiem latim blaskiem, w tych próbach zdania relacji z Międzynarodowej Konferencji Schulzowskiej o najmniej dwóch rzeczy odmówić się nie dał: nie można po powrocie nie wrócić do prozy Schulza – i odmówić sobie przyjemności rozpocząć od tego właśnie cytatu z opowiadania *Jerien*. Uczestnikom listopadowych zdarzeń dum był bowiem niepowtarzalna możliwość natychmiastowego sprawdzenia trafności tego obnóża.

Po 60 latach od dnia tragicznej śmierci Bruno nadal przeżywa w „miejscie jedynym”. Ta pośmiertna obecność pisarza z każdym rokiem ewoluuje i nabiera znaczenia i siły. „Ja pamiętam innego Schulza, nie pisarza” – uściszałem od pewnej starszej damy. Książka jego, tak jak i wielu innych drohobyżan, poznała kilkanaście lat temu. „To już inny, wasz Schulz, i wy teraz też dbajcie o niego”. W dziejach „nowej” pamięci o Brunonie Schulzu i jego Drohobyczu pierwszy krok postawił Jerzy Ficowski, w powojennych latach powstawała *Regionów wielkiej hermy*. Długo, kiedy uznano już bardzo wiele, „inna” obecność Schulza uwalnia się w działaniach Potemstyckiego Centrum Naukowo-Informacyjnego – w gronie pomysłodawców konferencji zorganizowanej pod patronatem Konsulatu Generalnego RP we Lwowie i Państwowego Uniwersytetu Pedagogicznego im. Iwana Franki w Drohobyczu.

„Drohobycz – jedyne miejsce na świecie” – przypominał słowa Schulza Jerzy Ficowski, kierując za pośrednictwem migreny video swoje przesłanie do uczestników konferencji. „Cokolwiek by się działo, Drohobycz będzie najważniejszy”. Słów chorogo nestora schulzologii wysłuchaliśmy 19 listopada, zaraz po kadyżu. Po tym niezwykłym momencie, przeżyciu chyba już na trwałe zapisanym w pamięci. Stał się wtedy na ulicy wokół miejsca tragicznej śmierci pisarza, wśród codziennej miejskiej krzątaniny, dokładnie w 60 lat później. Słuchaliśmy o wydarzeniach tamtego fatalnego dnia w relacji Alfreda Schreyera, a zaraz potem – drżącego głosem przewodniczącego Unii Żydowskiej w Drohobyczu Maurycego Weissa. Obok jego młodej postaci, podirzynują warkoczące na wietrze kartki z tekstem kadyżu w trzech językach, stał kanonicki ksiądz z tutejszej parafii. Był więc późniejszy i „Wiemy ołpoczek”...

Drohobycka Międzynarodowa Konferencja zwołana była pod hasłem „Recepcja twórczości Brunona Schulza na początku nowego tysiąclecia”. Myślałem, że daleko się wychwytać wspólny rys przedstawionych referatów, dominowała tu optyka syntetyczna. Wiele było wystąpień, które w skrócie nazwać można próbami przeświecenia całości dorobku Schulza z założonej perspektywy. Wiąże się z tym brak znaczących faktograficznych wypowiedzi, nieznanych dotąd marginaliów i głosów rozświecających tajemnice. Czyżby należało już zrezygnować, nie czekać na nic więcej, ponul to, co znamy? Lato byłoby może się z tym pogodzić w przypadku twórcy, dla którego spuścizna XX-wieczna historia była łaskawą. A może przeznacza przede mną nieznaszany zjawiskowy apetyt, rozbułany przez odkrycia Geisslerów z tzw. Willi Landau? Schulzologia skazana zatem „tylko” na interpretacje? Czas pokaze, dziś jedynie potwierdza się sąd o specyficznej własności twórczości Schulza. Swego czasu Jerzy Jarzębski pisał, że jest on niezwykle jednolity, jak gdyby z jednej brzoły wyłożony, i nawet o niej można tylko mówić wszystkie te opowieści naraz przed oczyma.

ŚWIĘCI Z DRATOWA

Mówiono zatem o etyce u Schulza (prof. Leonid Solowiej) i o jego arystotelesowskich prawnieniejach (prof. Anna Żuk), o semiologii i socjologii jego obrazu artystycznego (prof. Wacław Wandyszew) i symbolicznym słownictwie schulzowskim (prof. Tatjana Bilenko). Dzieło Bruno Schulza Tatjana Czajkowska porównała z dziełami innego klasyka światowej literatury – Władimira Nabokowa.

Ważny i stale powracający wątek konferencji obejmował rozważania na temat współczesnych metodologicznych szans schulzologii. W referacie otwierającym obrady prof. Mieczysław Dąbrowski zasygnalizował trzy z możliwych oświadczeń: wokół postmodernistycznej opozycji *miotum-proletum*, zagadnieniu schulzowskiej kobiecy (negatywne-pozytywne wartościowanie płci) i dystansu narracji. Także i drugi gość z Warszawy, prof. Hanna Ciolek zadawała pytania o włączenie prozy Schulza do modernistycznego dyskursu, przywołując kategorie ironii czy mówiąc o podmiotowości, niezależności, wyobcowaniu i ciele. Dr Wiera Meriok określiła tekst Schulza jako niezbędne połączenie energii kreatywnych i interpretacyjnych autora.

Maria Kandus mówiła o wizjach muzycznych w twórczości Schulza. Nie był to zresztą jedyny referat poświęcony zagadnieniom interdyscyplinarności sztuk (istotnym w przypadku drohobyckiego artysty). Pokrewieństwa literatury i plastyki budowała Olga Czajkowska.

Usystematyzowaniem wiedzy o muśniej zwinym, krytycznoliterackim obliczu Bruno Schulza zajął się prof. Michał Szulca. O znaczeniu kluczowej dla recepcji dzieła postaci Jerzego Ficowskiego mówiła prof. Ludmiła Krasnowa.

Pisaliśmy tutaj o apetycie na schulzowskie tajemnice. Plan konferencji drohobyckiej może przypuszczać, że taką bardzo obiecującą dziedziną eksploracji jest zapadnięcie wielokulturowości – kontekstu, w którym dzieło Schulza zanurzone jest od swojego powstania do dziś. Wystąpienia prof. Marka Goldberga (*Pogranicze. Wdzięczność. Przestroga*) i prof. Ewy-Marii Langner omz tekst przystany przez dr Dorę Kucnelson (*Bruno Schulz w drohobyckim środowisku żydowskim*) opierały się na – niewątpliwie słusznym – przekonaniu, że bez zrozumienia fenomenu środowiska: żydowsko-polsko-ukraińskiego stopu, który ukształtował „Schulza lokalnego”, nie dotrzemy skutecznie do „Schulza światowego”, klasyka współczesnej literatury. Także i prof. Aleksander Kozarenko, w zaskakujący sposób porównując dzieło Bruno z twórczością innego – utodżnionego w tych stronach – klasyka Leopolda von Zaehner-Muzocha, podkreślił znaczenie kontekstu ukraińsko-żydowskiego pogranicza kulturowego.

Ogół wydarzeń pomiędzy 18 i 21 listopada trudno byłoby zatem zaniknąć w zbyt mało pojętności – w tym przypadku – formacie naukowej konferencji. Aula dawnego Gimnazjum im. Władysława Jagiełły zaskakiwała różnorodnością swych przemian i odmiennością znaczeń. Miejsce obrad w mgnieniu oka zmieniało się więc w salę koncertową, goszczącą występy młodych wirtuozów muzyki klasycznej i baletu, chórzystów – czy wreszcie ukraińską kapelę rockową. Hermetyczny krąg polonistyczny rozszerzał się poprzez obecność sporej publiczności ukraińskiej i polonijnej, ożywiającej w widoczny sposób atmosferę. Może był to też jeden z istniejących sensów wydarzenia – sens spotkania i dialogu. Muzyczny dialog trzech kultur oraz kultury wysokiej i ludowej w doskonały sposób odzwierciedlił się na widowni.

Od pierwszej chwili uderzający był szczególny rodzaj porozumienia tej czworójzycznej humanistycznej Wieży Babel. Dogadywano się po ukraińsku, niemiecku, rosyjsku i po polsku, zresztą podział językowy był tylko jednym z wielu, obok granic kulturowych czy chociażby pokoleniowych. Efektom – spójny i jednolity (o dziwo!) dyskurs. Istotną zaś jego częścią – obok tematów schulzowskich – była niewypowiedziana wprost kwestia delimitacji własnej tożsamości.

Taka postawa wielokrotnie dawała o sobie znać także i w oficjalnych wystąpieniach: rektora drohobyckiego uniwersytetu prof. Włodzisława Skótnego i konsula generalnego RP we Lwowie Krzysztofa Sawickiego. Potwierdzeniem może być i symboliczny gest pana Floriana Dmytrowskiego, który na ręce organizatorów konferencji przekazał, w imieniu Stowarzyszenia Przyjaciół Ziemi Drohobyckiej, egzemplarz *Pana Tadeusza*. Książka, wydana w 1934 roku w ukraińskim tłumaczeniu Maksyma Ryłskiego, sławności niegdyś wianem jego ojca.

Był to jeden postać, której imienia (o ile mi wiadomo) nikt w Drohobyczu nie wspomniał, a której duch krążył w tych dniach uparcie po okolicy. Myślę tu o Jerzym Giedroycu.

Grzegorz Kucielanski

W aktach starostwa powiatowego w Lubartowie czytamy m.in.: *Cerkiew we wsi Dratów gminy Ludwin pw. Świętego Mikołaja, budowana została przez rząd rosyjski w latach 1889-1890 dla ludności wyznania prawosławnego w miejsce zbitej w czasie wojny grecko-ukraińskiej. Jest ona murowana z cegły, a pomieszcza ok. 700 osób.*

W roku 1872 parafia greckokatolicka pw. św. Mikołaja w Dratowie liczyła ok. 1000 wiernych. Drewniana, wiekowa już cerkiewka zlokalizowana była pomimo ok. 150 osób. Podobnie wybudowana na jej miejscu (z przesunięciem o kilka metrów ku zachodowi) murowana świątynia. Trudno doszukiwać się sensacji w określeniu „zbicie w czasie wojny grecko-ukraińskiej”, bo sytuacje takie miały miejsce po kasacie unii i martyrologii ukończonych po roku 1875. W jednej z encyklik papież ówczesny Leon XIII zachęcił Polaków, aby nie przeciwstawiali się przeniesieniu cesarza, zaniechali aspiracji politycznych, natomiast odhodowali życie religijne, korzystając z ograniczonych możliwości, a także materialnych i organizacyjnych udogodnień nowej sytuacji politycznej. Dratowski paroch ks. D. T. przyjął prawosławie, a wraz z nim większość ukraińskich parafian i przystąpił do wybudowania nowej, finansowanej przez rząd rosyjski cerkwi. Lud tutejszy miał zwyczaj szlachę duchownych, zaś z podzińców na Pułak – kucoliki i Ruski – prawosławny niewiele to wynikało. Wszyscy byli tu „awol”, „tutejsi”. Nawet język był „tutejszy”. A że kilku kolejnych księży i diakonów wywodziło się z Białostoczczyzny lub Pińszczyzny, wiele wyrazów, akcentów „tutejszego – duchłackiego”, zawierała nabożeństwo z tamtych okolic.

I tak z pokolenia na pokolenie. Choć coraz więcej osób zna prawdziwy „dratowski język” i niektórzy dzięki go rozumieją.

Przed I wojną światową cerkiew św. Mikołaja-Cudotwórcy była świątynią parafialną dla ludności z Dratowa, Ludwina, Kamiwoli i okolicznych przysiółków, czyli w sumie dla 1400 wyznawców prawosławia na pograniczu Podhemia i Lubelszczyzny wschodniej. W całym powiecie lubartowskim liczba prawosławnych przed 1915 r. wyniosła 1817 osób. Natomiast po „bieżeniu” w latach 1915-1919 i całkowitej atrofii niektórych prawosławnych parafii w tym rejonie (pogranicze powiatów lubartowskiego i lubelskiego) w gminie Ludwin i gminie Łęczna prawosławnych zostało 1420. W r. 1924 licząc parafiami dratowskich starostwo lubartowskie szacowało na około 1817 osób. W tym czasie nastąpiło reaktywowanie parafii, gdyż w latach 1920-1923 (do 18 maja) bez nominacji, choć niezwykłe przeciwnie i owocnie, zważywszy na trudne dojazdy do monasteru św. Onufrego w Jablecznej, funkcje duszpasterskie pełnił o. hieronimich. Mitrofan (Stelmazuk). Z tego powodu Mitrofan był notowany przez władze bezpieczeństwa i policję w r. 1921 jako podejrzany o działalność wrogu wobec Rzeczypospolitej. Dodajmy, że był to okres, w którym władze administracyjne nosiły się z zamiarem likwidacji monasteru w Jablecznej (zob. WAP Lublin, Dokumenty: Urząd Wojewódzki w Lublinie – Wydział Społeczno-Polityczny, sygn. 641 s. 102, 683 s. 1, 2396 s. 53).

W latach 1915-1916 wieś Dratów znalazła się na linii frontu niemiecko-austriacko-rosyjskiego. Pomiędzy tymi częściami są liczne w tych okolicach ujemne wojenne. Tuż przy cerkwi św. Mikołaja, od strony wschodniej, pochowani zostali żołnierze rosyjscy polegli w r. 1915. Pomimo wojny zawitała do Dratowa w r. 1920. Od strony północnej przebiegał jeden z głównych manewrów taktycznych polskiego uderzenia zimą 1920. Oddziałem stacjonującym tutaj i wyzwalamym Dratów oraz Puchaczów była grupa gen. Stanisława Bułak-Lukaszewicza, w której składzie było w owym czasie około 80 procent białoruskich chłopów. Im to właśnie Puchaczów, Dratów i okoliczne miejscowości aż po Urzulin zawdzięczają wypędzenie wojsk bolszewickich w dniach 15-17 sierpnia 1920 r.

Gdy uciekły salwy a część mieszkańców powróciła z Rosji, rozpoczęło się życie w nowej, niekolejowej Polsce. Cerkiew prawosławną traktowano przeważnie jako relikt zabiorów. Dlatego m.in. dratowska cerkiew nie powróciła do dawnej rangi świątyni parafialnej. Od 16 maja 1923 do 4 stycznia 1926 roku była dratowską filią parafii w Syczynie na Cholemszczyźnie, którą administrował ks. Mikołaj Wołosławski, późniejszy proboszcz w Dollubyszowie za Hrubieszowem.

5 grudnia 1925 przybył do Dratowa, po uzyskaniu zgody władz kościelnych i państwowych, ks. Grzegorz Jakuczko. Przedtem pełnił obowiązki kapłana w Brodach i w Chelmie. Przeprowadził on w Dratowie 14 lut., wychował trzy córki i wielu wyznawców prawosławia – obywateli Rzeczypospolitej, których katechizował w szko-

lach w Drajowie, Nadtybiu i Puchaczowie oraz mieszkał w parafialnej (urzędowo: filialnej) cerkwi w Drajowie.

W listopadzie 1928 roku, po odsłonięciu pomnika ku czci Józefa Piłsudskiego i innych obrońców i wyzwolicieli RP, usytuowanego naprzeciwko plebanii w Drajowie, do Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w Warszawie powędrowała następująca notatka od władz wojewódzkich: *Duchowny Bojeczko Grzegorz – parafian w Drajowie. Naboleżał na odpis. Oredzie Metropolity Dniażego na Święto Niepodległości odczytał. Nadto uczestniczył w uroczystościach, prowadząc pochód ludności prawosławnej wspólnie z katolikami. W nich politycznym udziału nie bierze. W stosunku do Państwa lojalny. Przez parafian lubiany.*

Tragiczny dla Polski wrzesień 1939 pokrył się w czasie ze zmianą administratora parafii. O. Grzegorz wraz z żoną i córkami wyjechał do Lwowa. Organizował wyjazd tych, którzy chcieli uciec przed niemiecką nawałą. Obowiązki proboszcza przejął dotychczasowy wikariusz i psalmista ks. Stefan Malesza. Czy wiedział, że otrzymując wymarzone niegdyś probostwo odejdzie z tego stanowiska prosto do Ojca w Niebie? Czy przeczuwał, że wierność Bogu i tradycji ludu prawosławnego przypłaci wraz z córkami męczennską śmiercią za niewiele cztery lata?

24 grudnia 1894 roku w prawosławnej rodzinie Jura i Józefy Maleszów urodził się Stepan – Stefan. W zamożnym dworcu książąt Woronieckich rozpoczęła się wigilijna krzątanina, a przyszły dominikanin, teraz młody, bo 15-letni Jacek szykował się do świąt. W obójim domostwie starosta cerkiewnego Jura Maleszy akuszerka – matuszka z kanińskiej dynastycznej parafii, obwieszczała rodzicom i siostrom o narodzinach chłopca – Stefana.

Zaraz po świętach według juliańskiego kalendarza, na Krzeszoczenie Gospodnie, ochrzczono Stepana i został przez batiuszkę ommiesiony uroczystie wokół priostolu u stóp Cudownej Ikony Matki Bożej Kanińskiej, która od czterystu lat była czczona jako boskroni od Boga siewca w rodzinnej miejscowości zarówno przyszłego dominikanina, jak i przyszłego księdza prawosławnego. Jednolic Ziemia Chelmska zrodziła.

W wieku 14 lat Stefan, ukończywszy z dobrymi i „odlicznymi” wynikami cerkiewno-parafialną szkołę w Kaniem, posłany został do szkoły duchownej w Chelmie. W 1915 r. jako asenier Chelmskiego Seminarium Duchownego udał się wraz z rodzicami na „bieżenie” do Rosji, wobec zbliżającego się frontu niemieckiego. Już w Rosji został powołany do służby wojskowej w kompanii transportowej w armii carskiej. Po przewrocie bolszewickim powrócił wraz z rodziną do Polski. W lipcu 1919 roku Stefan Malesza rozpoczął jako ochotnik służbę wojskową w Wojsku Polskim. Najpierw w transportowej szeregowej w Skierniewicach, a następnie w 50. Pułku Strzelców Kresowych i – kolejno – w 44 pułku strzelckim. Na ogólnych zasadach, po podpisaniu przez rząd RP rozejmu, został zdemobilizowany.

Powróciwszy w rodzinne strony, młody oficer rezerwy S. Malesza nie został Cudowną Ikony w rodzinnej wiosce. Wielu sąsiadów „ruskiej mowy” także nie wróciło do Kaniem. Usługowiony w styczniu 1919 roku adaministracyjny zarząd nad cerkiewnym majątkiem i samą cerkwią spowodował, że została ona powierzona w użytkowanie katolikom. Był to pierwszy zawód młodego Maleszy. Drugi – to brak pracy w zawodzie nauczycielskim w swoich stronach. Wyruszył więc w znane mu z przeszłości frontowe strony pińskie. Miał przy sobie młodziutką żonę oraz... kartę demobilizacyjną i dyplom szkoły wyższej, co umożliwiało mu podjęcie pracy. Przez dwa lata uczył w szkołach powszechnych w powiecie kobryńskim. W 1923 roku poprosił bpa pińskiego i poskiego Aleksandra (Iwazemowa) o święcenia. Otrzymał je (zarówno diakonat jak i presbiterat) w katedrze pińskiej z mł. sw. bpa arcybiskupa. Pożyczając od Kobryni, przez 11 lat pełnił obowiązki duchownego w diecezji poleskiej, w różnych miejscowościach Pińszczyzny.

Pośród poleskich błot przyszło na świat dwoje dzieci ojca Stefana i Anny (?) Maleszów: Olga i Jerzy (Orion). Po urodzeniu drugiego dziecka matuszka opuściła ziemski padół. W tym samym mniej więcej czasie zmarło jedno z rodziców o. Stefana. Podjął trudną decyzję powrotu w rodzinne strony.

Otrzymał na początku etat diakona i psalmisty w parafii Śpiseze w pow. hrubieszowskim. Następnie przeniósł się wraz z dziećmi do Chelma i pełnił obowiązki psalmisty w Leszczanach i w parafii św. Jura Teologa w Chelmie. Władze cerkiewne, a szczególnie bp lubelski Sowa (Sowietow), brały tu pod uwagę niewątpliwie talent, zwłaszcza dobry głos, dobre wykształcenie przedwojenne i sytuację rodzinną o. Maleszy. Z uwagi na konieczność utrzymania i samodzielnego wychowania dwojga dzieci, pozwolono mu na pełnienie równoległe dwóch funkcji i zajmowanie dwóch etatów.

Od roku 1938, gdy zburzono cerkiew w Leszczanach, w ramach akcji likwacji prawosławia na Lubelszczyźnie, o. Stefan czynił starania o powierzenie mu obowiązków administratora cerkwi w Drajowie, w ówczesnym powiecie lubartowskim. Zgoda Warszawsko-Chelmskiego Konysłorza Prawosławnego oraz metropolity Dniażego nie wystarczała. A władze administracji państwowej były nieugięte: ruskie (ukraińskie) pochodzenie ks. Maleszy stało na przeszkodzie do powierzenia mu tego stanowiska. Wytłumano nawet brak dostatecznej znajomości języka polskiego. O. Malesza nigdy nie krył swojego pochodzenia, a w domu rozmawiał z dziećmi po ukraińsku, gdyż był to język jego rodziców i dziadków. Natomiast fakt funkcjonowania w Wojsku Polskim, uczucia w szkole w języku polskim oraz pozostałe po nim dokumenty – pisma urzędowe w niezupełnie poprawnym języku polskim, przyczą uprzedzenia władz państwowych. Zresztą z czasem, na progu 1939 roku, władze po dokonaniu urzędowej „obserwacji” cofnęły zastrzeżenia i zgodziły się na przeniesienie o. Stefana do Drajowa.

Doświadczenia na nowej parafii o. S. Malesza nabrał jako psalmista u boku o. G. Bojeczki. Po wyjeździe batiuszki Bojeczki Malesza został etatowym zarządcą parafii w Drajowie i przeniósł się wraz z dziećmi do tzw. popówki – plebanii. Wcześniej zajmował tzw. diakówkę (dom diakona), w którym wcześniej zamieszkiwali psalmiści: Paweł Harburuk, Paweł Haranczuk i Melchys Lilokiewicz. Starościnie dane z roku 1924 mówiły m.in.: *Do cerkwi należą: dwa domy mieszkalne, stodoła, obora i chlewy: pobudowane z drewna. Jak sama cerkiew, tak też i zabudowania wymagają remontu z nakładem do 400 tys. marek. Do cerkwi należy 110 morg. ziemi ornej, ok. 200 morg. łąki i pastwiska i ok. 110 morg. lasu. Ziemi ornej, łąki, pastwiska, miejscowy Komisariat Ziemski wydzierżawił mieszkańcowi wsi Drajów Nizienkowi Franciszkowi, Jusem zarządca Państwowy Urząd Leśny w Brzostówce.*

Dużą część remontów wykonywano w okresie posługiwania o. Grzegorza. Od 1940 r. diakówkę przejął „Jedna Chata”, wykonując remont. O. Malesza zdążył uporządkować emmentarz przycerkiewny, aleje dojazdową i odnowić elewacje cerkwi św. Mikołaja. Figurujący niegdyś jako „nacionalista ukraiński” o. G. Bojeczko, zawał pod koniec lat 30. „rozpoznany” przez władze państwowe jako zajmujący się sprawami religijnymi i „w stosunku do polskości i państwa polskiego wykazujący lojalność”. Podobne niezangażowanie przejął po nim o. S. Malesza. *Trzymał z ludźmi. Nie dzielił ich na „naszych”, czyli prawosławnych i „nie naszych”, tj. łacinianów.* Tak mówiono i mówi się o nim. Angażujących się po stronie Niemców działaczy ukraińskich prze strzegali przed takimi jak sołtys Luceńczyk czy wojt Sudowy, którzy podpisali „volkslistę”. Przestrogi duchownego ludzie docenili dopiero wówczas, gdy on sam już nie żył, zaś Luceńczyk (nie mylić z nazwiskiem tutejszego literata, gdyż zbieżność nazwisk jest zupełnie przypadkowa – przyp. GJP) uciekł wraz z hitlerowskimi wojskami w 1944 roku na Zachód.

Spółeczność Drajowa i najbliższych miejscowości z nacji roznie narodowościowych stanowić mogły podobny grun dla konfliktów nacjonalistycznych. Jeżeli tylko kilka osób „tragiczno-powszechnie” znajdujemy w latach 1941–1942 na emmentarzu w Drajowie, to ludność miejscowa zawdzięcza to zrównoważonej i dalekowszereżnej postawie o. Stefana.

W pierwszych dniach sierpnia w okolicy Drajowa dotarli uciekinierzy z obozu pracy w Chelmie. Głównie Polacy i Rosjanie. Któryś z nich znalazł o. Maleszę z ich współnymi rodzinnymi stron, z Chelmszczyzny. Poza tym obszerna, położona prawie na skraju wioski plebania nadawała się na tutejsze schronienie. W plebanii przebywała także gospośia księdza, p. O., która dochodziła z południowego krańca wsi, aby pomóc 19-letniej wówczas Oli w prowadzeniu domu, opiekowała się Jankiem, sprzątała wokół plebanii.

Obojętna w sprawach religijnych pani O., nie była obojętna wobec urody przystojnego 50-letniego wdowca, jakim był wówczas o. Stefan. Niewczesnym aktem darczyła duchownego, choć zdawała sobie sprawę, że dla księdza prawosławnego ożenie się ponownie oznacza pożegnanie się z kapłaństwem. O. Malesza, mając na uwadze dobrą opinię i wychowanie dorastającej córki i syna, używał różnych wymówek, aby uniknąć dwuznacznych sytuacji. Kiedy wymawiał się, że nie zostaje w domu, gdy gospośia – Galka „przechodzi do obowiązków”, używał i takiego argumentu: „...idm samogonku poprobowały” i umykał do sąsiadów. Zaciętrzewiona „zalnica” nazywała go więc „pijunię”. Tymczasem nikt nigdy o. S. Maleszy pijanym nie widział. Podobno samu pani O. przyznała kiedyś w rozmowie, że od śmierci swojej małżonki batiuszka Stepan nigdy nie pił wódki ani wina.

Niestety, gdy duch podszepnął kobiecie, że może osiągnąć względy mężczyzny poprzez szantaż. Okazało było ukrywanie wspomnianych uciekinierów.

W piątkowy ranek, przy przedświatacznym sprzątaniu, doszło do ostrej wymiany słów. Później 19-letnia Ola, córka o. Młekszy zwierzała się koleżance Eugenii Rabien: *Niespokojna taka jestem. Młeksza sobie zwierzeć nie może. Wzwołnowanna taka...* Potem nastąpiły jeszcze sobota i niedziela 16 sierpnia 1943 roku.

Tragedia rozegrana się w poniedziałkowy poranek. O. Stefan Malesza zdążył jeszcze uwiązać krawę obok dródek. Niemcy plebanię ucięli samochody gestapo i SS. Donos miał przecież wyraźny podtekst polityczny. Niemcy byli już wtedy mocno sfrustrowani nie tylko ogólną sytuacją na froncie wschodnim, ale także akcjami partyzanckimi na ich tutejsze posterunki, np. majową i czerwową akcją na łączniński „arbeitsamt” czy tutejszą w Łudwinie. Nie było nawet przesłuchania „obwinionego”. A wiedzieli Niemcy nawet i o tym, że „herr Malesza” był kiedyś oficerem polskim. Na odgłos wystrzału, który uśmiercił ojca, wybiegła z domu Olga, która jeszcze seria z gestapowskiego automatu. Gdy na polecenie SS-nazistów woja Sądowego zwołano ludzi ze wsi, aby patrzyli, jak ukarano wrogów III Rzeszy, ks. Stefan leżał martwy pod świerkiem, zaś Olga – w kałuży krwi na progu domu. Jarka w tym czasie w Działowie nie było, gdyż pod jakimś pretekstem przebywał u krewnych w Chelmie. Do dzisiaj nie wiadomo, czy nie byli to znajomi „Jitoskiej” partii O., która od 16 sierpnia 1943 nigdy już nie pokazała się w Działowie.

Tego samego dnia, po południu, na rozstaju dróg zostało pochowanych (i zakopanych) kilkunastu Żydów z kol. Drastów, których ten sam pluton egzekucyjny rozstrzelał. Miało to miejsce u zbiegu dróg: od cerkwi, od plebanii i od cmentarza w Dnutowie.

Ksędza Malesz i jego żonę owinięto w białe prześcieradło i czuwały kilka kwiatów do mogiły, zakupiono na miejscowym cmentarzu. Na rozkaz Niemców wójt zakazał kupowania trumny i urządzania pogrzebu. Dopiero w latach 70. syn butiuszki, Jerzy, postawił pomnik ojcu i siostrze. Wynowny kształt pomnika skłania do zdumienia, a puste miejsce na tablicy prosi się o napis: „Chwała Nowomęczennikom!”

Serafim Saczawa był narzeczoną Oli Maleszy. Przed wojną ukończył luhelską „budowlankę”. Planowane w warszawskiej politechnice studia pokrzyżowała wojna. Został przeszkolony w r. 1942 przez Niemców do prowadzenia biura i pracy urzędowej. We wrześniu 1943 planowany był ślub. Serafim (Sima – jak go tutaj nazywali młodzi) miał wówczas 22 lata. Cidy dowiedział się o tragedii swojej dziewczyny i niedrogiemu teściu, poprzysiągł Niemcom zemstę. Wstąpił do Gwardii Ludowej. Zginął w niewyjaśnionych do końca okolicznościach w r. 1945 – była to typowa egzekucja NKWD. Po II wojnie Szkoła Podstawowa w Ostrowie nosiła jego imię. Z czasem wytknięto mu między „Jarysztułowy” życiorys i współpracę z hitlerowskimi Niemcami i szkoła pozostała bez imienia.

Jak pusto byłoby w cerkwi, gdyby wyrzucano z niej ikony. Jak pusto w drańowskiej cerkwi, gdy nie przywrócono jeszcze właściwego obrazu łanym dniom i ludziom, którzy zapiskali swój niebualny zyciorz własną krwią. Jak trudna udowodnić, że święci modlą się za nas i z nami.

Gregory Bedard

TADEUSZ ZWIŃSKI

EDUARD VILDE
- GENTLEMAN URODZONY NA KLEPISKU

Wywodził się jak to się dawniej z przeliskiem mawiało, „z nuzi”. Urodził się na północy Estonii, z dala od miast i od kolei, w guszy, wśród lasów i lak. 4 marca 1865 roku w majątku Pudivere, własności barona, Niemca bałtyckiego. Sielskie choć ubogie dzieciństwo – najważniejszy i najcenniejszy okres życia pisarza – rozpoczął w chacie typu rija, w chacie bez podłogi, kołyska stała na klepisku. Pod jednym dachem sieni-kuchnia, jedna jedyna izba ogrzewana przez cały rok, który bożnie, gówno, pomieszczenie na plewy i chlewik, świnki pomrukuja. Nad niskim sufitem strych nazywany liitgoed, to znaczy pomieszczenie zbyt wysokie. Mylnie, bo praktycznie Estoniecy strych użytkowali. Wokół myzy¹ bezkresne (jak często wspominał) lasy.

bagna, jeziora, nordycki chłód, sine niebo, zawsze ci sąsiad zagromi ludzic kopią łot, łowią ryby, sieją itp. Zazwyczaj miłość, wolę śpiewać, jeśli już rozmawiają, to o pożytkach z melioracji. Grumadzą się raz w tygodnie na mszy, pastor dojeżdża, później w szynku mężczyźni piją piwo, kobiety tkają, oczyszczają kraj, jak go nie pokochać?

W młodej rodzinie popłynęło się, zamieszkała w dwupokojowym domu z podłogi. Szczególną rolę w sentymentalnej edukacji Eduarda przypisuje się jego matce. Ojciec skromny, uległy, poważny, ciężko pracował na kawałek chleba jako purchek. Z czasem, dzięki samozaparcia, awansuje, obejmując posadę rzędey w majątku Keila Kaljakula. Matka Leena, również służąca w dworze, wrażliwa, rozmiłowana w poezji, buntownicza, wieczornemu i w święta czytała lub spiewała ludowe pieśni, opowiadała baśnie i legendy, synek chłonał. Edukację szkolną niptownie zakończył w wieku lat 17: wydany ze szkoły na pół roku przed końcowymi egzaminami, planował podróż do Ameryki. Wtedy też, za przykładem swojego kuzyna Eduarda Benitohu, autora bardzo udanej powieści awanturczo-historycznej *Mściciel*, jak po latach wspominał, sięgnął po pióro pobudzony ambicją i napisał opowiadanie pod intrygującym, ale efekciarskim tytułem *Ścieżka zbrodni*. W tymże 17 roku życia ogłosił się literatem, czyli człowiekiem pióra.

Taka deklaracja była czymś więcej niż rojeniami chłopca, była buntem. Przecież w ówczesnej Estonii termin literat miał znaczenie konotacje i był niedostępnym dla syna parobka. Literatem nazywano przede wszystkim aptekarzy, głównie Niemców, rzadziej przybyszów ze Szwecji na estońskich wyspach. Ciała ówczesnej inteligencji to byli tzw. literaci w znaczeniu niemieckiego Literaten, osoby legitymujące się wszelakim wyższym wykształceniem. Do lat osiemdziesiątych XIX wieku byli to prawie wyłącznie Niemcy bałtyccy, z reguły szlacheckiego pochodzenia baronowie, sami von i zut. Z czasem najbogatsi chłopcy, tak zwani szurzy baronowie, też używający języka niemieckiego. Estoniecy i Łotysze w bałtyckich guberniach musieli pozostać ludem wiejskim, pogardzanym „Lundfolk”, masą śluzową, niekwalifikowaną folklorystycznie dla nudzących się pastorów. Właśnie ci nudzący się pastory – Niemcy bałtyccy, jak Jakob Hurt, a znacznie wcześniej Otto Willem Masing, lingwiści i protektor cudownego dziecka poeci estońskiej Kristiinu Jaaka Petersohna, owi, jak dziś byśmy powiedzieli, hobbysty-pasjonaci ponieśli nieocenione zasługi dla kultury i języka Estonii. Do końca XIX wieku nie było w Estonii zawodowych pisarzy. Vilde był pierwszy, on wytyczał szlak, na nim się wzorowano, stosunkowo szybko zyskał rozgłos. W roku 1896 wydaje pierwszą powieść i od razu sukces.

Udaje się najpierw do Sankt Petersburga, następnie Moskwy, potem na Zachód. Rygi (jeden rok pobytu), Berlin (blisko dwa lata), obraca się w kręgu kultury niemieckiej i skandynawskiej, dużo czyta, jeszcze więcej ogląda. I pracuje, dużo pracuje. W życiu kulturalnym Estonii jest obecny już od 1893, gdy podejmuje współpracę z szwedzkiej gazetą „Postimees” (Przeżyłion) w Dorpacie, kontynuacją pierwszej codziennej gazety w języku estońskim, założonej jako „Perno Postimees” w 1857 roku w Parnawie. W Dorpacie, jak się mówiło – Atenach nad Embachem, zbliża się do kolek młodych socjalistów, studentów tamtejszego uniwersytetu, głównie są to Łutysze i Rosjanie. Już wtedy przyznaje się do sympatii lewicowych, uważa się za wyznawcę materializmu. Z czasem ten entuzjazm dla lewicy osłabł, ale Wilde zawsze pozostanie krytyczny wobec każdej formy zniewolenia, nawet tej stonowanej, jaką zapanało w Estonii po 12 marca 1934 roku. Do końca życia ciepło będzie wspominać Dorpat, tamtejszą atmosferę, młodych ludzi różnych narodowości, swoje inscenizacje intelektualne toczące nieco staroswiecczymą, kawiarnianą biesiadą, dyskusje, wycieczki poza miasto szosami obsadzonymi jesionami i lipami. W 1898 publikuje pierwszą w literaturze estońskiej w pełni europejską nowelę: *Wóbrw wyrzutom sumienia*, w której rozlicza się z zakłamaniem warstw wyższych, piętnuje dyskryminację kobiet, obłudę i bariery klasowe. Temat inepokryzji podjęte atakim motywem w twórczości Wildego. Jeszcze raz z podobną pasją i ostrością powróci doń w roku 1927 w opowiadaniu pod przewrotnie gorzkim tytułem *30 lat miłości*, które tymi razem ma za kawię egzekwie pogrzebowe i relację pastora – wdowca z jego 30-letniego małżeństwa, opartego na kalkulacji i szadzi.

Na początku nowego wieku pisze powieści historyczne *Rajna w Mahtu* (1902), *Kiedy tużcie z Anna poszli do Tallina* (1903), *Prorok Mahtsuet* (1908), które przynosi mu miłą czytelność, popularność i pieniądze. Pisze na zapalczowanie, ma świadomość, że na takie pobudzające i opisujące wydarzenia z historii dzieła naród estoński czeka. Tym samym Vilde stworzył pewien kanon nurtu krytycznego realizmu, mocno osadzonego w realności i mentalności swojej ojczyzny. Od razu pojawił się jako twórca na wskroś europejski. Otwarty na nowe prądy literackie i aktualne tendencje estetyczne tym samym w dużym uproszczeniu stał się „pamięcią estońskim odpowiednikiem” Zola. Jego dzieła przynoszą humanistyczne pytania o sens

niepodległości nieleżnego danego narodu. O sposób i możliwości przetrwania, o konieczność budowy własnej tożsamości w warunkach ekstremalnie trudnych przymusów, zakazów zadawanych przez dwie wrogie sily: carską Rosję i potęgę kulturalną i gospodarczą niemieckiej.

Powieści Vildeggo są dziełami oryginalnymi i wybitnymi, zarówno w warstwie historycznej, jak i psychologicznej. Vilde nie dąży do rekonstrukcji dawnego obyczaju czy szczegółowego roztrząsania byłych zawilosci, tak charakterystycznych dla literackiego antykwariatu, typowego dla J. I. Krausowskiego. Przeciwnie, stawia się ukazać wlosach i motywacjach bohaterów, tak jednostek jak i zbiorowosci, prawdy uniwersalne. Jego umiejscowienie narracyjne, bogate i zróżnicowane, poczynajaz od liryzmu aż po ironię, bierze swój początek zarówno z pamieci ludowej, jak i z dokonani współczesnej europejskiej literatury. Deklarują wiarę w sily i wytrwalosc Estończyków jako narodu w pełni europejskiego. Dowodem podziwu czytelników, tu, uwielbienia dla Vildeggo jest pewne zdarzenie mające wymiar anegdoty. Po opublikowaniu najbardziej czytanej wśród bledoty powieści *Do kraju łodu i łonegu* powien estoński chłop zatrzymal sobie nudać swojemu nowo narodzonemu synkowi na pierwsze imię – Eduard, a na drugie Vilde. Upieral się, że musial być kiedyś jakis święty Vilde, choć pastor udowadniał, że Vilde nie jest imieniem i jako nie figurujące w rejestrach nie może być nudane. Ostatecznie po dlugich targach poproszono na pierwszym imieniu, Eduard.

W 1901 Konstantin Päts¹, już wówczas znacząca postać w życiu Estończyków, wezwiał Vildeggo do Rewla, do redakcji nowo powstałego bojowego pisma „Teatja” (Informator). Był więc poltrzebny, liczone się z nim, a przede wszystkim doceniano walory jego pióra. Znalazł się w grupie wybitnych osobistości, współliderował Päts, grupa była kühni, identów politycznych i literackich. W niej zapoczątkowuje karierę wschodzącej gwiazdy estońskiej literatury Anton Hansen Tammsaare. W tym okresie Vilde duzo pisze, pisze bojowe artykuły na aktualne zagadnienia polityczne. Jest wydajny jako dziennikarz. Sam siebie nie oducza. Nie tylko pisze i adiustuje teksty innych, ale pracuje także jako korektor, zecer, wreszcie drukarz, pakowacz i spedytur. Nawet, od 1903 roku związany z wychodzącym w Dorpacie pismem „Üksed” (Nowość). Trafny tytuł – lewicowe pismo jest argumem partii socjaldemokratycznej, ale pozostającej poza strukturami SIKPRR. W kraju narasta ciśniecie, twiępion prz bierają na sile, zaczyna się budzić naród i budzi się proletariet. Wybuch następi parę lat później, bezpośrednim impulsem będzie wojna rosyjsko-japońska.

Po rewolucji 1905 r. zmuszony do emigracji, ucieka, poza krajem pozostaje do roku 1917. Krótko mieszka w USA, ale jak przyznaje, amerykański hulaśliwy i pibieźny styl życia budzi w nim mieszak. Od roku 1911 do końca pobytu na emigracji osiedlił się w „miej” Kopenhadze. Był to okres bardzo twórczy i względnej stabilności materialnej. Własnie w Kopenhadze osiągnął artystyczną dojrzałość, stworzył najlepsze swoje dzieła. Pisze duzo dla teatru, w tym komedię *Pisakudne*² – uważaną do dziś za najlepszą komedię estońską. Po rewolucji lutowej 1917 r. Vilde opuścił zasubną Kopenhagę i powrócił do głodnej ojczyzny.

Wkrótce sława Vildeggo zalewa coraz szersze kregi, staje się on wizytówką kultury estońskiej. Związek pisarzy fińskich w 1928 r. jednogłośnie wybrał go honorowym członkiem. Całość twórczości Vildeggo została wydana jako dzieła zebrane. Tłumaczona na fiński, rosyjski, niemiecki, łotewski, węgierski, polski, szwedzki, czeski, francuski, duński. W ostatnich latach życia klasyk, człowiek-institucja, mieszka, naczaj rezyduje, w okazałej willi w parku Kadriorg w Tallinie, adres prestiżowy, w bliskim sąsiedztwie pałacu prezydenta. W tym czasie zrodło twórczych inspiracji wyczerpało się, nie pisze niczego nowego ani ściśle mówiąc niczego literacko ważnego. Pracuje nad redukcją dzieł zebranych, adiustuje to, co dotąd napisał. Praca jest ogromna, zważywszy, że dzieła zebrane obejmują 33 tomy wliczając powieści, nowele, sztuki teatralne, repertuar, teksty satyryczne i polemiczne. W ostatnich roku życia wieszcząc³ brutalną przyszłość podejmuje gwałtowną polemikę z nurtującymi tendencjami faszystowskimi. Ogłasza płomioną deklarację przeciw terrorowi i nowemu niewolnictwu, jak charakteryzuje faszizm. Postawa Vildeggo, autorytetu i człowieka-symbolu, w poważnym stopniu zawazyła na powstrzymaniu ostatecznej faszyzacji kraju w okresie rządów autorytarnych, naczwanym „epoką młoczenia”. Klasyczny faszizm w Estonii nie zaistniał, choć zakusy czynione były z dwóch stron: przez mocno perestrojowaną przez III Rzeszę

mnijaszosc niemiecką, jak i radykalów naczwanego chowu, głównie wywodzących się z rozbitego ruchu walsów⁴.

Vilde dopial swego, został zawodowym literatem i żył na wysokiej stopie, on, ten, który mrodził się na kłepisku. Badacz życia i twórczości autora *Młeczarka dworu* Toomas Hang potwierdza – *Vilde był nie tylko pierwszym wielkim estońskim prozaikiem, on był także pierwszym Europejczykiem w Estonii*. Jednak trudno nie zauważyć, że w późniejszym okresie zaczyna się stopniowe uwsteczanie twórczości estońskiego klasyka, wyrażające się stonowaną, acz czytelną manifestacją postawy zachowawczej. Dobro, przede wszystkim stabilność republiki, staje się celem nadrzędnym. Poświęcił się cały dla Estonii, również życie osobiste, zdawał sobie sprawę ze swej pozycji i ze swych obowiazków wobec ojczyzny. Erudyta, powściągliwy, aparycja chłodna, nawet cierpka, można na pierwszy rzut oka powiedzieć: pastor albo profesor i takie też zachowanie. Mówiono, że ma poczucie misji. Stąd chłód i elegancja, w starym już wówczas stylu, a przy tym żywa i dodająca znacząca obecność w życiu literackim, politycznym i społecznym Estonii.

Nasuwają się porównania pozycji i współzależności, jakie w życiu intelektualnym i do pewnego stopnia politycznym swoich krajów odegrali w tym samym czasie w Estonii Eduard Vilde i Konstantin Päts, a w Czechosłowacji Karel Čapek i Tomasz Garrigue Masaryk. Vilde, estoński Prus, pierwszy „pełny” realista „kartoflanego kraju”, bądź „kartoflanej republiki”, jak bałtyccy Niemcy z przekasem określili ojczyznę, a później państwo Vildeggo. Jednak ktoś więcej niż estoński Prus, bardziej wszechstronny i bardziej obecny w życiu narodu, pionier realizmu wiejskiego, w kraju chłopów, rybaków, przy braku rodzimej szlachty, z bardzo ograniczoną warstwą narodowej inteligencji. Mały naród na dorobku, pierwsze państwo estońskie w dziejach, brak tradycji w tej mierze, a za program Sowiety, za jedyną estońską granicą ogrodzoną drutem kolczastym, jakby pastwisko dla bydła. Vilde dwuznacznie odczytywany: peryferyjny i zarazem światowy, czynny w życiu politycznym, nierzadko mentor, bez wątpienia klasyk, stał się symbolem niepodległej Estonii.

Za czasów sowieckich przemilczony, a gdy nastąpiła odwilż obrzucany epitetami w rodzaju: wiotki, reakcyjny, tendencyjny, rezonerski. Los mu najgorzszego oszczędził, umiem w wolnym kraju 26 grudnia 1933 doceniony, kochany, powszechnie szanowany. W dowód uznania, niemal kultu, został pierwszą osobą złożoną na świeżo oddanej narodowej nekropolii Estończyków – cmentarza leśnym, Metsakalmistu w Tallinie.

Tadeusz Zubiniski

Autor pragnie serdecznie podziękować pani Marioli Przygodzie z Ambasady Republiki Estońskiej w Warszawie i pani Annie Stanku z Sopotu za pomoc w zgromadzeniu niezbędnych materiałów.

¹ Väinö (Vilho) – członkiem Estońskiego Centralnego Związku Uczestników Wojny Wyzwoleńczej, powstałego w 1906 roku. Przygotowywał tamnych stawa, zalegalizowemu antyfaszizmowi po 12 marca 1934 roku.

LECHOSLAW LAMENSKI

RYSZARD STRYJEC (1932-1997) RYSUNEK I GRAFIKA

W polowie grudnia 2002 roku wydarzeniem w życiu artystycznym Lublina była bez wątpienia wystawa rysunków i rycin Ryszarda Stryjca w Galerii Sztuki Wirydarz Lubelskiej Szkoły Biznesu – Szkoły Wyższej. Świętowany prezent dla rozmilowanych w sztuce graficznej widzów, w postaci pokazanych po raz pierwszy w grodzie nad Bystrycą kilkunastu niezwykle wysublimowanych, szalenie wizyjnych i dojrzalych warsztatowo akwafort oraz kilkunastu rysunków gdańskiego artysty, to zasługuje Holm Zielinskiemu, założycielowi szereg galerii, która obchodziła właśnie trzecią rocznicę powstania i piętnasty wernisaz.

² Adwokat, dramaturg, skazany na śmierć przez władze carskie, emigrant, wielokrotny premier, pierwszy prezydent Estonii, umozliwił się w 1894 w Tallinie jako kocha, zarobił w sowieckim sąpiłku politycznym w Baranowie koło Kaliningradu w 1956 r.

³ Złoty Bursak, pismo, powstało z estońskiego folkloru, doprowadziło gromadzącemu kłopoty.

Można by się zastanawiać dlaczego do tej pory ten „gdanski Dürer”, jak potocznie mówi się o Ryszardzie Stryjcu w kręgach znawców sztuki, nie miał wystawy w Lublinie, dlaczego ciągle jeszcze – choć minęło już pięć lat od przedwznowienia ścieżki grafiki – jest bardziej znany poza granicami Polski, głównie w Niemczech? Być może powodem takiego stanu rzeczy była jego spokojna natura, niechęć do autoreklamy, wycofanie i zamykanie się w sobie gdy tylko pragnął być z nim ze swoimi myślami, wyobraźnią, skromnym warsztatem, setkami rycin, stosami książek o sztuce wypełniających przestrzeń niewielkiej pracowni na rogu Targu Rybnego i Straganiarskiej w Gdańsku.

Urodzony na Wilnie Stryjec, już w 1941 roku poznał smak zesłania w głąb Rosji, aby na przedwie 1945-1946 roku w ramach akcji repatriacyjnej trafił wraz z najbliższymi do małego miasteczka na łw. Ziemiach Odzyskanych. Ogromny talent plastyczny, który dał znać o sobie już we wczesnym dzieciństwie, zdecydował, że Ryszard Stryjec najpierw ukończy liceum plastyczne w Gdyni-Orłowie, a następnie podjął studia, początkowo w sopońskiej PWSSP, przeniesionej następnie do Gdańska. Co prawda studiował najpierw malarstwo w pracowni Stanisława Tassewyc'a i Krystyny Lady-Studnickiej (filarów łw. szkoły wopiekiej w okresie realizmu socjalistycznego), ale dyplom uzyskał w bliższej jego dyscyplinowanej naturze pracowni graficznej Zygmunta Karoluka w 1958 roku. Zauroczony Gdańskiem, jego tysiącletnią historią, wyczuwalną swobodą i tolerancją oraz wielokulturową tradycją, pozostał w nim na zawsze.

Wzzechstronny, inspirowany sztuką dawną, Starym i Nowym Testamentem (głównie epizodami z *Księgi Rodzaju* i *Apokalipty*), a także klasyczną literaturą światową (np. *Don Kichotem* Cervantesa), mitologią i baśniami, dorobek graficzny Ryszarda Stryjca imponuje zarówno warsztatem, precyzją i inwencją kresek, przy pomocy których tworzy (od początku lat pięćdziesiątych) wyszukane akwaforty z dodatkami ręcznego rylu, jak i rozbuchaną wyobraźnią pozwalającą na kreowanie osobliwego, niepowtarzalnego świata z pogranicza rzeczywistości i snu.

Z wielowatkowej i wielotematycznej twórczości graficznej artysty w Lubelskiej Galerii Wirydarz pokazano ryciny zdominowane przez tajemnicze i piękne postacie – kobiet na koniach, kobiet będących uosobieniem namiętności – a przecież tak pożądanego i tak głęboko erotycznego w swej cielesnej powłoce – tufu, pojawiających się na tle pejzażu miejskiego o wyraznie gdańskim nutowodzie. Artysta zainspirowany apokaliptycznymi i rolnymi szczegółami w obrazach „małych mistrzów” niderlandzkich XV i XVI wieku, a także rozbudowaną symboliką i podejściem do problemów świata i człowieka w XVII-wiecznym malarstwie holenderskim i flamandzkim, potrafił zbudować własny, niepowtarzalny świat. Świat, w którym głównym środkiem wyrazu jest kreska, równie niespokojna, kapryśna, a zarazem zdecydowana i konkretna jak w – bliskich mu duchowo i formalnie – rycinach Dürera czy Rembrandta. Podobnie jak dwaj wielcy mistrzowie rylca, także Ryszard Stryjec wypełniał starannie centymetr po centymetrze całą płaszczyznę matrycy setkami, tysiącami cienkich kresek, które wypełnione następnie farbą i odbite za pomocą pras na specjalnie przygotowanym papierze pozostawiały niepowtarzalny ślad ręki i talentu artysty. Bez względu na to, czy były to kompozycje stosunkowo duże, czy też zdecydowanie małe (edycje i inne nie pokazane w Lublinie niewielkie formy graficzne), widz musiał najpierw przełamać się przez pierwiastek – zewnętrzny – warstwę czysto estetyczną, aby, rozsuwając po drodze „teatralne” kulisy, wejść w głąb, dotrzeć do jądra sumienne wykreowanej przez Ryszarda Stryjca przestrzeni, w której na końcu pojawia się nieznanie światło, symbolizujące oświecenie – o krok – tego co niewidzialne i niewytłumaczalne.

Cisza i skupienie wyczuwalne niemal w każdej prezentowanej rycinie artysty, tajemnica towarzysząca bohaterom jego wielu kompozycji (zwłaszcza tych mówiących o życiu i przemijaniu, zarówno w aspekcie ludzkim jak i boskim), programowe niedopowiedzenie (twórca unika stawiania kropki nad i, mimo że pod względem formalnym jego akwaforty są kompletne i skończone) czy wreszcie wyczuwalny aspekt filozoficzny pozwalający widzowi na kontynuowanie opowieści rozpoczętej przez Ryszarda Stryjca, to bez wątpienia zalety jego grafiki warsztatowej.

Ale na wystawie lubelskiej zioży się również rysunki. Tu zaskoczenie, przynajmniej dla mniej podpisanego. Nie ma w nich tak oczekiwanej precyzji i pewności ręki jak w rycinach. Postacie ludzi i zwierząt wydają się być sztuczne, nieaturalne, brak im wewnętrznej siły i spójności tak wyczuwalnej w akwafortach. Porzucenie rysunku Ryszarda Stryjca odwołaniem się do nie najlepszej tradycji, ledwie wątpliwe szkice cząstek, co nigdy nie stanie się ekstremitą pędzącego na koniu, zakutego w bluszczową zbroję rycerza (*Święty Jerzy*, 1982), delikatnym, białym *Jeźdźcem* (1985), mrocznymi *Jeźdźcami i Apokalipsą* (1986) czy dziewczęcą zmysłową *Harpią* (1987), dosiadającą tak ulubionego przez twórcę ogromnego, pełnego wewnętrznej dynamiki, a zarazem gracji wierzchołka. Być może artysta nie zamierzał ich nigdy pokazywać publicznie, nigdy poznać zainknie na zawsze w teczkach, na półce w swojej pracowni.

Wspomnieliśmy o obecności w akwafortach Ryszarda Stryjca fragmentów historycznej zabudowy starego Gdańska. Najczęściej pojawiającym się motywem jest wyidealizowany kościół NMP Panny, która podobnie jak w *Błaznym hebraiku* Gracjana Urassa (twórca poznali się, pisarz odwiedził grafika w jego staromiejskiej pracowni) staje się niemyt obywatelom ważnych i codziennych wydarzeń dziejących się u jej stóp. Ale Stryjec wykorzystuje również stare widoki i panoramy Gdańska, kreśląc na tle lub tuż obok smukłych gotyckich wież i sylwetek innych gdańskich kościołów swoją metalicznie-surrealistyczną opowieść o życiu i śmierci, o przemijaniu i samotności. Znajdziemy także w rycinach artysty – również w tych pokazanych w Lublinie – najskiego ptaka, krowę ciągnącą wóz sianem, sokola, malpę i spoglądającego filutennie przed siebie kota na tle zimowego pejzażu. Ten bestiariusz zawierający, zapożyczony być może z późnogotyckich obrazów tablicowych czy też z obsesyjnych kompozycji Bosch'a lub rodzajowo-realistycznych obrazów Brughla Starszego, to jeszcze jeden ciekawy aspekt twórczości Ryszarda Stryjca. Nie ma bowiem w jego grafice warsztatowej – a uprawiał przecież z powodzeniem także grafikę użytkową i reklamową – nic zbędnego i niepotrzebnego. Wszystko do czego służy, ma ukryty sens i coś znaczący. Ryciny artysty są jak stare, ręcznie ilustrowane księgi, które należy czytać i oglądać kartkę po kartce, stopniowo i powoli, zachwycając się ich wyszukaną formą i treścią.

Wystawa rysunków i grafiki Ryszarda Stryjca w lubelskiej Galerii Sztuki Wirydarz była czynna do końca stycznia 2003 roku.

Lechosław Lameński



Ryszard Stryjec: *Adam i Ewa*, 1990, akwaforta (43 x 30,5 cm)

O czeskiej edycji książki profesor Ireny Sławińskiej *Teatr w myśli współczesnej Divadlo v současném myšlení*

Nakładem zasłużonego dla czeskiej teatrolologii wydawnictwa Studio Ypsilon w Pradze ukazała się książka neostorki polskiej teatrolologii, profesor Ireny Sławińskiej: *Divadlo v současném myšlení. Jest to tłumaczenie dzieła Teatr w myśli współczesnej. K antropologii teatru*. (Warszawa 1990), które już od momentu pierwszego wydania (Kraków 1979) uzyskało duży odzew i wśród teatrolologów na całym świecie. Profesor Stefania Sławarszewska w recenzji wydawniczej określiła pracę Ireny Sławińskiej jako panoramę najważniejszych problemów sztuki teatru. Do dziś książka ta jest jedyną poważną syntezą współczesnej myśli o teatrze i kluczowych zagadnieniach z zakresu antropologii teatru. W Polsce wzbudziła uznanie wielu wybitnych badaczy (J. Degler, A. T. Kijowski, J. Popiel, D. Ratajczakowa, J. Ciechłowicz), a dzięki autorytetowi, jakim cieszy się autorka wśród teatrolologów w Europie i USA, była szeroko komentowana na Zachodzie. Badacze we Francji (m.in. P. Pavis, A. Uberfeld, T. Kowzan, I. Mamezart) i w USA (K. Braun) wskazywali na dotychczasowy brak podobnego opracowania w fachowej literaturze teatrolologicznej na świecie. W 1985 r. opublikowany został francuski przekład tej książki pt. *Le théâtre dans la pensée contemporaine. Anthropologie et théâtre* (Louvain 1985, tłum. F. Rosset).

Wydanie książki w Czechach jest rezultatem wieloletniej współpracy i kontaktów prof. Sławińskiej z czeską teatrolologią, a w szczególności jej osobistej znajomości z profesorem Janem Hyvnerem, który należał do pomysłodawców przekładu na język czeski. W 1991 r. prof. Sławińska uczestniczyła w zorganizowanym w Pradze międzynarodowym kongresie teatrolologicznym, wygłaszając referat o dramaturgii Oscara Milosza, niedługo potem w wychodzącym w Pradze czasopiśmie „Svět a Divadlo” (1992 nr 7, s. 74-76) ogłosiła swoje studium: „Antropologiczne a „bastardni” Europa 19. stulecia i 20. stulecia C. K. Norwida

Czeskie wydanie książki jest pełnym przekładem polskiej wersji z 1990 r. Redaktorzy: Jan Henčíl i Jaroslav Eliš oraz tłumacz, Jan Roubal, zaoferowali się o wysoki poziom naukowy dzieła. Dotyczy to zarówno stosowanej przez autorkę terminologii z zakresu nauki o literaturze, jak referowanych przez nią różnorodnych metodologii stosowanych we współczesnej nauce o teatrze (semantologia, strukturalizm, mitokrytyka) oraz w filozofii i teologii. Wydawcy kontaktując się m.in. z Katedrą Dramatu i Teatru KUL, oraz powołując się na czeskie prace z zakresu nauki o teatrze uwspółcześnili obszerną bibliografię dołączoną do książki, obejmującą literaturę przedmiotu w zakresie strukturalizmu, socjologii i semiotyki teatru oraz ogólnej teorii teatru i perspektywy antropologiczne, w jakie on się wpisuje.

Dla czeskiej teatrolologii książka prof. Ireny Sławińskiej posiada szczególną wartość. Jeden z rozdziałów dotyczących semiotyki teatru dotyczy przecież wkładu praskiej szkoły strukturalnej z lat 1931-1941 w rozwój badań nad współczesną semiotyką teatru i in statu nascendi: *Praga 1931-1941*, s. 205-228). Ten czeski akcent podano na okładce książki, a w słowie wstępnym szeroko omówił go profesor Ivo Osofský, który wraz z Miroslavem Prohazkym należy dziś do najwybitniejszych znawców i badaczy osiągnięć „praskiej szkoły”.

Książka prof. Ireny Sławińskiej, będąca planem jej wykładów teatrolologicznych w KUL i na innych uniwersytetach w Polsce i na świecie (m.in. we Francji, Belgii, Szwajcarii, Kanadzie i USA), dociera teraz do Czech. Autorka, która w tym roku obchodzić będzie 50 rocznicę urodzin, z zadowoleniem przyjęła tę edycję, wysoko ceniąc wkład redakcji naukowej i dbając o estetykę wydania (szkic graficzny, twarde oprawy, indeksy). Jest to na pewno wynik autorytetu, jakim cieszy się prof. Sławińska u naszych południowych sąsiadów.

Czeski przekład *Teatru w myśli współczesnej* jest też w pewnym sensie symptomatyczny. Zniknął bowiem drugi człon tytułu: *K antropologii teatru*. Nie wiem, na ile było to zmierzanie wydawców, a na ile eliminacja zbyt długiego tytułu, nadmienię obciążającego uwagę czytelnika. Wydaje się jednak, że współcześni teatrolodzy publicyści w swych badaniach pytają nie o teatr, o jego naturę i udział w życiu człowieka. Irena Sławińska zawsze traktowała swój związek z teatrem jako miejsce szczególne, skądśnego w najgłębszym tego słowa znaczeniu. Teatr jest w jej ujęciu miejscem, gdzie tole rozdzaje Wielki Reżyser, a świat staje się sceną dramatu między Bogiem i człowiekiem. Te nurty badań i refleksji współczesnych myślicieli stała się autorka przywołać w swojej książce. Ona stała się jej najistotniejszym przesłaniem.

Równocześnie dzieło to spełnia jeszcze jedną uroję: przywołuje dokonania światowej teatrolologii, ale w dużej mierze jest prezentacją najlepszych osiągnięć polskich badaczy i w tym sensie otwiera przestrzeń do dalszych twórczych kontaktów między teatrolologami czeskim i polskimi.

Wojciech Kaczmarek

Irena Sławińska, *Divadlo v současném myšlení*. Przekład Jan Roubal. Odpowiedny redaktor: Jan Hančíl. Bibliografię aktualizowali Jan Roubal i Jaroslav Eliš. Nakladatelství Studio Ypsilon, Praha 2002, ss. 480.

MAGDA OPOKA

EMIGRANCY WSZYSTKICH KRAJÓW

O tym, że *dulce et decorum est pro patria mori* – słyszyny już w pierwszej klasie liceum na lekcjach poświęconych literaturze starożytnej. Przyjmujemy to za pewnik, bo jesteśmy nieleńni i nie musimy tego sprawdzać. Oczywiście, nikt nie ma ochoty „umierać za Ojczyznę” (o czym boleśnie przekonują się co raz to inne kraje – w tym roku była to Turcja), ale własnego kraju na pewno byśmy bronili. Co jednak zrobić, gdy ojczyzna nie zapła od nas takich poświęceń? A tu dodatek krótki, dzięki zaskakującej polityce podnoszenia podatków i finansowania czterdziestych pensji pracowników niedochodowych zakładów, nie ma nic do zaoferowania młodym ludziom? Trzeba emigrować.

W Polsce jest to oczywiste. Ludzie po studiach tak przydatnych, jak historia czy politologia, nie mają bez „znajomości” szans na pracę. Magistrom innych kierunków też nie jest łatwo. Wyjeżdżają zatem z nadzieją na nowy wschodni świat. Tam jednak nikt nie czeka na nich z otwartymi ramionami. Kandydaci na emigrantów ze zdziwieniem konstatują, że nie dostają się już punktów za pochodzenie. Trzeba samemu zdobywać miejsce w obcym społeczeństwie. Wielu wraca pokonanych. Jednak wiara w to, że tam, gdzie nas nie ma, jest lepiej, nie jest tylko cechą polską. Przejawiają ją także np. Kubańczycy.

Jesus Diaz opowiada o rodzeństwie wyprawy. Stulin, Lenin i Stalina Martinez mają dobre wykształcenie (dentysta, prawnik i pedagog z tytułem doktorskim), ale na Kubie to nie ma znaczenia. Nie daje bowiem dolarów, a bez nich nie da się tam żyć. Dlatego Lenin i Stalina do Stanów. Aleja książka *Opowiedz mi o Kubie* rozpoczyna się w momencie, gdy drugi brat również chce poprawić swój los za granicą. Stulin jest świetnym lekarzem, ale zarabia grosze. To jednak nie przeszkadza mu dalej egzystować na granicy ubóstwa, gdyby nie to, że jego piękna żona porzucała więcej pieniędzy na „drobne wydatki”. Maż nie mógł jej tego zapewnić. Identy nie rozumiała też, że można być tak głupim, żeby z powodu kobiety wrócić ze Stanów na wyspę. Natomiast doktor Martinez pojął wtedy, że słowo „miłość” ma wiele znaczeń. I nawet między miłośnikami nie musi być tutaj konsensusu. Kiedy dotarło to do Stalina, mógł już z Kuby wyjechać. Aby jednak zacząć żyć normalnie, musiał jeszcze przestać myśleć oficjalną ideologią.

Chciał żyć bez rewera, bez żony i bez domu, oświadczył planiennie, niż zdradzić ojczyznę. A zdradził ją? pomyślał teraz (...) Poczuł się nagle tak kruchy, że słowo ojczyzna wydało mu się zbyt wielkie, by taki szarak jak on mógł przystąpić do niego, czy jako zdrajca, czy jako bohater. Ojczyzna albo śmierć, *amigo* bez przekonania i wyrażenie to, niegdyś tak znajome i bliskie, zabrzmiało teraz w jego uszach dziwnie i niezrozumiale, niby zagadka. Co u diabła jedno miało do drugiego, ojczyzna do śmierci, dupa do adwenta, piernik do wiatraka? A jednak na Kubie śmierć zawsze przynosiła na zdjęciach obok ojczyzny, wolności i socjalizmu, jakby była główną nagrodą w konkursie telewizyjnym, piękną kobietą, która idzie do łóżka tylko z bohaterami poległymi w walce.

Stulin myślał o tym w sytuacji, gdy było wiadomo, że na Kubę wrócić już nie może. Z takiej perspektywy wszystko nabiera zupełnie innego znaczenia. Człowiek nie zastanawia się, jak jutro kupić cokolwiek za resztki gotówki. Dostrzega natomiast rzeczy, które wcześniej przesłaniały mu codzienne troski. Może też wreszcie ocenić intencje bliskich i znajomych. Wybrać tych najlepszych i wyobrazić sobie życie tylko wśród nich. Jednak nie zawsze udało się zrealizować marzenie.

Uczępił się obrazu swojego szczęścia z desperacją rozbitka, uspokoił się, zaczął uśmiechać i był szczęśliwy do momentu, kiedy zanił sobie sprawę, że postaci z jego fotografii mieszkają w różnych miastach i różnych państwach i żaden aparat na świecie nie jest w stanie zrobić im wspólnego zdjęcia.

W swojej książce Diaz pokazuje rozterki „początkującego” emigranta. Jak będzie zachowywał się za jej parę? Można tylko spekulować, patrząc np. na życie rodziny Lenina. On sam zmienił imię na Leo, mieszka w Miami i pracuje jako klaun. Stara się, by jego syn czuł się Amerykaninem. Jeśli uwielbia zatem baseball i zna tylko kilka hiszpańskich słów. Na dodatek babcia straszyla go, że jak będzie niegrzeczny, to przyjdzie nowa Fidel Castro i go porwie. A Miriam, młoda siostrzenica żony Lenina, urodziła się na wyspie, ale mieszkała tam tylko dwa lata. Mimo iż Stalin nie znał angielskiego, dziewczyna ciągle go prosi: opowiedz mi o Kubie. Im mniej miuny wspólnego z przeszłością rodziców, tym bardziej się nią interesujemy.

Najciekawsze w historiach o emigrantach jest to, że w nowym kraju zachowują się tak odmiennie. W rodzinnych stronach nie odczuwali jużkiego szczególnego patriotyzmu. Natomiast ledwo wyjadą na dłużej – rzadko ktoś jest przekonany, że na zawsze – zaczynają mówić o Ojczyźnie i miłości do niej. Na dodatek przez lata zachowują w pamięci swój wizerunek kraju. Nie dopuszczają do siebie nowych informacji, nie pozwalają, by coś zmieniło w tej ikonie. Dlatego najgłośniej krzyczą przeciwko reformom, jakie planują rodzacy. I nie jest to tylko polski problem. Paradoksalnie bowiem ludzie, którzy z jakis powodów ojczyznę zdradzili, opuścili, chcą decydować o jej kształcie. Najlepiej zaś, żeby pozostała taką, jaką ją zapuścili. Ważne też, by dzieci przejęły po nich to przekonanie.

Trafnie przedstawiła to Zadie Smith w swoich *Białych zębach*. Rodzice Millata i Magida łebalów są Bengalczykami. Bliźniacy jednak urodzili się już w Londynie, gdzie teraz wszyscy mieszkają. Nie rozumieją zatem, dlaczego ojciec zabrania im uczestniczyć w święcie plonów razem ze wszystkimi uczniami. Dlaczego mają obchodzić tylko własne uroczystości, o których w szkole nikt nie słyszał? Ostatecznie dostaną pozwolenie na udział w tym święcie, ale tylko dlatego, że opłacie znowu podrywali ich nauczycielkę muzyki.

Saadul Iqbal tęsknił za rodzinnym krajem i idealizował go. Każdemu do znudzenia powtarzał też historię o swoim bohaterstwie przodka. Jego najbardziej radykalna decyzją było wysłanie jednego z bliźniaków do ojczyzny. Oficjalnie chciał go ustrzec od złych wpływów, panujących rzekomo w wielokulturowym Londynie. Tak naprawdę jednak pragnął w ten sposób przekonać sam siebie, że jest porządnym muzułmaninem. Romans z Angielką był wypadką, ale on się poprawi. I będzie jeszcze pobojowiszy i jeszcze bardziej bengalski.

Dzieci jednak nie zamierzają mu się podporządkować. Nie w tym dziwnego, bo aklimatyzują się najłatwiej i nie chcą się wyróżniać wśród innych rówieśników. Ludziom starszym jest już więcej wlepić się w obcą rzeczywistość.

Nie dziwny są zatem, że wielu młodych Polaków wiąże wielkie nadzieje z wejściem do Unii Europejskiej. Jeśli jednak otwarcie granic nie spowoduje napływu nowych inwestycji i stworzenia miejsc pracy, to łatwiej będzie podjąć decyzję o wyjeździe i zniechęcić się ze znanymi już z literatury dylenatami emigrantów.

Magda Opoka

Jesus Diaz: *człowiek i jego Kuba*. Wyd. Żrak, Kraków 2002, ss. 241
Zadie Smith: *Białe zęby*. Wyd. Żrak, Kraków 2002, ss. 501

WACŁAW WOLYŃSKI

„AKCENT” W KANADZIE

Po niedawnych warszawskich prezentacjach kwartalnika w Ambasadzie Kanaady (29.10.2002) i Salonie Pisarzy Biblioteki Narodowej (27.02.2003) „Akcent” został zaproszony do Toronto i Vancouver przez Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie. Bezpośrednią okazją było wydanie obcojęzycznego (260 stron druku) tematycznego numeru „Akcentu” pod hasłem „Polacy Kanadyjczy” (nr 3/2002). W dniach od 22 marca do 1 kwietnia 2003 r. (mimo iż dzięki pomocy ministerstwa kultury i spraw zimmigracyjnych, które sfinansowały przelot) redaktorzy „Akcentu” Waldemar Michałski, Bogusław Wróblewski i Bohdan Żadura przebywali w ośrodkach uniwersyteckich i polonijnych wymienionych miast. Program pobytu był bardzo bogaty, głównie ze względu na niezwykłą gozliwość i sprawność organizacyjną gospodarki.

Toronto

Już w dniu przylotu do Toronto (22.03) delegacja „Akcentu” spotkała się z Zarządem Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie. Ze strony Funduszu obecni byli: Edward Zyman (prezes), Grażyna Kopeć, Marek Kusiba i Henryk Wójcik. Zebranie odbyło się w mieszkaniu prezesa Fundacji Turzańskich, pani Nelli Turzańskiej-Szymborskiej. Rozmawiano na temat działalności PFW, a także ustalono szczegółowy program pobytu przedstawicieli „Akcentu” w Kanadzie. Warto dodać, że przyjazd redaktorów „Akcentu” do Kanady został popczelony intonacjami w prasie polonijnej, m.in. w torontońskim „Dzienniku” („Weekend z Dziennikiem” – nr 56 z dn. 21/23.03.2003, s. 21) ukazała się całokształtowa prezentacja pt. *Redakcja „Akcentu” w Kanadzie* autorstwa Krzysztofa M. Jasiewicza. Także wydawany w Vancouver tygodnik pn. „Gazeta Ludnościowa” zamieścił artykuły i anonse o planowanych spotkaniach gości z „Akcentu” (np. nr 459/2003 s. 20 – tu polin. artykuł Edwarda Zymana pt. *Redakcja „Akcentu” w Kanadzie. W centrum polskiego życia literackiego*).

Z licznych spotkań, nagrań w radiu i wywiadów dla prasy należy przede wszystkim odnotować spotkania na terenie Uniwersytetu w Toronto. We wtorek, 25 marca o godz. 13.00 Polski Fundusz Wydawniczy i Polonistyka na Uniwersytecie Torontockim zorganizowały, przy dużej (mimo atmosfery zagrożenia epidemią SARS) frekwencji słuchaczy, głównie pracowników i studentów, wykład Bohdana Żadury pt. *Porty in Post Communist Poland*. Spotkanie prowadziła prof. Tania Trojaskowska – kierownik polonistyki tutejszego uniwersytetu. Później, również na terenie uniwersytetu, o godz. 19.00, odbył się zimmorowy wieczór autorski przedstawicieli „Akcentu” pt. *W centrum literatury, na pograniczu kultur*. W trakcie spotkania miało miejsce bardzo udane spotkanie „kanadyjskiego” numeru „Akcentu”, którego współautorami lub bohaterami są polscy pisarze mieszkający w Toronto i Vancouver.

Ważnym wydarzeniem, zarówno dla gości z Polski jak i licznie przybyłych miejscowych Polaków, była promocja „Akcentu” zorganizowana w Konsulacie Rzeczypospolitej Polski w Toronto. Gospodarzem wieczoru był konsul Piotr Sirutynski. Obecni byli przedstawiciele miejscowego środowiska naukowego i artystycznego, przeważnie polskiego pochodzenia, filatrycy, pisarze, muzycy, dziennikarze, m.in. seniora plastyków polskich w Kanadzie pani Bronka Michulowska, poeta Aleksander Rybczyński, dziennikarz i poeta Marek Kusiba i in. W rozmowach dominowało przesłanie: „Polska jest tam, gdzie są Polacy.”

Milym akcentem wizyty w Toronto były także prywatne spotkania, szczególnie w Gabe Art Gallery (23.03.03), gdzie prezentował swoje najnowsze prace malarstwo mieszkający tu Jerzy Kołacz (notabene jego obrazy ilustrują kanadyjski numer „Akcentu”) oraz w domach prywatnych, m.in. poety Romana Chojnickiego (23.03.03), dyrektor PFW w Kanadzie Grażyny Kopeć, poetyka, prof. Andrzej Wienczowski



Wkrótce po przylocie do Toronto rozpoczęły się ożywione dyskusje. Od lewej: Edward Zyman, Roman Chojnicki, Waldemar Michałski, Bogusław Wróblewski. Fot. Henryk Wójcik



Nad wodospadem Niagara. Od lewej: Bogusław Wróblewski, Barbara Kusiba, Bohdan Zadura, Edward Zyman, Grażyna Kopce, Waldemar Michalski.
Fot. Henryk Wójcik

(25.03.03) oraz Marka i Barbary Kusibów (26.03.03). Dyskutowano o kondycji polskiego pisarstwa w Kanadzie, o niezbędnej dla pisarza łączności z Macierzą oraz o planach autorskich i wydawniczych „polskich Kanadyjczyków” podejmowanych także we współpracy ze Wschodnią Fundacją Kultury „Akcent”. Niewątpliwie do bardzo istotnych punktów programu należy zaliczyć zwiedzanie Rixman Library (24.03.03), czyli Biblioteki Uniwersytetu Torontowskiego. Podejmując gości z Lublina dr Mary Stevens zauważyła, że wśród zespołu sześciu milionów książek i czasopism poczesnie miejsce zajmuje kompletny zbiór lubelskiego „Akcentu” z dwudziestu trzech lat, uzupełniony właśnie przez gości z Polski o kilka brakujących roczników. Zwiedzanie miasta, wyjazd do Kleinburga – centrum narodowej galerii kanadyjskiej sztuki i sztuki ekspozycji malarstwa „Grupy Siedmiu”, a także wycieczka nad Niagarę wzbogaciły program pobytu delegacji „Akcentu” w Toronto.

Vancouver

Ryszard Kapuściński powiedział kiedyś o Vancouver, że jest to „nieprzyzwoicie piękne miasto”. Niebawem goście z Lublina mieli okazję przekonać się o słuszności tego stwierdzenia. W ciągu pół godziny można było jechać na nartach po otaczających miasto stokach zamiennie na opalanie się na pokładzie jachtu płynącego po oceanie. To duży ośrodek uniwersytecki i kilkunastotysieczne skupisko Polaków. Jest to także szczególnie liczna i aktywna, podobnie jak w Toronto, grupa „emigracji „posolidnościowej”. Pobyt w Vancouver otworzył widzieli w miejscowym konsulacie RP na zaproszenie konsula generalnego p. Krzysztofa Czapli. Tu goście poznali m.in. jednego z seniorów polskiego środowiska literackiego na obczyźnie prof. Bogdana Czyrkowskiego i wybitną tłumaczkę z języka rosyjskiego na polski p. Olę Medwedewą, spotkali także tłumacza, konsula i hieronima Włodarczyka.

Podobnie jak w Toronto bardzo ważne były spotkania na uniwersytecie w Vancouver oraz w lokalu Stowarzyszenia Polskich Komitantów. W poniedziałek, 31 marca o godz. 12.00 na Wydziale Sławiistyki Uniwersytetu British Columbia w Vancouver red. Bohdan Zadura powtórzył swój odczyt z Toronto. Spotkanie prowadził poeta i wieloletni profesor tutejszego uniwersytetu Bogdan Czyrkowski. Wiersze Zadury czytał w swoim i Czyrkowskiego tłumaczeniu Andrzej Buszu – także poeta i profesor Uniwersytetu British Columbia w Vancouver. Tego samego dnia o godz. 19.30 rozpoczął się wieczór autorski Waldemara Michalskiego, Bogusława Wróblewskiego i Bohdana Zadury w lokalu PSK, zorganizowany przez Polski Instytut Naukowy w Kanadzie oraz środowisko polskiej inteligencji (w tym kilku poetów) skupione w grupie „Epizod”. Dyskusja o miejscu literatury i książki we współczesnym świecie oraz odpowiedzi na liczne pytania zgromadzonych uczestników literackiego wieczoru trwały do północy. Było to spotkanie ważne dla obydwu stron. Z grupą „Epizod”



W Niagara on the Lake, przed pomnikiem G. B. Shawa. Stoją od lewej: Grażyna Kopce, Barbara Kusiba, Bogusław Wróblewski, Marek Kusiba, Edward Zyman, Bohdan Zadura, przykucają: Waldemar Michalski, Henryk Wójcik.

przedstawiciele „Akcentu” mieli już okazję spotkać się wcześniej, 28 marca, na wieczornym nauce, podczas którego m.in. odpowiadali na liczne pytania dotyczące własnej twórczości i kondycji sztuki we współczesnej Polsce.

Rozmowy o planach translatorskich i wydawniczych, a dotyczących współczesnej poezji w Kanadzie i Polsce toczyły się także przez kilka wieczornych godzin 1.04. w prywatnym domu Wilhelminy i Andrzeja Buszów. Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie chciałby uruchomić serię przekładów poezji polskiej na język angielski i ulokować ją w dobrym wydawnictwie kanadyjskim (znalazłby się w niej m.in. tom wierszy Bohdana Zadury). Rozmawiano o obecności „polskich Kanadyjczyków” na polskim rynku wydawniczym – na wydanie czekają nowe książki poetyckie Romana Chojackiego, Edwarda Zymana i Marka Kusiby. Dyskutowano także z Bogdanem Czyrkowskim – autorem niedawno opublikowanej *Antologii poezji polskiej na obczyźnie 1939-1999* (Toronto - Warszawa 2002) na temat koncepcji i pracy redakcyjnej nad jego książką.

Nie byłoby jednak pobytu „Akcentu” w Vancouver, a może nawet w Kanadzie, gdyby nie wspomiana Anna Lubiec-Luba – niezwykle piekuniu i organizacyjnie niezastąpiona działaczka polonijna w Kanadzie. To ona czuwała nad realizacją programu pobytu „Trzech muskietierów” w Vancouver. To także w prywatnym salonie literatów Anny i Gilberta Bartholomew, w domu pięknie położonym na zboczach góry zielonym dywanem schodzącej do oceanu, miał miejsce (29.03.03) w Lions Bay pod Vancouver niezapomniany wieczór autorski Michalskiego, Wróblewskiego i Zadury zatytułowany *Znow jasn widzieć w zachwyceniu*, będący utoprezentacją twórczości poetów z „Akcentu”, jak również rozmową o języku i strukturze współczesnej poezji. W literackim



Jerzy Koliacz (z lewej) z żoną Ewą w towarzystwie B. Wróblewskiego i E. Zymara.
Fot. Henryk Wójcik.

salonie p. Anny spikowało się kilkudziesięciu humanistów reprezentujących różne dyscypliny nauki i sztuki. Spotkanie prowadził prof. Andrzej Bursa.

W Vancouver, podobnie jak w Toronto, roboczą wizytę uatrakcyjniał program turystyczny, który mógł być zrealizowany dzięki panu inżynierowi Wiesławowi Motyce, poświęcającemu swój czas, samochód i dom gościom z Lublina. Pobyt w Vancouver i Kanadzie dobiegł końca 2 kwietnia 2003 – linie lotnicze Air Canada i polski LOT okazały się niezawodne i kilkanaście godzin lotu do Warszawy minęło bez zakłóceń.

Wacław Wołyński

SLAWOMIR RUDNICKI

BENEFIS BOHDANA ZADURY

28 września 2002

Czterdzieści lat temu na łamach „Kamienia” zadebiutował (siedemnastoletni wówczas) Bohdan Zadura. Dzisiaj jest uznanym w kraju i za granicą poetą, prozaikiem, tłumaczem oraz eseistą, laureatem wielu prestiżowych nagród. Jego życie i twórczość związane są z Puławami, gdzie się urodził i mieszka. Najdłuższe rozstanie Zadury z rodzinnym miastem trwało cztery miesiące. Myślę, że nie wymaga to komentarza. Są poeci-urzędnicy, którzy ciągle wędrują poszukując swej Arkadii, i tacy, którzy odnaleźli ją u początków drogi twórczej. Co nie przeszkadza im w okazjonalnych wojazach po świecie. Zadura należy do tych drugich. Miasto Izabeli Czartoryskiej i Zakładów Artystycznych jest także miastem Wybitnego Poety. Co więcej – dla ludzi śledzących życie literackie w Polsce „Bohdan Zadura” jest jakby logo Puław! Żadne miasto – poza Krakowem i Wisławą Szymborskiej – nie ma swego tak szatanurkowego piecyka. Po przez benefis Puławy choć w części spłacają dług swemu poecie.

Sama uroczystość zaczęła się o godz. 16 w sali balowej Pałacu Czartoryskich, w której zebrało się ok. 250 osób. Przybyli m.in. prezes Towarzystwa Przyjaciół Puław dr

Edward Ślusarczyk, zastępca dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Marszałkowskiego Województwa Lubelskiego dr Ryszard Setnik, starosta powiatu puławskiego Henryk Wietczorek, prezydent Puław Janusz Grobel, przedstawiciel British Council – Cathal McCabe, poeta z Ukrainy Mykoła Rihaczuk oraz organizator wydarzenia Wojciech Kuba. O prozatorskich dokonaniach Zadury mówił red. nacz. „Akcentu” dr Bogusław Wróblewski, poezję natomiast zajął się Andrzej Sosnowski – zastępca red. nacz. „Literatury na Świecie”. Obydwa wystąpienia były dosyć błyskotliwe, w syntetycznej formie ukazały warsztat twórcy i ideowe pryncypia poety oraz podkreślały, że wartości uniwersalne literatury zawsze mają konkretne korzenie, w tym wypadku puławskie. A. Sosnowski wyraził też życzenie, by w bliskiej przyszłości na mapie podróży B. Zadury znalazł się Sztokholm. Następnie zabierali głos goście. Mnie, świadomemu z wyboru i zaudowanego wierszowi Bohdana, nie dano przemówić. Uczytnię to z okazji osiemnastolecia debiutu literackiego Zadury.

Następnie wystąpił zespół muzyczny Michała Małusa z koncertem poezji śpiewanej do tekstów jubilata, który faktem tym był mile zaskoczony, nie przypuszczając bowiem, iż jego wyidealizowane wiersze można zamienić w piękne piosenki. Benefisjent (termin autorstwa Boya-Zeleńskiego) otrzymał też medal, dyplomy uznania i kwiaty, gratulacje od bliskich i znajomych. Część oficjalną zakończyła gorąca owacja na stojąco.

Zebrań mogli nabyć tom wierszy Bohdana Zadury o Puławach pt. *Stęgi*, opublikowany przez Wydawnictwa UMCS w Lublinie i Towarzystwo Przyjaciół Puław. W tym samym pomieszczeniu zorganizowano wystawę fotograficzną *Pisarzy portret własny* Elżbiety Lempp, na której wśród współczesnych twórców mowy ojczyściej jaśniała zadumana i fotogeniczna twarz puławskiego poety.

O godz. 18 odbył się maut w willi Samotnia należącej do Towarzystwa Przyjaciół Puław. W uroczych wnętrzach budowli, przy ogniu na kominku i z lampką wina (wódka i whisky też były) zaproszone bractwo oddało się subtelnej konwersacji.

Slawomir Rudnicki

PS Na pytanie red. Anny Filipowskiej z Puławskiej Telewizji Kablowej, czy uważa się za najwybitniejszego poetę w kraju, B. Zadura odpowiedział, że pisanie wierszy ciągle sprawia mu przyjemność i czynności tej nie traktuje jako współzawodnictwa sportowego. Tak trzymać, Drogi Bohdanie! „Sursum corda, ale nie wyżej noggi!” – jak mawiał St. J. Łuc.

O TWÓRCZOŚCI BOHDANA ZADURY PISALI

Poemat „Cisza” Bohdana Zadury nie jest konserwatywną ucieczką poety w bezpieczną przeszłość literackich stylów i manier. Jest to w swojej warstwie obrazów zdarzeń, bohaterów i wypowiedzanych sądów czy refleksji utwór absolutnie współczesny. Co więcej utwór bardziej nawet realistyczny w swoim obrazie Polski stanu wojennego niż wiele znanych lepiej postromantycznych wylewów żalu czy gniewu innych autorów.

Stanisław Barańczak: „Nowy Dziennik. Przegląd Polski”, 30 kwietnia 1992
Co drugi poeta, który zadebiutował po 1989 roku, a więc ktoś między 20. a 40. rokiem życia, zapytany o to, którego z poetów starszego pokolenia ceni najwyżej, bez wahania wymieni nazwisko Bohdana Zadury. To fakt, dzisiaj Zadura jest gwiazdą pierwszej wielkości. Wywiady z nim przeprowadziły bodaj wszystkie młodoliterackie pisma, jakie w ostatniej dekadzie ubrodziły w naszym kraju nieczym grzyby po deszczu. O jego książkach pisze się bez wyjątku entuzjastycznie.

Janusz Drzewucki: „Rzeczpospolita”, 2001, nr 154

Kto dzisiaj jest prawdziwie portą w Polsce czytamy? (...) Osoby przyglądające się krytyce kół poprzednich lat raczej nie mają wątpliwości, że jednym z takich twórców jest Bohdan Zadura. W jego wiersze i szkice literackie wczytują się chętnie inni autorzy, zwiastują młodość, poematem „Cisza” odnowił on ważne w sercach ludzi pranieciażęcych stan wojenny, ostatnio wydanymi książkami kruszy opór i nieufność części krytyki literackiej. (...) Zadura jest dzisiaj autorem wyniosłym pomiędzy tym, co w nowocześnie poezji hermetyczne i hermeneutyczne, odgrywa rolę pośrednika między muzyką i sensem.

Piotr Śliwinski: „Śląski Wawrzyn Literacki 2001”, Katowice 2002

Bohdan Zadura jest jednym z najważniejszych poetów polskich ostatniej dekady nie tylko dlatego, że kilka lat temu pozycję jego twórczości poetyckiej wyznaczył Piotr

Sommer. (...) Ohecho ranga poezji Zadury jest konsekwencją niechylnej rozpiętości skali jego poetyki oraz niesłychanej subtelności, a zarazem przewrotności jego języka. Jest to poezja, która w niejednorodny i intensywny sposób komunikuje się zarówno z rzeczywistością pozajęzykową jak i tradycją literacką. Jest to poezja – ze się tak nieśmiało wyrażę – pluralistyczna, multimedialna i interaktywna.

Zbigniew Machaj: „Gazeta Porteczna 5”, 1999

wybrał S.R.

ANETA WYSOCKA

WERNISAŻE LITERACKIE „AKCENTU”

w I półroczu 2003

„Wernisaże literackie Akcentu” – cykliczne (na ogół comiesięczne) spotkania z poetami, prozakami, krytykami literackimi – mają już dziesięcioletnią tradycję. Stanowią nie tylko formę promocji nowo wydanych książek, lecz także są okazją do spotkania się i podyskutowania o zjawiskach zachodzących w kulturze. Punktem wyjścia rozmów są zawsze konkretne dzieła literackie, ale nieradko przenoszą się one w purgodzinne debaty o rozmaitych problemach rzeczywistości humanistycznej.

Inicjowanie spontanicznej wymiany myśli wydaje się być szczególną wartością „wernisaży literackich”. Wynika to w jakiejś mierze zarówno z doboru tematów, jak uczestników spotkań, dokonywanego z dbałością o to, by ogląd zjawisk artystycznych był wieloaspektowy. Jednym ze sposobów osiągnięcia owej różnorodności jest zapraszanie ludzi z rozmaitych środowisk twórczych czy ośrodków akademickich, także spoza regionu lubelskiego i spoza kraju (w latach ubiegłych „Akcent” gościł m.in. Stanisława Barańczaka, Tadeusza Chabrowskiego, Annę Frąckich, Gerta Heidenreicha, Aleksandra Irwinę, Istvána Kovácsa, Ericha Loesta, Danutę Mostwin, Tomasza Venclovę i Mykołę Ribińczuka).

Od stycznia do maja 2003 roku odbyło się pięć „wernisaży literackich”, które zachowały ową formułę różnorodności. Ich bohaterami byli: ksiądz poeta i filozof ze środowiska Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Krzysztof Guzowski (9 stycznia), polski reporter o międzynarodowej sławie Ryszard Kapuściński (20 lutego), amerykański poeta John Guzlowski (12 marca), krytyk literatury i historyk przekładu artystycznego Wacław Sadkowski (29 kwietnia), poetka Ewa Ostrowska (28 maja).



John Guzlowski (z lewej) i Waldemar Michalski w redakcji „Akcentu”.

Fot. Bogusław Wróblewski



Ryszard Kapuściński po odebraniu Nagrody WTK „Akcent” z rąk prof. Jerzego Święchu w Trybunale Koronnym w Lublinie.
Fot. Iwona Burdżanowska

Prezentowany na styczniowym „wernisażu” poemat Krzysztofa Guzowskiego *Hłypy* (Gaudium, 2001) zainspirował szereg ciekawych refleksji nad problemem stosunku człowieka jako indywidualności do otaczającego świata – tego, co bliskie, i tego, co dalekie. Słowo-kluczem stał się *dom* i jego kontekstowy synonim *wyspa*, umacniające w poezji Guzowskiego miejsce na ziemi uważane za własne – skąd się wyrasta i dokąd się powraca. Słowo wstępne wygłosił i dyskusję poprowadził Waldemar Michalski.

Spotkanie lutowe miało bardzo szczególny charakter, gdyż wiązało się z wręczeniem Ryszardowi Kapuścińskiemu Medalu Wschodniej Fundacji Kultury „Akcent”, przyznanego „w dowód uznania dla Jego dzieła jednoczącego ludzi różnych narodów i kultur”. Ze względu na swoją rangę, a także bardzo licznie zgromadzoną publiczność, uroczystość odbyła się w Trybunale Koronnym w Lublinie. O twórczości Laureata mówili Tadeusz Szkolut (wykład pt. *Tajemnice Lapidariów*) i Aneta Wysocka (*O języku twórczości Ryszarda Kapuścińskiego*). Teksty obu wystąpień publikujemy w tym numerze „Akcentu”. Podczas spotkania Ryszard Kapuściński mówił o swojej powstającej właśnie książce, której bohaterem będzie Herodot. Wybór tematu jest nieprzypadkowy – pisarstwo historyka starożytności łączy z dziełem Ryszarda Kapuścińskiego nie tylko „poznawanie centrów i zakamarków świata” oraz relacjonowanie zdarzeń, lecz także stosunek do ludzi, nacechowany tolerancją i szacunkiem dla odmienności.

W trakcie gościa „Akcentu” był amerykański poeta polskiego pochodzenia John Guzlowski, autor m.in. tomu *Język młotów*, wydanego w oficynie Polonica w 2002 r. Wiersze tłumaczył Bohdan Zadurski, on też poprowadził spotkanie. W twórczości Johna Guzlowskiego wiele miejsca zajmują opisy doświadczeń z czasów II wojny światowej. Temat ten nie byłby sam w sobie niczym niezwykłym, gdyby nie to, że podejmuje go Amerykanin, który wojny nie pamięta (urodził się w 1948 roku w obozie dla dżipisów w Niemczech), po polsku nie mówi, a ojczyznę swoich dziadków odwiedził po raz pierwszy dopiero w latach dziewięćdziesiątych. Jego wiersze, bardzo przejmujące i prawdziwe, mają więc źródło w opowieściach rodziców. Fakt ten wybudził duże zainteresowanie publiczności, podobnie jak problem żywej recepcji poezji o tematyce wojennej przez całą publiczność amerykańską.

Bohaterem kwietniowego wernisażu był Wacław Sadkowski, krytyk literacki, eseista i tłumacz. Prezentował swoją najnowszą książkę *Odpowiednie dać słowo słowo. Zarys dziejów przekładu literackiego w Polsce* (Prószyński i S-ka, 2002), omawiającą w sposób syntetyczny zjawiska z zakresu praktyki i teorii translatorskiej (w tej właśnie kolejności) od średniowiecza do czasów najnowszych. Sylwetkę twórcy autora prezentowała Monika Adamczyk-Garbowska. W dyskusji na plus pierwszy wysunął się problem tego, jakie miejsce zajmują przekłady dzieł obcych w piśmiennictwie polskim.

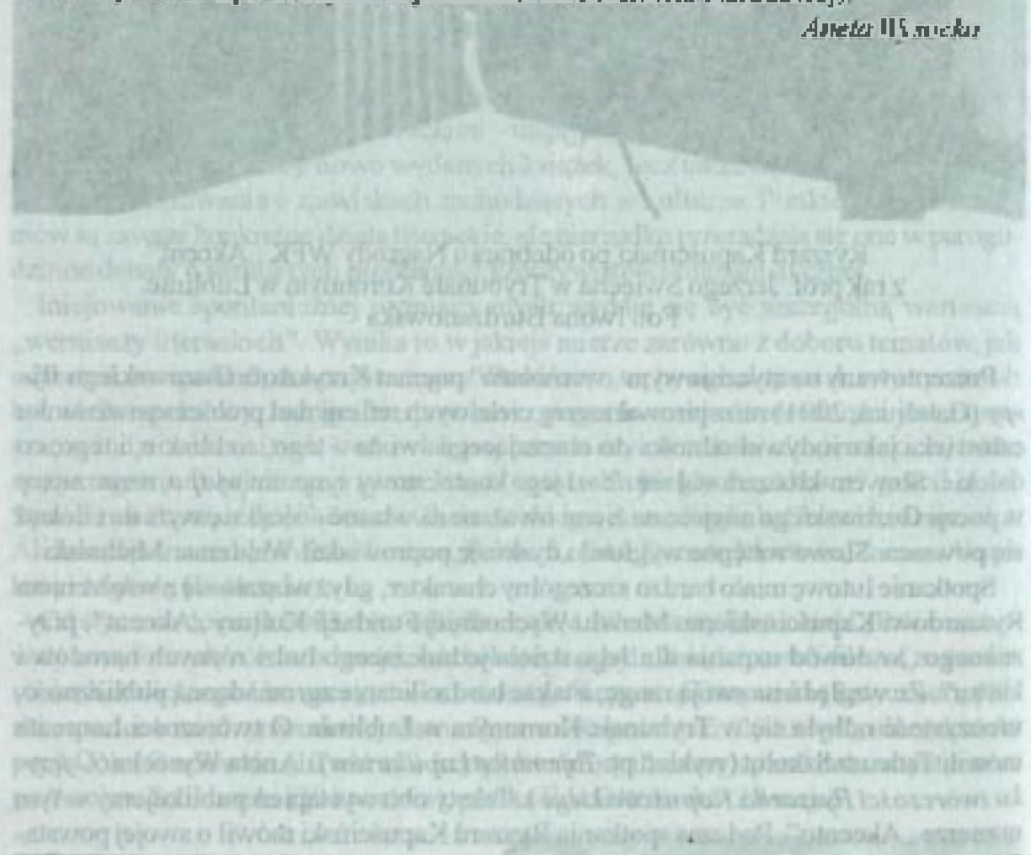
i jaka jest ich rola w kształtowaniu kultury literackiej oraz rozwoju języka. W pyłach publiczności powrócił także odwieczny i – jak się okazuje – ciągle aktualny dyktando: czy przekład ma być przede wszystkim wierny, czy też piękny.

Kolejnym wernisażem literackim „Akcentu” było majowe spotkanie z poetką Ildą Ostrowską, autorką niedawno opublikowanego wyboru wierszy pt. *Spotkanie Chrysta* (Norbertinum 2003), która debiutowała w „Akencie” (1. 2 z 1980 r.). Oryginalna poezja Ostrowskiej oscylująca nieustannie między sacrum a profanum spotkała się z dużym zainteresowaniem uczestników wernisażu. Duli temu wyraz w dyskusji, komentując m.in. „witrażowi” konstrukcję tej liryki i niebanalny język nie stroniący od „mocy” sformułowań i kontrastowych zestawień. Wernisaż zorganizowany był wspólnie z Wojewódzką Biblioteką im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie.

W czerwcu planowane jest spotkanie w „Akencie” z dr. Ludmiłą Saryk, autorką książki pt. *Naznaczeni Ukrainą. O twórczości Józefa Łobodowskiego* (UMCS 2002).

W 2003 r. organizacja „wernisaży literackich Akcentu” nie byłaby możliwa bez pomocy Poczty Polskiej, która ostatnio znakomicie spełnia rolę mecenasu wobec kilku przedsięwzięć kulturalnych (z pozostałych inicjatyw objętych opieką Poczty Polskiej warto wymienić np. uroczystości jubileuszowe Biblioteki Narodowej).

Aneta Hłucka



W poprzednim numerze:

István Kovács: *wiersze* • Tadeusz Siejak: *Kulturysta* • Edward Fiala: *Gombrowicz eschatologiczny* • Anna Maria Goławska: *wiersze* • Tadeusz Zubiński: *Studnia zapomnienia* • Przemysław Jurk: *Zparafii* • Aleksander Wójciewicz: *Tam, gdzie zawiódła demokracja. Ferdynanda Giertha droga do faszyzmu* • Dariusz Bitner: *Dopelnienie* • Marek Krystian Emanuel Baczewski: *Czy Baczewski może zostać zżawiony?* • Paweł Przywara: *Antynomia Zadury* • Romuald Mieczkowski: *Wileńskie etudy* • Olga Fliszewska: *wiersze* • Bogusław Biela: *Odsłony z niedalekiej przyszłości* • Agnieszka Cwiąg: *Aleksandria na kwartet (dojrzwienie do miłości współczesnej)* • Piotr Zeltinger: *Bezmięsny poniedziałek* • Eugenijus Alisanka: *wiersze* • Magdalena Howorus-Czajka: *Jackson Pollock – życie i twórczość* • Katarzyna Matys: *Kordian samotny i zagubiony* • Ludwik Gawoński: *Saga rodu Wieniawskich* • Joanna Krupa: *Rozterki współczesnego ciała* • Rozmowy z Markiem Koterskim i Dymitrem Pawłycką • Recenzje • Noty • Reprodukacje prac plastycznych

Informujemy Czytelników, że sprzedaż AKCENTU prowadzą m.in. księgarnie:

Lubelskie Centrum Taniej Książki „Lotnia” Wieniawska 3 20-071 Lublin tel. 532-54-41	Księgarnia Wydawnictw Naukowych „Elefant” ul. Podwale 6 31-118 Kraków tel. 422-90-57, 422-37-17
Księgarnia „Ezop” Krakowskie Przedmieście 62 20-076 Lublin tel. 532-56-15	Księgarnia Akademicka ul. Św. Anny 12 31-008 Kraków tel. 422-04-11 w. 167
Księgarnia Medyczna ul. Ilciple 5 20-008 Lublin tel. 532-61-53	Poznańska Księgarnia Naukowa „Kapitałka” ul. Mielżyńskiego 27/29 61-725 Poznań tel. 852-45-16
Księgarnia „Bibliopola” ul. Narutowicza 27 20-004 Lublin tel. 532-20-32	Główna Księgarnia Naukowa im. B. Prusa ul. Krakowskie Przedmieście 7 00-068 Warszawa tel. 826-18-33
Księgarnia im. Karłowicza Szczepańskiego ul. Rynek 6 20-111 Lublin tel. 534-65-87	Księgarnia ORPAN „BIS” ul. Twarda 51/55 00-818 Warszawa tel. 697-88-35
Galeria ZPAP Krakowskie Przedmieście 62 20-076 Lublin	Księgarnia „Ordo” ul. Hoża 19 00-521 Warszawa tel. 621-80-69
Księgarnia Pawielszyńska Mae M. Curie-Skłodowskiej 5 20-031 Lublin tel. 537-54-13	Księgarnia „Czytelnik” ul. Wiejska 14 00-490 Warszawa tel. 621-36-55
Księgarnia prowdzi sprzedaż wydawnictwa „Akcentu”	Księgarnia WSiP Al. Wojska Polskiego 69 65-625 Zielona Góra tel. 326-35-20 w. 220
Księgarnia Akademicka „LIBRA” ul. Rejtana 16 c 35-310 Rzeszów tel. 86-25-628 w. 1120	

Tu do nabycia m.in. numery:

z 1996: 2 – artykuły o T. Konwickim: literatura „cyberpunkowa”; 3 – poematy (A. Sosnowski, D. Poka, W. Wirpsza, K. Brakoniecki, W. Michalski), sensytyzm K. Głaza; 4 – esej R. Kapuścińskiego: polska liryka kobieca i współczesna twórczość Indian amerykańskich;
z 1997: 1 – m.in. szkice o twórczości M. Chygalla i „Noe poetów” B. Zadury; 2 – polsko-angielskojęzyczna twórczość „polskich Amerykanów”; 3 – nagrowana esejystyka: poezja i proza ukraińska; 4 – poezja debiutantów i szkice o Herbercie, Kuncowiczowej, Kosinskim;
z 1998: 1-2 – nowe piosenki W. Młynarskiego, esej Ch. Shmeraka; 3 – pt. „Kanał Wojtyły – poeta domabing. Idzie!”; 4 – „Berlin – Lipsk – Wiedeń”;
z 1999: 1 – proza T. Mirkowicza, S. Pokraki, A. Wiedemann: korespondencja E. Stębnury, listy Z. Kosak-Szczuckiej do J. Birkennajera; 2 – sylwetka W. Maja, notatnik F. Zygulowicza, rozmowa z G. Herlingiem-Grudzińskim, grafika G. Muzarku; 3-4 – 10 polskich poetów, szkice o twórczości ks. J. Twardowskiego, o kulturze Huculów, poezja Węgrów z Siedmiogrodu;
z 2000: 1-2 – szkice o dramaturgii Gombrowicza, proza A. Appelleida, grafika S. Baldygi; 3 – „Czytanie Ułrany” (współczesna proza i poezja ukraińska); 4 – eseje o M. Głowińskim, H. Grynbergu, T. Śliwku i A. Zielińskim, proza M. Piętrzy, Z. Mustamuka, T. Zubińskiego;
z 2001: 1-2 – eseje o femme fatale i Toulouse-Lautrecu; wokół „Hebenu” Kapuścińskiego; radio warszawskie czy ogólnopolskie?; 3 – wiersze M. Cielę, T. Melanowskiego, P. Macieżyńskiego, A. Stevenson; proza J. Bierota, K. Barczaka; 4 – Media wobec pogranicza kultur (Bartosiński, Kapuściński, Kowles, Kłoczowski, Oszajca, Pawłycka, Sommer);
z 2002: 1-2 – Młodo gniewno – nowa jakość w prozie kobiet, Czarni Amerykanie; 3 – „Polscy Kanadyjczycy” (W. Iwanuk, A. Busza, B. Czaykowski, M. Kusiba, E. Śmieja, E. Zymna); 4 – eseje o Gombrowiczu i Zadurze, wiersze I. Kawięsa i E. Alisunki, rozmowy z M. Koterskim i D. Pawłycką, wileńska proza R. Mieczkowskiego oraz *Saga rodu Wieniawskich*.

Zainteresowani zakupem archiwalnych numerów mogą się także zwracać bezpośrednio do redakcji „Akcentu”.

W ciągu minionych pięciu lat udzieliły redakcji wsparcia m.in.:
Fundacja Kultury, Fundacja Batorego, Ambasada Amerykańska,
Ambasada Kanadyjska, Ambasada Węgierska, Centertel SA.

Dziękujemy!

*Wdzięczni jesteśmy Autorom, którzy zrezygnowali
z honorariów za swoje publikacje w „Akcentie”.*

Wschodnia Fundacja Kultury AKCENT składa gorące
podziękowania wszystkim, którzy dokonali wplai na jej działalność.
Byli to m.in.: Ambasada USA w Warszawie, Ambasada Węgier w War-
szawie, Aharon Appelfeld, Stanisław Bask-Mostwin, Centertel SA, Ta-
deusz Chabrowski, Włada Chałko, Anna Frajlich-Zajac, Fundacja Wła-
dysława i Nelli Turzańskich, Benjamin Harshav, Ferdynand Hebał, Alina
Kochańczyk, Tadeusz Kuduk, Adam Lizakowski, Ryszard Löw, Sofia
Majdańska, Wojciech Młynarski, Montex S.A., Alina Nowicka, Polski
Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Mira Puacz, Magdalena Rudiuk, ks.
prof. Tadeusz Styczeń, Western Union, Maciej Woliński, Zomar S.A.

**Pamiętamy o poetach i krytykach, którzy w całości
lub w części przekazali na konto Fundacji swe honoraria
za udział w „wernisazach literackich” AKCENTU:**

Monice Adamczyk-Garbowskiej, Elżbiecie Cichli-Czarniawskiej, Tadeu-
szu Chabrowskim, Marku Danielkiewicz, Kate Delaney, Leszku Dlu-
goszu, Józefie Fercie, Krystynie Głowniak, Marianie Grześczaku, Michale
Jagielle, Ryszardzie Kapuścińskim, Tadeuszu Karabowiczu, Marianie J.
Kawałko, Tadeuszu Konwickim, Istvánie Kovácsu, Henryku Kozaku,
Janie Leonczuku, Ewie Mazur, Regine Möbius, Edzie Ostrowskiej, Bronis-
ławie Pietraku, Stanisławie Popku, Tadeuszu Szkolucie, Jerzym Święchu,
Bolesławie Taborskim, ks. Alfredzie Wierzbickim, Adamie Zielińskim.

**Regularne otrzymywanie „Akcentu”
zapewnia prenumerata!**

Wykaz salonów prasowych oraz wybranych punktów sprzedaży „Akcentu” w sieci RUCH SA

Andrychów, ul. Lepartowicza
Biał Podlaska, ul. Orzechowa 34
Białystok, ul. Raginisa 9/10
Białsk Podlaski, ul. Mickiewicza
Bielsko-Biala, ul. Warszawska 28
Bydgoszcz, ul. Kruszycka (Geant),
ul. Długa 11,
ul. Podwale 11,
ul. Magnuszewska 6 (ETC)

Chełm, ul. Lubelska 70
Ciechanów, ul. Warszawska 62
Częstochowa, Al. Pokoju
Elbląg, ul. 1 Maja,
ul. Bahuckiego
Gdańsk, ul. Długi Targ,
Podwale Grudzkie,
ul. Złota Brana
Gdańsk-Zukowa, ul. Gdynska
Gdynia, ul. Starowiejska,
ul. Świętojańska
Gorzów Wlkp., ul. Sikorskiego 126/128
Jasło, ul. Baczyńskiego 13
Jelenia Góra, Pl. Ratuszowy 26
Kalisz, ul. Narutowicza 1
Katowice, Al. Katowicego 9,
Dworzec PKP - hall główny,
Dworzec PKP

Kętrzyn, ul. Powstańców Warszawy
Kielce, ul. Paderewskiego 11,
ul. Warszawska 5
Kłodzko, ul. Rokicza 42
Kłodzko, ul. Warszawska
Kraków, ul. Ben. Komorowskiego 37,
ul. Andersa 9,
ul. Kościuszki, ul. Pawia 20
Leszno, ul. Rynek,
Osiedle Armii Krajowej,
ul. Leszczyńskich 2
Lublin, ul. Kiłińskiego
Lublin, ul. Zamojska 24,
ul. Krakowskie Przedmieście 59
ul. Poowinków 12,
Dworzec PKP (peron 1),
Krok. Przedmieście (Cmentarz Saski)
Łomża, Al. Legionów 50, paw. 8
Łowicz, ul. Browarna 9
Łódź, ul. Dąbrowskiego 60,
ul. Sienkiewicza 59,
ul. Zgierska 26
Małbork, ul. Dworcowa
Morąg, ul. 3 Maja
Mogilno, ul. Kiełbasowa
Nowy Sącz, Rynek 17

Olsztyn, ul. Dybowskiego, ul. 1 Maja
Opole, ul. Ozimska - „Opolain”,
ul. Piastowska (Urząd Woj.)
Ostrółęka, ul. Główna 5 (księgarnia
UNDERGROUND)

Pila, ul. Matwieja 16 H.
Hotel Ratto
Plock, ul. Kobylńskiego 2
Poznań, ul. Stary Rynek 83,
ul. Gwama 11,
ul. Grochowska/Matejowska

Pubry, ul. Centralna 10
Radom, ul. Toruńska 1 (E. Leclerc)
Rzeszów, ul. Zygmuntowska 5,
ul. Podwale 6/4

Sandomierz, ul. Mickiewicza
Sopot, ul. 3 Maja
Starogard Gd., ul. Paderewskiego,
ul. Sikorskiego,
ul. Hallera

Staszów, ul. Rynek 16
Suwałki, ul. Waryńskiego 18
Szczecin, pl. Helmuta Pruskiego 8,
ul. Czackiego 3

Teraz, ul. Dąbrowskiego,
ul. Sapieżyńska
Toruń, ul. Grudzińska 45,
ul. Kraszewskiego 1/3,
ul. Grudzińska 162

Wałbrzych, ul. Puszkina
Warszawa, ul. Abrahama 12,
ul. Grójecka 26,
ul. Mikołajczyka 12,
ul. Wąwozowa (paw. 4),
ul. Kłobucka 8,
ul. Bagatela 14,
ul. Dobra 56/66,
Al. Jana Pawła II/ Elektoratus,
ul. Ekologiczna 8,
ul. Kochanowskiego 39,
ul. Ostrobramska 75A,
ul. Rembielińska 6

Włocławek, ul. Miedziana 2/4
Wodzisław, ul. Księżnej Konstancji 123,
ul. 26 Marca

Wrocław, ul. Kielbasowa 7a,
Pl. Kościuszki 11,
Pl. Solny 7a / Ruskim 68

Zamość, ul. Partyzantów (Nowe Miasto)
Ząbkowice Śląskie, ul. Rynek 31
Zielona Góra, ul. Bohaterów Wester-
platte 19a
Złotów, ul. Wojska Polskiego

PACZKA PRIORYTETOWA



Szanowni Państwo!

Wraz z dniem 1 stycznia 2003 roku Poczta Polska oferuje Państwu nowy sposób - **PACZKĘ PRIORYTETOWĄ**.

Paczki priorytetowe będą doręczane adresatom zgodnie z normami terminowości stosowanymi przez Poczta Polska w odniesieniu do listów priorytetowych. Przypomniemy, że mamy to gwarantując nam: doręczanie co najmniej 80% wolumenu krajowych przesyłek priorytetowych w ciągu 2 dni roboczych od momentu nadania. Faktycznie Poczta Polska osiąga już wiele lepsze i coraz większe terminowości dla listów priorytetowych - co oznacza, że 80% przesyłek priorytetowych będzie dotarło do adresatów w ciągu 1 dnia roboczego.

Prosimy więc pamiętać, że priorytetowa paczka dotrze do adresata znacznie szybciej! W miastach powyżej 100 000 mieszkańców także w sobotę!

Szczegółowe informacje uzyskają Państwo w placówkach Poczty Polskiej lub telefonicznie (infolinia nr 1 20 333 444) oraz na stronie internetowej www.poczta-polska.pl.

POCZTA POLSKA



- MARKA GODNA ZAUFANIA



Są sprawy priorytetowe i listy też...



Szanując Twoi czas oferujemy Ci coś specjalnego! Poczta Polska przygotowała wolumenowy przesyłek o nazwie: **PRIORYTET**. Od 1 lipca 2003 r. Twoja przesyłka **PRIORYTETOWA** dotrze do adresata w bardzo krótkim czasie:

- Polska - 1 dzień,
- Europa - 3 dni,
- Świat - 6 dni.

Przesyłkę **PRIORYTETOWĄ** może być: list zwykły lub polecony, karta pocztowa, druk, słownem wysłane, co Ty wybierasz Ty sam.

Standard w listach Listy Europejskiej wg normy EN 10216 (przedruk dodatkowych wariantów) i terminów.

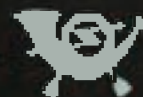
Szczegółowe informacje: tel. 0 80 333 444

internet: www.poczta-polska.pl

1 20 333 444 (infolinia) - usługa darmowa z sieci publicznej

Przesyłki priorytetowe nie są gwarantowane

POCZTA POLSKA



Kwartalnik „Akcent” od początku swego istnienia (1980 r.) drukowany jest przez Lubelskie Zakłady Graficzne - obecnie działające pod zmienioną nazwą MULTIDRUK S.A. Firma ta istnieje już ponad 50 lat. To, że co kwartał możecie Państwo otrzymać nasze pismo w niezmiennie starannej szacie graficznej, zawdzięczamy fachowości, doświadczeniu i solidności pracowników tej firmy. Także Wy możecie skorzystać z ich usług!

Redakcja „Akcentu”

MULTIDRUK
SPÓŁKA AKCYJNA W LUBLINIE



20-950 LUBLIN, UL. UNICKA 4
TEL (0-81) 747 14 37, 747 35 00
FAX: (0-81) 747 14 37, 747 15 21

OFERUJE USŁUGI POLIGRAFICZNE
W ZAKRESIE DRUKU:

- ☐ KSIĄŻEK
- ☐ KALENDARZY
- ☐ FOLDERÓW
- ☐ PLAKATÓW
- ☐ GAZET
- ☐ ETYKIET

- W TYM NA MATERIAŁACH SAMOPRZYLEPNYCH
ORAZ INNE WEDŁUG ŻYCZEŃ ZAMAWIAJĄCEGO